# PRZEGLĄD

# POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
*Ps. 143.*

**ROK DWUDZIESTY SZÓSTY. — TOM CII.**

**KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.**

1909.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1909

# ŻYDZI OŚWIECENI.

## I.

Żydzi w Turcyi — w Niderlandach — Uriel da Costa — Modena — Luzzatto — Spinoza — Dekadencya Żydów — Bandytyzm — Ocknienie — Mojżesz Mendelssohn, pierwszy Żyd »oświecony«.

Długa noc iście egipskich ciemności spowiła duszę narodu żydowskiego około r. 1400 po Chr. Ruch naukowy i literacki średniowiecznych Żydów, rozwijających się swobodnie pod życzliwym patronatem Maurów, wpuściwszy trochę światła do smutnych ghett Grenady, Tarragony i Kordowy, osłabł, zgasł. Uczniowie Ibn Nagrelów, Ibn Ganachów, ben Jehuda Gebirolów i Majmonidesów ustąpili miejsca talmudystom, kabalistom i przeróżnym sekciarzom, powstającym co chwila to w Niemczech, to w Turcyi, to w Polsce.

Stan ten trwał długo, bo przez wieki XV, XVI, XVII i prawie cały XVIII. W chwili kiedy się cały świat chrześcijański ruszył bardzo żwawo, nowych szukając dróg, Zydzi stali w miejscu. Nie odgraniczyli się oni nigdy tak szczelnie od reszty ludzkości, jak w epoce Odrodzenia, które pragnęło się z nimi porozumieć i pogodzić.

Nie tylko chrześcijanie wyciągali w XVI wieku rękę do Żydów. Bardzo życzliwie przyjął w Stambule sułtan Sulejman żydowskiego magnata, Joao Miques'a, wypędzonego z Portugalii. Jego syn, Selim, wyniósł nawet banitę w r. 1566 do godności

księcia Naxos, nadawszy mu kilka wysp na morzu Egejskiem, mianował go swoim powiernikiem i legalną głową Żydów tureckich. Bardzo bogaty, obdarzony niezwykłą władzą, posiadał Joao Miques (Józef Nassi) środki i sposobność zgromadzenia dokoła siebie rozproszonych po całym świecie współwyznawców i zajęcia się ich niedolą. Wolał jednak pamiętać tylko o sobie i o swojem najbliższem otoczeniu.

Przez czas krótki zdawało się, że w Niderlandach tryśnie źródło, orzeźwiające duszę narodu żydowskiego. Ośmieleni tolerancyą Wilhelma Oranien, wtargnęli hiszpańscy i portugalscy banici w r. 1593 wielką gromadą do miast niderlandzkich, upodobawszy sobie głównie Amsterdam, gdzie wykupili już po kilkunastu latach 300 pałaców i największych domów i zagarnęli cały handel, bogacąc się niezwykle szybko. Zdawałoby się, że w tak korzystnych warunkach odżyją tradycye Grenady, Terragony i Kordowy, że na wolnej ziemi błyśnie znów jakie światło, rozpraszające ciemności, które ogarnęły Judę. Błysnęło w istocie kilka świateł — Uriel da Costa, Benedykt Spinoza, Leon ben Izak Modena i Szymon Luzzatto — Żydzi jednak niderlandzcy stłumili natychmiast te światła, zgasili je siłą przy pomocy wielkiej klątwy.

Kazuistyka talmudyczna zapanowała wszechwładnie nad myślą narodu żydowskiego a jego serce wziął w posiadanie handel. Komu talmud lub handel nie dały dostatniego chleba, ten szukał go na innej drodze. Bandytami stali się zuchwalsi proletaryusze żydowscy.

Już w wieku XV wichrzyły w granicach cesarstwa niemieckiego liczne bandy rozbójnicze, będące postrachem całych prowincyi. Na czele tych band stali Żydzi i cyganie, którzy pojawili się w Europie w r. 1417. Bandy te gospodarowały przez cały wiek XVI, XVII i XVIII, grasując głównie w czasach niespokojnych, jak podczas wojny trzydziestoletniej i rewolucyi francuskiej. Do dnia dzisiejszego opowiada lud niemiecki o okrucieństwach hersztów żydowskich: Emanuela Heunemanna, Mojżesza Hoyma, Jakóba Mojżesza, Abrahama Jakóba i wielu innych. Cały legion tych opryszków żydowskich wymienia Avé-Lallemant *(Deutsches Gaunertum)*.

Została po nich pamiątka. Wiadomo, że się rabusie i złodzieje wszystkich narodów posługują własnym żargonem, zwanym po niemiecku *rotwälsch*. Gwara ta jest spływem wyrazów niemieckich, cygańskich i żydowskich. Przewaga żydowskich dowodzi, kto był jej głównym twórcą.

Nigdy nie upadł judaizm tak nizko, jak w stuleciach XVII i XVIII. Z jego monoteizmu nie zostało nic, okrom formułek, drobiazgów rytualnych, sofizmatów talmudycznych, fantazyi kabalistycznych i wiary w amulety. Pierwszy lepszy awanturnik, ambitnik lub sprytny karyerowicz mianował się Messyaszem (Sabbatai Zwi, Jakób Józef Frank i i.) a tłumy żydowskie szły za nim. Rabini stali się cudotwórcami, szarlatanami, cały naród roztopił się w handlu, zuchwalczy proletaryat kradł, rabował i zabijał.

Prof. Otton Henne am Rhyn, autor historyi kultury żydowskiej *(Kulturgeschichte des Judentums)*, usposobiony dla Żydów bardzo życzliwie, mówi: »Jest to epoka w historyi Żydów, wobec której należy żałować, że nie przepadli, nie wyginęli przedtem«.

Przy schyłku tej strasznej dla Żydów chwili urodził się pierwszy »oświecony Żyd« w rozumieniu nowoczesnem. Był nim Mojżesz Mendelssohn, właściwie Mojżesz, syn Mendla z Dessawy, zwany przez Żydów prawowiernych Mosze Dessau, a przez reformowanych »trzecim Mojżeszem« (pierwszym był biblijny, drugim Majmonides).

Urodził się on w Dessawie w r. 1729, gdzie uczył się mądrości talmudycznej u Dawida Fränkela. Był dzieckiem chorowitem, chuderlawem, ubogiem. Kiedy jego mistrza powołała gmina berlińska na rabina, poszedł za nim w czternastym roku życia. Tu, w stolicy Prus, znalazł nowych dobrodziejów. Polski talmudysta, Izrael Levi z Zamościa, otworzył przed nim księgi Majmonidesa, Aron Salomon Gompertz nauczył go po niemiecku i wyrobił mu posadę prywatnego mełameda (nauczyciela) w domu jakiegoś zamożnego Żyda. Chorowity, chuderlawy, ubogi chłopczyna stał się »uczonym w piśmie« i nie potrzebował się już troskać o chleb powszedni.

I nie byłby niewątpliwie był przekroczył granic »uczoności

w piśmie« w rozumieniu żydowskiem, bo zaczął już pisywać do jakiegoś hebrajskiego wydawnictwa, gdyby nie wypadek. Ten wypadek, który się stał jego przeznaczeniem, zapoznał go z Gottholdem Efraimem Lessingen (w r. 1754) i wpłynął stanowczo na jego dalsze losy.

Lessing był, jak wiadomo, żydofilem, rzecznikiem emancypacyi żydowskiej, wyprzedził w tym kierunku rewolucyę francuską, Mirabeau'a, ks. Grégoire'a, Rabauda de Saint-Étienne, hr. Stanisława de Clermont-Tonnerre i »filozofów« z Konwentu. Jeszcze nie przyszło nikomu we Francyi na myśl zaopiekować się Żydami, kiedy jego dramat p. t. »Żydzi« rzucił już w ich obronie ze sceny rękawicę »nietolerancyi chrześcijańskiej«.

Tak życzliwie dla Żydów usposobiony pisarz przygarnął oczywiście bez namysłu, chętnem, szczerem sercem młodego, wiedzy łaknącego Żyda, wprowadził go w towarzystwa chrześcijańskie, zapoznał go z naukowemi i literackiemi gwiazdami chwili, zachęcił go do studyów nad literaturą niemiecką i do pisania po niemiecku.

Szedł wówczas nad Berlinem powiew t. zw. oświecenia *(Aufklärung)*. Przywiał on z Paryża, z echami encyklopedyzmu. Przesiąkł nim sam król, Fryderyk II, zwany Wielkim.

Oświecenie to, rozpoczęte mefistofelesowym chichotem Voltaire'a, zwracało się, jak wiadomo, zrazu tylko przeciw chrześcijaństwu wogóle a katolicyzmowi w szczególności, zanim buchnęło jaskrawym płomieniem nienawiści do wszelkiej religii, padając w proch przed bożyszczem encyklopedystów, przed *la Raison*.

Tak ostrej formy nienawiści i fanatyzmu nie przybrało oświecenie w Berlinie. Flegmatyczny, rozważny Niemiec zadowolnił się jego bladą kopią, jego rozwiewającem się echem — bezkrwistym indyferentyzmem religijnym, połączonym z lekceważeniem form.

W sam raz »wiara«, podłoże psychologiczne dla Żydów oświeconych najnowszego typu, zdejmowała z nich bowiem strach przed nienawiścią chrześcijan i pozwalała im wierzyć lub niewierzyć we wszystko, co im się tylko podobało. Nie tak względnym,

pobłażliwym dla nich był terrorystyczny kult Rozumu francuskiej rewolucyi.

Mojżesz Mendelssohn, korzystając z warunków sprzyjających, zaczął się ocierać o Niemców i pisać po niemiecku, na czem wyszedł bardzo dobrze. Żyd, piszący i drukujący po niemiecku był w owym czasie takiem dziwem, iż stał się od razu rozgłośnym.

A gdy ten Żyd miał odwagę przeciwstawić się formalistyce rabinicznej, urósł przez noc do tak olbrzymich rozmiarów, iż okrzyknięto go jednogłośnie filozofem, geniuszem, trzecim Mojżeszem.

Niewiele było filozofii w tych jego dziełach filozoficznych, w jego *Philosophische Gespräche,* w jego *Fedonie* i *Morgenstunden.* Co taki samouczek mógł pozbierać u różnych filozofów, starszych i nowszych, pozbierał, pozszywał, pokleił i złączył w jedną całość. Kompilacyami były jego rozprawy filozoficzne, a te kompilacye cieszyły się większem powodzeniem od dzieł Kanta.

Nowość dodała im blasku. I ta nowość była w istocie ich główną treścią i zasługą. Bo Żyd, mówiący, piszący po niemiecku, rozprawiający o rzeczach ogólnoludzkiego znaczenia, przerwał mur chiński, jaki oddzielał dotąd »naród wybrany« od społeczeństw chrześcijańskich, stanął pierwszy na wyłomie nowych czasów, był — twórcą, ojcem »Niemców, Francuzów, Anglików, Włochów, Polaków i t. d. mojżeszowego wyznania«.

Otoczony aureolą reformatora, »trzeciego Mojżesza«, podziwiany, uwielbiany przez chrześcijan, chodził Mendelssohn w słońcu sławy, jak bohater. Nawet sam król, Fryderyk II, jako filozof oświecony, ale jako władca swojego narodu mądry opiekun i stróż, nieubłagany antysemita, okazywał mu swoje względy.

Jakże się ten Żyd, psuty, popierany, wyrzucony w górę przez chrześcijan, zachowywał wobec chrześcijaństwa? Chrześcijaństwo miało prawo żądać od niego chociażby tylko tej samej pobłażliwej tolerancyi, z jaką ono spoglądało na judaizm a Mendelsohna?...

Przyszło do głowy Lavaterowi, znanemu w owych czasach teozoficznemu fantaście i frenologowi zurychskiemu, nawrócić

na chrześcijaństwo oświeconego Żyda, który nie ukrywał się z tem wcale, że nie pochwala kazuistyki talmudycznej, subtelności rabinicznych i odrębności żydowskiej. Pomysł bardzo naturalny... Bo kto się odrywa od swoich, kto twierdzi, że jest Niemcem, może zechce zlać się z swoimi nowymi ziomkami pod każdym względem...

Usiłując przekonać Mendelssohna do chrystyanizmu, kazał Lavater przetłumaczyć Bonneta »Apologię chrześcijaństwa« z francuskiego na niemieckie i posłał ją »trzeciemu Mojżeszowi« z dedykacyą (1769 r.). Każdy oświeceniec pochodzenia chrześcijańskiego byłby ten niezręczny manewr prozelityzmu, gdyby nie odpowiadał jego przekonaniom, był pominął milczeniem, a Mendelssohn? On odpowiedział Lavaterowi tak namiętną apologią judaizmu a tak nienawistną krytyką chrześcijaństwa, iż byłby jeszcze temu lat kilkadziesiąt za to zuchwalstwo zgorzał na stosie.

Nie dość na tem. Broniąc się przeciw zarzutom prawowiernych Żydów, pomawiających go o odstępstwo wiary przodków, napisał w roku 1783 najlepsze ze wszystkich swoich dzieł p. t. *Jerusalem oder über religiöse Macht im Judentum.* Złotym pomnikiem powinni go byli Żydzi wynagrodzić za tę książkę. Bo żaden z ich tanaimów, amoraimów i rabinów nie zdobył się na tak świetną apologię judaizmu a tak pogardliwą krytykę chrystyanizmu, jak oświecony, bezprzesądny, filozofujący Mojżesz Mendelssohn. Chrystusa ośmielił się zestawić z Frankiem. W swojem uwielbieniu dla mozaizmu a wstręcie do chrześcijaństwa, zapomniał nawet o elementarnych zasadach logiki. Twierdzi on w »Jerozolimie«, że »nie uznaje żadnych prawd oprócz prawd ludzkiego rozumu« i dlatego niema potrzeby odrywać się od judaizmu, który »nie zna religii objawionej w rozumieniu chrześcijańskiem«, a oświadcza równocześnie, że »Bóg objawił Żydom za pośrednictwem Mojżesza w sposób cudowny, nadprzyrodzony wszystkie prawa, nakazy, prawidła życia i nauki, potrzebne do osiągnięcia szczęśliwości doczesnej i wiecznej«.

Więc objawienie chrystyanizmu jest przesądem, kłamstwem, kłócącem się z prawdami rozumu, ale objawienie mozaizmu wy-

trzymuje krytykę nawet oświeconego filozofa? Szczególna, iście talmudyczna logika.

Złotym pomnikiem powinni byli Żydzi prawowierni uczcić autora »Jerozolimy« — a oni?

Kiedy Mojżesz Mendelssohn przetłumaczył »Torę« na język niemiecki »dla użytku swoich dzieci«, wyklął go Rafał Kohen, naczelny rabin trzech gmin, altońskiej, hamburskiej i wandsbeckskiej, głowa ówczesnych prawowiernych Żydów niemieckich i kazał jego niemiecką Torę spalić. Palono ją też w istocie w miastach polskich.

Mojżesz Mendelssohn umarł w r. 1786. Zeszedł z tego świata bogatym, oświecenie bowiem i filozofia nie przeszkadzały mu wcale pamiętać o gromadzeniu mamony. Oświecenie dało mu sławę i szacunek filozofujących chrześcijan, handel zaś majątek.

Oto pierwszy o ś w i e c o n y ż y d czasów nowszych, ojciec, twórca nieznanego przed nim typu.

Wziął on od społeczeństwa chrześcijańskiego oświecenie, szersze poglądy na sprawy ludzkości, naukę, życzliwą pomoc, przyjazne poparcie słowem i czynem, sławę, stanowisko towaskie, wydobył się z ich pomocą z brudnych, cuchnących nizin proletaryatu żydowskiego i z ciemności kazuistyki talmudycznej i kabalistycznej — wziął wszystko. Za te hojne dary wniósł do literatury niemieckiej kilka kompilacyi filozoficznych, robiących dziś wrażenie naiwnych wypracowań, i jedno dzieło rzeczywistej wartości, ale właśnie to jedno dobre dzieło (»Jerozolima«) było policzkiem dla chrześcijaństwa.

Oświecony Żyd nie przestał być fanatycznym wrogiem Krzyża, oświecony filozof, zowiący wszelakie wyznania przesądem, zabobonem, bronił namiętnie swojego. Świeżo upieczony Niemiec nie zapomniał o »królewskości narodu wybranego«, chełpił się tem, że tylko Żydom nadał sam Bóg wskazania religijne i prawodawcze.

Jak »drugi Mojżesz«, jak Majmonides, umiał godzić filozofię grecką z mądrością talmudu, tak bawił się i »trzeci Mojżesz« w nowoczesnego oświeceńca, w racyonalistę, nie przestając być

w duszy na wskroś Żydem. Nie obrzydziła mu judaizmu nawet klątwa Kohena.

## II.

Następcy Mendelssohna — Wessely — Salon Herza — Drugi typ oświeconego Żyda — Protest w łonie Żydów — Gans — Zunz — Moser — Reakcya wśród chrześcijan — Hepp, hepp! — Gromadne chrzczenie się Żydów oświeconych.

Reformatorem Żydów wogóle, za jakiego go uważano, Mojżesz Mendelssohn nie był, pisma bowiem jego nie dotarły nawet do wielkich mas, do właściwego narodu żydowskiego. Nie miał on zresztą odwagi stanąć jawnie przed swoim ludem jako odrodziciel, narazić się na jego gniew. Aczkolwiek zabawiał się w filozofa, wypełniał z gorliwością i ścisłością prawowiernego chassyda wszystkie rytualne nakazy, odkładał pióro z chwilą nadejścia szabatu, nie kończąc nawet zaczętego listu.

Oddziałał on tylko na drobny odłam swoich współwyznawców, na Żydów większych miast.

Był w tych miastach pewien procent zamożnych, handlem zbogaconych Żydów, którym obrzydło stanowisko paryasów ludzkości i których znużył despotyczny nadzór synagogi. Widząc, że »oświecenie« Mendelssohna zdjęło z niego »żółtą łatę«, że zrównało go towarzysko z innowiercami, otoczyło go przyjaźnią, szacunkiem Niemców i opromieniło sławą i przekonawszy się, że gromy klątwy rabinicznej straciły w Prusach swoją moc, przestały zabijać, że można stawić bezkarnie opór synagodze, rzucili się ci ambitni i niezadowoleni chciwie do oświecenia, Rozebrali się skwapliwie z sukien żydowskich, zaczęli mówić po niemiecku, uczyć się u profesorów chrześcijańskich i filozofować.

Bardzo dobrze maluje nieznany autor rozprawy umieszczonej w *Gegenwart* Brockhausa (tom X, stron. 526—603) tę gorączkę odżydzania się zamożniejszych Żydów niemieckich z końca XVIII i początku XIX stulecia. »Żydów ogarnęło — mówi on — chorobliwe pragnienie stanowiska towarzyskiego i chęć usunięcia wszelkich różnic, rozgradzających ich od współobywateli chrześcijańskich. Ta gorączkowość musiała zaszkodzić ich naturalnemu rozwojowi. Nie uczyli się oni dla nauki, lecz tylko dlatego, żeby

się za jej pomocą wydostać na wyższe szczeble drabiny społecznej. Każdy chciał uchodzić koniecznie za oświeconego i dlatego rzucał zewnętrzne formy judaizmu. Pierwszemu lepszemu zdawało się, że gdy pozbędzie się obyczajów i zwyczajów żydowskich, drwiąc z nich jawnie, wtedy zrówna się zupełnie z Niemcami. Pozorna nauka, pozorne wykształcenie, a przedewszystkiem afektowana, małpowana, pozorna wolnomyślność w rzeczach religii, przejawiająca się nie tylko w lekceważeniu prawowiernej synagogi, lecz wszelkiej wiary wogóle, były znamiennymi rysami zamożniejszych Żydów«.

Ta gorączka gwałtownego odżydzania się wytworzyła drugi typ oświeconego Żyda, mnożącego się dotąd w sferach bogatszego kupiectwa, w finansach i w przeciętnej intelligencyi żydowskiej. Jest nim płaski bezwyznaniowiec, filozofujący dyletant *sans Dieu et maître,* wiszący w powietrzu, między ziemią i niebem.

Wisi między ziemią a niebem, bo nie od razu zdolen jest człowiek zdjąć z siebie skórę, w której chodził przez lat tysiące. Całych pokoleń na to potrzeba. Wisi między ziemią a niebem, bo, oderwawszy się od swojego pnia macierzystego, a nie zrósłszy się jeszcze z pniem obcym, stracił grunt pod nogami. Od nowego otoczenia oddziela go całe morze odmiennych pojęć, wyobrażeń, zwyczajów, obyczajów, sympatyi i antypatyi, cała kultura innej rasy, innych narodowości, innego wyznania, cały nowy świat, którego nie może wziąć w siebie bez niestrawności w przeciągu kilkunastu, a choćby kilkudziesięciu lat.

Nagłe oświecanie w celach praktycznych nie wyszło filozofującym Żydom niemieckim na zdrowie. Struli się niem, jak szpetną miksturą; nie dało im cnót rasy aryjskiej a odjęło im cnoty rasy semickiej. Pozbawiwszy ich wiary przodków, zabrało im razem z nią ogólnoludzkie pojęcia etyczne. Używanie życia, rezonujący cynizm i wolna miłość wykwitły z tego bagna zielskiem cuchnącem.

Po śmierci Mendelssohna, gromadził dokoła siebie oświeconych Żydów berlińskich dowcipny lekarz, Markus Herz, żonaty z piękną Henryettą de Lemos, córką d-ra Benjamina de Lemos, pochodzącego z Żydów portugalskich.

Nie sami Żydzi bawili się w salonie Herza. Uświetniali go nazwiskami swojemi znani uczeni i literaci: Nicolai, Engher, Ramler, Humboldtowie, Varnhagen von Ense, Gentz, Fryderyk Schlegel i przyjezdne obce znakomitości, jak Mirabeau. Bo wesoło było w tym oświeconym salonie oświeconego Żyda, w którym wodziły rej oświecone Żydówki, pomiędzy niemi obie córki »trzeciego Mojżesza«, Dorotea i Rachela Lewin. Dobre wina, doskonały stół, muzyka, śpiew, dowcipkująca, oświecona, *recte* bezwyznaniowa paplanina a przedewszystkiem wolna, bez granic rozpustna miłość przyciągały wszystkich pieczeniarzów i młodych lowelasów. Z cynizmem filozofującej rozpusty nazywała się ta swawolna kompania »Związkiem cnoty« *(Tugendbund)*. Znany historyk żydowski, swojego ludu chwalca i obrońca, prof. dr. H. Grätz, nazwał dom Herza *(Geschichte der Juden)* »namiotem Midyanitów«.

Takie owoce wydało pierwsze oderwanie się Żydów od prawowiernego judaizmu, pierwsze oświecenie na tle kultu rozumu.

To samo mniej więcej działo się w Królewcu, gdzie Hartwig Wessely prowadził dalej robotę Mendelssohna, to samo we wszystkich większych miastach niemieckich, gdzie »blask oświecenia« padł na gromadkę Żydów zamożniejszych, niezadowolonych ze swojego położenia.

Anarchia umysłowa i etyczna wypełzła trującym gadem z pierwszego ruchu asymilacyjnego czasów nowszych. Nikt nie pomyślał o rozszerzeniu i pogłębieniu reformy rozpoczętej przez Mendelssohna, a gdy się znalazł jaki »dziwak«, który zrozumiał, że pozory nie wystarczają, wtedy wzruszano ramionami.

Takimi dziwakami byli trzej młodzi Żydzi niemieccy, Edward Gans, Leopold Zunz i Mojżesz Moser. Założyli oni w roku 1819 w Berlinie stowarzyszenie, mające na celu zasadnicze przeistoczenie Żydów *(Verein für Kultur und Wissenschaft der Juden)*, którego organem było czasopismo p. t. *Zeitschrift für die Wissenschaft des Judentums*. »Pragniemy zmienić istotę Żydów z wewnątrz — oświadczyli — aby zaprowadzić harmonię między nimi, a narodami, w pośród których żyją«.

Nikt nie poparł młodych fantastów. Ich organ zgasł po

wyjściu trzech numerów, ich stowarzyszenie wiodło żywot suchotniczy. Zrażony niepowodzeniem, pisał Gans do swojego przyjaciela Wohlwill'a: »Jeśli ten nierozum, ten brak entuzyazmu potrwa dalej, wtedy nie będzie zaprawdę warto troszczyć się o tę hałastrę *(Gesindel)* żydowską«, a w dorocznem sprawozdaniu czynności stowarzyszenia odmalował w tych samych mniej więcej czarnych barwach oświeconych Żydów swojego czasu, w jakich ich odmalował autor rozprawy, umieszczonej w *Gegenwart* Brockhausa. »Miłość do religii i rzetelność dawnych stosunków przeminęły — skarżył się — a opróżnionego miejsca nie zajął nowy zapał. Skończyło się na owem ujemnem oświeceniu, które wzgardziło tradycyami przeszłości, bo nikt nie postarał się o to, aby jałową negacyę zastąpić nową afirmacyą. Co sobie Żydzi przyswoili z cywilizacyi europejskiej, nie jest cywilizacyą rzeczywistą; pokost to tylko zewnętrzny, tem nieznośniejszy, im mniej w nim treści. Tylko dlatego wywiesili Żydzi na swojej świątyni szyld oświecenia, żeby się ludziom zdawało, iż mają nową firmę. A przecież to stary, wewnątrz zgniły budynek, odświeżony jedynie na zewnątrz dla oka«.

Drugi twórca stowarzyszenia, Zunz, stracił do tego stopnia wiarę w eksperyment asymilacyjny Mendelssohna, Wessely'ego i swój własny, iż pisał w liście do Wohlwill'a: »Doszedłem tak daleko, iż nie wierzę już wcale w możliwość odrodzenia się Żydów; trzeba rzucić kamieniem na tego upiora, aby go spłoszyć«.

Nie tylko idealiści żydowscy stracili wiarę w możliwość asymilacyi na drodze »oświecenia«. Stracili ją także oświeceni chrześcijanie. Nie pobłażał im nigdy król Fryderyk II, trzymając ich mocną ręką w cuglach, nie lubili ich, nie ufali im: Herder, Goethe, Fichte, Kant, Schopenhauer. Wiadomo także, że Voltaire i Napoleon I nie byli ich przyjaciółmi.

Oświecenie zresztą w rozumieniu encyklopedyzmu zbladło, zbankrutowało. Szkodliwość jego wykazał teroryzm rewolucyi francuskiej, który wywiesił jego doktryny jako szyld ideowy. Kult rozumu stał się w ręku żyrondystów bezwzględnym burzycielem, Dantonów i Maratów rozpustnikiem i mordercą, a w ręku Hebertów, Chaumette'ów i Cootz'ów plugawym cynikiem i bluźniercą.

Przyszła reakcya, wytrzeźwienie.

W Niemczech zwróciła się ta reakcya przeciw filozofującym Żydom, którym filozofia nie przeszkodziła wcale uprawiać dawnej, »nieoświeconej« metody handlu. W roku 1819 rozległo się znów w całych Niemczech średniowieczne: *hepp, hepp!* Miasta: Norymberga, Bamberg, Frankfurt, Darmstadt, Karlsruhe, Hamburg, Gdańsk, Dysseldorf, Heidelberg i inne gromiły, wypędzały Żydów.

Wówczas padł strach na tę całą oświeconą gromadę żydowską, która wisiała w powietrzu, między ziemią a niebem. Cóż oni biedni teraz poczną, gdzie się podzieją? Prawowiernymi Żydami być przestali, chrześcijanami nie byli nigdy. To bardzo wygodne w czasach filozofującej *Aufklärung* stanowisko »bez Boga i pana«, stało się niebezpiecznem w chwili reakcyi. Gdzież teraz pójdą? Prawowierna synagoga nie przyjmie ich, — »midyanitów«. Oni zresztą sami, odwykłszy od obyczajów i zwyczajów żydowskich, nie chcieliby wrócić do tradycyi ghetta.

Nie było innego wyjścia: trzeba było uciec pod opiekuńcze skrzydła Krzyża.

Prawie cały oświecony Izrael niemiecki wychrzcił się między r. 1819 i 1823. W samym Berlinie przyjęło chrzest 1236 Żydów, a w innych miastach Prus 1382.

Na pierwszy ogień poszedł »namiot midyanitów« Herza ze swojemi odaliskami, córkami Mendelssohna i jego synem na czele. Ukorzyli się także przed Krzyżem idealiści żydowscy, Gans i Moser i przyjaciel ich Henryk Heine.

I Ludwik Börne zmienił wiarę.

## III.

Publicyści, literaci żydowscy — Trzeci typ Żyda oświeconego — Ludwik Börne — Henryk Heine — Dowcip żydowski — Samoironia.

Przybył teraz nowy, trzeci typ Żyda oświeconego — publicysta, literat, poeta żydowski z metryką chrześcijańską lub bez niej.

Jest obowiązkiem prostej przyzwoitości nie znieważać narodowości z wyznania, które się przyjęło dobrowolnie. Tak postąpili

Gans, Moser, oświeceni idealiści żydowscy i zasłużyli sobie swojem rozumnem, taktownem zachowaniem na powszechny szacunek. Gans, wychrzciwszy się, poświęcił się nauce, był bardzo pożytecznym profesorem uniwersytetu.

Nie tak Ludwik Börne i Henryk Heine.

Przyjęli obaj narodowość niemiecką i wyznanie chrześcijańskie. Nikt ich do tego nie zmuszał, nikt nie narzucił im w kołysce patentu na Niemca i metryki chrztu. Ochrzcili się i zniemczyli sami z pełną świadomością dokonanej zmiany. Ludwik Börne (jako Żyd Leib Baruch) w trzydziestym drugim roku życia (1818 r.), Henryk Heine, jako dwudziestopięcioletni młodzieniec (1825 r.). Wiedzieli obaj, co robią, byli bowiem obaj »uświadomieni«, należeli do warstw oświeconych, kształcili się w uniwersytetach.

Ludwik Börne mieszkał od r. 1830 stale w Paryżu, gdzie umarł (w r. 1837). Z Paryża pisywał swoje »Listy Paryskie« *(Pariser Briefe)*, które są najdojrzalszym owocem jego talentu publicystycznego. W listach tych wylał wielki kubeł szyderstwa, obelg, żółci, zaciekłej nienawiści na Niemców, swoich nowych ziomków.

Takim patryotą niemieckim był zasymilowany, świeżo upieczony Niemiec.

A Henryk Heine?

Bez żalu pożegnał kraj, w którym się urodził, przeniósł się tak samo, jak Börne do Paryża i rozmiłował się we Francyi. *Vive la France, quand même!* — wołał. Jego brat zamieszkał w Wiedniu i stał się gorącym Austryakiem, drugi osiadł w Petersburgu i przedzierzgnął się na Rosyanina.

Jako publicysta w *(Französische Zustände 1832;* Lutetia 1840 r.) wprowadził do literatury i prasy niemieckiej ową persyflującą, zjadliwą, drwiącą, bezwzględną krytykę wad narodowych, którą posługują się dotąd publicyści żydowscy. Nie krytykował, lecz kąsał bez litości pluł, obryzgiwał śliną chichotu lekkomyślnego Fauna i aroganckiego Mefistofelesa, wszystko i wszystkich. Nawet Ludwika Börnego, bliższego mu krwią od Niemców, nie oszczędził, znieważył jego pamięć po śmierci brutalnym paszkwilem *(Heinrich Heine über Ludwig Börne)*.

Jako filozof był »osobistym wrogiem« chrześcijaństwa.

W swoim »Przyczynku do historyi religii i filozofii w Niemczech« (*Zur Geschichte der Religion und Philosophie in Deutschland*, 1834 r.) nazywa chrześcijaństwo »ciężką zaraźliwą chorobą«.

— »Idea chrześcijańska — mówi — ogarnęła niesłychanie szybko państwo rzymskie, niby choroba zaraźliwa. Przez całe wieki średnie trwały cierpienia, to gorączka febryczna, to zmęczenie, a my nowożytni czujemy jeszcze w członkach kurcze i osłabienie. Choć między nami już niejeden wyzdrowiał, to nie może się jednakże wydostać zupełnie z powszechnej atmosfery lazaretu, więc musi się czuć nieszczęśliwym, jako jedyny zdrowy między samymi chorymi. Kiedyś, gdy ludzkość uzyska pełne zdrowie, gdy nastanie pokój między ciałem a duszą, gdy te dwa pierwiastki będą się nawzajem w pierwotnej przenikały harmonii, wtedy nie będą nawet ludzie w stanie zrozumieć sztucznego sporu, wywołanego przez chrześcijaństwo« ... »Próba wcielenia chrześcijaństwa poniosła, jak ostatecznie widzimy, stanowczą klęskę. Jeżeli znajdujemy się jeszcze obecnie, jak wielu mniema, w epoce młodości naszego rodzaju, to należało chrześcijaństwo do najdziwaczniejszych pomysłów studenckich ludzkości, które przynoszą daleko więcej zaszczytu jej sercu niż rozumowi« ... »Ludzkość sprzykrzyła sobie wszystkie hostye i łaknie pożywniejszego pokarmu ... prawdziwego chleba i pięknego ciała. Ludzkość: uśmiecha się z politowaniem, przypominając sobie swoje młodzieńcze ideały, których nie mogła urzeczywistnić, mimo wielu starań; staje się ona obecnie po męsku praktyczną. Ludzkość wyznaje teraz doczesny utylitaryzm, myśli naprawdę o wygodnem, dostatniem urządzeniu się, aby jej było dobrze na starość. Jest obecnie najbliższem zadaniem wrócić do zdrowia, bo czujemy jeszcze wielką niemoc w członkach. Święte wampiry wieków średnich wyssały z nas tyle krwi żywotnej. Chrześcijaństwo, niezdolne do zniszczenia materyi, poniżyło najszlachetniejsze uciechy, z czego wynikło kłamstwo i grzech. Musimy nasze uczucia przewietrzyć, jak po przebyciu zarazy«.

W *Die Bäder von Lucca* nazywa Heine katolicyzm »religią, która tak wygląda, jak gdyby Bóg właśnie umarł. Czuć kadzidło,

jak na pogrzebie, a muzyka zawodzi tak smutnie, że można dostać melancholii«. A »protestantyzm jest znów zanadto rozumny i gdyby w kościele ewangelickim nie było organów, nie byłby żadną religią. Mówiąc między nami, nie szkodzi ta religia nikomu, ale też nie pomaga nikomu«.

Tak wyrażał się o chrześcijaństwie człowiek, który uciekł pod jego skrzydła opiekuńcze ze strachu przed reakcyą i w nadziei zrobienia karyery przy pomocy metryki chrześcijańskiej.

Wszystko się w głowie tego lekkomyślnego, zmysłowego, cynicznego człowieka, tego charakteru bez charakteru pomieszało: grecki kult ciała, materyalizm encyklopedystów, liberalizm mieszczański z r. 1830, rojalizm, demokratyzm, romantyzm niemiecki, fanfaronada bezwyznaniowa takich »namiotów midyanitów«, jakim był salon Herza w Berlinie i jego dalszy ciąg, salon Raheli Varnhagen (córki Mendelssohna), w którym uczył się jako młody student znajomości z filozofii życia i — tradycyi żydowskich.

Głównie te ostatnie kipiały z potęgą rodowych, narodowych i rasowych tradycyi w jego duszy.

Wkrótce po przyjęciu chrztu pisał Heine do Mosera: »Radzę ci przeczytać Gołowina »Podróż do Japonii«. Dowiesz się z tej książki, że Japończycy są najcywilizowańszym narodem na ziemi. Powiedziałbym nawet, że są narodem najwięcej chrześcijańskim, gdybym ku mojemu zdziwieniu nie wyczytał, że nienawidzą oni chrześcijaństwa. Chcę zostać Japończykiem! Nie cierpią oni najwięcej krzyża. Chcę zostać Japończykiem!«

Dowiedziawszy się, że Gans namawia Żydów do chrztu, pisał Heine do tego samego Mosera: »Nie wiem, co mam sądzić o wiadomości, jakiej mi Kohen udzielił. Mówi mi on, że Gans nawraca dzieci Izraela do chrześcijaństwa. Jeśli to czyni z przekonania, to jest idyotą, »jeżeli zaś z obłudy, to jest łotrem. Nie przestanę go nigdy kochać, ale mimo to przyznaję się, iż od powyższej byłaby mi milszą wiadomość, że Gans ukradł srebrne łyżki. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś pochwalał mój własny chrzest. Zaręczam ci, że nie byłbym się ochrzcił, gdyby prawo pozwalało kraść srebrne łyżki«.

W puściznie pośmiertnej Heinego znajduje się wiersz p. t.

*Einem Abtrünnigen* (»Odstępcy«). Dwie jego końcowe zwrotki brzmią następnie:

Und du bist zu Kreuz gekrochen,
Zu dem Kreuz, das du verachtest,
Das du noch vor wenig Wochen,
In den Staub zu treten dachtest.

O das tut das viele Lesen,
Jener Schlegel, Haller, Burke,
Gestern noch ein Held gewesen,
Ist man heute schon ein Schurke.

Adolf Strodtmann domyśla się w swojej monografii Heinego *(H. Heine's Leben und Werke)*, że wiersz ten odnosi się do konwersyi Gansa.

Cała nienawiść Żyda, potomka talmudystów, do Krzyża buchnęła z tych listów Heinego i z tego jego wiersza, nienawiść tem zjadliwsza, że upokorzona, zwyciężona przez Krzyż, — nienawiść zrozumiała u prawowiernego chassydy, ale grzeszna u oświeceńca, a u świeżego neofity wprost podła, nikczemna. Wychrzczony Heine, szczekający na chrystyanizm, jest podobny do złośliwego psa, który ujada na pana, co go wziął w opiekę.

Heine jest najdoskonalszem wcieleniem oświeconego Żyda pierwszej połowy XIX stulecia. Połączyły się w nim w jedną całość i spotęgowały się wszystkie poszczególne rysy jego poprzedników i otoczenia, w którem się wychował i dojrzał. Jak Mendelsohn i Wessely starał się być Niemcem, a nie umiał się zupełnie oderwać od tradycyi swojego narodu, jak oni, napił się oświecenia ze źródeł chrześcijańskich, a gardził temi źródłami, jak Gans, Zunz i Moser zapalił się zrazu do odrodzenia Żydów i zwątpił o niem (»Żydzi są tu, jak wszędzie, nieznośnymi brudasami i szachrajami« pisał w r. 1823 do Mosera z Luneburga), jak cała wesoła kompania z pod »namiotu midyanitów« wyznawał kult pięknego ciała, uprawiał wolną miłość, nicował z cynicznym humorem całą przeszłość nie tylko chrześcijaństwa, ale także judaizmu, filozofował po dyletancku, poświęcał dla udanego *Witz'u* prawdę, zabawiał się w liberalnego reformatora, chociaż nie miał właściwie żadnych przekonań, raz demokrata, liberał, to

znów rojalista, a nawet wielbiciel »świętego despotyzmu«, zmienny, przewrażliwy, niby kaprys kobiecy, i razem z całą oświeconą kompanią berlińską postarał się ze strachu przed reakcyą, czy też dla karyery o szyld chrześcijański z nienawiścią w sercu do tego szyldu.

Był on najdoskonalszem wcieleniem typu oświeceńca żydowskiego w drugiem pokoleniu i doprowadził to oświecenie do jego ostatecznych naturalnych rezultatów, do bezwyznaniowości i kosmopolityzmu. Szlachetniejsi od niego, Gans i Moser, umieli się dostosować z godnością do nowych warunków, poważniejszy od niego, więcej zwarty, jednolity Börne zamknął się w granicach krytyki politycznej, społecznej i teatralnej, on jeden, wielki talent rymotwórczy, ale głowa bezładna, rozwichrzona, ulegająca wrażeniom chwili, rzucał się na wszystko i wszystkich.

Za mało było mu poniewierki chrystyanizmu. Judaizm nawet, swojego narodu skarb, atakował. »Nie mówcie mi o tej religii (żydowskiej), której nie życzę mojemu największemu wrogowi. Nie przynosi ona nic, okrom sromu i hańby. Judaizm nie jest żadną religią, jest to po prostu nieszczęście« *(Die Bäder von Lucca).*

I Boga wkońcu pochował. »Naprawdę, wyzwoliliśmy się już z powijaków deizmu. Jesteśmy wolni i nie chcemy piorunującego tyrana, jesteśmy pełnoletni i nie potrzebujemy opieki ojcowskiej. Nie jesteśmy także fabrykatami wielkiego mechanika. Deizm jest religią dla niewolników, dla dzieci, dla genewczyków, dla zegarmistrzów«... »Czy słyszycie głos dzwonka? Uklęknijcie, bo oto podają właśnie sakramenta konającemu Bogu«. *(Gesch. d. Rel. und Philos. in Deutschland).*

Z fanfaronady zdrowej młodości wykrzykiwał we wstępie do »Szkoły romantycznej«: »Żadne względy tchórzliwe nie nakłonią mnie do omijania zwykłymi dwuznacznikami przekonań moich, odnoszących się do spraw Boskich«.

Biedny Heine, biedny oświeceniec! Takim zuchem był dopóty, dopóki mu nic nie dolegało, ale kiedy »religia uciechy«, którą tak gorliwie wyznawał i praktykował, wyssała z niego soki żywotne i rzuciła go w sile męskiego wieku na straszliwe łoże

bezwładu, postępującego paraliżu *(Matratzengruft)*, wówczas »stchórzył« od razu. W swoich *Geständnisse* (1853 r.) lamentował: »Ach, gdybym mógł wszystko zniszczyć, co pisałem kiedyś o filozofii niemieckiej! Przyznaję się wprost, że wszystko, co się w tej książce odnosi do Boga, jest zarówno fałszem, jak nierozwagą. Fałszem i nierozwagą jest twierdzenie, które powtórzyłem za szkołą, jakoby deizm skonał w teoryi. Nie, nie jest prawdą, że krytyka rozumu położyła kres istnieniu Boga. Deizm żyje, żyje swem najżywszem życiem. On nie umarł, a najmniej zabiła go najnowsza filozofia niemiecka. Ta pajęcza dyalektyka niemiecka nie może nawet psa z pod pieca wywabić, nie może zamordować nawet kota, a cóż dopiero Boga«. A w testamencie swoim (1851 r.) kajał się: »Od lat czterech pozbyłem się pychy filozoficznej i powróciłem do idei i uczuć religijnych. Umieram w wierze w jednego Boga, wszechmocnego Stwórcę świata, którego błagam o miłosierdzie dla mojej duszy nieśmiertelnej. Żałuję, że wyrażałem się w pismach moich niekiedy o rzeczach świętych bez należnego uszanowania, lecz pobudzał mnie do tego więcej duch czasu, aniżeli moje skłonności. Jeżeli zgrzeszyłem bezwiednie przeciw moralności i dobrym obyczajom, które stanowią prawdziwą istotę wszelkich religii monoteistycznych, to przepraszam za to Boga i ludzi«.

Lubieżny satyr i lekkomyślny bluźnierca w sukni pokutniczej na łożu bezsilności... Jakaż to przykra tragedya!.. Straszliwie ukarał żydowski Jehowa Heinego za jego »religię uciechy«. Jehowa, bo lżonego chrześcijaństwa nawrócony grzesznik nie przepraszał.

I Danton »przeprosił Boga i ludzi« za to, że ustanowił trybunał rewolucyjny, ale także dopiero wtedy, kiedy był bezsilnym, kiedy go żandarmi Komuny paryskiej zamknęli w klatce *Conciergerie*. Jego przeprosiny Boga i ludzi nie wskrzesiły owych tysięcy nieszczęśliwych, zamordowanych przez niego.

I przeprosiny Heinego nie uzdrowiły owego legionu filozofujących dyletantów, zatrutych jadem jego bluźnierczego dowcipkowania.

Szkodliwszym od zwykłych rezonerów bezwyznaniowych

był Heine, walczył bowiem z religią nie argumentami, niedostępnymi dla wszystkich, lecz bronią Voltaire'a — urągliwym śmiechem, Mefistofelesowym chichotem, płaskiemi drwinami. A śmiech, w połączeniu z błyskotliwym, jaskrawym frazesem, »bierze« zawsze półoświeconych intelligentów. Nikt nie chce przecież być śmiesznym...

Heine wniósł do literatury niemieckiej i wszechświatowej osobny rodzaj humoru, raczej dowcipu, nieznanego dotąd społeczeństwom aryjskim. Niema w tym jego dowcipie ani *Gemütlichkeit* niemieckiej, ani jowialności polskiej. Jego dowcip nie śmieje się, lecz wyśmiewa, nie gryzie sercem, nie krytykuje, lecz drwi, kąsa, pluje, nie przekonywa, lecz wywraca koziołki, błaznuje, przeskakuje z wonnych kwiatów prześlicznych nieraz pieśni *(Buch der Lieder)* na cuchnące śmietnisko cynizmu. *Faule Witze* nazywają Niemcy taki dowcip.

Jest to dowcip specyficznie żydowski. Znają go bardzo dobrze wszyscy, co się ocierają o intelligencyę żydowską. Pełno go np. w Warszawie. Niema wypadku chwili, komicznego czy tragicznego, niema człowieka, któregoby nie przenicował. Bawiący się wszystkiem cynizm jest jego twórcą i treścią.

I jeszcze jeden rys znamienny wchodzi w skład tego dowcipu. Nazywa on się samoironią *(Selbstironie)*. Dowcipkujący Żyd drwi ze wszystkiego, nawet z własnego narodu, nawet z nieba, a drwi z subtelnością mózgu, wyostrzonego na osełce kazuistyki talmudycznej. Nigdy nie wydrwi najzacieklejszy antysemita tak doskonale, tak bez miłosierdzia Żyda, jak Żyd Żyda. Aryjczyk nie zapomina nigdy, że celem satyry jest *castigare mores;* Żyd bawi się dowcipem, *Witz'em*, bez względu na to, kogo, co obryzguje śliną jadowitą.

Specyficznie żydowski humor Heinego był w walce z ideałami kultury chrześcijańskiej straszliwszą bronią od jego luźnej, porwanej, kapryśnej argumentacyi. Nowy, nieznany Aryjczykom, błyskotliwy, pocieszny, podobał się ogromnie wszelakiego rodzaju bezwyznaniowcom i zmysłowcom i podoba się im dotąd. »Zrobił on szkołę«. Wszystkie niemieckie *Witzblatt'y* są jego dziećmi. Człowiek lgnie do cynizmu...

Wszyscy domorośli filozofowie powtarzają dotąd z przyjemnością dowcipy Heinego, ale żaden z nich nie uważa za potrzebne przypomnieć jego rewokacyi *(Geständnisse)* i jego testamentu.

Heine nie umarł jako typ oświeconego Żyda. Zmartwychwstał on obecnie w Warszawie w gronie porewolucyjnej młodzieży żydowskiej, ale ta młodzież nie mówi już po polsku, a nawet po niemiecku, lecz chełpi się żargonem.

## IV.

Czwarty typ Żyda oświeconego — Żyd reformowany — Izrael Jakobson — Abraham Geiger — Prymat judaizmu — Propaganda — Hirsch Grätz — Nienawiść do chrześcijaństwa.

Źle pojęte, niestrawione oświecenie, wytworzyło legion uczniów Heinego. Zatruło ono głównie filozofujących dyletantów, stało się »wiarą« nowej intelligencyi żydowskiej, pnącej się do stanowiska społecznego i towarzyskiego. Wyszedłszy z Niemiec, rozlało się na wszystkie większe miasta Europy. Wszędzie, czy w Niemczech, czy we Francyi, Anglii, Włoszech i t. d. był ten typ oświeconego Żyda do siebie podobny z tą tylko różnicą, że mówił różnymi językami.

Nie wszyscy jednak oświeceni Żydzi stali się bezwyznaniowcami. Nie był nim, jak wiadomo, Mojżesz Mendelssohn, nie byli nimi inni przeciwnicy despotyzmu rabinatu.

Obok Żyda *sans Dieu et maître*, krystalizował się, rósł w świadomości równocześnie czwarty typ Żyda oświeconego, który nie przestał być Żydem w nowej sukni. I ten typ urodził się w Niemczech. Zowie się on Żyden »reformowanym«.

Już rabin Izrael Jakobson, snując dalej dzieło Mendelssohna, »reformował« synagogę. Założył on w Kassel i w Berlinie (1815 r.) osobną świątynię dla Żydów oświeconych. Ale ta pierwsza próba nie stworzyła jeszcze liczniejszej gminy.

Właściwym reformatorem synagogi stał się dopiero Abraham Geiger (ur. w r. 1810 we Frankfurcie). Syn rabina, kształcił się zrazu na talmudzie, rychło jednak przeszedł do szkół chrześci-

jańskich. Ukończywszy studya uniwersyteckie w Heidelbergu i Bonn (uczył się języków wschodnich), został rabinem z zamiarem »zburzenia synagogi talmudystów« i postawienia na jej miejscu świątyni, odpowiadającej treścią i formą pojęciom nowego czasu.

Był nasamprzód rabinem w Wisbadenie (od r. 1832). Prześladowany przez prawowiernych Żydów, przeniósł się (w r. 1839) do Wrocławia, gdzie zajął miejsce drugiego rabina obok talmudysty Tiktina. W r. 1863 powołano go do Frankfurtu, w r. 1870 do Berlina, gdzie dokonał życia (w r. 1874).

Geiger nie myślał wcale o zlaniu się Żydów z narodami, wpośród których żyją, przeciwnie, był on nie tylko przekonanym, do judaizmu przywiązanym żydem, jak Mendelsohn, lecz marzył nawet o prymacie judaizmu, o rzuceniu pod jego stopy chrześcijaństwa. W tym celu postanowił oczyścić synagogę z przestarzałych przesądów i obrzędów, które odtrącały od niej oświeconych Żydów i chrześcijan. Zniósł on t. zw. tefillie (rzemienie modlitewne) i wiarę w amulety, radził przełożyć szabas na niedzielę i nazwał obrzezanie »czynnością barbarzyńską«. Głównie walka z obrzezaniem zwróciła przeciw niemu nienawiść talmudystów.

Rozważny, wiedzący bardzo dobrze, że wszelkie reformy powinny dojrzewać wolno, jeśli mają być trwałe, powstrzymywał on zbyt gwałtowny rozpęd gorętszych wywrotowców. Powstała w r. 1846 w Berlinie gmina reformowana, która odrzuciła wiarę w Mesyasza i cały talmud, zniosła ograniczenie pokarmów i język hebrajski w liturgii i zmniejszyła znaczenie szabasu. Powołany na rabina tej gminy Geiger nie tylko odmówił, lecz potępił zbyt śmiały rozmach berlińczyków, który zapowiadał schizmę żydowską, czego sobie on wcale nie życzył. Naprawy, przebudowy chciał synagogi, a nie jej rozłamu na dwa wrogie sobie obozy.

Jak rabin Kohen wyklął niesłusznie Mendelssohna, tak prześladowali talmudyści niesłusznie Geigera, był on bowiem tak samo żarliwym Żydem, jak oni, z tą tylko różnicą, że oświeceńszy, mądrzejszy, czytał lepiej od nich w księdze ducha czasu.

Ten duch czasu jednak nie przeszkadał mu wcale podkreślać przy każdej sposobności »wyższości judaizmu nad chrystyanizmem«, znieważać uczuć chrześcijan, głosić, że »jedynie godne pojęcie

człowieka jest przywilejem Żyda«, wierzyć, że »judaizm będzie kiedyś ogólnoludzką wiarą« *(Weltreligion)*. Pod jego to wpływem zawiązało się w Berlinie w r. 1845 nowe stowarzyszenie żydowskie *(Genossenschaft für Reform des Judentums)*, które obwieściło wszem i wobec następujące orędzie: »Chcemy wiary, chcemy religii pozytywnej, chcemy judaizmu, stoimy wiernie przy starym zakonie, uznając go za objawienie Boga, który oświecał ducha naszych przodków. Jesteśmy mocno przekonani, że judaizm jest jedyną wiarą prawdziwą i że stanie się kiedyś panem całej ludzkości. Lecz, szanując Pismo św., pragniemy się wyzwolić z pod despotyzmu martwej litery. Nie możemy się już modlić o powrót do Palestyny, ani wierzyć w przyjście Mesyasza«.

Inna to mowa. Nie w ten sposób odzywali się filozofowie z pod »namiotu midyanitów«, nie tak marzyli Gans, Zunz i Moser, nawet Henryk Heine nie ośmielił się narzucać ludzkości judaizmu.

W przeciwnikach talmudu odezwała się nieprzejednana, arogancka, mściwa pycha talmudystów. Powtarzali oni dosłownie megalomańskie mrzonki rabich Eleazara i Oszii, że »Bóg nie za karę zabrał Izraelowi jego ziemię, oddając mu na własność cały świat, lecz dlatego, aby cały świat nawrócił do judaizmu«.

Tak mocno wierzył Geiger w siłę przekonywającą judaizmu, że zabawiał się nawet w jego propagandę. Znakomity kaznodzieja zapraszał chrześcijan do synagogi. I udało mu się w istocie »nawrócić« kilku bezwyznaniowców chrześcijańskiego pochodzenia do Jehowy Izraela.

Oto czwarty typ oświeconego Żyda, wyrosłego z podłoża cywilizacyi chrześcijańskiej. Na to nauczył się języka narodów chrześcijańskich, i kształcił się w szkołach chrześcijańskich, aby nabytą wiedzę i metodę naukową zwrócić przeciw chrześcijaństwu.

Najplastyczniejszym przedstawicielem tego typu był najznakomitszy wpośród Żydów historyk narodu żydowskiego, dr. Hirsz Graetz, Żyd polski (urodzony w Poznańskiem w r. 1807), profesor wrocławski, uczony rozległej wiedzy. Jego dwunastotomowa »Historya Żydów« *(Geschichte der Juden)*, rozpoczęta w r. 1853 a skończona w r. 1875, dzieło gruntowne, źródłowe, aż ocieka jadem nienawiści do wszystkiego, co chrześcijańskie.

Arcywrogiem *(Erzfeind)* nazywa Graetz chrystyanizm. Gdy się jaki Żyd chrzci, to »porzuca (według niego) źródło żywej wody, aby się orzeźwić wodą z pobielanych rowów«... »Chrześcijaństwo wykopało między sobą a rozsądkiem przepaść«... »Nigdy nie był Żyd Shylockiem, ale byli nim chrześcijanie«... »Wstydem i śmiesznością jest obwieszać posiwiałą matkę (czytaj: judaizm) błyskotliwym szychem córki, który ją więcej szpecił, niż zdobił«... »Mojżesz Mendelssohn wpadł pierwszy na pomysł nie zmuszania nikogo w rzeczach sumienia, co nie przyszło na myśl żadnemu chrześcijaninowi« (o Leibnizu i Grotiusie, o Coornhert'cie i Baybem, Miltonie, Lockem, Pufendorfie, Tomasiusie i w. i. Grätz rozmyślnie zapomniał). Z okazyi gromadnego chrzczenia się Żydów między r. 1819 i 1823 pieni się Grätz z gniewu, pocieszając się tylko tem, że tacy, jak Börne i Heine, »przeszli tylko dlatego do obozu wrogów, aby, opiąwszy się w ich zbroję, walczyć z nimi tem skuteczniej«.

Bez ceremonii oświadcza Grätz wkońcu, że Żyd niema wcale potrzeby przyznawać się do narodowości, w pośród której »przypadkowo« mieszka.

Tą samą nienawiścią do chrześcijaństwa, które ich wprowadziło do świątyni swojej sztuki i wiedzy, zdjąwszy z nich klątwę ciemnych ghett, i posadziło obok siebie, przy wolnym stole swobód politycznych, ziali i zieją dotąd wszyscy przedstawiciele tego typu. Żyd amerykański dr. Herzberg, nazwał chrystyanizm »obrzydliwym zabobonem«, Żyd wrocławski, dr. Juliusberger twierdził, że »tylko judaizm wyrwie ludzkość z barbarzyństwa chrześcijańskiego i dźwignie ją do czystego humanitaryzmu«, Żyd berliński Holdheim wykrzykiwał: trzeba zniszczyć, zburzyć wszystko, co stworzyło chrześcijaństwo, aby »Izrael mógł spełnić swoje odwieczne posłannictwo«.

Oświeceni Żydzi, wyzwoleni niewolnicy, mogli sobie pozwolić na taką »odwagę«, nowe czasy bowiem zdjęły tymczasem z ich ukrywanej dawniej starannie nienawiści kaganiec. Już nie groziły ich szczerości tortury i stosy.

Dok. nast.

*Teodor Jeske-Choiński.*

# FILIP CRISPOLTI

## PRZEDSTAWICIEL RUCHU KATOLICKIEGO WE WŁOSZECH[1].

Stosunek nasz do umysłowości włoskiej różne przechodził fazy; bardzo blizki i ożywiony w wieku XV i XVI, za czasów świetnego rozkwitu uniwersytetów włoskich, przez następne wieki prawie zupełnie upada; z początkiem XIX stulecia częste i długie pobyty naszych wielkich poetów znowu zacieśniają rozluźnione węzły. Obecnie umysłowość włoska jest nam więcej obcą, niż inne europejskie, a rozumiem przez to znajomość objawów, jakimi się tegoczesna żywotność narodu tak w dziedzinie literatury i sztuki, jak na polu działalności społecznej zaznacza.

Nie wpłynęły na ożywienie stosunku ułatwienia komunikacyjne, ściągające co rok tysiączne zastępy turystów, ani szperania po bibliotekach i archiwach młodych naszych uczonych, ani rozszerzająca się coraz bardziej wśród nas znajomość nowożytnych języków, umożliwiająca śledzenie rozwoju i przyswajanie sobie utworów literackich z pierwszej ręki. Winę tego zobojętnienia ponosi w części sama umysłowość włoska. Nie da się zaprzeczyć, że przez dłuższy czas była w zastoju, że straciła była swą świeżość i oryginalność, odzwierciedlając przeważnie cudze tylko wzory.

Od jakiegoś czasu napływają wprawdzie do nas najnowsze utwory powieściopisarzy włoskich: Fogazzara, D'Annunzio, Serrao — obecnie Deledy; z poetów znane są niektóre poezye Ady

[1] Filip Crispolti: *Questioni Vitali. Discorsi.* Roma. Federigo Pustet. 1908.

Negri w tłumaczeniu M. Konopnickiej; Carducciego najdrastyczniejszy, a przez niego później najbardziej lekceważony wiersz: »Hymn do szatana« — słowem wszystko to, około czego zagranica urządziła głośną reklamę i czego nam we francuskich przekładach dostarcza.

Jedną z przyczyn przesłaniających nam obraz umysłowego rozwoju Włoch dzisiejszych, to blask bijący wciąż jeszcze od wieków minionych, to czar starych arcydzieł sztuki i pomników historycznych pochłaniający uwagę i czas turystów. Niemniej utrudnia zaznajomienie się z obecnym stanem kultury, przelewający się na powierzchni Włoch olbrzymi ruch kosmopolityczny, narzucający się oczom, panoszący się po hotelach, muzeach, kolejach — znaczne źródło dochodu dla mieszkańców, więc przez tych, którzy z niego ciągną zyski starannie podtrzymywany — atoli ruch, przed którym Włosi cofają się w głąb, bo im jest obcym, często niesympatycznym i uprzykrzonym. Z dzisiejszymi Włochami i to z najlepszą, najjędrniejszą warstwą — z ludźmi pracy wytrwałej a cichej — trudno się podróżującemu zapoznać, zwłaszcza jeżeli językiem nie włada biegle; niczem się Włocha tak nie ujmie i zaufania jego nie pozyska, jak tem, że się z nim w jego własnej mowie o tem, co jego kraju dotyczy, z ożywieniem rozmawia, od razu przestaje widzieć w tobie obcego, jak przed przyjacielem, jak przed blizkim zacznie się przed tobą wywnętrzać. Tymczasem turyści polscy przestają po większej części, z równym pośpiechem przebiegającymi Włochy Anglikami, Amerykanami, Francuzami, najchętniej oczywiście z napotykanymi po drodze ziomkami, zwłaszcza jeżeli do tej samej sfery towarzyskiej należą, i wyjeżdżają z powiększonym zasobem artystycznych wiadomości, z jasnemi wspomnieniami krajobrazu włoskiego i ożywionego ruchu na rzymskiem Corso, ale o głębszem życiu Włoch dzisiejszych nie mają właściwie najmniejszego pojęcia. Trzeba atoli przyznać, że to, co ich na powierzchni tego życia uderza, raczej odpychać i zniechęcić może; właśnie w tych najbardziej przez turystów uczęszczanych centrach panoszy się i bezwstydnie urąga najświętszym uczuciom buta wolnomularska, co niejednego może naprowadzić na myśl, że Włochy wydają obecnie tylko przewrotowe i zatrute objawy życia. A gdy się po-

kochało Rzym starożytny i średniowieczny, to jakżeż nie patrzeć ze wstrętem na te nowe, banalne, szpetne dzielnice z ulicami o klasycznych nazwach, które na istne wyglądają szyderstwo. Wreszcie i o dzisiejszej rzeźbie i malarstwie włoskiem trudno nabrać wysokiego wyobrażenia, jeżeli się w chwili wolnego czasu zabłądzi na jaką wystawę najnowszych artystycznych kreacyi w Rzymie, Florencyi lub Wenecyi. Przyznajmy jednak, czy gdziekolwiek poza granicami Włoch, z wyjątkiem może Paryża i Krakowa, ruch artystyczny — a budowniczy przedewszystkiem — ukazuje jakieś nowe, oryginalne i prawdziwie interesujące typy?! Czyż nie obracamy się ciągle to wśród niefortunnych kompilacyi, to znowu wśród wstrętnych ekscentryczności, albo po prostu, jak w malarstwie i rzeźbie, wśród nieudolnych szkiców, zalecanych gwałtem naiwnej publiczności, jako objawienie nowej artystycznej mowy? Ktoby umysłową kulturę Niemiec chciał był sądzić z nowoczesnych budowli w Norymberdze lub z restauracyi starych katedr albo z ostatniej wystawy sztuki w Darmstadzie, tenby doprawdy nie mógł wnioskować o głębszych tej kultury podstawach i źródłach.

A tymczasem poza tymi powierzchownymi objawami pulsuje we Włoszech życie coraz pełniejsze, intenzywniejsze. W ciągu ostatnich lat dwudziestu Włochy uczyniły zdumiewające postępy na polu gospodarki wewnętrznej. Rolnictwo, tak dawniej zaniedbane, podniosło się na wyżyny dzisiejszej nauki i objęło w posiadanie ogromne, przedtem odłogiem leżące przestrzenie, podnosząc dobrobyt ludu i rozszerzając wśród niego oświatę; nawet prości wieśniacy, zwłaszcza umbryjscy, zaczynają gospodarować postępowo i chętnie wszelkie stosują ulepszenia. Techniczne szkoły włoskie słyną już dość dawno i dzielnie podniecają rozwój przemysłowy Włoch północnych i środkowych. System szkolny, przeobrażający się i doskonalący ciągle, wydaje przy mniejszym nakładzie pracy, niż na północy (wakacye letnie trwają blizko cztery miesiące) coraz lepsze wyniki; mnożą się też szkoły zawodowe dla chłopców i dziewcząt. System kooperatywny, ta główna dźwignia dzisiejszego przemysłu rolniczego we Włoszech, rozciąga swój dodatni wpływ również na inne dziedziny pracy społecznej, a wraz z nim rozwija się duch solidarności i zawodowej samo-

pomocy. A co nas głównie obchodzi, to że w całym tym ruchu i to niezależnie od polityki, biorą coraz żywszy udział katolicy, bądź przez zdobytą przewagę w rządach komunalnych, jak np. w Bergamo, gdzie najrozmaitsze ulepszenia społeczne zostały wyłącznie przez katolików przeprowadzone, bądź tworząc osobne katolickie związki zarówno w celu ekonomicznym, jak kulturalnym. Skupia się też w stowarzyszenia i kółka samokształcenia młodzież katolicka w różnych dyecezyach pod protektoratem rozumnych a czujnych biskupów, jak medyolański, turyński, jak do niedawna były metropolita wenecki, J. Sarto, dzisiejszy papież Pius X. Co roku odbywają się to ogólne, to dyecezyalne kongresy katolickie z współudziałem duchownych i świeckich. Najżywotniejsze sprawy bywają na nich roztrząsane; wyrabia się coraz liczniejszy zastęp pracowników i bojowników katolickich, tych, co na wzór niedawno zmarłego wodza publicystów katolickich, Don Dawida Albertario, powiedziećby mogli o sobie: »W powadze, jaką nam nadaje obrona przeszłości, czerpiemy odwagę postawienia się na straży przyszłości«.

Niema sprawy ważniejszej, któraby nie znalazła dziś oddźwięku w tych środowiskach katolickiego ruchu, nie pobudzała do głębszej refleksyi i do afirmacyi chrześcijańskich przekonań. Wykształca się powoli grono mowców i pisarzy, których zadaniem dać wyraz dokonywującej się wśród katolików włoskich pracy umysłowej i kulturalnej, sformułować jasno ich stanowisko, i w razie potrzeby dać gruntowne odparcie przeciwnikom tradycyi i chrześcijańskiego na świat poglądu.

Jednym z takich najdzielniejszych szermierzy słowem i piórem, to Hipolit Crispolti, którego przemowy zostały świeżo ogłoszone drukiem p. t. *Questioni vitali* — »Zagadnienia żywotne«. Konferencistą jest właściwie Crispolti i to konferencistą w najlepszym stylu francuskim. Natura włoska objawia się w goręt-szem odczuciu spraw, które omawia, w umiłowaniu ziemi i mowy, w drgającej przy każdej sposobności patryotycznej strunie, — ale wszystko to ujęte w karby refleksyi i tego dobrego tonu, który daje nie tylko wykwintna kultura, ale i praca nad swem duchowem wnętrzem. Crispolti, mówiąc z okazyi śmierci słynnego z pory-

wającej wymowy Albertoria o młodszej generacyi mowców, do których i siebie zalicza, powiada: »Staliśmy się wstrzemięźliwsi i wykwintniejsi w mowie, ale ten potok słów, który samą siłą swego impetu znosił przeszkody, a pole zdobyte napełniał jakimś tryumfalnym odgłosem, — ten się już u nas wyczerpał. Miał go Albertorio«. Crispolti, jeżeli swą wymową nie porywa, to natomiast wnika głębiej i na strunach dusz gra o wiele pewniej, choć dyskretniej. Nam szczególnie, dzieciom północy, o wiele lepiej odpowiada ten subtelniejszy rodzaj wymowy, nie na porywczości, ale na głębokości myśli i uczuć polegający, wymowy, która przekonywa ścisłością i objektywnością dowodu, a nie szumem i natarczywością frazesu. Ale Crispolti nie tylko natury północne pociąga; wnosząc po uznaniu, z jakiem imię jego jest wymawiane, po szybkiem rozchwytaniu jego książki i z powodzenia jego konferencyi, można twierdzić, że przedewszystkiem w ojczyźnie swej podbija umysły i serca. Bez niego rzadko obywa się teraz jakaś donioślejsza uroczystość katolickiego stronnictwa; czy to kongres, czy założenie nowego związku, czy obchód pamiątkowy, czy odsłonięcie pomnika lub oddanie hołdu znakomitości katolickiej zstępującej do grobu. Gdy zależy na rozjaśnieniu jakiej kwestyi zasadniczej, a spornej, Crispolti bywa zwykle wzywanym do zabrania głosu. W ten sposób powstały konferencye: »O stosunku Kościoła do państwa we Włoszech« w grudniu 1905 r. w Rzymie, »Przeciw rozwodom« w Genui 1902 r., dwa odczyty »Przeciw pojedynkom«, z których jeden w Rzymie, a jeden po francusku na kongresie ligi antypojedynkowej w Wiedniu. Nie od dziś zresztą znanym jest Crispolti i za granicą z swego jasnego i wymownego ujęcia różnorodnych zagadnień i jako jeden z najdzielniejszych szampionów katolicyzmu. Już w r. 1891 przemawia w Brukseli na zebraniach ligi antyniewolniczej w imieniu Komitetu włoskiego i przy tej sposobności nie tając trudności, na jakieby tego rodzaju akcya natrafiła we Włoszech, rzuca kilka świetnych myśli o tworzeniu się w dzisiejszych czasach opinii publicznej, o szybkiem wskutek działania prasy zacieraniu się wrażeń, uniemożliwiającem utrzymanie się trwałych, wielkich prądów myśli w rodzaju tych, które spowodowały krucyaty. W lat 12 pó-

żniej, bo w r. 1903 przyjmuje od Edwarda Roda w imieniu *De la Société des Conférences*, zaproszenie do Paryża i wygłasza znowu po francusku jeden z najpiękniejszych w tym zbiorze artykułów: »Chrześcijanizm i sztuki piękne«.

Już tych kilka przytoczonych tematów, a tworzą one zaledwie piątą część całości, mogą dać miarę szerokiej, umysłowej kultury Crispoltiego. Ta różnorodność poruszonych przez niego zagadnień nie jest jednak wypływem jakiegoś encyklopedycznego wykształcenia tak często przysłaniającego powierzchowność i chęć popisu. Crispolti zna przedewszystkiem doskonale historyę każdej kwestyi, jaką omawia, stąd gruntowność jego wniosków i przy bardzo przejrzystej formie wrażenie, że swój przedmiot należycie przetrawił i opanował, że w stosunku do niego jest samym sobą. Jest przytem spójnia w tych wszystkich roztrząsaniach, a jest nią gorące przywiązanie do Kościoła i jego wiekowej tradycyi, skąd płynie gotowość służenia mu całym zasobem sił, zdolności i wiedzy, skąd dążność całego życia, ażeby zasługi cywilizacyjne Kościoła w przeszłości, a misya jego w teraźniejszości i przyszłości zostały należycie ocenione i uznane.

Naprożnoby kto szukał cienia »modernizmu« w Crispoltim; zarówno jego artykuł o stosunku Kościoła do państwa, jak poświęcony zmarłemu kardynałowi Ricardi p. t. »Cnoty biskupie« *(Virtù episcopali)* są tego niezbitem świadectwem. Ale to synowskie przeświadczenie o nieomylności kierujących nawą Kościoła następców św. Piotra, nie przeszkadza mu być gorącym patryotą, rozkochanym w wielkiej swego kraju przeszłości, w jego pięknościach, pomnikach, w jego poezyi i ten nastrój patryotyczny tłumaczy po części oddźwięk, jaki znajduje w sercach swych włoskich słuchaczy. Nie przeszkadza mu również odczuwać potrzeby dzisiejszej doby, rozumieć nowe kształty życiowe, nowe kierunki akcyi społecznej, rozumieć przedewszystkiem ludzi dzisiejszych, nawet przeciwników. Liczą się też z nim i przeciwnicy, ceniąc jego wysoką sprawiedliwość i kurtuazyę w walce. Wyrazem tego szacunku było zaproszenie do wygłoszenia mowy na cześć zmarłego, już wspomnianego Don Dawida Albertario przez »Stowarzyszenie dziennikarzy lombardzkich« przeważnie do

liberalnego i antykatolickiego należących obozu. I wywiązał się z tego zadania, wyraźnie swoje katolickie zaznaczywszy stanowisko, wykazawszy, że siła tego, którego miał uczcić, polegała w niezłomności zasad religijnych, a jednak nie tylko w niczem nikogo nie uraził, ale nadto oceniwszy owocność równoległej jeżeli nie wspólnej pracy nad urzeczywistnieniem ideałów ludzkości, złożył dobrej woli swych przeciwników hołd rycerski.

Zagadnieniami żywotnemi nazwał Crispolti zbiór swych konferencyi; są one niemi nie tylko treścią ale i metodą i prądem wiążącej je z sobą myśli. Wszystkie są przejęte ważnością dzisiejszej sytuacyi duchowej i wszystkie też odwołują się do nowożytnej duszy tak zbiorowej jak indywidualnej — do jej potrzeb, pragnień i tęsknot rozlicznych. Cokolwiek przychodzi mu omawiać, choćby to był tylko epizod lokalny mający wkrótce przebrzmieć, zawsze znajdzie sposobność nie tylko do wyprowadzenia jakiegoś wniosku aktualnego, ale co ważniejsze, do wydobycia na jaw prawdy zasadniczej, do skierowania wzroku na szersze horyzonty, do pociągnięcia za sobą na szczyty skąd szczegóły w prawdziwszem przedstawiają się świetle i w właściwym układają się stosunku. Oprócz tego rysu, któryby Eucken nazwał sięganiem poza warstwę czysto ludzkich *(des Blosmenschlichen)* objawów do głębin życia ducha *(in die Tiefen des Geistes Lebens)* jest w nim i drugi, a mianowicie zdolność uchwycenia fizyognomii duchowej jednostki w tem, co w niej najbardziej znamiennem; troskliwe badanie czynników, które ją urobiły; zestawienie wpływów, jakie na nią działały; wreszcie niezwykłe odczucie odcieni i fluktuacyi, z jakich się składa życie każdego rozwijającego się i myślącego człowieka, tem rzadsze, gdy występuje u myśliciela, którego własny żywot duchowy tak prostem i silnie obwarowanem płynie korytem. Rys ten psychologiczny, dobrze nastrojowi dzisiejszych umysłów odpowiadający, bywa podnoszonym w recenzyach, z jakiemi się można spotkać o zagadnieniach żywotnych w czasopismach włoskich; autor nazwanym jest konferencistą-psychologiem *par excellence.* Ta subtelność psychologicznej obserwacyi stworzyła znakomitą charakterystykę Carducciego, wygłoszoną w katolickiem »Kółku uniwersyteckiem«

w Turynie 1907 r. po jego śmierci. Dwa czynniki, pisze Crispolti, urobiły umysł Carducciego: natura i historya. Dzieckiem był Maremmy a później wzgórz toskańskich. *Fecemmi Maremma* (uczyniła mię Maremma), mógł z wszelkiem prawem powiedzieć o sobie. Tam rozwinął się jego dar obserwacyi krajobrazu, tam rozkochał się w przestawaniu z przyrodą sam na sam, w swobodnych ruchach i ćwiczeniach fizycznych. Przyroda miała dar poruszania w nim najtkliwszych strun serca; gdy mu przyszło opłakiwać najboleśniejsze straty: śmierć matki, jedynego brata, synka jedynaka — jej się skarżył i w niej szukał ukojenia; a gdy z serca wyrywała się pieśń miłości, to ani ludzie, ani religia nie byli do niej podnietą, lecz kontemplacya natury, podpatrzony »złoty uśmiech słońca do szczytów alpejskich«. Ten rys na pół dziki, na pół dziecięcy wewnętrznego usposobienia, jaki w nim wyrzeźbiła młodość, odzwierciedlał się przez całe życie nawet w jego zewnętrznej powierzchowności. Takim go znali mieszkańcy Bolonii, gdzie ostatnie swoje spędził lata. Z tej swobody życia, z tych przechadzek i ćwiczeń wśród pól i wzgórz wypłynęła jego namiętna potrzeba duchowej wolności, jego nieznoszenie kontradykcyi zarówno, jak wszystkiego co miękkie i wątłe. Do wpływu przyrody przyłączyły się książki zawsze do własnego usposobienia umyślnie dobierane; ojciec podsuwał młodzieniaszkowi Manzoniego, ale on rozczytywał się najchętniej w Iliadzie, w Eneidzie, w historyi rzymskiej Rollin'a, w Rewolucyi francuskiej Thiersa.

»Porwany, pisze sam o sobie, epicznym zachwytem a republikańsko-rewolucyjnym szałem, czułem potrzebę wprowadzenia w czyn moich idealnych marzeń. Tworzyłem z bratem oddziały ochotnicze i urządzałem republiki o coraz to nowej organizacyi: z arkontami, z konsulami, to znowu z trybunami byleby tylko rewolucya była stałą normą ich bytu, a ścieranie się stronnictw i wojna wewnętrzna rzeczą codzienną. Chciałem w ten sposób reprodukować dzieje wewnętrzne Rzymu i rewolucyi francuskiej«.

Przyroda, poezya, historya w ten sposób pojęta stały się więc u niego podnietą stanów duszy prostych, żywiołowych jak wolność — chwała — męstwo. Miłość ojczyzny była w nim raczej czemś już drugorzędnem — pochodnem. Była właściwie terenem,

na którym te prymitywne żądze wolności — chwały — męstwa miały najlepszą sposobność ujawniania się i ćwiczenia.

Jakież będzie, pyta Crispolti, usposobienie tego młodzieńca, którego urobiła zażyłość z przyrodą, a ukołysały zachwyty poetyczne i historyczne sny wszelkich swobód, przy pierwszem zetknięciu się z ludźmi? »Zrywam się każdego poranka z nieprzezwyciężoną chęcią walenia pięścią na prawo i lewo«, pisze sam o sobie po pierwszych starciach z rzeczywistością i on, któryby może, dodaje Crispolti w innych czasach i otoczeniu ludzi silnych, był człowiekiem pokojowych aspiracyi, do społeczeństwa ówczesnego wpadł, jak byk rozjuszony do składu rupieci. Społeczeństwo to było w istocie dziwnie skarłowaciałem i bojaźliwem; w Toskanii i we Włoszech wogóle skostniałość, strojąca się w szaty błyskotliwego liberalizmu, jak sam to określa; — w polityce machiawelizm pomieszany ze służalstwem — w literaturze wycieńczony leopardyzm podający rękę rozwodnionemu manzonizmowi; — zastał nawet mowę zwyrodniałą — słodkawą; w sztukach: brzydotę i banalność bezmyślną. A w religii? Zdaje mu się, że słyszy ukrytych ateuszów śpiewających hymny chrześcijańskie i »nakładających szkaplerze Venerze«. Kto spotykał się do niedawna we Włoszech, zwłaszcza w południowych z niesmacznymi objawami bigoteryi, lubującej się w błyskotliwych efektach, przy zupełnym nieraz braku moralnego poczucia, ten może zrozumieć wrażenia Carducciego!

Wrodzona skłonność do oporu i krańcowego reagowania spowodowała go wobec stanu rzeczy, jaki mu się przedstawiał, do przeprowadzenia silnych linii demarkacyjnych na każdem polu. Z poety, oddanego kontemplacyi przyrodniczej i historycznej, stał się wśród ludzi »poetą inwektywy«... Przedmiotem napaści był przedewszystkiem romantyzm literacki, niebawem jednak i polityka rządowa, ta, której następstwem była Custozza-Lissa, Mentona, a niemniej i późniejsza XX wieku, w której za mało dopatrywał się energii. Padli ofiarą tego ducha napaści księża i papież.

Tego rodzaju natury, wtrąca Crispolti, zwłaszcza, gdy są obdarzone wyjątkową zdolnością wypowiedzenia się, nie tylko

same poruszają się w kontrastach, ale i wśród drugich wywołują starcia i sprzeczności. Poprowadził też Carducci do walki zastępy fanatycznych zwolenników i nieprzejednanych przeciwników, był tym, który się najbardziej przyczynił do wydobycia na jaw we Włoszech żywiołowych i jaskrawych antagonizmów.

Subjektywizm i skrajność dążą zawsze do sądów ryczałtowych; stąd poszło np., że każdą książkę, która mu się niepodobała, zaliczał od razu do znienawidzonego romantyzmu. Wrogie stanowisko wobec chrześcijaństwa da się także z tego szybkiego, bezwzględnego uogólniania wrażeń wyprowadzić. Nie przychodziło mu na myśl, że Kościół był nieraz ofiarą zboczeń i błędów swoich wyznawców, ale nigdy nauka jego nie była ich przyczyną.

Doprowadził do tego, że wszystko, co mu się zdawało złem, płaskiem, kładł na karb chrześcijaństwa, wszystko, co miał za szlachetne, a więc miłość wolności, energii, chwały, życia, przypisywał reakcyi przeciw chrześcijaństwu, wkońcu pogaństwu. Wyrazem kulminacyjnym tej psychologicznej bezwzględności, to hymn do szatana, o którym w późniejszych latach sam się wyrażał; »nie wymknęła mi się nigdy nędzniejsza ramota«. Myliłby się jednak ktoby stosowanie tak surowego sądu do własnego utworu uważał za objaw zwrotu w przekonaniach poety. Z czasem przyjdzie zmiana, ale nie rozciągnie się do treści jego negacyi religijnych, dotyczyć będzie raczej formy i metody. Ludzie porywczy — gwałtownicy — obserwuje Crispolti, zmieniają się szybko. W podnietach do opozycyi, jakich im świat dostarcza rzadko jest na tyle jednostajności, ażeby, powodując się duchem przeciwieństwa, mogli się również utrzymać w jednostajności i konsekwencyi wobec siebie samych. Przyznać jednak trzeba, mówi Crispolti, że z pomiędzy impetyków Carducci był tym, co się mało i powoli zmieniał, a jeżeli następowały zmiany to istotnie z wyższych i usprawiedliwionych płynęły pobudek.

U Carducciego pierwszej epoki, nienawiść do monarchii, do dyplomacyi, do umiarkowanej polityki, a dalej do całego kompleksu dogmatów, tradycyi, przepisów, które wchodziły w skład naszych wierzeń, miała główną przyczynę w jego radykalnych, prostych żądzach, podtrzymywanych równie radykalną jednostron-

nością upodobań literackich. Głowa jego, jakkolwiek karmiona poważnemi studyami, jest podówczas całkiem na służbie niepohamowanego serca; więc zamiast miarkować jego porywy i łagodzić jego objawy, ona je potęguje i sankcyonuje nimbem uczoności. »Trybun rozkazuje, a erudyt słucha i dopomaga«. Ale, jak słusznie podnosi Crispolti, nie jest się bezkarnie uczonym i to w epoce wielkich odkryć i rozwiniętego krytycyzmu historycznego: a erudytem był istotnie Carducci. Ta sama historya, którą jako młodzieniec do swoich naginał celów, stała się w miarę rozszerzania horyzontu i sumiennego pogłębienia badań z poddanej Panią jego i mistrzynią. I Carducci coraz się bardziej do jej wymagań stosował, jej doświadczeniami kierował. To powód główny zmiany, jaka w nim zaszła. Snując dalej nić tej obserwacyi pisze Crispolti: Historya jest największą przeciwniczką wszelkiej radykalnej prostoty. Ona wykazuje w rozwoju ludzkiej kultury to, co nauka wykazała w ewolucyi życia przyrody, że wszystko tu dziwnie skomplikowane, że wszelkie proste orzeczenia i dążenia są po większej części mylnemi, że prawidłowość oderwana, prosta, geometryczna jest najmniej odpowiednią miarą dla wężykowatości ludzkiego postępu, wreszcie, że niejeden pogląd idealny nie ma częstokroć innej wartości nad tę, że jest niewykonalnym w rzeczywistości. Przekonał się więc z czasem Carducci, że krzykliwe oburzenia i radykalne programy nie usprawiedliwiają sumarycznie wydawanych wyroków na pewne epoki, pewne kierunki i wierzenia i że wszelkie możliwości, konieczności i przypuszczenia ludzkie powinny być przyjmowane ostrożnie i z niedowierzaniem, i że tylko w teoryi łatwo rozdawać patenty na tyranów lub dobroczyńców ludu. Tego wszystkiego nauczyła go wreszcie historya i dlatego zmienił się u Carducciego stosunek głowy do serca. »Na sercu radykalnem utrwalała się stopniowo konserwatywna głowa«. I w tej sprzeczności, która się nowym zaznaczyła sojuszem, tkwi, jak podnosi Crispolti, główna wielkość Carducciego, odrębne jego w literaturze włoskiej znaczenie. »Z trybuna bowiem zachował w swej poezyi impet i szczerość, z historyka zaczerpnął szerokość i wyniosłość poglądu«.

Pierwszym tej zmiany wynikiem było to, że stał się z re-

publikanina monarchistą. Duch historyczny uwidocznił się następnie w zmianie sądu, jeżeli nie na istotę religii, to na jej dziejową i kulturalną rolę. Poczucie prawdy skłoniło go do rozpatrzenia wszystkich swych dawnych sumarycznych wyroków; wyraził się ten krytyczny przegląd zarówno w poezyi, jak w prozie, a wyraził z tą samą szczerością, z jaką ongi objawiały się jego uprzedzenia. Więc ten sam myśliciel-poeta, który na rachunek katolicyzmu zapisywał wszystko, co ujemne, przyznaje, że tylko chrześcijanizm mógł wydać geniusz Dantego, a cnotę Savonaroli, że czasy chrześcijańskie przeciwstawiają barbarzyństwu trwałość i ciągłość ideału, więc skłoni się przed Grzegorzem Wielkim i uzna, że w pewnych epokach chrześcijanizm był jedyną podnietą do bohaterstwa i walki za wolność. Do okresu tej pracy rewizyjnej należy Canzone di Legnano, z której wyszła tylko część pierwsza: »Parlament«.

Jednakże, choć głowa robiła prawdzie ustępstwa, serce prawdy nie umiało już ukochać; późniejsze zadośćuczynienia nie dorównały dawniej wyrządzonym krzywdom. »Tak dalece jest pewnikiem, konkluduje Crispolti, że drogą złości wychodzi się snadnie z Kościoła Bożego, ale się wraca doń późno drogą historyi!« Powód tego tkwi jeszcze w czem innem, a mianowicie w tem, że u Carducciego nie było ani pragnienia, ani obawy nieskończoności; nie mógłby był za Mussetem powtórzyć:

> L'infini me tourmente, je ne puis y penser sans
> Crainte et sans espoir.

Brak tego zmysłu nieskończoności sprawia, że Carducci jakkolwiek największy poeta Włoch w obecnej dobie, nie jest dzisiejszych kierunków duchowych przedstawicielem, niepokojów, szamotań i komplikacyi tegoczesnych umysłów nie odczuwa i nie podziela.

Poganinem, za jakiego przedstawić go chciano, nie nazwie go jednak Crispolti: »Czyż poganinem jest ten, pyta, który przeważną część etyki pogańskiej odrzuca, który, kochając ojczyznę, nie chce w niej widzieć ciemiężycielki narodów słabszych, który wynosząc siłę i energię czynu, na przemoc brutalną zawsze gromy

miota, który, opiewając piękność, nie napisał ani jednego słowa, któreby trąciło lubieżnością i schlebiało cielesnej rozkoszy?«

Hołdem od chrześcijanina przeciwnikowi, zatytułował Crispolti to studyum o zmarłym poecie; jest niem w istocie, pomimo surowej miary, jaką do niego przykłada. Hołdem jest, ale zarazem i świadectwem sprawiedliwości i subtelnej obserwacyi tego, który odtworzył w ten sposób jego fizyognomię duchową.

W streszczeniu wystąpiły tylko główne myśli tej oceny; czytelnik nie mógł jednak odczuć piękności formy, ani ożywienia za pomocą licznych doborowych cytat, do przełożenia których potrzeba być także poetą. Odczyt o Carduccim jest najobszerniejszym, najbardziej wykończonym, ale nie jedynym psychologicznym szkicem. Charakterystyki Silvia Pellico, kard. Ricardi, Krzysztofa Kolumba wykazują na mniejszą skalę tę samą zdolność chwytania psychologicznych rysów, to samo oryentowanie się w krzyżujących się w rozwoju osobistości ludzkich czynników i wpływów, wykazują nadewszystko wysokość etycznego ideału, jaki mu w tem oryentowaniu się przyświeca.

Przypatrzmy się teraz poglądowi Crispoltiego na zbiorowe objawy ludzkiego życia, jakiemi są kierunki artystyczne lub społeczne. Zaznaczył się ten pogląd w paru konferencyach, z któremi, jako znowu najbardziej znamiennemi, chcielibyśmy jeszcze czytelnika zapoznać.

(Dok. nast.)

*Marya Straszewska.*

# W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA.

## DYSKUSYA.

(Ciąg dalszy).

Jakkolwiek notatka Galla o roku 1079 jest bardzo zwięzła, nie brak w niej wyjaśnienia, za co św. Stanisław karcił Bolesława Smiałego. Król mianowicie, który był przecież chrześcijaninem, postępowaniem swojem wobec poddanych chrześcijan pogwałcił zasadę sprawiedliwości chrześcijańskiej. Taką myśl zawierają słowa kroniki według rękopisu warszawskiego (non debuit christianus in christianos... vindicare). Prof. T. Wojciechowski przyjmuje lekcyę rękopisu Sędziwoja (in christianum), sądzi, że »christianus« oznacza tutaj pomazańca, i tłumaczy odpowiednio: »nie godziło się pomazańcowi karać pomazańca cieleśnie za jakibądź grzech«, to jest za grzech choćby największy [1]. Najwyraźniej więc czyn biskupa byłby napiętnowany jako grzeszny, występny! Na czem opiera się powyższe tłumaczenie wyrazu christianus? »U Du Cange'a (pisze prof. T. W. j. w. str. 253) nie znajduję takiego wykładu, ale jest inny, bardzo blizki: christiani interdum, qui *clericatum* aut *ordines ecclesiasticos* susceperunt, nude dicuntur. Otóż wiadomo, że pomazanie przy koronacyi było także ordo, i dawało królowi godność osoby duchownej«. Atoli terminologia i praktyka Kościoła nie dopu-

[1] Gall III, 25: *quodlibet* facinus perpetrare, quo mortis periculum evitaret; I, 9: nec diem a rege constitutum qualibet occasione praeteribat.

szcza takiego wnioskowania, nie uznaje bynajmniej »króla pomazańca« za osobę duchowną we właściwem tego słowa znaczeniu. Wystarczy przytoczyć świadectwo Piotra Lombarda (Patr. lat. 1902, 1901), zawarte w ustępie »De ordinibus ecclesiasticis«, wyliczającym te osoby, które mogły spełniać »ministerium spirituale«: § 1. Septem sunt spiritualium officiorum gradus sive ordines; § 2. In sacramento ergo septiformis Spiritus septem sunt gradus (= ordines) ecclesiastici, scilicet: ostiarii, lectores, exorcistae, acolyti, diaconi, subdiaconi, sacerdotes; omnes tamen clerici vocantur, id est sortiti«. To też G. E. Saenger (j. w. str. 126) dla usunięcia trudności semazyologicznej zmienia »christianus« na »christus[1] (= unctus) Domini« (non debuit christus Domini in christo Domini sq.), nie przywiązując większej wagi do innej konjektury, jaka mu najpierw przyszła na myśl (chrismarius in chrismario[2]). Zważywszy jednak, że dla tak zwanych »nomina sacra« ustaliły się w rękopisach pewne, powszechnie znane, niemal stereotypowe skrócenia,[3] i przez to odczytywanie ich było bardzo łatwe, wydaje mi się nieprawdopodobnem, aby pierwotne christus dnī (= Domini) przeobraziło się w oczach kopistów na christianus. Nie zapominajmy też o tem, że takie właśnie połączenia liczby pojedynczej dwu tych samych rzeczowników, jak »christianus in christianum (christus Domini in chr. D.)« można uważać za wyraz stosunku wzajemności i niezgodnie z wyraźną intencyą Galla tłumaczyć: chrześcijanin chrześcijaninowi nie powinien był wymierzać n a w z a j e m takiej a takiej kary! Por. MPH. II, 89, 17. Apud christianos (mówią poganie) fures sunt et omnia genera scelerum et poenarum *christianus* exercet *in christianum*. Najwięcej jednak uderza mię w interpretacyi prof. T. Wojciechowskiego tłumaczenie zdania »illud enim multum sibi (= ei) nocuit« (= To b o w i e m zaszkodziło mu wielce), czyli pojmowanie *enim* jako spójnika u z a s a d n i a j ą c e g o. Przez to wypacza się myśl, jaką chciał wyrazić kronikarz. Gall stawia zasadę, że król chrześcijański nie

[1] Por. Długosz, str. 371 wyd. krak.

[2] Co do konstrukcyi: »peccatum in christianos vindicare« por. Iustinus; 37, 3, 8, Mithridates facinus in auctores vindicavit.

[3] Por. L. Traube, Nomina sacra (Monachium 1907), str. 170, passim.

powinien był wogóle (non debuit) popełniać pewnych czynów, bez względu na skutki, jakie one za sobą pociągną: niewątpliwie więc w tym wypadku byłby Bolesław źle postąpił, chociażby krok jego nie przyniósł mu żadnej materyalnej szkody. Z tego powodu sądzimy, że wskazanem jest inne objaśnienie: *enim* ma tu znaczenie partykuły autem, δέ, dodaje więc do poprzedniego zdania nowy moment, wskazuje, że prócz wspomnianego już przewinienia (non debuit... vindicare) obciąża króla nowy występek. Takie użycie enim właściwe jest później łacinie począwszy od II. wieku po Chr.[1], a u Galla pojawia się częściej np. I. 29: Illum enim puerum rex Ungarorum W. m. p. nutriebat (dla odmiany po »habuit autem«, jak I. 27: po »qualiter autem«); II. 17 Erat enim castrum novum ita altum (por. Kadłubek str. 317, 13 Est autem oppidum Cozli); II. 47: Erat enim iste Gnevomir; por. I, 2 Erant enim hospitii domestici sq.

Wymienione co dopiero względy skłaniają nas do oddania pierwszeństwa lekcyi *christianus in christianos*. Pod wpływem następnego wyrazu »peccatum« mógł przepisujący przez pomyłkę zamiast liczby mnogiej położyć pojedynczą, albo też — i to uważam za racyonalniejsze objaśnienie — z powodu wzmianki o śmierci biskupa, a więc jednego chrześcijanina[2], przemieniono christianos na christianum, nie zastanawiając się dokładniej nad związkiem całego zdania.

---

[1] Pierwsze przykłady występują w łacińskich tłumaczeniach Pisma św., uskutecznionych w drugiej połowie II wieku (Archiv f. lat. Lexik. VIII, 265 i 506). Z innych autorów por. np. Victor Vitensis, Hist. persec. Afric. prov. I, 40 Proculus... frustatim sibi comedens linguam in brevi turpissima consumptus est morte. Tunc enim sanctus Ualerianus... foris... iussus est pelli. Podobnej zmianie funkcyi uległo »nam«. Por. K. Sittl: Die lokalen Verschiedenheiten d. latein. Sprache (Erlangen 1882), str. 139. Pan A. W. (Słown. apolog. III, 566) przekłada trafnie: »tem zaś wielce sobie zaszkodził«.

[2] Takim samym argumentem posługuje się prof. T. W., by bronić lekcyi »in christianum«. Przekład swój: »więc do grzechu dodał grzech« rozumiał autor »Szkiców« z pewnością w ten sposób, że król do grzechu biskupa dodał własny grzech, to znaczy na grzech biskupa użył jako środka także grzechu; nie ma więc powodu mówić o nielogiczności tekstu, jak to czyni Dr. A. Prochaska (*Przegl. Powsz.* 1909, str. 197). Jak w zakresie medycyny mówiło się »medicamina vulneri, fomenta corpori adhibere«, tak w zastoso-

Występek króla wobec jego własnych poddanych chrześcijan określono tu bardzo ogólnikowo wyrazami *corporaliter vindicare*. Co znaczą te słowa? Z przykładów, zebranych w najobszerniejszym słowniku łacińskim (Thesaurus l. latinae s. v. corporalis, corporaliter), należy wnosić, że przez corporaliter vindicare nie rozumiano żadnych tortur (cruciatus). Kara, jaką zakonnikom przepisywał św. Benedykt (Reg. 23 vindictae corporali subdatur, tamże 71 corporali vindictae subiaceat), to tylko chłosta (= verbera 2 i 30; plagae virgarum 28), której nie szczędzono i siostrom zakonnym (Hildebert str. 904: Melius est enim vobis *flagellari* in praesenti manu abbatissae praesidentis, quam damnari in futuro voce Dei iudicantis). W liście Grzegorza W. (epist. 3, 37 (38 u Migne'a)) obostrzenie kary uwydatniono osobno przysłówkiem »destrictissime« (= severissime, gravissime): d. ac corporaliter in eundem sceleratum festinet vindicare Iudaeum (seductorem). Synonimem wyrażenia corporaliter vindicare jest zwrot »corporaliter castigare« (Grzegorz W., epist. 3, 40 (41): corporaliter castigatum in monasterium eum privatum communione, ubi poenitentiam peragat, tradere festinabis). A zatem w zastosowaniu do biskupa, który przecież został zamordowany, byłoby takie określenie kary niedokładnem, spodziewalibyśmy się wyrażenia: non debuit corporaliter, nedum ense (morte) vindicare; w odniesieniu zaś do poddanych chrześcijan byłoby niewłaściwem, bo Gallus nie mógł potępiać lekkich kar cielesnych w świecie chrześcijańskim. Bardzo podobnem do zakwestyonowanych słów Galla jest zdanie Piotra Lombarda (191, 1637): »Omnes enim inimici Ecclesiae... prosunt, quia si accipiunt potestatem *corporaliter affligendi*, exercent eius patientiam«. Kiedy mowa o nieprzyjaciołach Kościoła, wystawia-

---

waniu do chorób duszy pisze Cicero: remedia morbis animorum adhibere — a np. św. Hieronim (epist. 125, 14): vitium vitio peccatumque peccato medicantur (por. także G. E. Saenger, j. w. str. 127). To byłaby przenośnia. W zwykłem, naturalnem użyciu znaczy »peccato peccatum adhibere« to samo, co »p. p. addere«, jak to niżej objaśnimy. Chciałbym też podkreślić, że oba wspomniane znaczenia słowa »adhibere« dają dobrą myśl w odniesieniu do lekcyi christianos: a) dodał do dawnego własnego grzechu nowy grzech; b) zamiast pokutą, leczył własny grzech grzechem, wypędzał szatana belzebubem.

jących wiernych na próbę, zwrot corporaliter affligere oznacza wprawdzie jakieś katusze i pastwienie się nad ludźmi, ale pojęcie takie oddane jest słowem affligere graviter, supplicio vindicare. Nie chcąc tedy przypisywać zwrotowi Galla znaczenia niezwykłego i wyjątkowego, zamiast »corporaliter vindicare«, czytam: corporali *vi* vindicare, przez co uwydatni się rodzaj gwałtownej, nienaturalnej kary, wymierzanej przez Bolesława poddanym chrześcijanom (por. Kadłubek str. 296, 7—8). Por. Sallustius, Iug. 31, 18 *vindicandum* in eos... non manu (= non ense) neque *vi*... verum quaestionibus). Ulpian, dig. 43, 16, 1, 29 vim sine *corporali vi* locum non habere.

Drugą winą króla był brak upamiętania, dodanie do owej immanitas nowego, okropnego grzechu, targnięcia się na życie św. Stanisława: *peccato peccatum adhibuit*. Że adhibere w znaczeniu addere nie jest niczem niezwykłem, nie potrzebuję udowadniać. Na wzór Cycerona sam Gall łączy adhibere z biernikiem pojęcia oderwanego, I. 4: Deus omnipotens visum prius Meschoni corporalem restituit et postea spiritalem adhibuit (= addidit; G. E. Saenger j. w. str. 127 niepotrzebnie zmienia adhibuit na adtribuit). Por. Marbodi Vita S. Roberti (Patrol. 171, 1514): cum suis adderet (inna lekcya: adhiberet) quisque virtutibus, quidquid in altero vidisset imitabile. Za przykładem Pisma św. lubują się Ojcowie Kościoła w podobnej parataksie rzeczownika peccatum: Ambrosius, epist. 51, 12 Noli peccato tuo aliud peccatum addere; Hieron. II, Os. 8, 11 peccatis peccata coniungere; Salvian., gub. Dei VI, 9, 46 malis mala addimus et peccatis peccata cumulamus; podobnie »peccata peccatis congeminare, adicere, superponere« i t. d. Por. G. Landgraf w Archiv f. lat. Lex. V, 181. Wreszcie bardzo znamienna jest analogia wyrażenia Grzegorza VII w liście okólnym do biskupów, pisanym w r. 1076: vulnerique pro medicina vulnus adhibere (u X. F. Namysłowskiego, j. w. str. 117).

Autor Szkiców (str. 308—9) twierdzi z całą stanowczością, że zwrotu Galla »pontificem *truncationi* membrorum *adhibuit*« nie można rozumieć inaczej »jak tylko, że był wyrok, t. j. skazanie i egzekucya«, że »orzeczenie adhibuit wyklucza absolutnie własnoręczny udział Bolesława«. Dlaczego? Przedewszystkiem wy-

rażenie »adhibere aliquem truncationi« jest zupełnie odosobnionem, wyjątkowem. Jeżeli jednak ma oznaczać wydanie na śmierć, to wolno zwrócić uwagę, że bardzo często pisarze łacińscy używają takich zwrotów, jak »ad mortem dare, morti dare aliquem, dedere morti, mittere (admovere) leto, tradere in letum« i. t. p. w znaczeniu zwykłego interficere, occidere bez żadnej ubocznej myśli o zasądzeniu lub wysłaniu na miejsce stracenia [1]. Horatius, Sat. II, 3, 197 Mille *ovium* insanus (Aiax) *morti dedit*, inclitum *Ulixen* | Et *Menelaum* una mecum se *occidere* clamans. Znana stara formułka pogrzebowa: »Ollus Quiris *leto datus*« mówi to samo, co »Ille Quiris mortuus est«. Tak samo miejsce prostego sepelire zajmuje opisanie »tradere sepulturae«: np. Iustinus, XII, 2, 15; III, 5, 11. Thietmar, MPH. I, 300, 27 ab Everhardo antistite traditur sepulturae; Ioann. Sarisb. epist. 304, str. 358 M. Zresztą zauważono już dawniej (Słow. apol. III, 566), że razi w tekście Galla dwukrotne użycie orzeczenia adhibuit. Toż G. E. Saenger (str. 127) mniema, że Gall napisał: t. m. *adtribuit*. Przez to nie usuwa się trudności, bo adtribuere w tem połączeniu również jest niezwykłe. Poprawnie powiedzielibyśmy »truncationem militibus adtribuit« lub »pontificem militibus truncandum adtribuit«. Por. Cicero, Catil. 4, 13 attribuit nos trucidandos Cethego; tenże Sest. 66 cuius negotii publici cogitari... curatio potuit, quae non esset attributa. Mojem zdaniem pozostają dwa sposoby objaśnienia wcale naturalne. Gall mógł napisać: pontificem *truncatione* membrorum adhibuit [2], naśladując Cycerona: Verr. 6, 70 imperat... ut is (vir) victu ceterisque rebus quam liberalissime commodissimeque adhiberetur. To samo pojęcie uwydatniłoby samo *habuit* (truncatione h.) tem bardziej, że Sallustius, którego pisma Gall pilnie czytał, używa podobnie słowa habere: Iug. 64, 5 milites... laxiore imperio quam antea habere; 92, 2 milites modesto impe-

---

[1] Stan rzeczy zmienia się oczywiście przez dodanie dativu lub innego określenia: Caesar, b. civ. 1, 76, 1 neu Pompeium *adversariis* ad supplicium tradant. Gall 1, 13 morti deditos de manibus lictorum eripuit. Por. Ph. Thielmann: Das Verbum dare im Lateinischen, Lipsk 1882, str. 120—124.

[2] Dosłownie: przyjął, potraktował go. W takim razie zamiast »peccato peccatum adhibuit« czytalibyśmy np. p. p. applicuit.

rio habiti. Aby jednak datiwu truncationi nie naruszać, czytam: *truncationi habuit*[1], to znaczy »truncavit« na wzór zwrotów Gelliusa, w których również zamiast samego słowa występuje habere w połączeniu z datiwem rzeczownika słownego: N. A. 4, 12, 1 sive quis arborem suam vineamque *habuerat derelictui* (= dereliquerat, zaniedbał); tamże 20, 1, 40 clientem *divisui habuisse* (= divisisse).

Nieraz już stawiano sobie pytanie, jakie stanowisko zajął Gallus wobec sprawy św. Stanisława, jak mianowicie pojmować zdanie jego: Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus. Uważam tę kwestyę za zbyt ważną, aby ją pominąć; należyte wyjaśnienie rzuci światło także na wartość Galla jako człowieka. Za punkt wyjścia niech nam posłuży sąd jego o oślepieniu Zbigniewa przez Bolesława Krzywoustego: III, 25 Quid ergo? *Accusamus* Zbignevum et *excusamus* Bolezlavum? *Nequaquam.* Opinia wyrażona negatywnie brzmiałaby: Neque excusamus Zbignevum, neque per omnia commendamus Bolezlavum. Zastrzeżenie, że nie całkiem pochwala Bolesława, wyjaśnia się dalszem oświadczeniem autora: Sed qui Bolezlavum in hoc, quod tale quid egerit, accusamus, in hoc tamen, quod digne poenituerit et satis humiliaverit, collaudamus. Jego zatem osobiste zapatrywanie jest takie: »Oskarżam Zbigniewa i Bolesława, ale Bolesława tylko do pewnego stopnia«. Gdyby więc opinia o św. Stanisławie i Bolesławie Śmiałym była wyrażona tylko temi słowami, któreśmy powyżej wypisali, nie byłoby trudno dostrzec, iż Gall obie strony gani, chociaż nie obie jednakowo. Ale cała rzecz zmienia się przez dodanie ważnego zdania: sed hoc in medio deseramus (= relinquamus). Takiego wyrażenia używa się zwykle wtedy, jeżeli pisarz nie rozstrzyga, po-

[1] Dwa człony kończą się wyrazem złożonym i niezłożonym (peccatum *adhibuit:* truncationi *habuit*) tak samo, jak u tegoż Galla I, 28: gaudet et *amico:* dolet *inimico;* II, 42: *communita: munita.* Co do kadencyi rytmicznej zgadza się *hábuit* nie z orzeczeniem środkowego członu (adhibuit), lecz ze słowem zdania głównego *nócuit.* Podobny stosunek rytmiczny przedstawia zdanie Galla: I, epistola: »securus nauta poterit... *navigáre,* qui nauclerum habet peritum, qui scit... *gubernáre*«.

zostawia pewną kwestyę otwartą. Np. Sallustius, Catil. 19, 4: *sunt qui* ita dicant, imperia eius iniusta... *alii autem*, equites illos... voluntate eius Pisonem aggressos sq. *Nos eam rem in medio relinquemus.* Widzimy, że Sallustius nie przechyla się na żadną stronę, ale też oba zapatrywania przytacza w formie twierdzącej; natomiast Gall dwie opinie podał najpierw w formie przeczącej, a potem dorzucił jeszcze »in medio deseramus«. Jest to wskazówka, że Gall pozbawił całą formułkę »in medio deserere« jej właściwego znaczenia, czyli (co na jedno wychodzi) nie miał zamiaru wyrażać wątpliwości, które z dwu przezeń przytoczonych zapatrywań jest słuszniejsze. Zwrot »in medio deserere« znaczy tu tyle, co »relinquere, omittere« (por. II, 39 Sed, quid eundo... egerit, omittamus; II, 43 Nunc autem Pruzos cum brutis animalibus relinquamus); było zaś to pełniejsze wyrażenie bardziej na rękę autorowi, bo mieściło w sobie wyraz akcentowany na trzeciej zgłosce od końca (médio), potrzebny dla rytmicznej eufonii (in médio dese-ramus; fúerit disse-ramus). Zresztą tam, gdzie autor chce zaznaczyć wahanie się pewnej osoby i niepewność, używa słów »in dubio pendere« (II, 34: Bolezlavus in dubio magno pependit, utrum... an; II, 2: in dubio enim pependit, utrum christianorum lues an paganorum ibi exstiterit). Otóż Gall — jak sądzę — mówi tylko tyle: »Są dwie opinie o biskupie i królu, jedni uniewinniają biskupa, drudzy bronią króla. Lecz my (neque enim = nos autem neque) nie zajmujemy się tutaj ani uniewinnianiem, ani obroną, to nie jest naszem zadaniem, nie wchodzi w zakres naszego tematu. Pomińmy tę kwestyę i mówmy o innej materyi«. W tym samym duchu wyraża się Gall gdzieindziej: II, 23 Nos autem de peccato tractare vel iustitia materiam non habemus, sed res gestas... recitamus; II, 33 Sed de miraculis sileamus nostramque materiam teneamus; III, epilog: Non est tempus quanta fecit enarrandi singula... Nos ad laudes, non ad fraudes damus hic munuscula. Nie można stąd wnosić, jakoby Gall rzeczywiście powstrzymywał się z wypowiedzeniem własnego zdania w sprawie św. Stanisława. Przecież widoczna to rzecz, jak surowo krytykuje króla i zaraz na początku potępia go za podeptanie prawa chrześcijańskiego. Dramat rozdzierający serce na-

szkicowano tu zaledwo kilku wyrazami, lecz biją one w duszę jak grom. Jeszcze w ostatnich słowach, na pozór przedmiotowych, obcy nam pisarz nie oszczędził królowi słusznego zarzutu haniebnej zemsty (vindicantem sic se turpiter).

Przechodząc do Władysława Hermana, o którym wspominaliśmy w pierwszej części uwag, chciałbym tutaj przedstawić rzecz, jak ją już dawniej objaśniałem. Władysław, król węgierski, przyjmując u siebie Bolesława, mimo wdzięczności i przyjaźni umocnionej węzłami pokrewieństwa, musiał przecież zdawać sobie sprawę z faktu, że szuka u niego schronienia król, zabójca biskupa, obłożony nadto klątwą Grzegorza VII. Jeżeli papież w piśmie z dnia 2 stycznia 1080 r. ostro przygania Wratysławowi, że obcuje z wyklętymi (Szkice str. 282), czyż mógł mieć zupełnie spokojne sumienie św. Władysław, którego głębokiej pobożności złożył Gall wyraźny hołd (I. 27: affluentem pietate). Walka uczuć musiała się rozgrywać w jego duszy tem bardziej, że i sami jego poddani nie zachowywali się całkiem obojętnie wobec Bolesława. Czytamy u Galla (I. 28), że ludność wiejska na Węgrzech nie słuchała króla wygnańca, to jest odmawiała mu prostych usług. Najbliższe otoczenie Władysława miało powziąć nienawiść do Bolesława za to, że królowi ich chciał narzucić upokarzającą formę powitania (Gall I. 28), jak gdyby naprawdę to tylko miało być źródłem i przyczyną oburzenia. Przeciwnie, możemy wnioskować z Długosza, że dwór węgierski przyjmował Bolesława ozięble i z niechęcią, bo go raził gość »exul[1] et parricida«. Chciałbym więc szukać w zakwestyonowanem zdaniu: »sed... dolet inimico« (I, 28) jakiegoś echa owych skrupułów, nie tyle może wskazówki, co sądził Władysław o występku naszego króla, bo sąd jego w tej mierze nie mógł być chwiejnym, ile raczej zaznaczenia, jakie wrażenie wywarło na nim przybycie Bolesława do Węgier po takiej właśnie katastrofie.

Przedewszystkiem zdaje mi się, że słowu *deferre* nie można w tem miejscu przypisywać znaczenia »oddawać cześć«, bo dla

[1] Długosz, str. 380 wyd. krak.: propterea quod exul esset et parricida, clandestina submurmuratione in suas interdum aures penetrante.

uzyskania możliwego sensu musielibyśmy przeprowadzić większą zmianę tekstu łacińskiego [1], a prócz tego uważam, że Władysław, oczekując Bolesława z wielką uniżonością i czcią, jak stwierdza prócz Galla Kadłubek, czynił to w swej skromności i dobroduszności (humilis et mansuetus) niewątpliwie dobrowolnie, gdyż do okazania takiej czołobitności nikt go nie zmuszał. Władysław uczuł się dotkniętym dopiero później przed samem spotkaniem, przekonawszy się o nieograniczonej bucie Bolesława, lecz mimo to wkrótce zapomniał o urazie. Przyczyną nieporozumienia była ta okoliczność, że Władysław zdaleka, zsiadłszy z konia, oczekiwał wygnańca z pokornem uszanowaniem, ten zaś, biorąc skromność za dowód poczucia równości, uniósł się pychą i oświadczył, że Władysława, którego wychował i osadził na tronie węgierskim, nie może witać jako równorzędnego władcy. Zachodzi więc pytanie, czy ze względu na ten charakterystyczny epizod nie dałoby się słów Galla w ten sposób ukształtować: »se efferre (= efferri) vero facto dolet inimico«: (cieszy się, że wita brata i przyjaciela [2]), boleje jednak, że Bolesław rozzuchwala się wstrętnym czynem. Ten sam zarzut podnosi Kadłubek (297, 22): quem non malitiae conscientia facit humilem, sed sceleris audacia reddit contumacem; por. tamże 298, 2. Skrócenie partykuły uero (u°) odczytano jako Wladislavo, poczem z powodu poprzedniego quidem zmiana na »sed efferri« byłaby zupełnie uzasadniona. Atoli tego rodzaju interpretacya okazuje się błędną, bo Gall mówi na samym początku rozdziału nie o rozgoryczeniu, jakiego doznał Władysław podczas przyjęcia (o tej chwilowej zresztą przykrości wspomina osobno w dalszym ciągu słowami »aegre tulit«), lecz podnosi uczucie bolesne, które obok radości obudziło się w sercu Władysława zaraz na pierwszą wiadomość o pojawieniu się brata na ziemi węgierskiej. Radość z przybycia krewnego, któremu zawdzięczał tron, jest całkiem naturalna, Władysław jednak wolałby witać swego przyjaciela i protektora w innych, przychylniejszych warunkach; teraz mimo tych wszyst-

[1] »Dolet deferre« nie mogłoby znaczyć: »żywi urazę, bo musi uczcić«.

[2] Ex recepto quidem fratre gaudet et amico (I, 28). Wyraz »partim« przed »ex recepto« jest wtrętem przepisywacza, jak słusznie zauważył G. E. Saenger (j. w. str. 136).

kich względów musi czuć także głęboki żal, że Bolesław przybywa do niego po dokonaniu strasznego czynu. Wyraz tej myśli odnajduję w słowach Galla: *sed deferri sibi facto dolet inimico:* lecz boleje nad tem, że Bolesław przybywa doń wskutek wrogiego czynu. Przez »fato inimico« (por. I, 29 fortuna inimica) wyraziłby autor to samo, tylko oględniej: że wrogi los sprowadza brata do niego. Deferri alicui (= devenire, deverti ad aliquem) powiedziano na wzór znanych konstrukcyi: ire sorori (Silius 15, 327), vertite vos Christo (= ad Christum) u Kommodiana, venit abbatissae (= ad abbatissam) u Grzegorza z Tours i t. p. Por. Archiv f. lat. Lexik. VIII 74—76. Miejsce pierwotnego »sibi« zajęło później imię własne Wladislavo, które dla objaśnienia zaimka dopisano najpierw na brzegu. Nie jest to jedyny glossem w tem zdaniu. W dwu członach: »partim gaudet *ex amico*, partim restat locus irae« dodatek ex amico jest nieodpowiedni, bo mamy tu do czynienia tylko z ogólnikowem określeniem dwu rodzai uczuć bez wymieniania ich pobudek. G. E. Saenger (j. w. str. 136) czyta: ex animo. Najprawdopodobniej stało się tak, że najbliższy wyraz fratre objaśnił ktoś dodatkiem *ex amita*, aby uwydatnić, że Bolesław był bratem ciotecznym Władysława. Glossem źle odczytany dostał się potem na niewłaściwe miejsce.

Taką interpretacyą wykluczamy oczywiście wzmiankę o Władysławie Hermanie w tekście Galla I, 28.

*Dr. Adam Miodoński.*

(Ciąg dalszy dyskusyi nastąpi).

# HEKUBA.

(1863 r.).

## POWIEŚĆ.

(Dokończenie).

---

### VI.

Prawdę mówiła Inie Helena Iwanówna, że lada dzień lub tydzień kniaź na stanowisko wojskowe inne mianowanym i do stolicy państwa wezwanym miał zostać.

Nie wiele dni minęło odkąd Ina po raz pierwszy nową znajomą swą odwiedziła, gdy po miasteczku rozbiegła się wieść, że kniaź bardzo wkrótce ma je opuścić, a na urzędzie przez niego dotąd sprawianym, zastąpi go ktoś inny.

I wnet nad myślą, wyobraźnią, nadziejami, obawami mnóstwa ludzi, potężnie zapanował krótki wyraz: kto?

W momentach głębokich skłóceń, burzliwych zbałwanień uczuć i spraw ludzkich, gdy z pomiędzy nich znika spokojna postać prawa, a z mieczami zapędliwymi w czerwonych rękach zawisają nad niemi gniew i zemsta, wagi niezmiernej nabiera ręka, oręż gniewu i zemsty dzierżąca.

Bywają wówczas ręce więcej albo mniej czerwone; takie, które zabijają i takie, które tylko ranią, takie, które wytaczają morza łez i krwi, i takie, z pod których wylewają się tylko ich strumienie.

I bywają również na ziemi takie momenty i miejsca, w których rany srogie miast śmiertelnych, strumienie łez i krwi miast ich morza — wydają się szczęściem.

Z pomiędzy czerwonych rąk, które teraz nad krajem tym zawisły, ręka kniazia nie była najczerwieńszą. Była ona od wielu innych mniej zaciętą i mściwą. Może dlatego, że płynęła w niej, krew ludu niedawno jeszcze wolnego i o wolność swą wojującego, albo że kierowało nią serce, w stronę radości życia całe przechylone, jej tylko namiętnie pożądające, a we wszystkiem innem widzące jedynie drogi, które do niej wiodły.

Nie była to już wiosna, lecz był to już prawie schyłek lata. Była to pora odlotów nadziei, nalotów klęsk.

Mury gmachu więziennego rozsadzała liczba mieszkańców coraz wzbierająca, więc przelewano ją do budynków innych, licznych, bagnetami zbrojnych straży najeżonych. Deszcz wyroków spadał na dachy tych budynków i wyprowadzał z pod nich ludzi na Sybir, do katorgi, na szubienicę. Padał deszcz ten z pod rąk sędziów. Tutaj sędzią najwyższym był dotąd kniaź. A teraz...

Kto? jaki? Co zmiana przyniesie?

Dla tłumu głów osiwiałych i głów niewieścich, które się tu dokoła więzień zbiegły, była to zagadka, ociekająca krwią. I było to widmo czegoś niewiadomego, na którem serce i wyobraźnia upatrywały mniej albo więcej gęste plamy krwi. Serca drżały, wyobraźnie bujały po polach grozy.

Pani Teresa miała dotąd nadzieję, że chłopcy oddanymi jej zostaną. Kniaź był dla niej uprzejmy, coraz więcej nawet uprzejmy, a przytem roztargniony, czemś dalekiem zajęty.

— Śledztwo jeszcze nieskończone, — mówił — bądźcie cierpliwi; gdy śledztwo skończonem będzie, zobaczymy, co z waszymi małymi *gierojami* robić...

I zaraz o czem innem bardzo widocznie myśleć zaczynał. Nie przywiązywał do postępku dzieci tych wagi zbyt wielkiej...

Może sam braci młodszych, małych jeszcze ma, — myślała pani Teresa, — albo po prostu serce dobre. Czemużby nie? W każdym narodzie zdarzają się ludzie źli i ludzie dobrzy...

A teraz, ten nowy jakiś przyjedzie... przed samym wyrokiem właśnie. Jakiś człowiek nowy, niewiadomy, nieznany, obcy, może nienawidzący, może okrutny, wyrok na Janka i Olka wydawać będzie...

W głowie jej się od myśli tej mąciło i żądło bólu tak w serce kłuło, piekło, że nigdzie długo ustać ani usiedzieć nie mogąc, prędzej jeszcze niż zwykle, od znajomych do znajomych biegała po wiadomości, po rady.

Wiadomości? jakież? Nikt jeszcze nic nie wiedział. A rady? Jedna tylko była: czekać cierpliwie.

Pani Teresa w gniew wpadała.

— Także rada! Cierpliwą mam być, kiedy mi dzieci w oczach nikną!

Istotnie do nieruchomości i zamknięcia więziennego, do napełniającego cele więzienne wiecznego zmroku nie nawykli, chłopcy w oczach nikli, nakształt kwiatów, powietrza i słońca pozbawionych, więdli. Obaj już teraz byli w turmie, ale nie razem. Widywać się nawet im nie pozwolono. Śledztwo skończonem jeszcze nie było. Świadków wezwano: Teleżuka, żonę jego, włościan ze wsi najbliżej z Leszczynką sąsiadującej. Wśród ogromnego nawału spraw, żadnej rychło załatwić nie było podobna.

Janek tymczasem coraz głębiej pogrążał się w tej melancholii dziwnej, w którą czasem nieszczęśliwe dzieci zapadają. Zdawać się może wtedy, że drobne duszyczki ich kołyszą się nad otchłanią, której ciemności przejrzeć nie umieją i z nad której odlecieć nie mogą. Raz, w przystępie rozczulenia zwierzył się matce.

— Mnie ciągle i ciągle chodzą po głowie myśli: dlaczego świat jest taki? Dlaczego są na nim takie niesprawiedliwości i nieszczęścia? Dlaczego ludzie nie są lepsi? Dlaczego z chęci i zamiarów najlepszych, skutki najgorsze wynikają? A kiedy tak już na świecie jest i być musi, to — po co żyć? I tak mi czasem, mamciu, nie chce się już żyć! I tak mi źle... Chciałbym nie myśleć o tych rzeczach... ale nie mogę... muszę... Mamcia mówi, że trzeba zgadzać się z wolą Boga, bo on mądry jest i wie dlaczego świat tak stworzył... to prawda... ja wiem... chciałbym... ale nie mogę... I tak mi źle...

Z głową obu dłońmi objętą, zgarbiony, w podłogę więzienną wpatrzony, jak mały desperat, zwątlałą postać swą w obie strony

kołysał. I dusza jego niedorosła kołysała się nad otchłanią życia, w demony zamieszkujące ją wpatrzona, truchlejąca...

Innym razem, przez całe dwa dni żywności żadnej dotknąć nie chciał i na błagania matki głuchy, rozjątrzony, ponury, w ciemnym kącie celi siedząc, milczał tak uparcie, że ani jednego słowa wydobyć z niego nie mogła. A na trzeci dzień, gdy przyszła, ukląkł przed nią i wyznał, że postanowił był życie sobie odebrać... innego sposobu żadnego nie mając, przez zagłodzenie się. Ale to bardzo trudny sposób, długi... nie wytrzymał, okropnie wstydzi się tego, że nie wytrzymał, choć z drugiej strony może to i dobrze stało się, bo tej jeszcze zgryzoty matce nie sprawił...

Tym razem nie sprawił, ale któż panią Teresę mógł upewnić, że innym razem znowu ta sama myśl nie zaświta mu w głowie, która znajdzie sposób łatwiejszy, krótszy...

A z Olkiem inna znowu była bieda. Tego rana zupełnie zagoić się jakoś nie mogła i osłabiony, coraz chudszy, ciągle matkę o przebaczenie błagał, do stóp jej rzucając się, płacząc. Poczucie winy popełnionej tak głęboko w serce dziecinne zapadło, że aż obudziło w niem skruchę wyegzaltowaną i niezdrową. U nóg matki leżał, najsroższymi wyrzutami samego siebie obarczał, przestrogi im obu przez Julka dawane przypominał i powtarzał. Pani Teresa gniewem udanym uspakajać go próbowała.

— Także mazgajstwo! Płaksa i mazgaj jesteś...

Ale na wspomnienie o Julku sama zalała się łzami i malca od stóp swych podźwignąwszy, na ławie obok siebie sadząc, zapytywała:

— Cóż on wam więcej wtedy mówił? Co on wam, w czasie tej ostatniej przechadzki z wami mówił? Przypomnij sobie dobrze... powtórz wszystko...

A gdy Olek słowa brata, dobrze zapamiętane, powtarzał, jej się zdawało, że słyszy głos z tamtego świata mówiący i zapragnęła, ach jak namiętnie zapragnęła, przestąpić granicę dwu światów i na tamtym, najstarszemu dziecku swemu, najrozumniejszemu, najlepszemu, na pierś już męską, na pierś już opiekuńczą, przyjacielską paść, krzycząc: patrz, jakam ja biedna!

Oprócz tej biedy z synami uwięzionymi miała jedną jeszcze

gorzką i ciężką, o której nikomu nie mówiła, którą owszem przed ludźmi starannie taiła, lecz o której myślała, gdy czerwoną kokardą swą, dobrze już przybrudzoną i zgniecioną zdaleka świecąc, od Janka i Olka do mieszkania swego ulicami miasteczka biegła.

Przez okno jednego z nizkich domków patrzało na nią biegnącą kilka znajomych twarzy i jedna wskazując ją innym, wymówiła:

— Hekuba!

Młodziutki głosik jakiś zapytał:

— Co to Hekuba?

A ten sam, co wprzódy, wyjaśniać począł:

— Priama, króla Trojańskiego żona, która u zwalisk Troi, z żalu po synach pobitych i córkach porwanych...

Ktoś inny przerwał:

— Przecież p. Teresa synów tylko... a córki...

Inne głosy mówić, szeptać zaczęły: kto wie? kto wie? kto wie? co stać się może z córką jej... Iną?

Z Iną działy się rzeczy niezwykłe, dla których rozpoznania p. Teresa nie miała dość czasu i swobodnej myśli, lecz które sprawiały na niej wrażenie mętnego, niewyraźnie snującego się dokoła niej widma. Niby nic; żadnego widocznego objawu nieszczęścia, ale jakiś gorzki oddech, który zbliżenie się jego zapowiada. Coś nieokreślonego, a dokuczającego powtarzającemi się wciąż ukłuciami w serce. Coś, czemu zapobiegać i czego odpierać niepodobna, bo niema wyraźnej przyczyny i nazwy, co jednak jest, nadchodzi, czyha, wyziewa z siebie woń trucizny i pierwsze błyskawice burzy.

Ginęła matce z oczu Inka na długie godziny, a zapytana gdzie była, usiłowała zrazu tłumaczyć się albo pieszczotami usta matce zamykać, lecz p. Teresa spostrzegła i czuła, że tłumaczenia były wykrętne, pieszczoty nieszczere. Wkrótce przecież i one ustały. Odpowiedzi Inki stawały się coraz śmielsze, hardsze, często gniewne i niemal wzgardliwe.

— Gdzie byłaś? Dlaczego powracasz tak późno? Mówiłaś, że całą połowę dnia u Konieckich spędzisz, wiem, że tam ani zajrzałaś? Gdzież więc byłaś?

Inka, która w swoim nowym kapelusiku do izdebki była wbiegła, stanęła jak wryta.

— Moja mamo! Byłam, gdzie mi się podobało... każdy człowiek na świecie idzie gdzie chce i robi co mu się podoba, a ja przecież niewolnicą niczyją nie jestem i te wieczne indagacye mamy są dla mnie okropne, nieznośne...

Mówiąc to szarpała zdejmowanę z rąk rękawiczki i gorączkowo zarumieniona, niezwykle błyszczącemi oczyma, nie na matkę lecz kędyś w stronę ukośnem, rozjątrzonem spojrzeniem patrzała. Była wtedy upostaciowaniem uporu i zniecierpliwieniem, wrzącego powstrzymywanym gniewem. Nie zawsze jednak mogła czy chciała powściągnąć gniew. Wybuchał z niej czasem słowami, których niepodobna byłoby spodziewać się od usteczek tak drobnych, różowych, słodkich.

— Ja nie waryatka, aby mię trzeba było pod kuratelę brać i niech mama faworytów swoich, Janka i Olka, którzy tyle biedy narobili, musztruje, ale nie mnie, która dorosłą jestem i wiem czego mi trzeba i co robię.

U tej delikatnej, powiewnej, słodkiej i smętnej dziewczyny, z samego dna natury jej zapewne dobywały się szorstkie, grube pierwiastki i było to jakby osuwanie się zasłon aksamitnych z nieociosanego drewna.

Zdumiona i przerażona p. Teresa ręce załamywała.

— Bój się Boga, Inka! po jakiemu ty do mnie mówisz? Także ton! także sposób mówienia do matki!

Z wyraźnem obrzydzeniem, końcami palców Inka zdejmowała ze stołu niedojedzoną przez p. Teresę kromkę razowego chleba i szklankę wypitem przez nią mlekiem pobieloną. Drwiący uśmieszek odpowiedzi jej towarzyszył.

— Czy to do matki innym tonem, jak do innych ludzi mówić trzeba? Wiem, wiem, słyszałam... Ale są to, moja mamo przesądy, o których dawno już rozumni ludzie zapomnieli i tylko... u nas jeszcze...

Milkła, bo teraz p. Teresa w uniesienie wpadała, gniewem wybuchała, wyrzuty jej czyniąc, natarczywie zapytując: kto jej głupstw takich do głowy nakładł? kogo widuje? do kogo chodzi?

Jakie szaleństwo do głowy jej przystąpiło? Dlaczego teraz wygląda tak, jakby w gorączce była, jakby nie wiedziała sama, co mówi lub czyni?

Inka najczęściej nie tłumaczyła się, nie odpowiadała; czasem jednak gwałtownem jakby poruszeniem wewnętrznem rzucona, przypadała do matki, klękała przed nią i z głową do kolan jej przyciśniętą, jęczała:

— Nie mogę, mamciu, nie mogę inaczej... nie mogę inną być... nie mogę...

Wtedy p. Teresa obejmowała ją, włosy jej głaskała, prosiła:

— Czego nie możesz? Co ci jest? Co ci się stało? Iniu moja! Córuś! powiedz! wszystko matce powiedz... wytłumacz... uspokój mię...

Ale ona już zrywała się z ziemi i odchodziła mówiąc:

— Nic, nic, moja mamo! po co ja mam mówić, kiedy mama nie zrozumie mnie, nie zgodzi się ze mną... my, ja i mama, takie różne jesteśmy, takie inne...

I już słów matki zdawała się nie słyszeć, kędyś daleko, daleko zapatrzona, ku czemuś dalekiemu uśmiechnięta, kędyś daleko myślą, utęsknieniem, marzeniem przebywająca.

Myślą, marzeniem, utęsknieniem przebywała ciągle w ładnie umeblowanym, pachnącym buduarku Heleny Iwanówny. Kilka już razy jednocześnie z nią, na czekoladzie u Heleny Iwanówny był— kniaź.

O cudne chwile, wrażeń nowych i rozkosznych pełne, od szarej, prozaicznej rzeczywistości dalekie, poetyczne, śliczne!

O, śliczny, miły, zgrabny, wytworny, z takiemi oczyma wymownemi — człowiek!

Książe! kniaź! jak ten wyraz brzmi dziwnie! Tak zupełnie, jakby blaski złota i kolory tęczy i jeszcze tony wspaniałej muzyki rozlewały się w powietrzu.

Rozmawiali ze sobą po francusku. Ona do języków obcych ma zdolność wielką i tego, przez cztery lata u p. Awiczowej spędzone, wyuczyła się wcale nieźle. Ach, jak on widocznie ucieszył się, gdy usłyszał ją mówiącą po francusku! Może myślał, że nie

będą mogli rozmawiać z sobą z powodu tej różnicy języków. *Jeszczeby!* — jak mówi Helena Iwanówna.

Ale bo i po co na świecie są te wszystkie pomiędzy ludźmi różnice! Ot żyliby ludzie z sobą zgodnie, jednostajnie mówiąc, czując, jednostajnie wierząc, i wszystkim byłoby dobrze, i wszystkichby nieszczęść tych nie było. Prawdę mówi Helena Iwanówna, że tylko przesądy ludziom na drodze do szczęścia stają. To jest kobieta bardzo rozumna i dowcipna. Jak zabawnie wyśmiewała wczoraj wiarę w to, że Pan Bóg słucha w niebie tych pacierzy, które ludzie tu na ziemi szepcą. W drugim pokoju, — mówiła, — siedzisz i nie słyszysz; a jakże z takiej dalekości słyszećby miał? Wszystko to są przesądy, — mówiła. Pozbyć się ich tylko trzeba, a zaraz wszyscy na świecie ludzie staną się szczęśliwi i weseli..

Może też *oni* dlatego są tacy weseli, że pozbyli się, jeżeli nie wszystkich jeszcze, to wielu przesądów?

Ach! jacy oni weseli! Raz na czekoladę, oprócz kniazia i adjutant jego, mąż Heleny Iwanówny, przyszedł, kilku oficerów z sobą przyprowadzając, wkrótce też dwie panie jakieś wbiegły ślicznie ubrane, młode jeszcze, ładne. Powstał ruch, gwar; wszyscy dokoła okrągłego stołu w jadalnym pokoju zasiedli, ale nie wszyscy czekoladę pić chcieli, więc gospodarz domu do służącego zawołał o wino szampańskie, które, gdy przyniesiono i pić poczęto, wesołość stała się taka, jakiej Ina nigdy jeszcze w życiu swojem nie widziała. Wesołość to była swobodna, głośna, poufała, pełna gestów szerokich, śmiechów jak grzmoty głośnych, komplimentów składanych pięknym rączkom, nóżkom, oczkom. Toasty różne wznoszono, a kiedy adjutant kieliszek swój podnosząc, wzniósł zdrowie Iny Julianówny, to wszyscy, jak krzyknęli jednym głosem: hurrra! to aż szyby w oknach zabrzęczały; ją zaś, Inę, czy od wina wypitego, czy od rozmaitych napełniających ją uczuć, ogarnęła wesołość taka, jakiej dotąd nigdy nie doświadczała. Dziękowała wszystkim, kłaniała się, na komplementy śmiało odpowiadała, a z żartów, które dokoła krążyły, śmiała się tak głośno i swobodnie, jak dotąd nigdy. Wtedy kniaź, który obok niej siedział i przez cały czas różne miłe rzeczy jej mówił, szeptać zaczął, że on zawsze widzieć ją pragnie wesołą, szczęśliwą, że

ona musi i powinna być szczęśliwą, bo niema na świecie takiego szczęścia, któreby samo do stóp jej nie upadło, prosząc, aby przyjąć je chciała...

I nie wiadomo, co powiedziałby więcej, bo w tej właśnie chwili zaszło coś takiego, co wszystkich jakby ukropem oblało, czy lodem obłożyło. Jedna z tych pań, które tam były, ni stąd ni zowąd, zaczęła przez stół, bardzo głośno i ze śmiechem mówić do kniazia coś, o jego żonie, że niby ona z Kaukazu, gdzie przebywa, przez lunetę na niego patrząc, widzi jak on się tu znajduje i... coś tam jeszcze podobnego. Na twarz kniazia chmura spadła ciemna i groźna. Helena Iwanówna oczyma i rękoma znaki jakieś do mówiącej robiła i wszyscy z nadzwyczajnym pośpiechem, głośniej jeszcze niż przedtem rozmawiać o różnych rzeczach zaczęli, ale czuć było, że coś niedobrego zaszło, że zgrzyt jakiś przerwał harmonię, która w towarzystwie tem dotychczas panowała.

A jej, Inie, zrobiło się niewypowiedzianie żałośnie i smutno. Nie umiałaby powiedzieć dlaczego, ale wiadomość, że kniaź jest żonaty, całą jej pierś nagle łzami napełniła. Nie chciała okazać tego, ale Helena Iwanówna sama spostrzedz musiała, bo przybiegła i za szyję ją objąwszy w samo ucho szepnęła:

— *Niczewo!* (nic to) *duszeńka! Niczewo!* On żonaty i razem nieżonaty. Ja ci to później opowiem i wytłumaczę.

A potem do fortepianu usiadła i z wielkim zapałem, bardzo hucznie walca grać zaczęła, przyczem zaraz utworzyły się dwie pary tancerzy i stół dokoła w walcu obiegać zaczęły. Kniaź po chwili wstał także i z ukłonem do tańca ją zaprosił. Wyprostowany, brzękiem ostróg tylko kłaniał się i wzrokiem tylko — ale jakim! prosił. Ona od dwóch już lat przez cały czas żałoby narodowej, nie tańczyła wcale, a za tańcem przepadała i wiedziała, że tańczy bardzo ładnie. Czuła sama, że jest cała różowa i że w całej sobie ma dziwne gorąco i drżenie... Stała przed nim ze spuszczonemi powiekami, podnieść ich nie mogąc, a on kibić jej ramieniem opasał i uniósł w taniec. Ale raz tylko stół okrągły dokoła w walcu obiegli, poczem znalazła się w saloniku sąsiednim, w którym nie było nikogo. I tu... ach! dalej już Inka wspomnień

swych w słowa przyoblekać nie mogła. W głowie jej się mąciło, oddech w piersi ustawał, siły omdlewały... Na klęczkach przed sobą go widziała.

A to, że kniaź Borys jest żonaty, znaczenia żadnego niema, gdyż Helena Iwanówna wytłumaczyła jej, że ożenił się nadzwyczaj młodo, z namowy rodziców, czy tam krewnych i nigdy kobiety tej nie kochał, a teraz nienawidzi ją i do rozwodu z nią idzie. Wkrótce już rozwód otrzyma i wolnym będzie. Czyż nie mówił jej zresztą, wówczas, w tym pustym saloniku, że ją jedną, Inę, na całym świecie kocha, i że jest to jego pierwsza miłość prawdziwa. Słowa te Helena Iwanówna w zupełności potwierdzała.

— *Uwlekał się* nieraz innemi kobietami, — mówiła, — ale tak jak za tobą, duszeńko, za żadną nie szalał. Cóż to znaczy, że jest żonatym, kiedy żony nie kocha? Jedna tylko na świecie jest rzecz ważna: miłość! Wszystko inne — to *głupoście*, na które tylko — napluć!

Gdy po kilku godzinach u Heleny Iwanówny spędzonych, Ina do ciasnej, dusznej, ubogiej izdebki do domu zajezdnego wbiegła, ogarnęło ją uczucie budzenia się ze snu rozkosznego i świetnego, a wpadania do otchłani rzeczywistości ponurej i szpetnej.

Obrzydzeniem i żalem nad samym sobą bezgranicznym, przejmowały ją ściany i sprzęty tej izdebki, szklanka pobielona wypitem przez matkę mlekiem, rozsypane na stole okruchy razowego chleba. Płonęła wstydem na myśl, coby to było, gdyby on... ten piękny, świetny człowiek, w swoim pięknym, świetnym mundurze wszedł tutaj i zobaczył... Prawem odziedziczenia może powtarzała w myśli nazwy, niegdyś przez jej ojca Leszczynce nadawane... Gdyby kniaź zobaczył tę dziurę, tę norę, ten czyściec ziemski! Bolał ją po prostu sam widok tej izdebki; dławiło powietrze, istotnie duszne i przykre, którem w niej oddychała. Łzy połykając mówiła sobie, że ona do rzeczy tak prozaicznych i szpetnych stworzoną nie jest, że jak rybie wody, ptakowi powietrza, potrzeba jej rzeczy poetycznych i pięknych. I szczerze, głęboko, z całej siły wierzyła, że mieszkanie Heleny Iwanówny, ze sprzętami jaskrawą materyą obitemi i gracików błyszczących albo za-

bawnych pełne, to — piękno, a uczucia, które namiętne spojrzenia i szepty kniazia w niej budziły, to — poezya.

I gdybyż jeszcze mogła tu być samą jedną, swobodnie wspominać, marzyć... Ale to ciągłe tutaj towarzystwo matki, jej zapytania i wyrzuty, jej zgryzoty i nocne płacze... Ach i ten sposób ubierania się jej, mówienia, chodzenia, samo brzmienie jej głosu, sama ciemność skóry, oblekającej twarz i ręce! Już i dawniej, od dzieciństwa prawie raziło to ją i niechęcią napełniało, lecz w sposób nieokreślony, głuchy. Teraz wszystko przed oczyma jej uwypukliło się i wzrosło, a w myśli nabrało określeń wyraźnych, śmiałych. Teraz przychodziły chwile, w których śmiało przed sobą wyznawała, że matka budzi w niej uczucie bardzo podobne do odrazy, takiej zwyczajnej, fizycznej odrazy, jaka czasem przejmuje ręce białe i delikatne przy dotykaniu rąk zczerniałych i zgrubiałych, jaką czasem nerwami spragnionymi pieszczoty aksamitnej, wstrząsa twarde i szorstkie dotknięcie.

Ale zdarzały się też chwile inne, niewiedzieć skąd pochodzące: z głosu natury, ze wspomnień dzieciństwa może pochodzące chwile, w których Inę fala uczuć nienazwanych, a nagłych ku matce rzucała. Wtedy z ramionami dokoła grubej kibici zarzuconemi i z głową na jej kolanach szeptała:

— Mamciu! Mamciu kochana! Ja wiem... ja wiem... ale nie mogę... doprawdy, mamciu, ja inaczej nie mogę... nie mogę...

O czem wiedziała? Czego nie mogła? Nie powiedziała tego nigdy i może nie potrafiłaby powiedzieć, bo w uczuciach i myślach jej panowały chaos i zamęt, wiały burzliwe wichry, leciały przeświecone jaskrawem światłem tumany kurzawy. A p. Teresa na te pieszczoty i bełkotliwe wyznania córki w sposób rozmaity odpowiadała: niekiedy wzajemną pieszczotą i drżącej troskliwości pełnemi zapytaniami, ale niekiedy, gdy czuła się bardzo, prawie nad siły, zgryzioną, strwożoną, zmęczoną, niecierpliwem sarknięciem i gniewnemi słowy:

— Nie wiem, — mówiła, — czego nie możesz i co się z tobą dzieje, ale czuję, że coś niedobrego się dzieje i że wysłać cię stąd muszę... koniecznie muszę... Do Leszczynki pojedziesz... już pisałam do Teleżuka, aby po ciebie przyjechał... i pan Ko-

niecki w tych dniach też do domu jedzie, więc zabierze cię i może u nich u Konieckich nim do Leszczynki powrócę, przesiedzisz... Tu nie zostaniesz... Niańką twoją tu być czasu i siły nie mam... a pociechą i pomocą matki być nie umiesz... serca nie masz...

Wtedy Ina z wybuchem obrazy i żalu zrywała się od kolan matki i cała w ogniu, ostre błyskawice z oczu wyrzucając, wołała, że ani do Leszczynki, ani do Konieckich nie pojedzie za nic, za nic, że prędzej da się zabić niżeli tam pojedzie, że matka jej nie kocha, że jest ona nieszczęśliwą i od nieszczęścia swego choćby na koniec świata uciecby pragnęła!

Potem obie milkły, obie rozjątrzone, obrażone, rozżalone i resztę dnia lub wieczoru spędzały w milczeniu, czasem ukośne, niechętne lub niespokojne wejrzenia wzajem na siebie rzucając.

Aż przyszedł dzień, który ukazał Ince dwa zwierciadła, w zwierciadłach dwie przyszłości i rzekł: wybieraj:

Kiedy p. Teresa spiesznie biegła z więzienia do domu, aby zobaczyć, czy jest tam jej córka, a jeżeli nie jest, szukać jej, jak nieraz już bywało i u wszystkich znajomych o nią się dowiadywać, Inka w najodludniejszem miejscu zamiejskiego parku z Heleną Iwanówną rozmawiała. Za osłoną drzew i krzewów, na małej ławce, bardzo blizko siebie siedząc szeptem obie mówiły. Mówiły cicho, szybko, niezmiernie żywo, wzajem sobie mowę przerywając, jak mówić zwykli ludzie spiesznie naradzający się i silnie wzruszeni.

— Więc za trzy dni, — szeptała Inka, — więc już za trzy dni... wyjeżdżacie... a cóż ja poczne, co ja nieszczęsną poczne... ja z desperacyi nie wiem co sobie zrobię... zwaryuję chyba, utopię się...

Za rękaw sukni ją chwytając, Helena Iwanówna w mowę jej wciąż wpadała.

— Ależ posłuchaj, duszeńka, posłuchaj tylko... mówić mi nie dajesz... ciągle przerywasz... Jaż mówię, że jest sposób tak zrobić, abyś nie potrzebowała desperować, waryować...

Ale Inkę burza rozpaczy porywała, ogłuszała, myśl i uwagę jej od towarzyszki odrywając. Czoło rozpalone w obu dłoniach ścisnęła, łzy po zbladłych policzkach jej płynęły. Szybko, nieprzerwanie, gwałtownie szeptała:

— Mama o niczem nie wie, ale domyśla się, niepokoi się, wyrzuty mi robi, chce mię do Leszczynki albo do Konieckich, sąsiadów naszych wyprawić. Ja nie chcę do Leszczynki! Ja nie chcę do Konieckich! Tam grób! Tam noc! Ja nie chcę grobu! Ja lękam się nocy! Ja teraz dopiero poznałam co to prawdziwe życie, co radość, co szczęście...

Płaczem zaniosła się, a Helena Iwanówna dłonią usta jej zamykać próbowała.

— Jaż tobie mówię, duszeńka, że jest sposób... posłuchaj tylko! Jest sposób, abyś od grobu i od nocy...

— Jaki sposób! Niema żadnego sposobu! Wszakże wyjeżdżacie, Heleno Iwanówno... i on... za kilka dni... O Boże mój, Boże! już za kilka dni...

Zniecierpliwiona czy rozczulona, obu tych zresztą uczuć zapewne doświadczając, Helena Iwanówna, jak sęp dziewczynę szlochającą w ramiona swe porwała, do boku swego przycisnęła i głowę jej, jak na poduszce, na piersi swej oparłszy, w samo prawie śliczne uszko, z pod ślicznego kapelusika wyglądające szeptać zaczęła. Cicho szeptała, długo szeptała, czasem krótkie pocałunki po twarzy Iny rozsiewając, czasem śmiejąc się cichutku, pieszczotliwie. Z szeptania jej wybijały się niekiedy słowa głośniej nieco wymawiane: kniaź... rozwód... ślub... lubienie... Petersburg... kniahini... bale... rysaki... mąż krasawiec...

Ina nie płakała już, lecz drżeć zaczęła i tak drżała, że Helena Iwanówna zlękła się może, aby z ławki nie spadła, bo z wielkim szelestem *czesunczowych,* bombiastych rękawów, mocniej jeszcze do siebie ją przycisnęła, szeptać, chichotać, całować nie przestając, aż nakoniec...

Po chwili dość długiej, zgrabne, szczupłe, w biały muślin obleczone ramiona dziewczyny wyciągnęły się ku górze i szyję przyjaciółki, trochę krótkawą i trochę grubawą, z taką nagłością i mocą objęły, że aż na czarnych jej włosach przekrzywił się kapelusz z kwiatów bzu upleciony i rozkołysały się we wszystkie strony jego małe, białe piórka.

Oznaczałże ten milczący, namiętny, długi uścisk Inki trwogę czy radość, czy wdzięczność, tulenie się pod opiekę czyjąś i od

dawanie się w moc czyjąś, czy wszystko to razem zmieszane, wzburzone, skłębione w jeden poryw, w jedną żądzę, w jeden szał?

Wkrótce potem Ina do mizernej izdebki swej wchodziła, a p. Teresa zadziwiła się ujrzawszy ją tak łagodną, cichą, czułą, jaką nie bywała już od dawna. Zaraz ode drzwi pogarnęła się ku matce i dziwnie pokorna, zamyślona, w obie ręce ją pocałowała. Potem, jakby zapytania i wyrzuty uprzedzić pragnąc, mówić zaczęła, że była w parku, że teraz tam spiree przepysznie kwitną i Leszczynkę jej przypomniały, że jutro pójdzie z matką do więzienia i trochę kwiatów tych braciom zaniesie. Zapaliła małą lampę i zaczęła przy świetle jej suknię matczyną w kilku miejscach rozdartą naprawiać.

Pani Teresa niedowierzająco i niespokojnie zrazu na córkę patrzała, lecz wkrótce radość błoga do serca wstępować jej zaczęła.

Jaka ona śliczna, jaka miła, gdy tak uspokoi się, złagodnieje, nad robotą jaką złotą główkę swą pochyli! Bajecznie do ojca podobna! Te same oczy i włosy... te same wady i ten sam czar! I tak samo... raz anioł, raz szatan!

A Inka szyła i niekiedy szafirowe oczy z anielskiem spojrzeniem na matkę podnosząc, mówiła, że szkoda, ach, jaka szkoda i jakie nieszczęście, że wyrok na Janka i Olka nie kniaź, ale ten jakiś nowy i niewiadomy wydawać będzie...

A ty skąd wiesz o tem? — zadziwiła się p. Teresa.

Z łagodnem wzruszeniem ramion odpowiedziała:

— Słyszałam... wszyscy o tem mówią... kniaź wczoraj urząd swój złożył i dziś już w komisyi nie zasiadał...

Słyszała o tem istotnie — od niego. On dziś, u Heleny Iwanówny blizko, blizko niej siedząc i rękę jej w swojej trzymając, mówił:

— Ja na braci waszych, Ino Juljanówno, wyroku wydawać nie będę, bo z góry *przykazano,* aby był srogim... Więc kamienia tego nie położę i dołu tego nie wykopię pomiędzy sobą a tobą, ty moja ukochana, upragniona...

Gorąco żaru i wino upojenia napełniało jej i pierś i głowę gdy teraz, delikatnemi nićmi dziurę w sukni matki cerując słowa te wspominała. Miała takie uczucie, jakby ta dziura i to

cerowanie w palce ją piekły, jednak cerowała dalej cierpliwie i gdy po chwili oczy na matkę podniosła, coś na kształt żalu w nich błysnęło. Na myśl co za dni parę stanie się, stać się musi, co pomiędzy nią i matką jej, jak kamień i jak dół — o, jak głęboki! — legnie, serce jej uszki pokazało... na chwilę.

Pani Teresa z zaciśniętemi kurczowo rękoma, z głęboko wpadłemi oczyma, siedziała na łóżku zdruzgotana, zgnębiona. Synami zajęta, o pieniądze na dalszy w miasteczku pobyt skłopotana, nikogo ze znajomych w ostatnich dniach nie widując, o tem, że zmiana dla niej straszna już zaszła, nie wiedziała.

Co teraz nastąpi? o Boże, co nastąpi? I kiedy nastąpi? Rychło zapewne, rychło. Wóz, albo przewóz. Niebo albo piekło. Z Jankiem i Olkiem do Leszczynki wróci, albo...

Dwa dni upłynęły i — wyrok zapadł. Podpisała go ręka, od ręki kniazia daleko czerwieńsza... rozkazowi zresztą otrzymanemu z góry posłuszna.

Zsyłka do Permu, w czasie jak najkrótszym. Pod zbrojną strażą mali buntownicy odwiezionymi zostaną do najbliższej — jednak dalekiej — stacyi kolei żelaznej, a stamtąd, parowozem, na granicę dwóch części kuli ziemskiej, pod stopy Uralu . . . .

. . . . . .

. . . . Z twarzą, która pokryła się barwą ziemistą, z powiekami w pociemniałych oczodołach od płaczu krwawemi, p. Teresa stała przed więziennemi wrotami i patrzała na oddalający się, dwukonny wóz... Dopóki tylko dojrzeć je można było patrzała na coraz oddalające się, oddalające się dwie małe, blade twarze, które na wozie obracały się ku niej, jak opłatki świecące, wśród podniesionych dokoła luf i bagnetów.

Gdy na zakręcie drogi zniknęły — odeszła.

Nie biegła, nie pędziła; szła powoli, z piersią ciężko dyszącą, z plecami, po raz pierwszy w życiu przygarbionemi.

Nic dokoła nie widziała, nie słyszała, o niczem nie myślała. Dusza jej krwawym gwoździem przybita do tych małych, bladych twarzy, które tylko co w oddaleniu z przed oczu jej znikły, wlokła się za niemi cała, wsuwała się pomiędzy otaczające je bagnety, kreśliła nad niemi obronne i opiekuńcze krzyże, całowała, żegnała

spłakane oczy Olka, jak płótno zbielałe, lecz hardo zaciśnięte usta Janka.

Nakształt ranionego zwierza, który instynktem gnany, czołga się ku legowisku swemu, aby paść na nie i skomląc z bolu ranę swoją lizać, pełzła raczej, niż szła ku swej najętej, mizernej izdebce...

Tu, na drzwi izdebki spojrzawszy, nagle przypomniała sobie.

— A Inka?

Gdzie jest Inka? Miała wnet za nią przybiedz do więzienia i ostatnie godziny te spędzić z braćmi, a tylko na chwilę czegoś jej jeszcze do miasteczka...

— Zaraz przybiegnę, Mamciu, zaraz przybiegnę...

Miała kapelusz na głowie, w ręku parasolkę, na policzkach rumieńce silne i w oczach łzy.

— Niech mamcia idzie, ja zaraz przybiegnę...

Odbiegła, wróciła i uścisnęła matkę. Dziwnie uścisnęła, mocno. Ale p. Teresa nie dziwiła się. W dniu tak strasznym, w tym piekielnym dla niej dniu... że córka zapłakała, uścisnęła, cóż dziwnego?

Jednak nie przyszła! Cóż to znaczy? Gdzie jest? Co się z nią dzieje?

Niecierpliwie, silnie, głośno, pchnęła przed sobą drzwi izdebki. Weszła.

Niema Inki.

Coś się działo w tej izdebce, coś się tu działo!

Szuflada starej, krzywej komody, w której Inka swoje różne muślinki, paski, stroiki chowała, w całej szerokości wyciągnięta, pusta. Miejsce na ścianie, gdzie sukienki swoje zawieszała, puste.

O Jezus, Marya!

Na stole, o szklankę z niewypitem mlekiem oparta, karta papieru jej ręką zapisana.

O, Jezus, Marya!

»Moja kochana Mamciu! Mnie bardzo przykro, ja bardzo żałuję, że mamcię rozgniewam i zmartwię, ale inaczej nie mogę, nie mogę! Kiedy mamcia czytać to będzie, ja daleko już stąd... daleko... Mnie smutno, że mamę porzucam, ale tak jego kocham, tak nad życie, bez granic kocham... mama go zna... to kniaź Borys... I on kocha mię szalenie, bez granic, ale ja nie z nim

jadę, tylko z pewną przyjaciółką jego i moją, u której też w Petersburgu mieszkać będę, dopóki ślubu z sobą nie weźmiemy... A kiedy już zostanę żoną kniazia, co wkrótce nastąpi, wszystkim nam będzie lepiej. On dla Janka i Olka powrót do domu wyjedna, a Brońcią i Ludwinką ja zaopiekuję się, aby im edukacyę świetną...«

Było tam pisma więcej jeszcze, wiele; wyraźniejsze od innych występowały wśród niego słowa: »miłość, szczęście, przesądy«, »wszędzie ojczyzna może być«, »wszystkie wiary sobie równe«, ale p. Teresa czytać dalej nie mogła, bo z trzęsących się rąk jej wypadła kartka papieru i szeroko, szeroko rozwarły się te ręce, a potem głośno klasnęły w dłonie, gdy z ust tak jak ta kartka zbielałych, wypadł krzyk:

— Łajdaczka!

Padł krzyk ten w ciszę izdebki, jak kamień w wodę i długo po nim nic nie następowało. Jak w kamień obrócona stała p. Teresa, z rękoma rozpostartemi, z oddechem w piersi krótkim i świszczącym, z czołem, wargami i policzkami drgającemi. W ciemnych, głębokich oczodołach, pod zakrwawioną od łez powieką, gorzało płomię gniewu, morze pogardy rozlewało się po ustach, gdy wychodzić z nich począł dyszący, syczący szept.

— A niedoczekanie twoje, abyś ty... dziećmi memi... opiekować się miała... ty... ty...

I nagle, krzyk znowu przeraźliwy, ogromny, podobny tym, jakiemi matki wtórzą zabijaniu gwoździami trumien ich dzieci.

— Inka! dziecko moje! O Jezu! Inka moja! Ineczka!

Runęła na ziemię, ramiona na niej rozpostarła, palce wbiła w deskę podłogi, czołem o podłogę uderzyla i — nieruchomą pozostała. A tylko z piersi jej dobywać się poczęły dźwięki bez słów, głośne, nieustanne, podobne do szlochów suchych i nigdy skończyć się nie mających, podobne do tego wycia, z jakiem niekiedy nad rozłogami śniegów latają zimowe wiatry. . . . . .

. . . . . .

. . . . Tak u zwalisk zburzonej Troi, Hekuba, żona Pryamowa, wyła z żałości po synach zabitych i uwiezionych córkach . . .

. . . . . .

*E. Orzeszkowa.*

# ŚMIERĆ JENERAŁA KICKIEGO.

Jenerał ściągnął konia, aż zarył się w piasku,
I ręką przesłaniając wzrok od słońca blasku
Spojrzał: — Miasto płonęło. Pożar wichrem wzmagan
Szalał nad niem szeroko, jak burzy huragan,
Jakby potwór, któremu wszystko dane na łup:
Już ogarnął przedmieścia, chłopskich dosiągł chałup,
I wielkie, blaskiem słońca niezgłuszone światło
Obrazowi zamętu i rzezi dał za tło. —
Dymy nizko szły w kłębach, złociła je łuna,
Przetykał przelot iskier, jak błyski pioruna.
Na tle rozkiełznanego żywiołu zawieruch
Dokładnie widać każdy rosyjskich wojsk przeruch:
Ciemne wzgórza, most, grobla — i do grobli droga
Błyszczą morzem bagnetów, czernią się od wroga.
Morze to rośnie w oczach, bo w ciągłym przypływie
Prą na most nowe pułki, stłoczone straszliwie,
Rażone ogniem polskiej bateryi ze wzgórzy.
Zresztą ustał bój ręczny śród błotnych kałuży,
I tylko Largermanna celni tyralierzy
Po pas brodząc, wstrzymują te masy żołnierzy.
Narew toczy się mętna, krwią ciemna, wezbrana
Niosąc belki strzaskane, zwęglone polana. —
A niżej... straszno pojrzeć! — Tam polskiej piechoty
Kwiat leży, ogniem armat poniszczone roty.

Leżą tak, jak tam biegły, jak z wrogiem się zwarły,
Jak je rwały kartacze, — a każdy umarły
Jeszcze grozi, bagnetu nie wypuszcza z ręki,
Zwrócony twarzą siną w stronę Ostrołęki.

Kicki patrzał. — Cień grozy zasępił mu lica;
Zwolna wracał, gdzie stała, pod lasem konnica,
Nietknięta kosą śmierci, barw pełna i ruchu
Jak łan kwiatów, w wiosennym wietrzyka podmuchu.
Wtem z pól walki, na koniu spienionym, w odzieży
Krwią zlanej, — Skrzyneckiego adjutant nadbieży:
Coś oznajmia. — Generał wzrok rzucił surowy,
Szablą wskazał na bagna i wyschłe zarowy. —
Potem żywo mówili, ku drodze podjadą;
Kicki wrócił, a twarz miał stroskaną i bladą.

Pułk czeka. Twarze płoną. Drży lanca, broń szczęka.
Nerwowo ściąga cugle niecierpliwa ręka —
Patrzą w wodza. — On jeszcze chmurny, nieruchomy
Zdał się liczyć milknące raz po raz dział gromy...
Aż dał znak. —
Dźwiękły trąby, ścieśniły się roty
Po ostrzach lanc schylonych przeleciał błysk złoty.
Już jazda, jak skrzydlata chorągiew hussarska
Zerwała się do lotu; koń żywiej zaparska,
Prysnął piasek z pod kopyt, jęknęła znów ziemia.
Poszli — obłok ich kurzu na chwilę zaciemia.

Na wzgórzach błysk... Grom wstrząsnął powietrzem — i razem
Dział sześćdziesiąt plunęło morderczem żelazem,
Z za Narwi. — Jak rój duchów zniszczenia skrzydlaty
Z hukiem lecą kartacze, szrapnele, granaty
W cel jeden: — w tę pędzącą ławicę olbrzymią
Koni, ludzi, oręża; kotłują się, dymią —
Prześcigają się wzajem w rozbieżnym przelocie
I pękają śród szyków, ziejąc iskier krocie.

Tam granat, nim dosięgnął ułańskiego kaska
Rozgłośnym się wybuchem w powietrzu roztrzaska;
Ówdzie drogę zmyliwszy w zamieszaniu dzikiem,
Jak bąk błotny po ziemi czołga się ze sykiem,
Aż rwąc darnie, rozmokły grunt ryjąc hałaśnie,
Snopem ognia do góry wystrzeli — i zgaśnie.
Inny szybciej powietrzną przeszywając przestrzeń
Nim wybuchł tonie w bagnie śród złowrogich trzeszczeń.
Lecz grad ich sięga kolumn, zabija, zgiełk szerzy,
Kładąc konie, rwąc skiby w szeregach żołnierzy.

Jazda kroku nie cofa. — Niezłomna i chyża
Pośpiesznie, mimo przeszkód do grobli się zbliża,
Przesadza w pędzie krzaki, kałuże zamąca,
Jak lawina z gór szczytów na hale idąca:
Dosięga grenadyerów; odgadniesz, że złamie
Bo lanca polskiej jazdy ma piorun za ramię!

Lecz nie!... Przed nią cień widać wyschłego koryta
Snać głębokie... bo jazda stanęła, jak wryta! —
Stłoczyły się szeregi, z tyłu napierane
W jedną zbitą, drgającą konwulsyjnie ścianę,
Wobec wroga, co salwą je wita straszliwą
W krótki dystans. — Śmierć zbiera przeobfite żniwo!
Pułk cofa się w nieładzie, a odwrót swój znaczy
Wałem ległych pod ogniem krzyżowym kartaczy.

Wracają. — Coraz bliżej na błotnym zagonie
Widać jeźdźce pędzące i bez jeźdźców konie.
Cóż za zmiana! — Ta rzesza mężnego rycerstwa
Szła do boju błyszcząca, pogodna i czerstwa;
Teraz wraca zmęczona i oblana potem,
Krwią zbryzgana, zczerniona trzęsawiska błotem;
Jako strumień, nad brzegi bagniste wezbrany,
Traci fali przeźroczość, brzydkie miecąc piany.

Kędyż Kicki? — Patrz, wraca w zbitym jeźdźców tłumie
Lecz on — żywy przed wrogiem uchodzić nie umie!
Podtrzymywan na koniu wiarusa ramiony,
Wraca martwy... krwią własną obficie zroszony.
Trafion kulą armatnią, jak ścięty kwiat polny
Padł — piękny wiosną życia, szczęśliwy — bo wolny!
Szczęśliwy! — bo znał jeno, jako klęska boli,
Nie doczekał powtórnej, ojczyzny niewoli. —
Szczęśliwy, — bo na brukach cudzoziemskich stolic
Nie złamie broni z tymi, co nie śmięli polec;
I czołem nieugiętem runąwszy na błota,
Nie zazna plamy onej, co zwie się — sromota!

Ciało wodza ułani złożyli na wzgórzu,
Obmyli twarz pobladłą z krwi, błota i kurzu —
I ostatnią, pośmiertną oddali mu wartę.
A on — oczy ku niebu miał jeszcze otwarte,
Jakby czekał tryumfu polskiego oręża,
Jakby wpatrzon w moc Sprawy — co w klęsce zwycięża!

Śpij młody bohaterze! — Nad tobą, żałosen
Rozpłacze się wieczorem rodzimych szmer sosen,
Plusk fali niedalekiej — i szepty chłopięce,
Co półgłosem zanucą pieśń o Ostrołęce...

. . . . . .

Tyś żywy! — Postać twoja przez wieki popłynie
Swiecić blaskiem słonecznym nieszczęsnej krainie,
Budzić naród, dotychczas pogrążony we śnie,
Aż zadrgnie — i swe pęta odczuje boleśnie!
Aż zbędzie się niewiary we własne swe siły,
Nagnie ramię do czynu i — wstanie z mogiły!

*Ks. Tadeusz Karyłowski.*

# POPULARYZACYA NAUK PRZYRODNICZYCH

## NA TLE CHRZEŚCIJAŃSKIEGO POGLĄDU.

W ostatnich latach, niejednokrotnie zawodowi przyrodnicy zwracali uwagę na nadużywanie wiadomości przyrodniczych w celach ateistycznej propagandy. Protest ich był wywołany popularnemi dziełami prof. uniw. w Jenie, Ernesta Haeckla, i miał na celu obronę rzetelnej nauki przed zdyskredytowaniem jej przez tego agitatora ateizmu, który nie wzdragał się nawet przed szalbierstwami naukowemi, byle tylko uzyskać wpływ na szerokie masy społeczeństwa. Uznając niewątpliwe zasługi Haeckla w dziedzinie zoologii i fizyologii, ostro piętnują ci uczeni jego dogmatyzm, ilekroć przekracza szranki swej fachowej wiedzy i bawi się w filozofa lub teologa, w czem jest zupełnem zerem. Zasługuje jednak na szczególniejszą uwagę to, że sami naturaliści, jak prof. botaniki na uniw. w Giessen, Dr. Hansen, — prof. biologii na uniw. w Kilonii Reinke i inni zakreślają naturaliście Haecklowi właściwe granice przyrodniczych nauk.

»Nauki przyrodnicze, powiada Hansen, jako szczegółowe umiejętności, nie mogą same być powołane, by rozstrzygły o najogólniejszych zagadnieniach. Zważywszy bowiem, że przyrodoznawstwo rozpatruje kwestye wyłącznie na podstawie obserwacyi i doświadczenia, należy twierdzenie Haeckla, że wiedza przyrodnicza ruguje trzy wielkie dogmaty metafizyki (wolność woli, istnienie Boga, nieśmiertelność duszy ludzkiej), uważać za absurd« [1].

[1] Hansen: *Haeckels Welträtsel u. Herders Weltanschauung.* Giessen 1907: Str. 25, 26.

To też słusznie zaznacza pastor Dr. Rud. Schmid ze Stuttgartu, że właściwie spór o te trzy zasadnicze dogmaty nie toczy się między przyrodoznawstwem a chrześcijaństwem, ale między materyalistyczno-racyonalistycznym a chrześcijańskim poglądem na świat. Tem się tłumaczy, że bezstronni i uczeni przyrodnicy po wszystkie czasy mieli przekonanie, że ich fachowa wiedza bynajmniej nie wzbrania im być szczerze wierzącymi chrześcijanami. Inną zupełnie jest taktyka agitatorów naukowych i popularyzatorów, których charakterystyczną cechą z natury rzeczy musi być naukowa pewność i śmiałość w obalaniu rzekomych przesądów. Podczas gdy przedstawiciele gruntownej wiedzy, mimo zapału dla swoich idei są bardzo skromni w wypowiadaniu pewników, które sumiennie odróżniają od hipotez, agitatorowie przeciwnie lubią wszystko uważać za ostateczny rezultat nauk ścisłych i podnoszą głośne okrzyki tryumfu tam, gdzie nauka dopiero wyjawia nieśmiałe i wątpliwe przypuszczenia. Że właśnie Haeckel jest arcymistrzem w przekształcaniu hipotez na pewniki, o tem czytelnikom *Przeglądu powszechnego* wiadomo z rozmaitych już tu i ówdzie przytaczanych dowodów. Świadczy zresztą najwymowniej o tem fakt, że w ostatnich latach uczeni przyrodnicy, jakby umyślnie się skupili do zbiorowego przeciw Haecklowi ataku. Nie można jednak twierdzić, jakoby dopiero niedawno przejrzeli taktykę swego kolegi — nie, znali ją od dawna, i powszechnie byli o tem przekonani, że trudno tę encyklopedyę, którą przedstawiają *Welträtsel*, — tę dziwną, i naszkicowaną tylko mieszaninę historycznej i przyrodniczej wiedzy ze skróconą filozofią, ten czysty katalog problemów uważać za pogląd na świat. Autora takiego plagiatu nauki należało ignorować pod względem naukowym — takie było słuszne zdanie licznych mężów nauki. Kiedy zaś *Welträtsel* u tysięcy ciekawych znalazły poklask, kiedy w wydaniu popularnem rozeszły się w przeszło 200.000 egzemplarzy, kiedy z pominięciem prawdziwie naukowych dzieł szersze warstwy wzięły tę karykaturę za rzetelną wiedzę, wtedy uczucie obywatelskie mężów nauki przeważyło na szali nad słusznem zrazu ignorowaniem naukowego szalbierza, i zapłonęło żywem oburzeniem.

To też przedstawiciele wszystkich dziedzin wiedzy, wcho-

dzących w zakres światopoglądu Haeckla, wystąpili dziś otwarcie i potępili dyletantyzm profesora w Jenie, każdy w imieniu swej fachowej wiedzy.

Filozofowie tej miary co Du Bois-Reymond, Wundt, Paulsen, Rehmke, Wigand, Adickes, Hartmann, Busse, Külpe, Chamberlain, Gutberlet, Ueberweg-Heinze, — zoologowie, jak Virchow, Semper, Wasmann i uczniowie niegdyś Haeckla: Hamann i Fleischmann, profesorowie anatomii, jak Haacke, Hertwig, His, Rütimeyer, Brandt, biologowie i botanicy jak Reinke, Hansen, Brass, fizycy, jak Chwolson, paleontologowie, jak Branco, Steinmann, etnologowie, jak Bastian, teologowie katoliccy i protestanccy, jak Lotfs, Harnack, apologeci, jak Dennert, Schanz, Gutberlet, Schel, nawet moniści jak Adickes i darwiniści jak Schultz, — stają w obronie swych fachowych umiejętności i nie szczędzą Haecklowi najcięższych zarzutów nieznajomości rzeczy i umyślnego fałszerstwa.

Olbrzymie rozpowszechnienie *Welträtsel* bezsprzecznie tłumaczyć należy na tle obyczajowem, t. j. na tle niepohamowanego dążenia do ostatecznego pozbycia się wyrzutów sumienia, które z wiarą w Boga, w nieśmiertelność duszy i wolność woli ludzkiej łączą się jak najściślej — ale zaprzeczyć się nieda, że przyczyniło się do niego niemało ogólne zainteresowanie się naukami przyrodniczemi, które przedtem zbyt szczuple podawano szerszym warstwom. Dlatego też w ostatnich czasach popularna literatura przyrodnicza wzrastała z dniem każdym i doszła już w Niemczech do olbrzymich rozmiarów.

Nie powinno nas to dziwić w wieku pary i elektryczności, w wieku niebywałych postępów technicznych. Ponieważ jednak z rozpowszechnianiem wiedzy, częstokroć ręka w rękę idzie propaganda ateizmu i niechrześcijańskich poglądów, przeto popularyzacya nauk musi się stać zadaniem na wskroś chrześcijańskich uczonych, którzyby rezultaty nauk podawali ogółowi bez monistycznych dodatków, owszem z uwzględnieniem wszystkich momentów dowodowych, świadczących za chrześcijańskim poglądem na świat.

Już od szeregu lat istnieje w Monachium organizacya uczonych w tym właśnie duchu. Jest niem »Towarzystwo dla

nauk przyrodniczych i psychologii«, skupiające w swem gronie bardzo pokaźny zastęp uczonych o szerokiej sławie naukowej, a między nimi znajdują się także liczni przedstawiciele Kościoła katolickiego. Organem tego towarzystwa jest illustrowany dwutygodnik, *Natur und Kultur*[1], istniejący już obecnie szósty rok pod redakcyą Dr. Völlera w Monachium. Zadaniem tego czasopisma jest zaznajamianie szerszych warstw inteligentnych z rezultatami przyrodniczych badań, w miarę ich znaczenia i związku z dzisiejszem życiem kulturalnem. Sumienna przedmiotowość i chrześcijański światopogląd, na których czasopismo to się opiera, stawiają je w rzędzie najdzielniejszych przeciwników materyalizmu, ateizmu i panteizmu, które tak często i mylnie uważa się dziś za wynik nowożytnej wiedzy przyrodniczej. Na łamach czasopisma *Natur und Kultur* nie widać fantastycznych hipotez, a hipotezy naukowe nigdy tu nie występują w postaci pewników. Przytem charakter czasopisma nie jest polemiczny: chce ono nie tyle bronić się przed zaczepkami, ile pozytywnie budować. Odpiera ono także zarzuty przeciw chrześcijańskim poglądom, gdzie tego prawda się domaga, ale głównym jego celem jest gruntownie pouczać ogół we wszystkich dziedzinach wiedzy przyrodniczej i kulturalnej, wiążących się z aktualnym stanem dzisiejszej kultury.

Rzut oka na rocznik V (październik 1907 — wrzesień 1908) pouczy nas o bogatej treści tego czasopisma i pokaże nam naocznie doniosłe jego znaczenie dla chrześcijańskiej oświaty.

Rozpocznijmy od artykułów filozoficznych i teologicznych. Znajdujemy tu rozprawę Dr. M. Petersa o aktualnej kwestyi biblijnej wobec nauk przyrodniczych, z której jasno się pokazuje, że o sprzeczności między teologią biblijną a naukami przyrodniczemi nie może być mowy, jak długo nauki przyrodnicze nie przekraczają swych naturalnych granic a teologia zachowuje się w obrębie prawd, w których jest kompetentną.

Ks. Prałat, prof. Dr. C. Gutberlet zestawia w artykule:

---

[1] Redakcya znajduje się w Monachium, Victoriastrasse 4. Każdy zeszyt obejmuje 32 strony in fol.

*Der moderne Monismus* rozmaite systemy monistyczne i poddawszy je krytyce, zaznacza, że jedynym prawdziwym monizmem jest tylko monizm chrześcijański, który przyjmuje jednego osobowego Boga jako przyczynę sprawczą całego uniwersum, oraz jako ostateczny cel, do którego znów wszystko wraca, jak wszystko od niego wzięło swój początek.

Maks hr. Preysing w nawiązaniu do wykładów ks. Wasmanna T. J. w Berlinie, wykazuje na podstawie stąd powstałych prac naukowych, że chrześcijański pogląd na świat nie doznał żadnej porażki wobec rezultatów nowoczesnej wiedzy przyrodniczej.

Nader ważny postulat stawia zwolennikom teoryi ewolucyonistycznej Prof. Dr. Reinke pod nagłówkiem: *Kritische Abstammungslehre.* Domaga się słynny biolog krytycznego zastanawiania się wobec fantastycznych i dogmatycznych marzeń, któremi zwolennicy ewolucyonizmu zasłaniali naukowe jądro kwestyi, i żąda poważnego określenia podstaw, na których naukowa teorya ewolucyi mogłaby się wogóle oprzeć. Dokładne i sumienne rozróżnienie tego, co rzeczywiście wiemy od tego, co tylko przypuszczamy, tudzież ocenienie hipotez, jako hipotez, jest według Reinkego dziś niezbędnie konieczne, gdyż adepci Darwina nie umieli zachować krytycznej skromności, z jaką Darwin z początku wygłosił swe hipotezy, jako próby wyjaśnienia zmienności gatunków.

W innym artykule daje nam Reinke treściwą charakterystykę, t. z. neowitalizmu, i określa jego pogląd na celowość w biologii. Z biologii nie można usunąć celowości, podobnie jak nie można się w niej obejść bez prawa przyczynowości. Zastrzega się autor przed zarzutem, jakoby tylko rozum ludzki wnosił w przyrodę przyczynowość i celowość, gdyż przeciwnie rozum je odczytuje z rzeczywistych faktów w świecie organizmów.

Bardzo głęboko i pięknie omawia H. Kersten kwestyę opanowania przyrody przez człowieka. *Homo naturae domitor.* Wobec popularnego frazesu o ujarzmianiu przyrody przez dzisiejszego człowieka, wskazuje autor na fakt, że prawa przyrody nie są owocem spekulatywnych dociekań człowieka, lecz obcą, przedmiotową potęgą, która się rozumowi narzuca z zewnątrz, i występuje raczej w roli nauczyciela i mistrza, nie zaś powol-

nego na zachcianki ludzkie sługi. Tak więc poznanie przyrody nigdy nie uprawnia człowieka do ubóstwiania siebie wobec jej sił, lecz poucza go o uznaniu swej zależności od twórcy jej praw, którym poddać się musi, jakkolwiekby postąpił w ich poznawaniu. Sprawdza się ten sam stosunek także w zakresie stosowanej wiedzy przyrodniczej, w dziedzinie techniki, dla której, jeśli mielibyśmy dać wiarę szumnym, a naiwnym frazesom pewnych dzienników, nic już niema niemożliwego. Ludzkość stwarza sobie swą kulturę i historyę — to prawda, ale uskutecznia to tylko w obrębie tych granic, które sama przyroda jej zakreśla. Jeśli zaś »król stworzenia« niejednokrotnie zapomina o wyższości sił przyrody, względnie ich autora, sama przyroda przypomina mu tę prawdę, nieraz aż zbyt dotkliwie, jak to ma miejsce przy wybuchach wulkanów lub trzęsieniach ziemi. Wtedy to upojony swą wszechwładzą nad siłami przyrody człowiek nie myśli o zwycięstwie i panowaniu, lecz jedynie o ucieczce. Prawdziwa wiedza musi się łączyć ze skromnością i uległością wobec stwórcy — to myśl, która się czytelnikowi mimowoli nasuwa.

Problem wolności woli wyświetlają prace prof. Kuciba o sprzeczności monizmu z faktem wolnej woli ludzkiej, i Brauna o patologicznych wpływach na wolność woli u przestępców. Pokrewny artykuł o hypnotyzmie i zbrodni, jest wyjątkiem z ciekawej książki Hudson'a p. t.: *Das Grundgesetz der psychischen Erscheinungen.* Podstawami psychologii Hudsona są suggestya i hypnoza, a zwłaszcza instynktowna autosuggestya, objawiająca się na tle przekonań, nawyknień i popędów danego indywiduum. Podmiotowe »Ja« idzie za silniejszą suggestyą, choćby nieświadomą i instynktowną: a zatem suggestyonowanie zbrodni tylko wtedy może doprowadzić do rzeczywistego przestępstwa, jeśli indywidyum już skądinąd posiada zbrodnicze usposobienie. Mniemanie, jakoby osoba w stanie hypnotycznym lub pohypnotycznym była bezwzględnem narzędziem zbrodni w rękach hypnotyzera, ma swoje źródło w pokojowych eksperymentach i panoptycznych zabawach, ale nie sprawdza się w rzeczywistości. Zeznaniom hypnotyzowanych osób wobec sądu nie można dać wiary: chociaż bowiem często w stanie hypnotycznym osoba jakaś mówi rzeczy,

którychby nie mówiła na jawie, to jednak nigdy nie zdradzi ważnej tajemnicy, odnoszącej się do obrony siebie lub przyjaciół, lub materyalnych korzyści.

Wróćmy jeszcze do rozprawy Brauna, bo i ona zawiera ciekawe szczegóły dla kryminalistycznej antropologii. Braun określa najpierw zasadniczy punkt wyjścia Lombrosa, fizyczny i psychiczny atawizm, oparty na hipotezie darwinistycznej, następnie przedstawia nam typ zbrodniarza według Lombrosa. Paralelę między zbrodniarzem a dzieckiem Braun odrzuca, gdyż egoizm dziecka jest naturalnem następstwem popędu zachowawczego, co nie usprawiedliwia wniosku, że dziecko z natury swej jest zbrodniarzem. Przerażające są uwagi Brauna o wpływie alkoholu na zbrodniczość i obłęd: w Niemczech, rok rocznie alkohol prowadzi 180.000 osób przed kraty sądowe, 30.000 do domu obłąkanych, 1,600 do samobójstwa. Braun dochodzi do wniosku, że związek przyczynowy, który Lombroso upatrywał między zbrodnią i indywidualną konstytucyą zbrodniczą, nie istnieje w rzeczywistości. Między niemoralnością a somatyczną lub psychiczną degeneracyą taksamo niema koniecznego związku, jak niema go między moralnym stanem indywiduum a jego moralnością. Ilekroć można skonstatować wpływ somatycznej organizacyi na zbrodnie, staje się jasnem, że nie mamy do czynienia z fizyologicznemi, lecz z patologicznemi zjawiskami. Nie istnieje też obłęd zbrodniczy — *moral insanity* — w pojęciu Prichard'a, jakoby osoba zresztą zdrowa, mogła być zmuszoną do zbrodni na kształt jakiejś monomanii. *Moral insanity* ma sens jako zbiorowy wyraz dla całego szeregu symptomów zwyrodnienia moralnego na tle patologicznem, ale mówić o każdym zbrodniarzu, że cierpi na *moral insanity*, — byłoby błędem.

Powszechne zainteresowanie budzą wiadomości z zakresu pomocniczych nauk kryminalistyki, które znajdujemy w kilku zeszytach. Entomologia poucza o czasie, w którym popełnione zostało morderstwo, o czem wnioskuje z rozwoju i gatunku owadów, znajdujących się w gnijących zwłokach; fotografia niezmierne oddaje usługi przy odkrywaniu sfałszowanych dokumentów, badaniu krwi, włosów, nasienia przy pomocy chemii,

wreszcie daktyloskopia z odcisków palców dochodzi do skonstatowania zbrodniarzy.

Zwróćmy się teraz do innych działów wiedzy przyrodniczej. Z astronomii i matematycznej geografii podaje nam *Natur und Kultur* zajmujące rozprawy o czasie i kalendarzu, o promieniowaniu w systemie słonecznym i o składzie drogi mlecznej, podczas gdy w pomniejszych wiadomościach dowiadujemy się o sposobie tworzenia się meteorów przez nagłe przejście minerałów, tak metalicznych, jak kamiennych, ze stanu gazowego w stały, o widmie plam słonecznych i ruchu planet.

Bardzo bogato przedstawia się dział botaniki, biologii i geografii roślinnej. Podnoszę tu tylko praktyczne artykuły o najciekawszych roślinach wodnych naszych akwariów, o grzybach i ich znaczeniu dla przyrody i człowieka, o dębiakach, o zyskiwaniu, preparowaniu i zastowaniu w przemyśle kauczuku i gumy, oraz krótsze notatki o fosforescencyi drzewa, którą się tłumaczy tworzeniem się świecących grzybów, i o wpływie światła gazowego na rośliny. Co do ostatniego wykazały doświadczenia zrobione w fizyologicznym instytucie w Chrystyanii, że dość powszechne mniemanie, jakoby światło gazowe szkodliwie wpływało na rośliny i kwiaty, jest nieuzasadnionym tylko przesądem.

Cenne uwagi z zakresu chemii podaje prof. Reinke, w nawiązaniu do kongresu najznakomitszych fizyków i chemików angielskich w Leicester (sierpień 1907). Przyznaje, że z teoryi elektronów, pomyślanych jako dynamidy, czyli ostateczne materyalne cząsteczki, w zasadzie możnaby wyciągnąć wniosek o możliwości przemiany pierwiastków chemicznych, któreby się różniły między sobą tylko ilością dynamid zawartych w jednym atomie. Tem samem otworzyłoby się nowe pole badań nad historyą rozwoju pierwiastków. Jeśli bowiem elektrony uważa się za zgęszczenie eteru kosmicznego, oraz za składniki atomów, to tem samem możnaby pierwiastki nazwać tworami, historycznie się rozwijającymi, a konsekwentnie możnaby pomyśleć o phylogenii pierwiastków, zupełnie analogicznie pojętej do phylogenii organizmów.

Zaciekawiający przyczynek mineralogiczny pod tytułem: »Płynne, pozornie żyjące kryształy«, zawdzięczamy prof.

A. Volmittowi; także drobniejsze referaty o powolnem zużywaniu się i o znikomości metalów, oraz o ich przemienianiu w stan gazowy spotykamy pod tą rubryką.

Aktualne znaczenie dla monarchii austro-węgierskiej ma rozprawka o główkach zapałek fosforowych: wszak wiadomo, że w monarchii liczba samobójstw za pomocą fosforu jest bardzo znaczna.

Nadzwyczaj pouczające są z dziedziny geofizyki uwagi prof. uniw. d-ra Goekla o zawartości prochu w powietrzu atmosferycznem, i o rozmaitych zjawiskach w przyrodzie, które się tem tłumaczą, jak np. tworzenie się mgieł i obłoków, koloryt górzystych krajobrazów, ciekawe zjawiska mroku, a po części subtelne, a jeszcze nie całkiem wyjaśnione światła polarne. Także sprawozdanie z naukowego badania trzęsień ziemi w Alpach, podane przez prof. Messerschmitt'a, konserwatora obserwatoryum magnetyzmu ziemskiego w Monachium powszechne budzi zainteresowanie. Jak wielkie znaczenie dla nauki posiada latawiec, umiłowana przez młodzież zabawa, wykazuje dr. Schultze. Do latawców, które już od r. 1883, ale ze skutkiem dopiero w ostatnich dziesięciu latach stały się wybornym środkiem pomocniczym meteorologii, przyczepia się lekkie przyrządy, rejestrujące automatycznie temperaturę, ciśnienie i wilgotność powietrza, te najważniejsze warunki meteorologicznych badań, wyższej atmosfery sięgającej 4—5000 m. Oczywiście trzeba tu jeszcze wiele ulepszeń by otrzymać dokładne rezultaty. Największe usługi oddaje latawiec badaniom atmosfery nad oceanami, gdyż tu właśnie tworzą się barometryczne minima, które wielki wpływ wywierają na pogodę.

Do rozmaitości treści czasopisma przyczyniają się bogato i pięknie illustrowane opisy podróży i charakterystyki geograficzne dalekich krajów z uwzględnieniem etnograficznych wiadomości.

Kończę ten przegląd wyliczeniem działów, których w tem zestawieniu dla braku miejsca już nie uwzględniam. Mam tu na myśli fizykę i matematykę, paleontologię, geologię, zoologię, biologię i geografię zwierząt, me-

dycynę i hygienę, a nareszcie technikę i przemysł. Każda z tych gałęzi wiedzy jest uwzględniona, a wybór szczegółów z nich zaczerpniętych jest nader trafny; wszystko niemal odnosi się do praktyki i do zakresu ogólnego wykształcenia.

Obfitość i rozmaitość materyałów podanych czytelnikom w tych 24 zeszytach, o objętości 32 stron, świadczy wymownie o znakomitem redagowaniu czasopisma. Współpracownikami pisma *Natur und Kultur* są przeważnie wybitni uczeni specyaliści. Widać to nie tylko z ich nazwisk, ale z metody naukowej ich prac. W treściwych, stosunkowo niedługich artykułach znajdujemy prawie wszędzie pogląd na cały historyczny rozwój danego problemu, oraz wykaz najnowszej literatury fachowej w omawianej kwestyi. Przytem muszę zwrócić uwagę na stronę literacką artykułów. Stanowi ona bez wątpienia jedną z istotnych zalet czasopisma. Obrazowa i miejscami belletrystyczna forma naukowych rozpraw nie tylko popularyzuje nauki przyrodnicze, ale zagrzewa i zaciekawia tych, co się dotąd z braku znajomości przyrody nie interesowali temi kwestyami.

Jeśli zważymy, że gruntowne wiadomości oryentacyjne w dziedzinie nauk przyrodniczych należą dziś do ogólnego wykształcenia tak samo, jak znajomości literackie i artystyczne, to sprawiedliwie i nader przychylnie ocenimy prace Towarzystwa dla nauk przyrodniczych i psychologii, którego organem jest *Natur und Kultur*. Czasopismo nawskróś chrześcijańskie i pełne szacunku dla katolicyzmu, jak to pokazują między innemi liczne przychylne recenzye katolickich dzieł i pochwały katolickich prac, spełnia dziś doniosłe zadanie kulturalne, które zasługuje na gorące poparcie nie tylko u pedagogów i przyjaciół przyrody, ale u wszystkich warstw intelligentnych, którym brak czasu i ochoty do samodzielnych badań zawodowych.

Na końcu jeszcze słówko o kąciku doświadczalnym i obserwacyjnym w poszczególnych zeszytach umieszczonym. Szereg praktycznych wskazówek dla zrozumienia zjawisk fizycznych i przyrodniczych tudzież dla eksperymentowania zaprasza tu czytelnika do samokształcenia się i zachęca do żywszego zainteresowania się naukami przyrodniczemi. Obok nich znajdujemy

także od czasu do czasu bardzo zajmujące zadania matematyczne. Miesięczny pogląd na ruchy planet podaje zawsze adjunkt obserwatoryum morskiego dr. F. Bidschof z Tryestu. Nadto osobna istnieje rubryka wywiadowcza, w której biuro wywiadowcze redakcyi udziela czytelnikom bezpłatnie, a nie abonentom za jednorazową wkładką, odpowiedzi na stawiane zapytania, rad i wskazówek praktycznych we wszystkich gałęziach nauk przyrodniczych i w pokrewnych im dziedzinach. Biuro pośredniczy także w sprawach kupna i zamiany między miłośnikami rozmaitych zbiorów, oraz w nabywaniu książek, aparatów i materyałów doświadczalnych.

Jednem słowem istnienie czasopisma *Natur und Kultur* jest nieustanną apologią chrześcijaństwa ze stanowiska nauk przyrodniczych, gdyż naocznie wykazuje, że niema żadnej rzeczywistej sprzeczności między naszemi przekonaniami religijnemi, a rezultatami, stwierdzonymi przez dzisiejszą wiedzę.

I dlatego na ten tak doniosły objaw należało zwrócić uwagę. Zarazem niech nam wolno będzie wyrazić życzenie, by podobny ruch znalazł i u nas zwolenników i pracowników.

*Ks. Ernest Matzel.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa polskiego.

**Historya polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków.** *Dr Józef Buzek.* Lwów 1909.

Dzieło profesora B., traktując kwestyę pierwszorzędnej dla społeczeństwa polskiego wagi, wymaga szczegółowej i rzeczowej krytyki. Autor jak to sam w przedmowie zaznacza ma podwójny cel na oku: zaznajomić społeczeństwo polskie z położeniem prawno-politycznem ludności polskiej w obrębie państwa pruskiego — następnie zbadać odporność żywiołu polskiego, wobec stosowanego względem niego systemu wynaradawiania, ocenić siły jego ekonomiczne i środki obrony — i na tej podstawie zdać sobie sprawę z szans w walce o narodowość.

Prof. B. kreśli obraz historycznego rozwoju kwestyi polskiej w Prusach aż do czasów teraźniejszych, zestawiając wszelkie fakta, do tej kwestyi się odnoszące, wszelkie zarządzenia rządu pruskiego, zmienne fazy, jakie polityka ta przechodziła, i różnorodność jej w poszczególnych prowincyach przez ludność polską zamieszkałych, omawiając prądy społeczne, o ile na położenie ludności polskiej pośrednio działały, stosunki ekonomiczne, stosunki panujące w dziedzinie kościelnej.

Materyał zawarty w książce prof B. jest nadzwyczaj obfity, zbyt może treściwie przez autora niekiedy przedstawiony, lecz dobra dyspozycya, ścisły porządek w ugrupowaniu podanych faktów i omawianych kwestyi, jest dodatnim momentem, który ułatwi pracę temu, który z książki prof. B. jako źródła informacyjnego korzystać będzie. Z uzna-

niem podnieść należy ogromną pracę i pilność autora w zebraniu tak bogatego materyału w faktach i datach statystycznych.

Przyznać należy prof. B. wielką bezstronność, subjektywnego punktu widzenia na sprawy nigdzie dopatrzyć się nie można.

Co prawda prof. B. zestawia przeważnie suche fakta, opatrując je w komentarze o tyle tylko, o ile konieczne dla zrozumienia rzeczy.

Dla badacza dziejów ojczystych porozbiorowych, dzieło prof. Buzka przedstawia pracę źródłową, przygotowawczą, przewyższającą pod względem obfitości zebranego materyału i wszechstronności wszelkie dotychczasowe publikacye polskie na tem polu.

Tem bardziej ubolewać należy nad tem, że autor przenosząc nas na teren walki ekonomicznej, omawiając siły ekonomiczne społeczeństwa polskiego, zbytnio zaufał źródłom niemieckim, opierając się na podanych przez nich faktach i cyfrach, powtarzając wiernie ich poglądy nie zawsze słuszne a dla społeczeństwa polskiego niebezpieczne.

To, co prof. B. o sprawach agrarnych w kwestyi toczącej się zawzięcie »walki o ziemię« o parcelacyi polskiej pisze, jest wyraźnie zaczerpnięte z książki: *Das polnische Gemeinwesen in preussischem Staat* Profesora Bernharda. Dzieło to wydane przy końcu 1907 r. obejmujące całość kwestyi polskiej w Prusach, w społeczeństwie niemieckiem wielkie zrobiło wrażenie. Oparte pozornie na ścisłych badaniach naukowych, służy publicystom i politykom niemieckim jako źródło informacyjne w sprawach polskich.

Książka Bernharda jest na wskroś tendencyjna, niebezpieczeństwo polskie stara się jak najsilniej napiętnować. Dzieło to nie pozostało bez odpowiedzi ze strony polskiej. Szkoda wielka, że prof. B. nie zapoznał się z dwiema krytykami tego dzieła, mianowicie z krytyką ks. kanonika Kaz. Zimmermanna z Poznania, ogłoszoną w czasopiśmie *Archiw für Socialpolitik und Socialwissenschaft* oraz z broszurką *Professor Bernhard als Statistiker.*

Uwzględniając wspomniane dwie rozprawy byłby prof. B. uniknął kilku błędów i mylnych poglądów, które się do pracy jego zakradły.

Przechodząc do krytyki szczegółowej zaczepić nam przedewszystkiem wypadnie zapatrywanie prof. B. na czynniki, które wywołały nagły i niezwykły wzrost cen ziemi. Doniosłość faktu tego prof. B. należycie ocenia pisząc (str. 317).

»Najważniejszym faktem ekonomicznym dominującym nad całą sytuacyą w zaborze pruskim, jest niesłychany wzrost cen ziemi. Wzrost

ten ma wprawdzie kilka przyczyn jak np. postęp rolniczy w Księstwie, polepszenie stosunków ekonomicznych, socyalne i ekonomiczne dźwiganie się proletaryatu polskiego i przywiązanie jego do ziemi, przyczyną główną jest jednak walka narodowościowa o ziemię«. Następnie (str. 319).

»Wzrost cen ziemi odbywa się szczególnie od r. 1902, wskutek konkurencyi polskich banków parcelacyjnych w sposób tak gwałtowny, iż w r. 1907 płaciła już komisya za *ha* ziemi blizko dwa razy tyle, co w r. 1901, a blizko trzy razy tyle, co w r. 1899. Wzrost ten cen nie pozostał wobec ogólnej walki o ziemię bez wpływu i na ogólną cenę ziemi w Poznańskiem i Prusach zachodnich«.

Omawiając dalej prawdopodobne skutki ustawy o wywłaszczeniu (na str. 369) twierdzi prof B. że w okręgach wywłaszczeniem dotkniętych, cena ziemi się obniży, gdyż nikt nie będzie chciał tam kupować z obawy przed materyalną stratą w razie wywłaszczenia i przewiduje bankructwo słabszych ekonomicznie ziemian polskich, którzy o ile są przedłużeni, nie będą mogli zaciągać nowych pożyczek hipotecznych.

Z tego, co przytoczyliśmy wynika, że prof. B. obecne ceny ziemi uważa za sztuczne, wywołane walką konkurencyjną o ziemię, nieodpowiadające jej wartości przedmiotowej.

Kwestya ta w obecnej chwili dla społeczeństwa pierwszorzędnej jest wagi, dlatego nad nią zatrzymać się nam godzi.

Ustawa o wywłaszczeniu gwarantuje wywłaszczonemu pełne odszkodowanie, — z tego powodu kwestya czy obecne ceny ziemi są ekonomicznie usprawiedliwione lub nie, ma wielkie znaczenie.

Nadmienić musimy, że obecne ceny ziemi, dzieło kolonizacyi nadzwyczaj utrudniają. Niesłychane sumy, które ono pochłania, nawet u szczerych zwolenników tej polityki głośne niezadowolenie wywołało, nie brak i głosów dowodzących, że kolonizacya rujnuje finanse państwa. Teza o sztucznych cenach ziemi, którą głosi Bernhard i inni publicyści niemieccy oraz memoryał rządowy: *20 Jahre deutscher Kulturarbeit* (wydany przy końcu r. 1907) oparta jest na niewątpliwym zresztą fakcie, że wzrastający popyt na ziemię przyczynił się do podniesienia cen ziemi, że komisya kolonizacyjna z konkurencyą polskich instytucyi parcelacyjnych liczyć się została zmuszoną. Z sytuacyi, która się skutkiem konkurencyi o ziemię wytworzyła skorzystali niemieccy właściciele majątków, podsuwając kupców polskich, grożąc oddaniem majątku w ręce polskie. Manipulacye te, które opisuje prof. B. (str. 318) spowodowały niewątpliwie, że niejeden majątek przepłacony został, nie

uprawniają jednak do uogólniania faktów pojedynczych do zasadniczego twierdzenia, że ceny wogóle są wygórowane.

Błędnem zupełnie bowiem jest mniemanie, że ceny ziemi obecnymi warunkami ekonomicznymi, postępem rolniczym, usprawiedliwić się nie dadzą. Wiadomym ogólnie w kołach ziemiańskich jest faktem, że renta z majątków o doskonałej kulturze rolnej w stosunku do cen płaconych za ziemię jest bardzo wysoką. Kilka artykułów w pismach fachowych tak niemieckich, jak polskich, udowodniły na podstawie cyfr, na doświadczeniach z praktyki zaczerpniętych, że produkcya głównych płodów rolniczych tak się opłaca, iż zwyżka cen ziemi zupełnie jest uzasadniona.

Ceny ziemi są czynnikiem, który w przeprowadzeniu dzieła kolonizacyjnego za pomocą wywłaszczenia poważne trudności zgotować może.

Zapatrywanie prof. Buzka na tę kwestyę, teorya o wygórowanych cenach majątków, na szczęście nie odpowiada rzeczywistości. To, co autor w tej mierze głosi, schodzi się z interesem rządu polityki antypolskiej, lecz nie odpowiada bynajmniej żywotnym interesom społeczeństwa polskiego.

Podobny zarzut niestety profesorowi B. jeszcze w innej sprawie uczynić nam wypadnie. Nader ważnej kwestyi parcelacyi polskiej prof. B. poświęca wiele miejsca. Rozwój tejże począwszy od r. 1886, koleje, które przechodził stan włościański, prawodawstwo krajowe tyczące się osadnictwa wogóle, autor słusznie przedstawia. Nie chcielibyśmy wdawać się w polemikę o ile prof. B. działalność poszczególnych instytucyi polskich parcelacyjnych i zasługi ich sprawiedliwie ocenia, uznając, że zdania co do tego mogą być bardzo podzielone. Jednak zaznaczyć należy, że wyróżnienie jednej z tych instytucyi [1], przypisanie jej zasługi, że parcelacyi polskiej nowy i właściwy wskazała kierunek, jako przesadę napiętnować należy. W tym punkcie wpływ książki Bernharda jest widoczny, zaznaczający się jeszcze wyraźniej w poglądzie autora na obecne położenie parcelacyi polskiej.

Bernhard głosząc tezę o wyższości Polaków w walce o ziemię uzasadnia ją w następujący sposób.

1) Parcelacya polska polega głównie na dzieleniu ziemi między włościan okolicznych, (t. zw. parcelacya sąsiedzka — *Adjacentenparcellierung).*

[1] Bank parcelacyjny w Poznaniu.

2) Postępowanie to przedstawia następujące korzyści:

*a)* Nie potrzeba stawiać nowych domów mieszkalnych i budynków gospodarczych, które wszelką parcelacyę znacznie droższą czynią.

*b)* Nie jest obarczona prestacyami, które przy tworzeniu nowych kolonii prawnie są zastrzeżone, (na szkołę, rolę sołecką dom dla ubogich gminnych i t. d.).

3) Parcelacya w ten sposób prowadzona właśnie w Księstwie i Prusach zachodnich tak korzystnie rozwijać się może, bo w prowincyach tych istnieje 225.000 gospodarstw karłowych *(Zwergbetriebe)* poniżej 2 *ha.* Ta klasa drobnych włościan opanowanych powszechnem dążeniem do dźwignięcia swego stanowiska społecznego, dostarcza najliczniejszego kontyngentu t. zw. obieżysasów i robotników pracujących w przemysłowych okręgach zachodu. Ludzie ci zarabiają i oszczędzają znaczne sumy, które na kupno ziemi obracają, płacąc za nią wygórowane ceny.

4) Dzięki tym okolicznościom parcelacya polska jest i zyskowna i łatwa, instytucye parcelacyjne polskie są w stanie płacić za ziemię ceny wyższe, niż ktokolwiek inny.

Tak rozumuje Bernhard a prof. B. wiernie powtarza (str. 349 i nast.) cytując również cyfrę 225.000 drobnych właścicieli, na których rzekoma wyższość Polaków w walce o ziemię polega. Niestety jednak w Księstwie i Prusach zachodnich nie ma 225.000 drobnych właścicieli poniżej 2 *ha* — liczba ich według statystyki urzędowej *(Preussische Statistik)* wynosi tylko 44.000 t. j. mn. w. 5 razy mniej niż podają Bernhard i prof Buzek; a dodać trzeba, że w tej liczbie jest sporo Niemców, którzy dla parcelacyi polskiej nie wchodzą w grę. Liczba 225.000 odnosi się nie do własności lecz przedsiębiorstw rolnych, do których statystyka urzędowa *(Deutsche Reichsstatistik — Das Grundeigentum)* zaliczyła parobków, wogóle wszystkich robotników bezrolnych, którzy użytkują choćby z małego ogródka, lub chowają drób, nierogaciznę i t. p.

Liczba włościan małorolnych tworzących podstawę, na której parcelacyę sąsiedzką uprawiać można jest tak mała, że tylko w wyjątkowych wypadkach większą własność ziemską w ten sposób rozdrobnić można. Trudności dla parcelacyi polskiej są niestety tak wielkie, że ruch parcelacyjny z każdym rokiem słabnie. Mimo tego prasa antypolska parcelacyę polską, w celach oczywiście tendencyjnych, jako nadzwyczaj groźną siłę przedstawia. Wiadomo, że projekt zakazania polskiej parcelacyi kilkakrotnie był poruszony.

Dlatego nie leży bynajmniej w interesie polskim przypisywać ruchowi parcelacyjnemu znaczenie, którego nie posiada, a społeczeństwo polskie niechaj nie oddaje się illuzyi, że w walce o ziemię posiada atut, który mu bezwarunkową wyższość w tej walce zapewnia. Optymizm nieuzasadniony nigdy na dobre wyjść nie może. Dlatego uważamy za słuszne sprostować mylne wieści, które prof. B. o parcelacyi polskiej rozszerza, kładziemy też nacisk i na to, że poglądy te jako materyał do dalszych ustaw antypolskich wyzyskiwane być mogą. Czytelnika uderzyć musi zdanie na str. 335), że Polacy majętni nabywają po wysokich cenach majątki od Niemców, by podnieść swe znaczenie w społeczeństwie. To dziwne twierdzenie tłumaczy się jedynie tem, że prof. B. zupełnie pod wpływem książki Bernharda pisze. Bernhard, który w kwestyi wartości ziemi zupełnie stoi na stanowisku publicystów Niemców, nie mógł pominąć głośnego faktu, iż szereg majątków przeszedł w ręce polskie po cenach nieraz wysokich, przewyższających nawet ofertę komisyi kolonizacyjnej. Bernhard nazwał te kupna *Demonstrationskäufe* kupna dla demonstracyi, twierdząc przytem, że majątki te ulegają prędzej czy później parcelacyi. Tendencyjność tego twierdzenia aż zbyt widoczna — a teza Bernharda w spomnianej już broszurce *Profesor Bernhard als Statistiker* odpartą została, w której przedewszystkiem stwierdzono, że ogromna większość majątków, nabytych przez Polaków od Niemców w przeciągu ostatnich lat 10, dotychczas pozostaje w ręku pierwszego nabywcy.

Poza tymi najważniejszymi błędami w dziele profesora Buzka zanotować nam wypada jeszcze kilka pomniejszych niedokładności:

I) Pisząc o uwłaszczeniu włościan (na str. 118) prof B. twierdzi, że nie mniej jak $^1/_4$ gospodarstw przeniesiono na krańce wsi na ziemię najgorszą na nowiny po wykarczowanym lesie lub osuszonem bagnie. Ustawa pruska regulująca stosunki pańszczyźniane zezwalała wprawdzie na przenoszenie gospodarstw włościańskich, ale z warunkiem wynagrodzenia pod względem jakości ziemi. Trudno przypuszczać, by regulacya przeprowadzona pod nadzorem komisarzy pruskich szlachtę polską z krzywdą włościan forytowała. Zresztą obdzielenie włościan najgorszą ziemią jeszcze dziś uwydatniaćby się musiało, czemu zaprzeczyć należy.

II) Prof. B. twierdzi (str. 293), że przed r. 1815 właścicielami majątków byli niemal wyłącznie Polacy, znaczna przewaga wielkiej własności niemieckiej nad polską w r. 1860 (str. 294) spowodowanąby zatem była z wyprzedawania się szlachty polskiej począwszy od r. 1815.

Stwierdzić należy, że już przed r. 1815 wielka część własności ziemskiej znajdowała się w rękach niemieckich. W tej części Polski, która już w r. 1772 t. j. przy pierwszym podziale do Prus się dostała, król Fryderyk II, zabronił dzierżawcom tych majątków, których właściciele w ziemiach do Polski należących mieszkali, płacenia czynszów dzierżawnych pod pretekstem, że przez wywożenie pieniądza kraj zubożeje a równocześnie zniósł dla tej części kraju zakaz istniejący podówczas dla nieszlachty nabywania majątków ziemskich. Skutkiem tego już wówczas bardzo wiele majątków polskich sprzedanych zostało. Po okupacyi kraju rząd pruski zagarnął wszystkie królewszczyzny polskie i dobra klasztorne, które w części do dóbr państwa przyłączone zostały, w części za panowania Fryderyka Wilhelma II Niemcom rozdane lub rozsprzedane zostały.

Magnackie rodziny polskie posiadające majątki w zaborze pruskim przeważnie wkrótce po rozbiorach ich się pozbyły. I tak sprzedał ks. Sapieha ogromny klucz Wieleński — ks. Jabłonowski znaczne swe posiadłości w r. 1801 królowi holenderskiemu pozbawionemu tronu swego przez Francuzów, przebywającemu podówczas w Berlinie.

Już przed r. 1815 część własności ziemskiej znajdowała się w ręku niemieckim i to nie tylko szlacheckiej ale i drobnej, co zaznaczyć wypada ze względu na statystykę podaną przez prof. B. na str. 297. Według niej obejmowała r. 1880 własność włościańską w Księstwie ogółem 1.055.200 *ha*, z których 655.700 *ha* posiadali Polacy — 399.500 *ha* Niemcy. W tym samym rozdziale pisze prof. B. o ciężkiem położeniu ekonomicznem włościan polskich wkrótce po uwłaszczeniu i ich bezradności i wyprzedawaniu się — nieco dalej o emigracyi i osiedlaniu się Niemców aż do r. 1867, co czytelnika na myśl naprowadzić może, że owe 399.500 *ha* stracili włościanie polscy na rzecz obcych przybyszów.

Drobna własność niemiecka w Księstwie i Prusach daleko dawniejszych sięga czasów. Pomijając kolonizacyę Fryderyka II i Flottwella (naczelnego prezesa Ks. Pozn. od r. 1830—1842) liczne osady niemieckie datują przeważnie z XVII i XVIII wieku. Kolonistów Niemców osadzała szlachta na wykarczowanych lasach, stąd nazwa *Hemland* (poręba) którą się osady te po dziś dzień oznacza.

Ludność rdzennie niemiecką posiadało już za czasów polskich kilka okolic np. ziemia wschowska, należąca pierwotnie do Śląska, zniemczona już za czasów Henryka księcia Głogowskiego, głównego germanizatora słowiańskiego niegdyś Śląska dolnego — północna część

powiatu Międrychodzkiego, gdzie sprowadzony w XIII w. do Paradyża zakon Cystersów okolicę tę niemieckimi kolonistami obsadził. Dzięki geograficznemu położeniu tych okolic, stykających się bezpośrednio z Śląskiem dolnym i Brandenburgią, dzięki tolerancyi polskiej dla żywiołów obcych, ludność niemiecka w Wielkopolsce osiadła, narodowość swą zachowała.

Prof. B. wspomina kilkakrotnie o prawie przedkupu zaintabulowanem na majątku na rzecz banku ziemskiego lub innej instytucyi polskiej, twierdząc (na str. 317), że majątek w ten sposób nigdy już w posiadanie Niemców przejść nie może. Prawo pierwokupna *(Vorkaufsrecht)* zastrzega dla pewnej osoby lub instytucyi pierwszeństwo w razie sprzedaży majątku na warunkach ofiarowanych przez osobę trzecią. Skutecznem jest jednak tylko wówczas, jeżeli ten, dla którego prawo to jest zaintabulowane, z niego korzysta, w praktyce niestety nie zawsze okazało się to możliwem.

Pozwolimy sobie p. prof. B. jeszcze uwagę zwrócić na to, że po polsku pisze się i mówi Wągrówiec i Janówiec nie zaś Wągrowice i Janowice — (str. 325) — mimo, że po niemiecku miasta te nazywają się Wongrowitz - Janowitz i że polska nazwa miasta Schönsee w Prusach zachodnich brzmi Kowalewo.

Poza wykazanymi błędami uznać należy książkę prof. B. jako poważne i pożyteczne dzieło. Żałujemy, że prof. B. podejmując się tak ważnej i mozolnej pracy nie zasięgnął informacyi u osób kompetentnych, nie postarał się o sprawdzenie prawdomowności publicystów niemieckich. Zwłaszcza w omawianiu objawów z dziedziny ekonomicznej ostrożność w użytkowaniu materyału publicystycznego i statystycznego jest wskazana, przy braku własnej znajomości stosunków i osobistego z nimi zetknięcia.

*Z. Chłapowski.*

**U grobu św. Wojciecha.** Pierwsze posłannictwo Polski i jej wywłaszczenie. *Ks. Jan Fijałek.* Lwów. Nadbitka z *Ateneum Polskiego* z kwietnia 1908 r. 8-ka, str. 30.

Krótkie to studyum, jak wszystkie prace ks. Fijałka, *redolent oleum*, jakby powiedział stary Cycero, czuć naftą, mówiąc po nowożytnemu. Jest ono wynikiem poważnych studyów i głębokiej refleksyi obeznanego z epoką sumiennego i bystrego badacza. Ujęte jest w formę szkicu historycznego, przywróconego w badaniach średniowiecznych do swych praw przez prof. Wojciechowskiego. Dla czytelnika niefachowca,

dla laików zarówno jak i dla autora jest ta forma arcywygodna; dla krytyka-recenzenta, który ma chemicznie analizować dorobek autora, który ma wykazać, co jest jego inwencyą, a co tylko rekapitulacyą poprzednich badań i cudzych studyów, jest to nielada orzech do zgryzienia, orzech na którym i przy którym nawet nasi poważni badacze niejednokrotnie wydali sobie *testimonium pauperitatis*, jeżeli nie myśli, to przynajmniej sumienności i gruntowności w krytyce. Nic bowiem łatwiejszego, jak prace autora posiadającego renomowaną firmę kilku panegirycznemi komunałami podnieść pod niebiosa, wyrwać kilka oryginalnie wyglądających pomysłów z pracy, sławić je jako inwencyę uwielbianego mistrza i wystawić siebie na sztych poważnej krytyki, iż się cudze piórka bezwiednie imputowało autorowi, a swoją reputacyę naukową wystawiło na blamaż ignorancyi. Takie recenzye pojawiają się u nas niestety nawet w fachowych czasopismach z pod pióra powag uniwersyteckich. A jeżeli się pojawi od czasu do czasu poważny protest przeciw powierzchownemu traktowaniu kwestyi poważnych przez t. zw. powagi literackie, pozujące na wszechwiedzę i nieomylność, tedy taki protest uchodzi u nas za głośny wypadek dnia, za dowód niezwykłej odwagi cywilnej, no i w sferach firm renomowanych za objaw pewnej animozyi osobistej lub zuchwałej napaści. Tak się dzieje niekiedy na naszym galicyjskim partykularzu w przeciwieństwie do europejskiej naukowości, krzewiącej kult prawdy, nie osób. W interesie prawdy też. stwierdzić muszę, że nie mając pod ręką biblioteki ani całego warsztatu naukowego potrzebnego dla oceny naszego średniowiecza, nie mogę skonstatować, co w szkicu ks. Fijałka jest jego dorobkiem, a co opiera się na pracach takiego W. Kętrzyńskiego, Małeckiego, Abrahama, Wojciechowskiego i innych. Stwierdzić jednak mogę to jedno, iż nań złożyły się głównie, jeśli nie przeważnie, świadectwa współczesnych kronikarzy, oba żywoty św. Wojciecha, *Passio Adalberti*, list św. Brunona do cesarza, Dytmar, nasz Gall i t. d., z których to świadectw wytwarza autor wprawną ręką misterną tkankę swego szkicu. Świadczą o tem nie tylko umieszczone w cudzysłowie ustępy z kronik średniowiecznych, ale przedewszystkiem ten język archaiczny ciężki, który »jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka«, a o którym ze Słowackim rzecby można: »Jak dziko ten język umarły pod piórem w kształty nieżywe się łamie«. Językiem twardym, przed tysiącem lat żyjącej społeczności, stara się przemawiać do nas autor, ale pod tą archaiczną powłoką drga myśl powiedziałbym pasya nowożytnego Polaka, z poczuciem strasznej, potwornej krzywdy narodu,

myśl kochająca gorąco, namiętnie sprawiedliwość, wolność i bezgraniczną swobodę. Stąd płynie nie tylko artystycznie umodelowana, czasami aż nazbyt sztuczna szorstkość formy, ale i szorstkość sądów ogólnikowych nie całkiem uzasadnionych, niekiedy zupełnie zbytecznych, rażących. Lecz nie przesądzajmy sprawy! Wglądnijmy w treść tego ciekawego bądź co bądź szkicu!

Autor rozpoczyna rzecz swą od rodzenia się Kościoła w Polsce, kreśli lapidarnemi, twardemi ale niestety prawdziwemi słowy, krwawe apostolstwo w Słowiańszczyźnie teutońskiej nacyi i nacyonalistyczne na wskroś stanowisko jej imperatorów wobec genezy tej chrześcijańsko-kulturnej instytucyi, przeczy twierdzeniu historyografii niemieckiej a i polskiej, jakoby fantasta Otton III i jego »Mefistofel«, papież Sylwester II byli twórcami właściwymi organizacyi metropolitalnej w Polsce; »stworzyły«, zdaniem autora, »Kościół w Polsce podjęcia apostolskie dążących w pojedynkę do męczeństwa ascetów« w rodzaju św. Wojciecha, »zamysły imperyalistyczne Rzymu, papieskie i cesarskie, ale w pierwszej linii Bolesław Chrobry, pierwszy król Słowiańszczyzny zachodniej, świadomy jej posłannictwa dziejowego wobec sąsiednich ludów słowiańskich czy litewsko-pruskich.

A jednak bez czynnika Bożego objawiającego się w św. Wojciechu nawet Bolesław nie byłby może przeprowadził myśli samodzielnego Kościoła. Śmierć męczeńska św. Wojciecha była opatrznościowa dla Polski, rozwiązała kwestyę metropolitalną w Polsce, aczkolwiek świątobliwy Slawnik hierarchicznie nigdy arcybiskupem nie był, a wszelka troska pasterzowania w urzędzie i na stolicy biskupiej była mu ciężarem nieznośnym. Ciało męczennika było dla Bolesława, dążącego do niezawisłego arcybiskupstwa, skarbem nad skarby, dlatego poszło na ciężką wagę złota. Bolesław wiedział co czyni: wykupił arcybiskupa, wykupił »świętość«, a świętość ta była zakładem arcybiskupstwa. Z woli wyłącznej Bolesława Chrobrego został pierwszym arcybiskupem gnieźnieńskim brat św. Wojciecha Gaudenty, choć nie brak było innych kandydatów, jak ów opat trzemeszeński Anastazy, Bawarczyk Astryk, późniejszy pierwszy arcybiskup węgierski, który koronę królewską, przeznaczoną pierwotnie dla Bolesława Chrobrego pozyskał w Rzymie dla Wańca Stefana węgierskiego. Zasług Chrobrego około chrześcijaństwa niedoceniono dotąd należycie, przyznaje to nawet nieuprzedzona historyografia niemiecka, wyrażając się przez usta Voigta z Glutti, że Polska z takiego władcy może być dumna. Chrześcijańską misyę Bolesława i Polski stwierdzają wszystkie

źródła współczesne, zwłaszcza Gall, który nie bez żądła zwróconego przeciw Niemcom twierdzi, iż Bolesław nie dla trybutu, nie do płacenia haraczu pieniężnego zniewalał ludy barbarzyńców naokół, ale dla krzewienia religii prawdziwej. Następstwem synodu gnieźnieńskiego była spóźniona tylko koronacya Chrobrego z łaski Stolicy apostolskiej, w chwili kiedy ta Stolica wolna była od wpływów niemieckich; fakt to bowiem stary niedość w historyi uznany, iż w sojuszu papiestwa z cesarstwem niemieckiem niema miejsca dla korony polskiej. Zgrzytnęły Niemcy, nadewszystko mnichy i biskupy saskie na tę wieść hiobową o koronie polskiej w Gnieźnie przy grobie św. Wojciecha, jaką otrzymał Bolesław. Kiedy zaś w pół roku po koronacyi umarł ten prawdziwy atleta Chrystusowy, okrzykom radości niemieckiej nie było miary i końca. Lecz syn zmarłego Lambert Mieszko II również królewską nadął się pychą i przywdziawszy koronę wstępował w ślady ojca. Wtedy na żołnierza Chrystusowego, jakim był drugi dzielny, lecz tragicznie nieszczęśliwy król Polski, zapadł wyrok cesarski, Bóg zrobił swoje, ukarał ojca, a nam syna oddał. Wywłaszczyć go z korony musim.

W dokonaniu wyroku na Mieszku II i jego królestwie dopomogli Niemcom lennicy ich w Słowiańszczyznie zachodniej, najstarsi i najwierniejsi: Czesi. Stało się to znowu w Gnieznie, stolicy Kościoła i państwa u grobu św. Wojciecha.

Oto treść szkicu ks. Fijałka, pisanego na wzór szkiców i pod urokiem sławy prof. Wojciechowskiego. Gdyby autor był tylko trzymał się rzeczy swojej, grobu św. Wojciecha i Bolesława Chrobrego chrześcijańskich zasług, nie miałbym nic do dodania ani do ujęcia. Autor jednak poruszył ubocznie kilka spraw do tematu nienależących, które wymagają zastrzeżeń, krytyki ścisłej, a nawet protestu. Chodzi mi przedewszystkiem o osobę Galla. Wedle prof. Wojciechowskiego Gallus był plemienia romańskiego, najpewniej Włochem (»Szkice historyczne XI wieku«, str. 290). Dla ks. Fijałka jest to Włoch niewątpliwy (a nie żaden mnich prowansalski z Saint-Gilles) str. 19. Niestety, ani prof. Wojciechowski na swe przypuszczenie nie dostarczył dowodów ani ks. rektor Fijałek na swój pewnik. *Iuravit in verba magistri,* argumentacyi pozostał nam dłużny. Niewątpliwie sympatycznym musi być dla nas pierwszy kronikarz polski, który aczkolwiek obcy *panem Poloniensem non frustra manducavit.* Że tego piewcę chwały naszej Polski i polskich wielkich władców, gorący temperament polski ks. rektora czci, wielbi i sławi, to zrozumiałe. Nie mogę się jednak zgodzić na bezwzględne uwielbianie sym-

patycznego zresztą kronikarza, za sławienie jego prawdomowności za prof. Wojciechowskim. Do czego te rozpaczliwe usiłowania, mające na celu udowodnienie bezwzględnej prawdomowności Galla prowadzą, miałem już sposobność w artykule p. t. »W sprawie św. Stanisława« wykazać. Ks. Fijałek godzi się, że Gall panegiryzmem dworskim przypruszył swe dzieło, że prawdy nie odsłaniał zawsze całej, ale ile można było. Co znaczy więc wobec tego, że prawdy historycznej nie wykrzywił ani nie sfałszował? My wiemy, że pisał chwałę tych, którzy byli silni i mieli środki do wynagradzania. Pisał sympatycznie o Polsce i wielkich jej władcach. Czy pisał bezstronnie? Nie zawsze. Wykazał to w przesadny sposób M. Gumplowicz *(Zur Geschichte Polens im Mittelalter)*. Tam, gdzie go możemy skontrolować, np. w sprawie Zbygniewa stał Gall wbrew słuszności, wbrew opinii arcybiskupa i kleru wielkopolskiego po stronie silniejszego. Kronika czeskiego Kuźmy zupełnie inaczej zapatruje się na postępek Krzywoustego wobec Zbygniewa, niż Gall, i kto wie czy Kuźma lub jego kontynuatorzy nie mają racyi. Kto wie, czy Zbygniew nie doczeka się jeszcze rehabilitacyi?

Ks. Fijałek twierdzi, że Gall głęboko religijny wiarą swego wieku, prawowiernym był w każdym calu i że mimo to wzbudził lęk i wstręt i wzbudzać je wiecznie będzie w mózgach doktrynie hierokratycznej hołdujących jawnie czy skrycie, z przekonania lub ambicyi albo też z urzędu. Mimo że ksiądz Fijałek gotów mnie policzyć do mózgów hierokratycznej doktrynie hołdujących i to ku wielkiemu zgorszeniu nawet może jawnie, śmiem powątpiewać w prawowierność Galla w każdym calu. Wiem, że prawowierność Galla znajduje obrońców w ostatniej chwili, np. w ciekawej pracy MiniM »Św. Stanisław traditor czy zdrajca?« (Kraków 1908, str. 15 – 20). Kryjący się z nazwiskiem autor duchowny, kto wie, czy nie rozstrzyga sprawy św. Stanisława w swej, pod względem metodycznym nieuporządkowanej pracy, niemniej przeto zawierającej bystre uwagi i wyjaśnienia. Powołując się na ustęp Magistra Rufina w dziele z przed roku 1159 p. t. *Summa Decretorum*, cap. 40, causa XXIII, questio 4: *Qui peccat... apostolum Paulum traditorem, i. e tradentem hominem Sathanae* stwierdza, iż słowo *traditor* prócz kilkunastu znaczeń, miało w średnich wiekach znaczenie »wyklinający«. W takim razie głośny ustęp w Gallu traktujący o biskupie Stanisławie miałby znaczenie następujące: Nie powinien był Bolesław jako chrześcijanin na chrześcijanach tak okrutnej brać pomsty. To mu bowiem wielce szkodziło, gdy grzech dodał do grzechu i za wyklęcie

biskupa ukarał posiekaniem członków. Ani biskupa wyklinającego usprawiedliwiamy ani króla mszczącego się brzydko nie polecamy«.

Tłumaczenie to wiele ma za sobą. Sprawa klątwy rzuconej na władzę świecką przez duchowną jest jedną z najważniejszych kwestyi polemicznych XI wieku między Gregoryanami i regalistami. Kto wie czy Gall z rozmysłu, by płynąć bezpiecznie między Scyllą a Charybdą ówczesnych antagonizmów, nie użył owego dwuznacznego zwrotu *traditor*, mogącego i reformistów i regalistów zaspokoić ewentualnie i zaniepokoić. Na zdanie ks. MiniM o prawowierności Galla kwestya św. Stanisława zupełnie nie wpływa, a jednak broni jej zarówno z ks. Fijałkiem. Przeciwko dwom księżom zaczepiać prawowierność Galla, naprawdę rzecz niebezpieczna, naprawdę ultra-hierokratycznym mózgiem trąci i znaczy być *plus catholique que le pape même*. Cóż kiedy w studyach historycznych prawda jest tak wszechpotężną panią, że dla niej na najgroźniejsze zarzuty narazić się nie straszno. Że Gall był głęboko religijnem dzieckiem swego wieku, to prawda. ale któryż pisarz X, XI lub XII wieku nie jest religijnym, nawet najskrajniejsi wrogowie Grzegorza VI są głęboko religijni w swych pismach. Kryteryum prawowierności w XI wieku nie możemy szukać w kwestyach jakichś dogmatycznych, lecz w stanowisku do wzajemnego stosunku obu władz, świeckiej i kościelnej. Regaliści byli za supremacyą państwa nad Kościołem, uważali klątwę kościelną przeciw władzy za zbrodnię, za bunt; reformiści kościelni byli za niepodległością Kościoła. W jakim obozie był Gall, nie trudno zgadnąć, jeżeli go widzimy posługującego się hasłami regalistów XI wieku w przedmowie do III księgi. Kto pisze w tych czasach namiętnej walki o inwestyturę: *Opportet Dei ministros in his que Dei sunt Deo spiritualiter obaedine et in his que Dei sunt Deo spiritualiter obaedine et in his, quae sunt caesaris, honorem et servitium mundi principum exhibere,* ten powtarza to samo zdanie, którem się posługuje zacietrzewiony przeciwnik Grzegorza VII Wenrich, scholastyk trewirski, który ciska Gregoryanom w oczy: *Utrolique ergo, quae debui exsolvi, qui et imperatori obedientiam praebui et pro Deo, quod sensi non tacui* (Martens: *Gregor VII,* II, 178). W zaciekłej walce o niepodległość Kościoła nasz tyle sympatyczny Gall, głoszący polskiemu duchowieństwu *servitium principibus mundi,* nie był chyba szermierzem wolności Kościoła. Czy Gall był prawowiernym zatem, zależy od stanowiska, kogo się za prawowiernych w XI wieku poczytuje, czy Gregoryan posługujących się dynamitem średniowiecznym klątwy, czy też regalistów

nie umiejących i nie chcących usprawiedliwić klątwy zarówno biskupa czy papieża.

Ks. Fijałek pisze najwidoczniej pod wpływem takiej powagi historycznej, jak prof. Wojciechowski, pod wpływem suggestyi wrogiej wszystkim mózgom doktrynie hierokratycznej hołdującym i dlatego to wyrzeka się uroczyście, jak dyabła, owego pragmatyzmu pseudohistoryi kościelnej, i dlatego twierdzi z większą pewnością niż słusznością, iż od upadku państwa polskiego trójdzielny Kościół polski więcej rządom zaborczym aniżeli narodowi swemu i posłannictwu służy. Po co te wszystkie drażliwe frazesy w pracy naukowej? Czy może na to, by zdobyć sobie poklask i uznanie naukowości w sferach, które do ideałów Kościoła i chrystyanizmu czują wstręt, a w przedstawicielach ich, choćby to byli tej miary ludzie, jak świątobliwy mistrz Wincenty, widzą kłamców, głupców lub nieuków? Daremny trud, w opinii tych ludzi praca sławiąca Boże opatrznościowe posłannictwo św. Wojciecha, praca napisana przez mózg, przecież choćby z urzędu hołdujący doktrynie hierokratycznej, jest z góry osądzona. A jeżeli kiedykolwiek taki mózg podniosą z uznaniem, to tylko z pozoru dla okazania rzekomej bezstronności. Źle się zatem wybrał autor, wypierając się jak Piotr lękliwy wszelkich sympatyi do hierokratycznych poglądów na świat. Liberalnych powag naukowych jako prawowierny kapłan tem nie skaptuje sobie na stałe, a do wyświetlenia prawdy dziejowej tego rodzaju frazesami nic absolutnie się nie przyczyni. Przy grobach świętych, jako słupach ognistych ludzkości, jest naprawdę o czem pomyśleć. Jedni, jak ks. Fijałek, wykazują wprost opatrznościowe znaczenie tych grobów i trumien, inni ciskają na te trumny kamienie potępienia, by je strącić z ołtarzy i serc narodu. Jedni i drudzy w swojem przekonaniu służą prawdzię. Jak ta prawda jednak rzeczywiście wygląda, nie wiemy, do wyświetlenia jej ustawicznie dążmy! *Das verschleierte Bild von Sais* pozostanie dotąd niewidzialnym, póki zasłony subjektywizmów, uprzedzeń, przesądów, zarozumiałości będą go oczom naszym zasłaniać.

*Dr. K. Krotoski.*

**Literatura aryańska w Polsce 1560—1660.** Napisał *Tadeusz Grabowski.* Kraków 1908 r., str. 498. Nakładem Akademii Umiejętności.

Jubileusz Reyowy przypomniał »nowinkarzy« XVI w. Ktokolwiek i w jakikolwiek sposób pisał o Reyu w jubileuszowym roku, musiał zetknąć się z ruchem kalwińskim, a to zetknięcie budziło zaciekawie-

nie i wzniecało zachętę, aby zajrzeć w głąb owych czasów, w których rozkiełzały się u nas nie tyle przekonania, czy zasady, albo ideały, ile raczej fantazye i kaprysy reformatorsko-religijne. Może z owego zaciekawienia wyrosły dwie książki profesora d-ra Tadeusza Grabowskiego. Pierwsza o literaturze kalwińskiej, niniejsza: o aryańskiej.

Tytuł książki pociąga, autor budzi zaufanie, boć znany już i uznany za pracownika w literaturze bardzo poważnego, więc nie dziw, że książki się nie przegląda, jeno czyta ją uważnie. Uwaga czytelnika staje się niekiedy mozołem prawdziwym, bo taki w książce nawał materyału, że trudno się w nim połapać. Doznaje się wrażenia, że materyał tu nie ułożony, ale napchany, natłoczony, niekiedy może i bez planu, z góry powziętego, jeno wedle tego, jak się nasunął myśli, jak wpadł do ręki. Autor porusza jakąś sprawę i ledwie jej dotknął, przechodzi do innej, a potem wraca do pierwszej. Charakterystyki ludzi rozrzucone po całem dziele, rozkawałkowane. Trzeba sobie rzecz samemu porządkować, układać, aby z rozsypanych kawałków mozaiki powstał całkowity obraz.

Ale te kawałki mozaiki prawdziwie cenne, nawet znakomite, bo wybrane z najlepszych rzadkości bibliograficznych, wyszukane najstaranniej we wszelkich zbiorach archiwalnych. Sumienność, dokładność, wytrwałość w badaniu źródeł, w zbieraniu materyału chyba benedyktyńskiemi nazwać należy. A tych źródeł mnogość wielka, a rozmaitość nie mniejsza. Już samo wyszukiwanie ich po całej Polsce i na Węgrzech było pracą i trudem, a cóż dopiero wczytywanie się w te stosy książek, najrozmaitszej treści, z różnych czasów pochodzących.

I właśnie to sumienne zebranie materyałów, to wyczerpanie źródeł, nadają książce wartość ogromną, może pomnikową, a zniewalają do prawdziwej wdzięczności dla autora. Ktokolwiek i kiedykolwiek zechce poczynać studya nad aryanizmem w Polsce, znajdzie w książce d-ra Grabowskiego i podstawę do pracy i nić przewodnią, która ułatwi mu przejście przez labirynt bibliograficzny i archiwalny.

Ale nie dość materyały zebrać, nie dość źródła wyczerpać. Ten dobytek i nabytek oświetlić potrzeba, krytycznie ocenić. Autor czyni to spokojnie, przedmiotowo, nie poddając się sympatyom, ani antypatyom do osób i rzeczy.

Książka składa się z dwóch części. W pierwszej jest mowa o literaturze XVI, w drugiej o literaturze XVII wieku. Z dziewięciu rozdziałów, na które cała rzecz podzielona, trzy pierwsze są jakoby

wstępem do samej literatury, a zajmują się ruchem nowinkarskim, sporami i dysputami różnowierców, wpływami Zachodu na polskie zapędy reformacyjne, kiełkowaniem aryanizmu i całym zamętem ówczesnym. Te pierwsze trzy rozdziały, bardziej niż następne, nużą czytelnika, bo autor tyle tu natłoczył szczegółów, tyle przytoczył faktów, tak gorączkowo, z takim pośpiechem rozsypał je po książce, że niepodobna spokojnie tego ogarnąć, aby jasno rzecz wyrozumieć.

Na takiem tle pojawiają się atoli wybornie skreślone charakterystyki działaczy, jak Stankar, albo Stojeński. Jego *Proteus* może za pochlebnie oceniony, w porównaniu z »Satyrem« Kochanowskiego, bo nie wiem, czy zgodziliby się wszyscy na to, że »wyszedł z głowy profesora, ale z głowy rozumnej, trzeźwej, otwartej«. Rozumna i otwarta to głowa, ale czy »trzeźwa«, czy nie zamącona gorączką sekciarską? (str. 35). Wszakże (na str. 53) powiada autor, że »na wyjałowionej teologicznymi sporami niwie aryańskiej wschodziła poezya przepojona pierwiastkiem polemicznym, jak cała atmosfera ówczesna, mało dbała o wdzięki słowa poetyckiego, którym czarował współczesnych obcy potężnemu ruchowi religijnemu humanista Kochanowski«.

O Krowickim szczegóły ciekawe, obfite, powszechnie mało znane, ale sama postać tego sekciarskiego pamflecisty, czy satyryka, nie tworzy w książce Grabowskiego jednolitego, wyrazistego obrazu; jest to portret w kawałki pokrajany. Od str. 69 trzeba tych kawałków szukać po sporej części książki.

Natomiast bardziej w całość ujęta charakterystyka Niemojewskiego (początek na str. 80), Budnego, Czechowica. Są to prawdziwe portrety, znakomite rysunkiem, wyborne kolorytem. Szkoda, że Frycz jakiś tu mglisty, niewyraźny, niedomalowany, a przecież całość obrazu domaga się tego, aby Frycza widać było na nim wyraźnie. Nie upieram się przy swojem, może to przywidzenie, ale mówię według tego, co myślę, według doznanego wrażenia.

Do wyrazistych portretów, należy także postać Andrzeja Lubienieckiego, chociaż w małe ramy ujęta.

Obrońcy Kościoła, jak ks. Wujek, ks. Powodowski, ks. Skarga, znaleźli w książce dość miejsca dla siebie, ale możeby wolno było ująć się za Wujkiem. Autor wytyka mu (str. 225) »ochotę do rzucania podejrzeń na reformatorów«, tudzież »inwektywy godne pamfletu«, a tuż zaraz (na str. 226) mówi, że »takt cechował Wujka«. Charakterystyka chwiejna, a przecież człowiek i ksiądz tej miary, tego zna-

czenia, tych zasług, mógłby tu być przedstawiony w charakterystyce nie tak chwiejnej i nie tak pobieżnej.

Ten pośpiech w traktowaniu Wujka wynagradza autor czytelnikowi, mówiąc o Skardze: »Trzeba było przemówić do serca i wyobraźni, a nie tylko do intelligencyi, którą rozporządzał Wujek w stopniu wysokim. Trzeba było znać swój naród, sięgnąć do dna jego duszy, by wywołać oddźwięk mocny i długi. Trzeba było znaleźć ton, który nie zdziwiłby erudycyą tylko, któryby wyraził myśl jasno, zwięźle, barwnie. Trzeba było powagi, którą zdobył tylko Skarga, ceniony przez wszystkie odcienia, nie wyłączając prawosławnych; powagi osobistej, któraby charakterem, temperamentem, zręcznością, górowała nad innymi. Skarga pisze po prostu, gdy przyjdzie mu zwalczać Aryan, pisze dojrzale i głęboko, pisze indywidualnie i odrębnie, jędrnie i obficie, szlachetnie i z miarą. Zaczął od polemiki, by wznieść się do kaznodziejstwa natchnionego i istotnego; skończył polemiką, w której niegdyś miał za przeciwnika Wolana, a teraz Moskorzowskiego. Umiał być polemistą i kaznodzieją doskonałym, na jednem i drugiem polu ucierał się z tymi, którzy przeciwstawili mu jednego z najzdolniejszych teologów zboru. Odwiązał najlepiej teologię od łaciny, udoskonalił swój styl tak, że naginał się on najlepiej do teologicznych subtelności, dorównywał najdoskonalej uczonemu i pełnemu odcieni stylowi rakowskiemu. A jednak był skromnym i prostym, imponował powagą, ciepłem, spokojem niezrównanym« (str. 272).

»Nie miała polemika Skargi charakteru jaskrawego, cechował ją poziom wyższy, uderzały w niej miara, dystynkcya, subtelność, obca Orzechowskiemu, nieznana u Łaszcza. Były w niej argumenty rzeczowe, były i argumenty serca« i t. d. (str. 274).

»Jest ta polemika jakby szeregiem zręcznych manewrów, którymi Skarga spycha przeciwnika na stanowisko coraz niedogodniejsze, aż osaczy go tak ze wszech stron, że niema już wyjścia nigdzie. I wtedy zjawia się na ustach zwycięzcy uśmiech, jakby radosnego ożywienia, które wybucha groźbą, ale nie zapomina modlić się za zbłąkanych« (str. 284).

Dokładnie, z blizka, bardzo szczegółowo i z prawdziwem ożywieniem zajmuje się autor Wacławem Potockim. I teraz zbiera pokusa przytaczać ustępy z charakterystyki wielce pouczającej. Autor umiał zjednoczyć w sobie obowiązek prokuratora, z zadaniem obrońcy i dlatego dobył cienie i światła, dopatrzone w życiu i twórczości poety. Sądził go sprawiedliwie, ze współczuciem dla jego cierpień

i kłopotów życia, z uznaniem dla talentu, a bez wahania wytykając to, co wytknąć było potrzeba. Sposób pisania, czy może gorączkowy pośpiech, wynikający z przejęcia się przedmiotem sprawiają, że autor na razie bałamuci czytelnika. Na str. 405 czyni przytyk Potockiemu, że »trudno mu wierzyć na słowo, gdyż umiał on zbyt zręcznie chodzić koło interesów«, a już na str. 406 powiada, że »częścią z natury, częścią z wychowania miał zamiłowanie szczerości, gardził obłudą i występkiem, chciał wkoło siebie atmosfery czystej i uczciwej«.

To znowu czytamy (str. 406). »Pospolitość dusi czasem i chwyta za gardło, poetyckość jest prawie nieuchwytną i trudną do wyczucia, znużenie i obojętność towarzyszą stale w czytaniu« i t. d., a obok tego powiada autor, że »Kochanowski nadto przypominał klasyczne wzory, Potocki był polskim do dna«. A jużby chyba nie wypadało porównywać z Kochanowskim poety, którego »pospolitość dusi i chwyta za gardło«.

Ale autor nie myślał tak źle o Potockim, bo już na str. 407 przyznaje mu »wzniosłość nastroju« i to, że włada świetnie językiem, ma bogactwo wyrażeń, potok słów pod ręką«, a na str. 412 mówi, że »lały się łzy (Potockiego) w wierszach, dziwnych szczerością i obfitością słowa, opłakiwały stracone dzieci, otwierały duszę starca znękaną i zbolałą do głębi«.

Ta chwiejność, czy rozdźwięk w sądzie, znikają atoli po przeczytaniu całej charakterystyki Potockiego, również mozaikowo ułożonej, jak cała książka, a znikają, gdy perspektywicznie spoglądamy na mozaikowy obraz. Wreszcie ustali się opinia o Potockim, gdy się zgodzimy z autorem na to, co następuje (str. 383).

»Na dom (Potockiego) spada klęska za klęską w postaci śmierci syna, córki, wnuków, infamii drugiego syna, co plącze starca w procesy o rehabilitacyę, które mu już wcale nie przynoszą zaszczytu, świadczy o upadku poczucia prawa w kraju. I znów śmierć syna, żony, braci, za którą szły samotność i szukanie pociechy w Bogu, w tworzeniu, które pochłania duszę zbolałą i zawiedzioną. Trzymał się jednak ziemi całą swą naturą, łączył z nią materyalnie i moralnie, przez piękny majątek, pokrewieństwa, upodobania, przywiązanie do jej wielkości i sławy. Bo bohaterskiego ducha w nim nie było, choć epiką górował nad wszystkimi; zdrowy rozsądek, ciekawość, dowcip, uczuciowość mierna i bez subtelności, naturalność i zmysłowość, roztropność i krytycyzm znaczny, przewaga instynktów, ale i siła intelligencyi składają się na człowieka, który nie jest ani zły, ani bez-

względnie dobry, który jest różny, w różnych epokach życia, ale szczery bardzo, rozumny niepoślednio, skromny i towarzyski niezmiernie, czasem złośliwy i ironiczny, częściej dobroduszny i zrezygnowany. Nikt lepiej nie zżył się ze swoim wiekiem z poetów przedrozbiorowych, nikt, mimo wspomnień aryańskich, nie był tak wybitnie polskim, takim malarzem swego czasu i społeczeństwa. W ogólności ten wiek jest nieco brutalnym i gwałtownym, płytkim i ciasnym, namiętnym i niesprawiedliwym. Potocki jest innym, przechowuje tradycye ludzkości, prawdy, lojalności, sprawiedliwości, umiarkowania, tolerancyi«.

Jeżeli było potrzeba spierać się z autorem o charakterystykę osób, a raczej o mozaikę ową tej charakterystyki roboty, to za to z całem uznaniem i ze szczerym podziwem zgodzić się należy na to wszystko, co mówi i jak mówi o powstaniu, rozwoju i działaniu gniazd sekciarskich w Lublinie, Rakowie, Lucławicach i t. d. Historykiem ruchu nowinkarskiego jest ścisłym, dokładnym. Nie pomija najdrobniejszego faktu, nie zapomina o żadnem źródle, każde wyczerpie, z każdego dobędzie potrzebny materyał. Jest i tu nieco mozaiki w układzie przedmiotu, ale czytelnik łatwo się z nią upora, bez znużenia, bez szukania po książce poszczególnych części obrazu.

Ruch polityczny, kojarzący się z ruchem sekciarskim, wyjaśniony umiejętnie, nie tylko z erudycyą, ale i z intuicyą głębokiego myśliciela, pisarza z łaski Bożej. Natomiast samą zawieruchę nowinkarską może autor cokolwiek przecenia, nazywając tu i owdzie rozpędy reformacyjne wynikiem, czy objawem filozoficznej myśli polskiej. Nam się zdaje, że całą tę robotę sekciarską, wybujałą na gruncie bezgranicznej tolerancyi, najlepiej może charakteryzuje ustęp z protokółu synodu pielesznickiego z r. 1568: »I tak się ze sobą ścierali gorąco, miejsca Pisma św. przywodząc za sobą, a przeciwnej strony dowody burząc, na czem bardzo wiele strawili, jednak choć każdy przy swym został, w miłości się z sobą rozjechali. Była i o to zabawa niemała na tym synodzie, że bracia z Małej Polski od kilku lat mówili wiele o ponurzeniu, a do tego czasu ponurzonego żadnego nie było między nimi i t. d.« (str. 56).

Książka już przeczytana, przestudyowana, a więc należy podziękować za nią autorowi, że ją napisał, akademii, że ją wydała; ale w końcu jeszcze prośba do autora gorąca, aby nie dawał zgorszenia maluczkim. »Przychodziło mu tem łatwiej«, zamiast: »było«; »Sarnicki nie ukazał się więcej«, zamiast: »Sarnicki już się nie ukazał«; »przychodzi do przekonania«; zamiast: »przeko-

nywa się«, »nabywa tego przekonania« i t. d. to wyrażenia wprost gorszące, zwłaszcza, gdy płyną z pod pióra autora, który zasiada na uniwersyteckiej katedrze.

W imię miłości ojczystej mowy, proszę o przebaczenie szczerości.

*Czesław Pieniążek.*

**Kazania na uroczystości i święta Niepokalanej Dziewicy Bogarodzicy.** *Ks. Józef Stanisław Adamski.* Tom. II. Warszawa 1909, str. 418 wielka ósemka.

Niedługo po pierwszym, wydał ks. Adamski tom drugi swoich kazań maryologicznych, jako uzupełnienie zbioru poprzednio ogłoszonego, a zarazem zamknięcie cyklu kazań tej kategoryi na wszystkie święta uroczyste i kościelne w przebiegu całego roku kościelnego. W tomie tym podał po 6 kazań na uroczystości maryańskie, a więc na uroczystość Serca Bogarodzicy (nawet 7), Jej narodzenia, Imienia i Różańca; po 3 na przypadające w tej części roku święta Jej kościelne, jako to: na święto Pocieszenia, M. B. Bolesnej, Macierzyństwa, Czystości, Opieki i Ofiarowania, a dodatkowo także kazanie na święto Objawienia się na N. Panny w Lourdes, należące pod względem kolejnego następstwa świąt do pierwszego tomu, a bardzo na czasie wobec rozporządzeń ordynatyackich, zalecających coroczny obchód kościelny tego pamiątkowego wydarzenia. Łącznie tedy, mieści się w tym tomie 41 kazań, a doliczywszy do niego zbiór okazały w poprzednim tomie, i niemniej wspaniały »Hołd Niepokalanej«, złożony do druku w roku jubileuszowym dogmatu Niepokalanego Poczęcia, otrzymamy komplet prawie 120 kazań i wydatny cykl utworów homiletycznych, wyłącznie czci Bogarodzicy poświęconych. Już samo to zestawienie cyfrowe wysuwa czcigodnego autora na czoło wszystkich maryologów rodzimych, nie tylko spółczesnych, ale i dawniejszych, gdyż tak obfitego zasobu kaznodziejskiego z jednej i tej samej kategoryi nie posiadamy w całej naszej — zresztą wcale bogatej, literaturze kaznodziejskiej. Wydawnictwo ks. Adamskiego to istna kopalnia, owszem skarbnica maryologiczna, bezpośrednio do zadań ambony polskiej trudem i znojem mnogich lat kapłaństwa i kaznodziejstwa zebrana, uporządkowana i na widok publiczny podana. O jej cennych klejnotach i bogatych zasobach świadczy choćby ten szczegół, że opierając się jedynie na materyale kaznodziejskim w tych dwóch tomach zawartym, potrafił autor zestawić z nich plan dwóch seryi nauk majowych (w dodatku do t. II), za co mu chyba liczni kaznodzieje będą wdzięczni. A gdy się zważy,

że w planie tym podał autor kompletne kazania, gdy tymczasem do codziennych nauk majowych wystarczy jedna ich część, a nawet nie rzadko jeden punkt, to łatwo już wysnuć wniosek, że kazania te skrzętnie rozdzielone i uporządkowane mogą dostarczyć gotowego materyału na kilka seryi nauk majowych.

Lecz nie na tem kończy się zaleta kazań ks. Adamskiego. Nie sama tylko ilość, ale także jakość jego kazań zasługuje na rzetelne uznanie. Wszystkie utwory tu zamieszczone są prawdziwie maryologicznymi na tle przeważnie dogmatycznem (z małym wyjątkiem nauk o łasce, str. 29—83, o niewiastach 151—160, 199—217, o kształceniu dziatwy i młodzieży 373—383), w każdym z nich jest Marya tematem, celem i wzorem. Zarówno założenie, jak podział i wypełnienie tematu są wszędzie wyraźne, odgraniczone, staranne: co w zakresie kazań maryańskich niełatwą jest rzeczą i dlatego do rzadszych tylko należą okazów homiletycznych. Szczególną troskliwość rozwija w nich autor około uzasadnienia i pogłębienia tematu, jego wykład jest wszędzie gruntowny, uzasadnienie pełne, a przy tem wszystkiem widoczna staranność, aby każde pojęcie teologiczne lub wyraz naukowy uprzystępnić słuchaczom, wyjaśnić w sposób możliwie popularny. Nie zawsze mu się to — co prawda — udaje, bo już sam dobór tematu sprawia niejednokrotnie, że przedmiot przewyższa pojęcie zwykłego słuchacza i z natury swej staje się mu — mimo usiłowań mowcy — trudno zrozumiałym; ale samą tendencyę autora i tę dążność uznać należy jako coraz wybitniejszy zwrot jego kaznodziejstwa w kierunku popularnym i przystępnym. Świadczą o tem nawet przykłady, tu i ówdzie zamieszczone. Co mu się zaś najbardziej chwali, to bogaty zasób i szczęśliwy wybór cytatów patrologicznych, bez których wszelkie kazania maryańskie musiałyby uwiędnąć i uschnąć. Przy szczupłym wymiarze cytatów biblijnych i ewangelicznych o Najśw. Pannie, muszą teksty z Ojców Kościoła dawać im nie tylko pożądaną ozdobę, ale co więcej: powagę, podstawę do uzasadnień, bogactwo wielkich myśli; inaczej staną się takie utwory kaznodziejskie bezbarwne, mdłe i mało pożyteczne.

Główną cechą wszystkich dzieł kaznodziejskich ks. Adamskiego jest nacisk położony na wyrobienie u słuchaczy silnego przekonania religijnego, wszędzie i zawsze przyświeca mu głównie cel dydaktyczny. Dokładne wyjaśnienie danej prawdy, przytoczenie racyi teologicznych, pouczenie wszechstronne słuchacza, to pierwszorzędne zadanie jego utworów. Nie ubiega się przeto o łatwe a tanie efekty, nie gòni za

sztuczkami retorycznemi, ale zasadniczo zmierza do swego celu głównego. Stąd wszystkie tematy mają u niego podkład przeważnie dogmatyczny, wszystkie obfitują w treść pełną i bogatą, wszystkie domierzone ściśle do istoty i ducha danego święta lub uroczystości. Wyjątek stanowi IV kazanie na uroczystość Imienia Maryi, które należałoby wyjąć z cyklu kazań na tę uroczystość a przenieść na święto macierzyństwa Bogarodzicy. Na uwagę zasługują niektóre kazania, w których autor usiłuje w ramach jednego przemówienia zmienić wykład całokształtu używanych w nabożeństwie kościelnem hymnów lub antyfon, jako to: Witaj królowo (II, 104—112), Magnificat (I, 251 do 270), Pozdrowienie Anielskie (I, 193—207; II, 269—280), lub siedm boleści Bogarodzicy (II, 229—238). Znać również, że podobnie jak było w pierwszym tomie, tak i w tym stara się autor mniej pełny cykl kazań ściśle maryańskich na pewne uroczystości pomnożyć i uzupełnić tematami natury społecznej o stanowisku i zadaniach niewiasty, w których ledwie kilka zdań we wstępie a jedno w epilogu wskazywać ma ich związek z maryologicznymi. Nie można jednak odmówić im zupełnej racyi bytu, zwłaszcza, że pod względem opracowania należą do najudatniejszych w tym zbiorze, pod względem treści są najzupełniej aktualne, do stosunków i potrzeb spółczesnych wprost domierzone, na wzór głośnych konferencyonistów francuskich u niedawnej i bieżącej doby. (Tu należą: Cel chrześcijańskiej niewiasty (151—162), cel niewiasty w domowem zaciszu (199—204), apostolstwo niewiasty (105—217), godność matki (315—327), obrona dziewictwa (346—357). Natomiast kazanie pedagogicznej treści (o kształceniu dziatwy 373 do 383) nie da się zaliczyć do wyczerpujących; niepodobna bowiem w granicach jednego przemówienia powiedzieć tyle, ileby potrzeba, o kształceniu pamięci, wyobraźni, uczuć, rozumu, woli i serca. Na to trzebaby poświęcić cały traktat, inaczej będzie się ważne kwestye dotykać jakby po łebkach, pobieżnie i powierzchownie. To samo powiedzieć można o kazaniach o łasce (IV—VII na uroczystość serca Maryi). Dlaczego je autor zamieścił zarówno w pierwszym jak w drugim tomie maryańskich, trudno dociec; chyba dla zapełnienia luki. Bo nauki te nadają się najlepiej do katechizmowych, tam można im poświęcić więcej czasu, i tam jedynie mogą wypaść udatnie, gdyż mowca zniewolony jest tam do języka i pojęć ludowych, ułatwiających zrozumienie materyi tak trudnej, bo oderwanej. Tu śród maryańskich niewygodne dla nich miejsce, bo skąpe. Każda z tych części, owszem, niejeden nawet punkt, (np. o łasce skutecznej, o współdziałaniu z łaską, o łasce

wytrwałości, o przeznaczeniu) wymagałby dla siebie odrębnej nauki, aby rzecz jako tako uprzystępnić słuchaczom. Nawet wyimki z O. Peszka nie spełniają tego zadania, bo odpowiednie są chyba tylko dla wyrobionych teologów. Dziś zresztą, podobnoś na podstawie doświadczenia usunięto już wiele z tych zagadnień i prawd z podręczników szkolnych nawet na wyższym stopniu nauki więc jakiegożby trzeba szukać dla nich auditoryum? Podobnie rzecz się ma z terminami teologicznymi, jak: materya, forma i t. p.; indziej je skrzętnie rugują nawet z książek naukowych, a w kazaniach ks. Adamskiego zawsze jeszcze pokutują jako znamię filozoficznego kierunku w pracach autora.

Usterki jednak tego rodzaju są bardzo nieliczne, ustępują też coraz więcej miejsca kierunkowi praktycznemu, i nie mogą chyba umniejszyć wartości dzieła podjętego i wykonanego na takie rozmiary. Ogrom włożonej w nie pracy, pokaźna liczba utworów, dobór materyału, obfitość treści, bogactwo tematów, ich wzorowe opracowanie pod względem technicznym, język i wysłowienie wszędzie czyste i podniosłe stawiają autora tych kazań w rzędzie pierwszych maryologów, a w zastosowaniu na mownicy kościelnej godne są zjednać nieuprzedzonym czytelnikom jak najlepsze przyjęcie i popyt. Trzeba się tylko w nie wczytać a warto je nawet przestudyować. Wobec podręcznika kaznodziejskiego takiej wartości i tej miary nie wypada chyba zrażać się drobiazgowymi usterkami; wyławiać z niego poszczególne wyrazy czy zwroty mniej fortunne — nawet nie uchodzi, bo taka metoda krytyki byłaby ledwie domierzona do elaboratów uczniów szkolnych. Z całem przekonaniem o wyższej a trwałej wartości tych kazań można bezpiecznie zamknąć tę ocenę słowy Horacego: *Ubi plura nitent, ego non paucis offendar maculis.*

*Ks. Jougan.*

## Z piśmiennictw obcych.

### Z literatury biblijnej.

1. »L'église et la critique biblique« (Ancien Testament). Quéstions d'écriture sainte. Par le R. P. Joseph Brucker. Paris. Lethielleux (str. VII i 294). — 2. »Die Genesis« nach dem Literalsinn erklärt von Gottfried Hoberg. Zweite verm. u. verb. Aufl. B. Herder. Freib. i. B. Herdersche Verlagshandlung. 1908. (LII i 460). — 3. »Liber Geneseos«, textum hebr. emendavit latinum Vulgatum addidit G. Hoberg. Sumptibus Herder. (VIII u. 418).—4. »Doppel-

berichte im Pentateuch«. Ein Beitrag zur Einleitung in das Alte Testament. Von Dr. Theol. Alfons Schulz. (Biblische Studien, XIII Band., 1 Heft). (VIII u. 96). Freiburg im B. Herdersche Verlagshandlung. 1908. — 5. »Das Hohelied«. Übersetzt und erklärt von Joseph Hontheim S. J. (Biblische Studien, XIII Band, 4 Heft). (VI u. 112). Freib. im B. Herdersche Verlagshandlung. 1908. — 6. »Textkritische Untersuchungen zum hebr. Ekklesiastikus« von Aloys Fuchs. Freiburg im B. Herdersche Verlagshandl. 1907. (XII, 124). — 7. »Kardinal Wilhelm Sirlets Annotationen zum Neuen Testament« von T. Hildebrand Höpfl O. S. B. Freib. im B. Herdersche Verlagshandlung 1908. (X u. 126). — 8. »Die Dauer der öffentlichen Wirksamkeit Jesu« von Dr. Wilhelm Homanner. Freib. im B. Herdersche Verlagsh, 1908 (VIII u. 210). — 9. »Der Epheserbrief des Apostels Paulus« übersetzt u. erklärt von Dr. Joh. Evang. Belser. Freib. im B. Herdersche Verlagsh. 1908. (VIII u. 120). — 10. »Die Evangelien und die Evangelienkritik« von Dr. Jacob Schäfer, Freib. m Br. Herdersche Verlagsh. 1908. (VIII u. 124). — 11. »Nach Petra und zum Sinai«. Zwei Reiseberichte nebst Beiträgen zur biblischen Geographie u. Geschichte von Ladislaus Szczepański S. J. Insbruk. Verlag von Félician Rauch. (1908), (XX u. 598).

1. Ks. Brucker T. J., znany ze swych występów przeciw książce ks. Hummelauera *(Exegetisches zur Inspirationsfrage)*, która tyle wrzawy niedawno narobiła, zebrał w niniejszej książce szereg zasadniczych przeważnie uwag pod adresem racyonalistycznej krytyki biblijnej. Uwagi te rozdzielone są na dwie części książki. Pierwsza rozbiera kwestye zasadnicze krytyki biblijnej, jak np. kwestyę »metody historycznej« w egzegezie i stosunku Kościoła do krytyki biblijnej. Stosunek ten tak określa ks. Brucker: »Niech tylko krytycy posługują się wobec Biblii środkami prawdziwie naukowymi, to nie potrzebują się obawiać, że Kościół tę ich pracę potępi (str. 18); niech się także posługują metodą historyczną, byle tylko przyznali, że wszelkie rezultaty pracy krytycznej podlegają kontroli Kościoła« (str. 31). Potem rozwodzi się autor nad problematem inspiracyi i omawia jej stosunek do t. zw. »niedoskonałości« Pisma św. (str. 45) do »rodzajów literackich«, do »dokumentów« i do »wierzeń ludowych«. O tem wszystkiem autor informuje czytelnika w sposób jasny i prosty, podkreślając nieznacznie swoje umiarkowane konserwatywne stanowisko. Druga część zawiera »zastosowania« zasadniczych uwag części pierwszej do kwesyi o autentyczności Mojżeszowej Pentateuchu, polemikę z wrogami tej autentyczności, dyskurs o prawdziwości księgi Genesis i rozdział o ewolucyi nauk biblijnych, z widocznem skierowaniem przeciw Loisyemu. Część trzecią stanowią cztery dodatki dokumentów kościelnych odnoszących się do nauk biblijnych (dekrety soboru tryd. i watyk., część

encykl. *Providentissimus Deus* i kilka znanych *responsiones* papieskiej Komisyi bibl.) i w końcu krótką rozprawę o początkach »wyższej« krytyki biblijnej w Kościele. Książkę, napisaną jasno, bez balastu naukowego, czyta się przyjemnie: jest to raczej referat o bieżącej kwestyi biblijnej, wykazujący, że krytyka biblijna, ani sama przez się ani metodycznie nie jest przeciwna wierze, byle tylko nie usuwała pierwiastku nadprzyrodzonego w Biblii.

Na temat *Autour de la quéstion biblique* tyle się w ostatnich czasach czytało artykułów, rozpraw, polemik ogólnikowych, że dały się już tu i owdzie słyszeć życzenia, by czas i siły poświęcić raczej pozytywnym roztrząsaniom poszczególnych zagadnień biblijnych, komentarzom, rozprawom o specyalnych tematach. Na szczęście, powiedzieć można, życzenia te zaczynają się spełniać w mierze dość obfitej. Prace, które poniżej przytaczamy, to już poważne dodatnie studya.

2. Hoberga komentarz do księgi Genesis prezentuje się w drugiem wydaniu, które słusznie nazywa się »powiększonem i poprawionem«, w stosunku do wydania pierwszego z r. 1899. Str. V—LXII obejmują kwestye introdukcyjne do całego Pentateuchu, krytykę racyonalistycznych systemów, przeczących Mojżeszowej autencyi pięcioksięgu: stanowisko Hoberga do tych zagadnień jest tradycyjno-konserwatywne. Sam komentarz właściwy podaje tekst Wulgaty i tekst hebrajski w dwóch kolumnach. Tam, gdzie Wulgata oddala się od hebrajskiego, autor tłumaczy tekst hebrajski dosłownie na język niemiecki. Tekst hebrajski podany jest z pewnemi poprawkami, które autor uzasadnił w części wstępnej (XXII ss) ogólnie, a szczegółowo w krytycznych notach. Do tekstu, tak opracowanego, »pod kreską« dodany jest, wiersz za wierszem, obszerny komentarz, w którym autorowi chodzi jedynie o ustalenie znaczenia dosłownego pojedynczych tekstów. Moralno-ascetyczne, dogmatyczne i t. p. zastosowania pominięte są zupełnie. Dla ustalenia sensu literalnego posługuje się autor, znający bogatą dotyczącą literaturę, p e w n y m i rezultatami nowszych badań filologicznych, archeologicznych i historycznych na polu oryentalistyki. W komentarzu do księgi Genesis najwięcej zainteresowania budzi stanowisko komentatora do słynnego hexaëmeronu, do potopu, do »tablicy narodów«, budowy wieży Babel. Co do hexameronu, to Hoberg przyznaje się do teoryi wizyjnej (zob. polemikę Lagrange'a w *Revue bibl.* 1908, 4, 623—627), przy potopie uznaje tegoż powszechność antropologiczną, nie geograficzną, »tablicy narodów« przyznaje wielką wartość, a przy »pomieszaniu języków« powiada, że »fi-

zyczny współudział całej ludzkości w tej sprawie tak samo pomyśleć się nie da, jak moralnego, względnie intellektualnego, zaprzeczyć nie można«. Reszta komentarza trzyma się »złotej drogi«: nie oddalając się w zasadzie od tradycyi, uwzględnia prawdziwe wyniki nowszych badań. W każdym razie dobrze będzie, jeśli się studyum tego komentarza poleci początkującym, nim się zabiorą do Gunkel'a, Delitzsch'a, Dillmann'a i t. d.

3. Tekst hebrajski tego komentarza wydał autor osobno w książeczce małej, zgrabnej, o formacie kieszonkowym, za co mu się należy szczera wdzięczność. Zwłaszcza początkującym uczynił tekst hebrajski przystępniejszym, opuszczając cały las masoretyckich akcentów i znaczków.

4. W przedmowie do komentarza Hoberg oświadcza, że nabrał przekonania do wywodów Schulza o t. zw. *Doppelberichte* w Pentateuchu. Jest to bądź co bądź rozprawa ciekawa: oto autor wybitnie katolicki, po pierwszy raz, o ile nam się zdaje, występuje z argumentami na korzyść *Quellenscheidung*, która na t. zw. *Doppelberichte* najczęściej się powołuje. Naszem zdaniem rozprawa ta nadawałaby się znakomicie na podkład dla prac np. seminaryum biblijnego, która to instytucya tak poczytne zajmuje miejsce w nowoczesnym ruchu naukowo-literackim naszych uniwersytetów. Por. L. Fonck'a *Wissenschaftliches Arbeiten*.

5. »Pieśń nad pieśniami!« Ileż to już zdań wypowiedziano o tej przedziwnej księdze! W tej książce spotykamy *nova et vetera*. *Nova* tylko pod względem zapatrywania się na strukturę literacką tego tajemniczego utworu. Pod tym względem »Pieśń nad pieśniami« chyba na zawsze pozostanie zagadką. Bo, jak się zdaje, choć wywody Hontheima z pewnością są *plausibles*, to zawsze powiedzieć o nich można tylko tyle, że »to wszystko być może«. Za to tłumaczenie bardzo jest przystępne i zrozumiałe, i wiele się przyczynia do zrozumienia sensu literalnego, który już sam jest nie bardzo przystępny.

6. Fuchs dokonał rzeczy trudnej i nie bardzo wdzięcznej. W jakim stosunku pozostaje odnaleziony niedawno tekst hebrajski księgi *Eccli.* do znanych jedynie do niedawna tekstów greckich? Oto pytanie, które domagało się odpowiedzi, zwłaszcza dlatego, że »nowy« tekst hebrajski przedstawiał się jako wyraźne *plus* w stosunku do tłumaczenia greckiego. To praca czysto »akademicka« i piękny przyczynek do stwierdzenia faktu, że, »dogmatyczne uprzedzenia« nie krępują wcale »ścisłych« badań. Rezultat, zdobyty tą mrówczą pracą, jest ten,

że te części, o które tekst hebrajski księgi *Eccli.* jest bogatszy od LXX, nie pochodzą ze syryjskiej recenzyi, jak twierdził Ryssel z Lèvi'm, lecz przeciwnie tekst syryjski wypłynął z bogatszego tekstu hebrajskiego.

7. Höpfl w swej rozprawie wyświetlił znakomicie dotąd mało znany moment w dziejach łacińskiej Wulgaty. Podaje bowiem wiadomości o pracach krytycznych uczonego kardynała Sirleta (1514—1585) do Nowego Testamentu, i poucza o tegoż polemice z Erazmem w obronie kościelnej Wulgaty, aby na końcu zaznajomić czytelnika z całym szeregiem znakomitych emendacyi tekstu, przeprowadzonych przez uczonego krytyka kardynała. Przeczytanie tej rozprawy przyczynić się może do powiększenia czci dla kościelnej Wulgaty, która jest owocem prac tak wysoce naukowych, do których należały omówione przez Höpfla »annotacye« Sirleta.

8. Do wszczętego przez van Bebbera i Belsera sporu o długość publicznej działalności Chrystusa Pana chce Hommanner dostarczyć »środków porozumienia się w tej sprawie« (VI). Po omówieniu Ewangelii co do ich wartości jako źródeł historycznych, przedstawia autor zdania patrystyki o kwestyi spornej: teorya jednego roku nie ma należytej podstawy ani w literaturze patrystycznej ani w Ewangeliach, teorya zaś dwóch lat bezwarunkowo nie ma za sobą tyle powag patrystycznych i ewangelicznych, ile tradycyjna opinia o trzech latach, której autor broni zapomocą samychże dat ewangelicznych — z Ojców bowiem nie wiele da się na jej korzyść powiedzieć. Włączając swój rezultat w chronologię powszechną, dochodzi autor do takich wyników: Chrystus Pan urodził się w r. 746 a. U. c. i umarł w 40 roku życia w roku 786 (3 kwietnia) u. c. (= 33 aer. vulg.). Wywody autora, zwłaszcza w 3 części, nie spotkały się z wielkiem uznaniem (zob. *Bibl. Zeitschr.* VI (1908), 4, 424 i *Theolog. Quartalschr.* XC (1908), 4, 617 Belser]).

Prace, wspomniane pod 3—8, należą do kolekcyi »studyów bliblijnych«, wydawanych przez zasłużonego patrologa monachijskiego Bardenhewera, które obejmują już 13 tomów, a zawierają cały szereg poważnych pozytywnych prac nad poszczególnemi zagadnieniami biblijnemi: kwestye ogólne dogmatyczno-biblijne prawie że zupełnie ze zbioru są wykluczone, i ta okoliczność może zapewniła kollekcyi takie powodzenie.

Następna książka, której poświęcamy kilka uwag, nie należy

już do tego zbioru. Niezmordowany pracownik na polu egzegezy Nowego Testamentu:

9. Belser, obdarzył nas pięknym komentarzem do listu św. Pawła do Efezów, tej prawdziwej skarbnicy myśli i serca wielkiego Apostoła. Kto zna Belsera z jego dawniejszych prac, zwłaszcza, kto zna jego »Historyę męki i śmierci, zmartwychwstania i wniebowstąpienia Pańskiego«, ten w niniejszym komentarzu z łatwością rozpozna dawnego znajomego: krytyka tekstu, ogromna erudycya filologiczna, w parze z wyrobieniem egzegetycznem i gruntowną znajomością zagadnień introdukcyjnych i tła historycznego, to wszystko musi służyć jednemu celowi t. j. wyśledzeniu oryginalnej myśli Apostoła w samej sobie i w kontekscie. Refleksyi dogmatycznych, a zwłaszcza moralno-ascetycznych, nie robi uczony egzegeta widocznie w tej myśli, że to jest zadaniem samego czytelnika. Mimo to jednak, komentarz, nieraz suchy, a zawsze prawdziwie wysoce »uczony«, owiany jest pewnem ciepłem t e o l o g i c z n e g o, katolickiego myślenia i czucia: to patos wirtualny, zawarunkowany zresztą samym tekstem komentowanym.

10. Schäferowi należy się szczera wdzięczność, że w tej niewielkiej książeczce przedrukował opracowany przez niego wstęp do »Nowego Testamentu« (t. j. do II tomu *Handbuch zur Erkläruug der bibl. Gesch.* Schuster-Holzammera), gdzie te ważne materye dla szerokiego ogółu bądź co bądź nie były przystępne. A przedmiot to bardzo ważny: wszak dziś każdy katolik musi sobie umieć zdać sprawę z tego, czem są nasze ewangelie, jaka »naukowa« wiarogodność im przysługuje, co sądzić o napaściach nowoczesnej krytyki na te ewangelie. O tem poucza Schäfer w sposób przystępny, jasny a gruntowny, w niedużej i zgrabnej książeczce. Zwłaszcza rozdział VI (ostatni) odznacza się aktualnością, dosadnością i powagą polemiki z wywodami niedowiarków, z ich rozmaitemi teoryami, wynalezionemi przeciw powadze Boskoludzkiej Ewangelii. Książeczka ta odda znakomite usługi zwłaszcza uniwersyteckiej młodzieży, którąby się chciała poinformować należycie w kwestyach tak doniosłych.

11. W niezwykłem trochę sąsiedztwie z temi książkami, polegającem przedewszystkiem na wspólności języka, wspominamy wkońcu o książce księdza Szczepańskiego, znanej nam z polskich oryginałów, które przełożone na niemieckie, połączone zostały w jedną oprawę i w jeden tytuł powyżej zanotowany. Przychodzi nam jedynie skonstatować z radością, że nadzieje, wypowiedziane w t e m piśmie, z okazyi wzmianki o »Na Synaju«, co do niemieckiego opracowania

dzieła, ziściły się w pełnej mierze. Prawie wszystkie poważne czasopisma teologiczne niemieckie, które już umieściły sprawozdania z książki, przywitały to dzieło z prawdziwem uznaniem. Między innymi K. Heyes, autor dzieła wysoce naukowego p. t. *Bibel u. Aegypten,* w *Köln. Volkszeitung (Sonntagsbeilage)* niedawno obszernie i z całem uznaniem wprowadził dzieło ks. Szczepańskiego w szerszy świat naukowy. Pod względem rzeczowym żaden z recenzentów niema nic do powiedzenia przeciw wywodom autora. Jeden dopatrzył się w niektórych zwrotach niemieckich słowiańskiego pochodzenia autora, a drugiemu niepodoba się jedynie to, że ks. Szczepański nazywa obrońców góry Serbal, jako góry przykazań, »Serbalistami«: jak na taką książkę, to trochę za mało »błędów«.

To tylko mały ułamek z dorobku literackiego biblijnego ostatnich dwóch lat. Ten jednak sam już wskazuje, że pod względem naukowym katolicy coraz to dosadniej zadają kłam zarzutom »inferyoryzmu« katolickiego na polu naukowo-literackiem.

*Ks. dr. J. Korzonkiewicz.*

# ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

**Pamiętnik pierwszego kursu katechetycznego we Lwowie** wydał ks. dr. Aleksander Pechnik. Lwów. Druk J. Chęcińskiego. 1908. Str. 171.

Aby wraz z rodziną wychować i w szkole młodzież na dobrych ludzi, aby wykształcić z nich wierzących i żyjących z wiary chrześcijan, musimy ciągle wychowywać siebie samych, musimy bez przerwy się kształcić. Kurs katechetyczny, który się odbył w dniach od 4 do 9 lutego 1907 r. przy udziale 143 kapłanów, był dowodem, że katecheci uznają potrzebę udoskonalenia sposobu nauczania i że, według słów JE. ks. arcb. Bilczewskiego chcą dokonać krytyki na metodzie, na podręcznikach i na sobie samych. W latach ubiegłych odbyły się w Galicyi dwa wiece katechetyczne, obecnie nie wiec, ale kurs urządzono z lekcyami próbnemi i gdyby takie kursa co roku się powtarzały stale, tylko podzielone na niższy i wyższy (według klas lub szkół niższych i wyższych) przyniosłyby bez wątpienia ogromny pożytek społeczeństwu i Kościołowi. Prezes Związku katechetów ks. dr. A. Pechnik wydał tego kursu »Pamiętnik«, aby owoc tych pięciu rzeczywiście pracowitych dni był trwalszy, aby przyniósł pożytek nie tylko biorącym udział w kursie katechetom, ale również wszystkim całej Polski kapłanom-nauczycielom.

Książka, o której mowa, powinna się znaleźć w ręku każdego katechety, gdyż zawiera w referatach kwestye opracowane w świetle nowszych zdo-

byczy naukowych, z uwzględnieniem piśmiennictwa katechetyki zagranicznej i z punktu widzenia naszych obecnych stosunków społecznych. Do takich przedewszystkiem należą referaty: ks. Jeża, »O uświadamianiu młodzieży pod względem płciowym«; ks. d-ra Waissa, »O rozwoju gatunków«; ks. Ślepickiego, »O katechizmach najnowszych«; ks. Józefowicza, »Środki naukowe i metoda poglądowa przy nauczaniu religii«. Inne referaty w całości w »Pamiętniku« umieszczone omawiają następujące kwestye: »O stosunku katechety do młodzieży«— ks. dr. Podwin; »Jak uczyć dogmatyki szczegółowej w szkołach średnich?«— ks. dr. Sieniatycki; »O ile katecheta może i powinien korzystać przy nauczaniu w szkole średniej z literatury świeckiej?«—ks. dr. Pechnik; »O nauczaniu Biblii«—ks. dr. Bystrzanowski.

W świetle tych referatów może łatwo katecheta skontrolować swój sposób wykładu, a referat ks. Podwina zapali go do gorliwej i wydatniejszej pracy szkolnego duszpasterza. Innych prelegentów wykłady umieścił szanowny wydawca «Pamiętnika« tylko w streszczeniu, gdyż w całości nie mógł otrzymać (str. 157 dopisek) a mianowicie: »O metodzie nauczania katechizmu« ks. Ślepickiego (najobszerniejsze); »O podręczniku etyki katolickiej ks. d-ra Szczeklika; »O nauczaniu dogmatyki szczegółowej« ks. d-ra Lenkiewicza; »Katecheza w Polsce« ks. d-ra Fijałka; »O różnicy między duszą ludzką a zwierzęcą« ks. d-ra Gabryla; »O nauczaniu historyi kościelnej w szkołach średnich« ks. d-ra Gerstmanna. W streszczeniu też jest podany przebieg dyskusyi po każdym referacie. Zaczynają i zamykają »Pamiętnik« słowa JE. ks. arcybiskupów Bilczewskiego, Teodorowicza i Likowskiego.

Pamiętnik tego kursu będzie przyczynkiem do historyi katechetyki w Polsce, a zarazem śladem i dowodem gorliwości i wysiłków szkolnych duszpasterzy.

*Ks. T. B.*

**Na górze Athos wśród mniszej republiki.** *Ks Marcin Czermiński T. J.* Kraków 1908. Str. 278, w 8-ce. Tekst objaśniony 60 ryc. i mapą Athosu.

Do licznych podróży misyjnych i opisów, jakie po nich autor czcigodny od wielu lat ogłasza, przybył nowy opis, podany w nagłówku, i ten należy może do najciekawszych. Dalekie kraje, zwłaszcza południowe, które od lat dziesiątka ks. Czermiński w posłudze misyjnej zwiedza i sprawozdaniem o nich dzieli się z publicznością, już to w *Misyach katolickich,* już też w oddzielnych wydaniach, są bądź co bądź znane już, choćby częściowo, także z innych sprawozdań bądź turystów, bądź korespondentów dziennikarskich. Lecz góra Athos wraz z swemi osobliwościami przyrody, a jeszcze bardziej z swoimi mieszkańcami i zabytkami historycznymi, zwłaszcza w dziale architektoniki i malarstwa, była dotąd dla Zachodu europejskiego istna *terra ignota.* A jednak mało co znany ten atoski półwysep, 56 kilometrów długi, a 5—10 szeroki, jest nielada ciekawym zakątkiem świata i pouczającym zabytkiem tradycyi prastarej. Wszak jeszcze przed Focyuszem była cała ta »Góra święta« wyłączną osadą mnichów wschodnich, a dziś jeszcze zamieszkuje ją nie mniej, jak 10 tys. zakonników prawosławnych greckiej, rosyjskiej, bułgarskiej, serbskiej, gruzińskiej i rumuńskiej narodowości. Z osób świeckich jest tam ledwie kilku urzędników i kupców, garstka żołnierzy, a żaden z nich, nie wyj-

mując nawet kajmakana (rodzaj naszego starosty), który jest tam jedynym muzułmaninem, nie może na Athosie posiadać żony, bo ten szmat ziemi ma zamieszkiwać wyłącznie: *gens aeterna, in qua nemo nascitur.*

Na tę to górę wprowadza autor czytelnika i w 9 rozdziałach przedstawia to wszystko, co go tam może zainteresować. Więc zarówno legendy do niej się odnoszące, jak ścisłe wiadomości historyczne; cały ustrój tej republiki mniszej z prostatem czyli władzą najwyższą na czele, hierarchiczne urządzenia i zarząd, genezę ustaw mniszych i przyczyny upadku ducha zakonnego (główna przyczyna: wprowadzenie życia t. zw. idiorytmicznego, co się dotąd utrzymało w najpoważniejszych monasterach jako to: Watopedi, Iwiron a nawet w Ławrze św. Atanazego), walki narodowościowe i spory liturgiczno-dogmatyczne. Uwydatnia różnicę między monasterem a skitem, kaliwą, kelią i metochionem, oprowadza po poszczególnych monasterach i okazuje sposób życia mnichów, ich przygotowanie (nowicyat) do życia zakonnego, ich nastrój duchowy, praktyki religijne i posty, źródła dochodów i karność zakonną. W szczególności podkreśla zabytki w starych monasterach, archiwa, biblioteki, ikonografię bizantyńsko-rosyjską. Wszystko to przeplatane opisami okolicy, gościnności mnichów, wydarzeniami w podróży, często pełnemi humoru, obok tego poglądem głębszym na cały ustrój tych naśladowców pustelniczych Tebaidy, pozwalającym oglądać wnętrze duszy dzisiejszych zakonników, odsłonić rąbek »zasłony zakrywającej jakby skrystalizowaną przeszłość w jej zewnętrznych formach«. I to właśnie są może najbardziej pouczające karty w tej interesującej książce.

A gdy się zważy, że po dziś dzień Athos jest prawie tem dla prawosławnych, czem Mekka dla muzułmanów, a Rzym dla katolików, to naoczne sprawozdanie o nim takiego podróżnika, jakim się ks. Czerminski okazał z licznych swych wydawnictw, przyczynić musi sporo spostrzeżeń na temat żywotności tej gałęzi obumarłej i jej przyszłości w dalszych dziejach powszechnego Kościoła. *Ks. J.*

**Manifestacye Warszawy 1861 r.** *A. Giller.* Z rękopisu wydał, wstępem i przypisami zaopatrzył Justyn Sokulski. Stanisławów 1908. Nakładem księgarni Jasielskiego.

Z zupełnem uznaniem odnosimy się do wydawnictwa p. Sokulskiego, ogłaszającego drukiem wspomnienia Gillera, zasłużonego i znanego historyka, którego praca przyczynia się do dokładniejszego zbadania czasów przedpowstaniowych roku 60 i 61, tak zajmujących i obfitych w tyle szczegółów tragicznych, które przedewszystkiem winny obchodzić nas Polaków.

We wstępie wprowadza nas wydawca w smutne chwile r. 60 i 61, w których także żywy brał udział A. Giller, autor »Manifestacyi«. Dlatego też jego pamięci poświęca pan Sokulski słów kilka. Następnie przystępuje do ogłoszenia rękopisu z r. 1867, którego część pierwszą wydrukowano w »Wydawn. mater. do hist. powstania 1863—64« (Lwów 1888) p. n.: »Dzieje delegacyi warszawsk. r. 1861«. Manifestacye są dalszym ciągiem tej pracy. Autor zaczyna opowiadanie od wystąpienia Wielopolskiego wobec duchowieństwa dnia 2 kwietnia, przechodzi następnie szereg smutnych wypadków w Warszawie, kończy zaś na działaniach Mielnikowa i Marchelewicza.

Przypisy zawierają mowę Niegolewskiego z 1 czerwca 1861, list Garibaldiego do L. Mierosławskiego, odpowiedź duchowieństwa katolickiego Wielopolskiemu i kilka ogłoszeń i manifestów carskich.

*St. B.*

**Listy do przyjaciół o życiu młodzieży szczególniej akademickiej.** Zebrał *T. B.* Brody. Nakładem F. Westa. Warszawa. Wende i Sp. 1908.

Książka licząca str. 183 zawiera szereg listów, poruszających żywo kwestye dotyczące młodzieży, zwłaszcza w czasie pobytu jej na uniwersytecie. Autor przechodząc twardą szkołę życia, czując się nieraz narażonym na niejedne pociski zepsutego świata, zahartował się i nabrał doświadczenia, a teraz chcąc stać się użytecznym społeczeństwu, zwłaszcza młodszej generacyi, dzieli się, jako prawdziwy przyjaciel młodzieży swojemi wiadomościami zaczerpniętemi z życia. W listach swoich, gdyż tę formę uważał autor bardzo słusznie za najodpowiedniejszą, przechodzi kolejno chwile życia akademickiego od czasu gdy młodzieniec staje się samodzielnym i szuka drogi i wyboru stanu, aż do chwili, w której opuszczając mury uniwersyteckie działać zaczyna jako obywatel. Za główną podporę życia i drogowskaz zbawienny uważa autor religię, dlatego przedewszystkiem kładzie nacisk na gorące przywiązanie do wiary, na ćwiczenie woli i charakteru i na obyczajność społeczną. Młodzieniec idący za temi wskazówkami stać się ma podporą społeczeństwa i ojczyzny. Dlatego gorąco polecić możemy niniejsze dziełko, mogące zapobiedz niejednemu nieszczęściu, wynikającemu z porzucenia drogi prawej, drogi cnoty.

*St. B.*

**Pamiętniki dziecka Warszawy.** *Kazimierz Władysław Wójcicki.* Kraków 1909. G. Gebethner i Spółka.

Wójcicki, autor »Cmentarza powązkowskiego« i tylu innych znanych dziełek historycznych, obdarzając szczególniejszą sympatyą Warszawę, miejsce swego urodzenia, nieraz podaje nam ciekawe szczegóły, odnoszące się do historyi stolicy Polski. Teraz znowu wychodzi nowe dziełko p. t. »Pamiętniki dziecka Warszawy«, nakreślone przez autora w młodocianym jeszcze wieku. Zawierają one nie tylko szczegóły z życia młodzieńca, oparte na tle historycznych wypadków, lecz sięgają jeszcze wstecz do czasów kościuszkowskich a nawet do Konfederacyi barskiej. Są one też nadzwyczaj charakterystyczne a to z tego względu, że nie są pisane według reguł wymaganych przy pracy, lecz tak jak młodzieniec mógł rzecz pojmować, opisywał wszystko tak jak widział, wspominał o tem, co jego umysł najbardziej uderzało. Dlatego znajduje się w tym pamiętniku wiele drobnych wspomnień o różnych ludziach, którzy naówczas jakąś rolę odegrali, o których skądinąd nic lub bardzo mało wiemy. Dlatego znajdujemy tam wiele szczegółów, na które człowiek dojrzały przy pisaniu uwagiby nie zwracał, młody zaś chłopiec niemal na pierwsze miejsce je wysuwał.

*St. B.*

**Das Messbuch der hl. Kirche** (Missale Romanum) lateinisch und deutsch mit liturgischen Erklärungen. Für die Laien bearbeitet von *P. Anselm Schott O. S. B.* Zwölfte Auflage. Freiburg. Herder. 1908. Str. XXXII, 1008.

Słyszy się nieraz ubolewania, że wierni nie rozumieją liturgii, pięknych obrzędów kościelnych i pełnych podniosłej treści modlitw. Zapewne wielka

to szkoda. Z jakiem uczuciem braliby ludzie udział we Mszy św., gdyby wszystko, co kapłan śpiewa lub mówi, było im zupełnie zrozumiałe!

Książeczka O. Schotta czyni zadość temu życzeniu. Że tak istotnie jest, dowodem tego choćby ta okoliczność, że w ciągu 14 lat (od r. 1894, kiedy się pojawiło czwarte wydanie) doczekała się 8 nowych wydań, a ostatnie, które mamy pod ręką, wyszło w 100.000 egzemplarzy. Cel tego dziełka — widoczny z tytułu. A jakiż jego układ? Po krótkiej nauce o istocie Mszy św. następują objaśnienia liturgiczne o kolorze szat kościelnych, o podziale mszału, o rozmaitych kategoryach świąt; wkońcu podano skrócenia i objaśnienia terminologii liturgicznej łacińskiej. W dalszym ciągu widzimy kalendarz kościelny, na tem kończy się część wstępna. Druga część obejmuje sam mszał. Zaczyna ją tak zwana Tercya, jedna z godzin kanonicznych, którą się zwykło śpiewać przed uroczystemi celebrami np. biskupiemi. Dodano też sposób odbywania aspersyi czyli pokropienia wodą święconą, jakie się odbywa w niedzielę przed sumą. Dalej mamy modlitwy zawarte w mszale; niektóre z nich tylko po niemiecku, inne także w łacińskim języku. (Mniej zrozumiałe teksty liturgiczne tłumaczy autor krótko w dopiskach). Ta część obejmuje msze całego roku. Ostatnią część stanowi dodatek, zawierający najbardziej używane modlitwy, obrzędy pogrzebowe, sposób przygotowania się do spowiedzi i Komunii św., wreszcie sposób słuchania Mszy św. według św. Gertrudy.

Książeczka cała formatem swym małym i zgrabnym nadaje się dobrze jako środek pomocniczy do pobożnego i korzystnego słuchania Mszy św., a treść jej może oddać rzetelne usługi w zrozumieniu liturgii, naturalnie dla ludzi więcej intelligentnych.

*A.*

**Der Durchzug der Israeliten durch das Rote Meer** von *Ladislaus Szczepański S. J.* Innsbruck 1908.

Autor pragnie w niniejszej rozprawce dorzucić kilka myśli i uwag własnych do żywo roztrząsanej kwestyi biblijnej Exodus 14, 21, 22, 29. Można go uważać za powołanego do zabierania głosu w tej kwestyi, gdyż odbywał długoletnie fachowe studya biblijne w ziemi świętej i sam badał na swych wycieczkach naukowych miejscowe warunki i położenie. Wyniki gruntownego jego studyum są następujące: Z krytycznego rozbioru samego tekstu Exodus i z porównania go z innemi tłumaczeniami jasno wynika, że skutek wiatru południowowschodniego, powstałego z woli Bożej, był podwójny: podział wód i osuszenie dna morskiego. Stało się to oczywiście zapomocą cudu *praeter naturam*, albo jak go też zowią *quoad modum*. Bóg użyczył wiatrowi wiejącemu nadzwyczajnej siły, tak iż w przeciągu jednej nocy zdziałał to, na coby w zwyczajnych warunkach bardzo długiego potrzebował czasu. Nie wymaga jednak sam tekst, byśmy i drugi cud przyjęli, że wody się spiętrzyły i jak mur stanęły po prawej i lewej stronie Żydów. Wyraz bowiem חוֹמָה może oznaczać nie tylko mur, ale to wszystko, co służy za obronę. Prócz samego tekstu Exodus powołuje się autor na poparcie swego zdania i na tłumaczenie greckie, etyopskie, koptyjskie i t. d. i na jedno miejsce u proroka Nahum 3, 8, Exod. 15, 8 i psalm 78, 13 nie przedstawiają wielkiej trudności, gdyż chodzi tam o poe-

tyczne przedstawienie całego zdarzenia. Nowy cud byłby nawet zbyteczny, gdyż Żydzi już byli doskonale zasłonięci przed pościgiem Egipcyan. Po prawej i lewej ręce mieli wody morskie, z tyłu bronił ich ognisty słup obłokowy, który im oświecał drogę.

Co do samego miejsca, w którem Żydzi przeszli przez morze Czerwone, nie przedkłada autor własnego zdania. Pomijając niektóre przestarzałe i nienaukowe poglądy, zwraca tylko uwagę na dwie istniejące hipotezy. Hipoteza, że przejście odbyło się koło Suez, ma bardzo słabe strony. Wiele tu autor przytacza trafnych uwag *contra*, które zaczerpnął na swej naukowej wycieczce na Synaj i szerzej rozprowadził w osobnem dziele »Na Synaju« (Kraków. Nakładem Apostolstwa Modlitwy). Hipoteza, że przejście odbyło się pomiędzy Timaêh a Jeziorami Słonemi, ma wiele dobrych stron, nie przechodzi jednak na razie granic prawdopodobieństwa.

*L. B.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

### Sprawy Kościoła.

Ze zjazdu wileńskiego.

Od dawna już dochodziły z Litwy smutne wiadomości o coraz to większych nieporozumieniach między Polakami a Litwinami i o szowinistycznej obustronnej agitacyi narodowej, która w swój wir wciągnęła także kapłanów z wielką szkodą tak dla Kościoła, jak i dla kraju. Wiadomości te przedostały się nawet za granicę i kilka tygodni temu dały hakatystycznej prasie pruskiej pożądaną okazyę do namiętnych ataków wymierzonych przeciwko Polakom, by tym sposobem upozorować własną niesprawiedliwość i brutalne gwałty.

To też niezwykłą zasługą nowego administratora dyecezyi wileńskiej, księdza prałata Michalkiewicza było, że ten smutny a groźny stan nie tylko zrozumiał, ale i zaradzić mu postanowił, wychodząc ze słusznej zasady, że do ułagodzenia namiętnych sporów najwięcej chyba przyczyni się Kościół przez kler, przejęty duchem Chrystusowym, pełen prawdziwej miłości bliźniego i rozumiejący wielkość i wzniosłość swego powołania. W tym też celu zapowiedział na dzień 5 i 6 marca ogólny zjazd kapłanów dyecezyi, mających radzić nad przywróceniem normalnych stosunków i omówić kilka spraw tyczących się życia kościelnego. Zjazd ten zgromadził przeszło dwustu księży.

»Co do kwestyi polsko-litewskiej, — pisze *Kuryer Litewski* z dnia 22 lutego (7 marca) — uczestnicy zjazdu podzielili się na dwie grupy: polską i litewską i pod przewodnictwem księdza administratora poświęcili osobne posiedzenia dla wyświetlenia całej sprawy. Grupa polska odbywała swoje narady dnia 5 marca w sali bibliotecznej seminaryum dyecezyalnego od godziny 10 zrana do 3 po południu. W tejże sali, od godziny 4 do 8 wieczorem, obradowała grupa litewska.

Po długich a wyczerpujących debatach, w czasie których wykazano dużo dobrej woli i ogólnej dążności, jak z jednej tak z drugiej strony, do ułożenia sprawy po Bożemu, powzięto uchwały w jednej i drugiej grupie. Nie podając szczegółowej treści pojedyńczych uchwał, zaznaczamy, że jedna i druga grupa stanowczo potępiły wszelką agitacyę szowinistyczną z tej lub owej strony, narzucanie komukolwiek jakiegobądź języka, jątrzenie stosunków narodowościowych za pomocą prasy, oraz zaprotestowały przeciwko działalności wszelkich burzycieli porządku w kościołach i parafiach, odrzuciły i potępiły używanie Kościoła za arenę walk narodowościowych, postanowiły czynić zadość potrzebom ludu z uwzględnieniem w duszpasterstwie praw językowych nawet minimalnej mniejszości, w równej mierze szanować prawa i uczucia każdego z narodów, bynajmniej nie stawiając przeszkód prawidłowemu rozwojowi kulturalno-społecznemu Polaków i Litwinów.

Tak się ułożyła na posiedzeniach pojedyńczych grup strona zasadnicza uchwał, która przygotowała materyał do wytworzenia na posiedzeniu wspólnem, odbytem dnia 6 marca pomiędzy godziną 10 rano i 3 po południu regulaminu dla przyszłego, pokojowego unormowania stosunków wzajemnych w parafiach o ludności mieszanej.

Na posiedzeniu tem, w mowie programowej ks. administrator zaznaczył, że uregulowanie stosunków narodowościowych w Kościele i parafii, poleca wyłącznie kapłanom, przyczem podaje podstawowe wskazówki, któremi mają się kierować co do porządku nabożeństwa w poszczególnych parafiach: W każdej parafii o ludności mieszanej, powinien być kapłan, znający oba języki; ka-

zania, katechizacya w każdą niedzielę i święta bezwarunkowo mają być w obydwóch językach; śpiewy zaś i inne dodatkowe nabożeństwa mają być odprawiane tak, żeby i mniejszość nie była ich pozbawiona w swoim języku.

Ustanawia się stała komisya, złożona z 4 księży, po dwóch z każdej grupy i piątego prezesa, przez władzę dyecezyalną mianowanego.

Komisya funkcyonuje na wypadek nieporozumnień narodowościowych w parafiach. Uporządkowanie kwestyi językowej w Wilnie ks. administrator rezerwuje sobie.

Prócz powyższej komisyi wybrana została jeszcze druga komisya złożona z pięciu osób. Zadaniem tej komisyi będzie uregulowanie opłat za posługę duchowną, wypracowanie projektu ubezpieczenia księży na wypadek choroby i niezdolności do pracy i ułożenie jednostajnych norm wynagrodzenia dla wikaryuszów.

Obrady zakończył ks. administrator dłuższem przemówieniem, w którem wzywał gorąco wszystkich uczestników zjazdu do pracy nad ludem szczerze apostolskiej i czysto kulturalnej«.

Zastanawiając się nad zjazdem trzeba przyznać, że dotykając piekącej rany, podał on zarazem główne środki, które ją mogą uleczyć, jak tylko zostaną wprowadzone w życie i przeprowadzone w tym samym duchu, w jakim były powzięte. A że w tym duchu przeprowadzone będą, za to ręczy z jednej strony wielkoduszna gorliwość nowego administratora, z drugiej zaś sam ten kler, który tak licznie na wezwanie swej władzy przełożonej się stawił i pełnym miłości Boga i bliźniego słowom chętny dał posłuch.

Po wyborach włoskich.

Ostatnie wybory włoskie zwracały we większej mierze, niż dawnymi laty, skutkiem naprężonego międzynarodowego położenia, uwagę na siebie. Przypuszczano, że odbędą się one, jeżeli już nie pod hasłem, to przynajmniej pod wpływem agitacyi antyaustryackiej; stronnictwa umiarkowane lękały się zbytniego zwrotu na lewo, kiedy znowu radykalne obawiały się osłabienia swego znaczenia i stanowiska. Wynik tymczasem był trochę niespodziewany i wykazał przedewszystkiem

znaczne zwycięstwo rządu, który w nowym parlamencie będzie miał około trzy czwarte izby, bo mniejwięcej 360 deputowanych na 508. Po stronie bowiem rządu stanie 267 deputowanych *par excellence* rządowych, 26 umiarkowanych, 25 katolików i, przynajmniej w sprawach narodowych, 50 członków opozycyi konstytucyjnej; lewicę utworzy 42 socyalistów, 23 republikanów i 44 radykałów. Zmiany, jakie jeszcze zajdą, stosunku tego wogóle nie naruszą.

Ciekawe światło rzucają wybory na katolików włoskich. W Rzymie ponieśli oni ciężką porażkę; nie tylko bowiem nie przeprowadzili żadnego z postawionych przez *Unione elettorale* kandydatów, ale nie byli nawet w stanie dopomódz do zwycięstwa kandydatom umiarkowanym przeciwko radykałom czy republikanom.

Trochę inaczej przedstawiają się stosunki na prowincyi, a przedewszystkiem w północnych Włoszech. Za wyraźnem lub milczącem zezwoleniem władz duchownych stanęli katolicy do urny w mniejwięcej czterystu okręgach wyborczych i ich zasługą jest zwycięstwo kandydatów rządowych czy umiarkowanych tak dalece, że jak pisze *Avvenire d'Italia*, bez głosów katolickich byłoby upadło cztery piąte kandydatów ministeryalnych; oni więc uniemożliwili zwycięstwo pierwiastków radykalnych.

Swoją drogą przeprowadzili katolicy tylko dwudziestu pięciu posłów — wynik nieznaczny wobec dość znacznego zmobilizowania sił.

Składały się na to różne przyczyny. Z jednej strony, jak to już w innych zeszytach *Przeglądu* zaznaczaliśmy, nie chodziło katolikom włoskim bynajmniej o wprowadzenie kandydatów katolickich do parlamentu, lecz o poparcie posłów umiarkowanych przeciwko radykalnym i wogóle skrajnym — ten cel osiągnęli.

Z drugiej strony zaprzeczyć się nie da, że komitety wyborcze dopuszczały się niesłychanych nadużyć, które nawet zostały napiętnowane przez prasę niekoniecznie katolicką. »Jak się tego w kraju prawdziwie wolnym i wolnomyślnym i mimo 50% analfabetów w wysoce ucywilizowanym spodziewać można było, pisze jeden z włoskich liberalnych dzienników, wszechwładny na-

ród przepędził według sił wrogów kraju a przedewszystkiem klerykałów. W Rzymie wolnomyślni nie pozwolili tym ostatnim nawet głosować i niejeden ksiądz i zakonnik został szturchańcami i kijami zapędzony z powrotem do swej zakrystyi lub do swego klasztoru. Księża są wprawdzie również dobrymi Włochami, jak tak zwani liberali albo tak zwani demokraci, ale ponieważ są równocześnie tak bezczelni, że nie chcą głosować na tak zwanych kandydatów liberalnych — u nas we Włoszech jest wszystko ‚tak zwane' — nie mają więc prawa głosu. ‚Będziecie głosować za nami, wołał przewodniczący jednego biura, albo zupełnie nie'. W Rzymie bawiono się wogóle dobrze, rozbijano urny, strzelano — istna noc karnawałowa. A przytem tak wszędzie było swojsko i po domowemu, że wybory musiały się odbywać pod nadzorem wojskowym — wspaniały dowód politycznej dojrzałości narodu. W Rzymie z zapisanych dwudziestu tysięcy wyborców brało udział we wzniosłym tym akcie około piętnastu tysięcy — ale cóż to znaczy piętnaście tysięcy wyborców w mieście o sześciuset tysiącach mieszkańców? I aby tych piętnaście tysięcy ‚wolnych obywateli' powstrzymać od wzajemnego rozbijania sobie nosów, rozumie się w imię wolności, zmobilizowano pół armii«. Te gorzkie słowa odnoszą się nie tylko do Rzymu, sprawdziły się i na prowincyi.

Powodem nieświetnego dla katolików rezultatu wyborów było także częste odstępstwo monarchistów. O ile bowiem katolicy bezinteresownie oddawali swe głosy kandydatom umiarkowanym, o tyle znowu niejeden raz monarchiści, jak np. w Rzymie urzędnicy dóbr królewskich, głosowali za socyalistą lub radykałem przeciw umiarkowanym kandydatom rządowym.

Główną przyczynę niepowodzenia upatrują jednak gazety katolickie w braku dobrej organizacyi stronnictw katolickich, w nieznajomości warunków publicznego życia i w pewnem rozdwojeniu. W północnych np. Włoszech, gdzie organizacya jest względnie dobra, wyniki były dość dodatnie, przeszły nawet, jak do wiedeńskiej *Reichspost* (nr. 71) pisze redaktor medyolańskiego *Unione*, Vercesi, oczekiwanie. Inaczej w południowych lub środkowych Włoszech. Tam mimo milczącego lub wyraźnego przyzwolenia biskupów katolicy albo nie brali udziału w wyborach

albo w samem głosowaniu nie trzymali się jednej reguły i przeszkadzali sobie nawzajem, powołując się na niejasność sytuacyi. W takich warunkach nie mogło być o lepszych rezultatach nawet mowy.

Ponieważ w sferach katolickich przyjęło się, popierane przez Watykan hasło: *cattolici deputati-si, deputati cattolici-no,* powstają z różnych stron różne projekty i programy przyszłej pracy dla posłów. Na uwagę zasługuje projekt postawiony przez *Corriere d'Italia* (9 marca). Żąda on kartelu wszystkich elementów konstytucyjnych, począwszy od najbardziej liberalnych z pośród umiarkowanych a skończywszy na najgorętszych katolikach. Celem takiego kartelu byłoby utworzenie stronnictwa narodowego, o szerokim programie, bez charakteru kościelnego lub specyficznie politycznego, któreby się oddało całe na usługi wielkiej idei socyalnej i oświatowej a zwróciło przeciwko blokowi wolnomularsko-socyalistycznemu.

Odmienny trochę program stawia wychodzący w Bolonii *Avvenire d'Italia.* Na katolikach, wywodzi, spoczywa dziś z powodu ich udziału w wyborach pewna odpowiedzialność za parlament; dlatego życzyćby sobie należało, »byśmy mieli w izbie deputowanych, którzy z nami razem czują, którzy mają nie tylko te same religijne przekonania, jak i my, ale i ten sam socyalny program, to samo pragnienie odnowienia społeczeństwa, poprawienia losu pracującej klasy i sprawiedliwego rozdzielenia ciężarów«. Chodzi tu więc o stronnictwo konserwatywne, oparte na chrześcijańskiej podstawie, a choć długo pewnie jeszcze potrwa, nim podobne programy w życie wprowadzone zostaną, samo już uznanie ich potrzeby jest czemś dodatniem i mówi, że da się ostatecznie znaleźć jakieś wyjście z tego labiryntu.

Bardzo smutnym objawem jest wybór dziś już ekskomunikowanego ks. Murri'ego. Zasuspendowany dawniej przez władzę kościelną a poparty obecnie przez socyalistów, którym do smaku przypadł jego radykalny i antyklerykalny program, pobił przy ściślejszych wyborach poleconego przez kuryę arcybiskupią kandydata ministeryalnego i wszedł do parlamentu. Ze strony katolickiej posypały się protesty i zapewnienia o wytrwaniu w Ko-

ściele i wierności w wierze; fakt jednak, że i pewien procent księży oddał swe głosy na ks. Murri'ego, a pewna ich liczba w otwartym liście przeciwko arcybiskupowi wystąpiła, nie przyczyni się z pewnością do wyjaśnienia sytuacyi ani do uspokojenia podnieconych umysłów.

Na swojej drodze znajdzie obecnie ks. Murri towarzysza w osobie ks. Bartoli'ego. Przed rokiem opuścił on zakon pod pozorem, że niesprawiedliwie z nim się obchodzą — dzisiaj przeszedł do Waldensów i w ich kościele miewa odczyty, w których zwalcza papiestwo i katolicyzm i głosi pierwotne chrześcijaństwo, religię prawdy i wolności, a czyni to w sposób tak zjadliwy i nizki, że budząc senzacyę budzi równocześnie i niesmak. To też liberalna *Italie* prosi go sarkastycznie o odpowiedź, czy u Waldensów rzeczywiście znajduje ten spokój, którego tak mu brakło u Jezuitów!

Nie przywiązujemy do tego wystąpienia nieszczęśliwego odstępcy większej wagi, dlatego zbywamy sam fakt krótką notatką.

Z katolickich stosunków w Ameryce

Donosiliśmy kilka miesięcy temu o ostrej odpowiedzi, jaką były prezydent Roosevelt dał niektórym niemieckim pastorom, utrzymującym, że Amerykanie przy wyborze prezydenta nie głosowaliby nigdy na katolika, gdyż temu jego Kościół nie pozwala na to, by uznał formę rządu republikańską lub demokratyczną; katolik nie może więc być dobrym obywatelem.

Obecnie zabrał w tej samej sprawie głos kardynał Gibbons a jego wywody i tych wywodów podstawa zasługują na bliższe zaznajomienie się z niemi.

Kardynał stwierdza najpierw, że amerykańscy katolicy przenoszą formę rządu w Stanach nad każdą inną, przyjmują bez zastrzeżeń konstytucyę, nie życzą sobie jej zmiany, bo podczas gdy katolicy w Niemczech, w Anglii i w Polsce znosili dla swej wiary prześladowanie, w Ameryce cieszyli się wolnością własną i wolnością Kościoła. Amerykańscy katolicy cieszą się — dosłowne to twierdzenie kardynała — »z naszego rozdziału Kościoła od państwa«, i trudno nawet przypuścić, żeby kiedyś takie połączenie dla Kościoła lub dla państwa było pożądanem.

Poglądy swoje opiera kardynał najpierw na stanowisku, jakie wobec katolików zajmuje amerykańska prasa. Republikańskie i demokratyczne gazety uznają stanowczo, mimo że dla Francyi są zawsze życzliwie usposobione, że takiego rozwiązania sprawy, jakie ma miejsce we Francyi, Kościół przyjąć nie może. Jeżeli bowiem Kościołowi państwo wsparcia odmawia, powinno mu przynajmniej na wolny rozwój pozwolić. Jak ten rozwój rozumieć należy, to jest rzeczą wyłącznie Kościoła, a nie polityków ani władz. Jeżeli Kościół np. uznaje, że do jego rozwoju i spełnienia jego zadań potrzeba mu zakonników i wolnych wyznaniowych szkół, powinno państwo spełnić te żądania, inaczej Kościół nie jest wolnym. Temi zasadami kieruje się rząd amerykański i daje wolność Kościołowi katolickiemu; nie tak postępuje Francya, to też rozdział jest tam nie rozdziałem Kościoła od państwa, lecz szykanowaniem Kościoła przez państwo.

Te zapatrywania prasy znajdują swoje zastosowanie w publicznem i prywatnem życiu. Fanatyczna nietolerancya francuskiego radykalizmu i niemieckiego biurokratyzmu nie jest w Ameryce znana; nikt nie przepisuje w Ameryce katolikom, jak mają myśleć lub postępować; nikt nie przeszkadza im w praktykach religijnego życia. Mimo fanatyzmu pojedynczych amerykańskich sekt nie było jeszcze w kraju walki kulturnej na wzór niemieckiej ani ciemiężenia Kościoła na wzór Francyi i nigdy nie będzie; ręczy za to duch ożywiający społeczeństwo. »Ograniczać czyjąś wolność jest dla Amerykanina psychologiczną niemożliwością... Ich uszanowanie dla wyznania religijnego jest tak wielkie, że nie są nawet w stanie prześladować kogoś dlatego tylko, że należy do tego, nie do innego wyznania. Katolik żyć może swobodniej w Ameryce, jak w Niemczech lub we Francyi«.

Te poglądy są także poglądami władz. Władze starają się wobec katolickiego Kościoła zachować się zawsze sprawiedliwie. I tak, kiedy np. kilka parafii katolickich na Filipinach odpadło od Kościoła, założyło Kościół narodowy i postawiło na jego czele kilku księży odstępców, a ci wytoczyli katolikom proces i żądali odstąpienia dla siebie świątyń katolickich i majątków kościelnych, najwyższy trybunał amerykański rozstrzygnął na korzyść katolików

i uznał Kościół katolicki za prawego właściciela tak świątyń, jak i dóbr.

W ostatnich dopiero tygodniach zaszedł nowy fakt, potwierdzający powyższe zapatrywania. Katoliccy mieszkańcy francuskiej wyspy St. Pierre, leżącej na wybrzeżu Nowej Fundlandyi, którym Francya siłą narzuciła szkołę bezwyznaniową, zawiesili na budynku rządowym flagę amerykańską, przeciągali z okrzykiem: *à bas la France, vivent les Etats-Unis* ulice i wysłali deputacyę do Waszyngtonu z prośbą, by prezydent przyłączył St. Pierre do Stanów. Rząd, rozumie się, tego nie uczynił, mimo to podany przez francuskich obywateli w petycyi motyw, ten mianowicie: w Stanach Zjednoczonych więcej szanują wolność religijną, jak we francuskiej Rzeczypospolitej — wywołał we Waszyngtonie wielkie wrażenie i nie mniejszą radość.

Obecnie zaznaczył nowy prezydent Taft w publicznej mowie, że tak na Filipinach jak i we Watykanie udawało mu się zawsze zachowywać dobre stosunki z katolickiemi władzami kościelnemi. Fakt ten przypisuje temu, że katolicy amerykańscy wiedzą, iż nie są wyjęci z pod prawa, i że dla nich także istnieje sprawiedliwość.

Wobec takich poglądów i zapatrywań, głoszonych tak w życiu prywatnem jak i publicznem, dziwić się nie można, że katolicy w Nowym Świecie nie czują się upośledzonymi i że są skorzy do wszelkich usług, jakich kraj od nich żąda. Za obowiązek rząd daje im prawa, a prawa nie tylko w słowach i frazesach, lecz także i w czynach.

Z kościelnego ruchu w Luksemburgu.

Po wyborach do parlamentu luksemburskiego, które odbyły się w maju roku zeszłego a skutkiem dziwnych manipulacyi wyborczych (kandydatami np. robiono wolnomyślnych właścicieli hut, na których tysiące robotników głosować musiało, jeżeli nie miało utracić chleba) wypadły dla stronnictwa katolickiego mniej pomyślnie, można było przewidzieć, że lewica nie zechce długo spokojnie pracować, lecz podniecona wątpliwej wartości zwycięstwami Francyi, zapragnie również i w Luksemburgu swoje wrogie dla Kościoła stanowisko zamanifestować.

Rozpoczęto od przygotowania terenu pod rozdział Kościoła od państwa. Wolnomyślni drukowali karty pocztowe, żądające zniesienia budżetu kultu i rozdziału Kościoła od państwa, zbierali podpisy i wysyłali je do parlamentu. Miały one być wyrazem woli narodu. Tak przynajmniej sądzili wolnomyślni, którzy przypuszczali, że dziś jeszcze znajdą się naiwni, którzy temu uwierzą. Większość tych kart podpisana była przez urzędników kolejowych, albowiem na czele całego ruchu stanęli wyżsi urzędnicy kolei państwowej; ci więc niżsi funkcyonaryusze kładli istotnie zupełnie dobrowolnie swoje podpisy pod powyższe karty! Ponieważ jednak lud luksemburski inne miał w tym względzie zapatrywania i nie można było mu ich, mimo wszelkich oświecań, wybić z głowy, cała agitacya poszła na marne.

Wolnomyślni poprowadzili więc agitacyę w innym kierunku. Postanowili obalić ministra oświaty, w którym widzieli wielką przeszkodę do urzeczywistnienia marzeń swojego życia i w tym celu zwalili na niego odpowiedzialność za finansowe nadużycia jednego z jego podwładnych urzędników. Manewr się nie udał, minister wykazał swoją niewinność a izba udzieliła mu wotum zaufania.

Kwestya przyszła wreszcie w początkach lutego pod obrady parlamentu. Minister stanu, dr. Eyschen, któremu podlega ministerstwo wyznań, bronił jako nieodrodny liberał supremacyi państwa i starał się wykazać, że państwo nie jest zobowiązane do zatrzymania budżetu kultu, lecz w chwili pewnej wspaniałomyślności uznał, że ze względu na socyalną wartość religii budżet zatrzymać wypada. Ostateczne rozwiązanie kwestyi przyniosło 14 lutego dotkliwą porażkę liberałom i socyalistom, gdyż izba wszystkimi głosami przeciwko dwom liberalnym i czterem socyalistycznym przyjęła budżet kultu i tym sposobem całą sprawę w duchu dla katolików przychylnym załatwiła.

Takie rozstrzygnięcie tej kwestyi jest w wielkiej części następstwem dobrze zorganizowanej i rozumnie pojętej pracy katolickiej. Luksemburski Katolicki Związek Ludowy, założony dopiero przed pięciu laty, liczy już dziś na 220.000 mieszkańców 11.000 członków i sto zorganizowanych grup miejscowych. W roku 1908 odbył on 269 zgromadzeń i widocznie praca jego nie po-

została bez rezultatu, skoro większość antyklerykalna parlamentu nie odważyła się jednak na przeprowadzenie myśli przez kilku zapaleńców podniesionej.

Nowe święto Matki Boskiej.

Ostatnie lata są nieustannym dowodem ciągłego wzrostu nabożeństwa do N. Panny po całej ziemi, a także i u nas. Wystarczy tu wspomnieć na lwowski kongres maryański i kilka koronacyi cudownych obrazów Matki Boskiej w Polsce. To też nie mała należy się wdzięczność ks. arcybiskupowi Bilczewskiemu, że jego staraniem największa dyecezya w Galicyi otrzymała po wieczne czasy przywilej na uroczyste obchodzenie święta Królowej Korony Polskiej w pierwszą niedzielę maja. Tyle z tą nazwą łączy się chwalebnych wspomnień przeszłości, że nowa otucha, choć w ciężkich warunkach, wstępuje w serce i każe ufać, że wrócą dawnej świetności czasy, tem bardziej pożądane i drogie, że zasłużone przez łzy długoletniej niewoli i ofiarną krew. I zdaje się nam, że nie jest to tylko naszem, ale ogólnem życzeniem, aby ta uroczystość w najkrótszym czasie stała się własnością wszystkich dyecezyi i całej polskiej ziemi.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

## Z działalności Związku ludowego w Niemczech.

Ruchliwe wydawnictwo Związku ludowego, o którem w zeszycie listopadowym z. r. pisaliśmy, wydaje nowe czasopismo p. t. *Jung Land.* Jest to dwutygodnik przeznaczony dla młodzieży wiejskiej — cena kwartalnie 40 fen. — numery okazowe wysyła bezpłatnie Redakcya w M. Gladbach — *Volksvereinsverlag Sandstrasse 5—11*[1]. Cel czasopisma i duch, którym jest owiane wykazują następujące zdania, wyjęte z programu.

*Jung Land* zwraca się do ogółu młodzieży wiejskiej, która skończyła szkołę ludową, do synów chłopskich, mieszkających jeszcze w rodzinie, do służby folwarcznej, do młodzieży rękodzielniczej i robotniczej po wsiach bez względu na ich wiek i zawód, do wszystkich na-

[1] Nie Landstrasse, jak błędnie drukował Przegląd.

reszcie, którzy jeszcze czują młodość i zapał w sercu i przywiązanie do gleby ojczystej. Zwraca się także i do tych, którzy w urzędzie jakimkolwiek albo w inny sposób na wsi zawodowo pracują. Czasopismo, nawiązując do nabytego już wykształcenia szkolnego, popiera zakładanie wiejskich szkół uzupełniających, wspiera stowarzyszenia i kongregacye młodzieży wiejskiej, uczy pożytecznych i zajmujących zabaw i t. d. a przedewszystkiem rozpala i podtrzymuje miłość i przywiązanie do ziemi, szacunek dla życia wiejskiego i dla pracy rolniczej. Czasopismo poucza o uprawie roli, sieje i zbiera razem z młodzieżą, uczy budować i książki prowadzić, pielęgnuje sady i zagląda do pasieki, obznajamia z najpotrzebniejszemi wiadomościami o podatkach i asekuracyach, jakoteż ze sztuką i poezyą wiejską i stara się młodzież powstrzymywać od lekkomyślnego napływu do miast i od emigracyi. Czasopismo ma na oku gruntowne kształcenie umysłu i wyrobienie charakteru, szerzy zasady zdrowego patryotyzmu, zwiększa miłość dla Kościoła i pogłębia wiedzę religijną.

Wobec tego, że i u nas praca na tem polu jest na gwałt potrzebną, wobec tego, że jesteśmy świadkami szerzącego się już i po wsiach zobojętnienia religijnego i wzrastającej niemoralności, spowodowanej czy to próżniactwem, szczególnie w miesiącach zimowych, czy ogólną chorobą używania i nadużywania i małpowania wszystkiego, możemy to czasopismo gorąco polecić przynajmniej Przew. Duchowieństwu i pp. nauczycielom i wszystkim wogóle, którym dobro młodego pokolenia ludu wiejskiego na sercu leży. Bogaty, pożyteczny materyał do odczytów i pogadanek pokrywa sowicie te i tak nizkie koszta prenumeraty. Najlepiej by było, gdyby podobne czasopismo powstało u nas. Z dalszych wydawnictw Związku wymieńmy książeczkę p. t.: *Die Gesundheit.*

Między licznemi książkami popularnemi, któremi się pod pozorem hygieny ludowej zapełnia biblioteczki wiejskie, znajdują się niestety czasem prawdziwe »hyeny«, książki, któreby powinny być w katalogach umieszczone pod rubryką »pornografia«. Nie tylko, że rzeczy tam podane są często bez wartości naukowej, a nawet szkodliwe, lecz czytanie takie jest we wielu wypadkach połączone z niebezpieczeństwem dla dobrych obyczajów. Co więcej, przedstawienie rzeczy ze stanowiska często wprost materyalistycznego podkopuje zasady i przekonania religijne.

Książeczka Związku ludowego pisana w duchu chrześcijańskim, przy całej naukowości, podanej w sposób przystępny i popularny, za-

wiera główne nauki i prawidła rozumnego pielęgnowania zdrowia ciała. Książeczka jest ozdobiona licznemi ilustracyami, które mają tę zaletę, że wskutek umiejętnego uwydatnienia tego, co mają objaśniać i nieobeznanym z anatomią czytelnikom jasno tłumaczą wszystko, co jest godne wiedzy i zapamiętania.

Rozdział I: zajmuje się ogólną anatomią ciała ludzkiego; II: omawia warunki życia; III: traktuje o pielęgnowaniu ciała; IV: opisuje najważniejsze choroby ludzkie; V: uczy pielęgnowania chorych; VI: *Samariterdienst* traktuje o pierwszej pomocy w nagłych wypadkach i zasłabnięciach; VII: daje nader praktyczne wskazówki dotyczące hygieny ludowej zwłaszcza hygieny dorastającej młodzieży.

Dalszem rozszerzeniem i pogłębieniem niektórych rozdziałów, w sposób jeszcze przystępniejszy, jest początek seryi zeszytów (1—6) p. t. *Gemeinnützige Volksbibliothek.* Popularna ta biblioteczka ludowa jest wydana w tym samym guście jak omawiana już w zeszycie listopadowym *Przegl. Pow.*, apologetyczna biblioteczka ludowa. I tak zajmuje się zeszyt I, p. t.: *Die Aufgaben der Volksgesundheitspflege* zadaniami hygieny ludowej. Zwalczanie najbardziej grasujących chorób ludowych jest pierwszorzędnem zadaniem. W tym celu trzeba się starać o zmniejszenie śmiertelności niemowląt i o lepsze warunki pod względem mieszkania, ubrania i pożywienia. Środki zaradcze przed chorobami wśród pracy po warsztatach, fabrykach, kopalniach, zwiększona opieka nad położnicami, opieka nad chorymi ubogimi, sposoby hartowania ciała, środki ostrożności przy zaraźliwych chorobach, pierwsza pomoc przy nagłych wypadkach — oto treść pierwszego zeszytu.

Zeszyt II: *Die Hygiene der Arbeit* — Hygiena pracy — przedmiot bardzo aktualny, kiedy niesumienne wyzyskiwanie sił i zdrowia robotników z jednej strony, a bezcelowe, nieracyonalne, gorączkowe nadużywanie własnych sił przy intenzywnej pracy cielesnej lub umysłowej z drugiej strony są przyczyną przedwczesnego zaniku sił ciała i ducha. Broszurka wykazuje, jak praca i odpoczynek powinny być zawsze w ściśle ograniczonym stosunku, jak przeciążanie i przemęczanie zawsze ujemnie wpływa na cały organizm, kiedy się żyje z kapitału zamiast z procentów siły i zdrowia. To się tyczy, jak doświadczenie naucza, przedewszystkiem pracy kobiet i dzieci. Szkodliwość niektórych zajęć, warunkowana przez własności surowego materyału, ma być przez odpowiednie urządzenia ochronne umniejszona. Ciekawe są uwagi o oddziaływaniu miejsca pracy na zdrowie. Dane praktyczne wskazówki można przy dobrej woli wszędzie i łatwo zastosować.

Zeszyt III: *Über Arbeiterkrankheiten.* Rzecz również bardzo na czasie i wielkiego znaczenia dla ekonomii społecznej, zasługująca na częste rozstrząsanie i zastanawianie się a jeszcze bardziej na energiczną obronę i ochronę.

Po statystycznem zestawieniu śmiertelności w różnych zawodach, przechodzi autor do opisania przyczyn i rodzajów chorób poszczególnych organów ciała ludzkiego. Celem tego opisu jest zapobieganie chorobom, względnie zmniejszenie niebezpieczeństwa, które ze względu na dzisiejsze stosunki i warunki robotnicze nie może być całkiem usunięte. Przerażająca jest tabela, która przedstawia różne rodzaje chorób zwłaszcza zatrucia, zdarzające się w poszczególnych zawodach, jakoteż kategoryi robotników na nie najczęściej narażonych i zjawiska tych chorób. Na końcu podana krótka statystyka wypadków wskutek skaleczeń przy pracy.

O gruntowności i naukowości tych trzech zeszytów świadczą źródła, na których przeważnie się opierają.

Zeszyt IV: *Erster Unterricht in der Samariterhandfertigkeit* — pierwszy kurs w zręczności samarytańskiej.

Podobną książeczkę p. t. książeczka samarytańska, szybka doradczyni w udzielaniu pomocy przy wypadkach, wyszła nakładem »Czasopisma o zdrowotności w przemyśle zapobieganiu wypadkom i instytucyach robotniczych« Wiedeń, II. 1 Am Tabor Nr 18. Opracował ją Dr. Alfred Baur lekarz sztabowy, na język polski przełożył z 9 wydania Dr. Józef Bett lekarz pułkowy w c. i k. 20 pułku piechoty; stron 45, format kieszonkowy, alfabetyczny porządek, ilustracyi 33 cena 60 hal.

Zeszyt V: *Zweiter Unterricht in der Samariterhandfertigkeit.* Prawie codziennie mamy okazyę, zwłaszcza na wsi, do spostrzeżenia jak nieporadny i bez pomocy jest nasz lud przy nagłych nieszczęściach lub zasłabnięciach. Lekarza nie zawsze można natychmiast sprowadzić. Więc używa się np. przy skaleczeniach środków, które zamiast pomódz, zło jeszcze pogarszają. Pomoc pod tym względem, oto cel tych dwóch zeszytów.

Pierwszy ogranicza się do czysto technicznej strony pomocy, uczy w sposób przystępny za pomocą licznych ilustracyi, jak można w sposób łatwy nieraz zadziwiająco prosty, na prędce sklecić nosze z drzewa, jak zużyć żelazo, drut, tekturę, korę, wiklinę, sznurki lub inny materyał właśnie pod ręką będący, uczy różnych sposobów wiązania i spojenia materyału.

Zeszyt drugi (V). jest poniekąd rozszerzeniem pierwszego i daje dalsze wskazówki, dotyczące pierwszego opatrunku, bandażowania, przenoszenia lub przewożenia chorego, przyczem szczególnie zwraca uwagę na wygodne i stosowne do wypadku ułożenie chorego na noszach lub wózku. Następnie zajmuje się chorym w domu leżącym — jak wietrzyć pokój, jak go ubierać, karmić, ułatwić mu przyjmowanie pokarmu w łóżku i t. d., a w czasie rekonwalescencyi jak mu umożliwić czytanie lub pisanie w łóżku. Także sposób na tanie sporządzanie kul dla kalek albo irygatora za pomocą butelki jest podany, jakoteż na sporządzanie poduszek sieczką napchanych, które mogą dobrze zastąpić drogie i nie wszędzie do nabycia łatwe poduszki gumowe.

Zeszyt VI: *Die Gesundheit der Schulkinder.* Nie brak pięknych frazesów o przyszłości Ojczyzny, której nadzieją młode pokolenie, ale stosunkowo mało się pamięta o tem, żeby to nowe pokolenie było czerstwem i zdrowem: *ut sit mens sana in corpore sano.* Czy szkoła, tak ważny czynnik wychowawczy, zabijając czasem ducha, nie niszczy jeszcze częściej zdrowia fizycznego młodych latorośli? To przychodzi na myśl, przy czytaniu 6 zeszytu popularnej biblioteczki ludowej. Niepocieszające fakta z dziedziny wychowania szkolnego — przerażający naprawdę procent chorób dzieci szkolnych na suchoty, na wady serca, skarłowacenia, zmniejszenia siły wzroku, a to wskutek niedostatecznego wietrzenia lub oświetlania lokalów szkolnych. Czy np. taka gimnastyka, która ma zdrowiu pomódz w sali choćby największej ale oplwanej, źle zamiatanej i przewietrzonej, takie skakanie po pełnych kurzu materacach nie jest zabójczem? A jaki brak dozoru nad normalnem, prostem ułożeniem ciała przy czytaniu, pisaniu, przy stawaniu w ławkach — jaki brak ruchu i ochędóstwa u samych dzieci. Bez przesady, ale i bez miłosierdzia wytyka ta broszura wspomniane braki i niedbalstwo i zachęca wszystkich — państwo, gminę, nauczycielstwo i rodzinę do energicznego współdziałania na polu hygieny szkolnej. Podane 23 prawideł hygienicznych zasługuje nie tylko na przeczytanie i pochwałę, ale bardziej jeszcze na przedrukowanie, względnie przetłumaczenie i wywieszenie w każdej klasie szkolnej.

Kończąc te notatki o literacko-społecznej działalności Związku ludowego, zanotujmy jeszcze wiadomość, która nas w ostatniej chwili doszła, że Związek zdecydował się na wydawanie własnym nakładem niektórych lepszych broszur w języku polskim. Pierwsza książeczka,

która niebawem ma wyjść, jest »Drogowskaz do szczęścia domowego«. *(Wegweiser zum häuslichen Glück)* o której wspomnieliśmy w zeszycie listopadowym zeszłego roku.

*Ks. J. Assmann.*

## Listy z Warszawy.

Dwa głównie wypadki zajmowały Warszawę w pierwszych tygodniach 1909 r.: zawieszenie *Izraelity* i dymisya Romana Dmowskiego, prezesa »Koła polskiego« w Dumie petersburskiej.

Tygodnik, wydawany po polsku dla Żydów, znany *Izraelita*, zawiesił działalność swoją z powodu braku prenumeratorów. Zawiesił — oświadczył w słowie pożegnalnem — a wtajemniczeni powiadają: zamknął.

*Izraelita* był przez lat 43 organem Żydów polskich, wierzących w asymilacyę, pragnących jej. Było tych asymilatorów temu lat 43 niewielu, trzech, czterech, pięciu najwięcej — ci asymilatorowie powymierali, a nowi nie przybyli. Przybyło wprawdzie w tym czasie kilka tysięcy Żydów oświeconych, wychowanych w szkołach chrześcijańskich, ale część tych Żydów oświeconych wychrzciła się, druga zaś część nie bierze udziału w ruchu żydowskim.

*Izraelita* zawieszony czy zamknięty... Znaczy to, że zabrakło u nas Żydów, którzyby chcieli popierać ruch asymilacyjny, że marzenie margr. Wielopolskiego okazało się w praktyce złudzeniem.

Miejsce asymilatorów żydowskich zajęli Żydzi inni, t. zw. litwocy. Napłynęli oni do nas wielką gromadą i zajęli wszystkie posterunki. Zrobili oni w przeciągu kilku lat więcej, aniżeli asymilatorowie w przeciągu 43 lat.

Cóż zrobili?... Odpowiadają na to pytanie fakta.

Jest dziś w Warszawie więcej teatrów żydowskich, w połowie żargonowych, w połowie niemieckich, aniżeli polskich. Pierwszy fakt.

Jest dziś w Warszawie kilka dzienników żargonowych, cieszących się wielkiem powodzeniem, odbierających pismom polskim czytelników, zabijających takich *Izraelitów*. Dawniej wstydziłby się Żyd oświecony lub chcący uchodzić za oświeconego, wziąć dziennik żargonowy do ręki, dziś widzi się nawet w tramwajach Żydów, czytających *Hacefirę, Unser Leben* i t. d. Drugi fakt.

Temu lat kilka nie przyszłoby żadnemu Żydowi na myśl, urządzać jakieś specyalne »żydowsko-narodowe« bale, zebrania, zabawy i t. d. Dziś urządzają literaci żargonowi bale »purymowe« z narodowymi kostyumami żydowskimi, zabawy narodowe dla dorosłych dzieci. Trzeci fakt.

Kiedy nasze spółki współdzielcze zaczęły się ruszać, wszczęli dziennikarze żargonowi taki alarm, jak gdybyśmy się dopuszczali jakiejś wielkiej zdrady. Kruszewanami, gorszymi od Dubrowinów, nazywali naszych kooperatystów. Czwarty fakt.

Gmin żydowski zachowuje się u nas obecnie tak wyzywająco, jak gdybyśmy u niego mieszkali; mówi wprost, w oczy: my tu jesteśmy u siebie, podkreślając głosem m y. Słyszy się to bardzo często w sklepikach. Piąty fakt.

Chyba dosyć tych faktów. Znalazłoby się ich więcej...

Żydzi obcy, litwocy, wnieśli do naszego kraju zacięty separatyzm w formie syonizmu, nacyonalizmu z domieszką tendencyi rusyfikacyjnych i znaleźli w krótkim czasie szeroki posłuch. Czego to dowodzi? Chyba tego, że potrącili o struny podatne, że spotkali grunt przygotowany, odpowiedni. Inaczej trudno wnioskować.

Część naszej prasy wnioskuje inaczej. Twierdzi ona, że przyczyną upadku asymilacyi są następujące przyczyny: 1) obojętność opinii polskiej na najważniejsze sprawy żydowskie; 2) ignorowanie przez pisma antysemickie objawów przerażającej odrębności dążeń żydowskich; 3) ignorowanie przez pisma polskie, wydawane przez Żydów, tych samych objawów z obawy, by nie zwrócić przeciw Żydom postępowców chrześcijańskich; 4) milczenie ze względów oportunistycznych, ze strachu utracenia prenumeratorów, znacznej większości pism warszawskich.

Wynika z tego mniej więcej, że my jesteśmy winni upadkowi dążeń asymilacyjnych.

Nie trzeba znać psychologii narodu żydowskiego, by tak wnioskować. Kto zaś chce poznać psychologię narodu żydowskiego, musi zbadać jego historyę, musi czytać talmud, średniowiecznych i nowoczesnych autorów żydowskich i t. d.

Na wszystkie poematy asymilacyjne odpowiada bardzo szczerze Maks Nordau: »Jest rzeczą wprost niemożliwą rozpuścić naród żydowski w narodach europejskich. Gdybyśmy nawet próbowali zastosować metodę zaniku, zatracenia się (asymilacyi) na większą skalę, stanęlibyśmy wobec niemożliwości, nie zasługującej wcale na roztrząsanie.

Raz, że wielkie masy Żydów żadną miarą nie chcą się wyzbyć swojej żydowskości i wolałyby raczej umrzeć, niż wyrzec się swojej wiary, swoich tradycyi i swojej narodowości, powtóre — gdyby nawet ta niemożliwość mogła być usuniętą, gdyby Żydzi zgodzili się ze stoicyzmem na popełnienie samobójstwa, nie przydałby się ten akt ostateczny rozpaczy na nic, okazałoby się bowiem, że Żydzi są nierozpuszczalni w aryjskości. Nie byliby już Żydami, ale zostaliby zawsze żydowskimi chrześcijanami (Nordau: »Syonizm i jego przeciwnicy«).

Nordau jest Żydem oświeconym i utalentowanym. Zna on niewątpliwie lepiej psychologię swojego narodu od asymilatorów innoplemiennych.

»Żyd jest nierozpuszczalnym w aryjskości« — oto jedyna, szczera, mądra odpowiedź. To samo zresztą wiedzą wszyscy Aryjczycy, którzy uczyli się psychologii Żyda i śledzili historyę wszelkich eksperymentów asymilacyjnych od cesarzów rzymskich, Konstantyna i Justyniana począwszy aż do chwili obecnej.

Żydzi nie chcą, nie mogą przestać być Żydami.

Można-ż im się dziwić? Nie trzebaż raczej podziwiać narodu, który wytrzymał tyle burz, tyle poniewierki, tyle rozpaczy i nie ugiął się, nie złamał, lecz stoi prosto? Nie trzebaż uczyć się od niego, jak się broni przeciw zagładzie, gdy się jest zwyciężonym, jak wielką rolę odgrywa w życiu narodów pokonanych miłość wiary przodków, ich tradycyi narodowych?

Pocóż brać koniecznie Żyda za kołnierz i zmuszać go do czegoś, czego nie chce i narzucać mu gwałtem pojęcia, których nie rozumie, nie odczuwa?

Niech sobie będzie Żydem, a niech te narody, wpośród których żyje, pilnują, aby się nie wtrącał do ich spraw wewnętrznych i nie był szkodliwym.

Oto, zdaniem mojem, cała mądrość asymilacyjna.

Niema czego lamentować po upadku *Izraelity*, po tem, co zrobił w przeciągu lat 43 dla asymilacyi.

Tak zwana kwestya żydowska należy w Królestwie do najważniejszych, do tych, o których trzeba ciągle myśleć. Bo nie jest, nie może być rzeczą obojętną dla społeczeństwa dziesięciomilionowego, co robią, jak się zachowują dwa miliony współobywateli, z których każdy posiada więcej sprytu kupieckiego i bezwzględności kupieckiej od stu »rdzennych« mieszkańców.

Jest to po prostu kwestya bytu. Czuje to głównie Warszawa,

w której mieszka 300.000 Żydów, czyli więcej, aniżeli w całej Francyi i Anglii do kupy razem.

Kto zna Warszawę od lat dwudziestu kilku, ten wie, jak Żydzi rugują powoli chrześcijan, jak ogarniają miasto siecią pajęczą.

Temu lat dwadzieścia kilka widziało się ich gromadą tylko w dzielnicy żydowskiej, na Nalewkach, na Muranowie, na ulicy Franciszkańskiej, Gęsiej, Dzikiej i t. d. Do Ogrodu Saskiego nie mieli dostępu; bram tego ogrodu bronił przed »hałaciarzami« stójkowy (policyant).

Powoli, systematycznie posuwali się Żydzi ku centrum miasta, zdobywając jedną ulicę po drugiej. Dziś są bezpodzielnymi panami Ogrodu Saskiego, rozbili na wszystkich ulicach gęsto swoje namioty, sklepy, wykupili znaczną część kamienic — wszędzie, w teatrach, kawiarniach, restauracyach, w salach odczytowych, wiecowych, jest ich pełno, w salonach arystokratycznych ukazują się coraz częściej, zawładnęli bankami i wszelakiemi przedsiębiorstwami. W latach rewolucyjnych wysunęli się na pierwszy plan akcyi, — oświecali, »uświadamiali« chrześcijan z krzykliwością swojej rasy, nazywając: wstecznikiem, obskurantem, chuliganem, czarną sotnią, Kruszewanem, Dubrowinem każdego, kto ośmielił się nie pochwalać ich rejwachu wywrotowego. Doszło do tego, że mówią wprost: my tu mieszkamy, jesteśmy u siebie.

W takich warunkach nie jest dla ludności rdzennej rzeczą obojętną, jakie stanowisko zajmują Żydzi w sprawach krajowych. A to stanowisko stało się od chwili gromadnego najazdu »litwoków« jawnym wrogiem. Rozbudzony przez Żydów z Cesarstwa nacyonalizm żydowski wbił się taranem między nich a ludność autochtoniczną.

Nadeszła więc chwila, kiedy »ojcowie narodu« powinni zejść z optymistycznej drogi asymilacyi, która służyła dotąd tylko Żydom, wyzyskiwana przez nich bardzo zręcznie i powinni wskazać społeczeństwu środki obrony.

Bronić powinno się nasze społeczeństwo przedewszystkiem na polu ekonomicznem. Początek w tym kierunku zrobiły już stowarzyszenia współdzielcze, wytrącające z rąk żydowskich monopol handlu. Mało jeszcze tych stowarzyszeń, kilkaset zaledwie, a powinny one oprząść cały kraj gęstą siecią. Najskuteczniejszy to sposób pozbycia się pijawek faktorskich i lichwiarskich. Gdy zabraknie podatnego materyału do ich operacyi, pójdą sobie same, przeniosą swoje zdolności pasorzytnicze na inny teren. Świat jest szeroki, a Żydzi są wszędzie u siebie, czują się

wszędzie w domu, gdzie da się bez wytężonej pracy coś zarobić. Płakać po swojej »polskiej ojczyźnie« nie będą, zwłaszcza teraz, kiedy im nacyonalizm żydowski wskazał inne cele.

Kwestya żydowska staje się w Królestwie wobec zbliżającego się samorządu sprawą palącą. Bo w miastach i miasteczkach mają Żydzi dotąd przewagę, liczebnie i majątkowo, i opanują niewątpliwie samorząd miejski. Ładnie będzie Królestwo wyglądało, gdy w jego ratuszach zasiędą burmistrzowie i radni w hałatach i nasi małomieszczanie dostaną się w niewolę Izraela. A taka klęska grozi naszym małym miastom, gniazdom żywiołu żydowskiego.

Więc niema się co namyślać i eksperymentować na dalszą metę. Trzeba się o to postarać, aby wzmożony ruch ekonomiczny zmniejszył przerażającą cyfrę Żydów w kraju. Jest ich u nas obecnie 1,800.000. Za wielki to ciężar na społeczeństwo tak ubogie, jak nasze.

Zrozumieli to nareszcie nawet przekonani dawniej, przez długie lata dla Żydów pracujący filosemici. Zrozumieli, że łudzili się, wierząc w zgodne współdziałanie Żydów z ludnością chrześcijańską. Ocknęli się z optymistycznych marzeń trochę późno.

Nie trudno zresztą przebudzić się z drzemki optymistycznej, gdy się czyta takie głosy żydowskie, jak np. Leo Belmonta w *Wolnem Słowie*: »Niewielu domyśla się od strony polskiej, że sprawa żydowska stanie się dla polskości poniekąd zagadnieniem Hamletowskiem: »być albo nie być«, kwestyą zupełnego zatopienia elementów polskich przez wzrastający liczebnie i prawno-politycznie żywioł żydowski w setce miast prowincyonalnych, zżargonizowania niemal całego życia miejskiego w Królestwie Polskiem, poddania żywiołów polskich pod przewagę liczebną konserwatyzmu żydowskiego w warunkach »niezbędnego« dla rozwoju wszystkich samorządu, stanie się kwestyą stałego już dzisiaj posuwania się odpolszczenia Warszawy w trzech kierunkach — rusyfikacyjno-żydowskim, żargonowo-syonistycznym i wreszcie żydowsko-niemieckim.

Groźba Hamletowskiego »być albo nie być« nie jest wcale słodką kołysanką. Huczy ona ponurą pobudką: obudźcie się i brońcie się!

Przez całą jesień szła przez polityczną prasę warszawską nienawistna polemika. Stronnictwa brały się za bary, zmagając się z sobą, jak zmagają się w cyrku dwaj zawzięci na siebie atleci. Każde naturalnie miało racyę, widziało najjaśniej, najlepiej drogi i środki, prowadzące do »zbawienia ojczyzny«. Stara, ograna piosenka.

Stronnictwa atakują zawsze i wszędzie tego przeciwnika, który

dzierży w danej chwili w ręku batutę polityki. Orkiestrą naszej polityki ostatnich lat trzech była, jak wiadomo, Narodowa Demokracya, a jej kapelmistrzem Roman Dmowski.

Na Romana Dmowskiego rzuciła się polemika z pazurami. On był »fatalną sprężyną Koła Polskiego«, on był »inicyatorem wszystkiego zła«, nim kierowała »żądza władzy i niezrównana próżność«, był »arbitralnym i despotycznym« i t. d. Na niego spada wina za klęski ostatnich trzech lat.

Tak zgromiony Dmowski sprzykrzył sobie nareszcie niewdzięczną służbę w pogoni za władzą bez władzy. Bo jakąż to władzę daje w Petersburgu godność polskiego posła i prezesa Koła Polskiego? Chyba tylko władzę z operetki.

Sprzykrzył sobie i poszedł, mimo prośby notablów Narodowej Demokracyi, zebranych dnia 31 stycznia (1909 r.) w Warszawie u hr. Maurycego Zamoyskiego, aby nie opuszczał swojego stanowiska. Zasłaniając się złym stanem zdrowia, które »mogłoby się pogorszyć w klimacie Petersburga i przy warunkach pracy tamże«, ogłosił w pismach warszawskich swoją rezygnacyę (5 lutego) i wyjechał za granicę.

Za wiele było nienawiści stronniczej w ostatniej polemice politycznej. W naszych warunkach trzeba być bardzo oględnym w zarzutach. Ostro napadać na polityków można tylko tam, gdzie polityka daje władzę rzeczywistą, gdzie rządzi, czyli odpowiada istotnie za położenie chwili.

W naszych warunkach zresztą nietrudno błądzić, potykać się i trzeba nieraz eksperymentować. Żądać od naszego polityka, niepopartego przez władzę wykonawczą, by szedł ciągle prostą drogą, z której się nie zbacza, znaczy to samo, co nie zdawać sobie sprawy z sił i środków, jakiemi rozporządzamy. Polityk powinien wiedzieć, że wszelka doktryna *a priori* nie jest nigdy polityczną. Obserwatorem i psychologiem, znawcą warunków danej chwili i psychologiem powinien być polityk a nie teoretykiem.

W polemice z Narodową Demokracyą zrzędziła doktryna *a priori*, huczała zwykła namiętność ludzka, niepohamowana w swoich ambicyach. Nie zdaje mi się, żeby to była mądra metoda.

Pierwszy okres naszej czynnej polityki zamknięty. Bilans tego okresu ogłosił w swoim felietonie, w »Tygodniku Ilustrowanym«, Bolesław Prus (Aleksander Głowacki), wielkiego talentu pisarz i wielkiej prawości człowiek. Okrutny to bilans.

Owoce naszej polityki określa Prus tak: »na zewnątrz klęska, klęska, kleska, na wewnątrz chaos, chaos, chaos«.

— »Rząd rozdrażniliśmy w takim stopniu — zawodzi Prus — że pozbawiono nas wielkiej części posłów do Dumy... W rosyjskiej opinii publicznej nie potrafiliśmy obudzić dla siebie sympatyi, owszem, straciliśmy tę, jaka już rodziła się w epoce przedkonstytucyjnej... W Dumie zniechęciliśmy partye postępowe, nie pozyskawszy partyi konserwatywnych... Z mównicy parlamentarnej nie umieliśmy korzystać w taki sposób, ażeby z jednej strony przekonać naród rosyjski, iż jesteśmy mu życzliwi, i ażeby z drugiej strony plastycznie, dobitnie przedstawić Rosyi nasze ciężkie, nasze nieszczęśliwe położenie pod względem politycznym, ekonomicznym, oświatowym, wyznaniowym i narodowościowym... Ostatecznym rezultatem wszystkich tych zjawisk chorobliwych jest upadek ducha w narodzie i t. d.«

Gdzież, według Prusa, przyczyny tego chaosu, tej klęski?

Bo — odpowiada — »nie umieliśmy dobrze sformułować naszych dalszych celów politycznych, nie umieliśmy sobie postawić programu na czas obecny i nie znaleźliśmy ludzi, którzy potrafiliby go wykonać, jeśli nie w sposób genialny, o co trudno, to choćby rozsądny, przyzwoity, co jest bez porównania łatwiejsze«.

Klęska polityczna jest od nas w znacznej części niezależna, ale chaos obciąża nasz osobisty rachunek.

Chaos pojęć, wyobrażeń, doktryn, celów był w istocie tłem ponurego obrazu naszych lat rewolucyjnych. Wszystkie rozdźwięki i zgrzyty rozwoju społeczeństw nowoczesnych, jakie wstrząsają niezadowolonym człowiekiem od lat stu pięćdziesięciu, spadły na nas huraganem i zwirowały nasze pojęcia w każdym kierunku. Dotychczasowe podstawy etyczne, tradycyjno-narodowe, religijne, obyczajowe i ekonomiczne chwiały się, pochwycone w potężne ramiona ogólnego wywrotu. Wywrócić wszystko, »przewartościować« wszystkie wartości: etykę chrześcijańską, religię, rodzinę, program narodowy, własność i t. d. — huczało bezustannie dokoła nas. Bezwzględny, burzący, druzgocący radykalizm doktrynerski był panem placu. Na głos rozwagi nie było miejsca. Tonął on w ogólnej wrzawie bez śladu, bez echa.

Nie było w tym rejwachu nic nowego, nie błysnął ani jeden nowy pomysł. Wszystkie te »nowinki« przygotowała dla nas Europa. Głównie t. zw. wielka rewolucya francuska rzuciła na nasz kraj po latach stu dwudziestu wszystkie swoje doktryny, eksperymenty, rozdźwięki i zgrzyty, od jeneralnego ataku na istniejący prawnopaństwowy

ustrój począwszy aż do pajdokracyi i wolnej miłości. Resztę dorzucił spotężniały tymczasem socyalizm.

Było tego wszystkiego za wiele na nasze słabe głowy. Za wiele »nowinek« zwaliło się na nas od razu, bez przygotowania, abyśmy je mogli strawić. Stąd chaos, zamieszanie.

Trwa ono dotąd. Zwirowało ono głównie pojęcia szerokich mas, nieintelligentnych i intelligentnych, nie uzbrojonych krytycyzmem. Bo nie każdy, kto kończył jakieś szkoły, choćby nawet wyższe, umie myśleć samodzielnie, odróżniać ziarno od plew. Szerokie masy płyną wszędzie bezmyślnie za bieżącym prądem, za czemś nowem, za modą, zachwycają się wszelką błyskotliwością, nie mają po prostu odwagi przeciwstawić się mężnie prądom chwili. Każde społeczeństwo wydaje bardzo mały procent głów spokojnych, które nie pozwalają się obałamucić wrzawie swojej epoki i patrzą na wszystko własnemi oczami.

Chaos pojęć i wyobrażeń jest największą krzywdą, jaką lata rewolucyjne wyrządziły naszemu społeczeństwu. Długie lata będziemy się leczyli z tej nieporządnej, bezplanowej wrzawy wywrotowej, zanim wejdziemy znów na jakąś drogę prostą. Pokolenie dziś dorastające musi dopiero dojrzeć, wyspokojnieć, zmężnieć w ogniu doświadczenia, aby jakiś wyraźny program akcyi, do któregoby stanął cały naród był możliwy.

Pierwsze skrzypce w kociej orkiestrze tego chaosu grali świeżo oświeceni Żydzi. Świeżo oświeceni, bo oświata naszych Żydów w stylu społeczeństw chrześcijańskich nie liczy się na pokolenia. Dopiero po r. 1863 zaczęli Żydzi uczęszczać w większej ilości do szkół średnich i wyższych.

Żydzi biorą zawsze, jak wiadomo, bardzo gorliwy udział we wszelkiej robocie wywrotowej. Są oni wszędzie, gdzie się coś wali, zapada, rozsypuje. Zdaje im się, że z ogólnego zamętu wyłowią dla siebie jakieś korzyści. Mylą się zwykle, bo, zachowując się zbyt krzykliwie, wysuwając się zbyt natrętnie na pierwszy plan, zrażają do siebie innowierców. Po każdym wysiłku wywrotowym następuje reakcya, a ta reakcya płaci Żydom z procentem za wtrącanie się do nie swoich rzeczy. I u nas wzmógł się obecnie ruch przeciwżydowski. Nic Żydzi nie wygrali, a stracili sympatye nawet swoich wieloletnich przyjaciół.

Do najobrzydliwszych wrzodów chwili obecnej należy powolny zanik uczuć etycznych. Skarżył się ktoś w warszawskiem *Słowie* na

nasze »wykolejenie etyczne«. Jako obywatel ziemski, obracający się głównie na wsi, obserwuje te sfery, o które się ciągle ociera.

Skarży się ów pan, że nawet ludzie, którzy się sami czynu nieetycznego nie dopuszczą, z dziwną pobłażliwością i obojętnością oceniają nieetyczne postępowanie innych, dla których jedynym, a przynajmniej głównym stróżem etyki jest prokurator. Skarży się, że nie dotrzymać przyrzeczenia w interesie nawet wtedy, gdy się wzięło zadatek, nie uchodzi za rzeez nieetyczną, że wszelkie podejście jest uważane za dzieło sprytu, że uczciwość i sumienność uchodzą u wielu za przesąd i że propaguje się takie poglądy głośno, śmiejąc się z tych, którzy poza swoim interesem materyalnym krępują się jakimiś względami etycznymi.

Nic nowego nie powiedział ów przyjaciel *Słowa*. Wiemy o tem wszyscy i mówimy o tem, piszemy, drukujemy nie od dziś. Niesłusznie tylko obwinia o wykolejenie etyczne głównie nasze społeczeństwo.

Bo wykoleił się etycznie współczesny człowiek wogóle. Dość przerzucić gazety z jednego tygodnia, aby się o tem przekonać. Co chwila, bezustannie, to tu, to tam czytamy o jakichś sprzeniewierzeniach, kradzieżach, defraudacyach, łapownictwach, oszustwach mniejszych i większych. Niema dnia, żeby ktoś gdzieś czegoś nie ukradł, nie sprzeniewierzył. Przywykliśmy tak do tych wiadomości, iż przechodzimy po nich obojętnie.

Odczytując sprawozdania sądowe wszystkich krajów, spostrzega się, że motywem zbrodni w dziewięć dziesiątych wypadkach jest pieniądz. Włamuje się, zabija, truje, dusi dla pieniędzy. Inne motywy dokonanych zbrodni, jak zawiść, nienawiść, nienasycona miłość, uniesienie — bywają rzadkie.

Pieniądz dostarcza dziś prokuratorowi i kryminałowi obfitego żeru, dostarcza go wszędzie: we Francyi i Anglii, we Włoszech, Niemczech i Ameryce — pieniądz, jako środek do użycia życia, do zaspokojenia pożądliwości zmysłowych.

Pracowały na to całe pokolenia, od encyklopedystów francuskich począwszy.

Z chwilą, kiedy mądrość »rozumu« oświadczyła, że człowiek jest maszyną rezonującą i pożądającą rozkoszy, zbladły t. zw. ideały ludzkości, a z chwilą, gdy ta doktryna zaczęła wsiąkać w mózg człowieka, straciły owe ideały swoją dawną moc.

Bo czemże jest dobroć, uczciwość, honor, cnota wogóle? Zawsze jakąś ofiarą z osobistych pożądań. Nie można być dobrym, uczciwym,

honorowym, cnotliwym, gdy się nie umie wyrzec czegoś dla kogoś, czegoś, czego samolubstwo ludzkie pożąda.

A »maszyna rezonująca i pożądająca rozkoszy« nie chce, nie widzi potrzeby wyrzekać się swoich pragnień dla kogoś.

Systematycznie, usilnie, z planem pracowały ostatnie pokolenia nad obaleniem wszystkich tam, nad zburzeniem wszystkich hamulców, krępujących samolubstwo ludzkie. Wydrwiły honor rycerski, jako przesąd, opluły chrystyanizm jako zabobon, ośmieszyły prawość, uczciwość, jako naiwność.

Robotę doktrynerów materyalistycznych i bezwyznaniowych poparły rządy kapitalizmu, który padł na plask przed złotym cielcem i bije mu korne pokłony.

Pieniądz stał się ideałem i panem nowoczesnego człowieka, on rozdaje honory, godności, tytuły, koligacye, znaczenie, rozkosz życia — wszystko, co człowiek zowie na tej ziemi swojem szczęściem.

Można-ż się dziwić, że ludzie rwą się do mamony bez opamiętania, brną do niej przez podłość i grzech a nawet zbrodnię?

»Zgałganiał« człowiek nowoczesny w pogoni za pieniądzem, dawcą rozkoszy zmysłowych. Zaczynamy powoli i my »gałganieć«.

Spóźniliśmy się w tym kierunku za zachodnią Europą. Kiedy ta zachodnia Europa miała już swoje rewolucye społeczne, swoje orgie złotego cielca, swoje »krachy« grynderskie — my byliśmy jeszcze »naiwnymi barbarzyńcami«. Dopiero teraz obrabiają naszą duszę różni »uświadamiacze«, uczą nas »wysokiej kultury«. Mamy ich dużo tych uświadamiaczów, pp. Izę Moszczeńską, Poraja, Andrzeja Niemojewskiego, Wojciecha Szukiewicza, Leo Belmonta, Wasserenga i t. d., — specyalistów od niepodległej myśli, bezwyznaniowości, nienawiści do chrystyanizmu, wolnej miłości, uświadamiania dzieci i t. d. Miejmy jednak nadzieję, że się ta kocia muzyka raz skończy i jakiś nowy prąd idealistyczny przypomni znów ludziom stare »zwietrzałe przesądy«: bojaźń Bożą, etykę »zawisłą«, honor, uczciwość i obowiązek. Bez końca przecież człowiek nie może się walać w błyskotliwem błocie złotego cielca i nadużyć zmysłowych. Wiedzą dekadenci (Beaudelaire, Verlaine), że wszelkie nadużycie wywołuje reakcyę.

Orgia np. *librepenseurstwa* wywołuje już zabawną reakcyę.

Spotykam kiedyś na ulicy jednego z moich dawnych zecerów. Biedakiem był zawsze, na wikt i sprawunek ledwie zarabiał.

— Jakże się panu powodzi? — pytam.

— Doskonale! — odpowiada.

— Wygrałeś pan na loteryi?... odziedziczyłeś?...

— Jeszcze lepiej: zostałem wróżbitą...

— Wróżbitą?... A gdzież się pan wyuczyłeś tej sztuki?

— Stara ciotka nauczyła mnie kłaść karty i pleść duby smalone.

— I to wystarcza?

— I jak jeszcze! Żeby pan wiedział, z jakiem nabożeństwem bardzo mądrzy ludzie słuchają moich fantazyi. Pękać ze śmiechu! a rubelki płyną...

No, tak, stare dzieje... Gdy ludzie stają się tak mądrzy, że przestają wierzyć w Boga, że wstydzą się przyznać do uczuć religijnych, wówczas zaczynają wierzyć w gusła, zabobony, przesądy, karty, wróżby, stoliki wirujące, ekierki i t. d.

Powtarza się to ciągle, w Rzymie w epoce dekadencyi, przy schyłku, wieków średnich, podczas rewolucyi francuskiej, a obecnie u nas. Jesteśmy obecnie tak mądrzy, że »wstydem jest dla człowieka intelligentnego korzyć się przed Bogiem«, przeto korzymy się przed mądrością starych bab, młodych histeryczek i sprytnych dureńków.

Wróżbiarstwo, jeszcze zeszłego roku pracujące pocichu, po kątach, ustawia teraz swoje stragany na rynku, nie żenuje się wcale. Są u nas kabalarki eleganckie, bywające w towarzystwie, wróżące tylko intelligencyi. Po pięć rubelków biorą za seans (w zeszłym roku brały tylko dwa). Na dwa, trzy dni przedtem trzeba sobie zamawiać seans. Tak bardzo są zajęte.

Mieszczaństwu wróży jakiś Żyd, który rozbił swój namiot na Starem Mieście. Fortunki już się dorobił, chałat zdjął, pana rolę odgrywa, za granicę jeździ z rodziną.

Setki takich »jasno« przyszłość widzących spekulantów grasuje w Warszawie, a ludek oświecony i nieoświecony znosi im gotówkę... Jest to najzjadliwsza krytyka potęgi ludzkiego rozumu, najplastyczniejsza satyra. Najwyższy Rozum świata karze w ten sposób pyszny rozumek człowieka — odbiera mu rozum.

Agitacya taka czy inna swoją drogą a swoją drogą życie.

Życie, to pospolite, nie mieszające się czynnie do spraw publicznych, otworzyło w karnawale tegorocznym wszystkie upusty wesela, śmiechu, zabawy. Po kilku latach trwogi i ciszy rozhulała się Warszawa z taką nieopatrznością, jakgdybyśmy wygrali conajmniej bitwę pod Grunwaldem. Bywały dnie po dziesięć i więcej balów dziennie, większe sale trzeba było zamawiać na kilka dni naprzód, tak samo

stoliki w kabaretach. A w poście sypały się rauty, koncerty, czarne kawy, wenty i t. d.

Nie ma co zrzędzić na temat: o narodzie lekkomyślny! Wszystkie narody bywały w rewolucyach w ten sposób lekkomyślne, wszystkie chciały sobie raz dobrze i gruntownie użyć po terrorach i dreszczach trwogi. Wiadomo, jak Francya szalała z uciechy za czasów dyrektoryatu, kiedy zmora trybunału rewolucyjnego i gilotyny przestała ją dławić.

Zrzędzenia na temat: opamiętajcie się! nie zdadzą się w takich chwilach na nic. Taki już człowiek...

*T. Jeske-Choiński.*

## Z nowin historycznych.

Medyceusze na tronie papieskim.

Do najczęściej omawianych i najsprzeczniej sądzonych pontyfikatów należą czasy Leona X i Klemensa VII. Zjawisko łatwe do zrozumienia. Wystarczy przypomnieć, że na te czasy przypadają pełnia renesansu, początki i pierwszy rozwój reformacyi, schyzma angielska, olbrzymi wzrost potęgi habsburskiej, Sacco di Roma, aby zrozumieć, jakie trudności przedstawiają te pontyfikaty dla bezstronnej historyi. Dodajmy, że jakby antyteza leży między jednym a drugim krótki pontyfikat Adryana VI, ostatniego Niemca-papieża. Obfitość źródeł współczesnych i morze prac późniejszych historyków trudności tych nie usuwają, lecz raczej pomnażają. Tem większa jest zasługa głośnego historyka Pastora, który w czwartym tomie swojej sławnej *Geschichte der Päpste*[1], objął wszystkie źródła i prace późniejsze i, jak ogólnie krytyka przyznaje, skreślił przedmiotowy obraz owych burzliwych i tak obfitych w zdarzenia czasów. Za dalekoby nas zaprowadziło, gdybyśmy chcieli podać choć tylko streszczenie jasnych i nieraz klasycznych wywodów zasłużonego autora, ograniczymy się przeto do niektórych ważniejszych rozdziałów.

[1] Pastor Ludwig: *Geschichte der Päpste seit dem Ausgange des Mittelalters.* IV Band. Erste Abteilung: Leo X. 1906. 8-ka, str. XVIII—609. Zweite Abteilung: Adrian VI und Klemens VII. 1907. 8-ka, str. XLVII—799. Freib. i. Br. Herder.

Że za Leona X pogaństwo wtargnęło do Kościoła a szczególnie do kancelaryi papieskiej, zarzut taki powtarza się często. Przecież sławny angielski historyozof Thomasz Carlyle nie wahał się w swoich odczytach: *On Heroes, Heroworship and the Heroic in History* twierdzić, że Leon »był więcej poganinem aniżeli chrześcijaninem, jeżeli wogóle czemś był«. Jednym z głównych dowodów na powyższe twierdzenia są *Libri sexdecim epistolarum Leonis X P. M. nomine scriptarum*, które jego tajny sekretarz i humanista P. Bembo wydał za Pawła III w Wenecyi 1535—36. Ktokolwiek zajrzał do tego wydania listów Leona X, przyzna, że są one niemałym dowodem na paganizacyę przynajmniej jego kancelaryi. Tak czytamy zamiast *aura s. Spiritus* wyrażenie *aura Zephyri coelestis — cardinalium creationem* zastąpiono przez *comitia — ipsarum phano praefecti* ma znaczyć *ecclesiae div. Andreae rectori* i t. d. Pastor zagadkę rozwiązał, porównując Cod. P. 130 biblioteki Ambrozyańskiej w Medyolanie, zawierający rejestr listów Leona X z Cod. Vat. 3364 tej samej treści i z listami oryginalnemi tu i owdzie, choć w małej liczbie rozsianymi po świecie. Z porównania jasnem się okazało, że Cod. Ambr. przedstawia rejestr, który Bembo zabrał ze sobą z archiwum rzymskiego, Cod. zaś Vat. rękopis tego rejestru, przez Bemba w celu publikacyi sporządzony, wykazujący owe charakterystyczne poprawki, tchnące pogaństwem, z których wyżej podaliśmy niektóre próby. Sumienne zestawienie obydwu kodeksów doprowadziło Pastora do tego rezultatu, że niema ani jednego listu, któryby w druku z Cod. Ambr. co do formy się zgadzał, choć co do głównej treści nie różnią się. Cała więc forma czyli styl, rażący często paganizmem, pochodzi od Piotra Bembo i jest późniejszą przeróbką. Tak upada jeden z głównych dowodów na ów często powtarzany zarzut przeciw Leonowi X.

Wogóle trzeba powiedzieć, że choć Leon człowiekiem głębokiej pobożności nie był, jednak pomiędzy ówczesnymi reprezentantami Kościoła był jeszcze jednym z lepszych. Jużci w ten sposób honor Leona X nie jest jeszcze uratowany i praca Pastora bynajmniej nie chce być apoteozą tego pontyfikatu. Z całą bezwzględnością historyka naszych czasów odkrywa autor słabe i wprost gorszące strony rządów tego papieża. Bajeczne szczęście Leona X w sprawach polityczno-kościelnych czy to z Francyą czy z cesarstwem, aby tylko wspomnieć o sławnym zjeździe papieża i króla francuskiego Franciszka I w Bolonii i o wyborze Karola V na cesarza, nie uwalnia od ciężkiego zarzutu, że i dla niego często uroczyste zobowiązania i najświętsze przyrze-

czenia były próżnymi frazesami, jak u ówczesnych możnowładców świeckich, i że wogóle umiał nawet przed bliższem otoczeniem ukrywać swoje zamiary i krętemi do nich dochodzić drogami. Nie można jednak twierdzić, jak to do ostatnich czasów czyniono, że polityka jego kierowała się wyłącznie nepotycznymi względami. Prawda leży i tu w środku. Oboḳ silnych wpływów nepotycznych rządziły jego polityką ogólniejsze względy, jak tradycyjna polityka papieży, aby Medyolan i Neapol nie znalazły się w jednym ręku, jak chęć zabezpieczenia i powiększenia państwa kościelnego i ówczesny patryotyzm włoski dążący do »wolności Italii«. Ostatnie słowo w tej kwestyi będzie dopiero możliwe, gdy marchese A. Ferrajoli wyda obszerną i rozległą korespondencyę polityczną Leona, której zbieraniem już od długiego szeregu lat się zajmuje.

Bez wątpienia najważniejszą kwestyą tego pontyfikatu jest stanowisko Leona wobec rewolucyi religijnej w Niemczech t. zw. reformacyi Lutra. Sąd historyi wypada tu stanowczo na niekorzyść Leona, a nowych źródeł, któreby mogły mieć wpływ na sąd dotychczasowy, trudno się spodziewać, bo choć archiwum rzymskie Inkwizycyi jest niedostępne, to jednak archiwaryusz zapewnił, że aktów odnoszących się do Leona X' żadnych w niem niema. Trzeba mieć ustawicznie cały obraz ówczesnych stosunków przed oczyma, aby ocenić całą lekkomyślność zawsze uśmiechniętego i bawiącego się Medyceusza wobec tak poważnej sytuacyi. Nie w tem jego wina, jakoby był sprawy zaspał i żadnych kroków przeciw buntowniczemu mnichowi nie przedsięwziął, wiemy że było inaczej, ale w tem, że nowych zadań, wobec których postawiła herezya w Niemczech papiestwo, nie zrozumiał, że wobec koniecznych reform kościelnych zachował się biernie, owszem przyświecał pod niejednym względem złym przykładem. Czy nie wygląda straszna bulla *Exurge Domine* z r. 1520, potępiająca Lutra, jak ironia, jeżeli się słyszy, że w tych samych latach Leon X brał udział w uroczystościach karnawałowych, przy których w jego obecności i za jego życzeniem odegrano bezwstydne komedye Ariosta i ową scenę w r. 1521, w której eremici zrzucają swoje habity — dla kobiety? Trudno się było po takim papieżu spodziewać, żeby choć w myśl uchwał i dekretów soboru lateraneńskiego, przez niego zatwierdzonych i zawierających wielką ilość mądrych i koniecznych reform, usunął zgorszenie i przyczynę niechęci ku Kościołowi a szczególnie papiestwu. Przeciwnie, sam nieraz przeciw owym dekretom działał i o ich przeprowadzenie w Kościele mało się troszczył. Jest to z pewnością najczarniejsza plama na pontyfikacie Leona X, której nie zakryją ani niektóre świetne strony

jego charakteru, ani nawet wielkie jego imię w historyi sztuki i literatury Odrodzenia. Trzeba przyznać racyę Pastorowi, jeżeli mówi, iż w Leonie X dwie były dusze, będące ze sobą w sprzeczności, a ciężka to była próba dla Kościoła, że Bóg w tak ciężkich czasach dozwolił na Stolicy św. zasiąść papieżowi, który do wielkich ówczesnych zadań papiestwa nie dorósł.

Pontyfikat, który tak bardzo naprzód wysunął świeckie interesa papiestwa, i właśnie dlatego w lekkim świecie Odrodzenia znalazł uznanie, nie mógł być bez wpływu ujemnego na rządy Adryana VI, który z całą powagą i surowością profesora niemieckiego, zabrał się do spraw kościelnych i myślał o usunięciu panujących nadużyć i zgorszeń. To też tragizmu w tym pontyfikacie nie brak. Najlepsze chęci i najszczersze usiłowania niweczyła opozycya, przywykła do systemu Leona X. A ponieważ oceniano papieża wówczas wyłącznie prawie podług tego, czy był politykiem i mecenasem, dlatego nawet u najlepszych pamięć jego nie była świetna. Przyczyniła się do tego ujemnego sądu o działalności Adryana VI i ta okoliczność, że sekretarz jego Heeze po śmierci papieża zabrał ze sobą najważniejsze dokumenty tego pontyfikatu, które też przepadły na zawsze. Dopiero XVIII i XIX wiek oczyścił pamięć tego papieża i liczy go do najczcigodniejszych postaci na tronie papieskim. W wzruszających nieraz obrazach skreślił Pastor krótki ten pontyfikat i nie ukrywając jego słabych stron, do których należy zbytnia nieraz surowość i mały interes dla odrodzenia włoskiego, podniósł jego zalety, któreby w innych warunkach były Adryana VI postawiły obok największych papieży, jak napis na jego nagrobku się wyraża.

Następuje pontyfikat Klemensa VII, a z nim koniec Romy średniowiecznej i ostatnia koronacya na cesarza rzymskiego w Bolonii, znak tego wielkiego przewrotu nie tylko w historyi Kościoła, ale całego Zachodu. Połowę monografii Pastora zajmują nieszczęsne zawikłania polityczno-kościelne, wskutek których rządy drugiego Medyceusza na tronie papieskim zaliczają się do najburzliwszych i najnieszczęśliwszych w historyi kościelnej. Polityka Klemensa zakończyła się tem, czego uniknąć chciała za wszelką cenę, zależnością Włoch od przemocy hiszpańskiej i odwiodła papieża od tego, co powinno było być pierwszym obowiązkiem ówczesnej głowy Kościoła, od reformy kościelnej. Choć i to trzeba dla sprawiedliwości przyznać, że nieszczęście to po większej części było straszną konsekwencyą błędów, które nie on popełnił, lecz poprzednicy jego.

Chwiejność, brak inicyatywy i pewna bojaźliwość obok nieszczęsnej polityki i nepotyzmu były także przyczyną, że herezya coraz więcej się szerzyła. I drugi Medyceusz nie dorósł wielkości i trudności zadań swego czasu. Źle poinformowany nie zrozumiał doniosłości rewolucyi religijnej w Niemczech i sprawy niemieckie coraz bardziej przed włoskiemi ustępują na drugi plan. Owszem, antycesarską polityką swoją przeszkadzał nawet Karolowi V w energicznej akcyi przeciw buntownikom, a chytry sprzymierzeniec jego, Franciszek I francuski umiał z tego dla swoich celów skorzystać. Ale nie dość na tem, iż wina utraty rozległych krajów niemieckich dla Kościoła spada na niego, chwiejność jego i brak energii przyczyniła się także do schyzmy angielskiej. Pastor głównie na podstawie badań Ehsesa przedstawia przebieg procesu rozwodowego Henryka VIII i z góry każdy przewiduje, że niepojęte ustępstwa Klemensa, dochodzące do ostatnich dozwolonych granic obok szaleństw królewskiego cudzołożnika inaczej skończyć się nie mogły. Brak było wówczas takiego Grzegorza VII. szczególnie w kwestyi reformy. Prawda, obawy były wielkie i słuszne, aby zwołany sobór nie zboczył na drogi Konstancyi i Bazylei i nie został przez ówczesnych mocarzy użyty przeciw papieżowi, mimo to jednak wahanie się i ociąganie Klemensa każe podejrzywać, że może raczej osobiste względy na niego działały, aniżeli owe obawy, choć i tu może decydował polityczny wzgląd na Franciszka I. Nie brak za niego jednostkowych prób reformy, popierał także Klemens usiłowania tak zacnych mężów, jak Gibertiego, Carafy, Zaccarii i innych, ale były to tylko doraźne półśrodki, nie prowadzące do celu. Zarzut, że odstąpił od drogi Adryana VI, zawsze będzie najcięższym dla pontyfikatu Klemensa VII. Początki szczerej reakcyi katolickiej, brzask nadchodzących lepszych czasów, przypadający na jego rządy, nie są jego zasługą, ale rzucają przynajmniej na ten smutny obraz jakiś promyk nadziei: jest to *Oratorium* Bożej miłości i początki nowych zakonów Teatynów, Barnabitów, Kapucynów i pierwsze zawiązki Towarzystwa Jezusowego.

Oto kilka ważniejszych szczegółów z tej nowej pracy znakomitego historyka.

*Ks. A. Starker.*

Druk ukończono 6 kwietnia 1909 r.

# NASZE POŁOŻENIE[1].

## I.

Nie pomnę już, który z wielkich myślicieli zwracał uwagę na doniosłe bardzo znaczenie katolickiej zasady, wprowadzającej obowiązek peryodycznego czynienia rachunku sumienia. A myśliciel ten stwierdzał dalej, że zawarta w rachunku sumienia krytyka i ocena przeszłości może i powinna być punktem wyjścia dla poprawy życia, unikania i zaniechania tego, co ujemny wywołało sąd; o ile zaś nie zabraknie silnej woli, aby postępowanie swe zastosować na przyszłość do wyników sądu o dotychczasowem życiu, to rachunek sumienia okaże się podstawą i czynnikiem nowego, lepszego życia, przynoszącego pełniejszy dobrobyt duchowy, spokój sumienia, płynący z poczucia spełnionego obowiązku, czystych intencyi i czystych czynów.

Poważnie pojęty rachunek sumienia obejmuje nie jedną tylko dziedzinę, nie jedną cząstkę życia, lecz całość życia, zapyta nie tylko o czyny, dopuszczenia, lecz i o zaniedbania, opuszczenia. On ująć i objąć winien całego człowieka, przejrzeć, czy spełnił swe obowiązki, czy nie zaniedbał troski rozumnej o swe podstawy bytu, będące w tylu kierunkach warunkami spełnienia obowiązków

[1] Artykuł ten jest wstępnym rozdziałem książki p. t. »Zagadnienia narodowej polityki«. Książka ta wyjdzie w czerwcu b. r.; dalsze rozdziały jej są: Nauka polityki, Czyn polityczny a nauka polityki, Istota narodu, Cele narodowej polityki, Metoda i środki działania.

*Przyp. Red.*

życia, przejrzeć, czy nie nadszarpał, nie zmarnował swych sił, czy nie pomijał sposobności czynienia dobrze.

Jak dla jednostki każdej, tak i dla społeczeństwa może mieć rachunek sumienia wielką praktyczną doniosłość. A tym społecznym rachunkiem sumienia to zdawanie sobie jasno sprawy z wszystkich dziedzin życia, przeprowadzenie oceny swych sił, stosunków, działań i zasobów, poznanie dokładne i krytyczna ocena tego, co jest. Bo przecież i społeczeństwo ma obowiązek życia i rozwoju, życia i rozwoju coraz doskonalszego i coraz pełniejszego. Stąd też poznanie tego, co jest, jako podstawa, warunek i czynnik tego, co być powinno, od dawna już jest uznanem jako obowiązek, a zarazem i warunek skutecznego i politycznego działania.

Teoretyczne uznanie tej prostej prawdy jest też od dawna powszechnem; praktyka życia tylko nie zawsze się do niej stosuje, bo ten indywidualny czy społeczny rachumek sumienia, krytyczna ocena stosunków, dążeń i działania, jest mozolnym, przykrym nawet i bolesnym niejednokrotnie. Mimo to jest jednak koniecznym, bo on daje świadomość stanu i dążenia, a tylko świadomy czyn może na pewno przynosić dodatnie rezultaty.

Dokładne poznawanie i kontrolowanie swego położenia jest przeto i dla nas, jako narodu potrzebnem. I naszym czynom jako narodu potrzeba świadomości, potrzeba podkładu dokładnego poznania naszych warunków, stosunków, zasobów, objawów, dążności, sił. Nam nawet to potrzebniejszem, konieczniejszem niż innym narodom. Bogaty człowiek może ostatecznie obyć się bez liczenia każdego grosza, bez trwożliwego układania bilansu i przypilnowywania jego wykonania; człowiek niezasobny zdoła jedynie wtedy zaspokoić potrzeby, zachować warunki bytu, gdy z góry każdą cząstkę zasobu, każdy grosz zużyje świadomie w kierunku najwyższego pożytku, gdy u niego nic nie pójdzie na marne. Dlań właśnie peryodyczny bilans i ścisłe dopilnowanie zachowania ram bilansu jest wprost koniecznością życiową.

My jako naród nie należymy do szczęśliwych, do zasobnych społeczeństw; warunki naszego bytu narodowego są arcytrudne, to też my przedewszystkiem winniśmy zdobyć sobie jasny pogląd

na stan całości naszych spraw i interesów narodowych, peryodycznie kontrolować nasz dorobek i nasze ubytki.

Zrozumienie doniosłości zdawania sobie sprawy z położenia ogólnego, ze stanu i rozwoju poszczególnych dziedzin życia i instytucyi, wzrasta też i rozszerza się u nas. Rozpoczęły się dość liczne prace, aby nam informacyi dokładnych o naszem położeniu dostarczyć.

W pracy tej napotykamy na wielkie trudności zebrania materyału, bo urzędowe statystyki, np. ruchu ziemi, statystyki przemysłu i t. d. nie podają nam narodowych informacyi. Stąd społeczeństwo nasze samo winno baczyć i zestawiać wszystkie ważniejsze objawy. Dzieje się też to istotnie. Zwłaszcza w ostatnich latach wyszedł cały szereg publikacyi, dających przedewszystkiem opis i poznanie tego, co jest, stanu istotnego [1], a jako zjawisko charakterystyczne należy podnieść, w zagranicznej literaturze spotykamy coraz częściej zarówno głosy, kwestyę upadku Polski badające, jak i wprost informacye o rzeczywistym stanie kwestyi polskiej, o stanie i rozwoju polskiego społeczeństwa [2]. Fakt to znamienny; nie z czułości bowiem do nas, ani nawet nie z nienawiści do naszych wrogów pojawia się na nowo kwestya Polska w światowej dyskusyi, ale na podstawie swej wewnętrznej siły i treści.

Fakt ten sam i jego podstawa mogłyby nas przeto napawać zadowoleniem i otuchą, bo on świadectwem siły i rozwoju polskiego społeczeństwa. Czułości bowiem niema w dzisiejszym świecie, świat interesuje się tylko siłą, tem więcej na nią się ogląda,

[1] Np. Bujak: »Galicya«, Górski: »Niemcy w Król. Polskiem«, Buzek: »Historya polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków«, Załęski Witold: »Ze statystyki porównawczej Królestwa Polskiego. Ludność i rolnictwo«. Pamiętnik *Dziennika Poznańskiego* 1859—1909, dalej wydawnictwo warszawskie »W naszych sprawach«, »Sprawy krajowe« w *Przeglądzie Polskim*. Co do Galicyi podają pierwszorzędny materyał wydawnictwa Kraj. biura statystycznego oraz liczne przedłożenia sejmowe, dany zakres, bo polityczny ma R. Dmowskiego »Niemcy, Rosya i kwestya polska«.

[2] Np. Bernhard: *Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat.* 1907. G. Cleinow: *Die Zukunft Polens.* Lipsk 1908. Massow: *Die Polennot in der deutschen Ostmark.* 1907. H. Geffken: *Preussen, Deutschland und die Polen.* 1906.

im ona ma więcej cech trwałości i rozwoju. Stąd też samo ponowne jawienie się kwestyi polskiej w dyskusyi świata po tylu latach zupełnego jej zamilczania, zupełnego zapomnienia o niej, jest dowodem naszej żywotności, naszego dorobku.

Istotnie też jest dorobek, jest żywotność na wielu polach. Wzrasta liczba polskiej ludności, rozszerza się i pogłębia narodowa świadomość, patryotyzm prawdziwy przestał być objawem i uczuciem pewnych tylko warstw. Wyciska on swe piętno dodatnie na wielu pracach, na wielu polach życia [1]. Dalej znów korzystna występuje przemiana naszego społecznego ustroju: tracimy cechę wyłącznie agrarnego typu, stopniowo usuwamy brak rodzimych warstw miejskich. Obok literatury tak zwanej pięknej, wytwarza się rodzima literatura naukowa, a i pole sztuki, malarstwo, rzeźba, muzyka nie leżą odłogiem. Potrzeby społecznej pracy wytwarzają szereg instytucyi, stowarzyszenia przeróżne obejmują coraz liczniejsze dziedziny życia, szeregując ludzi, przyuczając do wspólnego, karnego działania. A w działaniu tem częstokroć dwa dodatnie dają spostrzegać się rysy: zrozumienie, że warunkiem dodatnich rezultatów, jak to z takim zapałem podnosił zawsze Supiński, jest wiedza i praca; dalej, energii pełen zapał, który chce, aby u nas nie gorzej działo się, jak gdzieindziej. Stąd też praca społeczna rozszerza się coraz więcej i pogłębia,

[1] Słusznie podnosi to St. Tarnowski odnośnie do literatury: »Ta miłość ojczyzny, która była siłą poruszającą literatury polskiej w wieku XIX, jest też jej główną cechą przez cały ciąg wieku, od jego początku do schyłku. Zmieniają się formy, zmienia się ton, zmienia rozumienie służby i jej praktycznych warunków: ale rzecz jest zawsze, i zawsze istotą i znamieniem... A ci uczeni, którzy z natury swego zawodu oddaleni są absolutnie od wszystkich kwestyi historycznych i politycznych, przez których prace żadna tendencya nigdy przebijać się nie może i nie powinna: badacze specyalnych przedmiotów naukowych, przyrodnicy, lekarze, matematycy, lingwiści, ci nie przekraczają granic swojego zawodu i nie gwałcą jego natury, ale kiedy wytężają swoje zdolności i siły na to, by w swoim zakresie naukę rozwinąć i posunąć, jeszcze robią to w tym samym zawsze duchu i celu, w tej myśli, żeby ta lub owa nauka w Polsce była i żeby przez Polskę, przez Polaka, postąpiła naprzód na pożytek wszystkich, a na zaszczyt imieniowi polskiemu«. (»Hist. literatury«, tom VI).

praca gospodarcza obejmuje szersze pola, ulepsza swe warsztaty produkcyi i swe metody działania.

W usiłowaniach tych i pracach zdarzają się jeszcze często pomyłki, błędy powodujące zawody, ale i one nie zniechęcają trwale, tylko upatrując powód niepowodzenia jedynie w błędach popełnionych, zaostrzają autokrytykę, podnoszą skalę wymogów jakości działania, przez to dodatni wywierają wpływ.

W psychologii i usposobieniu narodu jeszcze inny dodatni ujawnia się rys. Bezpośrednio po rozbiorach nie brakło głosów zwątpienia, uważających koniec państwa polskiego niemal za koniec narodowego istnienia, za nieodwołalny wyrok historyi. Prostracya ta duchowa ustąpiła niebawem, gdy legiony na nowo podniosły sławę imienia polskiego i kwestyę polską. To nam może tłumaczyć długotrwałą następnie przewagę w umysłowości narodu powstańczego programu, długotrwałą epokę, gdzie przedewszystkiem czynny udział w powstańczych szeregach był szczytem marzeń i w opinii uchodził za szczyt zasługi i patryotyzmu. Jednostronny ten kierunek myśli, oceny i aspiracyi odbijał się ujemnie, jak każda jednostronność w licznych innych dziedzinach życia, a niepowodzenia orężne przerzedzały szeregi właśnie najgorętszych serc, wnosiły rozterkę i zniechęcenie, scharakteryzowane dosadnio owem słowem: »i Bóg dopuścił i opuścili ludzie«, wnosiły spory i zwady namiętne, krzewiły gorycz i rozterkę zarzutem winy i zdrady, krzewiły gorączkę nowej orężnej rozprawy. Wszakże śpiewano »dziś twój tryumf albo zgon«! I z mych dziecinnych lat pamiętam zarzut braku zapału, wiary w sprawę, czyniony jenerałowi Taczanowskiemu za to, że nie chciał przejść granicy do Królestwa, póki mieć nie będzie dość broni, amunicyi, żywności, wozów i t. d. To była newroza opinii. W myśl frazesu Mirosławskiego chciano z kijami iść na bagnety, z bagnetami na armaty. A kto przestrzegał, że z gołemi rękoma można ludzi prowadzić na rzeź, nie do zwycięstwa, a kraj prowadzić do ruiny, nie do lepszego bytu, temu z licznych stron najbardziej cierpkich nie szczędzono zarzutów.

Usposobienie to i opinia były chorobliwe, one też już należą do przeszłości. Pomimo, że niema tryumfu, naród nie uznaje

swego zgonu. Pomimo, że odrodzenia nie spodziewamy się z dnia na dzień, w ciągu najbliższej doby pomimo, że z Krasińskim musimy powtarzać:

Ach płyną lata, ach płyną i wieki
Nim się myśl Boża w ciało przeistoczy,
Zguba wciąż blizka, a tryumf daleki.

nie zmniejsza to jednak miłości Ojczyzny, ni zapału do pracy dla niej. Owszem, życie nasze wymaga dziś ducha poświęcenia nie w jasnej chwili zapału, lecz w szarym trudzie i znoju powszedniego dnia. A jednak wskazać moglibyśmy liczne przykłady, gdzie ludzi wśród nas stać było na taką miłość i pracę życia całego, ludzi, co szli wytrwale z posiewem pod zbiory przyszłych pokoleń. Nie rozgłosu pragnęli, nie zaszczytu, tylko zasługi. A to przecież wielki moralny dorobek, to rzeczywisty przybytek sił.

I moralna równowaga, sprawiedliwość oceny przeszłych i współczesnych stosunków uczyniły postęp poważny. Słusznie i pięknie napisał prof. Stanisław Grabski o Staszicu[1]: »Gromi on panów i szlachtę, wylicza im po imieniu ich grzechy i przewinienia, ale czyni to, jak Skarga niegdyś kazał do sejmujących Stanów, z nienawiścią do grzechu, a nie do ludzi, nawołując winowajców do poprawy, do odkupienia przez ofiarę, a nie głosząc pokrzywdzonym hasła zemsty«.

Miara ta sądu dziś coraz częstsza w społeczeństwie. Błędy krytykujemy, ale złych intencyi nie podsuwamy. Nie zamilkły naturalnie zupełnie głosy ściśle osobiste czy stronnicze i zgrzyt prywaty, lecz wpływ ich i powszechność szczupleją. Zwłaszcza wobec przeszłości coraz wyraźniej spokojny wyrabia się sąd.

Prof. Balzer w swej cennej pracy: »Konstytucya 3 maja« napisał: »Widzimy za Stanisława Augusta prąd, idący w coraz szersze warstwy, polepszenia doli chłopa, przez dobrowolne z nim umowy; widzimy podnoszenie się miast, przemysłu i handlu, widzimy ulepszoną edukacyę, bogatą literaturę, widzimy cały szereg usiłowań o naprawę Rzeczypospolitej. Widzimy wszechstronne, coraz dalej sięgające odrodzenie. Widzimy, że społeczeństwo na

[1] Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce«, t. 1, str. 184

tej pochyłości, na której znajdowało się przedtem, stanęło i zawróciło się na inną drogę; a ta droga nie prowadziła do Targowicy: to była ta droga, którą jasno określała Konstytucya... Była ona i odrodzeniem moralnem narodu. Była pogrzebaniem szkodliwych, ale przez długi czas najdroższych narodowi, wiekową przeszłością wypieszczonych ideałów złotej wolności i wyłączności szlacheckiej. A dokonała się nie przez kogo innego, tylko przez tych, co te ideały sami nosili w swem sercu. Przyszła do skutku nie przez siłę i przemoc dobijających się o swe prawa klas upośledzonych, nie przez nacisk ze strony rządu, dążącego do wzmocnienia swej władzy, nawet nie za wolą, lub poparciem jakiejkolwiek potencyi obcej, a owszem przeciwko ich woli; zrodziła się bez rewolucyi, bez kropli krwi przelewu, w formie łagodnego zamachu stanu, z własnej niczem niekrępowanej woli narodu samego. W swoim rodzaju jest to wypadek jedyny i nigdzie na tak wielki rozmiar w dziejach ludzkości nie powtarzający się: ten dobrowolny nawrót z drogi, która była niebezpieczną, to prawda, ale tak wygodną dla nawracających. Musiał ten naród mieć wiele siły i hartu w sobie, niestartych całkiem i niespożytych dawniejszym upadkiem, kiedy dzieła takiego dokonać potrafił. Na ciemnym horyzoncie dziejów swoich zapalił od razu słońce, tak jasne, że rozproszyło mrok przeszłości, tak silne, że nam świeci teraz jeszcze i długo świecić będzie, otuchę w serca wlewając i ducha krzepiąc«.

Podobnie spokojny i sprawiedliwy sąd poczyna się u nas wyrabiać i co do bliższej przeszłości. Krytykując błędy umiemy uznać intencye; a gdzie była dobra intencya służby dla kraju, gdzie było poświęcenie swej osoby w tej służbie, tam słuszną spokojna miara sądu nawet przy błędzie człowieka. Spokojniejszy, a przez to sprawiedliwszy sąd o przeszłości poczyna korzystnie oddziaływać i na ocenę współczesnych działań i ludzi, uczy uznać, że co innego błąd, co innego wina. Dystynkcya ta usuwając osobiste drażliwości i zarzuty może też przez słuszną krytykę błędów ich pojawianie się ograniczać. A niewywołując osobistych niechęci i zarzutów może ludzi, chociażby się w jednych sprawach

merytorycznie różnili, sprządz w drugich do zbiorowej pracy. A i to jest dorobkiem społecznym.

Istotnie przeto można wskazać w naszem życiu narodowem szereg pomyślnych objawów. Dają one też podstawę do całej masy broszurowej literatury w Niemczech, stwierdzającej nasz rozwój, polskie niebezpieczeństwo. Ale literatura ta nie płynie z dobrej wiary. W znacznej mierze są to pisma agitatorskie, wprost denuncyacye, a może i inspiracye z góry, mające postrachem widma polskiej sprawy działać na wyobraźnię rządów rozbiorczych poza Berlinem, oraz na wyobraźnię ludności i posłów w Niemczech, aby ułatwić parlamentarne uchwalanie wszystkich wrogich zamachów pruskiego rządu. A może i na to liczą, że uśpią naszą pracę i czujność i zapał pozorem swej obawy przed nami, pozorem swego podziwu dla naszych rezultatów.

Ani ta literatura obca, pełna wyrazów uznania dla naszych prac i rozwoju, dla wzrostu naszej dojrzałości politycznej, ani powyżej zaznaczone istotne nasze dorobki nie mogą i nie powinny nas ni uspokoić, ni zadowolnić, zamknąć nasze oczy na odwrotną stronę medalu. A odwrotna ta strona medalu, bilans naszych strat, wykaz naszych ujemnych pozycyi, niestety poważne przybrały rozmiary. Jasno spojrzeć im w oczy, to nasz obowiązek.

Stwierdzić więc przedewszystkiem należy, że w ciągu ostatnich kilku lat pogorszyło się położenie polskiego społeczeństwa we wszystkich trzech zaborach.

Fakt to smutny, niestety prawdziwy. A pogorszenie to występuje zarówno w zewnętrznych warunkach bytu, jak w stosunkach wewnętrznych.

Zewnętrzne warunki zmieniły na niekorzyść nasz stosunek do odnośnych rządów. Prześladowcza polityka rządu pruskiego wyparłszy język polski ze szkoły, sądu, urzędu, targa się na ograniczenie go w kościele i na zgromadzeniach publicznych; niezadowolona z rezultatów walki o ziemię, popartą już od 20 przeszło lat milionowymi funduszami, ustawą o osadnictwie i szykanami władz administracyjnych, jawnie proklamuje walkę eksterminacyjną za pomocą przymusowego wywłaszczenia, ustaw wyjątkowych wyraźnie i wyłącznie przeciw nam skierowanych. W walce

tej nie zapomina rząd pruski i o robotnikach polskich. Trapił ich już dotąd wydalaniami, ograniczeniami przeróżnemi, teraz stara się im jak najbardziej umniejszyć i utrudnić zdobycie krwawą pracą kęsa powszedniego chleba.

Niemniej wyjątkową ustawą wbrew wszelkiej słuszności i logice ograniczono liczbę i siłę reprezentacyi polskiej w Dumie petersburskiej, chcąc sztucznie wytworzyć z niej *une quantité negligeable*, a administracyjny »porządek« w zaborze rosyjskim uprawia dalej swe władztwo dezorganizujące, umyślnie dopuszcza grzęznięcie kraju w anarchii, zastoju gospodarczym i umysłowym, stawiając liczne przeszkody wszelkiej pracy twórczej i akcyi organizacyjnej.

Z różowych nadziei, jakie żywiono w Królestwie w epóce pierwszej Dumy nie pozostało nic. Zawiodły sojusze z stronnictwami gruntownej reformy, nie uzyskał ni realizacyi, ni poparcia stanowczego chociażby projekt samorządu Królestwa. Wiosna wolności i nadziei szybko i bezpowrotnie minęła. W drugiej Dumie już trudniejszem było położenie, przybyło wrogów, ubyło sojuszników, chociażby teoretycznych znów tylko. Postawienie w niej sprawy samorządu Królestwa znów nie miało żadnych następstw praktycznych, a szowinizm rosyjski podjudzany z Berlina patrzał z niechęcią, że z głosami polskimi liczyć się trzeba było. I ograniczono sztucznie liczbę naszych głosów. Sam już ten fakt pomniejszał szanse znaczenia i zdobyczy Koła polskiego w trzeciej Dumie, a faktyczny jej skład, zwycięstwo reakcyjnych żywiołów, przenoszących życie i działanie w cieniu absolutyzmu, niż oświetlającą krytykę i dyskusyę w Dumie, uniemożliwiło twórczą pracę, zmusiło do trwożliwego baczenia, aby śmielszą inicyatywą jeszcze dalej nie pogorszyć stosunków, nie dopomódz do zwycięstwa zupełnego reakcyi, do pogrzebania resztek konstytucyi, aż do jej formy nawet. Znierpliwione 40-letniem milczeniem, podniecone nadzieją z nadania konstytucyi płynącą, odczuło społeczeństwo boleśnie ten najnowszy zawód, wystąpiło zniechęcenie, majaczące aż o szkodliwej zawsze polityce abstencyi. Stosunki tam weszły znów w fazę, że o zdobyczach nie można myśleć prawie, tylko dalszych strat i szkód obawiać się trzeba i unikać. Czy i jakie

popełniono tam z naszej strony błędy, tego tu nie chcę rozbierać[1] — chociaż cały przebieg stwierdza, że nie wiele okazaliśmy tam prawdziwego zmysłu politycznego; ostateczny rezultat niestety znów okazuje: zawiedzione nadzieje, pogorszone stosunki.

W Austryi wreszcie rezultat powszechnych wyborów parlamentarnych osłabił pierwotnie wagę i znaczenie Koła polskiego, bo odebrał mu z początku przewagę niewątpliwą w zastępstwie kraju, oddał szereg mandatów w ręce ruskie i syonistyczne, dalej w ręce »ludowców«, którzy dopiero po dłuższym okresie czasu, na podstawie pertraktacyi i po statutowem rozluźnieniu zasady solidarności wstąpili do Koła polskiego, a wstąpiwszy do Koła powiększyli liczbę jego głosów, podnieśli na nowo kwantytatywne znaczenie, ale sił do pracy dostarczyli bardzo mało. Zmiana statutu dalej usankcyonowała podział Koła na frakcye, przez co różne ważne posterunki są nie podług osobistych kwalifikacyi, lecz podług partyjnych przynależności rozdzielone, a i to znów nie jest korzystnem dla skuteczności pracy. Osłabienie to względne i bezwzględne grozi zmniejszeniem wpływu, wytwarza różne i niemałe ryzyka polityczne, powiększa wrogie nam wpływy, naraża nas na utratę niejedną. A niebezpieczeństwo to tem jest realniejsze, że rząd jeden za drugim wcale nie dba na seryo o uzdrowienie parlamentu, bo obstrukcya i § 14 zdają się wygodniejsze, ale jedno i drugie pogarsza nasze położenie.

Dwanaście już prawie lat trwa rozstrój parlamentarny w Austryi, a od upadku gabinetu hr. Badeniego wszystkie następne rządy myślały tylko o przedłużeniu swego życia, nie o uzdrowieniu państwa. Sztuczkami, rozdawaniem podarunków z kasy państwowej w formie znoszenia stempla dziennikarskiego, obiecanki kanałów, czy kolei, nieprzerwalności poboru dyet, przedłu-

[1] Z. Balicki: »Przesilenie duchowe« (*Przegląd narodowy*, luty 1909. str. 131) pisze: »Zbyt oportunistyczne stanowisko w sprawie agrarnej w pierwszej izbie, ostra opozycya w drugiej, przekraczająca miarę, wskazaną ówczesnymi warunkami, nadużywanie wyjątkowego stanowiska przedstawicielstwa polskiego jako języczka u wagi, uparte lekceważenie groźnych niebezpieczeństw, zbierających się nad Macierzą — wszystko to były błędy, które łącznie z żywiołowym naporem sił wrogich miały za następstwo straty istotne i dotkliwe«.

żały rządy swą egzystencyę, utrwalając równocześnie panowanie obstrukcyi w przeróżnej formie, a obstrukcya jest równym rozstrojem i negacyą, jak było *liberum veto.* A położenie to tem więcej staje się niebezpiecznem, że z jednej strony targi rządu z obstrukcyonistami demoralizują życie polityczne, muszą coraz więcej demoralizować i radykalizować parlament i społeczeństwo, bo tylko ten, co grozi awanturą jest przez rząd brany w rachubę i otrzymuje choć cokolwiek, z drugiej zaś strony sfery biurokratyczno-centralistyczne i sfery naiwno-reakcyjne cieszą się z doprowadzania parlamentaryzmu *ad absurdum*, żywiąc pragnienie powrotu ery absolutyzmu. Już przed 11 laty przestrzegałem w mej książce »Budżet i kredyt publiczny« przed tą naiwnością grzeszną, przypominając fatalne skutki absolutyzmu w Austryi dla państwa i kraju naszego. Ruina ekonomiczna kraju, rozdarcie społeczne, to nam niegdyś zostawił absolutyzm biurokracyi wiedeńskiej. Niebezpieczeństwo to istnieje do dziś, bo pragną absolutyzmu sfery centralistyczno-biurokratyczno-germanizacyjne, które jedynie bez parlamentu mogą mieć omnipotencyę, a dalej, bo rząd nie myśli na seryo o sanacyi stosunków politycznych. Sanacya zaś ta nieda osiągnąć się targami z obstrukcyą, nieda osiągnąć prostą zmianą regulaminu Izby, bo za wiele zawsze wejdzie do Izby lokalnych drażniących spraw; tu trzeba zasadniczej reformy. I dlatego też w mowie budżetowej w Sejmie dnia 8 lipca 1902 powiedziałem: »niechaj mi wolno będzie wyrazić — całkiem osobiście — pewne powątpiewanie, czy ta polityka półśrodków, polityka paliatywów, jakiej Rząd w ostatnich latach się trzyma, okaże się dostateczną, ażeby to przesilenie parlamentarne, które się stało już przesileniem państwowem, skutecznie i na czas zażegnać. Wątpliwości tu nasuwać się muszą, czy ta polityka targowania się z każdą grupą parlamentarną z osobna, czy ona trwale będzie możebną, czy też Rząd w ostatniej chwili nie znajdzie się w konieczności, że będzie sobie musiał powiedzieć: »półśrodki okazały się niedostatecznymi« i będzie musiał szukać wyjścia dla państwa i krajów, w akcyi stanowczej, reformie zasadniczej, w zmianie konstytucyi, idącej w kierunku rozszerzenia kompetencyi sejmów, a ograniczenia kompetencyi centralnego par-

lamentu i stworzenia przez to dla autonomicznych ciał ustawodawczych lepszych warunków dla spełnienia ich doniosłych zadań. Musimy uwzględnić, że czas nagli, że stosunki nie czekają i jeżeli na twarzach niejednego z szanownych słuchaczy widzę pewne zdziwienie, że wobec polityki półśrodków tak stanowczo wyrażam swoje powątpiewanie, to jabym raczej miał prawo dziwić się spokojowi tych panów wobec sytuacyi, która dla państwa staje się groźną. Bo reformy społeczne domagają się załatwienia w odpowiedniej chwili, a jeśli nie są w odpowiedniej chwili załatwione, to stanowcze pogorszenie stosunków może nastąpić«.

Dokonano tymczasem reformy, ale tylko wyborczej, reformy która, jakiekolwiekby zresztą kto miał zdanie o powszechności i rzekomej równości głosowania, nie mogła być uznaną za środek sanacyi parlamentu. Reforma wyborcza modyfikuje stosunek ludności do rządu i wzajemny stosunek poszczególnych warstw ludności, ale ona nie mogła wpłynąć i nie wpłynęła na polepszenie wzajemnych stosunków krajów i narodów, uchylenie ich właśnie zatargów, a to stanowi rdzeń przesilenia. Trwałość tego przesilenia państwowego odbija się niekorzystnie na całem życiu naszego kraju, powoduje zastój wielu doniosłych spraw, przez to szkodzi nam, a niejasność kiedy i jak przystąpi monarchia do jego załatwienia zawiera dla nas istotne polityczne niebezpieczeństwo.

Spotkały nas przeto i czekają jeszcze liczne walki i niebezpieczeństwa, a na fakt ten nie możemy patrzeć z ufnością i spokojem, bo do każdej walki potrzeba sił, a siły nasze małe i co gorsza wśród sił tych wielokrotnie objawia się rozterka. Historyczna Polska — jako państwo od XVI wieku, cofała się w społecznym ustroju, pańszczyzna skrępowała lud wiejski, jednostronny — a krótkowidzący agrarny kierunek polityczny skrępował, zubożył, zniszczył mieszczaństwo, »złota wolność« rozluźniła węzły społeczne i polityczne reformy Stanisławowskich czasów, konstytucyę 3 Maja zdołaliśmy uchwalić, ale państwo polskie już nie zdołało wprowadzić ich w życie. A z tego faktu dwa wynikły nieszczęścia. Najpierw przyszło nam walkę i pracę nad zachowaniem narodowego bytu podjąć i prowadzić w społecznie bardzo trudnych warunkach, bo przy braku stanu średniego, przy

braku silnych polskich miast. Umożliwiało to wrogom stawianie twierdzenia, że tylko dwór i plebania przeszłości nie zapomniały i przyszłości wyrzec się nie chcą, umożliwiało politykę stawiającą lud polski w antytezie do narodu i aspiracyi narodowych spekulowanie na nasz brak społecznej kohezyi. Słabość ta i niezupełność naszej społecznej budowy, mianowicie liczebna i gospodarcza, a przez to w wielu jeszcze okolicach i polityczna słabość warstwy średniej, ułatwia utrzymanie się i odgrzebywanie przez interesowanych agitatorów klasowych haseł, programów i instynktów, klasowych, zamiast politycznych i narodowych. A to znów nowa rozterka i nowa zapora w uzdrowieniu naszego społecznego życia.

I w tej rozterce zapominają o tem, że nasz byt polityczny, nasz ustawodawczy wpływ na ustrój społeczny został przerwany i zniszczony w chwili, gdy po wiekach błędnej polityki wewnętrznej naród postanowił nawrócić na dobrą drogę, przez co dalszy nasz rozwój, czy zastój w zdrowym rozwoju, nie naszą wyłączną był winą. Ale nawet gdyby nią był, to karanie synów za winy ojców jest zabytkiem przeżytych epok i wyobrażeń, i nikt sprawiedliwy nie może dzisiejszej Polski winić ni potępić za dawniejsze błędy i zaniedbania. Pomimo tej prawdy jednak nie brakło głosów hyperkrytycznych jednych, pełnych złości drugich, które w historycznej Polsce wszystko złe upatrywały, wszystko dobre gdzieindziej, odzywają się więcej jako oskarżyciele, nie jako sędziowie, nie jako synowie narodu. W głosach tych nie drgała myśl przedstawienia błędów przeszłości, by przyszłość od niej uchronić — a ta myśl przewodnia była zasługą wielu naszych historyków — w głosach tych częstokroć słychać było tylko oskarżenie[1]. To też głosy takie zmrażały uczucia, odwracały umysły od duchowości rodzimej, podkopywały narodową tradycyę, przysposabiały grunt

[1] Objektywniej ocenia to G. Cleinow: *Zukunft Polens,* Lipsk 1908, pisząc (str. 12) po postawieniu pytania, czy Polacy mają prawo dążenia do niepodległości: »Der Historiker kann unter Hinweis auf die Gründe zum Untergang des alten Polens sagen: nein, denn sie haben ja durch ihre eigene Unfähigkeit den Staat zerstört. Derselbe Historiker kann aber auch sagen Ja, denn der Einfluss Russlands und Preussens im XVIII. Jahrhundert hat das polnische Volk verhindert den Weg der Entwickelung zum Kulturstaat zu Ende schreiten«.

pod przyjęcie posiewu doktryn obcych wszelakich. Z przerażeniem istotnem konstatować można coraz liczniejsze objawy ideowego wynarodowienia, zimny krytycyzm wobec tworów naszej rodzimej umysłowości, tworów i dzieł, co były osłodą, pociechą, poradą współczesnego i dawniejszych pokoleń, w których one treść swej duszy widziały, a bezkrytyczne wchłanianie w siebie obcych myśli, nastroi i rozstroi. Prawie zdawaćby się nieraz mogło, że ta ich obcość właśnie, antytetyczność ideowa, stanowi urok i wagę nadaje. A wśród tych zatruwających nowych prądów rozkładowych nihilizm rosyjski ma olbrzymi udział i przewagę. Poeta Krasiński mógł upatrywać w zatruciu ducha narodu wielki ból, pisarz polityczny musi iść dalej, widzi w tem nie tylko powód bólu, lecz objaw słabości ideowej społeczeństwa na dziś — bo tylko na słabych i chorych organizmach pasożytnicze krzewią się narośle — i powód obawy na przyszłość, bo na rozkładzie nie można budować przyszłości; może obcy żywioł na naszym rozkładzie korzystać, dla nas jest on utrudnieniem walki o przyszłość, osłabieniem narodowych sił. Polityka narodowa ma prawo i obowiązek żądać, aby te tylko idee krzewić i szczepić, co podnoszą i pomnażają siły narodu, te musi potępić, co rozpraszają, rozluźniają, osłabiają siły, co na nienarodowe manowce odwodzą myśl [1], ferment szkodliwy wnoszą w etyczne i polityczne wyobrażenia. A gdybyśmy tu dokładny zrobili przegląd wszystkich umysłowych objawów u nas, to niestety moglibyśmy pono stwierdzić pojawiania się wszystkich błędów i obłędów, wszystkich rozstrojów i ekscentryczności, wszelkiej gonitwy na efekt, a równocześnie, że liczne myśli poważne, dodatnie, giną w dziełach autorów, niesłuchane i nieusłuchane przez społeczeństwo. Ktoby chciał to stwierdzić niech przejrzy

[1] Barth: *Philosophie der Geschichte,* str. 384 pisze o upadku Grecyi, że Sokrates był jeszcze czynnym żołnierzem, Plato już tylko prywatnym człowiekiem; literatura dawniej oddana zagadnieniom publicznego życia, cofa się od nich; dawna komedya ateńska była polityczną, średnia podejmuje jeszcze kwestye literackie, »die neuere nur Liebeshändel und Dienerstreiche... An Stelle der alten musischen Bildung tritt die encyclopädische, die ebenfalls keinem staatlichen Zwecke, sondern dem geistigen Lebensgenusse dient«. I u nas pełno takich objawów.

dokładnie publikacye ostatnich lat, niech rozpyta o liczbę nabywców różnych dzieł i liczbę prenumeratorów różnych czasopism. A przecież samą zabawą umysłową, samą literaturą modernistyczną i ekscentryczną nie można karmić narodu. Realizmu życiowego nam trzeba.

Rozstrój ten umysłowy i moralny, adorujący tylko to, co obce i dziwne, puszczający w niepamięć lub poniewierkę, co swoje i swojskie, hołdujący wszystkiemu co nowe, a niepomny, że wielkie prawdy nie starzeją się nigdy i nie starzeją obowiązki, rozstrój ten może nam też tłumaczyć smutne zjawisko, że powstają u nas organizacye i obozy wprost nieuznające narodowych celów i ideałów. Organizacye te bezpośrednio i pośrednio zrobiły wiele złego wśród niedawnej zawieruchy w Królestwie, a i teraz jeszcze kryją w sobie poważne niebezpieczeństwa. Poza tem tkwi w nich fakt usunięcia z naczelnego miejsca narodowego programu. Po umysłowem jest to więc polityczne wynarodowienie.

Rzekomy ogólno-ludzki idealizm, na jaki pozują niektóre odłamy tych obozów, nie powinny nas złudzić ni sądu złagodzić, raczej przypomnieć nam winny starą prawdę; »niech się nie chełpi pracą dla ludzkości ten, co dla swej własnej matki skołatanej niedolą pracować nie umie«. Nowe te formacye są dotkliwem osłabieniem naszej siły i spoistości. Dawniej szerokie masy ludu były pasywne, nie brały czynnego udziału w narodowej służbie i życiu, ale były tylko pasywne, nie stały w antytezie do narodu; stronnictwa były także, ale różniły się co do środków i dróg działania, nie co do najwyższego celu. I kiedy praca polityczna z jednej strony budziła narodową świadomość wśród warstw dawniej uśpionych, kiedy czynne życie zbliżało w praktycznem działaniu przedstawicieli różnych kierunków politycznych i członków różnych warstw społecznych, kiedy więc fakta rokowały przybytek świadomych sił i wyraźnie narysowanie głównych linii narodowego programu, niespodzianie wystąpiło stwierdzenie czynami, że równocześnie inna, ujemna dokonywała się praca, różna od narodowej nie w środkach tylko, lecz i celach, propagująca inne cele, inne ideały, inne organizacye.

Nowem ujemnem zjawiskiem w dziedzinie etycznej to tak

zwani Maryawici. Nieraz podnosiłem wielkie znaczenie Kościoła w wyrobieniu naszej historycznej indywidualności, a co ją wyrobiło to ma i dziś znaczenie czynnika ją utrzymującego. Wobec tego też, kto dezorganizuje u nas Kościół jest szkodnikiem sprawy narodowej. Życzliwa opieka wrogów naszych nad każdą taką dezorganizującą robotą jest już wskazówką i oceną jej ujemnej wartości [1].

(Dok. nast.)

*Prof. J. Milewski.*

---

[1] W kwietniu 1909 r. przyniosły gazety nasze poniższą notatkę:

»Raport misyonarzy. *Nowoje Wremia* donosi: Okręgowi misyonarze dwu prawosławnych eparchii w Królestwie Polskiem zawiadomili synod o »wielkim rozwoju maryawityzmu, oraz o dezorganizacyi wśród katolików«. Rozpowszechnienie maryawityzmu, według misyonarzy, przybrało żywiołowy charakter, jednocześnie zaś ma się ujawniać ewolucya zapatrywań politycznych. Narodowcy przechylają się ku socyalizmowi chrześcijańskiemu, a ruch ten szerzy się wśród Polaków, nie dotykając Białorusinów, Podlasiaków i Litwinów.

Misyonarze spodziewają się przejścia ludności polskiej na prawosławie, zaznaczając, że obecny ruch religijny powinien być zbliżony do ruchu starokatolickiego. Misyonarze wobec tego proponują synodowi niezwłocznie zająć się sprawą wyzyskiwania maryawityzmu dla celów prawosławia«.

# W 800-LETNIĄ ROCZNICĘ ŚW. ANZELMA.

Mało jest zagadnień, o których filozofowie najrozmaitszych systemów i obozów tyle myśleli, co o dowodach na istnienie istoty najwyższej i najdoskonalszej, t. j. nieskończonego Boga. Wszystkie te dowody miały i mają dziś jeszcze swoich potężnych obrońców, ale i bystrych przeciwników. Nic dziwnego! Każdy z tych dowodów jest środkiem, za pomocą którego wznosimy się od rzeczy zmysłowych, od zjawisk tego świata, do tej wielkiej pierwszej przyczyny, od której wszystkie rzeczy zawisły i która sama nie zależy od nikogo i od niczego. Odkrycia na polu nauk fizycznych można sprawdzić doświadczalnie, poznanie zaś istoty najwyższej przechodzi nieskończenie dane nauk pozytywnych, istoty tej rozum stworzony ogarnąć nie zdoła. Mogli więc ludzie wątpić o tem, czy ten lub ów środek może doprowadzić do tak wysokiego wniosku; podstawa jakiegoś dowodu mogła się jednym wydawać wystarczającą, innym niedostateczną. Byłoby jednak wielkim błędem, odrzucić bezwzględnie dowody, którym wielu myślicieli przypisuje jakąś wartość, i zredukować wszystkie do jednego jakiegoś dowodu. Każdy bowiem dowód ma swój indywidualny punkt wyjścia, chociaż wszystkie dążą do tego samego celu; to też każdy dowód pokazuje nam Boga niejako z innej strony, pod innym kątem widzenia, i dlatego możemy poznać wiele przymiotów Boskich właśnie zapomocą różnych dowodów.

Bez wątpienia żaden dowód na istnienie Boga nie ma dzisiaj tylu przeciwników, nawet między uczonymi katolickimi, co

dowód św. Anzelma, biskupa kanterburyjskiego, zwany »ontologicznym« od czasów Kanta. Ta nazwa nie jest uzasadnioną; Kant uważa dowód ten za ontologiczny, ponieważ według niego nie opiera się na żadnym fakcie doświadczalnym i ponieważ wyprowadza rzeczywiste istnienie Boga z abstrakcyjnego pojęcia istoty najwyższej. Dlatego też twierdzi: »Najwyższa istota pozostaje dla czysto spekulatywnego używania rozumu ideałem tylko, acz nieskażonym żadną niedoskonałością, pojęciem zamykającem i wieńczącem całe poznanie ludzkie, którego objektywnej rzeczywistości na tej drodze wprawdzie nie można udowodnić, ale też nie można i zbić« [1]. Mimo to jednak wyraz »dowód ontologiczny« uzyskał już pewne prawo obywatelstwa w terminologii filozoficznej, chociaż ma sens jedynie w teoryi Kanta.

Mało kto czyta dziś dzieła Anzelma; mowa nie klasyczna, niezrozumiała prawie dla nas terminologia, w jakiej Anzelm nam przedkłada swe oryginalne myśli, nie są dla nas szczególną zachętą do czytania jego pism; zagląda się co najwięcej czasem do nich, by sprawdzić tekst jakiś i t. p. A jednak Anzelm był wyrocznią swego wieku w kwestyach filozoficznych i teologicznych, i niejeden myśliciel następnych epok przyswoił sobie wprawdzie nie jego terminologię ale spekulacyę i kierunek myśli.

To się szczególnie odnosi do wyżej wspomnianego dowodu »ontologicznego« [2].

Dzisiejsza filozofia zna Anzelma prawie tylko jako wynalazcę dowodu »ontologicznego«. Swoją drogą zajmuje się nim prawie jedynie w tym celu, aby ten dowód odrzucić. Dziś nawet

---

[1] *Kritik der reinen Vernunft.* Leipzig. Reclam. Str. 501.

[2] Np. św. Bernard, v. *De consid.*, c. VII; cf. ep. 190 (*ad Innoc.* II) *de erroribus Petri Abaelardi,* c. II. — *Thomas Aqu., contra Gentes* l. I, c. 43, n. 7. — Nawet nieprzyjaciele Anzelma jak Kunze, powiadają: »Jedenfalls hat sein (= Anselms) Beweis das Denken auf lange fruchtbar angeregt« (*Realencyklopädie für protest. Theologie und Kirche,* 3 Aufl. Leipzig 1896. Bd I, p. 569. — W wieku XVII i XVIII pojawiają się także prace omawiające całokształt anzelmowskich doktryn filozoficznych lub teologicznych: *Theologia S. Anselmi,* Rzym 1688—1690 (kard. d'Aguirre), *Philosophia scholastica secundum principia s. Anselmi,* Rzym 1690 (J. Porta), *Scholae sancti Anselmi doctrina,* Rzym 1705 (Tedeschi).

między scholastykami nader mało jest zwolenników i obrońców tego dowodu. Dawniej zwłaszcza w złotej erze scholastyki, było ich wielu i to między koryfeuszami filozofii scholastycznej. Ponieważ zaś właśnie w tym roku 1909 Kościół Katolicki obchodzi ośmsetną rocznicę śmierci św. Anzelma, nie od rzeczy będzie, przypatrzeć się bliżej temu dowodowi i ponownej poddać go krytyce.

Geneza tego dowodu jest bardzo ciekawą. Podaje ją po części sam Anzelm w przedmowie do *Proslogion*, po części jego uczeń i biograf Eadmer w swej *Vita Anselmi*[1]. Benedyktyni konwentu w Bec po Lanfranku obrali przeorem Anzelma mającego dopiero 30 lat życia i 3 lata powołania zakonnego. Anzelm piastował ten urząd przez 14 lat, zajmując się administracyą wewnętrzną klasztoru, wychowaniem nowicyuszów i pracą naukową. Pierwszem jego dziełem było *Monologium*, w którem zastanawia się nad istnieniem i przymiotami Boga; napisał je przynaglony prośbami swych braci zakonnych, którzy przekonawszy się niejednokrotnie o jego wybitnych zdolnościach filozoficznych prosili go, aby napisał im czysto filozoficzny traktat o podstawach wiary. Odpisywano sobie pilnie to dziełko i rozpowszechniono je w ten sposób po całym świecie chrześcijańskim, tak, iż wkrótce stało się ono głośnem. Jednak sam Anzelm nie był zadowolony z tej pracy. Dowody na istnienie Boga podane w *Monologium* wydawały mu się za długie i zawiłe. Dlatego powiada w przedmowie do *Proslogion:* »Zacząłem przemyśliwać nad tem, czyby się nie dało znaleść jakiegoś dowodu, któryby się nie opierał na innych, a sam sobie wystarczył«[2]. Biedził się długo nad tem, jak Eadmer powiada, a nawet spać nie mógł; tak go zajmowała ta kwestya. Wreszcie pewnego poranku wpadł

[1] *Vita Anselmi* i *Historia novorum* tegoż autora jest do dziś dnia najlepszem źródłem do biografii Anzelma. Obydwa te dzieła Eadmera wydał wraz z pismami Anzelma Gerberon, Benedyktyn sławnej kongregacyi św. Maura, w Paryżu 1675, które to wydanie zatrzymał też Migne, *Patrologia latina*, tom 158, 159. Kwestya krytyczna dzieł Anzelma nie postąpiła o wiele naprzód po Gerberonie.

[2] ...»coepi mecum quaerere, si forte posset inveniri unum argumentum, quod nullo alio ad se probandum, quam se solo indigeret«.

na tę myśl, której tak długo szukał; zapisał natychmiast dowód i powierzył manuskrypt jednemu z swych braci zakonnych. Gdy go za kilka dni zażądał, nie mógł go mnich odnaleźć. Napisał więc tę samą rozprawę jeszcze raz i oddał innemu. Nazajutrz rano znaleziono na podłodze tabliczkę połamaną na drobne kawałki. Anzelm złożył je znowu w całość i kazał swą pracę przepisać na pergaminie *in nomine Domini* [1]; dał jej zaś tytuł *Proslogion*, ponieważ ma formę allokucyi do Boga. *Proslogion* rozeszło się prędko, i jakiś człowiek, którego nazwisko odkrył dopiero Gerberon (był nim Gaunilo, mnich z Mar-Moutier), napisał na swoim egzemplarzu *proslogion* refutacyę p. t.: *Liber pro insipiente*, ponieważ Anzelm w *Proslogion* nazwał swego ateusza głupcem (według Ps. 13, v. 1). Ten to egzemplarz dostał się znowu do rąk Anzelma, który uradowany, że znalazł tak subtelnego przeciwnika, dodał na tym samym arkuszu pod krytyką Gaunilona swój *Liber apologeticus adversus respondentem pro insipiente* i odesłał wszystko swojemu przyjacielowi, który mu przyniósł był właśnie ten manuskrypt. Stąd też zwyczajnie znajdujemy te trzy traktaty razem w rękopisach [2]. Dowód »ontologiczny« zawarty jest w 2, 3 i 4 rozdziale *Proslogion;* w rozdziale drugim chce Anzelm wykazać, że to, ponad co już nic wyższego pomyśleć nie można, istnieje także rzeczywiście, poza myślą, w świecie realnym; w trzecim, że tę istotę trzeba uważać za istniejącą nie tylko *de facto*, ale i *de iure*, czyli za istniejącą bezwzględnie koniecznie; w czwartym wreszcie wyjaśnia, jakim sposobem ateusz może twierdzić, że Bóg nie istnieje, t. j. dlatego, ponieważ nie rozumie pełnego znaczenia i całej doniosłości charakterystyki Boga *quo maius cogitari nequit.* Zwrócimy tu przedewszystkiem uwagę na drugi rozdział, w którym wyprowadza się istnienie Boga zapomocą formułki *quo maius cogitari nequit.* W oryginalnej terminologii Anzelma brzmi dowód podany w tym rozdziale jak następuje:

---

[1] Eadmer: *Vita Anselmi*, l. I, c. III, Migne *P. L.* t. 158, kol. 63; por. Domet de Vorges: *Saint Anselme*, Paris, Alcan, 1901, str. 69, 70.

[2] Por. F. R. Hasse: *Anselm von Canterbury*, II Teil. *Die Lehre Anselms.* Leipzig 1852, c. VI, p. 241—249.

»Wierzymy, że Ty (Panie) jesteś czemś, ponad co nic wyższego już pomyśleć nie można. Czyż więc niema takiej istoty, ponieważ »głupiec rzekł w sercu swem: Niemasz Boga?« (Ps. 13, 1). Ale z pewnością ten sam głupiec (ateusz), słysząc to co mówię: coś, ponad co nic wyższego pomyśleć nie można, — rozumie to, co słyszy, a co rozumie, jest w jego umyśle, chociaż nie rozumie tego, że ta istota istnieje. Co innego bowiem jest, mieć jakieś pojęcie, a co innego zrozumieć, że temu pojęciu odpowiada coś o wartości przedmiotowo-rzeczywistej... A więc także głupiec przyznać musi, że przynajmniej w jego umyśle jest coś, ponad co nic wyższego pomyśleć nie można... A z pewnością to, ponad co nic wyższego pomyśleć nie można, nie może być w samym tylko umyśle. Bo jeżeli przynajmniej jest w samym rozumie, można pomyśleć, że istnieje także rzeczowo: tem samem mamy coś wyższego. A więc zupełnie to samo, ponad co nic wyższego pomyśleć nie można, jest zarazem czemś, ponad co jednak coś wyższego pomyśleć można. Ale to jest niemożliwem. Istnieje więc bez wątpienia coś, ponad co żadną miarą nic wyższego pomyśleć nie można, tak w rozumie, jak i w świecie realnym«.

Jak łatwo widać, sposób dowodzenia jest apagogiczny: zapomocą zasady niesprzeczności wymusza na przeciwniku wyznanie, że Bóg istnieje. Apagoga nie zadowala nas tak jak *argumentum directum.* Dlatego też powiada Leibniz: *Il faut avouer que ces arguments sont un peu suspecto, parce qu'ils vont trop vite et parce qu'ils nous font violence sans nous éclairer*[1]. Zresztą sam Anzelm wskazał w apologii rozmaite sposoby, jakimi myśl wyrażona w *Proslogion* daje się oblec w *argumenta directa.* Tych dróg wogóle jest wiele, stosownie do indywidualności każdego filozofa i każdorazowej, modnej terminologii. Tak np. już Duns Scotus po swojemu »kolorował« dowód Anzelma[2], także forma Leibniza jest bardzo dobrą, zwłaszcza jeżeli się bierze pod uwagę jego »racyę dostateczną«, która idąc dalej niż zasada

[1] *Discours sur la démonstration de l'existence de Dieu par Descartes.*
[2] *Scriptum Oxoniense,* in 1 Sent., Dist. II, q. II. a. 4.

przyczyny, dobrze się przysłużyć może do głębszego zrozumienia dowodu [1].

W samym tekscie dowodu Anzelma spotkaliśmy się kilka razy z formułką »ponad co nic wyższego, większego pomyśleć nie można« (= *quo maius cogitari nequit);* za jej to pomocą udowadnia Anzelm najprzód istnienie Boga, potem konieczność jego istnienia i kolejno prawie wszystkie inne znane nam z teologii naturalnej przymioty Boskie. Od tłumaczenia więc tej formułki będzie zależała wartość dowodu. Tłumaczeń zaś jest kilka. Ontologiści chcieli za wszelką cenę Anzelma zrobić swoim patronem (NB. powoływali się również na Augustyna, Bonawenturę, a nawet na Tomasza z Akwinu); jednakowoż nie tylko przyjaciele, ale i wrogowie dowodu Anzelmowskiego tłumaczenie ontologistyczne wprost odrzucają [2]. Dzisiejsi scholastycy omawiają ten dowód dość szczegółowo w traktacie o istnieniu Boga i nazywają go ontologicznym albo *a simultaneo;* utrzymują więc, że Anzelm jedynie z analizy t r e ś c i pojęcia wnioskuje o rzeczywistem istnieniu Boga poza myślą. W tem tłumaczeniu ma dowód następującą formę: Pojęcie Boga przedstawia najdoskonalszą istotę. Ale istota, która jedynie jest przedmiotem aktu myślenia, w rzeczywistości zaś poza myślą nie istnieje, nie jest najdoskonalszą. A więc Bóg jako istota najdoskonalsza istnieje rzeczywiście w świecie realnym. Błąd dowodu tak zrozumianego jest oczywistym; z przesłanek bowiem wynika tylko to, że pojęcie Boga jako istoty najdoskonalszej, zawiera koniecznie pojęcie jego istnienia, od tego twierdzenia zaś jest jeszcze spory kawał drogi do zrozumienia prawdy, że Bóg rzeczywiście istnieje. Więc dowód przedstawiony w tej formie nie udowadnia wcale tego, co ma udowodnić, i tak go też rzeczywiście nikt nie przyjmuje. Ale czy też Anzelm tak zro-

---

[1] O nim to sam Leibniz powiada: »Pour moi, je crois tout de bon que celui qui a reconnu cette idée de Dieu et qui voit bien que l'existence est une perfection, doit avouer qu'elle lui appartient«. *Discours sur la démonstr. etc.*

[2] Por. Domet de Vorges, op. cit., Baeumker, Witelo. Münster 1908, str. 297, przyp., Caiet. Sanseverino: *Elementa philos. christ.* Neapoli 1873—1874, vol. III, pars II, p. 348 i inni.

zumiał drugi rozdział *Proslogion?* W każdym razie wyżej przytoczony tekst tego rozdziału rozważany z pewną neutralnością zdaje się raczej przemawiać za tłumaczeniem innem, nie ontologicznem [1]. To też niektórzy filozofowie możliwość innego tłumaczenia szczerze przyznają; tak np. Schiffini omawia w swej teodycei [2] kwestyę, czy z samego pojęcia Boga wynika jego istnienie, i odpowiada przecząco w tym wypadku, jeżeli ktoś to pojęcie bierze *secundum se et obiective*, t. j. tak, jakeśmy dopiero co widzieli; w dopisku dodaje, że jeżeli się to pojęcie inaczej bierze niż *secundum se et obiective*, to będziemy mieli t. zw. *argumentum mixtum* [3] i to *argumentum* ściśle dowodzące [4]. Zastosujmy tę wskazówkę do naszego dowodu: Mam pojęcie Boga, czyli istoty tak doskonałej, że doskonalszej pomyśleć nie można. Że w moim umyśle takie pojęcie powstaje, to jest faktem, o którym mi świadczy moja świadomość. Myśli tej przedtem nie miałem, teraz ją mam; a zatem wiem na pewno, że istnieje coś takiego, czego przedtem nie było, mianowicie myśl moja obecna o Bogu. Według metafizycznej zasady przyczynowości, która przecież ma wartość przedmiotową, myśl ta ma swoją przyczynę. Przyczyną najbliższą tej mojej myśli jestem ja sam, który mam zdolność tworzenia myśli. Ale jeżeli istnieje jakaś przyczyna, to także istnieje pierwsza przyczyna, ponad którą wyższej przyczyny pomyśleć już nie można, czyli Bóg.

---

[1] Plassmann: *Philosophie des hl. Thomas.* Soest 1858. Bd. 5, odrzuciwszy dowód Anzelma dodaje ostrożnie (str. 758): »So ist die Schlussfolge des Anselmus im Prosl. c. 2, vorausgesetzt, wie einige nicht zugeben, dass so Anselm richtig verstanden ist«. A po znakomitej dyskusyi Adlhocha w *Philos. Jahrbuch*, 1895, str. 52 i nast., pisanej w obronie dowodu Anzelma, dodał Gutberlet w 3. wyd. swej teodycei (Münster 1897, p. 72, Anm. 1): »Unsere Kritik richtet sich nicht gegen den hl. Anselm, sondern gegen die im Texte dargelegte Form des ontologischen Beweises«.

[2] *Disp. Metaph. special.*, vol. II, 1888, Augustae Taurinorum, str. 14.

[3] T. j. dowód, którego jedna przesłanka jest doświadczalna, druga porządku idealnego.

[4] Podobnie mówi De Backer, *Instit. metaph. special.* t. IV, *Theologia natur.*, Paris, Beauchesne, 1908, str. 17: »Advertendum est in processu a simultaneo notionem Dei obiective spectari, non subiective seu psychologice«.

W tym dowodzie braliśmy pojęcie Boga nie w swojej zawartości objektywnej, nie ze względu na to, co ono nam przedstawia, nie *secundum se et obiective*, ale tylko ze strony czysto podmiotowej czyli jako fakt podany nam przez świadomość, która w normalnych warunkach co do swego przedmiotu właściwego jest nieomylną. Dowód św. Anzelma tak zrozumiany wykazuje istnienie Boga z dokładnością metafizyczną, bo jest niczem innym jak dowodem t. zw. kosmologicznym, mającym za punkt wyjścia rzeczy niekoniecznie istniejące, z tą chyba tylko różnicą, że tutaj wychodziliśmy z doświadczenia wewnętrznego, podczas gdy zwykle dowód ten opiera się na doświadczeniu zewnętrznem.

Ale nie tak św. Anzelm pojmował swój *par excellence* dowód. Dowód bowiem kosmologiczny należy do najdłuższych i najzawilszych i ma liczne *supposita*, których sprawdzenie nie jest zbyt łatwem; a przecież św. Anzelm chciał właśnie uniknąć owej *concatenatio argumentorum*[1] i szukał dowodu krótkiego, zwięzłego, oryginalnego, »któryby się nie opierał na innych a sam sobie wystarczył[2]. Zostaje więc już tylko jeden sposób tłumaczenia myśli Anzelma psychologiczny[3]. Już Vallet[4] zbliżał się do tego zdania, również Bertin[5], Ragey[6] uważał dowód za psychologiczny i ścisły, wreszcie uczony Benedyktyn Adlhoch opracował dowód z punktu widzenia psychologicznego nadzwyczaj starannie[7]. Jeżeli zaś charakter prawdziwego dowodu anzelmow-

---

[1] Przedmowa do *Proslogion*.

[2] Tamże.

[3] Zdanie Piccirelliego, jakoby Anzelm chciał wykazać tylko to, że konieczne istnienie Boga jest nam skądinąd znane, niema wcale obrońców, o ile wiem (Piccirelli: *De Deo*. Paris 1885, p. 47, n. 54, a szczególnie ibid. Appendix: *Dissertatio de mente S. Anselmi in Proslogio*.

[4] *Histoire de la philosophie*. Paris 1881.

[5] *Annales de la philos. chrét.*, t. 32, 1895, str. 155—165, 277—285.

[6] *L'argument de Saint Anselme*. Paris 1893.

[7] *Philosophisches Jahrbuch der Görresgesellschaft*. Bd. 8 (1895) — Bd. 10 (1897): przeciw tej koncepcyi powstał nasamprzód wyżej wspomniany Domet de Vorges, któremu Adlhoch odpowiedział w *Glossen zur neuesten Wertung des anselmischen Gottesbeweises, Jahrb.* Bd. 16 (1903), potem Geyser, ibid. Bd. 17 i w najnowszym czasie Baeumker, Witelo, Münster 1908,

skiego jest psychologicznym, to podstawą dowodu będzie fakt doświadczalny każdego myśliciela, t. j. że człowiek, który *hic et nunc* ma aktualne pojęcie Boga chrześcijańskiego, nie może już wyżej sięgnąć myślą, doznaje więc subjektywnie i biernie tej dziwnej krańcowości pojęcia Boga. Doznają tego chrześcijanie, ilekroć o Bogu myślą; każdy o tem codzień przekonać się może. Doznaje tego również ateusz, kiedy z teistą dysputuje o istnieniu Boga, a póki tego nie doznaje, póty nie ma tego samego pojęcia Boga co teista (a więc póty także dysputa, która niema być czczą zabawką, jest niemożliwą) [1]. To subjektywne *ultimatum* jest w dowodzie Anzelma pojęciem średniem. Chcąc więc mieć pojęcie Boga, musimy się starać dojść do pojęcia psychologicznie maksymalnego [2]. Mając zaś to pojęcie, analizuje się je: Dalej, wyżej, intenzywniej myśleć nie mogę, zarówno jak wczoraj, przedwczoraj, jak ty i inni wszyscy, jeżeli *ex supposito* to samo pojęcie macie. Z doświadczenia więc wiem, że to pojęcie Boga jest mojem pojęciem granicznem. Jest ono zaś pojęciem realnem, zawierającem istnienie rzeczowe i to konieczne, a zatem jest także najwyższem pojęciem realnem. Albo temu pojęciu odpowiada poza myślą jakiś byt realny — albo nie. Jeżeli mu nic nie odpowiada w świecie realnym, wtedy najwyższe moje pojęcie realne jest zarazem najwyższem pojęciem fikcyjnem, nędzną chimerą, gdyż istota oznaczona tem pojęciem wskutek swej nieskończonej doskonałości nie może być zależną od jakiejś innej istoty, a więc też nie może być stworzoną. Wtedy muszę przyznać, że podczas gdy pojęciom o daleko mniejszej wartości tak często odpowiada jakiś byt pozamyślny i rzeczywisty, pojęcie, któremu koniecznie przypisuję największą wartość, nie ma w rzeczy samej żadnej wartości przed-

---

str. 296 i nast. — Adlhoch należy do tych dziś dosyć rzadko zdarzających się filozofów, którzy chcąc krytykować starych scholastyków, najpierw ich własne dzieła sumiennie studyują.

[1] »Z pewnością ten sam głupiec, słysząc to co mówię: coś ponad co nic wyższego pomyśleć nie można, — rozumie to co słyszy, a co rozumie, jest w jego umyśle«. *Proslog.*, rozdz. 2.

[2] Bardzo dobre wskazówki co do tego pojęcia ma Zimmermann: *Ohne Grenzen und Enden*, Herder 1908, szczególnie w rozdziale 16 p. t. *Ohne Schranken*, str. 136—146.

miotowej, realnej, i nie pozostaje mi nic innego, jak uznać dogmata filozoficzne idealistów albo subjektywistów à la Kant, Hegel. Ale czy w takim razie rzeczywiście mam pojęcie najwyższe, krańcowe? Jeżeli biorę jakiekolwiek inne pojęcie realne, np. pojęcie leżącego przedemną zeszytu (— istnieje on przecież rzeczywiście poza myślą moją —), mogę uważać przedmiot pojęcia za nieistniejący, ale czysto możliwy; wszak istnieje tylko warunkowo koniecznie. W pojęciu Boga zaś koniecznie musi być zawarte istnienie rzeczywiste Boga i to bezwzględnie konieczne, z istotą Boga identyczne, jeżeli chcę mieć pojęcie Boga według formułki Anzelma *quo maius cogitari nequit.* I w tem właśnie tkwi ta straszna sprzeczność, którą Anzelm zarzuca swojemu ateuszowi w Proslogion: ateusz przyznaje z jednej strony, że nie może mieć pojęcia Boga chrześcijańskiego jako *id quo maius cogitari nequit*, odrywając odeń istnienie rzeczowo konieczne, przedmiotowe, niezależne od nikogo (czyli że Bogu przypisać musi rzeczywiste istnienie, chcąc zostać przy formule *quo maius cogitari nequit*), z drugiej zaś strony twierdzi, że ten Bóg nie istnieje rzeczywiście poza jego pojęciem subjektywnem. Jeżeli bowiem ten Bóg, przedstawiony w mojej myśli przez to charakterystyczne *ultra quod non* możności myślenia, nie istnieje poza myślą moją w sobie, to m u s i przecież być możliwem, abym, mając w myśli owo *quo maius cogitari nequit,* wyrugował z pojęcia jego istnienie konieczne; m u s i się dać pogodzić przyznanie istnienia z zaprzeczeniem tegoż istnienia. Dopóki zaś to jest niemożliwem, Bóg chrześcijański (= przedmiot pojęcia: *quo maius cogitari nequit*) istnieje.

Za tem, że nerw dowodu anzelmowskiego jest natury psychologicznej, przemawia wiele momentów. Sam tekst w Proslogion ma widocznie zabarwienie bardzo psychologiczne; prócz tego Anzelm już w Monologium uważa za rzecz pewną, że psychologia dostarcza najlepszych dowodów na istnienie Boga [1]. Kiedy potem

[1] »Procul dubio tanto altius creatrix essentia cognoscitur, quanto per propinquiorem sibi creaturam indagatur... Patet itaque, quia sicut sola est mens rationalis inter omnes creaturas, quae ad eius investigationem assurgere valeat, ita nihilominus eadem sola est, per quam maxime ipsamet ad eiusdem

Gaunilo krytykował jego Proslogion, podsuwając mu tłumaczenie ontologiczne, Anzelm kategorycznie mu zarzucił, że myśl jego zupełnie spaczył, że pojęcie *quo maius cogitari nequit* należy brać konkretnie z całą swą zawartością i działaniem na podmiot myślący, nie zaś abstrakcyjnie. Po tej odprawie Gaunilo zamilkł.

Dawniejsi scholastycy prawie jednogłośnie uważali dowód św. Anzelma za ściśle udowadniający, jak np. Aleksander Halensis [1], Albert Wielki [2], Bonawentura [3], Duns Scotus [4], Aegidius Romanus [5], Dionys. Cartus. [6], Card. d'Aguirre [7], Vasquez [8] i wielu innych. Co się tyczy św. Tomasza, zdania są podzielone. Biorąc pod uwagę zasadniczo różniące się zarzuty, przeciw którym Anzelm i Tomasz występują, można tych dwóch koryfeuszów starej scholastyki bardzo dobrze ze sobą pogodzić. Jeżeli np. Tomasz [9] na trudność opartą nibyto na spekulacyi Anzelma odpowiada, że wtedy tylko z anzelmowskiej formułki *quo maius cogitari nequit* wnioskować można o rzeczywistem istnieniu Boga, jeżeli się przy-

---

inventionem proficere queat... Quid igitur apertius, quam quia mens rationalis quanto studiosius ad se discendum intendit, tanto efficacius ad illius cognitionem ascendit: et quanto seipsam intueri negligit, tanto ab eius speculatione descendit?« *Monol.* c. 66.

[1] »Nullus quippe intelligens id quod est Deus, potest cogitare quia Deus non est. Deus enim est id quo maius cogitari non potest, quod qui bene intelligit, utique intelligit idipsum sic esse ut nec cogitare possit non esse« (*Summa theol.* p. I, q. III, m. 2); porówn. *Prosl.* c. IV.

[2] *Summa theol.*, p. I, tr. IV, qu. 19, m. II i IV.

[3] Stoi otwarcie po stronie Anzelma, por. I *Sent.*, dist. VIII, p. I, a. I, qu. II; *Itinerarium* c. V; to też przyznaje autor scholionów do dzieł Bonawentury wyd. Quaracchi.

[4] In I, l. *Sent. (Scriptum Oxoniense)*, dist. II, qu. II, n. 31, 32, przedstawia dowód Anzelma nie w formie apagogicznej, ale jako *argumentum directum.* Porównaj z tem formę, jaką przedstawia Auriault w artykule Bainvela o Anzelmie w *Dictionnaire de théologie catholique* t. I, kol. 1356, pod IV.

[5] *S.* l. I, d. III, p. I, qu. II.

[6] *S.* l. I, d. III, qu. II.

[7] *Theologia S. Anselmi*, Salamanca, 1685, t. I, proleg., p. 148 sq.

[8] In I, p. *Summa theologiae S. Thomae.* Venetiis 1600, t. I, disp. XX. c. IV, powiada: »Tertia demonstratio satis acuta, quam Anselmus prosequitur in proslog. a capite 2 et in lib. apol., haec est«. Następuje dowód Anzelma.

[9] *Summa theol.*, p. I, qu. II, a. I, ad 2.

zna, że istnieje rzeczywiście to pojęcie krańcowe, realne, — to potwierdza tylko większą przesłankę drugiego rozdziału Proslogionu [1]. Zresztą i najdawniejsi komentatorzy dzieł Tomasza jak Kajetan i Ferrariensis nic nie wiedzą o jakiejś niezgodzie istniejącej między Anzelmem a Tomaszem, co do naszego dowodu.

*Ks. Ryszard Malotta.*

[1] Właściwe stanowisko Tomasza wobec dowodu Anzelma dobrze wyświetla Adlhoch w *Philos. Jahrb.* 1895, str. 388, 389 i 1897, str. 262—267

# DZIEJE FILOMATOW W ZARYSIE.

## SŁOWO WSTĘPNE.

Wiadomości dotychczasowe o Filomatach i Filaretach opierały się głównie na wspomnieniach Ign. Domeyki i opowiadaniu Kazimierza Piaseckiego. Nie dawały one prawdy całej, ale ułamkową tylko; pozwalały się domyślać rozmiarów i znaczenia organizacyi, lecz przedstawiały ją niejako z odległości. Najbystrzejsze oko nie mogło dostrzec szczegółów; czuliśmy tylko, że były one i ciekawe i ważne.

Tajemnica Filomatów kryła się w ich Archiwum, o którego istnieniu i jakoby zaprzepaszczeniu głuche tylko krążyły wieści. Archiwaryuszem Filomatów był Onufry Pietraszkiewicz. Podczas procesu Filaretów zdążył on ukryć najważniejsze papiery Filomatów, a gdy go wraz z innymi Filomatami i Filaretami zesłano w r. 1824 w głąb Rosyi, powierzył do przechowania Archiwum bratu swemu. Z pokolenia w pokolenie przechowały się dokumenty cenne w rodzinie Pietraszkiewiczów, czekając na czasy lepsze, o które nie łatwo u nas.

W lat 80 dopiero po procesie Filaretów doczekały się papiery Filomatów wydobycia na jaw. Co z takim pietyzmem zgromadził i przekazał opiece braci Onufry Pietraszkiewicz, to uporządkował i skatalogował syn jego brata, dr. Jan Pietraszkiewicz, zmarły przed rokiem w Wilnie, powszechnie tam znany i ceniony lekarz. Otrzymał on po swym bracie Archiwum Filomatów w znacznem zamieszaniu i nieładzie. Lata całe zeszły na porządkowaniu

papierów, dobieraniu porozrzucanych arkuszy, konsygnowaniu chronologicznem i t. p. W tej żmudnej pracy pomocą dzielną i jedyną była córka śp. dr. Jana Pietraszkiewicza, autorka niniejszego studyum. Przez kilkoletnie obcowanie codzienne z dokumentami, wżyła się ona niejako w świat myśli i uczuć filomatycznych i poznała go na wskroś. To zatem, co czytelnik dalej odczyta, opiera się na gruntownej znajomości źródeł rękopiśmiennych. Zanim materyały uporządkowane przez śp. d-ra J. Pietraszkiewicza ogłosi drukiem Akademia Umiejętności, będzie studyum niniejsze panny Stan. Pietraszkiewiczówny pierwszą dokładną i autentyczną informacyą o rozwoju Towarzystwa Filomatów. Informacya ta niema oczywiście pretensyi do całkowitego i wyczerpującego traktowania kwestyi filomatyczno-filareckiej. Na to potrzebaby tomu całego. Ale już to, co w streszczeniu tutaj otrzymujemy, rzuca nowe całkiem i wręcz niespodziewane światło na początkową organizacyę Filomatów.

Wkońcu słów jeszcze kilka o śp. doktorze Janie Pietraszkiewiczu, który imię swe związał na zawsze z Archiwum Filomatów, wydobywszy je na jaw z tyloletniego ukrycia.

Urodził się on 24 listopada 1847 r. w miasteczku Byteniu (powiat Słonimski, gub. Grodzieńskiej) z ojca Józefa, herbu Nałęcz, przydomku Strumiłł. Józef Pietraszkiewicz był uczniem Uniwersytetu Wileńskiego i doktorem medycyny. Za udział w sprawie Szym. Konarskiego przebył ciężkie kilkuletnie więzienie. Wypuszczony z więzienia osiadł zrazu w małej mieścinie, oddany wychowaniu dwu synów: Feliksa i Jana. Jan po ukończeniu gimnazyum wileńskiego udał się do Petersburga, gdzie wstąpił do Akademii medycznej, którą ukończył ze stopniem lekarza w r. 1870. Pracował potem przez czas dłuższy w klinice ginekologicznej jako prawa ręka prof. Krasowskiego; doktoryzował się w r. 1876 w Petersburgu, poczem kształcił się dalej zagranicą w swej specyalności, zwłaszcza w Pradze pod Brejskim, Sztrenkiem i Gussenbauerem. Od r. 1879 osiadł na stałe w Wilnie, przyczynił się tamże do założenia lecznicy ginekologicznej i rozwinął ogromną działalność lekarską. Nadmiar pracy, tudzież ciężkie ciosy rodzinne (strata dwóch synów) podkopały jego zdrowie i zmusiły go do

ograniczenia rozległej praktyki lekarskiej. Kiedy w r. 1900 umarł brat jego Feliks, otrzymał po nim straż nad papierami Filomatów. Zajął się wtedy z zapałem młodzieńczym tymi cennymi dokumentami. Nie zapomnę nigdy pierwszego naszego poznania się we wrześniu 1906 roku w Wilnie. Siwa prawie głowa d-ra Pietraszkiewicza przy młodzieńczej cerze i wielkiej delikatności w obejściu tworzyła oryginalną i ujmującą całość. Przejęty był ważnością zbiorów odziedziczonych po stryju swym Onufrym. Marzył o jaknajlepszem i najstaranniejszem ich wydaniu. Za mojem pośrednictwem ułożył się z Akademią Umiejętności; sam chciał jej Archiwum Filomatów wręczyć i na czas druku powierzyć. Przedwczesna śmierć nie dała mu ujrzeć końca rozpoczętych starań. Ale dzięki jemu Archiwum Filomatów stanie się własnością ogółu i pójdzie na pożytek duchowy młodzieży polskiej.

Cześć mu za to i wdzięczność!

*Józef Kallenbach.*

We Lwowie 15 kwietnia 1909.

## WSTĘP.

Mało znaną jest wogóle szerszym kołom naszego społeczeństwa działalność związków naukowych, organizowanych na Litwie przez młodzież akademicką od 1817—1823 roku; zwłaszcza gruby mrok pokrywa dzieje Filomatów, pierwszego zrzeszenia ludzi młodych o umyśle głębokim i niepospolitym, którzy stali się założycielami i kierownikami innych stowarzyszeń, jak Przyjaciół, Filaretów, Filadelfistów, oraz wielu mniejszych gron i kółek, gałęzi wielkiego drzewa filomackiego.

Pod hasłem: »praca dla Ojczyzny, nauki i cnoty« rozpoczęli działalność swą pierwsi założyciele filomatyzmu: Józef Jeżowski, Franciszek Malewski, Adam Mickiewicz, Onufry Pietraszkiewicz i Tomasz Zan; pod temże hasłem wstępują w ślady ich, zaliczeni wkrótce w poczet członków: Zygmunt Nowicki, Józef Kowalewski, Jan Czeczot, Teodor Łoziński, Dyonizy Chlewiński, Dominik Chodźko, Kazimierz Piasecki, Ignacy Domejko, Jan So-

bolewski, Michał Rukiewicz, Wincenty Budrewicz i Stanisław Kozakiewicz.

Imiona wyżej wymienionych siedemnastu Filomatów, wraz z imionami członków towarzystwa Filaretów, stały się głośne podczas procesu i śledztwa Nowosilcowa w 1823 roku, a obraz ich cierpień więziennych przekazał nam Mickiewicz w nieśmiertelnych »Dziadach«. Pozostałe zeznania, listy i inne papiery podają zarys urządzeń filareckich, oraz mgliste wieści o Filomatach, jako o pierwotnem i głównem stowarzyszeniu. Uczeni badacze dziejów kultury naszej ze smutkiem wspominali o zniszczeniu Archiwum filomackiego, które, jak dotąd mniemano, spalone zostało w 1822 r., gdy władze wpadły na trop związków, a ostrożność połączona z obawą kazała niszczyć wszelkie ślady kompromitujące. Lecz już Ignacy Domejko w liście swym z Chile p. n. »Filareci i Filomaci« wspomina, że, choć rektor Malewski zmusił Jeżowskiego, Pietraszkiewicza i Zana do spalenia wszystkich statutów i sprawozdań; Pietraszkiewicz przechował w tajemnicy niektóre pisma filareckie. »Co zaś do papierów filomackich«, pisze dalej Domejko, »toby ich i pod torturą nie wydał pan Onufry i nikomu z nas nigdy na myśl nie przyszło, żeby to towarzystwo było kiedy wykryte«.

Protokoły posiedzeń filomackich, szereg pism we względzie organizacyi i rozwoju stowarzyszeń, niektóre rozprawy i utwory poetyckie, wraz z korespondencyą Mickiewicza, Jeżowskiego, Malewskiego i innych Filomatów złożone zostały u Onufrego Pietraszkiewicza, który przez cały czas procesu potrafił ukryć je i przechować; skazany w 1824 roku na wygnanie w głąb Rosyi, powierzył skarb ten bratu swemu Michałowi, i cenne dokumenty, zagrzebane w wiejskim zakątku Litwy, uniknęły szczęśliwie bacznych oczu szpiegów.

Sam Onufry Pietraszkiewicz, zesłany w 1832 r. na Sybir za propagandę naukową i stosunki z oficerami wojsk powstańczych, przewiezionymi do Moskwy, ujrzał ukochaną swą Litwę dopiero po latach trzydziestu, gdy, sterany wiekiem i kolejami losu, przybył spędzić ostatnie chwile w pełnem drogich wspomnień Wilnie, w domu brata swego Józefa, doktora medycyny, ucznia

Uniwersytetu wileńskiego, a niegdyś członka niższych gron filareckich. Tu, korzystając z chwilowego uspokojenia umysłów, sprowadził papiery filomackie, tu przeglądał je i cieszył się pamiątkami lat młodzieńczych, lecz cieszył się niedługo, wkrótce bowiem, w końcu r. 1863 zakończył doczesną pielgrzymkę. Bóg oszczędził mu widoku nowych, straszniejszych prześladowań. Pozostali bracia potrafili przechować powierzony sobie depozyt i ustrzec go w epoce śledztw i rewizyi. Nietknięta przeszła spuścizna filomacka po śmierci Józefa Pietraszkiewicza w 1871 roku w ręce starszego syna jego, Feliksa, prawnika, a zarazem członka zarządu miasta Wilna; gdy zaś w 1900 roku i ten przeniósł się do wieczności, archiwum objął w posiadanie młodszy brat jego Jan, szanowany w Wilnie obywatel, ogólnie znany i ceniony lekarz.

Ukochał on, jak relikwie pamiątkę rodzinną, a rozumiejąc wysoką wartość i znaczenie dla dziejów cywilizacyi ojczystej, pragnął oddać skarby swe na własność publiczną. Myślą jego było objąć wszystkie pomniki pracy filomackiej w osobnem wydawnictwie i uczynić źródłem, skąd mógłby czerpać szerszy ogół. Zamiar ten w czyn wprowadzając, z całym pietyzmem i drobiazgową akuratnością zajął się rozpatrzeniem i uporządkowaniem znajdujących się w jego rękach papierów filomackich. Porównanie z dochowanymi regestrami przekonywa nas, że zbiór ustawodawczych i naukowych prac Towarzystwa nie jest dziś kompletny; trudno jednak orzec, czy brakujące rękopisy były w całości w posiadaniu Onufrego Pietraszkiewicza, a przenoszone z jednej kryjówki do drugiej zaginęły, — czy też złożone u innych członków związku, albo w przededniu śledztw Nowosilcową uległy zniszczeniu, albo ukryte w jakimś nieznanym zakątku wyjdą może kiedy na jaw.

Znane nam obecnie Archiwum obejmuje 1200 listów, a około 800 arkuszy pism filomackich, które złożone razem bez żadnego ładu i systemu, po większej części bez dat i nazwisk autorów przedstawiały jeszcze w r. 1905 kompletny chaos! Pełen głębokiej czci dla spuścizny Mickiewiczowskiej i filomackiej, przeniknięty szczerą miłością ziemi ojczystej i pamiątek związanych z pracą dla niej, porządkował dr. Pietraszkiewicz luźne kartki,

wczytywał się w niewyraźne charaktery pisma, odgadywał autorów, a śledząc z natężoną uwagą bieg zdarzeń i związek ich pomiędzy sobą, oznaczał datę każdej rozprawy i niemal każdego listu.

Wieść o egzystencyi Archiwum, znana niektórym osobom w Wilnie, rozniosła się wkrótce poza jego granice, budząc szczere zainteresowanie w świecie naukowym i literackim oraz gorącą chęć poznania nowych źródeł dziejowych. Zródła te, jak wyżej wspomniano, zamierzał właściciel, oddać na własność ogółu nieinaczej, jak w osobnem wydawnictwie, którego kierunek po otrzymaniu oficyalnej propozycyi i wszechstronnem rozpatrzeniu sprawy, postanowił powierzyć w ręce Akademii Umiejętności w Krakowie. Uważał, że tylko tak poważna instytucya potrafi stanąć na wysokości zadania, że tam wybitne siły profesorskie z gruntowną znajomością rzeczy opracują poszczególne działy i zwiążą je w prawdziwie naukową całość. Przekonanie to potwierdziła bliższa znajomość z prof. Józefem Kallenbachem, który w 1906 roku przyjeżdżał do Wilna dla obejrzenia cennych zbiorów; przeglądając je rozpoznał w korespondencyi listy Joachima Lelewela, autografy zaś Adama Mickiewicza rozdzielił na znane już i na nieogłoszone drukiem. Po wyjeździe szan. profesora całą dalszą pracę nad ułożeniem dokumentów przeprowadził w najdrobniejszych szczegółach dr. Pietraszkiewicz i, gdy w końcu 1907 roku Archiwum było już uporządkowane według dat i autorów, skatalogowane, podzielone na fascykuły i obwoluty (nazwa wprowadzona przez prof. Kallenbacha), przesłane zostały Akademii punkty umowy, na mocy których cenne dokumenty, pozostając prywatną własnością rodziny Pietraszkiewiczów, powierzono Akademii Umiejętności na czas wydawnictwa.

29 stycznia 1908 roku śmierć nagła i przedwczesna dr. Jana Pietraszkiewicza nie pozwoliła mu dokończyć rozpoczętego dzieła, ani zdać go osobiście w ręce Akademii. Przenosząc się do wieczności pozostawił ślad szczerej, poważnej pracy na niwie społecznej, pozostała zaś rodzina, stosownie do jego woli, złożyła pamiątki filomackie na ręce prof. Józefa Kallenbacha, który, pośrednicząc w tej sprawie, w maju 1908 roku przybył do Wilna,

jako delegat Akademii Umiejętności. Tam cenne Archiwum, opracowane w swych poszczególnych częściach ujrzy wkrótce światło wydawnictwa.

Podając w krótkim zarysie historyę Filomatów, osnutą na podstawie dokumentów archiwalnych, jako współpracowniczka śp. Ojca mego, pracę tę poświęcam Jego cieniom i Jego drogiej dla mnie pamięci, oraz wspomnieniom tych chwil Jego życia, które w pracy nad papierami Filomatów spędzał.

## Rok pierwszy. 1817—1818.

»Gdyby w Wilnie światło nie zajaśniało, znikłoby może dla Polaków i ich mowy«, wyrzekł niegdyś Hugo Kołłątaj, a pamiętne te słowa wielkiego męża dają chlubne świadectwo o rozkwicie Wszechnicy Wileńskiej i wysoko podnoszą jej zasługę. Reformy polityczne doby Stanisławowskiej, ten wspaniały pomnik myśli narodu wzniesiony w przededniu jego upadku, w praktyce pozostawiły tylko smutną ruinę; natomiast reforma naukowa, owoc prac i zabiegów Stanisława Konarskiego a następnie Komisyi edukacyjnej, przetrwała burzę ogólną i, kształcąc szereg pracowników na niwie społecznej, pozostała jako świadectwo, że jeszcze nie wszystko stracone, jeszcze naród nie upadł, dopóki zachował oświatę. To też gdy bohaterskie acz bezowocne zbrojne wysiłki w przeciągu stu lat niejednokrotnie szeroko wsławiły imię Polski, właściwym wyrazem potęgi jej i siły wewnętrznej jest żywe tętno życia umysłowego, które w historyi każdego zaboru ma swą osobną kartę, czasem ciemną i bolesną, to znów jasną, świetną, chlubną!

W pierwszych dziesiątkach lat porozbiorowych prowincye zajęte przez Prusy i Austryę smutny przedstawiały widok. Galicya, gorliwie niemczona, nie mogła przyczynić się do rozwoju nauk i piśmiennictwa; dział pruski, germanizowany jeszcze umiejętniej, znajdował się w opłakanym stanie; w Warszawie tylko, gdzie skupiła się znaczna część intelligencyi krajowej, czuć się dawał żywszy ruch na polu szkolnictwa i literatury, podtrzymywany głównie przez nowoutworzone Towarzystwo Przyjaciół Nauk.

Litwa znalazła się pod tym względem w szczęśliwszych wa-

runkach. Cesarz Aleksander I, czy istotnie miał dla Polaków uczucia życzliwości, czy też udawał zasady liberalne, by zyskać narodu ufność, nie stawił zrazu przeszkód rozwojowi nauk na Litwie i Rusi; wyższe i niższe zakłady zyskały względny samorząd, a kuratorem ich został przyjaciel cesarza, Polak, książe Adam Czartoryski. Wyrazem swobody tej, ogniskiem skupiającem wszystkie nici wychowania publicznego stał się uniwersytet wileński, z którego katedr rozbrzmiewały słowa nauki i wiedzy, głoszone przez tak poważnych i zasłużonych mężów, jak obaj Sniadeccy, Grodek, Borowski, Lelewel, Gołuchowski i wielu innych.

Lecz nie tylko wybitne siły profesorskie stanowią chlubę i główną dźwignię Wszechnicy wileńskiej. Wśród licznego zastępu kształcącej się młodzieży znajdują się nad wiek poważne jednostki, które pojmują dokładnie zarówno wady ówczesnego systemu szkolnego, jak własne braki w dziedzinie wiedzy elementarnej. Studyując z zapałem wyższe nauki, dochodzą do przekonania, że niepodobna poznać ich i zgłębić dokładnie bez gruntownego zasobu podstawowych, elementarnych wiadomości, których wychowanie początkowe zaszczepić nie zdołało; jednocześnie młode ich serca czują potrzebę przyjaźni, któraby wspomagała w każdej potrzebie, ułatwiała postęp na drodze wiedzy, moralności i cnoty. Myśl, zrodzona w kilku wyższych umysłach, dojrzewa prędko i znajduje wyraz swój w Towarzystwie filomatycznem, zawiązanem 1 października 1817 roku przez sześciu uczniów uniwersytetu wileńskiego: Józefa Jeżowskiego, Adama Mickiewicza, Onufrego Pietraszkiewicza, Erazma Poluszyńskiego, Brunona Sucheckiego i Tomasza Zana.

Właściwy cel związku, niewypowiedziany jeszcze głośno, lecz wyryty głęboko w sercach młodzieży, stanowi służba społeczna, podniesienie oświaty i wskrzeszenie upadłej ojczyzny. Cel ten osiąga się nie drogą zbrojnych powstań, nie przez czyny rozgłośne, bohaterskie a bezowocne, lecz za pomocą pracy cichej ukrytej, wytrwałej. Zanim jeszcze smutne doświadczenie wskazało tę drogę, zanim potoki krwi i tysiące ofiar dowiodły, że ona jedna jest właściwą i użyteczną, Filomaci potrafili odnaleźć wśród licznych manowców wązką nieznaną ścieżkę i kroczyć nią sku-

tecznie przez lat kilka, wprowadzając w czyn wielką myśl, wypowiedzianą w kilkanaście lat później w pięknym wierszu Juliusza Słowackiego:

Już nam i miejsca nie stało na blizny!
Nie krwią więc teraz, lecz pracą i potem
Mamy okupić zbawienie ojczyzny!
Miecz nawet pęka pod żelaznym młotem.

Rozważając przeszłość Polski z krytycznego punktu widzenia, upatrują Filomaci główną przyczynę klęski narodowej w wewnętrznym ustroju państwa, w lekkomyślności, niezgodzie, upadku moralnym magnatów, w ciasnym poziomie umysłowym szlachty, w ciemnocie i ucisku ludu wiejskiego; pragną oni zło to na przyszłość usunąć, dostarczyć krajowi obywateli zacnych, rozumnych, którzyby pojmowali jego potrzeby i umieli im zaradzić. Lecz żeby przewodniczyć innym, należy samemu wpierw osiągnąć zamierzony stopień doskonałości, żeby mieć prawo uczyć, trzeba przyświecać dobrym przykładem i stać się wyrazicielem głoszonych zasad. Z przenikliwością rzadką w tak młodym wieku pojęli Filomaci tę prawdę i, w czyn ją wprowadzając, opierają cel Towarzystwa na pracy nad własnym umysłem i sercem. Praca ta uskutecznia się przez pomoc wzajemną w naukach, przyjacielskie rady i wskazówki we względzie postępu duchowego, zwalczanie złych skłonności, rozwijanie dobrych; każdy działa w kierunku odpowiednim swemu usposobieniu i zdolnościom, a zarazem stanowi cząstkę nierozdzielną w jednolitem ciele towarzyskiem, związanem przyjaźnią, ufnością, zamiłowaniem pracy i cnoty.

Na czele związku stoi prezydent, przy nim zaś w charakterze pomocników dwaj niżsi urzędnicy: wiceprezydent i sekretarz; pierwszy zawiaduje kasą utworzoną ze składek ogólnych, drugi prowadzi protokół posiedzeń i utrzymuje archiwum. Na posiedzenia zwyczajne, co tydzień odbywane, każdy członek z kolei przynosi pismo oryginalne lub tłumaczone, rozprawę, referat, recenzyę lub utwór poetycki, odczytuje je głośno i oddaje pod sąd kolegów; jeden z nich bierze rzecz do oceny i uwagi swe w formie krótkiej krytyki przygotowuje na następne posiedzenie; tu może mieć miejsce

opozycya i dyskusya. Po odczytaniu pism i krytyk czas wypełniają debaty nad sposobami dalszego rozwoju Towarzystwa.

Co trzy miesiące zwołuje się posiedzenie wielkie dla sprawozdań z kwartałowych czynności, obioru prezydenta i urzędników; prezydent musi mieć za sobą trzy czwarte głosów, we wszelkich innych kwestyach rozstrzyga większość.

Wobec surowych dekretów rządu rosyjskiego, zabraniających wszelkich stowarzyszeń, wszystkie wyżej wymienione czynności musiano otoczyć głęboką tajemnicą zarówno przed obcymi, jak przed kolegami, a nawet własną rodziną. To też każdy nowowchodzący ręczy przedewszystkiem słowem honoru, że sekretu nie zdradzi i nikomu o egzystencyi Towarzystwa nie wspomni; w dalszym ciągu przyrzeka posłuszeństwo w stosunku do prezydenta, przyjaźń względem kolegów, pracę nad własnem udoskonaleniem, oraz pracę naukową, opartą na podawaniu pism i krytyk.

Prawodawstwo powyższe zachowało swą moc obowiązującą przez dziewięć miesięcy, do 23 czerwca 1818 roku. Godność prezydenta złożono jednomyślnie w ręce Józefa Jeżowskiego, który też, dzięki uznaniu kolegów, piastował urząd ten przez cały czas egzystencyi Towarzystwa. Sekretarzem został Tomasz Zan, wiceprezydentem a zarazem kasyerem Erazm Poluszyński.

Ponieważ wymagania stawione we względzie usposobienia i charakteru zamykały wstęp większości młodzieży, grono filomackie na początku swego istnienia powiększyło się zaledwie o trzech nowych członków: pierwszy wstąpił Józef Kowalewski, następnie Zygmunt Nowicki i Franciszek Malewski, jeden z przyszłych kierowników i najpoważniejszych działaczy. Witając nowoprzybyłych zastosowaną do okoliczności przemową, przedstawia prezydent naukę jako główny cel Towarzystwa, za zachętę zaś i nagrodę uważa przyjaźń wzajemną: »Ktokolwiek przez grono nasze wybrany zostaje, przy wejściu swojem do uczuć wszystkich nabywa prawa. Czytajcie w wesołych twarzach współkolegów moich, a raczej wejrzyjcie w ich serca! Tam to, witają was tem słodkiem uczuciem, które się dopiero po sprzymierzeniu zrodziło i którego już od was oczekują. Uczyńcież zadość oczekiwaniu, przepełnijcie się tem samem uczuciem, a wszystko po myśli pój-

dzie, i nauka, ten cel zbawienny, dzielny, skuteczny, rychło dosięgać się będzie«.

Praca naukowa Towarzystwa, obejmując w tym pierwszym okresie jego istnienia względnie szeroki zakres, nie jest przecie ujęta w ściśle określone ramy, rozwija się różnorodnie lecz dorywczo, samokształcenie nie weszło jeszcze w fazę systematycznego rozwoju w raz obranym kierunku. Pomimo to jednak całoroczny dorobek literacki przedstawia się nader poważnie, a wśród długiego szeregu pism, znanych, niestety, po większej części tylko z tytułów, miejsce naczelne zajmują rozprawy, referaty i recenzye, których nadpisy poniżej przytaczamy:

»O poezyi prowanckiej«, »O charakterze dzieł Sofoklesa«, »O oryginalności«, »O dwóch rodzajach władz człowieka« — Józefa Jeżowskiego.

»O epopei«, »O pożytkach sztuki drukarskiej«, »Przekład I i II księgi Herodota«, »Wiadomość o życiu Herodota« — Józefa Kowalewskiego.

»Wiadomość o poemacie Gastronomia Berchoux«, »Początek czynności moralnych«, »Ważność nauki moralnej«, »Charakter moralisty«, »Początek i postęp filozofii«, »Wiadomość o życiu i pismach Goldschmidta« — Franciszka Malewskiego.

»Rozbiór Dziewicy Orleańskiej Woltera«, »Rozbiór tragedyi p. n. Germanik d'Arnauda«, »Rozbiór Jagiellonidy Bończy Tomaszewskiego« — Adama Mickiewicza.

»Wiadomość o szkole Pitagorasa«, »Przyczyny upadku Rzymu«, »Wpływ religii u Greków« — Zygmunta Nowickiego.

»O potrzebie elektrometru w obserwacyach metereologicznych« — Onufrego Pietraszkiewicza.

»Rozbiór romansu p. n. Dziennik Karola Engelmana«, »O polucyach czyli o wypływie nasienia« — Erazma Poluszyńskiego.

»Charakter listów pani de Sévignée«, »Stan Europy na podstawie dzieł Robertsona«, »O charakterach«, »Domysły na teoryę elektryczności« — Brunona Sucheckiego.

»Początek i postęp poezyi dramatycznej u Greków«, »O kropkowaniu« — Tomasza Zana.

Prócz rozbioru »Jagiellonidy«, ogłoszonego drukiem w zbiorze dzieł Adama Mickiewicza, nie przechowała się żadna z rozpraw wyżej wymienionych, a wobec zupełnego braku ich recenzyi niepodobna określić wartości naukowej i artystycznej tej gałęzi pracy Filomatów. W większej nieco ilości doszły do nas rzeczy lekkiej treści, dumy, sielanki i inne utwory poetyckie, które w regestrach archiwum filomatycznego stanowią pokaźny zbiorek. Znajdujemy tu:

»Śmierć Achillesa« (przekład z greckiego), »Powieść o Niobe«, (przekład z »Przemian« Owidyusza — Józefa Jeżowskiego.

»Mieszko, dziedzic Nowogródka« (naśladowanie z Woltera), »Pani Aniela« (naśladowane z Woltera), »Oda do Brunona na obronę od żmii« — Adama Mickiewicza.

»Duma u rozwalin zamku Gedymina«, »Śpiew o Lechu«, »Odjazd Haliny«, »Kąpiel Neryny«, »List pana Modnickiego« — Onufrego Pietraszkiewicza.

»O wszechmocności Boga« (przekład z francuskiego) — Erazma Poluszyńskiego.

»Bramin« (przekład z Woltera) — Brunona Suchedckiego.

»Zgon Tabakiery«, »Lilie i róże«, »Neryna« (przekład z rosyjskiego), »Ogródek«, »Anakreontyk« — Tomasza Zana.

Cały zbiorek ten, o ile można sądzić z kilku przechowanych utworów, zawiera pierwsze próby młodzieńczego pióra, słabe pod względem układu i wiersza lecz nie pozbawione piękności poetyckich, przeniknięte zacną tendencyą a nieraz głęboką myślą patryotyczną. Obok wesołych wierszy i erotycznych sielanek, jak: »Kąpiel Neryny«, »Odjazd Haliny«, »List pana Modnickiego do wojewodzica«, znajduje się tu nieznany utwór Adama Mickiewicza p. n. »Pani Aniela«, obrazek pełen humoru i lekkiej ironii, rodzaj satyry na obłudną pobożność. Ciekawym pod względem treści a poniekąd i myśli jest poemat Tomasza Zana »Tabakiera«, gdzie poeta opiewa gniew bożka snu Morfeusza i całego dworu jego na tabakierę, która ma sposoby powstrzymywania ludzi od spoczynku. Rzecz rozgrywa się w świecie fantastycznym, wśród gwiazd i planet, gdzie wszystkie potęgi morfejskie a zwłaszcza wódz Chrapanko poprzysięgają zemstę tabakierze; Chrapanko udaje

się niezwłocznie w podróż na ziemię, do Wilna, gdzie mieszka jej właściciel. Najpiękniejszą część opowiadania stanowi opis zalet tabakiery, jej pochodzenia i zdobiących ją rzeźb. Oto niektóre wyjątki:

Zgarbiony wiekiem, okryty blizny
Stary barski konfederat
W cichości żył niedesperat.
I tylko, płacząc losy ojczyzny
Rzemiosłem krzepił swoje siwizny
Chleb żebrany jeść był nierad,
Zdarł więc drzewo dobrej cery
Na lubiane tabakiery.

Nos wsadziwszy w okulary
Igiełką starzec sędziwy
Na tabakierze kłuł dziwy.
. . . . . .
Tu ujrzysz wojsko Napoleona,
Co sterem wielkiego męża
Wszystko wali i zwycięża;
Każdego stroje widać legiona,
Drży ziemia, wrzawą, kurzem zaćmiona,
W turkocie wozów, w szczęku oręża.
Tu starzec odjął swoją iglicę
I otarł z łez swoje lice.
. . . . . .
Tu sypiące się ze szkoły roje
W biegu, chodzie i podskoku
Miły widok czynią oku.
Za niemi, w modne przybrani stroje
Akademicy tną trele swoje.
. . . . . .
Tam widać huczne biesiady,
Gdzie pełna napoju czasza
Kłopoty ze łba wystrasza.
Jeden się chwieje, drugi blady,
Łokciem wsparty śpi, ten szuka zwady
Tamten już butlę podnasza,
Inny, biegąc na rozwary
Pobił i flasze i czary.

I tybyś miała swoje obrazy
Wspieraczów kraju gromado,
Zwadom i butelkom rada,
By nie żal starca. Po trzykroć razy

Swoje narzędzie podnasza,
I trzykroć upuszcza z ręki!
Ciągną piersią ciężkie jęki!

Odpoczął, myślą rzucił na sioła.
Wnet widna rolnika praca
Jak czarne skiby rozwraca,
Jak, goląc łąki, pot leje z czoła;
Tu, jak tnie żyto kupa wesołą!
. . . . . .

Cechę poważną i głęboką noszą dwa utwory Onufrego Pietraszkiewicza. »Śpiew o Lechu« i »Duma u rozwalin zamku Giedymina«. W piękną noc księżycową wśród ruin starego zamczyska, myśl poety unosi się daleko, błądzi w pomroce dziejów, wspomina boje zwycięskie pogańskiej Litwy, jej połączenie z Polską, wspólne walki za wiarę i ojczyznę, i porównywa te dnie pełne chwały z chwilą obecną:

Wzrok te przebiega zwaliska
Żałość łzę z oka wyciska.
Czas straszne wyradza zmiany
Wierzchy gór w padoły ściele;
Tu schną rzeki; bujne łany
W bezdenne mieni topiele.
Wybiła nieszczęść godzina
W gruzach zamki Giedymina!

W ostatnich wierszach obok smutku widać przebłysk dalekiej nadziei:

Wieki te jak chwile zbiegły;
Naprożno w ostatniej toni
Powierzał lud niepodległy
Ojczyznę męstwu i broni.
Wśród nieszczęść, zdrady, napadów
Stała się łupem sąsiadów.
Legł w nawalnej nieszczęść burzy
Ród Słowian przemocą zgięty
Lecz nim się niebo rozchmurzy
Dowodzić będą te szczęty
Potomnym, wpośród zniszczenia,
Dawnej sławy i znaczenia.
Nie widać na tej przestrzeni
Możnych Jagiełłów podwoi;

Może te baszty w pył zmieni
Czas, gdy się gromem uzbroi,
Przetworzy góry w płaszczyzny —
Uczuć nie stłumi ojczyzny.

»Śpiew o Lechu« opiewa przyjście Słowian nad Wartę i znalezienie gniazda białych orłów; wróżbita przepowiada przyszłość walecznych Sarmatów, ich wzrost, potęgę, połączenie z Litwą, zwycięstwa nad Krzyżakami, Turcyą, Moskwą, wreszcie upadek, poprzedzony bohaterską walką:

Zmieni lemiesz na oręże
Rdzawe przywdzieje przyłbice
Nie bez sławy Polak lęże
Zaświadczą to Zielenice.
Gdy żałobnemi całuny
Kraj się Sarmatów osłoni
Ujrzą obadwa bieguny
Orły polskie, dzielność broni!

Wspomina o zwycięstwach Polaków we Włoszech i Hiszpanii, wreszcie kończy pomyślną wróżbą:

Że z błękitu orzeł biały
Wróci do stolicy jeszcze
Pełen zwycięstw, pełen chwały.

Wspólna praca i postęp w naukach, pomoc wzajemna, zacieśniający się z dniem każdym węzeł szczerej serdecznej, przyjaźni — wzbudzają w Towarzystwie poczucie siły zbiorowej, zdolnej »ruszyć z posad bryłę świata«. Każdy krok naprzód otwiera przed oczami pracowników coraz szersze widnokręgi, ścierają się różnice zdań, przekonań, poglądów, rodzą się nowe myśli i powstaje dalszy, rozleglejszy plan działania.

Jak utrzymać związek w tajemnicy i porządku? Jak zachować konieczne środki ostrożności w wyborze nowych towarzyszy? Jak wreszcie wypełnić myśl zasadniczą i wejść na drogę poważnej służby społecznej? — oto najbardziej palące kwestye i główny przedmiot pierwszych posiedzeń. Tu dojrzewa przeświadczenie, że jednostka winna cel swój opierać na pożytku ogółu, do niego się stosować, w korzyści innych znajdować własną korzyść i nagrodę. Obowiązki dawne stają się zaledwie cząstką obowiązków

przyszłych, obok pracy nad własnym umysłem i charakterem. Towarzystwo czuje się zdolne ująć w ręce swe wpływ na oświatę powszechną, nieść pomoc i opiekę szerokim kołom uczącej się młodzieży. Rozleglejszy zakres działań pociąga potrzebę uzupełnień w dotychczasowym kodeksie, a Jeżowski, Malewski i Mickiewicz składają komitet, który przy współudziale wszystkich członków opracowuje reformę ustaw rozpoczętą w marcu, a ukończoną w maju 1818 roku.

Dla ułatwienia członkom swym pracy nad odpowiednią usposobieniu i zdolnościom nauką. Towarzystwo dzieli się na wydziały, obejmujące poszczególne gałęzie wiedzy; ilość ich stosuje się do potrzeb chwili; każdy wydział ma swego naczelnika i sekretarza, a wszystkie podlegają Rządowi, złożonemu z prezydenta i radców.

Prezydent, jako główny urzędnik związku i stróż jego ustaw, winien czuwać nad dobrem ogółu, przewodniczyć na drodze postępu, przyświecać nauką, cnotą i pracą; urzędowanie swe składa po upływie roku, lecz może być obrany powtórnie, a nawet przez lat kilka z rzędu, jeśli otrzyma zawsze większość wotów.

Radcy, wybrani z pomiędzy naczelników, są pomocnikami prezydenta i, pozostając na stanowisku swem dożywotnie, wespół z nim stanowią Rząd Towarzystwa. Rząd ten kieruje całą organizacyą, wydaje instrukcye, dekreta, rozporządzenia, zatwierdza decyzye wydziałów, które bez jego aprobaty nie mogą być w czyn wprowadzone.

Naczelnicy wydziałów czuwają nad porządkiem posiedzeń i ścisłem pełnieniem ustaw; oni podają ogólne sprawozdania, przesyłają rządowi raporty, wypełniają jego dekrety, lecz na własną rękę żadnych uchwał przeprowadzać nie mogą. Naczelnik sprawuje swój urząd dopóki dla ważnych przyczyn o uwolnienie nie poprosi, lub przez Rząd do innych funkcyi powołany nie zostanie; w razie niedokładności w pełnieniu obowiązków, Rząd odbiera mu nadaną godność.

Sekretarz wydziału utrzymuje Archiwum i protokóły posiedzeń, sporządzane pod kontrolą naczelnika.

Wszelkie papiery odnoszące się do czynności Rządu prze-

chowuje wybrany z pomiędzy radców sekretarz Rządu; inny radca pełni obowiązki kasyera powszechnego. Radcy też tylko mogą być kandydatami na godność prezydenta, którego obiera całe Towarzystwo większością wotów sekretnych; radców i naczelników mianuje prezydent; obiór sekretarza wydziału dokonany przez członków przesyła się Rządowi do potwierdzenia.

Każdy z powyższych urzędników podpisuje osobne zaręczenie, gdzie obowiązuje się poświęcać dla dobra Towarzystwa czas, siły i pracę.

Rząd odbywa osobno posiedzenia rządowe; wydziały mają co dwa tygodnie posiedzenia naukowe, co miesiąc zaś administracyjne; te ostatnie przeznaczone są do decyzyi we względzie przyjęcia lub odrzucenia proponowanych kandydatów oraz do wszelkich spraw dotyczących urządzeń i dobra wydziału; na naukowych czytane są pisma, krytyki i prowadzą dyskusyę. Prezydent i radcy są jednocześnie członkami wydziałów i obowiązani bywać na każdem posiedzeniu.

Co dwa miesiące Towarzystwo odbywa posiedzenia powszechne, a raz na rok posiedzenia wielkie. Na pierwszych podają się wiadomości o czynnościach Rządu i wydziałów, oraz roztrząsają się kwestye mające na względzie interes całego Towarzystwa; tu członkowie odbierają podziękowanie za szczególne zasługi, a wszystkie wydziały zjednoczone mogą ocenić swą pracę i przedsięwziąć plany na przyszłość. Na posiedzeniach wielkich urzędnicy zdają sprawę z całorocznych czynności, a prezydent przedstawia obraz dotychczasowych i zarys przyszłych działów; składa bowiem urzędowanie, a członkowie przystępują do obioru nowego przewodnika.

Członkowie Towarzystwa dzielą się na korespondentów, czynnych, mianowanych i honorowych. Każdy przyjęty kandydat zostaje najpierw kerespondentem, bierze udział tylko w czynnościach naukowych, podaje własne prace piśmienne i krytyki pism innych. Po kilku miesiącach, jeśli pod względem charakteru, usposobienia i pracy nad sobą odpowie celom Towarzystwa, zostaje wprowadzony na posiedzenie administracyjne, gdzie otrzymuje stopień członka czynnego. Odtąd przyjmuje udział

zarówno w obiorze nowych członków, jak urzędników, może zostać naczelnikiem, radcą, wreszcie prezydentem.

Korespondenci przyrzekają ścisłość w pełnieniu obowiązków naukowych, czynno-naukowych i administracyjnych. Głównym warunkiem jest tajemnica względem obcych, zgoda i przyjaźń w stosunku do towarzyszy, posłuszeństwo dla prezydenta i urzędników; nawet korespondentowi członek czynny nie ma prawa wyjawić nazwy działań administracyjnych. Korespondenci ręczą słowem uczciwości i honoru, czynni przysięgają na świętość religii i cnoty.

Członek proponujący nowego kandydata, podaje krótką wiadomość o jego wieku, wychowaniu, zdolnościach; wiadomość ta nosi miano n o t y k w a l i f i k a c y j n e j. Inni członkowie w przeciągu dwóch tygodni starają się zasięgnąć informacyi o jego charakterze, zdolnościach, poczem dopiero przystępują do wotowania; jedna czwarta przeciwnych głosów usuwa proponowanego. W razie pomyślnego wyniku, wydział żąda pisma konkursowego, mającego służyć za miarę zdolności przyszłego członka, oddaje je pod krytykę, a potem przyjmuje lub odrzuca większością głosów. Jeśli podana praca odrzuconą zostanie, wydział może drugiej zażądać, lecz gdy i ta nie zadowolni jego wymagań, kandydat uchyla się na zawsze.

Nowoprzyjęty korespondent przychodzi na posiedzenie naukowe, odczytuje ustawy, podpisuje zaręczenie i wchodzi w skład Towarzystwa, z którego dobrowolnie wystąpić nie może. Członkowie oddalający się z Wilna na czas dłuższy utrzymują korespondencyę ze swym wydziałem, powinni wypełniać jego instrukcye i przesyłać prace naukowe ustawami przepisane. Obowiązki te jednak mogą być zmniejszone lub zamienione na inne wobec poważnych przyczyn.

Członkowie m i a n o w a n i wypełniają tylko część obowiązków i ustaw nie podpisują; na h o n o r o w y c h zapraszani są ludzie wpływowi, mogący się przyczynić do dobra i wzrostu Towarzystwa; nie przyjmują oni na siebie żadnych zobowiązań dotyczących członków zwyczajnych.

Obowiązki wyszczególnione w ustawach dzielą się na p o-

rządkowe, naukowe i administracyjne; pierwsze i drugie stosują się do wszystkich członków, ostatnie wyłącznie do czynnych. Do obowiązków porządkowych należy składka pieniężna, ścisłość w zachowaniu pewnych form, koniecznych dla utrzymania porządku, wreszcie noty biograficzne i kwalifikacyjne.

Noty biograficzne są to wiadomości o przeszłem życiu, naukach, wychowaniu, podawane przy wejściu do Towarzystwa w celu zbadania własnego umysłu, serca i określenia przyszłej pracy.

Notami kwalifikacyjnemi nazywają się wiadomości o nowych kandydatach; lecz to samo miano przysługuje pismom, podawanym co miesiąc przez członków związku, gdzie donoszą o swem życiu, stosunkach rodzinnych, postępie w naukach, doznawanych pomocach i trudnościach, zamiarach na przyszłość. Jest to niejako rachunek z chwili obecnej podobnie, jak nota biograficzna z lat ubiegłych.

Obowiązki naukowe obejmują następujące działy:

Roboty szczegółowe, czyli utwory wierszem lub prozą, oryginalne lub tłumaczone; podają się co dwa miesiące, a celem ich jest kształcić władze umysłowe, wyrabiać smak, sąd krytyczny, oraz łatwość we władaniu mową ojczystą.

Roboty powszechne, czyli przekłady poważnych dzieł naukowych, częściami przez kilku członków wykonywane, przyswajają literaturze naukowej dzieła znane i cenne.

Wiadomości naukowe, czerpane z dzienników donoszą o wypadkach i wynalazkach współczesnych; wyklucza się tu kwestye religijne i polityczne, jako też wszelkie dyskusye w tym względzie.

Krytyki, zawierają ocenę rozpraw i utworów poetycznych członków.

Obowiązki administracyjne polegają na pracy około porządku wewnętrznego, dobra i bezpieczeństwa Towarzystwa; tu należy obiór urzędników, członków i cała organizacya prawodawcza.

Urzędnik każdy posiada w zakresie swej działalności władzę nieograniczoną i tylko przez wyższych urzędników sądzony być

może. Prezydent dopóki pozostaje na swem stanowisku żadnemu sądowi nie podlega.

Za niedokładność w pełnieniu obowiązków lub wyjawienie bytu Towarzystwa członek ponosi stosowną karę, poczynając od prywatnych uwag naczelnika, kończąc na wykluczeniu ze związku na pewien przeciąg czasu lub na zawsze.

Organizacya powyższa przyjęta po szczegółowem rozpatrzeniu 23 czerwca 1818 roku określa w zupełności ustrój wewnętrzny związku, lecz dotykając zaledwie pobieżnie jego działań zewnętrznych, stanowi dopiero podstawę przyszłej pracy prawodawczej. W danej chwili mamy małą młodzieńczą rzeczpospolitą, która, opierając się na zasadach republikańskich, szanując prawa indywidualne, poddaje się przecież dobrowolnie obranej przez siebie władzy, rozumie jej potrzebę, rozumie, że działalność dowolna, bez kierunku i kontroli nie może wydać pożądanych owoców. Ściśle przestrzegając tej zasady, Towarzystwo rozwija się, obejmuje coraz szersze koła i pozostawia rzadki w podobnych okolicznościach przykład dojrzałości moralnej swych członków, rozumu i organizacyjnych zdolności kierowników, a zwłaszcza głównego myśliciela i projektodawcy — Józefa Jeżowskiego.

On stara się rozszerzyć ogólny widnokrąg myśli, on pracuje nad zgłębieniem ducha ustaw, by słowa »praca nad umysłem i sercem, przyjaźń, ufność, oświecanie się wzajemne«, nie pozostały pustym dźwiękiem, lecz, zrozumiane dokładnie, znalazły w czynach swój wyraz właściwy. On, pragnąc zwrócić związek na drogę pracy wewnętrznej, radzi towarzyszom zgłębiać stan swej duszy, uczucia, skłonności i sądzić je, nie biorąc miłości własnej w rachubę; radzi rozważać, z jakim kto umysłem na posiedzenia przybywał, dlaczego je opuszczał, czy może obliczyć się z przeszłą pracą i sumiennie odpowiedzieć, kiedy przeszkody zewnętrzne, a kiedy wina dobrowolna były niedokładności przyczyną?

Dając przykład otwartości, maluje Jeżowski stan swej duszy pełen zamętu przed zawiązaniem Towarzystwa, gdy umysł strudzony, chciwy nauki, nie umiał znaleźć punktu oparcia, a serce, pełne uczuć tkliwych, zrażone obojętnością ludzką, gorzkniało za-

mykając się w sobie. »Z epoką związku naszego — mówi on — inny kierunek rzecz wzięła. Umysł natężony znalazł prawidła i środki, jak się rządzić i zaradzić sobie, a serce znalazło ludzi, wśród których swobodnie odetchnąć może. Za tak dobroczynne skutki nie tylko nauki lecz i losu ludzkiego tyczące się, któżby nie był wdzięcznym i samego siebie w darze nie oddał? To też pragnę wyrazić szczerą wdzięczność i ponowić przysięgę, iż wszystkie moje siły, prace, zdrowie i całe życie moje dla was, dla Towarzystwa miłego wieczną ofiarą poświęcone będą«.

Z niemniejszą miłością i uznaniem zwracają się Filomaci do swego kierownika, a wyrazem piśmiennym uczuć tych jest piękny, pełen powagi wiersz, wygłoszony w dniu imienin Jeżowskiego. Tomasz Zan w imieniu całego Towarzystwa podnosi tu jego pracę, zasługi, składa hołd cnocie, wyraża ogólną miłość i wdzięczność:

... A tak i Józef, ważąc w sobie drogie myśli,
Naukom i przyjaźni poświęcony wszystek ...
Rzekł: »stań gmachu!« i stanął drogi nam przybytek.
Witaj śliczna budowo i trwały pomniku
Prac Józefa i cnoty, przyjaźni, nauki!
Witaj domie, sypiący skarbów nam bez liku,
Witaj świątynio! szczęście wróżąca na wnuki.
Tu młodość nie swawolna powagi nabiera,
Tu nauka dla wszystkich miła, nie uparta,
Tu przyjaźń zaufana, i wierna i szczera
Tu cnota jest gruntowna, prosta i otwarta.
Witaj drogi Józefie! nasz ojcze! nasz bracie!
Witajcie przyjaciele, co wstęp tutaj macie!
Tutaj gorliwym chęciom daliście schronienia,
Tu prawda nie ukryta śmiało błąd wyrzuca,
Tu smakują owoce słodkie zjednoczenia,
Tu nas zazdrość nie kazi, zdrada nie zasmuca.
Tuście swoje talenta i siebie poznali,
Tutaj w pracy swej pewni znaleźliście plony,
Tu się słodkiej rozkoszy czysty ogień pali,
Tu na swą lutnię nowe nawiązali strony.
Tu w krytyce nauka, a sława w pochwale,
Tutaj w czynnościach siła, spokojność w sekrecie,
Korzystnie, pożytecznie, i mile, i trwale
Kosztujemy tu szczęścia nieznanego w świecie:
Skądże ten zdrój rozkoszy? skądże się to wzięło?
Twoje to, Józefie, dzieło!
Ta trwałość, ta posada, gorliwość i prawa!

Tobie jedna i wdzięczność, miłość i pochwały.
Twa skromność więcej mówi, skromność cię wydawa.
Ta wdzięczność, z jaką bieży do cię związek cały,
Mówią, jak my cię wielbim, jak my cię kochamy.
Pewnie się twoja cnota głosem pochwał zraża.
Przebacz, mój głos nas wszystkich życzenia powtarza,
Przez ciebie wite wieńce przed tobą składamy,
My w twojej chwale swoją widzim chwałę,
Kto cię nie kocha, ten się cnoty wstydzi,
Ten nas kochać nie może, ten się sobą brzydzi,
Ten ma serce nieczułe, płoche i niestałe.
Czegóż ci mamy życzyć, ty, najdroższy z braci!?
Szczęścia? Jużeśmy z tobą, tyś z nami szczęśliwy.
Bogactwa? Mądrość skarbem, mądrość nic nie traci,
Dobre zamiary wspiera niebios Pan życzliwy.
A ten gmach, co się wznosi, gruntowna posada,
Nie zniszczone wiekami życie zapowiada.
Twą gorliwość, twe cnoty, przyjaźń, twe nauki
Powtarzać będą z chwałą wnuków naszych wnuki.

Dzięki ogólnej miłości i uznaniu po uroczystem przyjęciu ustaw Józef Jeżowski, jednomyślnie obrany, pozostał nadal u steru Towarzystwa. Dziękując kolegom za ten zaszczyt, wita on zarazem dwu nowych członków, Teodora Łozińskiego i Jana Czeczotta, którzy w charakterze korespondentów wchodzą w skład związku; przedstawia im, że nie sama nauka i ćwiczenia umysłowe, lecz przyjaźń, ufność, praca moralna stanowią istotę zgromadzenia i winny znaleźć oddźwięk w sercach nowych towarzyszy. Jednocześnie z ich przyjęciem przypada stosownie do nowych ustaw podział Towarzystwa na dwa wydziały naukowe, a mianowicie:

Wydział I: literatury i nauk moralnych.

Wydział II: nauk matematycznych, fizycznych i medycznych.

W skład pierwszego weszli: Czeczot, Jeżowski, Kowalewski, Malewski, Mickiewicz, Nowicki i Suchecki; w skład drugiego: Łoziński, Pietraszkiewicz, Poluszyński i Zan.

Franciszek Malewski został naczelnikiem wydziału pierwszego, Onufry Pietraszkiewicz naczelnikiem wydziału drugiego, Zygmunt Nowicki sekretarzem powszechnym. Według nowych ustaw wybór naczelników i sekretarza należał do rządu; lecz w braku radców, którzy dopiero z naczelników mogli być naznaczani, przy pierw-

szych wyborach głosowali wszyscy członkowie czynni, a prezydent, naczelnicy i sekretarz uformowali rząd Towarzystwa.

Teorya działania objęta nowym kodeksem dopiero po przerwie wakacyjnej mogła znaleźć praktyczne zastosowanie. Tymczasem obraz rozwoju wewnętrznego, zamknięty w ciasnych ramkach jednego roku, przedstawia, jak słusznie twierdzi Jeżowski, jedyny przykład, by grono ludzi młodych mocą własnego przekonania postanowiło uwolnić się z pod przewagi złych wpływów, rozpocząć pracę nad umysłem swym i charakterem, udzielać sobie wzajemnie rad i przestróg i według nich postępować. Gdy celu w znacznej mierze dopięli, gdy praca naukowa znalazła swój wyraz w szeregu rozpraw i krytyk, a praca duchowa i moralna stworzyła towarzystwo zgodne, jednolite, postanowili rozszerzyć zakres działań i, doskonaląc się dalej, zająć się jednocześnie oświeceniem powszechnem, ogarniać coraz szersze koła młodzieży, zaszczepiać w niej skromność, zasady moralne, miłość ojczyzny, nauki, cnoty, a wykorzeniać wady, które niegdyś kraj w przepaść wtrąciły, a mianowicie brak troskliwości o dobro powszechne, a zwłaszcza brak jedności i zgody.

W myśl tej zasady powstała rzeczpospolita młodzieńcza, której bytem politycznym — oświecenie, duchem wolności — zapał do nauk, cnotami publicznemi — otwartość, przywiązanie i przyjaźń prawdziwa, a, według przepowiedni Jeżowskiego, żadne wyroki i losy, żadne podstępy i zdrady zasad tych nie wzruszą, postępu nie powstrzymają i skutków zbawiennych nadwyrężyć nie potrafią!

## Rok drugi. 1818—1819.

Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna,
Żeglarzu! ciągnij rudel, wiatrom podaj płótna;
Wzmocnioną wczasem dłonią słone krajaj piany,
Otworem ci przestrzenne leżą oceany!
Niech umysłów nie chwieje burzliwość powodzi
Towarzystwo nieliczne, kruchej słabość łodzi!
. . . . . .
Nam po wejściu do szranków możnaż drżeć z obawy,

Gdy każdy trud zwalczony jest szczeblem do sławy!
. . . . . .
niech zawiść serc nam nie podbija,
Ni się czarnej niechęci wkrada do nich żmija.
Wszakże własne żądanie do związku nas wiodło,
Wszak praca nasze bóstwo, przyjaźń nasze godło,
Oby kiedyś świat cały, zgodne wiążąc dłonie,
Nasze wziął godło, naszym bóstwom sypał wonie.
. . . . . .
Gdy osobne urazy topiąc w niepamięci,
Każdy na wspólne dobro winien zwrócić chęci
Zgodną przyszłość, przeszłości zmierzając rachubą,
Że będziem wzorem innym, sobie samym chlubą.

Pięknym tym wierszem, dobrze zresztą znanym, wita Mickiewicz uroczyste otwarcie wydziałów 14 września 1818 roku i wznowienie czynności Towarzystwa w szerszym, rozleglejszym zakresie. Tym samym uczuciom daje wyraz w przemowie swej Józef Jeżowski, gdzie ze zwykłą sobie rozwagą filozoficzną radzi każdemu zastanowić się nad własnem usposobieniem i przyszłą działalnością, by objąć w niej wszystko, co piękne, wzniosłe, szlachetne, ku pożytkowi ogólnemu służyć może. Pietraszkiewicz kładzie znów główny nacisk na pracę oświatową, nawołuje Filomatów, by dłoń w dłoni szli przez burze życia ku własnej korzyści i dobru uciśnionej ojczyzny. »Połączeni węzłem najświętszej jedności, gotujmy materyały na świątynię zgodzie, przyjaźni i cnocie; rzuciliśmy już trwałe zasady, wznieśmy budowę! a w niej, do morskich podobni rozbitków, złożymy ocalone resztki narodowości i nie damy im zginąć ze szczętem«. Tymże ideałom składa hołd Tomasz Zan w pełnych zapału słowach:

Szczęśliwi! bo nas wiąże jednych uczuć wstęga
I w świątyni przyjaźni do prac miłych wprzęga.
Czytam po waszem licu, co się w sercu rodzi,
Do wspólnych celów płyniem w przyjacielskiej łodzi.

Wystawiając smutny stan kraju i jeszcze smutniejszy moralny stan społeczeństwa, wskazuje młodzieży drogę pracy cichej, pożytecznej, wytrwałej:

Do was przeto należy skarb drogi ocalić,
Trzymać ducha wolnego, byt jego utrwalić,

Wspólnych starań zabiegiem i zdolności zbiorem,
Gdy nie możem szabelnią, wsławiajmy się piórem.

Jednocześnie z otwarciem wydziałów w wewnętrznej organizacyi Towarzystwa zachodzą pewne zmiany, spowodowane wyjazdem Zygmunta Nowickiego na nauczyciela prawa do Białegostoku; urząd sekretarza rządu obejmuje po nim Franciszek Malewski, naczelnika zaś wydziału pierwszego Adam Mickiewicz; w wydziale drugim na stanowisku tem pozostaje Pietraszkiewicz.

Obaj naczelnicy rozpoczynają niezwłocznie w wydziałach swych posiedzenia naukowe i administracyjne, starając się oddziałać przytem na członków w myśl uchwał rządu, który ujmuje w ręce swe całą pracę nad postępem naukowym i moralnym. Pod względem ilości osób związek wzrasta nieznacznie, z kilkunastu bowiem proponowanych kandydatów dwaj zaledwie, Dominik Chodźko i Dyonizy Chlewiński, otrzymują w lutym 1819 r. stopień korespondentów, a w maju członków czynnych; wcześniej nieco, bo w styczniu tegoż roku dopuszczeni zostali do zajęć administracyjnych zeszłoroczni korespondenci, Jan Czeczot i Teodor Łoziński.

Każdego z nowowchodzących wita naczelnik zastosowaną do okoliczności przemową, gdzie stara się wyłożyć przyjmowane obowiązki i zachęcić do pracy nad wzrostem Towarzystwa, które może stać się źródłem pomyślności krajowej. Szczególnem ciepłem i serdecznością uczuć odznacza się przemowa Adama Mickiewicza w dniu przyjęcia Jana Czeczota na członka czynnego; naczelnik spotyka z radością towarzysza lat dziecinnych, zwraca się doń jak przyjaciel do przyjaciela, cieszy się, że łącząca ich miłość zostanie wzmocniona węzłem wspólnej pracy ku pożytkowi ziemi rodzinnej.

Dorobek literacki Towarzystwa, owoc pracy wydziałów i przedmiot ich posiedzeń naukowych, przedstawia się tu w porównaniu z rokiem ubiegłym o wiele bogaciej i różnorodniej. Świadczą o tem regestra archiwum, gdzie znajdujemy: dwie roboty powszechne (przekład »Teoryi sztuki Zulcera« w wydziale pierwszym i przekład »Fizyki Biota« w wydziale drugim), kilkanaście not kwalifikacyjnych, trzydzieści

wiadomości naukowych, czerpanych z różnych pism krajowych i zagranicznych, wreszcie cały szereg robót szczegółowych, które przedstawiają się w następującym porządku.

**Rozprawy i referaty.**

»O charakterze dzieł Fontenelle'a«; »Jak wybierać naukę, chcąc się jej poświęcić« — Józefa Jeżowskiego.

»Przekład I księgi Herodota«; »O górności« (przekład z greckiego); »Opisanie dzieł sztuki« (przekład z niemieckiego) — Józefa Kowalewskiego.

»O Trembeckim« — Dominika Chodźki.

»Domysły o ogonach komet i plamach na słońcu«, »O elektryczności«, »O stosunkach chemicznych«, »Życie Eulera« — Teodora Łozińskiego.

»O imaginacyi« — Franciszka Malewskiego.

»O celu, jaki każdy w kształceniu umysłu przedsiębrać powinien« — Adama Mickiewicza.

»Rys mniemań o elektryczności« — Onufrego Pietraszkiewicza.

»Przekład Ebermajera« — Erazma Poluszyńskiego.

»Podział nauk matematycznych« — Tomasza Zana.

(C. d. n.)

*Stanisława Pietraszkiewiczówna.*

# ŻYDZI OŚWIECENI.

(Dokończenie).

## V.

Emancypacya polityczno-społeczna Żydów — Rewolucya francuska — Voltaire — Obrońcy Żydów: Mirabeau, Grégoire, Thierry, Saint-Etienne, Clermont-Tonnere — Żydzi podczas rewolucyi — Emancypacya Żydów francuskich — Napoleon I — Emancypacya Żydów w innych krajach Europy — Nowe typy oświeconego Żyda: polityk, dziennikarz, spekulant — Crémieux — Giełda — Rotszyld, Pereïrowie — *Alliance Israélite* — Żydzi niemieccy — Bamberger — Lasker — »Krach« wiedeński — Otrzeźwienie — Nowe: hepp, hepp! — Glagau — Nowy typ Żyda oświeconego — Żyd koligacyotowca.

Kiedy Żydzi niemieccy pracowali nad odrodzeniem Izraela z »wewnątrz«, Żydzi francuscy starali się wyzyskać praktycznie przewrót ideowy i polityczny drugiej połowy XVIII stulecia.

Wypędzeni z Francyi w r. 1394, omijali Żydzi dość długo ziemie skorych do gwałtownego czynu Gallów. Dopiero w w. XVI zaczęli się wsuwać ostrożnie, od strony Niemiec, do miast pogranicznych, głównie do Alzacyi i Lotaryngii. Tak samo obawiali się także Anglii, jakkolwiek im Cromwell otworzył znów bramy wysp albiońskich. Do dnia dzisiejszego mieszka w całej Francyi i Anglii mniej Żydów, aniżeli w jednej Warszawie. Przy końcu XVIII stulecia było ich w Paryżu wszystkiego około pięciuset.

Na przybyszów z Niemiec i Polski spoglądali kosem okiem nie sami tylko Francuzi. Osiedleni w Bordeaux wygnańcy hiszpańscy i portugalscy, obawiając się konkurencyi handlowej

»obcych« współwyznawców, zabiegali dopóty u Richelieu'go, dopóki nie wyszachrowali banicyi Żydów niemieckich i polskich (w r. 1761). Tego dzieła nienawiści i zawiści kupieckiej dokonało dwóch bogatych Żydów bordowskich, Izaak Pereïra, dziad osławionych później »grynderów« za drugiego cesarstwa, Izaaka i Emila Pereïre'ów, założycieli *Crédit Mobilier* i Izaak Pénto, piszący równocześnie obrony judaizmu przeciw Voltaire'owi.

Wypędzeni jednemi drzwiami, wracali »obcy« Żydzi cichaczem, chyłkiem do Francyi drugiemi. W chwili kiedy rewolucya wybuchnęła, gospodarowali znów po swojemu w Alzacyi.

Żydzi francuscy powitali wielki przewrót z radością, spodziewając się od niego poprawy swojego losu. Wszakże wypisała rewolucya na swoim sztandarze »Prawa człowieka«, a i oni byli ludźmi. Nie od razu jednak spełniły się ich nadzieje. W drodze stanął im »antysemityzm« encyklopedystów, instruktorów rewolucyi, którzy nie byli za przykładem Voltaire'a filosemitami. Wiadomo, że »książe oświecenia« gardził Żydami, że stawiał ich obok »cyganów i złodziejów«. I lud francuski nienawidził Żydów. Zanim podburzony przez Jakobinów, zabrał się do »arystokratów«, rzucił się nasamprzód na lichwiarzów alzackich.

Znaleźli Żydzi potężnego obrońcę w talencie retorycznym Mirabeau'a, zjednali dla swojej sprawy księdza Grégoire, adwokata Thierry, hr. de Clermont-Tonnerre, Rabauda de Saint-Etienne i wszystkich masonów, a mimo to opierali się prawodawcy ich żądaniom. Nie pomogło i nawet na razie hurtowne »patryotyzowanie się«. Opowiada Leon Kahn w swojej historyi Żydów podczas rewolucyi *(Les juifs de Paris pendant la révolution)*, że Żydzi paryzcy starali się bardzo gorliwie o łaski »patryotów«, że brali czynny udział w demonstracyach patryotycznych, na posiedzeniach sekcyi (dzielnic) i klubów, że służyli nawet w komitecie »bezpieczeństwa publicznego«, jako sekretarze i w gwardyi narodowej. Zasługiwali się rewolucyi natrętnie, krzykliwie, a ona nie ufała im.

Wkońcu jednak przemogły zasady nowego prądu: żydowstręt Francuzów. W rok po wybuchu rewolucyi nadała Francya

nasamprzód Żydom bordoskim prawa obywatelskie (1790 roku), a w roku następnym wszystkim innym.

Spadkobierca rewolucyi, Napoleon Bonaparte, namyślał się jednak dość długo, zanim potwierdził wspaniałomyślny dar prawodawców rewolucyi. I miał do tego słuszne powody.

Bo oto minęło zaledwie kilka lat od uobywatelenia Żydów, a już zdążyli oni zrazić do siebie swoich dobrodziejów. W przeciągu tych kilku lat zrujnowali Żydzi alzaccy i lotaryńscy chłopa. Jeden tylko sąd sztrasburski subhastował w r. 1802, 1803 i 1804 posiadłości włościańskich za milion franków. Całe wsie przechodziły na własność lichwiarzów, pół Alzacyi jęczało w niewoli żydowskiej. Wówczas uczynił Napoleon I, oświecony syn oświeconej epoki, to samo, co czynili »barbarzyńcy średniowieczni«: wydał rozkaz, aby sądy umorzyły skargi i pretensyè żydowskie.

Dnia 6 kwietnia 1806 r. przemówił w Radzie Państwa: »Prawo powinno wszędzie wkraczać, gdzie dobrobytowi obywateli grozi ruina. Państwo nie może zachowywać się obojętnie, gdy naród, godny pogardy, niszczy dwa departamenty Francyi. Musimy Żydów uważać nie tylko za osobną sektę religijną, lecz obchodzić się z nimi, jak się obchodzi z obcym, osobnym narodem. Byłoby to zanadto wielkiem upokorzeniem dla ludu francuskiego, gdyby się miał dostać pod rządy najniższej ze wszystkich ras. Żydzi są rozbójnikami, istnymi krukami naszych czasów. Trzeba im wytrącić z rąk handel, który zniesławiają lichwą«.

A nazajutrz, dnia 7 kwietnia, mówił jeszcze do senatorów: »Już za czasów Mojżesza byli Żydzi lichwiarzami, chrześcijanie zaś zajmują się tylko wyjątkowo tem ohydnem rzemiosłem, za co spotyka ich pogarda współwyznawców. Zapomocą dysput filozoficznych nie zmieni się natury żydowskiej. W takich razach potrzeba praw wyjątkowych. Trzeba odjąć Żydom handel, jak się ukróca swawolę złotnika, fabrykującego towar fałszywy. Powtarzam raz jeszcze: nieuczciwe postępowanie Żydów nie jest winą tylko jednostek, lecz spada na cały naród, na jego charakter«.

Takie wyobrażenie o Żydach miał imperator, którego biust, wieńczyli Żydzi paryscy w synagodze, którego czyny opiewał

ich poeta, Eliasz Halery, w języku hebrajskim, którego nazywali swoim Mesyaszem. Oczywiście tylko dopóty, dopóki drżeli przed jego potężną ręką, po Waterloo bowiem zapomnieli o nim.

Mimo tej pogardy dla Żydów nie mógł się Napoleon sprzeniewierzyć tradycyom rewolucyi, z której wyszedł. Potwierdził po dłuższym namyśle ich przywileje obywatelskie, ale czuwał nad ich postępowaniem. Głównie lichwiarzów nie spuszczał z oka. W marcu 1808 r. wydał następujący dekret dla prowincyi nadreńskich: »Znosi się wszystkie długi zaciągnięte u Żydów przez małoletnich, kobiety i wojskowych. Sądom zabrania się przyjmować skargi lichwiarzów żydowskich. Kto wziął więcej nad 10%, temu nie wolno dochodzić swoich praw na drodze sądowej«.

Od r. 1791 korzystali Żydzi francuscy z równouprawnienia obywatelskiego, było to jednak tylko równouprawnienie teoretyczne. Właściwe ich wyzwolenie rozpoczyna się dopiero po r. 1830, po rewolucyi lipcowej.

Za przykładem Francyi poszła pierwsza Dania, która wyzwoliła Żydów już w r. 1814. W Niemczech wahano się długo, zanim zdjęto z nich prawa wyjątkowe. Ich równouprawnieniu opierali się tam Rotteck, Paulus, najnamiętniej zaś wychrzta, profesor Fryderyk Juliusz Stahl. Rok 1848 przełamał wstręt Niemców do Żydów, obdarzył ich pełnemi prawami obywatelskiemi. Norwegia wyzwoliła swoich Żydów w r. 1851, Portugalia w r. 1852, Anglia w r. 1858, Włochy w r. 1859, Węgry w r. 1867. Najdłużej opierały się ogólnemu prądowi Szwajcarya (do r. 1874) i Hiszpania (do r. 1876).

Od roku 1830 zaczyna się we Francyi nowa era w historyi Żydów oświeconych. Powstają teraz trzy nowe typy tego gatunku: Żyd-polityk, Żyd-dziennikarz i Żyd-spekulant. Pierwszy pcha się do władzy, drugi pomaga pierwszemu, trzeci korzysta w swoich spekulacyach z władzy pierwszego i reklamy drugiego.

Wszystkie te trzy typy posiadają wspólne rysy, wszystkie stroją się w piórka haseł rewolucyi francuskiej, mają ciągle na ustach: *liberté, fraternité, égalité,* są liberałami, postępowcami, filozofami w rodzaju Heinego, w razie potrzeby socyalistami i anarchistami, odgrywają rolę wolnomyślicielów i patryotów danego kraju, a właściwie snują dalej nić Mendelssohnów, Heinych,

Geigerów, — nić odruchowej nienawiści żydowskiej do całej kultury chrześcijańskiej i myślą zawsze i wszędzie tylko o sobie, o swoich interesach. Wciskają się one gromadnie do stowarzyszeń masońskich, dzielących razem z nimi nienawiść do chrystyanizmu wogóle a katolicyzmu w szczególności. Wszystkie odznaczają się niezwykłą ruchliwością, cisną się do przodu natrętnie, niecierpliwie, bez rozwagi, są śmiesznie aroganckie, wrażliwe i próżne, i dopełniają się nawzajem. Bardzo często zlewają się w jednej osobie wszystkie trzy, a idą zawsze razem, ławą w walce z kulturą i kieszenią chrześcijan. Sprawy finansowe odgrywają w tej walce główną rolę. Izrael kocha, jak wiadomo, ponad wszystko gotówkę.

Na tronie Burbonów zasiadł Ludwik Filip Orleański, syn Filipa Egalité, wielkiego mistrza »Wielkiego Wschodu«, rewolucyonisty z nienawiści do królowej Maryi Antoniny, sankiuloty ze strachu przed terorystami, — sam w latach pierwszej młodości jakobin i mason. Taki król nie mógł być »wstecznikiem«, musiał prowadzić dalej dzieło wielkiej rewolucyi.

Zrozumieli to Żydzi francuscy i stanęli śmiało, całą kupą na widowni politycznej. Adolf Izaak Crémieux, Maks Cerbeer, Achiles Fould, Benedykt Fould, Goudchaur, Michał Alean, Leopold Javal, Gustaw Fould, Maksymilian Königswater, Emil Pereïre, Eugeniusz Pereïre, Adryan Leon, Bamberger, Eugeniusz Lisborne, Edward Millaud, Alfred Naquet, Ferdynand Dreyfuss, Rafał Bischofsheim, Dawid Raynal, Emil Javal, Kamil Dreyfuss i Ferdynand Crémieux zasiadali w parlamencie francuskim jako deputowani. A ponad tą gromadą Żydów-polityków unosi się Żyd-finansista z wielkim workiem złota — paryski Rotszyld.

Żydzi-politycy, zrozumiawszy doskonale znaczenie prasy, postarali się przedewszystkiem o swoich ludzi w dziennikarstwie. Brząknąwszy trzosem, znaleźli więcej służalczych piór, niż im to było potrzebne. *La Presse*, *Constitutionel*, *Débats*, *Siécle* i inne dzienniki poszły bez oporu na ich żołd. Sprzyjał im zresztą wrogi tradycyom przeszłości prąd, świeży powiew liberalizmu, zwanego mieszczańskim, który ogarnął po r. 1830 intelligencyę francuską. Prasa urabiała dla nich opinię, a oni?

Byli obywatelami Francyi, nazywali się sami Francuzami,

posiadali pełną swobodę ruchów, w ich interesie leżało nie podkreślać zbyt jawnie swojej żydowskości, nie narażać się nikomu.

A oni, dorwawszy się władzy, starali się od razu znieważyć, poniżyć katolicyzm. Pospołu z masonami usunęli z konstytucyi artykuł wstępny, zowiący religię katolicką religią państwa i przeprowadzili pensye rządowe dla rabinów. Wiadomo, że Ludwik Filip zatwierdził tę reformę.

Pijani łatwą wygraną, spysznieli Żydzi od razu do tego stopnia, że zażądali przez usta swoich deputowanych, Mikhaud'a i Reinacha, zrównania rabinów, zwykłych naczelników drobnych gmin, w godności, w stopniu hierarchicznym z biskupami katolickimi, głowami rozległych dyecezyi, prowincyi. Tego jednak było za wiele nawet liberałom francuskim. Odmówili.

Kiedy Żydzi-politycy pracowali pospołu z masonami przy pomocy swojej prasy nad obaleniem, zburzeniem tradycyi chrześcijańskich, Żydzi-spekulanci rzucili się z drapieżnością kruków na cudze kieszenie. Zasłonięci liberalnem prawodawstwem, które wyzwoliło handel z pod wszelkiej kontroli — *laisser faire laisser aller* — komponowali karkołomne spekulacye, uprawiali grabież w wielkim, nieznanym dotąd w Europie stylu. *Grynderami* nazwano tych nowoczesnych piratów, rabujących bezpieczniej, wygodniej od zuchwałych bandytów morskich, bo nie narażonych na obronę napadniętych.

Paryski Rotszyld i bracia Emil i Izaak Pereïrowie byli pierwszymi »grynderami« XIX stulecia. Oni są twórcami tego typu, tego drapieżcy we fraku, który pożera, pochłania z cynicznym uśmiechem sprytu kupieckiego oszczędności, krwawicę milionów rąk, pracujących w pocie czoła, oni postawili giełdę, »zatrute drzewo« nowszych czasów, na czele handlu.

Pierwsze giełdy powstały w wieku XVI. Stworzyli ją Żydzi antwerpscy i amsterdamscy. Były to jednak tylko giełdy towarowe, ułatwiające sprzedaż i kupno rzeczywistych, istniejących wartości. Z początku sprzedawano tylko z ręki do ręki, wkrótce jednak pośredniczyła giełda także w zamówieniach.

Wielki rozmach giełdy w rozumieniu dzisiejszem rozpoczął się dopiero we Francyi, w r. 1852. Ohydną tę maszynę, tę nie-

nasyconą pijawkę i szulerkę epoki »oświeconej« puścili w ruch Rotszyld i Pereïrowie po założeniu *Crédit Mobilier*. Giełdziarze dzisiejsi usuwają t. zw. efekta, czyli istotne wartości na drugi plan, a wysuwają na pierwszy: akcye, obligacye, różne papiery spekulacyjne, czyli wartości niepewne, bardzo często fantazyjne. Ta niepewność pociąga za sobą spekulacyę, dzieckiem spekulacyi jest t. zw. gra giełdowa, skutkiem zaś gry giełdowej, hazardu, bywają zwykle »krachy«. Kto bogatszy, mocniejszy, bezwzględniejszy, ten przelicytowuje, przetrzymuje, rujnuje słabszego, uboższego, uczciwszego. »Wielkie ryby pożerają małe ryby« — nazywa się taka operacya, taka publiczna grabież w żargonie giełdziarskim.

Niedługo czekała Francya na pierwszy »krach«. Już w r. 1857 zatrzęsła się pod handlem ziemia, podminowana przez spekulacyę. Rotszyldowie, Pereïrowie zgarnęli setki milionów, a tysiące drobniejszych graczów wyszły z tego wyścigu za złotem runem z torbami.

Rok 1848 wyrzucił francuskich oświeconych Żydów na sam szczyt władzy. Bez żalu odwrócili się oni od Ludwika Filipa, swojego protektora, dobrodzieja, kiedy padł. Ich główny działacz polityczny, Crémieux, obwołał w ratuszu paryskim rzeczpospolitą i składał adres Rządowi Tymczasowemu w otoczeniu dygnitarzów masońskich (6 marca 1848 r.), za co mianowała go nowa rewolucya ministrem sprawiedliwości i pozwoliła mu przybrać do pomocy drugiego Żyda, Goud-Chaux'a, jako ministra skarbu. Doskonale gospodarował ten podskarbi francuski, bo jego rządy kosztowały Francyę w przeciągu dwóch miesięcy około 204 milionów franków, jak wykazał raport komisyi rewizyjnej.

I bez żalu odwrócili się oświeceni Żydzi francuscy od drugiej rzeczypospolitej, gdy ją Napoleon III obalił. Ani jeden z nich nie stanął w jej obronie. Zrobiła swoje — wyrzuciła ich na wierzch, dała im władzę, napełniła ich kieszenie. Murzyn może sobie odejść... I pod rządami cesarza, potomka rodu, stworzonego przez rewolucyę, można sobie żyć wygodnie i robić swoje interesa. Bonapartemu nie wolno cofnąć wstecz roboty ducha czasu.

Napoleon III nie cofnął »roboty ducha czasu«. Był przecież tak samo dzieckiem owego nowego ducha czasu, jak Francuzi

wyznania Mojżeszowego. Za jego panowania odgrywali Żydzi tak samo wybitną rolę, jak za rządów Ludwika Filipa. Crèmieux był ministrem sprawiedliwości, Juliusz Favre ministrem spraw zewnętrznych, Juliusz Simon ministrem oświaty, a naczelnikami ich kancelaryi i sekretarzami Żydzi: Leven, Lechman, Hendle, Manuel. I grynderom nie stawał Napoleon III w drodze. Pozwolił im bez oporu rabować Francuzów.

Nie wiadomo, czemu się więcej dziwić, czy niesłychanie sprytnej natarczywości Żydów, czy naiwności Francuzów. Boć trzeba być bardzo naiwnym, żeby pozwolić małej garstce świeżo upieczonych obywateli, z których jeszcze nie wszyscy mówili dobrze po francusku, gospodarować bez kontroli w wielkim kraju. Czar doktryn, dźwięcznych frazesów, kłamstw liberalnych odurzył, oślepił potomków wielkiej rewolucyi, iż nie słyszeli nic okrom natrętnego brzęczenia tych doktryn i frazesów i nie widzieli nic oprócz ich szychowego blasku.

A tych głośno brzmiących doktryn i błyskotliwych frazesów o wolności, równości, braterstwie, o przesądach i zabobonach chrześcijaństwa, o ciemnocie katolicyzmu, o szkodliwości duchowieństwa, o dobrodziejstwach światła filozoficznego, o nowej erze, która da wszystkim szczęście i t. d. sypali Żydzi tyle ze swoich gazet, że mogli tym lśniącym piaskiem zasypać oczy, nie umiejące patrzeć bez cudzych szkieł. Ich ludzie: Schiller. Wintersheim, Doltinger, Cerf, Lewita, Lewinsohn, Deutsch, Erdau opanowali wszystkie poczytniejsze pisma. Przeciętny Francuz nie wiedział nawet kto stoi za kulisami dzienników, z których on czerpie swoją mądrość i wiarę polityczną.

Zdawałoby się, że Żydzi francuscy, którym ich przybrana ojczyzna niczego nie odmówiła, dla których stała się nie tylko łaskawą dobrodziejką lecz wprost kochającą matką, zapomną o swojem pochodzeniu, stopią się bez śladu w narodzie francuskim, szczęśliwi, że pozbyli się nareszcie odrębności, która była ich klątwą, ich udręczeniem przez tyle wieków.

Tymczasem oni to właśnie założyli pod komendą Crémieuxa w r. 1860 ów »Związek powszechny izraelski« *(Alliance Israélité Universelle)*, który jest instytucyą czysto żydowską, opiekującą

się Izraelem całego świata, który utworzył w Paryżu tajemne seminaryum rabiniczne dla uczniów nadsyłanych z różnych krajów.

Ta opieka nad Żydami całego świata przynosi zaszczyt ich poczuciu wspólności z całym narodem żydowskim, ich przywiązaniu do wiary i tradycyi przodków, ale jakże wygląda ona wobec ich patryotyzmu francuskiego, wobec ich »oświecenia« i wolnomyślicielstwa, które narzucają innym wyznaniom?

Więc ich oświecenie, ich wolnomyślicielstwo, ich pozorna bezwyznaniowość kłamią, oszukują świadomie łatwowiernych innowierców? A kłamią, oszukują, aby zburzyć chrześcijaństwo i na jego ruinach wznieść »powszechną« świątynię Salomona.

Godłem *Alliance Israélite Universelle* jest para złączonych rąk i figura, przedstawiająca kulę ziemską, na której opierają się tablice Mojżesza.

Ostrożnością nie grzeszą sprytni skądinąd Żydzi, albo też są już tak pewni zwycięstwa nad chrystyanizmem, że nie uważają za potrzebne ukrywać się ze swoimi zamiarami i nadziejami.

Po raz trzeci zmieniła się we Francyi od roku 1830 forma rządu. Napoleon III oddał pod Sedanem szpadę królowi pruskiemu, Wilhelmowi I. I znów odwrócili się Żydzi francuscy od zwyciężonego cesarza z taką samą obojętnością, z jaką odwrócili się od zdetronizowanego króla i od obalonej rzeczypospolitej. Cóż ich mógł obchodzić? Nie był przecież Żydem. I nie mogli już na nim nic zarobić. Nie mieli zresztą powodu żałować cesarza, bo trzecią rzecząpospolitą zawładnęli ich przyjaciele, podzielający ich przekonania, dążności i wstręty — masoni, osobiści wrogowie Krzyża. Teraz dopiero zaczną sobie używać pełni swobody ...

To samo mniej więcej widowisko powtórzyło się w Niemczech, w ciaśniejszych tylko ramach. Rozważniejszy od Francuza, nie tak łatwo, jak on, do ładnych frazesów zapalający się Niemiec, uległ wprawdzie duchowi czasu, dał Żydom równouprawnienie, nie dopuszczał ich jednak do władzy. Jedynie parlament stał się w Berlinie areną popisu przekonań i dążności »oświeconego Niemca wyznania Mojżeszowego«.

Na pierwszy plan wysunęły się teraz w Niemczech ostatnie trzy typy oświeconego Żyda: polityk, dziennikarz i spekulant.

Polityk przystał oczywiście do stronnictwa najsilniejszego, rządzącego w danej chwili, do narodowo-liberalnego *(national-liberal)*, które rozdawało krzesła poselskie, dziennikarz pomagał mu, a spekulant korzystał z owoców zabiegów i wpływów pierwszego i drugiego. Tak samo, jak we Francyi.

I tak samo, jak we Francyi, starali się Żydzi niemieccy zawładnąć najsamprzód prasą, urabiaczką opinii publicznej. Ich prasa była naturalnie oświeconą, liberalną, wolnomyślną, bezwyznaniową, bezprzesądną filozofką, *recte* wrogiem całej kultury chrześcijańskiej i zabobonów wszelkich wyznań wogóle, z wyjątkiem znów naturalnie, mozaizmu.

Chwila sprzyjała zachłannej chciwości żydowskiej.

Bismarck, potrzebujący ciągle wojska i pieniędzy, pieniędzy i wojska, nie miał czasu wglądać w plany ambitników i spekulantów. Sposobiąc się już od dawna do wojny z Francyą, nie mieszał się do spraw wewnętrznych. Róbcie sobie, co chcecie, bylebyście moje żądania popierali...

Zrozumieli to Żydzi, rzucili się gromadnie do prasy, do parlamentu i ukuto w kilka lat pod pozorem ustaw liberalnych, mnóstwo praw, które głównie ich handlarzom służyły. Kiedy armia niemiecka przekraczała Ren, spiesząc pod Wörth i Gravellotte, myśleli oświeceni Niemcy wyznania Mojżeszowego tylko o tem, jakby się prędko, bez pracy zbogacić. Osławione prawo akcyjne *(Actiengesetz)* ukuto na miesiąc przed wypowiedzeniem wojny Francyi (11 czerwcą 1879 r.)

Liberałom wyznania Mojżeszowego chodziło przedewszystkiem o to, aby rozwiązać ręce spekulacyi finansowej, odwrócić od niej ciekawe i czujne oko prokuratoryi. Tej operacyi dokonało prawo akcyjne *(Actiengesetz)* dozwalające każdemu zakładać banki, puszczać w świat miliony pozornych wartości, komponować przedsiębiorstwa (*Gründungen*... stąd nazwa »gryndera«), jakie mu się tylko podoba, słowem, okłamywać, oszukiwać, ograbiać łatwowiernych bez nadzoru policyi i sądów.

Spekulacya bez giełdy, jest jak maszyna bez motoru, jak zegar bez wskazówek, jak febra bez gorączki. Przez dwieście lat miał w Niemczech tylko Hamburg swoją giełdę. Następnie przy-

były giełdy we Frankfurcie nad Menem i w Lipsku. Giełda berlińska powstała dopiero w r. 1863.

I tej giełdzie trzeba było rozwiązać ręce i uwolnić ją od wszelkich ciężarów.

Postarał się o to liberalizm niemiecki, zostający pod wpływem Żydów.

Najdrobniejszy kramarz musi opłacać koncesyę i znosić nad sobą kontrolę policyi, a giełdziarza nie pyta nikt o urzędowe pozwolenie.

Najdrobniejszy kramarz musi ze swojego ubogiego zarobku opłacać podatek dochodowy, a giełdziarza, obracającego codziennie krociami, uwolniło prawodawstwo liberalne od podatków, cła i stemplów.

Policya i komisye sanitarne posiadają prawo poddawać rewizyi każdy produkt, każdy artykuł spożywczy, a papierów giełdowych nie wolno nikomu dotknąć, chociaż wiadomo powszechnie, że połowa tych skomponowanych na prędce przez spekulacyę »efektów« należy do gatunku wartości podejrzanych.

Liberalizm — cnotliwy! — gardłował przeciwko domom gry w Homburgu i Wiesbadenie, przeciwko loteryom, które »demoralizują maluczkich« — świętoszek! — ale giełdę, największy dom gry, najhazardowniejszą loteryę, zasłaniał ładnymi frazesami zasianym płaszczem »wolności handlu i przemysłu«.

A. Taling, fachowiec, redaktor berlińskiej *Börsenzeitug*, mówił o giełdzie: »Tak zwane interesa czasowe są prostą grą na loteryi, a nawet zwykłymi zakładami, giełda bowiem nie jest nawet w stanie dostarczyć tyle efektów, ile ich spekulacya pożera«.

Inny znawca giełdy, Otton Swoboda, pisał: »Operacye spekulacyjne są zaprzeczeniem elementarnej uczciwości kupieckiej, giełdziarz bowiem, grając, niema wcale zamiaru umieszczania swojego kapitału na giełdzie. Albo nie posiada nabywanych i sprzedawanych efektów, albo nie myśli o rzeczywistem zakupnie. Najczęściej niema nawet zgoła pieniędzy. Gra po prostu w hazard ze szkodą właścicieli efektów, którymi zabawia się, jak piłką, przerzucając je między *haussą* a *baissą*«.

Liberałowie niemieccy znali, rozumieli bardzo dobrze taje-

mnice spekulacyi giełdowych, bo któżby nie rozumiał tak prostych rzeczy, w imię jednak »wolności handlu« osłaniali zatrute drzewo swoją protekcyą.

Zaraz po sankcyonowaniu prawa akcyjnego, rozpoczęła się nagonka na cudze kieszenie.

Prasa żydowska trąbiła codziennie o znakomitych przedsiębiorstwach, o nadzwyczajnych spekulacyach. Cały legion kolporterów, kamelotów, agentów rozsypał się po kraju, rozrzucając wszędzie, po miastach, miasteczkach, osadach i wioskach plakaty, ogłoszenia, o świetnych, brylantowych *Gründungen*, które przyniosą niebywałe dywidendy, majątek, miliony. Tylko kupujcie akcye, dawajcie mamonę...

Jaki taki, posiadając trochę uciułanego grosza, otumaniony obietnicami, kupował akcye i papiery zagraniczne. Giełda berlińska rzuciła na targ niemiecki prawie wszystkie papiery spekulacyjne Europy i Ameryki.

Rozpaliwszy fantazyę Niemca i podnieciwszy jego apetyt na łatwy zarobek, postarali się spekulanci o firmy, któreby osłoniły sobą ich robotę. Ten i ów książę, hrabia, wysoki urzędnik, mający takie wyobrażenie o kupiectwie, jak dziecko o życiu, dał się złowić na wędkę wysokiej pensyi i zasiadł w radzie nadzorczej przedsiębiorstwa, którego znaczenia nawet nie rozumiał.

Zrazu szła robota spekulantów tępo. Lecz kiedy wojska niemieckie rzuciły Francyę o ziemię i zdobyły pięć miliardów franków, poszedł cały naród niemiecki, pijany zwycięstwem, oślepiony złotem francuskiem, bałamucony przez gazety, w zastawione przez spekulantów sieci.

Wielkie zrazu zyski, które grynderzy rozmyślnie hojną ręką rozdawali, obałamuciły naród do reszty. *Febris aurea* zatrzęsła do tego stopnia rozważnym zwykle »Michałkiem«, iż nawet instytucye w założeniu uczciwe, jak banki ludowe, spółki spożywcze, kasy oszczędności i stowarzyszenia Schultze-Delitscha nie wahały się rzucić krwawego grosza ubogich na zwodniczą, ruchomą falę spekulacyi. W przeciągu dwóch lat 1871 i 1872 r. skomponowali »grynderzy« 780 towarzystw akcyjnych czyli dwa razy tyle, ile takich przedsiębiorstw powstało w Prusach w przeciągu lat stu.

Sam Strausberg puścił w ruch za 65 milionów talarów akcyi kolejowych, na których Niemcy straciły 45 milionów.

Mało było spekulantom grosza prywatnego. Zachciało im się także zastukać do skarbu państwa i wytrząść z niego tyle, ileby się tylko dało.

Do głównych klęsk, jakie prawodawstwo liberalne zadało skarbowi Niemiec, należy zamiana dawnego systemu monetarnego na nowy.

Twórcą tego dzieła był Żyd, Ludwik Bamberger, »wielki patryota niemiecki«, uczestnik rozruchów rewolucyjnych z r. 1848, uciekinier z pola bitwy, jeden z prowodyrów stronnictwa narodowo-liberalnego. Poparty przez dwóch innych *leaderów* stronnictwa rządzącego, przez Laskera i Sonnenmanna (także Żydów), nie znalazł trudności w przeprowadzeniu swojego planu. Głosy zresztą, sprzeciwiające się jego pomysłowi, »zabijali milczeniem« sprawozdawcy stenograficzni parlamentu (Żydzi), opuszczając je w sprawozdaniach lub przykrywając je niejasnymi frazesami.

Na mocy nowego prawa monetarnego *(Münzgesetz)* kazał rząd pościągać wszystkie dotychczasowe monety srebrne i przetopić je na inne. Nie byłoby w tem nic złego, gdyby wartość srebra została ta sama. Ale giełda, ukochane dziecko i powolna sługa Żydów, postarała się o to, żeby srebro spadło.

Drobną monetę srebrną zastąpiono niklem. A dlatego niklem, bo trzech Żydów, Maks Nolda, Juliusz Pickard i R. A. Seelig posiadało w Naumburgu nad Bobrem bankrutującą kopalnię niklu, w której radzie nadzorczej zasiadał wuj Bambergera, Bischofsheim.

Wojna ze srebrem, zamiana srebra na nikiel i złoto, kosztowało skarb niemiecki około 200 milionów marek, jak wykazał prezydent *Reichsbanku*, von Deschand. Nie wchodzi w tę cyfrę obniżona wartość srebrnych naczyń: łyżek, widelców, cukiernic, świeczników i t. d.

Całą tę górę pieniędzy rozdrapała gromada bankierów żydowskich, pośredniczących przy zamianie srebra na złoto. Uszczknął z niej także sporą kupkę patryota Bamberger, założyciel banku niemieckiego *(Deutsche Bank)*.

I jeszcze było tego deszczu złota za mało grynderom ży-

dowskim. Bank rządowy *(Reichsbank)* opanowali, nawet w patryotycznym funduszu dla inwalidów *(Invalidenfonds)* maczali chciwe palce i tam dalej, i tam dalej.

I o wyzwoleniu z lichwy także pamiętali. Już w r. 1867 zniósł parlament ówczesnego północno-niemieckiego związku wszystkie dawniejsze prawa, ograniczające dowolne pobieranie procentów. Niech się i drobne płotki handlarskie pożywią, kiedy się wielkie ryby spekulacyi pluskają wesoło w morzu złota.

A wszystko to działo się w imię wolności, postępu, »świętych praw człowieka«. Sztandarem liberalizmu powiewała ohydna grabież, dokonywana na łatwowiernych i ubogich.

Mieli grynderzy niemieccy bardzo zręcznego, przebiegłego, wygadanego sprzymierzeńca i obrońcę w Edwardzie Laskierze, szefie swoich polityków.

Urodzony w r. 1829 w Jarocinie, w Poznańskiem, kształcił się Lasker w uniwersytecie wrocławskim na prawnika. Wybrany w r. 1865 do sejmu pruskiego, poświęcił odtąd cały swój czas polityce.

Pokaźnym nie był. Nizkiego wzrostu, krępy, przysadzisty, krzywonogi, kędziarzawogłowy, szpetny, robił wrażenie komiczne. Lecz niezwykły talent krasomowczy, bystrość umysłu i cięty, Heinowski dowcip, zjednały mu posłuch w stronnictwie narodowo-liberalnem i respekt grynderów, zwłaszcza, że popierał swoim talentem ich sprawy. On to wyzwolił lichwę, on był głównem natchnieniem wszystkich »swobód«, któremi liberalizm uszczęśliwił Niemców między r. 1867 a 1873, on kuł razem z Bambergerem wszystkie ustawy akcyjne, bankowe i giełdowe, on wkońcu bronił z całą przebiegłością potomka talmudystów grynderów, gdy przyszło otrzeźwienie.

Bo otrzeźwienie przyszło. Spowodował je »krach« wiedeński z r. 1873. Zatrzęsła się po raz wtóry pod oszukańczą spekulacyą ziemia, a tym razem tak silnie, że jej przedsiębiorstwa padały, sypały się w gruzy, niby domki z kart. Kilkudziesięciu pierwszorzędnych grynderów, »wielkich ryb«, zgarnęło owoc pracy całego narodu, reszta zaś poszła z kwitkiem. Kilka tysięcy kupców i przemysłowców straciło cały majątek, wielu odebrało sobie życie, inni

leczyli się w więzieniach ze złotej gorączki. Dwa tysiące milionów talarów (sześć miliardów marek) kosztowała Niemców wolność handlu. Nie tyle zdobyły na Francyi wojska niemieckie.

Nie dość olbrzymich strat materyalnych. Gorsze były moralne. Stan urzędników pruskich, znany dotąd z bezwzględnej uczciwości, z obowiązkowości, zachwiał się w dawnych tradycyach. Zepsucie zaczęło się od góry. Wiadomo, że ministrowie finansów stawali w obronie grynderów. Złoto demoralizuje człowieka, jest na żołdzie dyabła. Kiedy jeden z posłów wzywał rząd, aby się zaopiekował wyzyskiwanymi, minister Delbrück zażył tabaki i rzekł: »Dlaczego się głupcy pozwalają oszukiwać? Niech się sami bronią«. Homeryczny śmiech 105 grynderów, zasiadających na ławkach sejmu, wtórował tej cynicznej odpowiedzi.

Prezydent policyi: hanowerskiej, berlińskiej i magdeburskiej, von Wurmb, von Brand i von Gerhardt, byli członkami grynderskich rad nadzorczych; tak samo książęta Biron i Pütbus i długi szereg arystokratów i wysokich biurokratów. Pensye przecież członków rad nadzorczych wynosiły trzy razy tyle, ile pensye ministrów. Oszuści i złodzieje, wiedzieli, czem się ludzi bierze.

Sławiona dotąd uczciwość niemieckiego handlu i przemysłu straciła dawny blask. Kredyt stał się czczą marą, podpis znanej poprzednio i szanowanej firmy przestał budzić zaufanie. Ludzie nie wierzyli sobie nawzajem. Bo przecież ten mądry, kto drugiego wyprowadza w pole, kto sprzedaje lichy towar. Sumienność niemieckiego rękodzielnika stała się legendą, czego świadectwem była wystawa amerykańska, która przyczepiła, jak wiadomo, do wyrobów niemieckich obelżywą etykietę: *billig aber schlecht.*

Takie owoce wydał kilkoletni szał grynderski.

Odzywały się wprawdzie tu i ówdzie podczas owego szału głosy uczciwe, rozważne, nawołujące do opamiętania, ale któż słuchałby w chwilach podniecenia głosów uczciwych i rozważnych!

Dopiero »krach« wiedeński lunął zimnym tuszem na rozpalone do czerwoności głowy dyletantów, nowicyuszów w spekulacyi — otrzeźwił je. Wówczas padł siny strach na grynderów

i ich otoczenie. »Dzieło wolności może zginąć, czarna reakcya może się znów odezwać«. Ratuj, wielki Laskerze!

Wielki mały Lasker nie dał się prosić. Broniąc przecież grynderów, bronił swoich. Ale jak bronić? On, co nazywał sam siebie »nieprzedajnym, czystym, dobrych obyczajów tarczą«, jak się niegdyś Robespierre nazywał, wiedział bardzo dobrze, że jego przyjaciele nie byli nieprzedajnymi, że nie mieli czystych rąk, że drwili z dobrych obyczajów, — znał doskonale tę plugawą bandę piratów giełdziarskich i tych hałaśliwych szczekaczów liberalnych. Obrona spekulantów równałaby się ich porażce wobec rezultatów krachu wiedeńskiego.

Wielki mały Lasker, potomek talmudystów, przesiąkły subtelną kazuistyką chederów, poradził sobie inaczej, i to bardzo sprytnie. Odbił on cios, zwrócony przeciw właściwym grynderom, odrzucając go w stronę Bogu ducha winnych członków różnych rad nadzorczych.

Siedziało tych członków różnych rad nadzorczych, którymi się grynderzy posługiwali jako wabikami, dużo w izbie panów i w sejmie. Żaden z nich nie miał wyobrażenia o handlu, o giełdzie, o spekulacyi, o efektach i t. p. mądrościach szachrajskich, wszyscy podpisywali prospekty, dokumenty, nie wiedząc, co podpisują, byli pionkami, narzędziami w ręku świadomych oszustów. Zawinili tylko tem, że olśnieni wysokiemi pensyami, dawali piratom nierozważnie swoje nazwiska.

Zbyt sprytnym był Lasker, żeby o tem nie wiedział, a mimo to zepchnął całą winę klęski właśnie na tych słomianych spekulantów.

Z arogancką bezczelnością Żyda stanął w lutym 1873 roku na mownicy parlamentarnej i wygłosił swoją słynną mowę, swoje *Enthüllungen.* Z dowcipem Heinowskim, z ciętością zjadliwego języka odmalował tajemnice zakulisowe spekulacyi, jej środki i środeczki, jej cynizm, a kiedy skończył ów ciekawy obraz, wskazał palcem kilku słomianych grynderów, siedzących na ławach sejmowych, wołając: *da ich Namen liebe!*

Fortel udał się na razie. Sfery zachowawcze, do których owi

słomiani spekulanci należeli, uderzone jakby obuchem w głowę, oniemiały z przerażenia.

Był wielki tryumf w obozie narodowo-liberalnym. Jego dzienniki, organy prawdziwych grynderów, darły się na cały głos: patrzcie, jakich to reprezentantów ma szlachta niemiecka! Mały Lasker wyrósł do rozmiarów olbrzyma. Porównywano go z Symeonem, Machabeuszem i wszelakimi bohaterami starego zakonu. Tak się Symeon, Machabeusz zapalił do swojej nowej roli, że stracił przytomność. »Chodzi mi tylko o dobro narodu, a nie o cele stronnictwa — wołał wkrótce po sławnych *Enthüllungen.*— Gdybym wiedział, że pomiędzy moimi przyjaciółmi znajdują się grynderzy, wymieniłbym ich także«.

Było Niemcom za wiele tej bezczelności. Ktoś zawołał: wymień!

I oto zrobiła się nagła cisza. Symeon, Machabeusz położył po sobie uszy, przerwał swoje »odkrycia«, zamilkł.

Teraz oprzytomnieli Niemcy. Pierwszy pan von Ludwig odparował cios. I on wystąpił przeciw spekulantom, ale wymienił właściwych grynderów. Z krzykiem i wrzawą zrozpaczonych bankrutów rzuciły się na niego dzienniki narodowo-liberalne. »Najnikczemniejszy i najbezczelniejszy gwałt rodzi się pomiędzy przeciwnikami liberalizmu, podłe oszczerstwo, ohydne plotkarstwo szerzy się pomiędzy ludźmi«... »denuncyacya i skandal stały się źródłami zarobku i rewolwerem politycznym«... »cała hałastra narodu niemieckiego złączyła się, aby zniszczyć stronnictwo uczciwych ludzi«... wykrzykiwały. Pana von Ludwig nazwały waryatem, niegodziwcem, głupcem, któremu braknie piątej klepki... Patrz narodzie niemiecki, chcieliśmy cię skąpać w złocie, zrobić najbogatszem społeczeństwem w Europie, a oni, czarni reakcyoniści, średniowieczni zacofańcy, łotry, waryaci, głupcy śmią nas posądzać o zamiary osobiste — skarżyły się. *National Zeitung* pisała, że pan von Ludwig cierpi na pomieszanie zmysłów i żądała od prezydenta sejmu, żeby »przedsięwziął przeciwko szaleńcowi odpowiednie środki«.

Tylko podrażnieni Żydzi umieją się bronić w taki sposób. »Łotrem w płaszczu cnoty« *(Hallunke im Tugendmantel)* był każdy, kto ośmielił się dotknąć końcem palca wrzodu spekulacyi.

Ale te krzyki, te wymyślania, ten syk żmii, broniących swojego gniazda, nie zamknęły ust ludziom odważnym. Za panem von Ludwig odezwał się pan von Diest, posypały się artykuły dziennikarskie i broszury, przyszły wkońcu straszliwe dla nowoczesnych piratów książki Ottona Glagaua: *Des Reiches Noth und der neue Kulturkampf, Liberale Freiheiten, Deutsches Handwerk und historisches Bürgerthum,* które wykazały dokumentami, że »stronnictwo uczciwych ludzi« ograbiało systematycznie, z planem naród i że w sztabie tego stronnictwa zasiadali Żydzi. Nie pomógł Żydom ich czynny, bardzo gorliwy udział w *Kulturkampfie,* w walce z katolicyzmem, który miał odwrócić uwagę kraju od ich giełdy, ich grynderstw. Po r. 1880 odezwało się znów w Niemczech stare: *hepp, hepp!* hurra na Żydów.

Odurzeni powodzeniem we Francyi, chcieli Żydzi zdobyć także Niemcy wstępnym bojem. Nie udała im się sztuka. Zbyt niecierpliwie, zbyt nerwowo, bez rozwagi, z niepohamowaną arogancyą i chciwością swojej rasy, rzucili się do roboty i przegrali kampanię. Niemcy nie są Francuzami. Myślą wolno, ale gruntownie. Nie odjęli oni wprawdzie Żydom pełnych praw obywatelskich, ale nie dopuszczają ich do władzy. Ministrów, jenerałów żydowskich i wysokich urzędników niema dotąd w Niemczech. »Michałek« nie lubi Izraela, trzyma go od siebie z daleka, *drei Schritt vom Leibe...*

Po ostatniem *hepp, hepp!* niemieckiem, po r. 1880 ochrzciło się znów dużo Żydów ze strachu przed widmem antysemityzmu.

Z gruzów »krachów« giełdowych wyszedł nowy typ Żyda oświeconego. Ten i ów grynder, bankier, giełdziarz, któremu się udało wymknąć się bez szwanku z pełną kiesą z pogromu finansowego, pomyślał sobie: niech licho weźmie politykę żydowską i ideały żydowskie, za które trzeba ciągle dygotać ze strachu, bo nie wiadomo nigdy, kiedy się gojom sprzykrzą. Jego, służkę złotego cielca, obchodziły polityka, filozofia taka czy owaka, różne hasła tylko o tyle, o ile pomagały mu łupić łatwowiernych. Nałupił ich dosyć, zdobył dosyć mamony. Teraz potrzeba mu spokoju, aby mógł używać bez obawy darów złota i stosunków, koligacyi, godności, orderów, tego złota koniecznej okrasy. Bo czemże

złoto bez blasku wybitnego stanowiska w społeczeństwie, w towarzystwie, w t. zw. świecie?

Grynder, bankier, giełdziarz ma krocie albo nawet miliony, i córki, a nie wszyscy synowie domów historycznych, wielkich nazwisk dziedzice posiadają krocie, miliony, które lubią, które im są potrzebne do podtrzymania splendoru rodu. Doskonały interes! Córka da krocie, miliony, zięć koligacye, stanowisko towarzyskie, stosunki, a z koligacyi i stosunków wykwitną ordery i godności, które zakryją błotniste źródło mamony.

Tak powstał nowy typ oświeconego Żyda, — typ koligacyonowany.

Złapawszy jakieś ubogie książątko, hrabiątko, w najgorszym razie jakiegoś szlachcica na zięcia, odwraca się grynder, bankier, giełdziarz bez żalu od wszystkich tradycyi żydowskich z ich posłannictwem wszechświatowem, z ich Syonem. Jest przecież »oświeconym« na modłę tych z pod »namiotu midyanitów«, cały rejwach ideowy obchodzi go tyle, co »efekta« bez wartości.

Niech się golcy bawią w idee i tym podobne bzdurstwa. Praktyczniej dać nura pomiędzy gojów, aby mieć święty spokój.

## VI.

Bilans oświecenia żydowskiego — Drażliwość żydowska — Omyłka w. XIX.

Przeglądając historyę oświeconego Żyda ostatnich stu lat, dochodzi się do bardzo smutnych rezultatów. Oświecony Żyd odgrywa w tym czasie rolę owej kostniejącej z zimna żmii, która, przygarnięta, przytulona, ogrzana, kąsa miłosierne łono, wracające mu ciepłem swojem życie. Przygarnęły go, przytuliły, ogrzały, wróciły mu życie społeczeństwa chrześcijańskie, a on zapłacił im za tę dobroć niewdzięcznością. Wziął od cywilizacyi i kultury chrześcijańskiej wszystko: wiedzę, metody naukowe, sztukę, literaturę, równouprawnienie polityczne, zwyczaje i obyczaje, a zachowywał się wobec tej adoptowanej cywilizacyi i kultury z nienawiścią urodzonego, dziedzicznego wroga.

Już pierwszy oświecony Żyd, Mojżesz Mendelssohn, pieszczony, psuty przez chrześcijan, niby ukochany Benjaminek ro-

dziny ludów nowoczesnych, miał dla chrześcijaństwa tylko pogardę, lekceważył je, znieważał. Tak samo jego następcy, jego uczniowie, t. z. Żydzi reformowani z Ahrahamem Geigerem na czele. Cała ich reforma polegała na usunięciu z judaizmu drobiazgów rytualnych. Pod każdym innym względem nie przestali być potomkami talmudystów z całym bagażem ich megalomanii, arogancyi, »wybranego narodu« i nienawiści do innowierców. »Oświecenie«, dziecko tolerancyi, wzięte od chrześcijan, nie opromieniło ich duszy blaskami uczciwej pobłażliwości. Wszyscy uczeni żydowscy XIX stulecia ze szkoły Mendelssohna i Geigera, zajmujący się historyą, teologią, archeologią i literaturą Izraela, jak Salomon Löwisohn, Markus Jost, Hirsch Grätz, Steinheim, Krochmal, Rapaport, Dawid Luzzato i inni ujadali na chrześcijaństwo. Jedyny Lenn Halévy, syn poety Eliasza, Żyd francuski *(Resumé de l'histoire des juifs anciens et modernes)* umiał zachować w krytyce innych wyznań miarę właściwą.

Ta nienawiść do chrześcijaństwa spotęgowała się w drugiem pokoleniu oświeconych Żydów, przeszła w szał. Głównym typem tych opętańców był Henryk Heine, a jego potomstwem duchowem jest cała sfera publicystów i dziennikarzów żydowskich drugiej połowy XIX stulecia, która rzucała się przy każdej sposobności z furyą podrażnionych ogarów na kulturę chrześcijańską. Płaskie, zdawkowe hasła liberalne i płytka frazeologia bezwyznaniowa były i są dotąd bronią tego gatunku. Z tysięcy, bijących bezustannie źródeł, z broszur i dzienników, tryska ten jad oświecenia *sans Dieu et maître* i rozlewa się tysiącami kanałów po całej Europie i Ameryce, podmywając wszędzie wspaniałe drzewo kultury chrześcijańskiej.

Gorszycielami, trucicielami duszy chrześcijańskiej byli oświeceni Żydzi XIX stulecia, zajmujący się nauką, publicystyką i dziennikarstwem. Czepiali się oni zawsze wszelkich doktryn i teoryi wywrotowych, czy filozoficznych, czy politycznych albo społecznych. Gdzie się coś rysuje, pęka, kruszy, wali, gdzie wichrzą, albo ateizm, albo materyalizm, albo nienawiści klasowe, tam stoją oni zawsze do apelu, jako hałaśliwi pomocnicy. Nie tworzą oni wprawdzie chwil wywrotu, chaosu, burzenia, lecz korzystają z nich

zręcznie dla swoich celów. I w najnowszej formie wywrotu społecznego, w socyalizmie i anarchizmie, odgrywają rolę pierwszorzędną. Żydzi Lassalle i Marx szli przodem socyalizmu, nie przez nich zbudowanego.

Kiedy oświeceni uczeni, publicyści i dziennikarze żydowscy przygotowywali grunt pod robotę rozkładową, zaszczepiając w duszę społeczeństw chrześcijańskich jad niewiary, bezwyznaniowości i anarchizmu — *tabula rasa* — politycy żydowscy i cała finansiera, bankierzy, grynderzy, giełdziarze, lichwiarze, rzucili się z żarłocznością głodnego robactwa na dorobek materyalny, na owoce pracy narodów chrześcijańskich, zniesławiając liberalizm i handel. Politycy kuli prawa, wyzwalające handel, spekulacyę, lichwę i giełdę z pod kontroli prokuratora, a finansiera ograbiała pod osłoną tych praw Europę i Amerykę z bezwzględnością, z zuchwalstwem piratyzmu. Dwa razy w przeciągu lat trzydziestu (1852 i 1873 r.) zasypały »krachy«, wywołane przez spekulacyę żydowską, Europę gruzami zburzonych majątków i przedsiębiorstw.

Niewesołym jest bilans oświecenia żydowskiego ostatnich stu lat. Wykazuje on, że Żyd oświecony był tak samo nieprzejednanym wrogiem społeczeństw chrześcijańskich, jak nieoświecony, jak prawowierny, niereformowany, z tą tylko różnicą, że był szkodliwszym. Wciskając się jako filozof, uczony, publicysta, dziennikarz, polityk, bankier, spekulant pomiędzy chrześcijan, nie tylko ograbiał ich tak samo, jak nieoświecony, ale zatruwał ich duszę, gorszył ich, rwał z całą świadomością przędzę naturalnej ewolucyi ich kultury. Oświeceni chrześcijanie, oklaskując liberalizm żydowski, nie opatrzyli się, nie spostrzegli, że ten rzekomy liberalizm był tylko podstępną taktyką w walce z Krzyżem.

A było nie trudno spojrzeć w karty gry żydowskiej, Żydzi bowiem, oślepieni powodzeniem, nie uważali wcale za potrzebne zakrywać tej gry.

Rzecz zadziwiająca, ile czasu było potrzeba do odkrycia tej jasnej, prostej gry. Tłumaczy się to tylko oświeconem zaślepieniem oświeconych chrześcijan. Bo wystarczało zwrócić baczniejszą uwagę na apologię judaizmu przez Mendelssohna lub na pianą

nienawiści obryzgane *witze* Heinego, aby zrozumieć psychologię oświeconego Żyda.

We wszystkich broszurach i artykułach publicystów i dziennikarzów żydowskich, przyznających się chełpliwie do bezwyznaniowości, gardłujących namiętnie przeciw wszelkiej nietolerancyi, zdumiewa ich drażliwość żydowska i nietolerancya w stosunku do chrześcijaństwa.

Publicysta, dziennikarz żydowski skrytykuje, wydrwi, opluje bez wahania wszystko i wszystkich: religię, wyznania, narody, rządy, stany, duchowieństwo, szlachtę, mieszczaństwo, chłopa. Nie ma tej świętości innych wyznań, innych narodów, na którejby jego *witz* nie próbował swojej siły, ale niech tylko jakiś nie-Żyd dotknie gdzieś końcem palca jakiegoś Żyda, podnosi zaraz taką wrzawę, jakgdyby się świat przewracał do góry nogami. Wiemy, co się działo w Niemczech po »krachu« wiedeńskim, kiedy się Ludwig, Diest, Rholing i Gladau zabrali krytycznie do Żydów, wiemy, jaki rejwach wszczął cały Izrael świata z powodu Dreyfussa, jak się pieni z wściekłości, gdy ktoś gdzieś bierze za kołnierz Żyda. Cały naród żydowski, nieoświecony i oświecony, zlewa się wówczas w zwartą ławę i rusza do wspólnej obrony. Nawet tacy Żydzi, którzy nie cierpią Żydów, jak Heine, Lassalle, Marx i cała wielka finansiera, stają po stronie »swojego«.

Ta solidarność i ta przedrażliwość narodowa byłyby bardzo chwalebne, gdyby się nie kłóciły z elementarnemi zasadami asymilacyi i »oświecenia«. Bo cóż oświeconego Niemca, Francuza, Polaka i t. d. mojżeszowego wyznania może, powinien obchodzić jakiś oszust, lichwiarz, grynder, zdrajca żydowski innej narodowości? Chyba nic. My przecież, chrześcijanie nie bronimy nawet swoich grzeszników i zbrodniarzów. Są od tego sądy, żeby się z nimi rozprawiły.

Co dziwniejsza, że Żyd oświecony, który, brawując bezwyznaniowość, zasypując oczy innowierców błyskotliwym piaskiem ateizmu i materyalizmu, powinien być obojętnym na wszystkie wyznania, nie pozwala także dotknąć końcem palca mozaizmu. Katolicyzm, protestantyzm, mahometanizm i t. d. wyszydzi, nazwie

przesądem, zabobonem, kopie z rozkoszą, ale od mozaizmu innowiercom wara.

Nawet w drobiazgach nie znosi Żyd, krytykujący chętnie wszystko i wszystkich, urodzony drwiarz i cynik, krytyki innowiercy, drażliwy aż do śmieszności. Taka niewinna komedya, jak »Złoty Cielec«, albo taki zabawny monolog Klemensa Junoszy, jak »Pani Piperment na wodach w Ciechocinku«, zwykła sobie, wesoła farsa, wywołują w teatrach, na estradach namiętne protesty.

Nie wolno tknąć innowiercy Żyda. Wstecznikiem, zacofańcem, wrogiem światła, kultury, siewcą ciemnoty, zbrodniarzem jest każdy, kto się ośmieli dopuścić obrazy majestatu »wybranego narodu«.

Od czasu do czasu zjawia się wpośród Żydów jakiś Uriel Acosta, Spinoza, Gans, Zunz, Moser, jakiś Leopold Caro, jakiś reformator, ale protest tych buntowników przechodzi bez wrażenia. Wszyscy ci idealiści żydowscy albo giną, wyklęci, albo chronią się przed nienawiścią Izraela pod opiekuńcze skrzydła Krzyża. Przeciętny intelligent żydowski, choćby był nawet przekonanym bezwyznaniowcem, nie tylko niema odwagi zbuntować się jawnie przeciw mozaizmowi, lecz przeciwnie, solidaryzuje się pod każdym względem z tradycyami narodu żydowskiego — jest, zostaje w duszy Żydem.

Dlaczego? Jedyny Napoleon I odgadł, widział dokładnie w samych początkach »oświecenia« psychologię Żyda, kiedy mówił w Radzie Państwa: »musimy Żydów uważać nie tylko za osobną sektę religijną, lecz także za obcy, osobny naród«.

Oświecone wieki XVIII i XIX popełniły tę samą omyłkę, jaką popełniło średniowiecze: widziały one w Żydzie tylko odmienne, chrystyanizmowi wrogie wyznanie. Gdy więc Żyd oświecony zaczął filozofować, odgrywać rolę toleranta, bezwyznaniowca, czyli odczepiać się od talmudyzmu, powitali go oświeceni chrześcijanie z radością, mniemając, że ubywa im nieprzejednany wróg, a przybywa szczery przyjaciel. Omyłka ta tłumaczy powodzenie takich połowicznych oświeceńców, jakim był Mojżesz Mendelssohn.

Sto lat smutnego doświadczenia rozproszyło to złudzenie, potwierdziło określenie Żyda przez Napoleona I. Dziś wiemy, że

judaizm nie jest tylko wyznaniem. Jest on zlewem innego wyznania, wrogiego chrystyanizmowi, innej rasy, innej narodowości, innych tradycyi historycznych, innych celów i dążności i innej etyki. Jest on zgoła obcym pierwiastkiem w rodzinie narodów aryjskich. I stąd jego moc, jego odporność tak wielka, że oświecenie stworzone przez rasę aryjską, odbija się od niego, jak od hartownej zbroi, że nie jest w stanie go strawić.

Świadomie czy nieświadomie, instynktowo, odruchowo jest przeciętny Żyd oświecony tak samo wrogiem kultury chrześcijańskiej, jak pierwszy lepszy ciemny chassyda, i tak samo, jak on, uważa siebie w duszy za członka narodu wybranego, któremu należy się panowanie nad światem, chrześcijanina zaś, aryjczyka, za dojną krowę, którą trzeba doić, gdzie i jak się da. Wiadomo, z jaką bezwzględnością i drapieżnością doili, doją oświeceni finansiści żydowscy krowę aryjską.

Tak mocno tkwi ta odrębność żydowska w naturze Żyda, że nawet ci Żydzi, którym chrześcijanie dali wszystko, co tylko sami posiadają, majątek, znaczenie, godności, władzę, — wszystko, że nawet tacy Crémieux'owie, Gambettowie i Beaconsfieldy *(d'Izraeli)*, nie przestali nienawidzić swoich przyjaciół i dobrodziejów, uważać ich za »rasę niższą« *(d'Izraeli)*.

Fakta mówią za siebie, nie potrzebują komentarza. Mówią one, krzyczą do chrześcijan: strzeżcie się Żyda oświeconego, jest on bowiem dla waszej religii, dla waszych tradycyi i ideałów, dla waszej kultury szkodliwszym od nieoświeconego.

## VII.

W Królestwie Polskiem nie wydali dotąd Żydzi Cremieux'ów, Gambettów, Beaconsfieldów i Laskerów. Wprawdzie przybyła już po r. 1830 do Warszawy z Berlina i Królewca gromadka filozofów w rodzaju Mendelssohna i Geigera, która zbudowała dla siebie synagogę reformowaną, warunki jednak kraju nie pozwoliły tym »apostołom wolności« rozwinąć swobodnie skrzydeł. Prawie wszyscy zresztą wychrzcili się i zachowują się spokojnie. Ciężką ich rękę czuł tylko handel i przemysł. Halpertowie, Koniarowie, Lascy, Epsteinowie, Kronenbergi, Blochy, Wawelbergi, Rotwandy,

Natansonowie i inni umieli, umieją wydobyć z naszego ubóstwa miliony, te miliony jednak wróciły, wracają ciągle do autochtonów w formie posagów córek żydowskich, wychodzących za różnych karmazynów, z tytułami i bez nich.

Na życie umysłowe, na literaturę, naukę i sztukę nie wpływali Żydzi w Królestwie, aż do czasów najnowszych. Kilku z nich brało udział w ruchu pozytywistycznym, ale udział drugorzędny, tu i owdzie odzywał się w prasie warszawskiej jakiś głos żydowski, ale głos cichy, skromny. Kwestya żydowska była w Królestwie aż do r. 1900 mniejwięcej kwestyą tylko ekonomiczną.

Dopiero w latach ostatnich odzywają się śmiało różne głosy żydowskie, a przemawiają *mutatis mutandis* w ten sam mniejwięcej sposób, w jaki przemawiali wszyscy oświeceni Żydzi europejscy XIX stulecia: wolność, równość, braterstwo, cywilizacya, kultura, przesądy, zabobony, stęchlizna średniowieczna (czytaj: chrześcijaństwo) postęp reformy, przewrót, socyalizm i t. d. Przodem w tym rejwachu »uświadamiającym« idą krakowski Wilhelm Feldman i warszawski Leo Belmont (Blumenthal).

Uświadamiaczów żydowskich zachęciła, ośmieliła rewolucya rosyjska. Wielką gromadą wtargnęła młoda intelligencya, pół- i ćwieć-intelligencya żydowska do stowarzyszeń socyalistycznych, rzuciła się na trybuny wiecowe, na katedry odczytowe i atakowała z krzykliwą brawurą religię wogóle, chrystyanizm w szczególności, rodzinę, małżeństwo i tradycye historyczne narodu polskiego. Precz z krzyżem! precz z białą gęsią (biały orzeł)! — słyszały ulice Warszawy niejednokrotnie.

Ale rewolucya nie udała się, skończyła się klęską — zapał rewolucyjny ostygł.

Co się działo w Warszawie w latach 1905, 1906, 1907 było tylko próbką, zapowiedzią tego, coby się działo w Królestwie Polskiem, gdyby zmienione warunki polityczne były wyzwoliły milion ośm kroć stotysięcy Żydów (tylu ich jest w Królestwie) rozwiązały im ręce i pozwoliły im rzucić się bez żadnej kontroli na dziesięć milionów ludności rdzennej, znanej z braku odporności.

*Finis Poloniae!*

Jeżeli 100,000 Żydów francuskich zdołało w przeciągu lat pięćdziesięciu wykupić czwartą część całego majątku Francyi i zająć najwyższe szczyty drabiny urzędowej, jeśli gromadka grynderów potrafiła narzucić sejmowi niemieckiemu ustawy, służące głównie celom Izraela i zrujnować, zniesławić handel niemiecki, to cóż czeka Królestwo Polskie, w którem co piętnasty mieszkaniec jest Żydem?

*Caveant consules!*

*Teodor Jeske-Choiński.*

# FILIP CRISPOLTI

## PRZEDSTAWICIEL RUCHU KATOLICKIEGO WE WŁOSZECH.

(Dokończenie).

---

Rozpatrzmy najpierw rozprawę p. t.: »Sztuki piękne a chrześcijanizm«.

Zaczyna Crispolti od uwagi, że może żadna sztuka nie dała powodu do takich sprzecznych poglądów, jak sztuka chrześcijańska ostatnich czterech wieków. Były chwile, że wątpiono, czy była istotnie sztuką; przyszli później tacy, którzy się pytali, czy była sztuka ta chrześcijańską. Pierwsza z tych wątpliwości upadła na zawsze odkąd krytycyzm historyczny obalił doktryneryzm estetyczny ślepych wyznawców pseudo-klasycyzmu. Przestano żądać od artystów tej wyłącznej intencyi szukania i oddania piękności, która dla klasyków była nieodzownym warunkiem, ażeby jakiemuś utworowi przylepić etykietę estetycznej kreacyi. Uznano, że piękno można osiągnąć szukając czegoś innego, że może być wynikiem wtedy, gdy nie było celem. Rozszerzyło się państwo sztuki: wszelkie rodzaje i style mają w niem dziś prawo obywatelstwa, oprócz tego, który się rozmija z prawdą.

Ale niebawem, ciągnie dalej Crispolti, podniosła się nowa wątpliwość, a mianowicie, czy wiele jest artystycznych utworów o chrześcijańskiej dedykacyi, odzwierciedlających istotnie chrześcijańskiego ducha? Wszak pogaństwo, mówiono, jakkolwiek kult jego ustał zupełnie, przelało swego ducha wraz z artystycznemi prawidłami w najdrobniejsze nawet ornamenta nowego kultu«.

Czyż nie utrzymywał H. Taine, że Ewa na drzwiach Ghiberti'ego lub Ezechiel Rafaelowski nie są w istocie czemś innem jak Nimfą i Jowiszem? Podobnie Carducci opiewając odrodzenie rzeźby przez Nicola Pisano pod wpływem rzymskich marmurów woła:

Navi di Pisa correte, correte
O Cielo, o terra, o mar Pane è risorto
Dalla Gloria di Fedra esce Maria
La nuova e santa Vener d'Italia! [1]

Do tego wyroku na sztukę nowożytną przyczynił się niemało, zdaniem Crispoltiego, romantyzm, wynosząc jednostronnie sztukę średniowieczną, jako rdzennie chrześcijańską w przeciwstawieniu do późniejszej, owianej, w jego mniemaniu, prądem odrodzonego pogaństwa. Dziś zmodyfikowały się znacznie te poglądy. Dzięki głębszym i bezstronniejszym krytykom, na czele których Crispolti stawia Eugeniusza Müntza, zrozumiano, że chrześcijanizm nie rozciąga się wyłącznie na dziedziny transcendentalne i duchowe, że rzeczy doczesne, same w sobie obojętne, nie są własnością jakiegokolwiek wyznania, są natomiast polem do ścierania się wpływów różnych religii.

Jednakowoż jednej wątpliwości nie wyjaśniono dotąd należycie: Gdzie się zaczyna i gdzie się kończy to, co można uważać za ducha chrześcijańskiego w sztuce? Żeby na to pytanie módz odpowiedzieć, trzeba zdać sobie sprawę, jakie mogło być właściwe zadanie sztuki religijnej chrześcijańskiej?

Zadaniem jej było, odpowiada Crispolti, uczynić widocznym przewrót, jaki Ewangelia dokonała w sercach. Chodziło o to, by *virtus* rzymskiej dać ekspresyę *virtù*, cnoty; *charitas* starożytnej, wyraz i znaczenie miłości *(carità)*. W tem tkwi, zdaniem jego, zasadnicza różnica, a zarazem i norma do osądzenia, czy artysta traktując przedmiot religijny wykonał dzieło poganina czy chrześcijanina.

Architektura, utrzymuje Crispolti w przeciwieństwie do este-

[1] Mknijcie ach mknijcie okręty pizańskie
O niebo, o ziemio, o morze odżył wielki Pan
Z gloryi Fedry wypłynęła Marya
Nowa święta Venere italska.

tyków, chcących ją podporządkować pod te same prawidła, co inne sztuki plastyczne, podpada najmniej pod powyższą klasyfikacyę, działając, jak wiadomo na duszę ludzką raczej nastrojowo, podobnie jak muzyka. Przystosowywała religia katolicka do swych celów już niejedną świątynię obcego kultu bez ujmy dla swego religijnego nastroju — katolicyzm objął w posiadanie moschee Kordowy i dobrze mu w niej było — a na odwrót islam rozpostarł się w św. Zofii konstantynopolitańskiej. Norm ścisłych nie da się więc do architektury zastosować. Natomiast można się tu kierować określeniem, jakie nam daje Pismo święte: *Domus mea – domus orationis.* Przepis jasny dla uczęszczających do kościołów — przepis ogólnikowy i dość luźny dla twórców kościołów. Jednakowoż gdy się patrzy na kościoły z tego punktu widzenia, to znachodzi się rzecz dziwną, a mianowicie, że to zdanie Pisma św. tak w sobie zwarte, rozpada się niejednokrotnie w sztuce na dwa odrębne działy. *Domus mea* — świadectwo chwały Bożej — w niektórych epokach odłącza się od *domus orationis* — świadectwa słabości i tęsknot modlących. Rzadko kiedy świątynia łączy te dwa pierwiastki równocześnie w zupełnej harmonii. Jako przykład przytacza autor: panteon Agryppy, gdzie, jakkolwiek przechrzczony na S. Maria ad Martyres, pozostała tylko gloryfikacya Boga; tam *domus mea* wzięła górę nad *domus orationis.* Natomiast w niektórych kościołach romańsko-lombardzkich znalazły przystań głównie bole i tęsknoty ludzkości — »jest w nich jakby echo przewlekłe tajemniczości katakumb«. Tu *domus orationis* przeważa nad *domus mea.* Nigdzie, nadmienia Crispolti nie zlewały się te dwie myśli w równie harmonijną całość jak w kościołach gotyckich; »styl ostrołukowy najlepiej rozwiązał zadanie zgodnego pożycia ołtarzy z grobami«. Ale ponad to nastrojowe działanie, innego nie można żądać od architektury. Inaczej przedstawia się rzecz Crispolti'emu w rzeźbie i malarstwie. Z większem nierównie prawem można się od nich domagać wyznania wiary, skoro one jedne posiadają władzę nad tem zwierciadłem, w którem się odbijają właściwości i dążenia serca ludzkiego t. j. nad postacią a w szczególności nad twarzą ludzką — mogą więc dowolnie przedstawiać to *virtus* rzymską, to cnotę ewangeliczną, to *charitas*,

to miłość bohatera czy świętego. Zagadnienie powyżej sformułowane redukuje się więc do pytania: którzy malarze lub rzeźbiarze najlepiej odczuli i oddali rysy świętości? Umiejętności tej na próżnobyśmy szukali w tegoczesnej sztuce. Może jeden Matejko, pozwolę sobie wtrącić, miał klucz tej tajemnicy — jak miał poryw i prostotę natur dawniejszych — a jednak i w jego postaciach świętych pierwiastek bohaterski nad świętością przeważa. Ale Matejki nie znał właściwie Crispolti, a z tego co widział po wystawach włoskich mógł wnosić, że żaden z dzisiejszych malarzy i rzeźbiarzy nie wie nawet jak się zabrać do tego, żeby przedstawić świętego. Stąd najdziwniejsze pomysły. Zewnętrzne, konwencyonalne cechy tradycyi zachowały się wprawdzie u rzemieślników dostarczających kościołom świętych na płótnie i w gipsie, ale u tych wybryki wyobraźni ustępują miejsca rozpaczliwej banalności i bezmyślności. »Ten bierze natchnienie z zimnych i bezkrwistych postaci Davida lub Canovy, tamten sobie samemu ufając przedstawia istoty zwyrodniałe o chorowitej twarzy, o zgiętym w kabłąk korpusie, słowem istoty, u których wiara przeszła w nędzę umysłową, nadzieja w nieśmiałość toczoną skrupułami, miłość w słodkawą dewocyę«.

A przecież były wieki, wzdycha autor, kiedy każdy prawdziwy artysta wiedział, co to jest święty! I nikt się co do tego nie mylił we Włoszech od XIII do XVI stulecia. Mieliśmy, wspomina z dumą, tyle szkół ile miast, tyle stylów ile było kierunków umysłowych, ale poprzez realizm czy idealizm, właściwości narodowe czy ogólne, poprzez łagodność czy szorstkość wyrazu, poprzez zapał czy obojętność zawsze w malarstwie i rzeźbie przemawiała świętość temi trzema znamionami, o których sztuka nowoczesna zapomniała: wielkość — pokój i szczerość. Nikomu wtedy nie byłoby przyszło na myśl, że łączność duszy z Bogiem powinna zostawić na twarzy i w układzie ślady ekstrawagancyi, wynędznienia, że cnota sprawiedliwości ma się ujawniać w niespokojnej i cudackiej bigoteryi, że ofiara z siebie samego Bogu złożona ma zależeć na ostentacyjnem wyzuwaniu się osobistych cech lub w dręczącej obawie okazania ich na zewnątrz. Otóż artyści Odrodzenia, dzięki utrzymującej się wkoło nich tradycyi chrześci-

jańskiej, wiedzieli wybornie, jak sobie z tem radzić, a jakkolwiek w technice postąpili nieskończenie naprzód, co do pojęcia świętości bliżsi są pierszych wieków chrześcijaństwa niż tegoczesnych. Od statuy Dobrego pasterza w Lateranie i fresków z S. Maria Antica, aż po rzeźby Donatella i fresk Leonarda, a Madonny Rafaela snuje się nić tej tradycyi nieprzerwanie.

Ale nie dość stwierdzić fakt; potrzeba sięgnąć do przyczyn tego faktu i dlatego Crispolti rozwijając dalej swą myśl pyta: jaka mogła być przyczyna rozkwitu tego tradycyonalnego pojęcia świętości w tamtych czasach, a jego zaniku w sztuce religijnej w następnych.

Zdaniem jego nie można kłaść tego wyłącznie na karb wzmagającej się w naszych czasach niewiary wśród artystów. Niejeden z malarzy, którzy się stawili do ostatniego konkursu włoskiego był lepszym chrześcijaninem od takiego Sodomy, Perugina — Filippa Lippi. Zatem trzeba sięgnąć głębiej.

Zaczyna Crispolti od przypomnienia, że t. zw. »Odrodzenie« datuje się oficyalnie od słynnego pulpitu Mikołaja z Pizy. Atoli Pisano dokonał raczej technicznego wyzwolenia sztuki. Natchnienie, — ów wzlot niepewnych przedtem, estetycznych przeczuć — z bardziej duchowego wytrysnęło źródła. Franciszek z Assyżu był tym, który umiłowawszy ślad ręki Bożej we wszelkiem stworzeniu, otworzył oczy poetów i artystów na piękności w przyrodzie. On-to ujrzał bogactwo w ubóstwie, a piękno w boleści. Za nim zerwali się poeci: Todi, Celano, Guittone d'Arezzo dostarczając nowych, pełnych religijnego uczucia motywów sztukom plastycznym. Będzie w nich czerpał najobficiej Giotto, ten artysta o wiele przewyższający Pisana szerokością i oryginalnością umysłu. Zastanawiano się nieraz nad tem, jaki nowy pierwiastek Giotto wprowadził do sztuki. Byli tacy, co mówili, że »dobroć« — inni, że »prawdę«. Do tych się najwięcej zbliża Crispolti, gdy utrzymuje, że Giotto jest tym, który wniósł napowrót do sztuki właściwe pojęcie »pokory«, bo czemże pokora, jeżeli nie postawienie się w prawdzie wobec samego siebie i Boga?

Po raz pierwszy, po sztuce katakumb i starych bazylik zjawia się artysta umiejący oddać tę zasadniczą cnotę chrześci-

jańską tak jasno wyrażoną w nauce ewangelicznej, a tak rozmaicie rozumianą przez ludzi; cnota, która w pewnych epokach jest jeszcze na ustach wielu, ale o której ogół t. j. ci, których zdanie najbardziej oddziaływa na artystów, nie umie już powiedzieć czem ona jest właściwie. Najbardziej bywa wtedy rozpowszechnionem jakieś negatywne pojęcie pokory, a wiadomo, że żadna idea negatywna nie może wyrazić się widomą dla oka wyższością i szlachetnością. Gdybyśmy natomiast zbadali co do tego *comunis opinio* wielkiej epoki, tobyśmy się przekonali — mówi Crispolti — jak głęboko wniknęło było przeświadczenie, że tytuł dany Beatryksie *donna umile* oznaczał jakoby sumę wielkości i polotu, wyrażał dotykalnie najznamienitsze wywyższenie istoty ludzkiej. Wówczas pokora jest pojętą pozytywnie, a nie negatywnie: jako pęd naprzód, a nie jako ucieczka, jako ufność, nie zaś jako otaczanie się ostrożnościami. Jest w tej cnocie przedewszystkiem pierwiastek dziecięcej ufności i radość z chwały oddanej Ojcu, który jest w niebiesiech *gratiam agimus tibi propter magnam gloriam tuam!* A tak z głębi serca śpiewając i śląc ku Niebu najczystszą woń własnego wnętrza, dusza ani się wstydzić będzie swej wartości, ani sobie w niej podobać. »Pojęta w ten sposób pokora, jako kamień probierczy miłości — jako sama miłość duszy w pogotowiu do spełniania bez przymusu ofiary z siebie, pokora, a raczej »owa wysokość pokory«, o której mówi św. Augustyn, mogła zaiste całą naturę ludzką wywyższyć i wszystko, co w niej dodatniego spotęgować. I przypomina Crispolti, że dowiedzioną jest rzeczą, iż cokolwiek ludzie — nawet tacy, którzy tej cnocie nie zawsze hołdowali — uczynili prawdziwie wielkiego, to spełnili jedynie w chwili pokory, w chwili zapomnienia o sobie i swej własnej chwale Była to może pokora wobec nauki, albo wobec sztuki, wobec ojczyzny lub ludzkości jeżeli nie wobec Boga, ale zawsze pokora, zawsze w owej chwili twórczej człowiek cel przerzucał poza siebie i daleko od siebie. Oto dlaczego, konkluduje Crispolti istoty święte, dusze doskonale pokorne w wyobrażeniu artystów odrodzenia, mają zawsze pewną siłę promieniejącą na zewnątrz, która w oczach ogółu wyraża się jako spokój, jako wyższa i silnie zaakcentowana osobistość. Byli artyści, co we własnej duszy mieli normę dla tej

cnoty — Fra Angelico w pierwszym rzędzie, — ale i tacy, co z świętością nie mieli nic wspólnego, mogli brak własnego poczucia uzupełniać i poprawiać tem, co przekazywała tradycya, co głęboko tkwiło w poczuciu sumienia ludowego.

Upadek sztuki religijnej zarysowuje się od czasu, gdy w tem pojęciu pokory następuje rozłam, gdy w umysłach rzeźbiarzy i malarzy zaczynają się jej składniki rozpadać na dwie strony; odtąd z jednej, ludzkie dążenie do doskonałości wyradza się w próżność, a podporządkowanie się Bogu w ostentacyjne oznaki upokorzenia.

Postępów próżności nigdzie lepiej wyśledzić nie można jak w sztuce nagrobkowej; męstwo i pobożność, siła a rezygnacya, wszystko, co się mieściło w prawdziwem pojęciu pokory, to się uwidoczniało w postaciach zmarłych, spoczywających spokojnie i z godnością, bez buntu i trwogi, jakie wyszły z pod dłuta artystów wielkiej epoki. Wtedy zmarły leży zwykle wyciągnięty, z przymkniętemi oczami poddając się prawu śmierci, nie zrywając się napowrót do życia, które z rezygnacyą pożegnał. Widać — mówi Crispolti — że to czasy, kiedy lud odprowadzając tych, co byli za życia silnymi na miejsce wiecznego spoczynku, rozumiał, że dusze tych silnych będą odtąd potrzebowały jego modłów, jak ciała potrzebowały pomocy jego rąk. Artysta odczuwając to obcowanie żywych z umarłymi, tę harmonię znikomej chwały z nieśmiertelnemi nadziejami umiał przedstawić zmarłego zarówno w jego godności, jak w jego słabości. Ale już w drugiej połowie XVII wieku dziwna mania pośmiertnej chwały zaznaczy się tem, że umarły zechce koniecznie wyglądać jako żywy. Przyjdzie chwila, że sztuka nagrobkowa stanie się sztuką panegiryczną, na usługi przemożnych tego świata. Doprowadzi ją to do najdziwaczniejszych zboczeń. Canova łudzić się będzie, że ją powiedzie na lepsze tory, zwracając się do starożytnych wzorów, ale przewrót nie mógł przyjść z zewnątrz, lecz z wewnątrz i dlatego Canova stworzy tylko sztywną, akademicką sztukę.

Równie dobrze, z drugiej strony da się wyśledzić zwyrodnienie drugiego czynnika t. j. upokorzenia postawionego na miejsce prawdziwej pokory. Twarze wynędzniałe, przekrzy-

wione, wyrazy słodkawe, sztuczne popisywanie się z dewocyą, oto co widzimy w postaciach świętych, jakie nam przekazały wieki następne.

Kończy Crispolti zapytaniem: czy są zwiastuny odrodzenia chrześcijańskiej tradycyi w sztuce? Żeby tego dokonać nie wystarczą największe przewroty techniczne — jednego potrzeba: odnowienia się dusz. Pojawiają się tu i owdzie oznaki pogłębienia się religijnego ducha. Te same nadzieje wyraża inny pisarz kakolicki mgr. Péchenard, biskup w Soissons, gdy mówi: Coraz silniejszy ruch duchowy pociąga wielu myślicieli do kultu ideału, przysposabiając w duszach prostych, a stęsknionych gotowe dla prawdziwej wiary zdobycze« [1].

»Rzekłbyś, że zanosi się na walkę o wielkość pomiędzy chrześcijaństwem a wszystkiem, co żyje poza niem«. »Gdy walka ta na korzyść chrześcijaństwa wypadnie, wtedy odrodzi się prawdziwe pojęcie pokory, a symbolem jej będzie ten, co i najwyższego duszy polotu — orzeł, ów emblemat najbardziej umiłowanego i najgoręcej miłującego ucznia, który był zarazem i najpokorniejszym ze wszystkich.

Streściłam obszerniej to studyum o sztuce Crispoltiego, bo oprócz świeżej i pięknej myśli, jaka się w niem snuje, zaznacza się tu znowu tak znamienny dla niego rys psychologiczny, to sięganie po klucz zagadkowych w dzisiejszej umysłowości objawów do głębin duszy ludzkiej i jej historycznych przeobrażeń. Że Crispolti nie jest wyznawcą tezy »sztuka dla sztuki«, poza którą kryje się częstokroć nie co innego, jak tylko zawarowanie swobody dla propagandy pogańskiej, to z powyższego przedstawienia wyniknęło jasno. Nie ścieśnia to atoli jego horyzontu, ani mu przeszkadza przyznawać prawa obywatelstwa w szerokiem państwie sztuki wszelkiego rodzaju stylom i motywom nie mającym z religijnymi tematami żadnej wspólności. Wszelako, dopóki się uznaje, że życie nie ogranicza się do tego, co nas otacza i co nam pod zmysły podpada, ale, że tkwi ono również w głębiach naszego jestestwa, co więcej, że te źródła życia o wiele są obfitsze i pewniejsze, jako bezpośrednio nam dane — dopóty nie

[1] *Vers l'action.*

będzie się można dziwić, że człowiek w artystycznej mowie wyraża nie tylko to, co mu odkrywa oko cielesne, ale i to, co mu odsłania światło wewnątrz niego świecące, — że w sztuce wyjawi swoje wierzenia i nadzieje, swoje obawy i tęsknoty, przedmioty swej miłości przedewszystkiem; a czyniąc to, nie uniknie jednego, mianowicie tego oddziaływania, które się i poza sferą sztuki uwidacznia — oddziaływania duszy, obdarzonej zdolnością wypowiedzenia się, na inne dusze, do których się zwraca za pośrednictwem słowa, pędzla, lub dłuta.

I dlatego Crispolti myśląc konsekwentnie, a patrząc z psychologicznego puktu widzenia mógł powiedzieć bez uwłaczania swobodzie artystycznej twórczości, że od malarstwa i rzeźby zwłaszcza, o ile religijne przedstawiają tematy, słusznie domagać się można szczerego wyznania wiary.

Jeżeli w ocenie artystycznej twórczości Crispolti opiera się głównie na psychologicznej obserwacyi, to wobec objawów społecznych bierze za podstawę sądu przedewszystkiem historyę. Miarodajnem jest dla niego to, co wykazuje rozwój historyczny pewnego zagadnienia społecznego, oraz jego stosunek do zasadniczych prawd etyki chrześcijańskiej. Z tego łącznego punktu widzenia roztrząsa Crispolti w szeregu dłuższych i krótszych artykułów: akcyę społeczną sfer katolickich, kwestyę rozwodową, nauczanie religijne w szkole, kwestyę kobiecą. Nad każdym niepodobna się nam zatrzymywać, jakkolwiek z każdego dałyby się wyciągnąć odpowiedzi na coraz częściej poruszane pytania. Niedawno, słuchając niejasnych wywodów o przyszłym ustroju rodziny wobec licznego wypowiedzianych audytoryum, przyszły mi na myśl konkretne, jasno sformułowane poglądy Crispoltiego, oparte nie na mrzonkach o przyszłem udoskonaleniu się natury ludzkiej, ale na obserwacyi życia i uwzględnianiu dostarczanych nam przez historyę wskazówek. Po stronie naszego autora stanęła zresztą i dzisiejsza nauka, która ze stanowiskiem krytycznego dogmatyzmu ostatecznie zerwała i która tym, co jeszcze przed 50 laty utrzymywali, że »jeżeli religia nie jest objawieniem Bożem wobec społeczeństwa, to jest niczem!« odpowiada: nie, ona mimo to nie przestaje być powagą, bo może być uważaną jako

rewelacya społeczeństwa wobec siebie samego. To, co w oczach niektórych niema już wartości religijnej, może mieć jeszcze dla wielu wartość historyczną, pozostaje nadal pierwszorzędnej doniosłości faktem. Z tego wynika, jak to wykazuje Crispolti, że jeżeli nawet pominiemy wpływ Sakramentu, to musimy patrzeć się na nierozerwalność małżeństwa, jako na warunek najistotniejszy, z którym się liczy sumienie milionów katolików we wszystkich krajach ziemi. Trzeba wziąść pod rachubę wszystko, do czego tego rodzaju tradycya zobowiązuje, a do czegoby zerwanie jej niechybnie doprowadziło. Nierozerwalność małżeństwa, mówi dalej, w samym interesie stron, które je zawierają, musi się opierać na prawie regulującem małżeństwo, a nie na ufności w trwałość ludzkich afektów. »Z miłości wynikłe małżeństwo musi być ugruntowane na sile trwalszej i wyższej od samej miłości; małżeństwo ślubnie zawarte jest właściwie gwarancyą przeciw fluktuacyom miłości, ono bierze z góry w obronę interes tych, którzyby najbardziej mogli być pokrzywdzonymi, gdyby miłość była jedyną dyrektywą w pożyciu kobiety i mężczyzny, t. j. interes dzieci. Jeżeli jakie społeczeństwo, to dzisiejsze, powinnoby ujrzeć w kościelnej instytucyi małżeństwa najpewniejszą ostoję przeciw samolubstwu jednostki, ale tylko pod tym warunkiem, że jest i będzie nierozerwalnem, wykluczającem nadzieję nowych miłości i nowych węzłów. Dziś, gdy myśl zrzeszania się ludzi nieraz całkiem obcych w imię wspólnych interesów i ideałów, tak się rozpowszechnia, miałożby państwo, miałożby społeczeństwo burzyć tę najpewniejszą warownię altruizmu, wniesioną przez religię od wieków i tak wiernie z pokolenia na pokolenie przez Kościół przekazywaną?

Równałoby się to zaiste dobrowolnemu podkopaniu najświętszych swoich interesów.

Z kwestyą rozwodową łączy się kwestya kobieca. I tu stanowisko naszego autora jest równie przedmiotowe jak chrześcijańskie. Jeżeliby co można zarzucić Crispoltiemu, to, że nie uwzględnia strony ekonomicznej tego zagadnienia. Do szybkiego wzrostu kwestyi kobiecej przyczyniło się głównie to, że była przedewszystkiem kwestyą chleba, kwestyą egzystencyi dla zna-

cznej części rodu ludzkiego w społeczeństwach zorganizowanych. Nie ulega też wątpliwości, że maszyna była powodem obniżenia roli kobiety w gospodarstwie domowem, a tem samem i w społeczeństwie. Wyroby fabryczne tańsze, szybciej wykonane, w olbrzymiej ilości rzucane na targi musiały wyrugować wytwory domowego przemysłu, przeważnie przez kobiety sporządzane; tysiące rąk zostało pozbawionych pracy, tysiące ust chleba. Miało to zaś jeszcze inne następstwa. Kobieta dawna, która zapobiegliwością, przetwarzaniem surowych produktów, nie tylko zaopatrywała dom własny, ale jeszcze zasilała niemi targi okoliczne; kobieta taka była o wiele mniej podatnym gruntem dla przewrotowych idei, niż bezczynna i taka, którą los produkcyi rolniczej czy przemysłowej przestaje obchodzić skoro w niej wszelki straciła udział. Z chwilą zaś, gdy pod groźbą głodu zaczyna paktować z tym stanem rzeczy, który jej stanowisko tak był obniżył, spotyka się z bolesnem rozczarowaniem: stwierdza, że jest na każdym kroku wyzyskiwaną, że za pracę równą tej, jaką wykonywują mężczyźni jest znacznie gorzej płatną, a mimo to naraża się ze strony swych towarzyszy pracy na zarzut, że obniżyła płacę fabryczną. To też faktem jest niezaprzeczonym, że kwestya kobieca powstała najwcześniej tam, gdzie powstał najpierwej i najsilniej przemysł fabryczny, a więc w Anglii i w Ameryce; tam ona też po dzień dzisiejszy najdalszą przebiegła drogę.

Ale równolegle z tym ruchem ekonomicznym szedł ruch teoretyczny, mający mnogie podniety z dwóch stron. Z jednej faktyczne krzywdy, jakie kobietę spotykały, a były to krzywdy nie tylko natury czysto materyalnej ale i natury prawnej, które dawniejszy stan gospodarstwa społecznego w pewnych przynajmniej warstwach łagodził, a które teraz w tem jaskrawszem wystąpiły świetle; z drugiej strony rozdmuchanym był ten ruch wpływami przewrotowych poglądów, jakie rewolucya francuska po całym rozniosła świecie. Otóż Crispolti kwestyę kobiecą ujmuje na tym punkcie rozwoju i bada jej teoretyczne, jej duchowe powody i czynniki.

Stwierdza przedewszystkiem, że kobieta już w dawniejszych wiekach o ile była obdarzoną wyższemi zdolnościami i równą

z wybitnymi mężczyznami energią woli, odgrywała znaczącą rolę w społeczeństwie. Kierowała nieraz losami rozległych krajów, bywała, jak Joanna d'Arc, wodzem i wybawicielką narodu; a któż wie lepiej od nas Polaków, że umiała być apostołką wiary i krzewicielką oświaty »kosztem serca własnego ofiary?« Na tem nie dość; możnaby powiedzieć, że na te stanowiska wynosiły ją sprzyjające okoliczności lub wyraźne zrządzenie woli Bożej, ale że dla kobiet nie tylko z niższych warstw, ale i średniego stanu, nie było mowy o wybiciu się w górę. Otóż już w XIV w. widzimy kobiety wykładające z katedr uniwersyteckich, później Suarez upominał się o równość wykształcenia dla kobiet, ale i znacznie wcześniej, bo już za czasów Karola W. musiały się zdarzać między kobietami umysły chciwe wiedzy, bo wzmiankę o tem znachodzimy nawet w spółczesnych baśniach tysiąca i jednej nocy. Różnicę punktu widzenia między minioną a dzisiejszą epoką widzi Crispolti w tem, że do tego wybijania się w górę były uprawnione natury wyborowe — a nie ogół.

Rewolucya francuska, jak dowodzi dalej, dążąc do zniwelowania wszystkiego, wypisała te dwa słowa: »równość i wolność«, jako równobrzmienne, jako nieodzownie wypływające jedno z drugiego. Przeprowadzono więc nad głowami ludzkiemi strychulec, który je miał do jednego ogólnego zbierać typu, z tego zaś abstrakcyjnego typu, którego nauka nie uznała, stwierdza bowiem ciągle niezmierną rozmaitość i gradacyę typów, wyłoniło się abstrakcyjne pojęcie kobiety i dało początek teoretycznym wywodom o prawach kobiety, które szybko skrajny przybierając charakter, skrajną też wywołały reakcyę. Na filozoficzne aksyomaty Condorceta o bezwzględnej równości kobiety z mężczyzną odpowiedzią był brutalny i uwłaczający kobietom kodeks napoleoński.

Terenem, na którym dojrzało ziarno rzucone przez Condorceta, niemniej jak myśl tkwiąca w hasłach rewolucyi francuskiej był socyalizm. Wnioski były wyciągnięte logicznie. Skoro niema różności typów, zatem musi być dla wszystkich ludzi równość bezwzględna w życiu prywatnem i publicznem, a więc ta sama dla kobiet co i dla mężczyzn, ta sama dla zdolnych co dla nieuzdolnionych, dla kulturalnych jak i dla tych, co wchodziły do-

piero na arenę życia kulturalnego. I to dało początek ruchowi, który przed kilkudziesięciu laty nazywał się emancypacyjnym, a dziś zwie się feminizmem. Między temi dwiema fazami ruchu kobiecego dopatruje się Crispolti zasadniczych różnic. Strąciwszy na karb nieuniknionego fermentu pojęć wielką dozę ekscesów, brutalności, nienawiści religijnej i klasowej — to różnice wypadną niezaprzeczenie na korzyść obecnego kierunku — na korzyść »feminizmu«. Podczas gdy emancypacya domagała się tylko praw i wytykała tylko krzywdy, feminizm zrozumiał, że żądając zrównania praw dla kobiety potrzeba ją najpierw przysposobić do tego, ażeby z tych praw umiała zrobić użytek, potrzeba ażeby stała się zdolną nowe swe obowiązki wykonywać na równi z mężczyzną. Przeobrażenie to poczęło się na północy pośród ras skłonniejszych do chłodnej refleksyi i większej konsekwencyi w czynie. Jak wszędzie tak i tu wydobywają się na powierzchnię ruchu męty i najmniej sympatyczne objawy; dowodem sufrażystki angielskie, dowodem w innym kierunku akcya Edgren Leffler w Skandynawii, zmierzająca do wyswobodzenia kobiety z pod wpływu miłości, bo tylko wtedy, zdaniem jej, może się ostatecznie usamowolnić z pod wpływu mężczyzny. Ale obok kobiet krzykliwych i rzucających paradoksami, zaczęło się mnożyć coraz więcej kobiet pracujących i sprowadzających zasadę równouprawnienia z dziedziny abstrakcyjnej teoryi w dziedzinę faktów. W Stanach Zjednoczonych można już liczyć na tysiące kobiety pracujące w różnych umysłowych zawodach; w Europie pojawiają się coraz częściej. Odbiło się to na ostatnich kongresach; udział elementów poważniejszych sprawił, że ton był już spokojniejszy, bardziej umiarkowany. Wprawdzie, o czem nie wspomina Crispolti bo jego artykuł jest z r. 1901, na zeszłorocznym kongresie kobiecym w Rzymie powzięto uchwałę za zniesieniem nauki religii w szkołach — ale świadkowie stwierdzają, że ten wniosek miał przeciw sobie bardzo poważną opozycyę, że został właściwie przemyconym, wskutek niedopilnowania się stronniczek ładu społecznego i wskutek abstynencyi przedstawicielek katolicyzmu.

W istocie kształtuje się coraz poważniejszy ruch społeczny kobiet, a obok feminizmu socyalistycznego zarysowuje się femi-

nizm chrześcijański, podobnie jak obok demokracyi socyalnej rozwija się poważna i pracy organizacyjnej oddana demokracya chrześcijańska.

Tym feminizmem chrześcijańskim, jako objawem uprawnionym, choć jeszcze nie zrównoważonym, zajmują się coraz częściej przedstawiciele nauki katolickiej, między innymi Sertillanges, profesor Instytutu katolickiego w Paryżu w świeżo wydanej pracy p. t. *Féminisme et Christianisme.*

Jak się zapatrywać w rezultacie, zapytuje Crispolti, z punktu widzenia katolickiego zarówno jak zdrowego rozsądku na równouprawnienie kobiet w zawodach naukowych i — w polityce? Utrzymywać, że jedynie odpowiednią dla kobiety sferą jest domowe ognisko, znaczyłoby tyle, co nieliczyć się z faktycznym stanem rzeczy, są bowiem całe zastępy kobiet nie mających żadnych danych po temu, ażeby stworzyć ognisko domowe; byłoby to stanąć także w sprzeczności z tradycyą katolicką, która obok, a nawet wyżej od kobiety-matki i żony stawiała tę, którą Bóg do swej wyłącznej powoływał służby i która na to wezwanie porzucała dom i rodzinę. Ale często słyszy się pytanie, czy kobieta obdarzona jest temi samemi zdolnościami umysłowemi, co mężczyzna? Słusznie odpiera Crispolti, że jakiegoś wyraźnego prawa, jakiejś zasadniczej różnicy nie da się tu wykazać, choćby dla tej racyi, że kobiety nie miały dotąd pola, któreby dostarczyło dostatecznego materyału porównawczego. Że biologia wykazuje różnice i że z tych różnic muszą wynikać odrębności usposobienia i umysłu, to fakt — śmiesznością atoli byłoby dochodzić, czy kobieta wogóle rozumie mniej od mężczyzn, czy tyle co i on! W zawodach bowiem nie pracuje kobieta w ogólności, bo ta nie istnieje, ani wszystkie kobiety — ale pracują w nich niektóre kobiety, tak samo jak na różnych stanowiskach nie pracują wszyscy mężczyźni ale tylko niektórzy mężczyźni. Wystarczy ażeby te, które pracują wykazały równe uzdolnienie, a co do tego to zdaje się, wtrąca żartobliwie Crispolti, że najrozsądniej byłoby powiedzieć, że są mężczyźni co więcej rozumieją od wielu kobiet, a na odwrót, że są kobiety, które o wiele lepiej pojmują od niejednego mężczyzny. Crispolti niema więc nic przeciw temu, ażeby naprawdę zdolne i odpowiednio

wykwalifikowane kobiety wybijały się na stanowiska profesorów, doktorów a nawet adwokatów, zastrzega się tylko energicznie przeciw temu, ażeby ogółowi kobiet wpajano, że są do wszelkiej pracy uprawnione i powołane, ażeby ogół kobiet odrywano od tej sfery, która bądź co bądź pozostanie dla nich najwłaściwszą, t. j. od pracy w ogniskach domowych i z nią się wiążącej misyi kształtowania dusz młodocianych przez Boga im powierzonych, oraz stania na straży najświętszych, najdelikatniejszych uczuć towarzyszącego im w drodze przez życie mężczyzny.

Wysnuwając dalsze konsekwencye z tego punktu widzenia i przechodząc na dziedzinę polityki, godzi się Crispolti na przyznanie kobiecie raczej biernego niż czynnego prawa wyborczego. Dlaczego? bo kobiety wybierane pozostaną zawsze w mniejszości— jako wyjątki, podczas gdy czynne prawo wyborcze musiałoby przysługiwać wszystkim! Odrywałoby całe zastępy kobiet od rodzinnych obowiązków, obałamucałoby tysiące. Niema w tem zastrzeżeniu, tłumaczy się Crispolti, nic uchybiającego dla kobiety: prawo wyborcze dane wszystkim bez wyjątku i, co za tem idzie, prawo zaważenia głosem w najrozmaitszych a nieraz subtelnego wyspecyalizowania się wymagających sprawach, musiałoby mieć jedno fatalne następstwo: mianowicie że brak k o m p e t e n c y i stałby się cechą znamienną, nieodłącznym atrybutem ogółu deputowanych i ogółu wyborców. Wierzę, mówi Crispolti, że parlament włoski w obecnym swym składzie poziomem wykształcenia o wiele przewyższa poziom senatu rzymskiego lub weneckiego, ale te postępy schodzą do zera wobec szalonej dysproporcyi zachodzącej między sumą wiedzy, jaką powinienby posiadać dzisiejszy członek parlamentu i dzisiejszy wyborca, a tem, co potrzebował umieć człowiek w dawnych wiekach choćby dorównywał pojętnością umysłowi Arystotelesa! Jeżeli jaki program reformatorski ma racyę bytu, to tylko ten co dąży do zreorganizowania społeczeństwa w ten sposób, ażeby każdy miał prawo do jakiegoś stanowiska i polę do pracy; radykalizm w tym kierunku rozumiem, ale czego pojąć nie mogę, dodaje, to jak można przeć do tego, ażeby na głowę kobiety sprowadzić ten sam zarzut niekompetencyi, jaki cięży już na nas mężczyznach! Szczęśliwe one,

że jeszcze nie są prawem zmuszone czynić, jak my mnóstwa rzeczy, na których się zgoła nie rozumiemy...

Przeciwny wciągnięciu kobiety w wir polityczny, jest Crispolti zwolennikiem jak najszerszego udziału kobiety w pracy społecznej, w tych sprawach gdzie nie tylko umysł ale i serce ma tak rozległe pole działania, gdzie trzeba nieraz i ręki delikatniejszej i macierzyńskiego poczucia. Znajdzie tam najobfitsze źródło kompensaty i ta kobieta, która własnego domowego pozbawiona ogniska ma przecież w duszy bogate zapasy miłości potrzebującej się wylać i ujawnić.

Nie pójdziemy dalej za Crispoltim, nie będziemy śledzić jego poglądów na inne zagadnienia żywotne. Poznaliśmy go już na tyle, aby zrozumieć cechy jego umysłu i zdać sobie sprawę z jego myśli przewodnich. Głębokie przywiązanie do Kościoła, wiara w jego wielkie wobec ludzkości posłannictwo są mu gwiazdą przewodnią, a gruntowność wiedzy, szczególny dar psychologicznej obserwacyi, poszanowanie prawdy ułatwiają mu oryentowanie się wśród różnorodnych prądów myśli ludzkiej i spraw społecznych. Crispolti jest jednym z tych, co świadczą, że można być nowożytnym umysłem, z gruntu katolickiego nie schodząc i tradycyi Kościoła trzymając się wiernie.

*Marya Straszewska.*

# SZKOLNICTWO GALICYI W BUDŻECIE PAŃSTWOWYM.

Wydatki na cele oświaty w obszerniejszem tego słowa znaczeniu, a więc wraz z wydatkami na sztukę, literaturę, utrzymanie zabytków i wykształcenie zawodowe nie są zebrane w jednym dziale budżetowym, lecz należy ich szukać w preliminarzach różnych ministerstw. Największa ich część znajduje się oczywiście w właściwym budżecie oświaty, prócz tego jednak wydatki na seminarya teologiczne i zakłady naukowe utrzymywane przez klasztory pomieszczono w dziale wyznaniowym, na średnie i niższe szkoły rolnicze w budżecie ministerstwa rolnictwa, na szkolnictwo przemysłowe i górnicze w misterstwie robót publicznych, na akademię eksportową w ministerstwie handlu, na szkołę salinarną w Wieliczce w ministerstwie skarbu, wreszcie na zakłady wojskowe, o ile nie mają charakteru wspólnego, w ministerstwie obrony krajowej. Ogółem na wszystkie te cele znajdujemy w tegorocznym preliminarzu 100,741.443 K., z których 87,262.558 K. przypada na wydatki zwyczajne, a 13,476.855 K. na nadzwyczajne. Znacznej części tych wydatków nie można rozdzielić na poszczególne kraje koronne, gdyż albo są przeznaczone na utrzymanie zakładów centralnych, ogólno-państwowych, albo też rozdział ich zależy od władz wykonawczych, tak, że niepodobna przewidzieć ile z ogólnej kwoty rzeczywiście przypadnie Galicyi. To też

w dalszym ciągu pomijam wszystkie kredyty zcentralizowane, a zajmę się jedynie pozycyami, które wstawiono do budżetu wyraźnie na zaspokojenie potrzeb cywilizacyjnych poszczególnych krajów.

Wydatki na zakłady szkolne preliminowano na rok 1909 w koronach:

| Rodzaj zakładu | Ogółem | | Z tego w Galicyi | | Z tego w Czechach | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | zwyczajne | nadzwycz. | zwyczajne | nadzwycz. | zwyczajne | nadzwycz. |
| Uniwersytety . . . . . | 13,345.321 | 3,690.461 | 2,898.726 | 968.525 | 3,490.594 | 1,409.415 |
| Politechniki . . . . . | 4,695.385 | 1,472.978 | 615.217 | 83.050 | 1,504.581 | 615.558 |
| Akademie rolnicze, górnicze i weterynaryjne . . . . . | 1,238.414 | 235.193 | 143.666 | 12.500 | 192.657 | 6.700 |
| Fakultety i seminarya teologiczne . . . . . | 2,241.615 | 320.169 | 600.514 | 260.000 | 404.787 | 12.500 |
| Akademie sztuk pięknych i muzyki . . . . . | 1,293.689 | 122.110 | 100.097 | — | 163.992 | 1.610 |
| I. Szkoły wyższe . . . . . | 22,814.424 | 5,840.911 | 4,358.220 | 1,324.075 | 5,766.611 | 2,045.783 |
| Gimnazya męskie . . . . . | 19,492.497 | 1,501.723 | 5,479.870 | 395.225 | 5,114.869 | 273.127 |
| Gimn. żeńskie wraz z zakładami klasztornymi . . . . | 325.209 | — | 12.000 | — | 95.845 | — |
| Szkoły realne . . . . . | 9,938.320 | 1,336.167 | 1,022.645 | 41.515 | 3,993.020 | 244.407 |
| II. Szkoły średnie . . . . | 29,756.026 | 2,837.890 | 6,514.515 | 436.740 | 9,208.734 | 517.534 |
| Seminarya nauczycielskie . . | 5,637.398 | 686.601 | 1,346.807 | 107.764 | 1,298.611 | 146.673 |
| Dotacye szkołom ludowym . | 842.177 | 554.760 | 128.390 | — | 1.564 | — |
| III. Szkoły ludowe . . . . . | 6,479.575 | 1,241.361 | 1,475.197 | 107.764 | 1,300.174 | 146.673 |
| Szkoły przemysłowe . . . . | 10,061.971 | 1,999.024 | 886.056 | 285.554 | 3,977.030 | 398.150 |
| » handlowe . . . . . | 1,097.479 | — | 99.881 | — | 325.500 | — |
| » muzyczne . . . . . | 206.140 | 16.150 | 17.500 | 5.000 | 94.400 | 8.100 |
| Inne szkoły zawodowe . . . | 785.219 | 35.420 | 26.650 | — | 51.127 | — |
| IV. Szkoły zawodowe . . . | 12,150.909 | 2,050.594 | 980.087 | 290.554 | 4,448.057 | 406.250 |
| Razem . . . . . | 71,400.934 | 11,970.756 | 13,328.019 | 2,159.133 | 20,708.576 | 3,116.240 |

Prócz tego przeznaczono na cele oświaty:

| | Ogółem | | Z tego w Galicyi | | Z tego w Czechach | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | zwyczajne | nadzw. | zwycz. | nadzw. | zwycz. | nadzw. |
| Akademia Umiejętności . | 277.500 | 54.500 | 50.000 | 5.000 | 40.000 | — |
| Rady szk. i nadzór szk. . | 2,904.465 | 100.000 | 756.483 | 100.000 | 724.792 | — |
| Utrzymanie zabytk. i pomników sztuki . . . . | — | 178.363 | — | 17.000 | — | 77.000 |
| Muzea przemysłowe . . . | 430.919 | 338.000 | 17.000 | — | 59.700 | 20.000 |
| Inne cele . . . . . | 375.235 | 15.400 | 56.344 | 5.000 | 80.068 | — |
| Razem . . . . . | 3,988.119 | 688.263 | 879.827 | 127.000 | 904.560 | 97.000 |

Ogółem przeto rozdzielone na poszczególne kraje koronne wydatki na oświatę wynosiły 88,048.072 K., z czego 75,389.053 K. w dziale zwyczajnym, a 12,659.019 K. w nadzwyczajnym. Na Galicyę przypada wydatków zwyczajnych 14,207.846 K. t. j. 18.85% i 2,286.133 czyli 18.06% nadzwyczajnych, podczas gdy na Czechy przeznaczono 21,613.136 K. zwyczajnych i 3,213.240 K. nadzwyczajnych wydatków t. j. 28.67%, względnie 25.38%.

Już te ogólne cyfry dowodzą, że w dziedzinie oświaty przeznacza się na Galicyę stosunkowo bardzo mało środków. To pokrzywdzenie występuje jeszcze wyraźniej, jeżeli wejdzie się cokolwiek głębiej w szczegóły, zawsze z pominięciem wydatków zcentralizowanych, z których z pewnością nie daje się nam zbyt wiele.

Zwyczajne wydatki na uniwersytety preliminowano w kwocie 13,345.321 K., w której udział obu wszechnic polskich wynosi 2,898.726 K. czyli 21.72%. Jednakże w uniwersytecie krakowskim znajdujemy dwa rodzaje dochodów, mianowicie zwrot kosztów leczenia w klinikach i dochód z folwarku Mydlniki, które należy potrącić z wydatków, gdyż niema w żadnym innym uniwersytecie podobnego pokrycia. Reszta wydatków wyniesie w takim razie tylko 2,786.399 K. t. j. 21%. Otóż jak nizką stosunkowo jest ta suma zobaczymy najlepiej, gdy porównamy wydatki na nasze uniwersytety z ilością zwyczajnych słuchaczy, którzy z nich korzystali. W całej Przedlitawii było w dniu 31 grudnia 1907 r. 20.457 zwyczajnych słuchaczy uniwersyteckich, z tego w Krakowie i we Lwowie 5.792, t. j. 28.31%, podczas gdy rzeczywiste wydatki wynosiły tylko 21%. Stosunki poszczególnych uniwersyte-

tów przedstawiają się z tego punktu widzenia w następujący sposób:

| Uniwersytet | Zwycz. wydatki kor. | Ilość zwycz. słuchaczy | Jeden zwycz. słuch. kosztuje kor. |
|---|---|---|---|
| W Innsbrucku . . . . . | 1,138.788 | 930 | 1.224.49 |
| » Pradze niemiecki . . . . | 1,693.210 | 1.406 | 1.204.27 |
| » Gracu . . . . . | 1,405.799 | 1,557 | 902.89 |
| » Czerniowcach . . . . . | 448.624 | 694 | 646.43 |
| » Krakowie . . . . . | 1,541.374 | 2.418 | 637.49 |
| » Pradze czeski . . . . . | 1,829.211 | 3.091 | 591.78 |
| » Wiedniu . . . . . | 3,962.790 | 6.987 | 567.17 |
| We Lwowie . . . . . | 1,245.025 | 3.374 | 369.00 |

Niewątpliwie wydatki na uniwersytety mniejsze muszą być stosunkowo większe, lecz te różnice nie powinny być w żadnym razie tak znaczne. Szczególniej uderzające są cyfry dla Lwowa, których nie można usprawiedliwić ani połączeniem klinik ze szpitalem krajowym, ani wielką liczbą słuchaczy, a stąd stosunkowo mniejszymi kosztami. Wogóle widać tu bardzo daleko idące uprzywilejowanie prowincyonalnych uniwersytetów niemieckich. Stosunkowe bowiem cyfry okazują, że na

| | prowincyonalne uniw. niemieckie | uniwersytety polskie | uniwersytet czeski | uniwersytet wiedeński |
|---|---|---|---|---|
| Z ogółu wydatków zwyczajnych przypada % . . . . | 35.33 | 21.00 | 13.78 | 29.89 |
| Z ogółu słuchaczy zwyczajnych przypada % . . . . | 22.92 | 28.31 | 14.62 | 34.15 |
| Wydatek na jednego zwycz. słuchacza wynosi kor. . . | 1.021.67 | 481.08 | 591.78 | 567.17 |

Nasze stosunki są więc w każdym razie najgorsze.

Równie niepomyślnie przedstawia się budżet politechnik. Z ogółu wydatków przypada na politechnikę lwowską 13.31%, podczas gdy oba zakłady czeskie kosztują 28.54%, trzy prowincyonalne politechniki niemieckie 32.57%, a wiedeńska 25.58%. Natomiast z ogółu 9.169 zwyczajnych słuchaczy, we Lwowie jest ich 1.399 t. j. 15.27%, na politechnikach czeskich 2.787, czyli 30.39%, na prowincyonalnych niemieckich 2.252, t. j. 24.56%, wreszcie w Wiedniu 2.731, a więc 29.78%.

Przechodząc teraz do zbadania, o ile te stosunki, dziś jeszcze nader niepomyślne, poprawiły się w ostatnich latach, należy stwier-

dzić, że wręcz przeciwnie zmieniły się raczej na naszą niekorzyść. Mianowicie po potrąceniu niektórych pozycyi czysto rachunkowych, wydatki zwyczajne wynosiły wzrost 1906—1909

| | 1906 | 1909 | w % |
|---|---|---|---|
| Na uniwersytet wiedeński . . . . | 3,356.400 | 3,919.190 | 16.77 |
| » prowinc. uniwers. niemieckie | 4,037.000 | 4,654.372 | 15.29 |
| » uniwersytet czeski . . . . . | 1,440.100 | 1,817.611 | 26.21 |
| » » w Krakowie . . . | 1,335.400 | 1,528.474 | 14.46 |
| » » we Lwowie . . . | 1,041.000 | 1,230.025 | 18.00 |

Dla obu uniwersytetów wynosi wzrost tylko 15.43%, t. j. cokolwiek więcej niż na od dawna uprzywilejowanych uniwersytetach niemieckich, a w Krakowie jest postęp wogóle najsłabszy w całem państwie.

Lepiej jest z politechniką we Lwowie, gdzie wydatki zwyczajne podnoszą się z 478.500 do 614.717 K. t. j. o 28.47%. Jest to wynikiem bardzo nagłego powiększenia się frekwencyi w ostatnich latach, wskutek czego musiały się podnieść także wydatki. Lecz ten wzrost dotacyi pozostał jeszcze bardzo znacznie w tyle poza rozwojem wydatków na politechnikach czeskich, których koszt wzrósł w tym samym czasie z 919.533 na 1,307.122 K., a więc o 42.15%.

Bardzo ważne miejsce zajmują przy szkołach wyższych wydatki nadzwyczajne, przeznaczone głównie na nowe budowle, adaptacye i urządzenie najrozmaitszych instytutów, w tych bowiem pozycyach przejawia się przedewszystkiem stopień przystosowania zakładów naukowych do każdoczesnych potrzeb nauki. Nic przeto dziwnego, że podczas gdy zwyczajne koszta uniwersytetów i politechnik wynoszą okrągło 18 milionów, wydatki nadzwyczajne preliminowano prócz tego w kwocie 5,163,439 K., a więc około 28.5%. Udział naszego kraju w tych wydatkach w roku bieżącym wynosi 1,051.575 K., t. j. 20.36%, jest przeto mniejszy niżby wypadało ze stosunku kosztów zwyczajnych. Jednakże nadzwyczajnych wydatków nie można porównywać z jednego roku, lecz stosując się do ich natury, należy uwzględniać zawsze okres kilkuletni. Otóż pomijając Czerniowce, jako

uniwersytet niezupełny, przekonywamy się, że w ostatniem czteroleciu przeznaczono na nadzwyczajne potrzeby:

| W uniwersytecie | 1906 | 1907 | 1908 | 1909 | Razem |
|---|---|---|---|---|---|
| W Wiedniu . . . . . | 228,217 | 331.843 | 510.641 | 999.667 | 2,070.368 |
| » Gracu . . . . . | 148.165 | 28.180 | 174.715 | 164.704 | 515.764 |
| » Innsbrucku . . . . . | 57.879 | 107.000 | 44.950 | 140.350 | 350.179 |
| » Pradze na niemiecki . . | 147.303 | 169.267 | 345.825 | 323.335 | 985.830 |
| » » » czeski . . . | 149.684 | 328.628 | 412.142 | 1,076.607 | 1,965.061 |
| » Krakowie . . . . . | 59.322 | 72.625 | 363.709 | 742.920 | 1,238.576 |
| We Lwowie . . . . . | 192.546 | 120.222 | 46.121 | 225.605 | 584.494 |

Ogółem przeto preliminowano 7,710.272 K., z tego na wszechnice niemieckie 3,922.141 K., a więc przeszło połowę, na czeską 1,965.061 K., na polskie tylko 1,823.070 K., czyli 23.64% Należy przytem podnieść, że ten, wobec naszych wielorakich potrzeb i tak zbyt skromny udział zawdzięczamy jedynie stosunkowo korzystnemu budżetowi na rok 1909. W tym roku z ogólnych wydatków 3,673.528 K. przypada na Lwów i Kraków 968.565 K., a więc 26.37%, podczas gdy w trzech latach poprzednich przeznaczono dla nas razem tylko 854.505 K., t. j. 21.16%. W tym dziale budżet tegoroczny jest bez porównania korzystniejszy od swych poprzedników.

Jeżeli wydatki nadzwyczajne na uniwersytety, przynajmniej w ostatnim roku nie wykazują upośledzenia Galicyi, to nie można tego powiedzieć o politechnice lwowskiej, dla której, mimo nader szybkiego powiększania się frekwencyi, nic się prawie nie robi. Widać to z następującego zestawienia wydatków nadzwyczajnych:

| Politechniki | 1906 | 1907 | 1908 | 1909 | Razem |
|---|---|---|---|---|---|
| Niemieckie (Wiedeń, Grac, Praga, Berno) . . . . . | 124.358 | 173.160 | 1,423.240 | 588.270 | 2,309.028 |
| Czeskie (Praga, Berno) . . . | 112.942 | 213.535 | 1,135.542 | 811.658 | 2,273.677 |
| Lwowska . . . . . | 21.040 | 41.867 | 55.529 | 83.050 | 201.486 |

Ogółem nadzwyczajne wydatki wynosiły w ostatniem czteroleciu 4,784.191 K., z tego na Lwów wypada śmiesznie drobna kwota 201.486 K., czyli 4.21% ogólnej sumy, jakkolwiek stosunek słuchaczy wynosi 15.27%. Stosunki te pogorszyły się jeszcze bardzo znacznie w ostatnich dwóch latach, bo podczas

gdy w okresie 1906—1907 udział Galicyi wynosił 9.16%, w latach 1908—1909 spadł do 3.38%, a więc do jednej trzeciej swej dawniejszej wysokości. Jest to tem bardziej rażące, że właśnie dzisiaj, gdy w kraju rozpoczął się w istocie ruch na polu przemysłowem, zaniedbuje się w taki sposób najwyższy nasz instytut techniczny. Poprawa i to bardzo wydajna warunków budżetowych naszej politechniki winna być przeto jednym z najnaglejszych naszych postulatów.

Jedną z najważniejszych pozycyi, szczególniej ze stanowiska nauk przyrodniczych, stanowią w budżecie uniwersytetów wydatki na prace, doświadczenia i na narzędzia w poszczególnych zakładach i instytutach naukowych. Jak powszechnie wiadomo są one w Przedlitawii wogóle nader nizkie, powstaje jednak pytanie, czy skargi, tak często powtarzane, że uniwersytety polskie upośledza się pod tym względem systematycznie, są uzasadnione? Otóż pomijając Wiedeń, jako uniwersytet stołeczny, a stąd z natury rzeczy najlepiej wyposażony i Czerniowce, jako wszechnicę stosunkowo bardzo mało uczęszczaną, ważniejsze dotacye na te cele preliminowano w r. 1909 w następujących kwotach:

| Dział wiedzy | Uniwersytety | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | w Gracu | w Innsbrucku | niemiecki w Pradze | czeski w Pradze | w Krakowie | we Lwowie |
| **A) Wydział filozoficzny.** | | | | | | |
| Fizyka | 4.200 | 3.620 | 4.600 | 4.600 | 4,000 | 2.000 |
| Fizyka kosmiczna | — | — | 2.200 | — | — | — |
| Chemia | 5.000 | 2.800 | 5.000 | 5.200 | 5.000 | 4.000 |
| Chemia fizyczna | — | — | 1.400 | — | — | — |
| Astronomia | 400 | 1.100 | 3.850 | 2.000 | 2.100 | — |
| Matematyka | 400 | 400 | 400 | 600 | 400 | — |
| Zoologia | 3.000 | 1.600 | 1.630 | 2.000 | 1.200 | 1.600 |
| Botanika i fizyol. roślin | 1.800 | 1.200 | 3.300 | 3.100 | 1.600 | 2.000 |
| Ogród botaniczny | 3.350 | 4.000 | 4.800 | 6.000 | 3.900 | 4.390 |
| Mineralogia | 1.200 | 1.200 | 1.200 | 1.200 | 1.000 | 800 |
| Geologia | 1.200 | 1.200 | 1.200 | 1.000 | 1.000 | 600 |
| Anatomia porównawcza | — | — | 1.230 | — | 1.200 | 600 |
| Razem | 20.550 | 17.020 | 30.810 | 25.700 | 21.400 | 15,990 |

| Dział wiedzy | Uniwersytety | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | w Gracu | w Innsbrucku | niemiecki w Pradze | czeski w Pradze | w Krakowie | we Lwowie |
| **B) Wydział medyczny.** | | | | | | |
| Anatomia | 2 800 | 4.200 | 3.200 | 3.800 | 3.500 | 2.000 |
| Fizyologia | 4.000 | 2.000 | 4.800 | 5.100 | 3.800 | 3.000 |
| Histologia i embryologia | 800 | 800 | 800 | 1.200 | — | 800 |
| Anatomia patologiczna | 2.000 | 2.500 | 4.000 | 5.100 | 2.500 | 2 500 |
| Patologia | 2.300 | 1.900 | 2.000 | 2.000 | 2.000 | 1.200 |
| Chemia | 1.600 | 1.200 | 2.400 | 3.500 | 2.400 | 2.000 |
| Farmakologia | 1.000 | 1.600 | 3.200 | 2.600 | 1.200 | 1.600 |
| Hygiena | 2.000 | 2.500 | 2.400 | 2.400 | 2.000 | 1.600 |
| Medycyna wewnętrzna | 400 | 600 | 1.400 | 1.000 | 1.200 | 800 |
| Chirurgia | 1.100 | 1.400 | 1.500 | 1.500 | 2.000 | 1.200 |
| Okulistyka | 1.200 | 400 | 400 | 400 | 1.200 | 400 |
| Medycyna sądowa | 1.200 | 1.200 | 1.200 | 1.200 | 800 | 800 |
| Ginekologia | 600 | 600 | 700 | 700 | 1.200 | 600 |
| Psychiatrya | 500 | 400 | 500 | 500 | 1.500 | 1.500 |
| Dentystyka | 2.000 | 2.000 | 1.200 | 2.000 | 2.000 | 2.000 |
| Weterynarya | — | 200 | 1.200 | — | 2.200 | — |
| Inne | 1.400 | 2.300 | 3.900 | 4.400 | 2.800 | 3.500 |
| Razem | 24.900 | 25.800 | 34.800 | 37.400 | 32.300 | 25.500 |

Razem przeto, nie licząc oczywiście w Krakowie studyum rolniczego, przeznaczono na najważniejsze dotacye przyrodnicze na obu wydziałach w Pradze na uniwersytecie niemieckim 65.610, na czeskim 63.100, w Krakowie 53.700, w Gracu 45.450, w Innsbrucku 42.820, we Lwowie 41.450 K. Dotacye lwowskie są przeto najniższe w całem państwie, podczas gdy Kraków przedstawia się stosunkowo dość dobrze. Przeglądając jednak szczegółowo powyżej podane cyfry widzimy bardzo wielką nierównomierność w dotowaniu poszczególnych naszych katedr. Podczas gdy jednym daje się kwoty, równe lub nawet wyższe niż na innych uniwersytetach, przy drugich uderza dotacya wyjątkowo nizka. W Krakowie upośledzone są przedewszystkiem katedry zoologii, botaniki, farmakologii i medycyny sądowej, w pewnej mierze także mineralogii, geologii i fizyki, we Lwowie przedewszystkiem fizyki, chemii, mineralogii i geologii na wydziale filozoficznym i prawie wszystkie na medycznym. Wobec tego, że niektóre dotacye są u nas znaczne, mianowicie w Krakowie astronomii, chemii lekarskiej, medycyny wewnętrznej, chirurgii, ginekologii, psychiatryi i weterynaryi można przypuszczać, że wymiar dotacyi zależy

w wysokim stopniu od energii kierownika instytutu. Bez wątpienia profesorowie niemieccy łatwiej uzyskują środki naukowe, lecz i nasi, jak okazuje się z budżetu, mogą skutecznie wpłynąć na podwyższenie swej dotacyi, jeżeli tylko energicznie o to się starają. To też składanie winy wyłącznie na niechęć władz centralnych nie jest uzasadnione, bo niechęć tę niejednokrotnie można przełamać.

W żadnym kraju koronnym szkoły średnie nie przedstawiają takiego znaczenia dla ludności, jak w Galicyi. W innych krajach istnieją liczne szkoły zawodowe, posiadające dużą frekwencyę, u nas jest ich nie wiele, a w niższym może jeszcze stopniu z nich się korzysta. To też gimnazyum i szkoła realna stanowią w Galicyi jedyne niemal instytucye, w których wszystkie warstwy ludności czerpią swe średnie wykształcenie. Ta jednostronność jest niewątpliwie objawem ujemnym, lecz chcąc ocenić budżet szkolnictwa średniego musimy się liczyć z powyższymi faktami, jakkolwiek zapatrywalibyśmy się na ich społeczną doniosłość.

Odrębne to stanowisko Galicyi charakteryzują najlepiej cyfry. W roku szkolnym 1907/8 było uczniów w szkołach

| | Gimnazyalnych | Realnych | Razem | % |
|---|---|---|---|---|
| W Galicyi . . . . . | 30.998 | 3.860 | 34.858 | 25.85 |
| W Czechach . . . . . | 16.900 | 15.042 | 31.942 | 23.68 |
| W Austryi niższej . . . | 11.397 | 8.471 | 19.868 | 14.73 |
| W Morawach . . . . . | 8.138 | 8.762 | 16.900 | 12.53 |
| W innych krajach kor. | 21.999 | 9.359 | 31.358 | 23.21 |
| Razem . . . . . | 89.432 | 45.494 | 134.926 | 100 |

W Galicyi przeto jest więcej uczniów w szkołach średnich niż w Czechach, chociaż ogólny poziom oświaty ludowej jest tam znacznie wyższy niż u nas. Przytem różnica pomiędzy naszą i czeską frekwencyą jest tylko dlatego stosunkowo niezbyt duża, że w Czechach uczęszcza do szkół realnych cztery razy tyle uczniów, co w Galicyi. Biorąc natomiast same gimnazya przekonywamy się, że w Galicyi frekwencya ich jest prawie dwa razy większa niż w Czechach, bo z ogólnej liczby uczniów przypada na nasz kraj 34.67%, na Czechy tylko 18.79%.

Zupełnie takie same rezultaty otrzymujemy, badając narodowość uczniów szkół średnich, gdyż w roku szkolnym 1905/6 na 100 uczniów

| | Gimnaz. | Realnych | Wogóle w szkoł. śred. | Z całej ludn. w r. 1900 |
|---|---|---|---|---|
| Było Polaków . . . . . | 25.95 | 8.59 | 19.96 | 16 59 |
| » Czechów . . . . . | 19.42 | 35.46 | 24.94 | 23.24 |
| » Niemców . . . . . | 38.24 | 48.99 | 41.86 | 35.78 |
| » Rusinów . . . . . | 7.15 | 0.58 | 4.90 | 13.21 |
| » Innych . . . . . | 9.24 | 6.38 | 8.34 | 21.18 |
| Razem . . . . . | 100 | 100 | 100 | 100 |

Kredyty budżetowe powinny naturalnie odpowiadać mniej więcej tym cyfrom. Otóż zwyczajne wydatki na szkolnictwo średnie wynosiły:

| | W Przedlitawii | | w Galicyi | | w Czechach | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | 1906 | 1909 | 1906 | 1909 | 1906 | 1909 |
| Na gimnazya | 15,380.800 | 19.492.497 | 4,097.800 | 5,479.870 | 4,184.100 | 5,114.869 |
| Na szk. realne | 7,543.626 | 9,938.320 | 861.300 | 1,022.645 | 3,208.000 | 3,993.020 |

czyli że z ogółu zwyczajnych wydatków wypadało:

| | Gimnazya | | szkoły realne | |
|---|---|---|---|---|
| | 1906 | 1909 | 1906 | 1909 |
| Na Galicyę % . . . . . | 26.64 | 28.11 | 11.42 | 10.29 |
| Na Czechy % . . . . . | 27.20 | 26.24 | 42.52 | 40.18 |

Naogół więc widać w naszym budżecie postęp, bo obecnie udział Galicyi, przynajmniej w wydatkach na gimnazya, jest o wiele znaczniejszy, niż był przed czteru laty. Zniżka przy szkołach realnych tłumaczy się głównie tem, że podczas gdy frekwencya gimnazyów wzrasta stale i gwałtownie, ilość uczniów szkół realnych podnosi się bardzo nieznacznie, a w niektórych latach nawet się zmniejsza. Mimo tego dodatniego wyniku mamy jeszcze wiele do żądania i naprawienia w dziedzinie średniego szkolnictwa, co okazuje się z następującego zestawienia:

| | Udział Galicyi w % | | Udział Czech w % | |
|---|---|---|---|---|
| | wydatk. | frekwenc. | wydatk. | frekwenc. |
| Szkół gimnazyalnych . . . . . | 28.11 | 34.67 | 26.24 | 18.79 |
| Szkół realnych . . . . . | 10.29 | 8.48 | 40.18 | 33.06 |

Innemi słowy, gdyby wydatki na szkoły średnie odpowiadały natężeniu frekwencyi, należałoby przeznaczyć

| | Na gimnazya | na szk. realne | Razem |
|---|---|---|---|
| W Galicyi . . . . . | 6,758.047 | 842.770 | 7.600.817 |
| W Czechach . . . . . | 3,662.641 | 3,285.609 | 6,948.250 |

Budżet za r. 1909 preliminuje przeto w Galicyi na gimnazya za mało o 1,278.177, na szkoły realne za dużo o 179.875, w Czechach w obu kategoryach za dużo 1,452.228, względnie 707.411, tak że w stosunku do ilości uczniów preliminarz galicyjski jest za nizki o 1,098.302 K., czeski za wysoki o 2,159.639 K.

Nadzwyczajne wydatki na szkoły średnie, głównie na nowe budynki i pierwsze urządzenie świeżo otwartych zakładów preliminowano w ostatniem czteroleciu w następujących kwotach

| | Gimnazya | | | Szkoły realne | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | Przedlitawia | Galicya | Czechy | Przedlitawia | Galicya | Czechy |
| 1906 . . . . | 463.210 | 190.199 | 88.127 | 293.735 | 46.206 | 97.680 |
| 1907 . . . . | 532.871 | 177.620 | 169.094 | 456.374 | 37.405 | 173.384 |
| 1908 . . . . | 2,032.395 | 406.342 | 423.407 | 1,501.970 | 96.475 | 358.915 |
| 1909 . . . | 1,501.723 | 395.225 | 273.127 | 1,336.167 | 41.515 | 244.407 |
| Razem . . | 4,530.199 | 1,169.386 | 953.755 | 3,588.046 | 221.601 | 874.386 |
| % | 100 | 25.81 | 21.05 | 100 | 6.18 | 24.37 |

Jeżeli te kwoty zbierzemy razem, to udział Galicyi w powyższych latach wynosił kolejno 236.405, 215.025, 502.817 i 436.740 czyli ogółem 1,390.987 K. Stosunkowo przeto przypadało na Galicyę 1906—1909 31.23%, 21.74%, 14.23%, 15.39%. a więc średnio w całym tym okresie 17.26%. Jakkolwiek więc, absolutnie biorąc, wydatki nadzwyczajne wzrosły u nas w ostatnich dwóch latach bardzo znacznie, to jednak właśnie w tym czasie przeznaczono na nasz kraj stosunkowo o wiele mniej niż dawniej, chociaż powszechnie wiadomo, jak nieodpowiednie są niektóre nasze budynki szkolne.

Na średnie szkoły żeńskie, preliminuje budżet państwowy drobną tylko kwotę, bo państwo nie utrzymując zakładów własnych, subwencyonuje tylko zakłady prywatne. Otóż jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że jakkolwiek liczba uczennic gimnazyów prywatnych była w r. 1907/8 w Galicyi najwyższą, gdyż z ogólnej ich ilości 1700, przypadało na nasz kraj 1002, to jednak subwencye w Galicyi wynoszą tylko 12.000 K., podczas gdy Czechy

otrzymują 89.000, Austrya niższa 49.400, a w całem państwie wydaje się na ten cel 299.400 K.

Najgorzej przedstawia się u nas szkolnictwo zawodowe, a co gorsze nie widać w tym kierunku w budżetach żadnej zmiany na lepsze, lecz raczej położenie naszego kraju stale się pogarsza. Jest to pole, nad wszelki wyraz u nas zaniedbane, to też pierwszorzędny ciężyobowiązek na wszystkich wpływowych czynnikach polskich, ażeby w tym dziale jak najprędzej uzyskać rzeczywistą sanacyę wysoce patologicznych stosunków. Wszelkie bowiem nawoływania, choćby rzeczowo najbardziej uzasadnione, ażeby znaczniejsza część młodzieży zwróciła się ku wykształceniu handlowo-przemysłowemu, są bezcelowe i stają się czczą deklamacyą, jeżeli nie mamy warunków praktycznych, niezbędnych do przeprowadzenia takiej przemiany, t. zn. jeżeli nie mamy odpowiednich szkół zawodowych. A pod tym względem kraj nasz pozostał bardzo w tyle poza innymi i państwo nic prawie nie robi dla skromnego choćby polepszenia. Dowodzą tego cyfry następujące.

W r. 1905/6 było

| | Szkoły przemysł. i rękodz. wszelkiego rodzaju | | Szkoły handlowe wszelkiego rodzaju | |
|---|---|---|---|---|
| | Ilość szkół | ilość uczniów | Ilość szkół | ilość uczniów |
| Galicya . . . . . | 110 | 9.462 | 12 | 839 |
| Czechy . . . . . | 525 | 61.859 | 107 | 11.458 |
| Całe państwo . . . . . | 1.340 | 161.719 | 450 | 33.598 |

Na Galicyę przypada 5.85% uczniów szkół przemysłowych i 2.49% uczniów szkół handlowych.

Dotacya państwa na te cele nie odbiega wiele od tych cyfr. Mianowicie w ostatniem czteroleciu przeznaczono, nie licząc pozycyi zcentralizowanych:

| | Na państwowe szkoły przemysłowe | | | Na subwenc. dla innych szk. przem. | | |
|---|---|---|---|---|---|---|
| | Przedlitawia | Galicya | Czechy | Przedlitawia | Galicya | Czechy |
| 1906 . . . | 6,670.100 | 523.900 | 2,804.400 | 1,190.000 | 172.000 | 485.000 |
| 1907 . . . | 6,776.900 | 542.700 | 2,862.100 | 1,331.000 | 180.800 | 527.000 |
| 1908 . . . | 7,563.000 | 596.100 | 3,142.500 | 1,434.214 | 185.914 | 537.000 |
| 1909 . . . | 8,099,023 | 642.052 | 3,341.030 | 1,800.000 | 194.000 | 636.000 |

| | Na szkoły handlowe wszelkiego rodzaju | | |
|---|---|---|---|
| | Przedlitawia | Galicya | Czechy |
| 1906 . . . . . | 778.600 | 77.400 | 259.000 |
| 1907 . . . . . | 877.000 | 80.400 | 280.000 |
| 1908 . . . . . | 1,159.000 | 93.600 | 300.000 |
| 1909 . . . . . | 1,097.579 | 99.881 | 325.500 |

Udział Galicyi w tych wydatkach pogorszył się w tem czteroleciu, wynosił bowiem w procentach:

| | 1906 | 1909 |
|---|---|---|
| Państwowe szkoły przemysłowe . . | 7.85 | 7.93 |
| Inne » » . . | 14.45 | 10.78 |
| Szkoły handlowe . . . . . | 9.94 | 9.10 |

W dziedzinie oświaty muszę wspomnieć o wydatkach na seminarya nauczycielskie, które wynoszą 1,346.807 K., czyli 23.89% całego preliminarza w kwocie 5,637.398 K. Wydatki te w Galicyi podnoszą się szybciej niż w Czechach i całej Przedlitawii, w r. 1906 bowiem przeznaczono na seminarya w państwie 4,591.550, w Galicyi 1,071.100, tak że wzrost wynosi w Przedlitawii 22.78%, u nas 25.73%, w Czechach tylko 21.68%. Wobec znanego braku sił nauczycielskich w kraju jest to znaczniejsze udotowanie Galicyi konieczne, lecz w każdym razie należy podkreślić ten objaw dodatni, że w tym dziale liczono się z potrzebami Galicyi.

W końcu wypada jeszcze dodać, że na zakłady teologiczne preliminowano, nie licząc uniwersytetów, 2,185.296 K., z tego w Galicyi 600.514 K., a więc 27.48%. Jednakże z kwoty tej przypada 232.887 K., na seminarya teologiczne unickie, tak że na rzymsko-katolickie przeznaczono tylko 367.627 K.

Pomijam już mniej doniosłe wydatki w dziedzinie oświaty, jak 756.483 K. na rady szkolne, 100.097 K. na akademię sztuk pięknych, 143.666 K. na akademię weterynaryi i t. p., gdyż omówienie wszystkich tych pozycyi wychodziłoby daleko poza ramy niniejszego artykułu. Jeżeli zaś chodzi o ogólną ocenę wydatków na wykształcenie publiczne w naszym kraju, to niepodobna nie zauważyć, że państwo w tym dziale wogóle robi w Przedlitawii zbyt mało, a z potrzebami Galicyi liczy się jeszcze w niższym stopniu, niż z wymaganiami innych krajów koronnych. Szczególniej dział wykształcenia technicznego rozwija się u nas bardzo powoli, co utrudnia w wysokim stopniu rozwój dobrobytu krajowego. Na politechnikę, szkoły realne, przemysłowe i handlowe preliminarz galicyjski mieści kwoty stosunkowo bardzo drobne, bez porównania niższe, niż przeznacza się je na kraje pod tym względem handlowo-przemysłowym wysoko rozwinięte. Argument,

który się zwyczajnie przytacza na usprawiedliwienie takiego upośledzenia, mianowicie twierdzenie, że zapotrzebowanie tych zakładów jest u nas nieznaczne właśnie dlatego, że pozostaliśmy w tyle pod względem handlu i przemysłu nie wytrzymuje z pewnością krytyki. Właśnie dlatego, że u nas rozpoczyna się dopiero praca nad uprzemysłowieniem kraju, należałoby ją poprzeć całą siłą, nie tylko w interesie galicyjskim, lecz i ogólno-państwowym. Takie poparcie zaś w pierwszej linii powinno polegać na wyszkoleniu pracowników na polu przemysłowo-handlowem, a więc na tworzeniu i rozwijaniu odpowiednich zakładów naukowych. Na tę potrzebę niezbędną, od której zaspokojenia zależy w wysokim stopniu rozwój dobrobytu krajowego, musimy zwrócić tem baczniejszą uwagę, bo w tej właśnie dziedzinie natrafiamy na najsilniejszy i najpowszechniejszy opór ze względów konkurencyi gospodarczej. Chcąc, ażeby Galicya przestała być raz kolonią konsumującą fabrykaty a wywożącą surowce, musimy z całą stanowczością i bezwzględnością domagać się dostatecznego wyposażenia naszego szkolnictwa technicznego.

*Dr. Wł. Czerkawski*

# PRÓBA WSTĘPU DO KRYTYKI POZNANIA.

(Ciąg dalszy).

## 1. Podstawy psychologiczne poznania.

Poznanie ludzkie odbywa się w aktach. Te akty poznania są faktami czy zjawiskami psychicznemi, a nauka o faktach czy zjawiskach psychicznych jest to tak zwana psychologia: więc jakaś elementarna znajomość psychologii aktów poznania jest warunkiem, bez którego sensuby nie miało pisanie krytyki poznania. Wstęp zatem do krytyki poznania nie może pominąć zdania sprawy z tych podstawowych przekonań, na których piszący krytykę poznania opiera swą psychologię aktów poznania.

Jeśli się chce pisać krytykę poznania na doświadczeniu opartego i samą tę krytykę pragnie się oprzeć na doświadczeniu, to nie na innych podstawach psychologicznych oprzeć się należy, jak na danych w doświadczeniu najogólniej pojętem, więc także nie na poglądach teoretyczno-filozoficznych w myśl własnego z góry zbudowanego systemu. Aprioryczna budowa systemu filozoficznego naturalnie nie może się obyć bez teoryi poznania, na niej i według niej przeprowadza swe konstrukcye, ale co innego teorya a co innego krytyka poznania...

Według mego założenia chce się pisać krytykę poznania rzeczywistości: krytyka zaś nie byłaby krytyczną, gdyby swe oceny i roztrząsania opierała na dowolnych poglądach apriorycznych, nie na stwierdzonych doświadczalnie normach i kryteryach

rzeczywistych. Więc i psychologiczne podstawy krytyczno-poznawczych dociekań mają być doświadczalne, na doświadczeniu oparte, doświadczeniem normowane, przez doświadczenie kontrolowane.

Co do tego właśnie punktu srodze zawiniły systemy filozoficzne, które za jedną z psychologicznych podstaw poznania przyjmują niestwierdzone doświadczalnie zdanie, że nie poznajemy rzeczywistości bezpośrednio, lecz własne nasze wyobrażenia, czucia, wrażenia, pojęcia i t. d., a dopiero, co najwyżej, przez ich pośrednictwo poznajemy rzeczywistość, której w naszych aktach poznania jesteśmy świadomi. Przeciw temu poglądowi wystąpić należy z całą stanowczością w imię doświadczenia i w myśl naszych poprzednich postulatów doświadczalnych, a przedewszystkiem w imię naszego postulatu naczelnego, w imię doświadczenia najogólniej pojętego i poprzednio określonego [1].

---

[1] To, co pisałem o doświadczeniu w poprzednim artykule (w numerze marcowym *Przeglądu*) wzbudziło — jak na nasze warunki filozoficzne — dość wielkie zainteresowanie, którego objawy z różnych stron i w różnych formach doszły do mnie. Jedna forma tych objawów spowodowała mnie do zrobienia obecnego przypisku. Zarzucono mi używanie wyrazu »doświadczenie« w innem znaczeniu, niż dotychczas to się robi, i dawanie przez to powodu do ważnych nieporozumień. W celu uniknięcia nieporozumień dalszych raz jeszcze powtarzam, że świadomie i celowo uogólniam pojęcie doświadczenia i rozumiem przez doświadczenie nie tylko eksperyment, nie tylko spostrzeżenie, nie tylko doświadczenie tak zwane życiowe, ale wszelkie i jakiekolwiek stwierdzanie rzeczywistości.

Już niejednokrotnie w różnych swoich pracach zwracałem uwagę na to, że na poparcie powyższego uogólnienia potoczna mowa daje nam różne przykłady, w których wyraz »doświadczenie« bywa używany w każdem z wymienionych znaczeń i w znaczeniach pokrewnych. Niejednokrotnie również zwracałem uwagę na to, że wspólną istotną cechą wszystkich tych znaczeń jest konstatowanie, stwierdzanie rzeczywistości. Tak uogólniając pojęcie doświadczenia, pragnę między innemi wskazać na zbyt ciasne przypisywanie szczególnej mocy dowodowej t. zw. eksperymentom i obserwacyom naukowym, jakoteż pragnę już w samej nazwie zaznaczyć wspólność natury tych największych oczywistości, jakie daje tak eksperyment naukowy, jak ścisły dowód matematyczny i t. p. W jednym i w drugim razie oczywistość i niewzruszoną moc dowodu zawdzięcza się ścisłemu, naukowemu i krytycznemu skonstatowaniu rzeczywistego, faktycznego stanu rzeczy. W jednym razie stwierdza się rzeczywistość pod zmysły t. zw. zewnętrzne podpadającą elementów eksperymentowanego zjawiska, jakoteż rzeczywistość

Umysł człowieka nieuprzedzonego i niezepsutego przez filozofię aprioryczną patrzy na własne życie psychiczne, jako na szereg tak zwanych aktów świadomości, pewnych faktów i momentów historycznych, których dzieje rozgrywają się na widowni świadomości jednostkowej.

Akty świadomości są: akty czuć, jak widzenia, słyszenia, dotykania, bólu i t. d.; akty uczuć, jak doznawania uczucia przyjemności lub nieprzyjemności; akty wrażeń, akty wyobrażeń, akty pojmowania, akty uwagi, akty woli, akty pragnienia, afekty, i t. d. Wszystkie takie akty świadomości są rzeczywistemi zjawiskami, rzeczywistymi faktami, a od innych faktów i zjawisk tem się właśnie odróżniają, że są rzeczywistemi zmianami świadomości. Rzeczywistość aktów świadomości stwierdza się w nich samych tem samem, że się je ma: kiedy patrzę na łąkę zieloną i ją widzę, nie tylko jestem świadomy tego, na co patrzę, lecz także

---

związku między tymi elementami w dokonanym eksperymencie stwierdzoną. W drugim razie, w dowodzie matematycznym, stwierdza się rzeczywistość związku między koncepcyami matematycznemi, o których i na których dowód jest przeprowadzony. To, co stanowi naukową wartość eksperymentu, jest stwierdzenie rzeczywistości związku między elementami, a więc to samo, co stanowi naukową wartość dowodu matematycznego; różnica polega tylko w elementach poznania, które rzeczywiste są w eksperymencie, konstrukcyjno-myślowe w dowodzie matematycznym.

Podobnie jak w matematyce ma się do czynienia z koncepcyami czy konstrukcyami myślowemi (matematycznemi), tak w logice i w rozumowaniu logicznem ma się do czynienia z myślowemi (więc logicznemi) koncepcyami i konstrukcyami. Moc dowodowa rozumowania logicznego polega tak, jak w matematyce, na stwierdzaniu rzeczywistości związku między temi koncepcyami logicznemi. A więc znów stwierdzanie rzeczywistości jest źródłem i kryteryum tej oczywistości, jaką nam dają dowody i rozumowania logiczne.

Zdaje się więc być oczywistem, że stwierdzanie rzeczywistości jest wspólną cechą istotną wszelkich dowodów, wszelkich demonstracyi, wszelkich eksperymentów, wszelkich doświadczeń życiowych, wszelkich obserwacyi: że zaś w większości różnych rodzajów i sposobów stwierdzania rzeczywistości zwyczaj mowy nazwał to stwierdzanie doświadczaniem, przeto słusznie chyba wspólną istotną cechę wspólnym, wziętym z żywej mowy, nazwiemy wyrazem. Nadto zdaje się być także oczywistem, że tak ogólnie pojęte i tak nazwane doświadczenie jest i jedynem źródłem i najwyższem kryteryum poznania rzeczywistości. To jest właśnie niezmiernie ważny powód, dla którego uogólniam nazwę i pojęcie doświadczenia. Niesłusznie i nie-

jestem świadom i tego, że patrzę i widzę. Jestem świadomy moich aktów świadomości, a więc rzeczywistość ich stwierdzam przez to samo, że je mam, że je przeżywam, że się coś w mojej świadomości dzieje.

W każdym akcie świadomości prócz rzeczywistości tego aktu stwierdza się rzeczywistość tego, czego w danym akcie jest się świadomym. Jakakolwiek i czemkolwiek ta rzeczywistość jest, bez jej jakiegoś stwierdzenia niema aktu świadomości. Kiedy np. widzę zieloną łąkę, w tym moim akcie widzenia stwierdzam, że na coś patrzę i że coś widzę: na coś patrzeć i coś widzieć to nam powiada coś o rzeczywistości tego, na co patrzę i co widzę. W jakiś więc sposób stwierdza się w akcie widzenia rzeczywistość, której w tym akcie jest się świadomym. Podobnie jak w akcie widzenia, tak w każdym innym akcie świadomości w sposób temu aktowi właściwy stwierdza się i rzeczywistość aktu i rzeczywistość tego, czego w tym akcie jest się świadomym. Weźmy jeszcze jako inny przykład akt, dajmy nato, woli: wzbudzając akt woli jesteśmy świadomi tak naszego chcenia, jak (w jakiś

---

logicznie zdawałby się ten postępować, ktoby z pełną świadomością głosił zasadę o najwyższej oczywistości doświadczenia *(contra experimentum nullum argumentum)* i rozumiał, że tę oczywistość najwyższą daje stwierdzenie rzeczywistości, a jednak tej samej istotnej cechy (stwierdzanie rzeczywistości) nie chciał nazwać tem samem mianem, gdyby ją spostrzegł gdzieindziej.

Logiczny byłby zarzut, gdyby mi kto wykazał, że stwierdzanie rzeczywistości nie jest tą wspólną i istotną cechą, która daje moc dowodową i we wszystkich tak dotąd nazywanych doświadczeniach, i we wszelkich jakichkolwiek tak zwanych rozumowaniach i dowodach. Jeżeli się zaś tego mi nie wykazuje, to zarzut, robiony mi z tego, że wspólna istotna cecha wspólną u mnie nazwę nosi, jest n i e l o g i c z n y.

Gdyby mi znów kto zarzucił nazywanie doświadczeniem także tego, co dotąd nigdy doświadczeniem nie było nazywane, to na ten zarzut dałbym odpowiedź, ośmieliłem się u o g ó l n i ć i pojęcie i nazwę doświadczenia, a o ile nazwa została przeze mnie uogólnioną, o tyle wolno mi odtąd nazywać w pewnym, ściśle określonym sensie, także i to doświadczeniem, co dotąd nie było tak nazywane. Ale ponieważ doświadczenie najogólniej pojęte obejmuje różne szczególne rodzaje i sposoby stwierdzania rzeczywistości, przeto w toku krytyki poznania będzie trzeba odróżnić takie rodzaje doświadczenia, jak fizyczne, psychologiczne, historyczne, logiczne i t. d.

sposób) i tego czego chcemy [1]. Będąc świadomymi tego czego chcemy, w jakiś sposób stwierdzamy rzeczywistość, której pragniemy i którą osiągnąć chcemy.

Prócz rzeczywistości aktu świadomości i prócz rzeczywistości, której w tym akcie jest się świadomym, doświadczenie nie stwierdza żadnej trzeciej rzeczywistości, któraby nie była ani rzeczywistością aktu, ani rzeczywistością, której w tym akcie jest się świadomym: nierzeczywistym jest więc sposób po swojemu ujmowania, pojmowania, wyobrażania, przedstawiania sobie rzeczywistości. Te i tym podobne sposoby po swojemu ujmowania rzeczywistości nie mają innej rzeczywistości, jak tylko rzeczywistość samych aktów świadomości po swojemu jakąś rzeczywistość ujmujących: ponadto są to tylko myślowe koncepcye, abstrakcye, konstrukcye, a więc nierzeczywiste elementy poznania rzeczywistości.

* * *

Główną psychologiczną podstawę wszelkiego poznania rzeczywistości, główną zatem także podstawę krytyki poznania stanowi powyżej podany rezultat najpowszechniejszej refleksyi psychologicznej. Rezultat ten da się krótko opisać w formie następującego szeregu dwuogniwowego:

**Akt świadomości — — — Rzeczywistość.**

Ten szereg jest doświadczalny, bo całkowicie na doświadczeniu oparty i żadnych pierwiastków nie stwierdzonych doświadczalnie nie zawierający. Ale nadto szereg ten całkowicie wyczerpuje najogólniejsze rodzaje wszelkich rzeczywistych pierwiastków poznania jakiejkolwiek rzeczywistości. Całe nasze poznanie składa

[1] Czasem doświadcza się pewnych jakichś nieokreślonych pragnień i zachceń, z których nie zdaje się sobie wyraźnej sprawy. Ale i w takich nawet pragnieniach jest się świadomym jakiejś rzeczywistej zmiany, a więc jakiejś bliżej nie określonej rzeczywistości, którąby się pragnęło osiągnąć. Więc i tutaj potwierdza się słuszność powyższego powiedzenia, że w każdym akcie świadomości stwierdza się rzeczywistość aktu świadomości i rzeczywistość tę, której w tym akcie jest się świadomym.

się z takich szeregów dwuogniwowych, których najogólniejszym typem jest powyższy szereg podstawowy.

W każdym z takich jednostkowych szeregów stwierdza się tyle tylko rzeczywistości, ile jej jest w danym akcie świadomym. Nie stwierdza się jej więcej, ale też nie stwierdza się jej mniej: jakiejkolwiek rzeczywistości jest się świadomym w danym akcie świadomości i ilekolwiek jest się jej świadomym, tyleż się jej stwierdza.

Ponieważ stwierdzanie rzeczywistości jest najogólniej pojętem doświadczeniem, przeto szereg powyższy jest podstawą psychologiczną także wszelkiego doświadczenia. Każde jednostkowe doświadczenie jest w istocie swojej aktem świadomości stwierdzającym jakąś rzeczywistość. Akty świadomości są zarazem aktami doświadczeń.

W naszym szeregu podstawowym drugie ogniwo wogóle obejmuje także i rzeczywistość aktów świadomości, bo — jak widzieliśmy — w akcie świadomości stwierdza się także rzeczywistość samego tego aktu. Dzięki temu, że akty świadomości są rzeczywiste i jako takie doświadczalnie konstatowalne, możliwą jest psychologia jako nauka o aktach świadomości. Nasz szereg podstawowy jest więc jednocześnie główną podstawą także i psychologii.

Pierwsze ogniwo naszego szeregu podstawowego wyraża ten fakt znamienny i tę istotną cechę życia naszego psychicznego, że zjawiska tego życia, te t. zw. zjawiska psychiczne, to są istotne, rzeczywiste czyny, akty naszej świadomości.

Są psychologie, które nie przyjmują aktywnej, czynnej świadomości: dla niej nie istnieją wcale te t. zw. akty świadomości, a więc niema dla niej tego, co dla psychologii doświadczalnej, na naszym podstawowym szeregu opartej, stanowi właściwy przedmiot jej badań; ale psychologie wspomniane dowolnie interpretują dane doświadczalne w myśl apriorycznych założeń swoich filozoficznych. Naturalnie, że na takich psychologicznych podstawach oparta nauka o poznaniu nie będzie empiryczną krytyką poznania rzeczywistości, lecz tylko równie aprioryczną teoryą poznania jak aprioryczne są jej założenia naczelne.

Dowolnie aprioryczna jest także wszelka teorya poznania zbudowana na przypuszczeniu rzeczywistości trzeciego ogniwa, pośredniego, w naszym szeregu podstawowym. Jest to bardzo rozpowszechniony przesąd i w popularnej nienaukowej psychologii i we wszelkich idealistycznych systemach filozoficznych, że wyobrażenia, pojęcia, idee i t. p., są czemś rzeczywistem poza rzeczywistością aktów, wyobrażenia, pojęcia, idei i t. p., i poza rzeczywistością w tych aktach i przez te akty wyobrażaną, pojmowaną, myślowo ujmowaną. Wszelkie takie filozofie i w ich myśl budowane teorye poznania opierają się na następującym szeregu trójogniwowym:

**Akt świadomości — — Treść świadomości — — Rzeczywistość.**

Oba skrajne ogniwa tego szeregu mają to samo znaczenie, co w naszym szeregu podstawowym dwuogniwowym; ogniwo zaś środkowe ma zasadniczo odmienne znaczenie od ogniw skrajnych, bo podczas gdy skrajne ogniwa przedstawiają rzeczywiste elementy poznania, ogniwo środkowe przedstawia element nierzeczywisty, myślowy sposób ujęcia rzeczywistości, koncepcyę i abstrakcyę myślową. Treść świadomości oznacza tu wyobrażenie, które nie jest aktem wyobrażenia, wrażenie, które nie jest aktem wrażenia, czucie, które nie jest aktem czucia, pojęcie, które nie jest aktem pojmowania i t. p.

Historya filozofii pokazuje, że szereg powyższy trójogniwowy ulegał stopniowym przeobrażeniom i ewolucyom, bywał rozszerzany lub ścieśniany, ale, niestety, wszystkie te ewolucye obracały się około ogniwa środkowego jakby około błędnej osi: nie umiano wyzwolić się z tkwiącego w niem przesądu. W kolejnej ewolucyi szereg powyższy stawał się szeregiem cztero- i pięcio-ogniwowym, to znowu zatracał jedno ze skrajnych ogniw, przechodził w szereg dwuogniwowy:

**Akt wyobrażenia — — — Wyobrażenie**

aż w swej końcowej ewolucyi zatracił także rzeczywistość lewego skrajnego ogniwa i stał się szeregiem o jednem tylko ogniwie:

**Wyobrażenie**

gdzie »wyobrażenie« oznacza już tylko myślową abstrakcyę czy konstrukcyę, tę t. zw. »treść świadomości«, nie zaś akt świadomości.

Ponieważ te tak pojmowane wyobrażenia dadzą się w analizie myślowej rozłożyć na prostsze abstrakcyjne składniki, na tak zwane czucia, przeto ostatni szereg jednoogniwowy dopuszczał jeszcze jedną dalszą ewolucyę i doszedł do niej w najnowszych systemach filozoficznych o pokroju idealistycznym (»empiryokrytycyzm« i »pragmatyzm«) i oparł swe teorye psychologiczno-poznawcze na szeregu podstawowym:

**Czucie.**

W ewolucyi idealistycznej dalej już chyba iść nie można: zdaje się, że idealistyczny przesąd doprowadzony został do ostatecznych swych konsekwencyi: cały świat psychiczny, fizyczny i myślowy, zbudowany jest z jednego jedynego pierwiastka, a tym pierwiastkiem nie jest nic rzeczywistego, lecz tylko pewna myślowa abstrakcya.

W tym jednoogniwowym podstawowym szeregu pragmatyzmu i empiryokrytycyzmu, przypominam, czucia nie są aktami świadomości, lecz idealnymi, myślowymi pierwiastkami. Z tego powodu oba te systemy filozoficzne słusznie — wbrew protestom ich przedstawicieli — do idealistycznych systemów zaliczone być powinny.

Na doświadczeniu oparta krytyka poznania już we wstępie powinna zdać krytyczną sprawę ze swych podstaw i założeń psychologicznych. A ponieważ najradykalniejsze przeciwieństwo panuje między główną podstawą psychologiczną wszelkich systemów idealistycznych a empirycznym fundamentem doświadczalnej psychologii i krytyki poznania, wyrażonym w moim naczelnym szeregu dwuogniwowym, przeto należy stanowczo wystąpić przeciw owej podstawie idealistycznej. Raz już należałoby zerwać z tym przestarzałym przesądem, na iluzyi opartym, jakobyśmy bezpośrednio poznawali jakąś idealną treść świadomości, jakiś myślowy obraz poznawanej rzeczywistości.

Raz już wreszcie powiedzmy sobie stanowczo, że w świecie faktów i rzeczywistości, w świecie najogólniej pojętego doświad-

czenia, niema konstrukcyi myślowych jako rzeczywistych elementów empirycznego poznania. Czas już z tych wszystkich koncepcyi, abstrakcyi, konstrukcyi myślowych zedrzeć złudną maskę, nałożoną na nie przez przesąd idealistyczny; czas już oduczyć się od substancyalizowania czy może nawet personifikowania tego, co jest li tylko myślowym sposobem poznawania rzeczywistości, logiczną abstrakcyą.

* * *

Główna podstawa psychologiczna naszej doświadczalnej krytyki poznania wyrażona w jedynie doświadczalnym i jedynie rzeczywistym szeregu naszym naczelnym

**Akt świadomości — — Rzeczywistość,**

jest — w myśl uwag podanych w poprzednim artykule — warunkiem doświadczalnie stwierdzonym, postulatem doświadczalnym tak krytyki poznania jak samego się do niej zabrania.

Postulat ten nie tylko jasno wskazuje jedyną drogę, na której rzeczywistość jakakolwiek stwierdzoną być może, ale zarazem zawiera w sobie inną podstawę psychologiczną wszelkiego poznania i empirycznej krytyki poznania. Świadomość nasza jest w ścisłym sensie wyrazu czynną, odbywa się w czynach, aktach. Żeby więc doszło coś do naszej świadomości, żebyśmy rzeczywistość jakąś stwierdzili, ją zatem poznali, do tego potrzeba rzeczywistego działania z naszej strony.

Bez działania naszego, bez naszych własnych aktów nie jesteśmy świadomi, niema w nas świadomości. Jakkolwiek się ta czynność nasza objawia, jakkolwiek się ona nazywa, czy działaniem woli czy aktem uwagi czy apercepcyą (oczywiście nie o herbartowskiej lecz o wundtowskiej mowa tu apercepcyi), jest ona istotnym warunkiem, nawet cechą istotną naszego poznawania.

Czynności świadomości nie uznają — jak to już przez oczywistą konsekwencyę wynika z uwag poprzednich — najnowsze systemy idealistyczne: pragmatyzm i empiryokrytyzm. Dlatego

znów te filozoficzno-metafizyczne systemy tylko aprioryczną, nie na doświadczeniu opartą, postawić mogą teoryę poznania. Nie stać tych systemów na empiryczną krytykę poznania rzeczywistości, bo z góry usuwają jedną z głównych podstaw wszelkiej empiryi: czynność stwierdzania rzeczywistości.

* * *

Postulat doświadczalny krytyki poznania, przedstawiony w obecnym rozdziale, w zestawieniu z naczelnym postulatem doświadczenia jako źródła i kryteryum poznania, zawiera jeszcze w sobie nadto psychologiczny warunek wszelkiego jakiegokolwiek jednostkowego doświadczenia, mianowicie: spostrzeżenie, zauważenie tej rzeczywistości, którą się w danem doświadczeniu stwierdza, której się w odpowiednim akcie świadomości będzie świadomym.

Doświadczenie najogólniej pojęte o tyle tylko jest jedynem źródłem istotnem poznania rzeczywistości, o ile się iści akt świadomości, stwierdzający tę rzeczywistość, którąby się miało poznać. Do ziszczenia zaś takiego aktu świadomości potrzeba ze strony świadomości: i zwrócenia uwagi na to, coby miało być stwierdzone, i pewnego utkwienia uwagi, pewnego aktu apercepcyi, i — co najważniejsza — aktu *zauważenia* owej mającej być stwierdzoną rzeczywistości. Dopiero to zauważenie czy *spostrzeżenie* ostatecznie stanowi stwierdzanie, konstatowanie, istotną cechę doświadczenia.

Stąd wynika ścisły związek, jaki zachodzi między t. zw. *obserwacyą* a wszelkiem jakiemkolwiek doświadczeniem. Jeden z rodzajów doświadczenia zwyczaj mowy od dawna nazywał obserwacyą. Rozumiano przez nią ten sposób stwierdzania rzeczywistości, w którym nie zmieniano dowolnie i celowo warunków przebiegu obserwowanego zjawiska, jak to się robi w t. zw. *eksperymencie*, ale tylko — co najwyżej — własne stanowisko obserwacyjne lub środki obserwowania. Jeśli się uważnie zastanowimy nad stwierdzeniem rzeczywistości czy to przez eksperyment czy też przez doświadczenie jakiegokolwiek innego rodzaju, to spostrzeżemy, że obserwacya w ścisłem, powyżej określonem, znaczeniu stanowi istotny składnik i eksperymentu i wszelkiego in-

nego doświadczenia. Doświadczenia niema bez obserwacyi, spostrzeżenia, zauważenia.

Widzimy stąd także, jak bardzo ważną dla krytyki poznania doświadczalnego jest psychologiczna znajomość spostrzegania, zauważania, obserwowania. Jakieś zdanie sobie sprawy z psychologii spostrzegania jest warunkiem doświadczalnym samego już przystąpienia do pisania o krytyce poznania.

Jeżeli wszystkie fakty czy zjawiska psychiczne są w istocie swej aktami czy czynami świadomości, to już najwybitniej występuje ów czynny pierwiastek, owa czynność, aktywność świadomości w zauważaniach, spostrzeganiach, obserwowaniach.

Zauważenie i spostrzeżenie tak ściśle zawierają w swem pojęciu jako istotną cechę pewną jakąś czynność, pewne jakieś działanie, akt pewien, że podobna tkwi sprzeczność w pojęciu zauważenia i spostrzeżenia, któreby nie było działaniem, aktem, czynem zauważającej i spostrzegającej świadomości, jaka tkwi w pojęciu aktu — któryby nie był aktem, czynu — któryby nie był czynem, działania — któreby nie było działaniem.

Zauważenie i spostrzeżenie, a więc i stwierdzanie rzeczywistości iści się pod wpływem całego szeregu odpowiednich warunków i czynników. Wśród nich jest jeden czynnik, którego wpływ szczególnie jest ważny i wybitny na doświadczalne poznanie, na stwierdzenie rzeczywistości: mianowicie — wola.

Działania woli naprzód potrzeba, aby zwrócić uwagę w stronę rzeczywistości, którą w odpowiedniem doświadczeniu stwierdzić się zamierza. Wola następnie pobudza uwagę do takiej a takiej koncentracyi, do apercepcyi o takiem a takiem natężeniu. Kiedy uwaga już jest zwrócona i z odpowiednią siłą skupiona, wtedy do spostrzeżenia, skonstatowania rzeczywistości doświadczalnej potrzeba jeszcze jakiegoś działania, natężenia woli. W każdym z tych trzech momentów wola rozmaicie może się zachować, może się okazać więcej lub mniej energiczną, więcej lub mniej chętną, ale nie jest bierną.

Samo działanie podniety, wraz z wywołanemi przez nie pobudzeniami nerwów i ośrodków nerwowych, jeszcze nie wystarcza

do ziszczenia aktu świadomości, rzeczywistość jakąś stwierdzającej: bez aktualnego chcenia, bez czynności woli ani uwaga nie będzie w należytą stronę zwrócona i należycie skupiona ani też nie będzie istotnego i stanowczego spostrzeżenia, zauważenia, skonstatowania tej rzeczywistości.

(Dok. nast.).

*Ks. S. Kobyłecki.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa polskiego.

**Polityka Lubeckiego** przed powstaniem listopadowem. *Stanisław Smolka.* Tomów II. W Krakowie. Nakładem Akademii Umiejętności. 1907. Str. XVI, 554; VIII, 624.

Punktem wyjścia i podstawą niniejszej pracy były dla autora papiery pozostałe w spuściznie po Lubeckim, a przechowywane z wielkim pietyzmem przez jego rodzinę. Papierów tych moc ogromna: »papiery polityczne mieszczą się dziś w 50 tekach in fol. (grubości od 3 do 12 cm)«... »sporo materyału znajduje się nadto w korespondencyi rodzinnej (6 tek in 4-to)«.... Dokumenta te mają być wnet oddane do rąk publiczności w pełnej swej osnowie: »Sama korespondencya Lubeckiego z ministrami, sekretarzami stanu zajmie trzy spore tomy«; prócz niej przygotowuje autor »osobne wydawnictwo: Z papierów Lubeckiego«; tam pomieszczą się najważniejsze, poza tą korespondencyą, materyały szczuczyńskiego archiwum z lat 1810—1831«... Nic dziwnego, że tak ogromny materyał, powiększony jeszcze całem mnóstwem wiadomości nie dał się zamknąć w ramach jednego dzieła, że praca rosła autorowi pod ręką, wskutek czego musiał się mimowoli ograniczać, całe kompleksy spraw wyłączać i na inną, sposobniejszą chwilę opracowanie ich odłożyć. Ponieważ dalej nie można było przeładowywać dzieła cytatami, jeśli się nie chciało zamącić wątku myśli, trudno zaś było nie umieszczać ich, skoro nie wydano tekstu dokumentów, a dokumentów było wogóle za wiele, przeto autor wybrał drogę pośrednią: podał najniezbędniejsze, zapowiadając równocześnie osobną publikacyę wszystkich. Prócz tego momentu technicznej natury

był inny zasadniczy. Działalność Lubeckiego wiązała się z całym szeregiem zdarzeń, projektów, dotykała wielu osób i państw...; wszystko to odbywało się w związku jedno z drugiem. Trudno więc było mówiąc o jednem, zamilczeć reszty, a tu właściwie trzebaby naraz mówić o wszystkiem. Labirynt nielada. To było powodem, że mimo planu z góry, po obmyśleniu całości przedsięwziętego, okazała się w ciągu pisania konieczność zmiany — i dlatego tom II. nie zupełnie ziszcza projekty zapowiedziane w pierwszym. Do tego przyłączyły się i inne okoliczności, że raz po raz przychodziło dotykać zagadnień, nie tylko nierozwiązanych, ale nawet nietkniętych, o których zastawało się mętne, albo i mylne wyobrażenia... »Wszystkie te kwestye należało wyjaśnić sobie samemu — to przedewszystkiem — ale także i czytelnikowi«.

Przechodząc do treści, niepodobna nie podziwiać ogromu pracy, jakiego przedstawienie działalności Lubeckiego i to takie jeszcze przedstawienie wymagało. Wprawdzie nie pora na razie analizować szczegółów, uczynić to mogłoby może pióro inne, bardziej do oceny powołane i to dopiero po ogłoszeniu tekstu dokumentów, na jakich się praca opiera, w każdym jednak razie przyznać trzeba, że autor podał nam mistrzowski obraz epoki. Na jej tle występują na plan pierwszy prócz Lubeckiego osobistości, jak Napoleon, Aleksander I, Nowosilców, Czartoryski i i. Ich sylwetki, działalność, powody tejże i t. p. przedstawia autor w sposób tak świetny, że czytelnik widzi prawie te osoby, przebywa wśród nich, działa nieomal z niemi. W krótkiej, kronikarskiej prawie notatce niepodobna podać zbyt wielu szczegółów na poparcie tego twierdzenia, nie mogę jednak oprzeć się pokusie przytoczenia kilku charakterystyczniejszych. A więc najpierw Lubecki, główna postać niniejszego dzieła.

Wychowany w Petersburgu w korpusie kadetów potrafił przecież i »mowę otrząsnąć z nalotu rusycyzmów« i »zróść się z rodzimym gruntem« tak »uczuciem, jak i przekonaniem«. Po ukończeniu szkół w 1797 r. przeszedł do niżowskiego pułku muszkieterów. W tym charakterze odbył włoską kampanię, w czasie tym »за храбрость въ дѣйствій противъ Французовъ mianowany kawalerem orderu św. Anny III klasy, ponieważ jednak w przejściu gór ku Feldkirchen wskutek usunięcia się lawiny i upadku doznał złamania żebra, przeto zrezygnował z karyery wojskowej i wnet wystąpił z wojska jako podporucznik. Wrócił na Litwę i osiadł w Grodzieńskiem: w Czerlonie. W sąsiedztwie, w Szczuczynie, mieszkała siostra Lubeckiego, Teresa

Scypionowa, wdowa po staroście lidzkim. Prowadząc interesa siostry zrósł się z temi stronami, a ponieważ »w Szczuczynie po raz pierwszy zetknął się na dobre z polskością« a zdrowe to tchnienie zwiało z młodego księcia od razu powłokę petersburskiego pyłu. Zawiłe interesa starościny zmusiły Lubeckiego do zgłębienia Statutu Litewskiego, co było dlań nieocenioną szkołą przed wstąpieniem w szranki publicznego życia w powiecie i gubernii. Zaczął go od skromnej zrazu funkcyi publicznej w r. 1806, jako członek komitetu gubernialnego do spraw żydowskich, w półtrzecia roku potem (1809) »wydźwignął się od razu, po namiętnej, zaciekłej walce dwóch powiatowych stronnictw na marszałka grodzieńskiego powiatu. Skończył właśnie 30 lat«.

Niebawem wypłynął na szerszą arenę. W czasie represyi po tylżyckim pokoju wysłano go do Petersburga w delegacyi, by »Najlepszemu z Monarchów« przedstawić opłakany stan kraju. Postulaty litewskiej szlachty były nieomal wyłącznie natury ekonomicznej. »Im mniej spodziewauo się po delegacyi, tem większa była w gubernii niespodzianka, gdy za powrotem przywiózł ze sobą wszystko, co szlachta pomieściła w swoich dezyderatach, wszystko, a nawet więcej, niźli było w instrukcyi.

»Na to powodzenie złożyły się już wówczas te same dwa czynniki, które i później stanowiły główne dźwignie całej działalności, sekret wszystkich powodzeń Lubeckiego — aż do r. 1830: pracowitość niezmordowana, kierowana bystrością niepospolitą i — szczęście«.

W czasie tego pobytu w Petersburgu wszedł przez Ogińskiego w styczność z cesarzem Aleksandrem, marzącym wówczas o odbudowaniu Polski. Wprawdzie szereg memoryałów o rozmaitych potrzebach kraju i o ekonomicznem jego położeniu jako też i plany, a nawet i proklamacya, Lubeckiego ręką pisana, w której cesarz ogłaszał »w obliczu nieba i ziemi, że wskrzesza i przywraca Królestwo Polskie, łącząc pod tem nazwiskiem Księstwo Warszawskie ze wszystkiemi polskiemi województwami i ziemiami, które następnie trzema podziałami w r. 1772, 1793 i 1796 do Rosyi wcielone zostały«...— utonęły w papierach Lubeckiego, gdzie jej nie oglądało oko ludzkie,— a wszystko rozwiało się jakby w mgłę pod brutalnym naporem faktów (1812), jednak mimo to Lubecki, który »nigdy w Napoleona nie wierzył«, nie przestał wierzyć w Aleksandra, w szczerość jego zamiarów, a zarazem w swój system, który dobro kraju widział li tylko w najściślejszym związku z cesarstwem. Po dokonanej okupacyi Księstwa Warszawskiego zajął wraz z Wawrzeckim miejsce w ustanowionej

przez Aleksandra Radzie Najwyższej, której powierzono administracyę księstwa, obok nich dwaj Rosyanie »leniwy Łanskoj«, prezes »łupieski Nowosilcow« i Prusak, Colomb. »W maja 1815 r. Aleksander rozwiązał Radę Najwyższą Księstwa Warszawskiego, ustanawiając Rząd tymczasowy Królestwa, złożony z pięciu królewskich Namiestników; obok ks. Adama Czartoryskiego, w skład tego rządu weszli wszyscy członkowie rozwiązanej Rady, z wyjątkiem jedynego Colomba. Siedm miesięcy urzędowania tej przejściowej władzy, której dostała się w udziale praca przygotowawcza w organizacyi nowych władz i urządzeń konstytucyjnego królestwa — »to kto wie, czy nie najpracowitszy okres w życiu Lubeckiego. W samą wigilię Bożego Narodzenia 1815 r. Rząd Tymczasowy złożył urzędowanie w ręce jenerała Zajączka, namiestnika Królestwa. Lubecki został gubernatorem grodzieńskim, wnet potem wileńskim, ale urzędowania w Wilnie nie objął, tylko wprost z Grodna przeniósł się do Warszawy (1817) jako członek Komisyi likwidacyi (»Komisya trilateralna«). »Celem jej było uregulowanie wzajemnych pretensyi państw rozbiorowych, z powodu przejścia przeważnej części Księstwa Warszawskiego pod berło Aleksandra. Były zaś te pretensye niezmiernie zawikłane, bo sięgały początkiem nie tylko poza rok 1806, ale nawet jeszcze i w czasy porozbiorowe, ze względu na dług publiczny Rzeczypospolitej i osobiste długi Stanisława Augusta, które konwencya z 15 stycznia 1796 rozdzieliła między rozbiorowe mocarstwa«.

Powołanie Lubeckiego do Warszawy było właściwie dziełem Nowosilcowa. »Senator poznał się na Lubeckim podczas ubiegłych lat koleżeństwa w Radzie Najwyższej i w Rządzie Tymczasowym; jeśli kogo, to jego obawiał się na stanowisku gubernatora w początku tej nowej ery w r. 1816, która istotnie zapowiadała połączenie Litwy z Królestwem. Wyciągnąć go zatem z Litwy, utopić w bagnie czynności likwidacyjnych, o których dobrze wiedział, że w nich można utonąć na długie lata: to był cel »senatora«. Lubecki bronił się przeciw narzuceniu czynności, której trudności dobrze pojmował, przyjąć jednak musiał. »Nowosilcow dopiął zamierzonego celu. Lubecki jednak wybrnął z bagna likwidacyi po pięciu latach z niemałą chlubą«.

»Zaczynała się właśnie pamiętna era zjazdów monarszych, na których toczyły się rokowania dyplomatyczne o likwidacyę na zasadzie kompensat, obmyślanych przez Lubeckiego«. Owocem tych rokowań były obie konwencye, berlińska z 22 maja 1819 roku i wiedeńska z 29 czerwca 1821 r., dla królestwa podwójna zdobycz nieocenionej

wartości. Konwencye te zwolniły Królestwo od ciężarów narzuconych mu na kongresie wiedeńskim; w łącznej sumie około 40 milionów złp. nakładając na oba sąsiednie państwa ciężar trzydziestu kilku milionów złp., które skarb Królestwa Polskiego miał otrzymać od Austryi i Prus w bezpłatnych dostawach soli«.

»Przed wyjazdem z Lublany rozstrzygnął się los Lubeckiego... Aleksander ofiarował mu stanowisko ministra skarbu w Królestwie Polskiem«. Doniosłość i skuteczność jego pracy na tym posterunku da się tylko ocenić, jeżeli się wejrzy w rozpaczliwy istotnie rozstrój finansów ku schyłkowi roku 1821. Była to w całem słowa znaczeniu »walka o byt Królestwa«. Ale też »po trzech zaledwie latach, na początku r. 1825 cesarz Aleksander, przeglądając z żywem zainteresowaniem sprawozdanie z obrotu głównej kasy Królestwa, zapytał ministra sekretarza Stanu, czy rzeczywiście *(reélement)* jest tam $11^1/_2$ milionów, gotówką $11^1/_2$ milionów?« Cały sekret tego powodzenia, — mówił sam Lubecki, — to gorliwość i pracowitość. »Bez nowych podatków da się radę, ale idzie o to, aby do skarbu, a nie do kieszeni cudzej wpływały«. To hasło wypowiedział Lubecki, gdy obejmował urzędowanie i pod tem hasłem uporządkował wkrótce rozstrojone finanse; w końcu pierwszego kwartału swego urzędowania wykrył, że w samem augustowskiem województwie defraudacye w administracyi solnego monopolu narażają co roku skarb Królestwa na stratę miliona złp. z górą; milion w tych latach chronicznej pustki w kasach... »Nie dospał i nie dojadł, w literalnem tego słowa znaczeniu, nieraz i po 20 godzin dziennie zatopiony był w pracy, sam się zapracowywał, urzędników zamęczał. Umiał jednak zagrzać, porwać swoim przykładem; poświęcenie, bez przesady, poświęcenie dla »służby« stawało się zaraźliwem w okazałym gmachu ministerstwa finansów... I właśnie nic innego, jak ta ojcowska dbałość o grosz publiczny, rozmnożona następnie w karnym zastępie oddanych ministrowi współpracowników: to była główna, potężna dźwignia, którą do takiej pomyślności podniósł się skarb Królestwa«.

W ten sposób prowadzi autor obronę męża stanu, którego działalność nieoceniona dla Królestwa, już to »zginęła w niepamięci fali«, już to wręcz fałszywej doczekała się opinii. Przytoczyliśmy pierwsze niejako tezy tej świetnej obrony; szczupłość miejsca, ramami kronikarskiego sprawozdania ograniczonego, nie pozwala przytoczyć dalszych. Wspomnę tylko jako dowód uczciwej i rzetelnej, a rozumnej

w pełnem tego słowa znaczeniu pracy Lubeckiego, że cieszył się bezwzględnem zaufaniem obu cesarzów: Aleksandra i Mikołaja, że nawet W. Ks. Konstanty mimo niechęci, jaką żywił do Lubeckiego, nie mógł zdobyć się na wręczenie mu przesłanej na swe własne żądanie i na swe ręce dymisyi, lecz uznając jego pracę dla dobra kraju przedarł ją. Jeden Lubecki miał też odwagę kłaść tamę nieuczciwym zapędom Nowosilcowa, rzucając mu w oczy to krótkie: »Nie, panie senatorze!« »Dziewięć lat nieustannej walki z Nowosilcowem, to niespożyta Lubeckiego zasługa; parując na każdym kroku ciosy Nowosilcowa, zdobył to wszystko, czem kraj podźwignął; gdy podniósł oręż do ostatniego cięcia, by niem wroga powalić — broń wypadła mu z ręki, w grudniu 1830 roku...«

Nieocenione wprost są refleksy dziejów porozbiorowych, wyjaśnienia faktów pozornie niezrozumiałych, sylwetki osób, które wybiły się na plan pierwszy... Dla przykładu kilka ustępów:

»W początkach przeszłego wieku dyplomacya europejska nie grzeszyła bynajmniej lekceważeniem Polski i kwestyi polskiej. Jeden tylko błąd popełniała już wówczas, jak i w późniejszych czasach: lekceważyła zanadto żywotność polskiego narodu«. Dlaczego? »Polska dała się przecież rozszarpać; to wystarczyło do ustalenia opinii o narodzie: *l'inconstance, la légèrte polonaise* — to był jeden z dogmatów polityki europejskiej przed stu laty i później. Legiony przypominały światu egzystencyę narodu, może jednak utwierdziły go nawet w lekceważeniu polskiego społeczeństwa: z takim żołnierzem zginąć!... Na dalszą metę, o ile rachuba polityczna liczy się z dalszą metą, nikt nie brał Polski na seryo«. Wprawdzie Napoleon dając między 1806 a 1807 r. narodową organizacyę polskim prowincyom oświadczył w Berlinie deputacyi Polaków: *Il est de l'intérêt de l'Europe, il est de l'intérêt de la France, que la Pologne existe* i może wtedy nie kłamał, ...ale na to nigdy się nie oglądał. To pewna jednak, że nie kłamał, gdy po 6 latach twierdził stanowczo: *J'ai toujours regardé la Pologne, comme un moyen, mais pas comme une affaire principale*; a trzeba zważyć, że »tak mówił wydając równocześnie rozkazy, żeby szczątki wojska polskiego pod komendą ks. Józefa rzuciły się w rozpaczliwy bój z Rosyą« (1813)«. »I do tego twierdzenia szczerego, prawdziwego co do przeszłości, dodawał drugie, w którem jest klucz do zrozumienia jego polskiej polityki: *En satisfaisant la Russie sur la Pologne, nous avons un moyen d'humilier l'Autriche et de la reduire en rien; quelle*

*concession ne ferait par l'Empereur Alexandre, si, pour se tirer d'embarras, on lui céderait la Pologne? Une mission au Quartier Général russe partagerait le monde en deux...*

»Nawet *dominium mundi,* niepodzielne, czy w spółce z carem, to był także dla niego środek nie cel: *un moyen, mais pas une affaire principale,* bo celem jego utrzymać to co zdobył: panowanie, od r. 1804, tron. Marzeniem więc jego był trwały pokój, a możliwość jego wyobrażał sobie w sojuszu z Rosyą. »Rosyi zatem gotów był zawsze poświęcić Polskę, w tej czy w owej postaci«, ba! nawet »za cenę bezpiecznego utrwalenia sojuszu gotów był jeszcze więcej uczynić: zawrzeć formalny t r a k t a t ze ścisłem zobowiązaniem, że nigdy nic nie uczyni dla odbudowania Polski«. »Skrupułów (bowiem) nie miał żadnych wobec narodu, któremu nigdy nic pewnego nie przyrzekł; zapowiedział z góry, że Polacy nigdy nie doczekają tego, na co zasłużą; jeżeli nieraz mimo tylu poświęceń, tylu wysiłków, w drażniący, brutalny sposób okazywał nam niechęć, było w tem może więcej rozmysłu, niźli starganych nerwów.

Dla zyskania Aleksandra ofiarowywał mu w Tylży Polskę za cenę trwałego, nierozerwalnego sojuszu z Francyą. Wydanie jednak tej samej ziemi na pastwę chwiejnego sojusznika Rosyi w 4 lata później uważał za największe szaleństwo *le comble de la démence.* »Wpadł więc w pasyę, gdy mu (1811) Czerniszew dał do poznania, że możnaby jeszcze utrwalić franko-rosyjski sojusz za cenę Księstwa«. Byłoby to przyznaniem się do słabości, dlatego też na to jedną tylko miał odpowiedź: *Non, Monsieur, heureusement nous ne sommes pas réduits à cette extrémité.* Chce się wam zająć Księstwo siłą oręża, — *eh, bien, nous ne ssommes pas encore tous morts.* Nie jestem fanfaronem — powiedział wyłannikowi cara — ale jeśli zwyciężę, *je ferai repentir la Russie, et c'est alors, qu'elle pourra perdre non seulement les provinces polonaises, mais aussi la Crimée*«. A przecież... ponęta sojuszu z Rosyą była zbyt wielka. Choć więc stracił nadzieję, a nawet wiarę w możność utrzymania sojuszu (16 sierpnia 1811), choć już myślał na seryo o wojnie z Rosyą i dlatego memoryał swój zakończył tak starannie unikanemi słowami: *Mais si vous me forcez à la guerre, je me servirais de la Pologne comme d'un moyen contre vous..., si je vois, que ce système* (zbrojny pokój) *est plus fatigant, que la guerre, je vous la ferais...,* to przecież jeszcze w tym okresie, a nawet w wilię dnia, w którym ten memoryał pisał »zapewniał Kurakina: *Je ne pense pas à reconstituez la Pologne; l'intérêt de mes peuples n'est pas lié à ce pays...*« Dlatego też »szedł

(wprawdzie) na wojnę 12 roku z zamiarem odbudowania Polski i z pełną świadomością, że ogłoszenie niepodległości będzie dźwignią w zgnębieniu nieprzyjaciela, szedł jednak bez entuzyazmu, raczej z niechęcią, nie mogąc odżałować zerwanego przymierza. Nie przestał do niego tęsknić. Przeszedłszy Niemen na czele największej armii w historyi wojen, nie mógł sobie wystawić cenniejszej, droższej zdobyczy, nad przywrócenie przymierza z Rosyą. Gdy przyszła rozstrzygająca chwila, gdy powstającej Polsce wypadło wyrzec Napoleońskie: *Fiat,* nie miał odwagi palić za sobą mostów«. Wolał wszystko stracić, na wszystko się narazić, »niż wypowiedzieć jedno stanowcze słowo, magiczny wyraz, który między władcami Francyi i Rosyi musiał wyżłobić wieczną, straszliwą przepaść... Była to słabość, — był błąd, do którego Napoleon przyznał się po niewczasie, na wyspie św. Heleny. To go zgubiło; niezdolny do poświęcenia się dla jakiejkolwiek idei, był męczennikiem mrzonki *(une chose fantasque)*, z którą nie mógł się rozstać: *martyr de l'alliance franco-russe.* Powodem zaś tej strasznej myłki było to, że »nie umiał zgłębić tajemnicy caratu«, że »nie odgadł sfinksa na carskim tronie; błądził w ocenie jego psychologii, bo nie znał Petersburga...

Równocześnie niemal z chwilą, gdy Napoleon gotował się do odbudowania Polski dla zgnębienia Aleksandra, ten tego samego chciał imać się środka, by podciąć nogi nadciągającemu Napoleonowi. Niestety! Aleksander napróżno wzdychał do chwili, w którejby stał się władcą w pełnem słowa znaczeniu, wolnym od więzów krępującej go oligarchii, »zabójczego systemu, który za panowania Katarzyny dojrzał, rozprowadzając po całym organizmie północnego kolosu gryzący jad rozstroju. Pakt z oligarchią był w ręku Katarzyny misternem narzędziem władzy; z jego pomocą utwierdziła uzurpowaną władzę, zdobyła posłuch Rosyi i podziw Europy, — a wnukom i prawnukom przekazała do rozwiązania kwadraturę koła«.

Chcąc tego smoka zniszczyć Aleksander »próbował po kolei rozmaitych sposobów; z obrotnością zadziwiającą przerzucał się z jednego do drugiego systemu, a wszystko w jednym i tym samym celu: by z siebie zrzucić pęta zgubnego paktu ze służbową oligarchią. Czego więcej pożądał: oswobodzenia z więzów, które śmierć Pawła zacieśniła na szyi syna i spadkobiercy — czy też wykorzenienia nadużyć toczących Rosyę? Z tego chyba sam Aleksander nie zdawał sobie sprawy; jedno splatało się nierozdzielnie z drugiem, jedno zadanie dodawało drugiemu polotu, blasku. Nad wszystkiem zaś górował główny, najbliższy cel: skruszyć miecz Damoklesa, co wisiał nad głową cara...

»To klucz do zagadki sfinksa na carskim tronie. Z tym mieczem przed oczyma, jak go zawsze miał Aleksander, nie można dostrzedz żadnej niekonsekwencyi w zmiennej polityce »najchytrzejszego Greka«. ... Wszystko to było lepiej lub gorzej dobranym środkiem na gruncie jednej i tej samej akcyi, skierowanej niezłomnie, z żelazną konsekwencyą, z uporem cechującym cesarza Aleksandra ku temu samemu — aż do końca — celowi«. »Mówiąc słowami Napoleona, wybawca Europy mógłby powiedzieć: *J'ai toujours régardé l'Europe comme un moyen, mais pas comme l'affaire principale.* Jeden doszedł do władzy po trupach króla i rewolucyi, drugi po trupie ojca; utrzymać się na tronie to była dla obydwu *l'affaire principale,* łącznik silniejszy od »geografii, od interesu Rosyi i Francyi; prysnął tak samo w r. 12, jak pięć lat przedtem w pruskiej kampanii po bitwie pod Frydlandem, prysnął miecz podniesiony na »zniszczenie« ciemięzcy ludów i królów podbitej Europy. Jeden miecz przetrwał wszystko: miecz Damoklesa.

Wśród całego szeregu postaci, które autor w dziele swem przedstawił, najplastyczniej występuje postać Nowosilcowa, tego »złego ducha Polski«. Przedstawienie tej złowrogiej postaci o tyle jest ważniejszem, że Nowosilców zażywał długie lata opinii, której antytezą był sąd społeczeństwa o nim w latach 1823—1830. Za wyjaśnienie gruntowne psychologii tego potworu należy się autorowi rzeczywiście głęboka wdzięczność. »Nieślubny syn Stroganowny«, Nowosilcow, wychowując się w domu wuja, Stroganowa, »posiadł w młodości wszelkie warunki, które mogły go postawić na świeczniku petersburskiego towarzystwa; jednego tylko niedostawało, bez czego przez całe życie było ciężko z tą edukacyą i z temi przywyknieniami, — brakło mu bogactw wuja i towarzyskiej pozycyi Stroganowych«. To też zaraz w pierwszej podróży za granicę, gdy na zlecenie wuja wyjechał do Paryża, by kuzyna, syna-jedynaka Stroganowa »wyrwać z paszczy Jakóbinów« — zaszczycony zaufaniem wuja 29-letni siostrzeniec wydaje w Paryżu »o 2000 dukatów więcej, niż szczodry wuj przeznaczył na koszta drogi, a nadużył kredytu Stroganowa w bardzo niedelikatny sposób«.

Jenerał Langeron, jeden z filarów służbowej oligarchii, scharakteryzował go tak: »Nowosilcow, to nizki, podrzędny czynownik, *un employé subalterne,* — który przez przyjaźń hr. Stroganowa wzniósł się aż do przyjaźni z samym cesarzem, *un homme de cabinet,* doskonały pracownik, zimny, roztropny, zna się wybornie na interesach; *je ne*

*parle pas de sa moralité...*« Do chwili wstąpienia na tron Aleksandra stał na uboczu, z chwilą wstąpienia powołany do boku Aleksandra i obdarzony jego przyjaźnią, zaufaniem i łaską rósł w znaczenie i łaski, pracując w »Tajnym komitecie«. Posiedzenie tegoż, t. j. tej świetnej czwórki — Koczubej, Czartoryski, Stroganow, Nowosilcow — »gdzie tak często niestety piątem kołem u wozu był cesarz Aleksander«, miały na celu »reformy i przeobrażenia pod nowymi rządami« w celu »zbawienia Rosyi«. »Skończyło się to wszystko po bitwie austerlickiej. Wtedy największa złość »służbowej oligarchii«, »petersburskich wielmożów« zwróciła się przeciw Nowosilcowowi«.

»Położenie Nowosilcowa pogarszało się z dnia na dzień«. Nie pozostało mu nic innego, jak podążyć »dla poprawienia zdrowia« do Wiednia. Trzy lata przebył w Wiedniu i *priedawałsia kriepkim napitkam,* tu jednak »nastąpiła zmiana w scenach jego widzenia«. »Wiedeń był bowiem grobem dobrych intencyi Nowosilcowa«. »Jeżeli miał kiedykolwiek jakiś ideał polityczny, czy narodowy, jeśli z tym ideałem opuścił Londyn, dziesięć lat temu, aby mu służyć przy tronie Aleksandra: zgubił go niepowrotnie w zaułkach Wiednia, zmiażdżony rozczarowaniem, zepsuty do szpiku kości jadem nieszczęścia, które uzacnia czystych, cynika stacza w przepaść. Nie pierwszy on i nie ostatni wyniósł na resztę życia jedną naukę z cienia niełaski: precz z rupieciami zasad«. Byle znów z cienia wybrnąć, grzać się na słońcu. Bankrut w grze życia, z szóstym krzyżykiem na zrujnowanem, zmysłowością toczonem cielsku, zdolny był do jednego tylko postanowienia: jeśli go los podźwignie, podeptać bez litości przeklęty balast, którego ciężar strącił go w przepaść z słonecznych wyżyn. Zasady, ideały... niech się tem bawią Czartoryscy, Stroganowy! Na scenę z tym bagażem, w światło kinkietów! Za kulisami, w życiu, jak i w teatrze: *Naplewat'!*

Po powrocie z wygnania, »głównym celem jego było zdobycie sobie łaski wielmożów«. »Ich niełaska bowiem dotkliwsza od monarszej niełaski«. »W stolicy nie było miejsca dla wiedeńskiego wygnańca, widział to jasno po półrocznym tutaj pobycie; rad nie rad musiał szukać nad Wisłą pola zasługi przed obliczem wielmożów«. Pracując tu »przepadał za ludźmi, otoczonymi aureolą patryotyzmu z czasów młodości, a z szerokiem na starość sumieniem i potrafił wkręcić się i do składu Najwyższej Rady i do Rządu Tymczasowego, a nawet wtedy, gdy misya jego jako takiego skończyła się, nie tylko utrącił Czartoryskiego, pozbawił go i namiestnikowstwa w Królestwie i zau-

fania, jakiem go Aleksander obdarzał, Czartoryskiego, który go wspierał i moralnie i materyalnie, a nawet potrafił się uczynić nie tylko niezbędnym w Królestwie, ale nawet wysforować na pierwszy plan. Namiestnikiem został Zajączek, »wróg Czartoryskich a kreatura Nowosilcowa, dawał on wszelkie rękojmie, że będzie słuchał, że żadne »mrzonki« o poświęceniu dla sprawy narodowej nie sprowadzą go z bitej drogi karnego posłuszeństwa«. Działalność Nowosilcowa w Królestwie charakteryzują najlepiej następujące ustępy:

»Senator nie zaniedbywał najmniejszej sposobności, żeby mógł wejść w bliższe »czucie« z dawnymi nieprzyjaciółmi, zasłużyć u wielmożów na *proszczeńje*, *zabuwjeńje proszławo*; nie chwalił się z tem jednak przed Aleksandrem, wobec niego był po dawnemu starym Nowosilcowem liberałem, polonofilem. *Est tempus*... Bezpiecznie było zająć w Polsce i w Rosyi — stanowisko wyczekujące: oryentować się, co jutro przyniesie, nie zapędzać się niepotrzebnie w jedną lub drugą stronę, dla cesarza mieć jedno, dla wielmożów drugie oblicze, z Polakami w serdecznych stosunkach, nie bez przezornej kontrasekuracyi wobec gierojów w rodzaju Paskiewicza; oni nie mogli wątpić, że Nowosilcow na swoim posterunku służy wiernie ich sprawie. *Licemierit', kanieczno*...«

»Zdobyte miejsce w Radzie było na razie środkiem do zupełnie innych celów, realniejszej natury. W Radzie skupiały się wszystkie gałęzi administracyi z wyjątkiem wojska, od ofert na dzierżawę monopolów rządowych, do nominacyi na najwyższych urzędników. Sam Nowosilcow miał doskonałą sposobność stosowania tej umiejętnej »techniki« kollegialnych rządów, której arkana znał na wylot od dawna, z owym nieocenionym rozdziałem odpowiedzialności i ze stosownym także rozdziałem zysków, z lwią zawsze częścią dla tego członka, czy »świadka« obrad, którego »światłe zdanie« było wyrocznią. Tylko wywalczyć dla tej »światłej opinii« taką moc, że jej nic nie przełamie, przyzwyczaić ministrów, że niebezpiecznie być odmiennego zdania, niż cesarski komisarz, co ma swoją policyę, co wie wszystko, — czego nie wie, to skłamie. Niebawem każdy przekonywał się coraz bardziej, że nie zrobi niczego, jeśli przedtem nie »wyjaśni« szczegółów sprawy komisarzowi J. C. Mości, niejeden poznał, ile waży głos senatora przy jakimkolwiek awansie w służbie, przy »allewiacyach« dla dzierżawców dóbr narodowych i t. p. Nie tylko bowiem te interesa, które decydowała Rada, były pod bacznym zyzem Nowosilcowa; lada urzędnik

w każdej komisyi — spraw wewnętrznych, sprawiedliwości, skarbu — narażał całą przyszłość, jeśli »niezręcznie« załatwił jakąś sprawę, którą komisarz J. C. Mości raczył interesować się osobiście. Ten żywy dla wszystkiego »interes« senatora nie cofał się przed progiem »świątyń Temidy« zwłaszcza sądów wyższej instancyi w wątpliwych szczególnie sprawach, gdzie chodziło o byt zamożnych rodzin, wplątanych w ciężkie niekiedy położenie... Słowem, szerokie pod każdym względem pole dla szerokiej natury Nowosilcowa, dla fachowego, jak on, na takiej glebie rolnika. Znał tajemnice umiejętnej uprawy wdzięcznego pola; miał na rozkazy liczny personal swojego biura — i posiadał sprawną policyę o funkcyach dyskrecyonalnych, wyrobioną technicznie, wytresowaną do tak zręcznego prowadzenia rzeczy, że nikt nie mógł zaręczyć, czy senator wie, czy się domyśla nawet, co robią jego ajenci. Bez takiej »techniki« starannego nadzoru nad wszystkiemi gałęziami administracyi, z mizerną pensyą »pełnomocnego delegata J. C. Mości« senator nie wytrzymałby i pół roku w Warszawie; puściwszy w ruch maszynę, wiedział, że i w Petersburgu nie znajdzie równie wdzięcznego pola dla swej wszechstronności...«

Zupełnie jednak wydźwignęło Nowosilcowa co innego. Cesarz Aleksander kazał mu napisać »Konstytucyę dla całego imperyum«, *nastojaszczaja kanstitucija* i to nie dla rozrywki liberalnego monarchy, ale z wyraźnym celem, aby ją wprowadzić bezzwłocznie w życie, w carskiem *byt' pa siemu!*

»Slizka robota. Odmówić niepodobna, ani nawet odwodzić cara od niebezpiecznych planów. *Boh znajet*... Nowosilcow nie cofnął się przed tym największym w swej karyerze hazardem... napisał konstytucyę o 191 paragrafach; nie natężał się zresztą, korzystał w całej pełni ze współpracownictwa swego sekretarza, Francuza,' który mu tylko sprawił tę nieprzyjemność, że umarł przed zupełnem wykończeniem elaboratu. Hazard był, o tem wiedział. Uda się, to redaktor rosyjskiej konstytucyi będzie przy boku cara pierwszą osobistością w konstytucyjnem imperyum, jedną z pierwszych bezwarunkowo. Nie uda się, to można skręcić kark; car wyjdzie cało, jak wyszedł tyle razy, ale autor niedoszłej konstytucyi będzie kozłem ofiarnym: vide Sperański. Był na to pewien sposób, coś w rodzaju przezornej reasekuracyi: napisać konstytucyę dla cara, — w sekrecie naturalnie, bo taka rzecz koniecznie wymagała sekretu, jeśli się miała udać, — i równocześnie

zdenuncyować monarchę przed »wielmożami«, ubezpieczyć się na tę i na tamtą stronę. Czy autor tej niedoszłej konstytucyi rosyjskiej użył tak misternego wentylu bezpieczeństwa, o tem archiwa, jak dotąd przynajmniej milczą. Za to w tajnem archiwum berlińskiem są niewątpliwe dowody, że dwór pruski znał prędzej elaborat Nowosilcowa, niż ten biedny monarcha, który go obstalował. Konsul pruski w Warszawie był w ścisłej zażyłości z Nowosilcowem; poznał zawczasu wszystkie arkana sekretnej roboty — darmo, czy za pieniądze«.

»Ten majstersztyk był podobno najlepszym interesem w karyerze Nowosilcowa. Od Aleksandra dostał za projekt konstytucyi słonimską ekonomię z wspaniałą rezydencyą hetmana Ogińskiego z dochodem rocznym 125.000. Mniejsza o to; sowiciej opłaciły mu się pośrednio polityczne następstwa elaboratu, — bo w skutkach tej hazardownej roboty znalazł nareszcie szczebel, po którym wspiął się do takiej wysokości, o jakiej już nie marzył po upadku Czartoryskiego. Od r. 1820 jawny to już przedstawiciel i wykonawca woli »petersburskich salonów«; w nadwiślańskiej stolicy postawiony tak mocno, że nic go nie ruszyło z Warszawy, ani z Wilna... Ani wstręt Mikołaja, ani uliczny bezwstyd, tarzający w rynsztokach i lupanarach imię monarchy, którego Pełnomocny Delegowany reprezentował, — ani ordynarne kradzieże bez osłon praktykowane w świecie Nowosilcowa, ani ohydne zbrodnie na erotycznym gruncie, które pod każdem ustawodawstwem wiodą do ciężkich robót, albo na rusztowanie, nic nie szkodziło komisarzowi J. C. Mości po r. 1820. To już ów nieśmiertelny senator z »Dziadów«. Za usługi oddane petersburskim wielmożom, całej »klasie«, za policyjne rządy w Warszawie, za Filaretów, za powstanie listopadowe, na znienawidzonego przed laty senatora, przez tyle lat nic więcej, jak senatora, u schyłku życia spadł rzęsisty deszcz nagród: Rada państwa, jej prezesostwo, prezydentura w Radzie ministrów, tytuł hrabiowski i t. p.«

Oto kilka ustępów dających niejako obraz całego dzieła. Tych kilka szczegółów wystarczy, by wykazać, jak ważnym nie przyczynkiem, ale jedną z głównych podstaw historyi pierwszej połowy XIX stulecia jest niniejsza praca. Ważność jej wzrośnie z chwilą, gdy się ukażą w druku dalsze części wspomnianego dzieła, jako też zapowiedziane monografie. Oby niedługo...

*Dr. Roman Jamrógiewicz.*

**Pieczęcie miasta Krakowa, Kazimierza, Kleparza i jurydyk krakowskich do końca XVIII wieku.** *Adam Chmiel.* Kraków, odbito w drukarni »Czasu« 1909 r. Odbitka z XI rocznika krakowskiego.

W literaturze polskiej mamy bardzo niewiele dzieł poświęconych sfragistyce, a jeszcze mniej dzieł traktujących specyalnie sfragistykę miejską. Vossberg i Piekosiński zaledwie dotknęli tego przedmiotu, publikując pieczęcie miast polskich jedynie urywkowo wśród pieczęci innych średniowiecznych. Jedyna zaś, na większe rozmiary zakrojona publikacya pieczęci miast polskich p. W. Wittyga, obejmuje tylko zbiory Muzeum Narodowego, wprawdzie pod tym względem bardzo obfite, ale sama znajduje się dopiero w początkach. Wymieniane wydawnictwa są nadto tylko wydawnictwami surowego materyału i nie zajmują się jego obrobieniem naukowem. Na polu sfragistyki polskiej jest u nas jeszcze tak dużo do zrobienia i tak wiele do opublikowania, że doprawdy rozprawa p. Chmiela łącząca w sobie i zebranie nieznanego dotąd materyału sfragistycznego i rozbiór jego naukowy zarazem, zasługuje na pełne uznanie jako pierwszy i bardzo poważny krok w tym kierunku.

Pan Chmiel postawił sobie bowiem za zadanie zebrać wszystkie pieczęcie miasta Krakowa i zbadać genetyczny ich rozwój od XIII wieku począwszy, aż do końca istnienia Rzeczypltej. Prócz pieczęci krakowskich bada i pieczęcie miast Kazimierza i Kleparza, stanowiących przez cały ten czas osobne gminy miejskie, oraz pieczęcie przedmieści czyli jurydyk krakowskich jak Błonie, Pędzichów, Krowodrza, Biskupie, Garbary i t. d. Materyału znajdzie tu czytelnik więcej niż mógłby się spodziewać. Autor opisuje bowiem aż 97 rozmaitych pieczęci krakowskich, z których zaledwie parę było dotychczas publikowanych. Poza badaniami ściśle sfragistycznemi sięga autor również głęboko w wewnętrzne stosunki i urządzenia miasta i rzecz dla niejednego na pozór suchą, czyni nadzwyczaj interesującą wplataniem różnych szczegółów historycznych.

Rozpoczyna od opisu pieczęci wójtowskiej z XIII w. tej samej, o której obszernie pisał w IX tomie Rocznika krakowskiego, jako o pierwszej i najstarszej pieczęci miasta. Po buncie wójta Alberta zmieniono ją na pieczęć radziecką, a równocześnie prawie obstalowano dwie inne pieczęcie: mniejsza miejska ze św. Wacławem i ławniczą ze św. Stanisławem. Pieczęci tych używało miasto blizko przez 3 wieki, dorabiając tylko z biegiem czasu nowe, mniejszego znaczenia, jak

pieczęcie sekretne w XV i XVI wieku, kancelaryjne, magistrackie i sądowe. Główną pieczęć miejską zmieniono dopiero w końcu XVI wieku, nosi ona na ukoronowanej tarczy bramę trójbasztową, a z boku niej berło i miecz: berło na znak, że miasto jest »metropolią Królestwa Polskiego«, jak samo na tej pieczęci się nazywa, miecz zaś, ponieważ miasto ma prawo miecza. Rozwój wyobrażenia napieczętnego odbywa się w dalszym ciągu w zakresie akcesoryi i już w XVII w. właściwie się kończy. Na pieczęciach miejskich w tym wieku sprawianych niknie naprzód berło i miecz, a brama pusta, jaką jeszcze w 1621 r. widzimy, ma już niedługo potem rycerza z mieczem, który znowu ustępuje miejsca ukoronowanemu orłu, jakiego już widzimy na pieczęciach w 1661 r. sprawianych. Główne jednak wyobrażenie, brama trójbasztowa utrzymuje się na pieczęciach od początku do końca. Ona jest też w większej części główną treścią rozmaitych i z różnych wieków pochodzących pieczęci sądowych, magistrackich, sekretnych i kancelaryjnych, a także i sygnetowej, która wyrznięta w dużym szafirze i oprawna w pierścień złoty z r. 1532 znajduje się w Muzeum Narodowem w Sukiennicach.

Bardzo trafnie podchwycił i uwydatnił autor polityczne aspiracye Krakowa, jakie na pieczęciach się uwydatniły. Już zmiana pieczęci wójtowskiej na radziecką w 1312 r. oznacza upadek wójtów, a przejście całych rządów na radę miejską. Później w XVI wieku, kiedy szlachta zepchnęła miasta zupełnie z areny politycznej, Kraków jeden upomina się o dawne prawa i nie bez celu umieszcza na swej pieczęci miecz i berło. Ponieważ właśnie wtedy stolicę przeniesiono do Warszawy, Kraków jakby chcąc zaznaczyć dobitnie swoje stanowisko nazywa się na pieczęciach »metropolią Królestwa Polskiego«, lub miastem »stołecznem« do samego końca.

Daleko mniej rozmaitości wykazują zebrane przez p. Chmiela pieczęcie Kazimierza i Kleparza. Przy swojem założeniu 1355 r. dostało m. Kazimierz za herb ukoronowaną literę K między dwiema głowami króla i królowej, jakby dla zaznaczenia, że miasto jest tworem Kazimierza Wielkiego. Wyobrażenia te pozostały już na pieczęciach do końca z tą czasem odmianą, że na pieczęciach mniejszych rysowano samą literę K, albo samą tylko głowę królewską. Podobnie pieczęcie m. Kleparza noszą zawsze św. Floryana, jako patrona tego miasta, które samo nazywało się dawniej Florencyą. Rozwój pieczęci kleparskich ciekawy jest, jako rozwój wyobrażeń o tym świętym. Najstarsza pieczęć z XIV w. wyobraża jedynie rękę świętego, która rzeczywiście

w kościele parafialnym się wówczas znajdowała. W następnym XV w. widzimy już na pieczęciach kleparskich św. Floryana w całej postaci ale jako rycerza z chorągwią, tarczą i mieczem i dopiero w końcu XVII wieku, jako rycerza gaszącego wiadrem ogień.

Najrozmaitsze wyobrażenia noszą pieczęcie przedmieść krakowskich, czasem są analogiczne t. j. wyobrażają przedmiot mieszczący się w samej nazwie np. jurydyka Biskupie, biskupa, Krowodrza, krowę, czasem zaś herb krakowski, jak Garbary. Wogóle praca p. Chmiela nosi charakter dzieła bardzo głębokiego i poważnego. Oparta na źródłowych archiwalnych poszukiwaniach wyczerpuje wszystko, co bogate archiwum aktów dawnych m. Krakowa w tym zakresie posiada. Duża ilość nagromadzonych pieczęci i wiadomości historycznych, metodycznie obrobionych i zużytych daje dobre świadectwo tej pracy, która, pragniemy, by była zachętą dla innych. Sfragistyka polska, to tak wdzięczny, a mało dotąd obrobiony przedmiot, że każda weń włożona praca, opłaci się i rezultaty wyda obfite.

*Dr. M. Gumowski.*

## Z piśmiennictw obcych.

**Geschichte der Motette** von *Hugo Leichtentritt.* Kleine Handbücher der Musikgeschichte herausgegeben von Hermann Kretzschmar. Band II. Lepzig, Druck und Verlag von Breitkopf & Härtel, 1908, 8°, VIII, 453 S.

Pomysł wydawania szeregu monografii historyczno-muzycznych, poświęconych historyi każdej formy muzycznej, jaki zapoczątkował znakomity uczony prof. dr. H. Kretzschmar, prof. umiejętności muz. na uniw. w Berlinie, jest ze wszechmiar godzien najwyższego uznania. W ostatniej bowiem konsekwencyi historya muzyki jest głównie historyą form muzycznych, gdy tymczasem historya harmonii, kontrapunktu i instrumentacyi, jest zawsze historyą składników formy. Pierwszym tomem tej bardzo cennej publikacyi jest: *Geschichte des Instrumentalkoncerts* lipskiego docenta d-ra Arnolda Scheringa; zdamy sprawę z tego dzieła, gdy wyjdzie w II wydaniu, znacznie rozszerzonem. Prospekt zapowiada współpracownictwo tak bardzo wybitnych uczonych jak Botstiber, Buhle, Heuss, Kretzschmar, Kroyer, Nagel, Nef, Seiffert, P. Wagner, J. Wolf.

Dr. Leichtentritt — powiedzmy otwarcie — miał niesłychane trudności do zwalczania przy pracy nad tak ogromnie obszernym tematem, jak historya motetu. Przeczytać partytury kilku tysięcy motetów — na to trzeba mieć nie tylko odwagę, ale i żelazną wolę; lecz i te znaczą coś wtedy dopiero, gdy łączy się z niemi znajomość epok i tego wszystkiego, co dotychczas napisali tacy uczeni jak Ambros, Winterfeld, Haberl, Ludwig, Riemann, Sandberger, Wolf i bardzo wielu innych, co wreszcie wydano i nie wydano ze starych druków i rękopisów muzycznych. Kto umie oryentować się w historyi muzyki XVI w. i kto zna dotychczasowe wydawnictwa, ten wie, że wydano stosunkowo mało. Wprawdzie po bibliotekach niemieckich leżą przygotowane do wydania spartowane przez niezmordowanych badaczy dawne utwory wielkich mistrzów, ale i te partytury nie zawierają tak wielkiej ilości choćby motetów, aby można ze spokojnem sumieniem przystąpić do napisania dzieła o historyi motetu. W przyszłości, gdy technika naukowa rozwinie się jeszcze bardziej, stworzone będą zapewne kadry ludzi, którzy niczem nie będą się zajmowali, jak tylko przepisywaniem dawnych dzieł na dzisiejszą nutacyę, celem oddania ich do rozporządzenia uczonych historyków muzycznych, którzy dziś sami muszą tracić wiele czasu na pracę czysto mechaniczną, ilekroć chcą zbadać mało znaną epokę lub mało znanego kompozytora. Ileż najtęższych sił marnuje się wskutek tego?! Ale też każda książka przynosząca nowe utwory dawnych mistrzów staje się bardzo cenną — także dla drugich, odczuwających zadowolenie z powodu oszczędzenia czasu.

W tem samem położeniu znalazł się i dr. Leichtentritt; jakkolwiek słynny zbiór Winterfelda z biblioteki król. w Berlinie był mu niezmiernie pomocnym, to jednak sam odcyfrował wiele dzieł zwłaszcza z XVI wieku, umieszczając w swej książce bardzo interesujące i cenne »okazy« motetów. Oczywiście włoska i niemiecka muzyka znalazły najwięcej uwzględnienia, mniej francuska, najmniej angielska i hiszpańska, gdyż dawna muzyka tych krajów nie obfituje w mnogość nowodruków, względnie nowożytnych wydań w partyturach. Wszędzie jednak dr. Leichtentritt okazał, że wszystko uczynił, co leżało w mocy uczonego o wielkiej sile woli.

Na ogół dzieło Leichtentritta jest doskonale oryentującym podręcznikiem. Przechodzimy przez szkoły i ich kierunki, poznajemy rozwój techniki i jej właściwości, poznajemy ogólną charakterystykę szkół i indywidualne odrębności wybitnych mistrzów, wreszcie wpływy przenikające się wzajemnie i krzyżujące, oraz nowe myśli wynikające

z dawnych lub wystrzelające jasnym płomieniem ponad wszelką współczesność. Analizy ogólne, dotyczące bądź szkół, bądź poszczególnych mistrzów są przeprowadzone z precyzyą godną bezwzględnego uznania; oczywiście w dziele takiem, jak »Historya motetu«, które powinno nawet przy rozporządzaniu tylko takiego materyału, jaki miał dr. Leichtentritt, liczyć dwa razy tyle stron, nie może być mowy o najściślejszych i szczegółowych analizach; gdzie jednakże wyjątkowa obfitość zabytków jednej epoki pozwoliła autorowi na obszerniejsze traktowanie przedmiotu, tam spotykamy się wszędzie z dowodami wielkiej erudycyi, wielkiej subtelności i ścisłości przy równoczesnem barwnem wysławianiu się, wolnem od frazeologii i od zachwytów jakby »zamówionych«. Płynność języka i sympatyczny ton dopełniają reszty. Wprawdzie gdzieniegdzie czujemy, że autor (bardzo wybitny choć młody) nie opanował wyczerpująco materyału, który go unosi, jednak całość robi zupełnie wrażenie jednolitości i konsekutywnego kreślenia rozwoju motetu; rzadko tylko zaciera się wśród szczegółów wielka linia historyczna. W każdym razie zachowana jest, aż do rozdziału o motecie niemieckim, który wprawdzie zaczyna się od XV w., autor jednakże pisze jego historyę, gdy już przeszedł (bardzo poglądowo) rzymski i wenecki motet »koncertujący« XVII wieku. Oczywiście przyjąć należy na podstawie dostatecznych materyałów, że motet niemiecki XV i XVI wieku był wprawdzie obfitującym w indywidualne rysy, technicznie jednakże zależał od pierwszej, drugiej i trzeciej szkoły niderlandzkiej, nie wspominając już o wpływie rzymskim i weneckim. W jeszcze większym stopniu dotyczy to motetu francuskiego, który rozwijał się zupełnie wspólnie z niderlandzkim. Jeśli gdzie można czynić w historyi muzyki XV i XVI wieku rozdział na »narodowe« szkoły, to chyba tylko w pieśni świeckiej, specyalnie zaś w formie *canzony* i *chanson*, jak to uczynił bardzo trafnie Riemann w swym *Handbuch der Musikgeschichte* (II, 1). To samo oczywiście dotyczy motetu hiszpańskiego i angielskiego. Czytając dzieło Leichtentritta spostrzegamy dość zastanawiający brak niemieckiego motetu z przed połowy XV wieku, a więc z czasu, gdy u nas Mikołaj z Radomia tworzył motety *(Magnificat* np.) [1]. Następnie brak jest historyi

[1] Przypomnieć należy, że u nas ci, co dotychczas pisali o Mikołaju z R., nie tylko nie zdali sobie sprawy z jego znaczenia, ale i nie omieszkali zbyć go pogardliwymi frazesami (np. A. Poliński w swych »Dziejach muzyki polskiej«).

włoskiego motetu z XVIII wieku; kto jednak jest historykiem muzyki, ten wie, że ta epoka jest istną bezdrożną puszczą, w której prawie nikt jeszcze nie wyrąbał więcej ponad ścieżki. Stąd nawet za brak nie można tego autorowi poczytać. Zato historya motetu niemieckiego jest skreślona z wielką udatnością, a nawet precyzyą. Kilka mylnych notatek o polskich kompozytorach motetów, głównie z XVI w., uniknie autor, a za nim inni (Riemann), gdy polscy historycy muzyki rozpoczną Zachód objaśniać o tem, co u nas przed Chopinem stworzono.

Na ogół dzieło Leichtentritta jest bardzo wartościowym podręcznikiem, w którym autor wszędzie składa dowody i pietyzmu i zapału i wiedzy oraz samoistności sądu. Dlatego możemy z szczerem zainteresowaniem oczekiwać nowego wydania IV tomu »Historyi muzyki« Ambrosa, które dr. Leichtentritt przygotowuje.

*Dr. Adolf Chybiński.*

**Institutiones iuris ecclesiastici,** quas in usum scholarum scripsit *Ios. Laurentius S. I.* Ed. altera. Friburgi 1908. Herder. 8-ka, XVI, 712.

Dzieło Laurentiusa zdobyło sobie swą praktycznością, jasnością i wszechstronnością w krótkim stosunkowo czasie niepoślednie stanowisko w rzędzie podręczników szkolnych prawa kościelnego. Najlepszym tego dowodem jest, iż po zaledwie 5 latach okazało się potrzebnem drugie jego wydanie. Autor w nowem wydaniu nie odstąpił od metody pierwotnie przezeń przyjętej. Na pierwszy plan wysunięte jest prawo obecnie obowiązujące; ewolucyę historyczną pojedynczych instytucyi i kwestyi kreśli zaledwie paru słowami. Literaturę prawnokościelną podaje także tylko bardzo umiarkowanie; byłoby jednak do życzenia, aby przy odnośnych materyach wspomniał o najgłówniejszych publikacyach ostatnich lat, i jeszcze więcej niż dotąd dał pierwszeństwo źródłom przed autorami.

Nic dziwnego, że drugie wydanie znacznie urosło, bo o całe dwa arkusze. Spowodowały to w przeważnej części nowsze ustawy i rozporządzenia Stolicy św., które dotychczasowe prawo kościelne w niejednym punkcie bądź to zmodyfikowały bądź też zupełnie przeistoczyły. Tak np. uwzględnia autor nowe prawo kościelne o formie zawierania zaręczyn i małżeństw, rozporządzenie św. Kongr. Soboru dotyczące wysyłania stypendyów mszalnych i inne. Na str. 351 należało jednak wspomnieć jeszcze o *Motuproprio* Piusa X z dnia 18 listopada 1907 r., stanowiącem karę ekskomuniki na tych, którzyby bronili nauk

potępionych przez encykliki *Pascendi Dominici gregis* i przez dekret św. Officyum *Lamentabilis* z dnia 14 lipca 1907 r. Również należało na str. 104[2] przytoczyć Konstytucyę Piusa X, normującą stosunki Rusinów w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Na kwestyę dziś bardzo aktualną, mianowicie na jakim tytule opiera się przeszkoda małżeńska wyższych święceń, rzucił nowe światło Scharnagel: *Das feierliche Gelübde als Ehehindernis,* str. 203—214. Do str. 351 por. Vermeerscha: *De religiosis institutis et personis* I, 121, który twierdzi, iż w niektórych zakonach wytworzył się zwyczaj nie proszenia biskupa o pozwolenie, jakiego Sobór Trydencki wymaga pod karą nieważności aktu, przy zrzeczeniu się własności przed profesyą uroczystą.

Zresztą przyznać trzeba, iż podręcznik Laurentiusa posiada w stopniu wybitnym wszystkie warunki, których się wymaga wogóle od podręcznika szkolnego. To też słusznie spodziewać się można, iż w seminaryach, w których prawo kościelne wykłada się po łacinie, wkrótce wyruguje podręczniki, które dotychczas były używane.

*Ks. J. Roth.*

**Histoire du Canon de l'ancien testament dans l'Église greque et l'Église russe.** *M. Jugie des Augustins de l'Assomption.* Paris, Beauchesne. 1909, str. 140.

Bardzo ciekawe studyum o dziejach kanonu ksiąg świętych Starego Zakonu w Kościele wschodnim, tem ciekawsze, że oparte o szerokie tło powolnej protestantyzacyi teologii wschodniej. Z dużym zasobem erudycyi a bardzo przejrzyście i silnie wykazuje autor, że Kościół wschodni, który przez długie wieki wraz z Rzymem przyjmował autentyczność ksiąg t. zw. deuterokanonicznych, od tej nauki odstąpił w najnowszych czasach pod wpływem protestantyzmu i to za sprawą Teofana Prokopovicza w Rosyi, za sprawą Adamantiosa Corais w Kościele konstantynopolitańskim. Bliższe szczegóły tego odstępstwa są typową illustracyą bezsilności i wewnętrznej rozterki panującej w łonie nieszczęśliwego Wschodu. Uważając jednak sam fakt zmiany nauki prawosławnych jako niezbicie udowodniony, pragnę zwrócić uwagę na jeden szczegół. Autor niedość rozróżnia różne stopnie uświadomienia w posiadaniu dogmatu. Że Kościół wschodni posiadał *implicite* przekonanie o Boskości ksiąg deuterokanonicznych starego testamentu, że miał o swych źródłach teologicznych dane aż nadto dostateczne do zupełnie jasnego sformułowania tej wiary, że tu i owdzie próby tego jasnego sformułowania były czynione — to wszystko prawda — żeby jednak

przed XVI wiekiem istniało u Greków całkiem świadome uznanie natchnienia ksiąg deuterokanonicznych, tego twierdzić trudno. Ani drugi kanon synodu *in Trullo,* ani inne przytoczone dowody nie zdają się stanowczo tej kwestyi rozstrzygać. Przecież silniejsze argumenty przytoczyć się dadzą na istnienie wiary w kompletny kanon z początkiem V wieku, a któż powie, że wiara ta była wówczas zupełnie uświadomiona w Kościele? W Kościele wschodnim już martwym, uświadomienie zupełne wymaga z natury rzeczy bodźców daleko silniejszych. Sądzę przeto, że bliższym prawdy jest pogląd Ehrharda, który autor na str. 27. o niedokładność oskarża. Ogółem całe dziełko bardzo pouczające i gruntowne. Na okładce czytamy *Etudes de théologie orientale,* nr. I. Oby za tym pierwszym tomikiem poszło więcej podobnych studyów, któreby powoli rozpraszały wśród katolickich teologów ogromną nieznajomość teologii wschodniej.

*Ks. Jan Rostworowski.*

**Des hl. Johannes Chrysostomus Büchlein über Hoffart und Kindererziehung** sámt einer Blumenlese über Jugenderziehung aus seinen Schriften übersetzt und herausgegeben. Mit einem Titelbild. Von *Dr. Sebastian Haidacher,* Prof. an der theol. Fakultät zu Salzburg. Freiburg. Herder. (Str. VIII, 134).

Nowe wydánie tego znakomitego dziełka, zasługującego na zaszczytne miejsce w historyi pedagogiki, sporządzone zostało przez prof. Haidachera ku uczczeniu 1500-letniej rocznicy śmierci wielkiego Doktora Kościoła wschodniego, św. Jana Złotoustego.

Po raz pierwszy dziełko »O pysze i wychowaniu dzieci« wydał Dominikanin, Franciszek Combefis, wedle manuskryptu przechowanego w bibliotece kard. Mazarina w tekście greckim oraz z przekładem łacińskim (Parisiis 1655). Mimo uznania autentyczności przez ostrożnego krytyka Tillemonta, i prawdopodobnie skutkiem mylnego przypuszczenia Oudina dziełko to nie zostało przyjęte w poczet dzieł św. Chryzostoma, wydanych przez Maurinów (Paryż 1718—1738. 13 tomów), i z czasem poszło zupełnie w zapomnienie. Autor udowadnia autentyczność tej cennej perły staro-chrześcijańskiej literatury i tem samem oddaje wielką usługę wszystkim miłośnikom literatury patrystycznej.

Tekst poprzedza znakomity wstęp (str. 1—29), w którym autor podaje treściwy pogląd na religijne i kulturalne tło broszury, napisanej w Antyochii r. 393, oraz kreśli zarys życia i działalności jej

autora. W zakres wstępu wchodzi również kwestya genezy i autentyczności dziełka, niemniej jak ocena jego treści i doniosłości.

Dziełko »O pysze i wychowaniu dzieci« jest jedyne w swoim rodzaju w całej literaturze staro-chrześcijańskiej. Można je scharakteryzować jako jedyny podręcznik systematyczny pedagogiki, obliczony nie dla użytku szkolnego, lecz domowego. Ojcom rodziny chciał św. Doktor Kościoła podać wskazówki dla wychowania dzieci, opartego na zasadach wiary katolickiej.

Reguły wychowawcze ujął św. Chryzostom w ramy trafnego i ściśle przeprowadzonego w toku całej książeczki porównania. Dusza dziecięca podobna jest do nowo założonego miasta; ciało — to mur, otaczający miasto, zmysły — jego bramy, władze duszy — jego obywatele, mający się rządzić dobremi prawami mądrego króla, t. j. wychowawcy. Z psychologiczną prawdą przeprowadza św. Chryzostom to porównanie, które jego wywody praktycznie i poglądowo uzmysławia. Myśli główne dziełka są zbyt cenne, by pominąć je w naszem omówieniu.

Cel wychowania musi być obyczajowo religijny, i dążyć do tego, by duszę dziecka wykształcić na doskonały obraz świętości samego Boga. Pouczenie o prawdach i dziejach Objawienia, i to od pierwszej już młodości, stanowi główny środek do tego celu, oraz niezbędne przygotowanie dla odpowiedniej działalności Kościoła. Równocześnie należy troskliwie czuwać nad wyrobieniem dziecka, i nad powstrzymywaniem szkodliwych zewnętrznych wpływów. Za młodu trzeba przyzwyczajać do hartowania ciała i do zamiłowania skromnego i na małem poprzestającego życia. Przytem należy obudzać poczucie i miłość piękna, które tkwi w przyrodzie i sztuce, tudzież poczucie honoru i szacunku dla własnej godności. Nagrody i kary są niezbędnie potrzebne, jako skuteczne pobudki do wyrabiania woli dziecka. W zastosowywaniu kar cielesnych potrzeba wielkiego umiarkowania. Kara cielesna ma być rzadka: należy nią raczej grozić, niż rzeczywiście ją wymierzyć: chłopiec ma bać się kija, ale go nie uczuwać. Na szczególniejszą wzmiankę zasługują jeszcze dwie katechezy biblijne, będące wzorem nauczania domowego dla rodziców. W osobnych uwagach Doktor Kościoła podaje tu rodzicom wskazówki metodyczne, bardzo cenne dla historyi pedagogiki.

Wybrane myśli o wychowaniu młodzieży, które wydawca z innych pism św. Chryzostoma zestawił, stanowią wspaniałe uzupełnienie

dziełka »O pysze i wychowaniu dzieci«, i zawierają prawdziwe skarby pedagogicznej mądrości.

Rozumie się samo przez się, że dziełko to św. Chryzostoma pełne jest namaszczenia i siły, jakie temu Ojcu Kościoła są właściwe.

*Ks. Ernest Matzel.*

**Patsy** a story by *H. de Vere Stackpoole.* Unwins library. London 1908. I vol.

Kto się chce uczciwie a serdecznie pośmiać, niech sięgnie po ten szkic pełen najzdrowszego humoru. Niech mi przebaczą wielcy krytycy literaccy minionego wieku, dla których dzieła, jak *Nicholas Nickelby, Pickwick Club* i t. d. wydawały się szczytem dowcipu. Są to niezaprzeczenie arcydzieła w swoim rodzaju, przypominają wszakże niektórych ludzi zabawnych z rzemiosła, których każde powiedzenie ma na celu wywołanie podziwu lub śmiechu, tak znanych ze sztucznej gry słów, że jednemu z nich, gdy w restauracyi poprosił o kotlet z ziemniakami, kelner po namyśle odpowiedział: Tego, proszę pana, nie rozumiem! — H. de Vere Stackpoole nie stara się być dowcipnym; w wesołości jego niema nic sztucznego, to też podany przezeń obrazek z życia irlandzkiego wyszedł z pod jego pióra lśniący a świeży. Patsy to rudy, nieokrzesany, ale na wskroś uczciwy i sprytny chłopaczek wiejski, wzięty do służby w zameczku, najętym przez wysoko urodzoną damę angielską i jej wnuczęta. Zaczyna swoją karyerę przez rozbicie wielkiego lustra, w którem ujrzał fizyognomię rudego chłopca, który każdy jego ruch naśladował. Wkrótce jednak oswaja się i zawiera serdeczną przyjaźń z dziećmi, które z pod rygoru guwernantki i babki zazdroszczą mu jego swobody. Patsy jednak nie jest zupełnie szczęśliwy, bo ma wuja a ten wuj to kłusownik i złodziej, związany z gorszym od siebie łotrem, uszłym z więzienia bandytą. Ci chcą skorzystać z bytności Patsy'ego w zamku, aby dokonać grabieży; Patsy zaś cały swój dowcip wytęża, aby udaremnić ich plany bez zdradzenia krewnego. Dopomaga przytem młodej parze zakochanych do zwalczenia samolubnego oporu opiekuna panny, przyczem obie sprawy napadu opryszków i ucieczki narzeczonych wiążą się i plączą w sposób arcykomiczny. Charakterystycznem jest, że ludność okoliczna przejęta trwogą i nienawiścią do uszłego z turmy zbrodniarza, zaczyna się nad nim litować, skoro ten dostaje się pod klucz w zamkowej piwnicy. Od chwili jednak, gdy się wydostaje na wolność, sympatya zmienia się w dziki pościg, jakoby drapieżnego zwierza. Być może, iż w nie-

których scenach jest przesada i brak prawdopodobieństwa, ale wśród śmiechu przebacza się wszystko autorowi, który wkońcu ukazuje nam młodą parę w podróży poślubnej i Patsy'ego czubiącego się w podwórzu hotelowem z jakimś francuskim *piccolo*. »Mój mąż« — pisze młoda pani do przyjaciółki — »wydarł z jego szponów to, co zostawało z biednego Francuzika, twierdzi wszakże, że z taką żoną, jak ja i z takim sługą, jak Patsy, może w życiu dojść gdziekolwiek mu się spodoba«.

*T. Wodzicka.*

# ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

**Konkordancya z dzieł Ojców św. i pisarzy Kościoła.** *Ks. I. Zieliński,* Poznań 1908. Księgarnia św. Wojciecha. Str. 572.

Ks. Zieliński, autor wydanej przed kilku laty konkordancyi Pisma św., ułożonej alfabetycznie według materyi, z którą się kaznodzieja najczęściej spotyka, zastosował tę samą metodę w dziele wyżej przytoczonem. Pragnie on tym sposobem przyjść w pomoc kaznodziejom i pisarzom ascetycznym i uczynić im łatwiejszem korzystanie z ogromnych skarbów literatury patrystycznej, zamkniętej dla wielu wskutek wysokiej ceny wydawnictwa kompletnego np. Migne'a. Miał tedy szanowny autor zamiar nader szlachetny i zasługujący na wszelkie uznanie. Sposób jednak, jakiego użył, wydaje nam się niezbyt szczęśliwy wobec ogromu materyału i zbyt wielkiej liczby tomów, która powstaćby musiała, gdyby autor dalej szedł tą samą drogą. Jeśli z czterech pierwszych tomów powstała książka o blizko 600 stronach, to już na 100 tomów dalszych, powstanie biblioteka złożona przynajmniej z 25 polskich tomów, a pamiętajmy, że takich Ojców jak św. Augustyn, Hieronim, Ambroży, Grzegorz i i., trzebaby cytować szerzej niż to autor zrobił z Tertulianem, poświęcając mu większą część dzieła.

Byłoby to zatem dla kaznodziei za wiele, dla teologa za mało, bo ten musi czerpać u źródła i teksty Ojców św. brać w tem zrozumieniu, jakie daje szersze oczytanie się w kontekscie. Dodajmy do tego trudność w szukaniu odpowiednich tekstów w kilkudziesięciu tomach, z których każdy ma odrębny układ tej samej materyi według alfabetu. Przed mozolną pracą i pięknem oddaniem myśli Ojców w polskiej szacie czoło uchylić trzeba — metody jednak nie możemy nazwać praktyczną.

*n.*

**Portret hr. A. Potockiego.** Naszkicował obserwator. Nakładem autora. Stanisławów 1908. Str. 102.

Niniejsza monografia ś. p. namiestnika to odruch wywołany straszną zbrodnią wśród społeczeństwa do zbrodni nieprzyzwyczajonego. Obserwator nie tylko daje nam szkic życia Andrzeja Potockiego, ale także kreśli doskonały portret nieposzlakowanego charakteru. Przedewszystkiem zaś

kładzie nacisk na działalność Andrzeja jako Polaka i jako katolika nie z imienia, nie z metryki lecz z przekonania i z życia. Autor nie tylko spełnił zadanie dobrego Polaka, nie tylko przysłużył się potomności i historyi, lecz także czynem dowiódł, iż czci pamięć dzielnego rodaka, przeznaczając czysty dochód na żywy pomnik burs im. A. Potockiego. Dlatego gorąco możemy polecić tę monografię, gdyż ona z jednej strony poznaje nas bliżej z osobą ś. p. Namiestnika, z drugiej zaś popiera cel wielki i piękny.

*St. B.*

**Andrzej hr. Potocki** *Stanisława Tomkowicza.* Kraków 1908.

O ile pierwszą monografię czytaliśmy z uczuciem dumy, iż mieliśmy takiego namiestnika, takiego rodaka, o tyle ta druga napełnia nas żalem i wyciska mimowoli łzę smutku i rozrzewnienia: smutku, wskutek utraty przedwczesnej tego męża, który tak się zasłużył krajowi, społeczeństwu, a zwłaszcza naszemu miastu, staremu Krakowowi; rozrzewnienia zaś, wskutek zastanowienia się nad jego życiem, nad zaletami duszy i serca, nad subtelnymi rysami szlachetnego człowieka, gorącego Polaka i katolika, nad pięknymi rysami dobrego syna ojca i małżonka, zacnego i dzielnego obywatela, który dziwną ironią losu, ginie z ręki tego, któremu wyświadczył dobrodziejstwo, ginie od kuli syna tego narodu, z którym pragnął zgody i do zgody ciągle dążył. Na końcu broszury autor poświęca gorące wspomnienie matce zamordowanego, która potrafiła wychować takiego syna, wskazując mu piękne drogi młodości, młodości rzeźbiarki życia.

*St. B.*

**Biblioteka kultury polskiej.** Dzieje warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk (1800—1832). Z dzieła Aleksandra Kraushara z upoważnienia autora skreślił *Mieczysław Offmański.* Warszawa 1907.

Czytelnicy *Przeglądu* znają choćby ze sprawozdania umieszczonego w nim znakomitego dzieła Kraushara o »Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Warszawie. Pan Offmański skreślił to dzieło dla wydawnictwa M. Arcta w Warszawie i pracę tę właśnie mamy przed sobą.

Dla osób, którychby objętość pracy Kraushara odstraszała od zapoznania się z nią, streszczenie Offmańskiego dać może dobry obraz dziejów instytucyi, która tak ważną rolę odegrała w dziejach naszej kultury.

Od siebie dodał pan Offmański przedewszystkiem bardzo ciekawy dokument, dający świadectwo, jak na konfiskatę zbiorów Towarzystwa zapatrywali się nawet ci, których nie mamy powodu zaliczać do naszych przyjaciół. Niederstetter, konsul pruski w Warszawie, pisze w relacyi do swego rządu, iż Towarzystwo Przyjaciół Nauk otrzymało w swoim czasie legaty z zastrzeżeniem, że w razie jego rozwiązania, zapisy wrócą do rodzin. W tem położeniu była wdowa po jenerale Dąbrowskim. Konsul przedstawia sprawę jej jako poddanej pruskiej swemu monarsze.

Oprócz tego kreśli Offmański szkic dziejów Towarzystwa Naukowego w Płocku (1820—1830) i Towarzystwa krakowskiego oraz powstałej z niego Akademii Umiejętności. *B.*

**Wychowanie młodzieży w wieku przedszkolnym.** *Antoni Kowalski.* Lwów 1907.

Omawia tu autor zarówno wychowanie fizyczne, jak i moralne. Co do

wychowania fizycznego podaje wskazówki przeważnie znane, natury głównie hygienicznej, bardzo zresztą praktyczne.

W wychowaniu moralnem zaleca wypleniać w dziecku zachcianki i kaprysy, okrucieństwo, bojaźliwość, niesprawiedliwość, mściwość, złośliwość, smakoszowstwo, egoizm, pijaństwo, gnuśność, zarozumiałość, lekkomyślność, próżność, kłamstwo, obłudę.

Karność winna opierać się na łagodności. Kierować dzieckiem trzeba głównie przez przykłady i wpajanie dobrych przyzwyczajeń. Kończy parę słów o ochronkach.

*A. B*

**Jak uładżene maje buty żyt'e dobroj zakonnyci.** Pisla Karola Andreja Basso, parocha w Trezzo. Napisaw i wydaw *O. K. Seŀeckij.* Z peczatni OO. Wasilijan. W Żowkwi 1908. (Jak ma być urządzone życie dobrej zakonnicy. Według Karola Andrzeja Basso).

Ascetyczną literaturę ruską, prawie wyłącznie wydawnictwami OO. Bazylianów zasilaną, wzbogaciła przeróbka włoskiego dzieła ascetycznego. Jest to udatne skrócenie dwutomowego dzieła Karola Andrzeja Basso, plebana w Trezzo. Autor opuszcza zupełnie rozdziały o obowiązkach zakonnic względem przewodnika duchownego i o nabożeństwie do N. P. Maryi i brewiarzu podając najważniejsze przepisy życia duchownego dla zakonnic oddanych więcej życiu czynnemu a mianowicie o ślubach, zachowaniu reguł, medytacyi i czytaniu duchownem, umartwieniu i miłości bliźniego. Uwzględnienie najważniejszych potrzeb a przytem wielka stosunkowo ilość przykładów ilustrujących poszczególne przepisy, nadaje dziełku cechę wielkiej praktyczności. Przy tem wszystkiem jednak należy się spodziewać, że szanowny autor uzupełni w następnem wydaniu niektóre braki dotyczące języka.

Obok licznych omyłek drukarskich spotykamy mnóstwo rusycyzmów, obcych potocznemu językowi ruskiemu. Wyrażenia jak: smyrennodrie, kasatelno, obytaty, łyce, sokrowyszcze, uprażniatyś, opasnyj, opredilenyj, zaprityt', prezyraty, pryliżno, obodrenie, rozpołożenie, sozdaty. mudrolubci, sosredotoczet', wyschożdenie, połuczat', wodrużyt' sia, są wprost niezrozumiałe dla zwykłej miary czytelników, inne chociaż może zrozumiałe jednak wcale w ruskim języku nieużywane, chyba w pismach starorusinów.

Pożytek, jaki to dziełko przynieść może, ufamy, skłoni szanownego wydawcę do wygładzenia tych nierówności językowych a tem samem umożliwi zbyt i rozpowszechnienie cennego nabytku bibliotek zakonnych.

*P.*

**Sprawa zgody Polski z Rosyą wobec związku narodowej demokracyi z masonią.** *Jerzy Moszyński.* Kraków 1908. Str. 719.

Książka ta ma służyć za odpowiedź na pytanie rzucone autorowi przez *Słowo:* Co wspólnego ma nasza narodowa demokracya z masonami konwentu francuskiego? Autor wyprowadza rodowód naszego rewolucyjnego patryotyzmu od masonii francuskiej i śledzi jego rozwój na ziemiach polskich i wpływ na politykę krajową aż do czasów ostatnich. Hołdując zasadom masońskim narodowa demokracya służyła zawsze za taran do rozbijania zgody Polski z Rosyą, zgody, której p. I. Moszyński od ćwierć wieku jest gorliwym apostołem. Ze źródeł masońskich płynie, zdaniem autora, zanik wpływu prawd obja-

wionych chrystyanizmu na życie publiczne w Polsce i to zjawisko, które autor nazwał »demokratyzacyą sumień«, a które się wyraziło w całym szeregu uniewinnienia podsądnych przez sądy przysięgłych, zwłaszcza jeśli obwinieni motyw patryotyczny swym postępkom przypisali. Głównie na karb narodowej demokracyi składa autor odpowiedzialność za niepowodzenia naszej polityki w Rosyi. Nawet do stronnictwa »polityki realnej« autor przystać nie mógł, albowiem i w programie tego stronnictwa znalazł masońskie pierwiastki zwłaszcza w zapatrywaniu się na istotę Kościoła i jego stanowisko w życiu narodu. Wkońcu nawołuje autor do zawiązania stronnictwa ściśle katolickiego i kreśli plan jego działalności. Przeprowadzając główną swą tezę o *potrzebie rozszerzenia na życie publiczne wpływu zasad religii objawionej*, autor ubocznie omówił w swej książce wiele kwestyi kulturalnych, politycznych, religijnych, nawet ekonomicznych. Wieczystej zgodzie Polski z Rosyą autor pragnie nadać sankcyę religijną: chce z niej utworzyć niejako obowiązek sumienia nie tylko polskiego, ale katolickiego. Zgody z Rosyą chcą i realiści; oświadczyła się za nią w ostatnich czasach wyraźnie i część narodowej demokracyi. Różnica jednak między temi stronnictwami a p. Moszyńskim jest ta, że one kierują się zmiennemi pobudkami konieczności i korzyści bliższych, podczas gdy p. Moszyński pragnąłby oprzeć naszą politykę na niewzruszonym gruncie. W książce tej spotykamy bardzo wiele myśli cennych, uwag trafnych, wskazówek praktycznych; szkoda tylko, że temperament autora nadaje dziełu charakter zbyt polemiczny i zbyt bezwzględny. Przesadą się nam wydają również zachwyty nad ukazem tolerancyjnym, któremu przypisuje się ni mniej ni więcej tylko »wyzwolenie z pęt Kościoła powszechnego«.

*Ks. J. U.*

**Grundriss der Musikwissenschaft** von Dr. Phil. et Mus. *Hugo Riemann*. Verlag von Quelle & Meyer in Leipzig. 1908. 12-ka, IV, 156.

Jest to pierwsza próba syntetycznego szkicu, którego treścią jest metodologia umiejętności muzycznych. Oczywiście kierunek Riemannowski wycisnął w tej broszurze swe piętno, co zresztą jest nadto jasnem; dziś wszyscy my młodsi jesteśmy uczniami Riemanna, choćbyśmy nie byli jego »osobistymi« uczniami. W bibliografii dotyczącej umiejętności muzycznych zauważyłem kilka luk, które jednakże nie ujmują wartości tej próby, przeprowadzonej na ogół z zupełnem powodzeniem. Książeczkę Riemanna należy gorąco polecić.

*Dr. A. Ch.*

**Hugo Wolf**. Napisał *Dr. Zdzisław Jachimecki*. Odbitka z *Przeglądu Polskiego*. Kraków 1908. Nakład autora. 8-ka, 40.

Rozprawkę tę należy powitać z prawdziwem uznaniem, jako objaśniającą polskiego czytelnika, kim był Hugo Wolf, słynny pieśniarz niemiecki, największy po Schubercie i Schumanie. Broszurka napisana jest z entuzyazmem wielbiciela i z talentem pisarskim. O wiele mniej zadawalnia nas strona ściśle fachowa, nawet historyczna. Jeśli bowiem w rozprawie o H. Wolfie zaczynam od... monodyi florentyńskiej z końca XVI wieku, to w konsekwencyi muszę przejść bez przerw i luk całą historyę pieśni niemieckiej aż do H. Wolfa. Najwięcej miejsca należałoby poświę-

cić Schubertowi, Schumanowi, Lisztowi i Wagnerowi, gdyż ich idee właśnie Wolf wyzyskał dla dalszych swych dążeń do stworzenia idealnej pieśni. Stosunek Wolfa do tych czterech kompozytorów, tak bardzo widoczny i zrozumiały poniekąd, przedstawia się w oświetleniu d-ra Jachimeckiego bardzo nikle i niedostatecznie. Należy również unikać wszelkich subjektywizmów i impresyonizmów w sądach i określeniach wartości niektórych pieśni, gdyż one mało mówią—a wszak o Wolfie wiele jest do powiedzenia, nie tylko przez porównania i antytezy. Mimo to zapał autora jest w stanie pobudzić czytelnika polskiego do większego zainteresowania się bogatą ilościowo i jakościowo twórczością Wolfa, aniżeli to u nas ma miejsce. Niemiecka literatura dotycząca Wolfa była autorowi pomocną. *Dr. A. Ch.*

**Ex oriente lux**. Ślady Izraela w zabytkach dawnego Wschodu. Napisał *ks. Jan Korzonkiewicz*. Kraków 1908. W 16-ce, str. 47.

»Oryentalistyka wobec Biblii wogóle«, »Genesis XIV«, »Tell el-Amarna«, »Niektóre inne aegypto-biblica« — oto napisy czterech rozdziałów, w które autor wtłoczył i zgrabnie powiązał krótkie wprawdzie, ale dostatecznie informujące dane z dziedziny najnowszej archeologii wschodniej, o ile ona dotyka i wyświetla niektóre kwestye biblijne. Niepodobna tutaj rozwodzić się nad bogactwem treści i materyału naukowego, poruszonego, niekiedy nawet dość szeroko rozwiniętego przez ks. Korzonkiewicza w niniejszej broszurce. Obfita (może nawet przesadnie obfita) literatura, do której autor co chwilę odsyła czytelnika, umożliwia jego dalsze samokształcenie się w tym kierunku. Praca powyższa, chociaż była ogłoszoną w Sprawozdaniu c. k. gimnazyum św. Jacka za rok 1908, nadaje się treścią swoją nie tylko dla gimnazyalistów, ale może w wyższym jeszcze stopniu oddać niemałe usługi kształcącym się słuchaczom uniwersytetu. Szkoda tylko, że powikłana nieco budowa długich peryodów utrudnia niekiedy tę zajmującą lekturę.

*X**

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

---

### Sprawy Kościoła.

Z jasnych i ciemnych chwil ruchu religijnego w Anglii

W angielskim ruchu religijnym spotykać się można stale z tak od siebie różniącymi się faktami, z tak daleko na lewo lub na prawo idącym zwrotem, z tylu sprzecznościami, że nic właściwie tam dziwić nie może, a wszystko jest zrozumiałem i naturalnem.

Od dawna już zarysowały się w łonie anglikańskiego Kościoła dwa wybitniejsze, nawzajem się zwalczające prądy: nieprzejednany kensityzm, mający na celu przechowanie »czystej nauki« i dlatego namiętnie występujący przeciw katolicyzmowi i wszystkiemu, co jakkolwiek katolicyzm przypomina i rytualizm, który szukając zewnętrznego zbliżenia się do Rzymu, naśladuje różne ceremonie łacińskie a tem samem mimowoli zbliża niejedną, poszukującą prawdy duszę, do wewnętrznego związku z Kościołem rzymskim.

Ostatnie lata wytworzyły w łonie rytualizmu dwa ciekawe a znamienne objawy. W r. 1905 powstało rytualistyczne bractwo »Żywy różaniec N. Panny i św. Dominika«. Bractwo to wydało niedawno swoje sprawozdanie, z którego czytelnik dowiaduje się ciekawych rzeczy. Członkowie tego bractwa muszą codziennie odmówić jedną tajemnicę różańca, przyjąć Komunię św.

w dzień Matki Boskiej Różańcowej i wysłuchać mszy św. w uroczystość św. Dominika. Intencye, w jakich bractwo różaniec ofiaruje, są niemniej ciekawe: podziękowanie Aniołom Stróżom, usunięcie przesądów przeciwko różańcowi, ponowne uznanie przez Kościół anglikański sakramentu Ostatniego Namaszczenia i podziękowanie P. Bogu za Niepokalane Poczęcie N. Panny.

Członkowie bractwa, którzy, choć anglikanie, nazywają siebie katolikami, tak określili swój cel: »Żywy różaniec N. Panny i św. Dominika jest stowarzyszeniem katolików, których zadaniem przez różaniec podnieść nabożeństwo do N. Panny. Postanowiło ono sobie zachęcać wiernych do odmawiania różańca i uczynić go codzienną modlitwą. Niema nabożeństwa, któreby tak gruntownie pouczało o Wcieleniu Słowa, jak różaniec; któreby było tak katolickie w formie i w duchu, jak właśnie różaniec; on nam umożliwia oddawać N. Pannie tę codzienną i wytrwałą cześć, którą jesteśmy Jej winni, jako Królowej i Matce naszej«.

Aby łatwiej cel swój osiągnąć, urządza bractwo co miesiąc zgromadzenia, na których wszyscy przed ubranym w świece i kwiaty obrazem Matki Boskiej różaniec odmawiają; święta Najśw. Panny obchodzi bractwo uroczystymi nieszporami i procesyą, a dzień św. Edwarda pielgrzymką do jego trumny w opactwie westminsterskiem. Odznaką zewnętrzną bractwa jest pochodzący z klasztoru rzymskiego OO. Dominikanów *Santa Sabina* medalik, przedstawiający z jednej strony Królową Różańca św., św. Dominika i św. Katarzynę, — z drugiej św. Dominika, św. Piusa V i św. Tomasza z Akwinu. W modlitwach bractwa znajdują się nawet, wbrew wszelkim tradycyom protestanckim, wzmianki o pośrednictwie Świętych u Boga.

Kiedy przed niejakimś czasem pojawiła się w Anglii tendencya połączenia Kościoła anglikańskiego z prawosławiem, rozumie się, kosztem katolicyzmu i w przeciwieństwie do niego, zawiązało się natychmiast stowarzyszenie *Anglo-Roman-Union*, które wzięło sobie za zadanie wręcz odmienny cel, a mianowicie podtrzymywać i bronić »katolickich zasad« i pracować nad połączeniem Kościoła anglikańskiego ze Stolicą Apostolską.

Do »katolickich zasad« należy swoją drogą twierdzenie, że

dzisiejszy Kościół anglikański jest identyczny z Kościołem angielskim przed reformacyą, że posiada przeto władzę apostolską i ważne sakramenta. Ponieważ urzędowy Kościół anglikański odrzucił pięć sakramentów, zdąża Unia do ich ponownego wprowadzenia i porusza wszystkie sprężyny, by społeczeństwo angielskie wróciło jak najprędzej do tradycyonalnego uznania prymatu Stolicy Apostolskiej, który Anglia odrzuciła w szesnastym wieku z powodu niepotrzebnego wmieszania się w sprawę władzy politycznej.

Na uwagę zasługuje jeszcze następujący ustęp ze statutu Unii: »Każdy kapłan odprawi raz w miesiąc mszę św. (angielska przysięga koronacyjna nazywa ją b a ł w o c h w a l s t w e m!) w celu przyspieszenia pożądanej jedności. Świeccy członkowie mają w tym samym celu wysłuchać raz w miesiąc mszy św. i nawiedzić anglikański lub k a t o l i c k i kościół, w którym się przechowuje N. Sakrament. Gdyby członek Unii nie mógł z powodu jakichkolwiek przeszkód wysłuchać mszy św. w kościele anglikańskim, spełni swój obowiązek idąc na mszę do kościoła katolickiego. Wszyscy członkowie będą się codzień modlić o połączenie się chrześcijan a przedewszystkiem o powrót kościołów anglikańskich do korporatywnej jedności ze Stolicą świętą. Unia odrzuca wszelką łączność z tymi protestanckimi związkami, które chciałyby Kościołowi anglikańskiemu odebrać katolickie przepisy i tradycyę w wierze i w życiu; przepaść bowiem, dzieląca nas od patryarchatu Zachodu, w tym wypadku zamiast się zmniejszyć, powiększyłaby się tylko... Ponieważ odstępstwo rozpoczęło się od zaniedbania prawa miłości, żąda Unia od swych członków, aby się powstrzymywali od wszelkich wrogich sądów o innych korporacyach chrześcijańskich... Wszyscy nasi współobywatele powinni, o ile to jest tylko w ich mocy, wobec naszych rzymsko-katolickich braci tak się zachowywać, jak gdyby wiekowy rozdział nigdy nie istniał i jak gdybyśmy, stosownie do woli Chrystusa, byli jedną owczarnią pod jednym pasterzem«.

Gdyby podobne poglądy i zapatrywania weszły w życie i ogarnęły szerokie sfery społeczeństwa, zdaje się, że przy odrobinie dobrej woli, dałyby się panujące różnice wyrównać. Do tego jednak jeszcze daleko. O różnych objawach antykatolickiego uspo-

sobienia pisał *Przegląd* już dość często. Wystarczy tu wspomnieć na ciekawe zachowanie się pewnej części społeczeństwa angielskiego wobec eucharystycznego kongresu i na osławioną rotę przysięgi koronacyjnej, której mimo ciągłych usiłowań ze strony katolików na razie usunąć nie można. Pomijamy już takie najnowsze fakta, jak nieuzasadnione oszczerstwo, rzucone na anglikańskiego biskupa Londynu, nazywające go »kokietującym z Rzymem zdrajcą« a zwrócone przeciwko katolicyzmowi; pomijamy również kampanię, polegającą na systematycznem oczernianiu katolickich zakonów żeńskich; zwrócić jednak musimy uwagę na walkę prowadzoną przeciwko katolickim dziennikom i dziennikarzom.

Na publicznem zgromadzeniu uczyniono angielskiej prasie wogóle zarzut, że za wiele i za bezkrytycznie przynosi wiadomości o życiu katolickiem, coby miało świadczyć, że jest ona przez katolików przekupioną; ogłoszono dalej listę katolickich redaktorów, z ukrytem między wierszami pragnieniem, by nakładcy takich współpracowników z grona redakcyjnego wykluczali. Jeden z głównych agitatorów, predykant dr. Horton, zwrócił się nawet do *Daily Mail* z listem, w którym żąda od wszystkich kierowników politycznej prasy, aby swym katolickim współpracownikom, jako ludziom o »systematycznej nieuczciwości«, natychmiast miejsce wypowiedzieli.

*Daily Mail* nie odważył się nawet na umieszczenie repliki; zajął się tą sprawą *Catholic Times*. »Zagrożony jest, pisze, honor dziennikarskiego zawodu i jest to obowiązkiem przedstawicieli prasy nikczemną nagonkę z całą stanowczością odeprzeć. Nasi niekatoliccy koledzy są, o ile to w ich mocy leży, obowiązani bronić swych w mniejszości się znajdujących katolickich kolegów i nie pozwolić, aby uczciwi ludzie padli ofiarą religijnych uprzedzeń«.

Czy takie głosy, podobnie jak zdanie d-ra Lunnsa, który wrogom katolicyzmu zarzucił brak wychowania i dobrych obyczajów, lub pogląd Birsdallsa, że kto w polemice wykracza przeciwko prawom miłości, dyskredytuje nie tylko siebie, lecz i wyznanie, do którego należy, — znajdą oddźwięk w społeczeństwie, to dopiero przyszłość wykaże.

Mimochodem wypada nam poruszyć jeszcze jeden fakt, nie stojący wprawdzie w związku z powyższemi sprawami, który jednak dla społeczeństwa angielskiego może być niemałej doniosłości. Pierwszego kwietnia weszła w życie ustawa, mająca na celu ochronę dzieci. Znajdują się tam ciekawe ustępy. Tak np. chłopcom niżej lat szesnastu nie wolno palić; policya jest obowiązana przeszkadzać paleniu młodzieży męskiej i ma prawo konfiskowania znalezionego tytoniu. Wstęp do szynków i wogóle lokali, gdzie sprzedają palące napoje, choćby do natychmiastowego użytku, jest dzieciom niżej lat czternastu zabroniony. Niektóre lokale pragnęły obejść to prawo urządzając oddzielne poczekalnie dla dzieci — policya ten sposób odrzuciła. Jeżeli dzieci, ubezpieczone na życie w jakiemś towarzystwie, z winy lub nieuwagi zabezpieczających zachorują lub umrą, zabezpieczający będzie zasądzony na karę pieniężną dwustu funtów szterlingów lub na pięć lat ciężkiego więzienia. Inny ustęp nakłada duże kary pieniężne lub więzienne na tych, którzy nakłaniają lub zmuszają dzieci do żebrania, a pojęcie żebrania pojmuje prawo bardzo szeroko i uważa np. za żebranie śpiew dzieci po ulicach; tą drogą budzi się bowiem litość i współczucie. Handlarzom starych rzeczy i wogóle rupieci nie wolno nic od dzieci kupować.

Te rozumne, choć dość twarde przepisy, przydałyby się nie tylko w społeczeństwie angielskiem!

W zamęcie włoskim

Zebrany niedawno nowy parlament włoski rozpoczął już swą pracę a rozpoczął nie bardzo fortunnie. Prezydent ministrów, Giolitti, zaznaczył w mowie programowej, że w kwestyi Kościoła i państwa stoi na stanowisku bezwzględnej supremacyi państwa a wolności dla wszystkich wyznań. W sprawie rozwodów oświadczył, że sam osobiście jest za rozwodami, lecz Izba odrzuciła swego czasu dotyczące prawo i okazała tym sposobem, że naród rozwodów nie pragnie.

Te oświadczenia przyjęła Izba oklaskami, co jednak nie przeszkadzało stronnictwu socyalistycznemu stwierdzić swoje zapatrywania na stosunek do rządu. Kiedy parlament po różnych trudnościach uchwalił odpowiedź na mowę tronową, wiceprezydent

Costa, socyalista, wezwany, by razem z prezydyum udał się do Kwirynału, odmówił zaproszeniu. »Kiedym objął wiceprezydenturę, odpowiedział listownie, uczyniłem to w tym celu, by spełniać istotne obowiązki, jakie mój urząd na mnie nakłada; nie mogę jednak zgodzić się na ceremoniał, który sprzeciwia się memu charakterowi i mym politycznym przekonaniom. Zaznaczam jeszcze, że nie mogę jako wiceprezydent wręczyć królowi uchwały, przeciwko której głosowałem, jako deputowany«.

Urągające wszelkiej kulturze awantury, które parlament z winy elementów radykalnych i socyalistycznych przemieniły w ulicę i to najniższego rodzaju, wywołał występ posłów katolickich.

Jest ich dwudziestu czterech o czterech głównych barwach. Grupa włoska, nie mogąca się pogodzić ze zjednoczoną Italią i żądająca dawnego systemu państewek na półwyspie; grupa północno-włoska pod kierownictwem Medy, pracująca głównie przez katolickie związki i stowarzyszenia; chrześcijańska demokracya, której przewodzi Toniolo i grupa staroliberalna dążąca do nawiązania stosunków między Watykanem i Kwirynałem.

Trzydziestego pierwszego marca wygłosił w Izbie Cameroni, deputowany katolicki z Treviglio, mowę programową, w której wystąpił ostro przeciwko radykalnym posłom, wywodząc, że tak wybory jak i obrady odbywają się z ich inicyatywy pod hasłem antyklerykalizmu; pod pozorem wolności chodzi im jedynie o ujarzmienie religii. Dlatego deputowanych, opierających się o zasadę chrześcijańską, nazywają gwałtem klerykałami i urzędnikami Watykanu; dlatego też doprowadza ich do szału fakt, że on i jego przyjaciele nie weszli do parlamentu, jako stronnictwo wyznaniowe. Tym bowiem sposobem odjęli lewicy pozorne podstawy walki przeciwko klerykalnej reakcyi.

Tu już rozpoczęły się prostackie awantury, które jednak Cameroni'ego nie zbiły z tropu. »Prawdziwymi przyjaciółmi kraju nie jesteście wy, którzy dążycie do wywołania wojny domowej, ale my, którzy żądamy potężnej, lecz i szanowanej ojczyzny«. »Czy z Rzymem, jako ze stolicą«, interpelowali radykalni posłowie. »Z Rzymem, jako stolicą«, odpowiedział na to z naciskiem

Cameroni i wśród nowych i zwiększonych awantur, wśród wycia i krzyków, zakończył dziwnemi słowami: »Gdybyście byli prawdziwymi Włochami, powinnibyście byli przyjąć oklaskami moją deklaracyę. Jest nie tylko śmiesznem ale i głupiem żądać osobnego uznania stolicy kraju od deputowanego, który w Rzymie i na Montecitorio współpracuje nad ustawami dla włoskiego narodu« ... »Katoliccy deputowani są po prostu włoskimi deputowanymi, jak wszyscy inni; stoją wiernie i szczerze przy wszystkich urządzeniach, na które bez zastrzeżeń przysięgają;... żądają tylko wolności wyznania«.

Ten występ Cameroniego był tem dziwniejszy, że po raz pierwszy deputowany katolik, obrany za zezwoleniem władzy dyecezyalnej, na publicznem posiedzeniu w imieniu własnem i swych przyjaciół politycznych uznał tak lojalnie współczesne państwo włoskie a Rzym jako stolicę, mimo tylorazowych protestów Papieży. O ile więc jego występ podrażnił stronnictwa radykalne, ponieważ dalszej ich nagonce przeciwko deputowanym katolickim odebrał wszelką podstawę, o tyle znowu mógł słusznie napełnić obawą szerokie sfery katolickie.

Prasa katolicka różnych odcieni starała się te obawy uspokoić a dzienniki, jak turyński *Momento,* genueński *Cittadino,* medyolańska *Unione,* wenecka *Difesa,* bolońskie *Avvenire d'Italia* i florentyńska *Unita Cattolica,* miały dla występu Cameroniego słowa uznania i pochwały. Wkrótce jednak nastąpiło otrzeźwienie, gdy *Osservatore Romano* z drugiego kwietnia nazwał krok Cameroni'ego niefortunnym i nie na czasie i ostro go potępił.

Zabrała również głos *Corrispondenza Romana.* Zbija najpierw twierdzenie prasy blokowej, jak gdyby wystąpienie Cameroni'ego było zrzeczeniem się praw Stolicy św. lub katolików włoskich. Przypomina dalej, że kwestya rzymska jest dla każdego katolika kwestyą sumienia, ponieważ chodzi w niej o wolność i niezależność Głowy Kościoła. Kończy wreszcie protestem przeciwko lekkomyślnemu zrzekaniu się katolickich praw i obowiązków wobec wrogów, którzy, jak to miało miejsce w wypadku Cameroni'ego, nie wierzą w szczerość podobnych oświadczeń, albo przynajmniej wyzyskują je przeciwko katolikom i papieżowi.

Tymczasem wysuwa się znów na pierwszy plan kwestya państwa kościelnego; zajmowało się nią i zajmuje dużo umysłów niepowołanych do tego a w ostatnim czasie także francuski *Gil Blas* w artykule: Wznowienie świeckiej władzy papieża przez Austryę. Przez Austryę prawdopodobnie dlatego, że poradziła sobie ze sprawą bośniacką.

Główne myśli tego artykułu, który tu podajemy jedynie jako *curiosum*, są następujące. Żona następcy tronu austryackiego, odsunięta wraz z dziećmi od tronu przysięgą męża, chętnieby jednak została cesarzową; dlatego, korzystając ze swego wpływu na męża, popchnęła arcyksięcia Ferdynanda w ręce stronnictwa klerykalnego sądząc, że tym sposobem najłatwiej swój cel osiągnie. Żeby bowiem przysięga przestała obowiązywać, musi ją wpierw znieść uchwała austryackiej Rady państwa i węgierskiego parlamentu; równocześnie potrzeba także dyspenzy papieskiej. Większość katolicka parlamentów będzie z pewnością za zniesieniem przysięgi głosować, a dyspenzę papieską da się kupić; wystarczy w tym celu odbudować państwo kościelne, choć nie w dawnych granicach. Na stole arcyksięcia Ferdynanda znajduje się mapa, którą on często studyuje. Widać tam mały trójkąt; szczyt jego opiera się o Watykan a jeden bok obejmuje wybrzeże między Fiumicino a Ostią. To małe księstewko ogłosi się jako eksterytoryalne i odda na własność papieżowi, który tym sposobem będzie mógł Watykan opuścić i na swojem terytoryum obcych monarchów przyjmować. Na takie rozwiązanie król włoski z pewnością się zgodzi; jeżeli nie obejdzie się bez jego zezwolenia. W rozmowach prywatnych ma arcyksiążę często wspominać, że Wiktor Emanuel uważał zdobycie Rzymu za błąd i byłby się chętnie z papieżem pogodził a przed swoją śmiercią nałożył obowiązek pogodzenia się Humbertowi; w tym samym duchu modli się też i pracuje królowa Małgorzata. Z powodu rozdziału we Francyi jest dzisiaj miejsce najstarszej córki Kościoła wolne; przyszły więc austryacki cesarz ma zamiar to miejsce dla siebie zachować.

Zwykle tylko miesiące wakacyjne, jako czas największych upałów, stwarzają różne legendy w prasie; tem trudniej zrozu-

mieć, jak w chłodnej porze obecnej wiosny podobna rzecz w zwojach mózgowych dziennikarza wylęgnąć się mogła.

Z okazyi beatyfikacyi Dziewicy Orleańskiej.

W obecności mnóstwa kardynałów, siedemdziesięciu biskupów francuskich, kilkudziesięciu tysięcy pielgrzymów, przybyłych z Francyi i z rozmaitych sfer zaproszonych gości odbyła się z wielką okazałością 18 kwietnia uroczystość beatyfikacyi Dziewicy Orleańskiej, która to beatyfikacya nie pozostanie prawdopodobnie bez jakiego takiego wpływu na ułożenie się stosunków. O wyzyskanie uroczystości do celów politycznych, jak niektórzy przypuszczali, nie chodziło ani papieżowi, ani biskupom francuskim; na szali zaważył, jak się biskup Orleanu, ks. Touchet, do współpracownika włoskiego *Corriere d'Italia* wyraził, jedynie i wyłącznie moment religijny, co swoją drogą nie przeszkadza »nadziei, że Francya nie pozostanie obojętną na tryumf swej chwałą okrytej córki, i że patrząc na jej świetlany obraz wróci na nowo do Boga, o którym obecnie zdaje się zapominać«.

W obchodzie beatyfikacyjnym dobitnie stwierdziła wszechświatowy wpływ Kościoła i ścisłą łączność katolików, obecność znacznej liczby biskupów angielskich i adres całego episkopatu Wielkiej Brytanii, wystosowany z okazyi radosnej chwili do biskupów francuskich.

Ważnym momentem tych historycznych dni była także audyencya francuskich pielgrzymów i biskupów u Papieża i przemowa Ojca św. do nich wygłoszona. Papież wyraził swój podziw dla biskupów, kapłanów i tych katolików, którzy wiernie stoją przy Kościele w jedności ze Stolicą Świętą; zachęcał do dalszej jedności i trwania we wierze, która jedyna poręcza szczęście społeczeństw; wzywał do miłości kraju opartej na miłości Kościoła; w spokojnych ale stanowczych słowach potępił dzisiejszą walkę we Francyi i antyreligijny fanatyzm, a zakończył swe serdeczne przemówienie wyrażeniem nadziei w szczęśliwszą przyszłość i w ostateczne zwycięstwo dobrej sprawy.

Zdziecinniała w swem zaślepieniu i zwyrodnieniu natura

ludzka, nie umiejąc uszanować ważności chwili o tyle przynajmniej, o ile tego dobre wychowanie wymaga, skorzystała nawet z tak wzniosłej okazyi do swych nizkich celów. Związek Giordana Bruno w Rzymie, wywiesił z okien swego lokalu na znak protestu czarną chorągiew, a sufrażystki angielskie przeciągały w tym samym mniej więcej czasie przez ulice Londynu w licznej procesyi, której główną atrakcyę stanowiła postać kobieca na koniu w zbroi i szatach Dziewicy Orleańskiej.

Niewyczerpanym jednak w swoich pomysłach jest człowiek.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

## Przegląd muzyczny.

Śp. Mieczysław Karłowicz. — »Bolesław Śmiały« Ludomira Różyckiego — »Stuletnia rocznica urodzin Feliksa Mendelssohna-Bartholdy«. — »Uroczystości Haydnowskie i kongres muzyczny w Wiedniu«.

Zaledwie młoda muzyka polska zaczęła dojrzewać i zbliżać się do tego punktu rozwoju, w którym dzięki wielkiej plejadzie wielkich talentów otrzymałaby berło panowania, już poniosła stratę bardzo ciężką, zdaniem wielu niepowetowaną. Zginął w śnieżnych otchłaniach tatrzańskich granitów Mieczysław Karłowicz, znakomity symfonista i głowa »Młodej Polski muzycznej«, najdojrzalszy z młodych kompozytorów, a zarazem wogóle najwykształceńszy z naszych kompozytorów, jakich posiadaliśmy i posiadamy. To ostatnie nie ulega najmniejszej wątpliwości, nawet w tym razie, gdyby niektórzy krytycy w istocie mieli racyę, że nie był silną indywidualnością w inwencyi. Już wcześnie wyrósł ponad te maluczkie »wymogi« muzyczne, któremi zadowalniała się do niedawna nasza niebogata w silne organizacye artystyczne kultura muzyczna. Ponieważ nie posiadaliśmy przed Karłowiczem żadnego symfonisty wybitnego, któryby bądź mocą swego talentu, bądź też dzięki swej wiedzy lub indywidualności był w stanie stworzyć szkołę lub wywołać kierunek oparty na silnych artystycznych podstawach, więc nic dziwnego, że myśl śp. Karłowicza, podobnie jak jego młodszych rówieśników (Fitelberg, Różycki, Szymanowski, Szeluta), wylatywała ponad istniejące u nas niedostatki w symfonicznej twórczości i szybowała ku Zachodowi, gdzie doskonalenie orkiestrowej

faktury i nowe wartości w formie i harmonizacyi oraz stylu odbywało się już od lat stu z górą, czego o nas niestety nie można powiedzieć głównie ze względu na brak czynników pobudzających twórczość i dających kompozytorowi możność niezależnej od drobnostek lokalnego muzycznego bytowania wypowiadania się w zakresie środków stworzonych przez tych, którzy są do tego powołani. To nieoglądanie się na nasze warunki kulturalne, przyniosło śp. Karłowiczowi los, którego można było się spodziewać: ignorancyę, spotęgowaną przez nienawiść, jaką pałał względem polskiej muzyki b. dyrektor jedynej w Polsce instytucyi filharmonicznej, mianowicie Rajchman, b. dyrektor Filharmonii warszawskiej oraz żydowski bankier. Ani Kraków ani Lwów nie posiadają dotychczas orkiestry symfonicznej, tak że np. Kraków nie zna żadnej z kompozycyi Karłowicza. Teraz, gdy otwarła się możność popierania intenzywnego polskiej muzyki, spadł grom, który zabrał życie Karłowicza, a muzyce polskiej potężną siłę.

Indywidualność Karłowicza posiada ton tragiczny. Pogodnych chwil — mało. Przedstawiają się one jako wspomnienia minionych wesołości i minionych jaśniejszych blasków bytu. Wszędzie otacza nas chmurna atmosfera przepełniona tragicznym nastrojem, któremu towarzyszy tęsknota, melancholia, zaduma, — wszystkie wogóle odcienie smutku, obezwładniającego lub popychającego do krańcowych ostateczności. W istocie, nikt u nas po Chopinie nie wyraził tego uczucia w tak silny, tak wymowny i tak zróżniczkowany sposób, jak Karłowicz. Zapewne, podkład jego myślenia muzycznego był pessymistyczny, ale w tem znaczeniu, jak się powszechnie sądzi, a więc nie w filozoficznym systemie. Od pożerającego duszę i trawiącego byt nieszczęsnego uczucia chronił się przez kontemplacyę, uczucie litości i zatapianie się w cudach stworzenia, w pięknościach bytu, a raczej wszechbytu, jak to wyraził w trzeciej części swych »Odwiecznych pieśni«, będącej hymnem na cześć piękności stworzenia. Dzieła jego (wymieniam tylko najlepsze: »Powracające fale«, »Trzy odwieczne pieśni«, »Rapsodya litewska«, »Stanisław i Anna Oświecimowie«, »Smutna opowieść«, oraz fragment »Dramatu na maskaradzie«) odznaczają się doskonałą i dojrzałą formą, zawsze oryginalną i pełną logicznych konsekwencyi, wyborną instrumentacyą, w której był mistrzem, podobnie jak w mistrzowskiem opracowaniu tematyczno-polifonicznem, oraz bogactwem harmonii, jakich u nas jeszcze się nie znało. Inwencya zrazu przypominająca Czajkowskiego, Chopina, Wagnera i R. Straussa, potem zupełnie indywidualna i przepojona »tonem karłowiczowskim«,

płynęła świeżo i naturalnie, gdyż nie było większego wroga sztucznych grymasów robionych na efekt, jak śp. Karłowicz, który gardził wszelkimi konceptami, na zewnętrzne wrażenie obliczonymi. Był to bowiem i głęboki i szczery, ale pełen refleksyi talent z Bożej łaski. Dzieła jego pozostaną w naszej muzyce jako słupy graniczne między dwoma zupełnie różnemi epokami. Cześć jego nieodżałowanej pamięci, jaką pozostawił po sobie nie tylko jako prawy artysta, ale i najczcigodniejszy człowiek, gardzący wszystkiem, co nie było podyktowane przez godność i uczciwość!!

W tym samym dniu, w którym przyszła z Zakopanego tragiczna wieść o zgonie śp. Karłowicza, odniósł niebywały sukces Ludomir Różycki w operze lwowskiej, dzięki artystycznej jakości swego dramatu muzycznego p. t. »Bolesław Śmiały«. Jest to pierwsza »opera«, jaka wyszła z łona »Młodej Polski muzycznej«, która zaznaczyła się dotychczas głównie utworami symfonicznymi, kameralnymi, fortepianowymi i pieśniami. W *Przeglądzie* pisałem już o niektórych przedstawicielach tego kierunku, który wniósł w naszą muzykę wiele świeżych pierwiastków. Pisałem też o pieśniach i dziełach fortepianowych Różyckiego, pisać będę przy sposobności i o jego symfonicznych utworach, które są główną, bo najokazalszą częścią jego twórczego dorobku. Gdybym to był już uczynił choćby nie wiedząc, że Różycki napisze dramat muzyczny, byłbym zaznaczył, że jego poematy symfoniczne (zwłaszcza »Stańczyk«, »Bolesław Śmiały« i »Twardowski«), a nawet pieśni i utwory fortep., zdradzają wielki talent dramatycznego kompozytora. Jakkolwiek »opera« Różyckiego nadaje się do obszernego omówienia, to jednak ze względu na to, że dziś mamy jeszcze kilka kwestyi do poruszenia, musimy zadowolnić się nakreśleniem syntetycznego szkicu zawierającego tylko pozytywne wiadomości. Tekst, który napisał p. Aleksander Bandrowski na tle powieści Kraszewskiego i rapsodu Wyspiańskiego jest na ogół lepszy niż jakiekolwiek inne teksty polskich oper, lecz niestety zawiera ustępy, będące raczej przeszkodą w płynnym biegu akcyi, raz wstrzymując ją, raz zbytnio przyspieszając i prócz tego są tam wysunięte postacie na pierwszy plan, gdy ich znaczenie jest drugorzędne. Charakter Bolesława jest conajmniej dziwnie przeprowadzony: w tytule zwie się »śmiałym«, ciągle jednakże składa dowody, że śmiałym jest tylko w słowach. Pragnie rwać się do czynu, lecz cierpi na halucynacye, które — rzecz dziwna — daleko większe są przed niż po zabiciu św. Stanisława. Gdy widzi, że po stronie władyków i możnych, którzy przeciw niemu się zbunto-

wali, stoi również lud, siada na konia i odjeżdża mówiąc, że co innego sobie wyobrażał, a co innego go spotkało. Pioruny towarzyszą różnym dramatycznym scenom, bynajmniej grozy nie podnosząc. Całe ustępy »Bolesława« są niedramatyczne, tak, że nie można ich inaczej nazwać, jak robieniem na scenie strachów, na które jeszcze dzieci mogą reagować. Język pseudoarchaiczny zmieszany z reminiscencyami z wagnerowskich dramatów i włoskich *librets à la Verdi*. Rzadko autor trąci o głębszą dramatyczną strunę, choć czasem umie stworzyć coś, co możnaby nazwać szczerą i czyniącą wrażenie nastrojowością. Jeśli mimo to »Bolesław Śmiały« doznał — jak lwowska prasa stwierdziła — powodzenia, jakiego Lwów dawno nie był świadkiem, to tylko dzięki bardzo pięknej muzyce Różyckiego, dowodzącej właśnie, że kompozytor starał się wszędzie zastąpić wewnętrzne braki logicznego i dramatycznego konstrukcyi tekstu swą muzyką, skracając w niej zbyt przewlekłe, a podmalowując wyczerpująco zbyt pobieżnie traktowane ustępy tekstu. Oczywiście nie wszędzie mu się to udało; ograniczyć się bowiem musiał tylko do łagodzenia przeciwieństw i wybujałości. Gdzie zamiast dramatu panuje liryzm, tam rozwinął swe wielkie bogactwo inwencyi i dowiódł, że umie interesować samą muzyką równie jak muzyką ściśle dramatyczną. Gdzie zmuszony był również ominąć sposobność do dramatu, ale i nie być czystym lirykiem, tam wywoływał piękne nastrojowe momenty, jak np. początek 3-go aktu. Największą przeszkodą w osiągnięciu pięknego zaokrąglenia całości stało się zakończenie. W scenie, w której Bolesław przekonuje się o tem, że jest opuszczony, i że musi pójść na wygnanie, niema w tekście logicznej konsekwencyi w stopniowaniu wyrazu psychologicznego; wszystko pędzi w szalonym pośpiechu, tak, że i najlepsza wola kompozytora nie może tu odegrać decydującej roli, a Bolesław »śmiałym« zwan, zamienia się w hazardowego gracza, który zgrał się do ostatniego grosza. A szkoda, że ta scena psuje to, co cały trzeci akt tak imponująco pięknie przeprowadza. Niektórzy krytycy podnieśli zarzut, że autor libretta zamiast być dramatycznym »poetą« umieszcza epiczne ustępy w swym tekście, i że więcej jest opowiadania niż akcyi. Nie sądzę, aby zarzut był słuszny. Czyż miał p. Bandrowski na wzór Meyerbeera i werystów przedstawić np. mord św. Stanisława na scenie? Owszem dowodzi to nawet estetycznie zdrowego poglądu p. Bandrowskiego. Chciał przedstawić wewnętrzną walkę i moralne cierpienia Bolesława, co więcej, chciał dać w słowie wyraz zmagania się dwóch tak wielkich potęg, jak świecka i duchowna. Że mu się to

nie udało to rzecz inna. I tu właśnie należy ocenić wartość muzyki Różyckiego, który nie tylko pogłębił to, co p. Bandrowski z lekka naszkicował, nie tylko dał wewnętrzną moc pustym często słowom, ale i bardzo często muzycznie uzupełnił to, co autor libretta powinien był przynajmniej wspomnieć (często choćby jednem słowem). Do takich wybitnych, a wynikających z artystycznego rozumowania zalet Różyckiego należy właśnie ustawiczne suggerowanie słuchacza motywem potęgi św. Stanisława i motywem klątwy, które snują się przez całe dzieło Różyckiego, motywując zarazem powód, dlaczego Bolesław »pieni się w niepohamowanym gniewie, w ciągłych groźbach i wykrzykach zemsty« (jak to zauważył jeden krytyk), nie mając widocznie równocześnie i tekstu i muzyki na myśli. Że Bolesław wpada w »halucynacye nerwowe« (o ile można użyć tej nazwy także na oznaczenie sennych widziadeł), w tem nic dziwnego, jeśli się zważy, że widzi naokoło siebie wrogów i przejętych potęgą groźną słowa Stanisławowego, którzy niem zasuggestyonowani unikają Bolesława, a w każdym razie nie popierają idei, jaką się przejął i jaką uznał za podstawę swego poglądu na władzę królewską.

Wspomnieliśmy o »motywach przewodnich«. Otóż Różycki właśnie z ich pomocą powiązał w całość całą akcyę, dość »rozdmuchaną« i nieproporcyonalnie zbudowaną. Dzięki im utrzymał jednolitość. O ile z dwóch audycyi mogę sądzić — »Bolesław Śmiały« jest dziełem bardzo wielkiego talentu dramatycznego, zbrojnego w wybitny dar melodyjnej inwencyi, kunsztownego i artystycznego opracowania pomysłów tematycznych i instrumentacyjnych, których zalety należy szczególnie wysoko cenić nie tylko dlatego, że wyszły z fantazyi i wiedzy 25-letniego i już dojrzałego kompozytora, który zrozumiał dobrze na czem polega istota dramatu muzycznego, jako typu formalnego i zdołał uniknąć szablonów operowych, wskutek czego już pierwszem swem dziełem przyczynił się do udoskonalenia wspomnianej formy na gruncie polskiej muzyki. Miejmy nadzieję, że lepszy tekst pomoże mu do osiągnięcia swego ideału, »Bolesław Śmiały« bowiem jest czemś o wiele większem niż samą zapowiedzią dzieł prawdziwie wielkich. To stwierdziła jednogłośnie cała prasa polska.

* * *

Dnia 3 lutego b. r. obchodził świat 100-letnią rocznicę urodzin Feliksa Mendelssohna-Bartholdy († 4 listopada 1847 r. w Lipsku). W wielkich i małych środowiskach muzycznych Zachodu

obchodzono tę uroczystość koncertami i przedstawieniami tych utworów dramatycznych, do których wielki kompozytor napisał sceniczne muzyki i uwertury. Oczywiście najczęściej grano »Sen nocy letniej« Szekspira, do której Mendelssohn napisał muzykę licząc zaledwie lat 17, muzykę najlepszą, jaka z jego »pióra« pochodzi. Grano najlepsze jego utwory symfoniczne, a więc »szkocką« i »włoską« symfonię, uwertury: »Hebrydy«, »Meluzynę«, »Ciszę morską«, koncert skrzypcowy, kilka utworów kameralnych, oratorya: »Eliasz« i »Paweł«, kilka chórów, utworów organowych i fortepianowych; sentymentalne a wytrwałe Niemki odegrały wszystkie »pieśni bez słów«, posypało się mnóstwo artykułów, w których przebija jedna nuta, mianowicie, że Mendelssohnem dziś gardzą niemal (w istocie! — niestety), jednakże jest to wielki twórca, który ponad »lekceważenia« wznosi się wysoko. Otóż nie ulega wątpliwości, że zapał dla Mendelssohna szybko opadał po jego śmierci; za życia wielbiono go bardziej niż Beethovena, niż każdego z wielkich kompozytorów. Powód zaś leżał w tem, że w porównaniu z współczesnymi mistrzami Mendelssohn przedstawiał najmniej trudności do zrozumienia, a nigdy nie starał się przedsiębrać najśmielszych wzlotów w nieznane krainy muzycznej sztuki. Podawał swe piękne, słodkie i miłe pomysły w formie bardzo wygładzonej, dla której poświęcał często myśl i treść. Żyć w epoce, w której Beethovena jeszcze nie rozumiano, a Liszt, Wagner, Chopin i Schumann wcale nie był rozumiany, a równocześnie zaś darzyć ludzkość dziełami z jednej strony klasycznie zbudowanemi i sprawiającemi w swem miłem brzmieniu wprost fizyczne zadowolenia dla ucha, z drugiej zaś obfitującemi w pomysły ładne, łatwe do pojęcia i nie wymagające głębszej refleksyi — znaczyło zdobyć popularność bez trudu. Jeśli dzieła Mendelssohna straciły conajmniej połowę wdzięku swej oryginalności, to tylko dlatego, że najlepsze pomysły w nich pojawiają się w bezpośredniem towarzystwie banalnych i groźnych dla dobrego smaku. Weźmy i to pod uwagę, że najniebezpieczniejszymi wrogami pewnego kierunku są jego najzagorzalsi zwolennicy, którzy najlepsze jego objawy skarykaturyzują, mniej zaś wartościowe właściwości uczynią bezwartościowemi, oczywiście w tym razie, gdy głowa tegoż kierunku cierpi na przerost pewnej zalety. Mendelssohn był pod tym względem unikatem. Patrzmy: oto ani Bach, ani Beethoven, ani Chopin, ani żaden z wielkich mistrzów począwszy od Palestriny, nie ucierpiał tyle od swoich zwolenników, ile Mendelssohn. Piętą achillesową jego indywidualności (obok przesadnego kultu formy z uszczerbkiem dla treści, myśli i idei) był jakiś

dziwnie niesympatyczny sentymentalizm, zdobywający najliczniejszych zwolenników wśród tych ludzi, których wprawdzie nie można nazwać egzaltowanymi, ale mimo to cierpiących na egzageracyę i mających niezbyt głęboki i szeroki zasób i horyzont myśli. Imponuje nam mistrzowstwo formy Mendelssohna, jego klasyczny spokój, jego dążenie do harmonii stosunku szczegółów do całości, wreszcie jego genialny wykwint, który kazał mu unikać aż do przesady silniejszych akcentów, jakby z obawy przed »brutalnością« idei dyktowanych przez swobodę fantazyi, zachwycamy się subtelnym romantyzmem jego »muzyki elfów«, którą po raz pierwszy wprowadził do muzycznej »literatury«, i gdyby nie to, że obok suchego akademicyzmu pojawiają się pierwiastki banalności połączonej z sentymentalnością, co wpływa źle na sąsiadujące z tymi cechami genialne pomysły — Mendelssohn zdołałby nas dziś tak samo wzruszyć i podnieść na duchu, jak równorzędne jego talentowi indywidualności mistrzowskie. Mimo to, a raczej dzięki wielu pierwszorzędnym cechom jego geniusza, dzieła Mendelssohna będą odgrywały wielką rolę, jakkolwiek stanowisko jego w historyi muzyki możnaby określić — rzędami w czasie krótkiego bezkrólewia (między Beethovenem a romantykami i neoromantykami), jak się trafnie wyraził Hans von Bülow. Dodać należy, że Mendelssohn był najtypowszym z pośród tych kompozytorów XIX wieku, którzy zdołali szczęśliwie (choć nie rzadko na szkodę stylistycznej jednolitości) połączyć klasyczne i romantyczne pierwiastki.

Daleko większą doniosłość będą miały jubileuszowe uroczystości, jakie odbędą się w Wiedniu w maju b. r. z okazyi 100-letniej rocznicy śmierci Józefa Haydna († 31 maja 1809 r.). Połączone będą z kongresem uczonych muzycznych, z których wymienić należy Gwidona Adlera (Wiedeń), Piotra Aubry (Paryż), O. Chilesottiego (Bassano), J. Ecorcheville'a (Paryż), Maxa Friedländera (Berlin), O. Gaissera (Rzym), G. Gasperiniego (Parma), A. Hammericha (Kopenhaga), A. Heussa (Lipsk), E. Hornbostela (Berlin), A. Koczirza (Wiedeń), O. Kollera (Wiedeń), H. Kretzschmara (Berlin), I. Krohna (Helsingfors), T. Kroyera (Monachium), F. Ludwiga (Strassburg), O. I. Mayrhofera (Seilenstetten), O. A. Morquereau (Ryde, Isle of Wight), F. Niecksa (Edynburg), T. Norlinda (Tornelilla, Szwecya), H. Riemanna (Lipsk), A. Sandbergera (Monachium), A. Scheringa (Lipsk), L. Schiedermaira (Marburg), R. Schwartza (Lipsk), A. Schweitzera (Strassburg), H. Springera (Berlin), W. Barclay-Squire'a (Londyn), T. Wiel'a (Wenecya), J. Wolfa (Berlin) i t. d. Na kongres zgłoszono szereg prac

z zakresu kwestyi spornych w umiejętnościach muzycznych, zwłaszcza dotyczących transpozycyi *tabulatur lutnianych* na dzisiejszą pisownię muzyczną, akcydentaliów w muzyce od XIV—XVI wieku, historyi organów, oraz prace dotyczące Haydna. Kongres ten będzie o tyle interesujący, że po raz pierwszy świat muzyczny dowie się o dawniejszej muzyce polskiej, o której mówić będą p. dr. Adolf Chybiński (Kraków), p. dr. Zdzisław Jachimecki (Kraków), p. Czesław Ciuda Lipaczyński (Warszawa). Tematy ich są następujące: »Stosunek muzyki polskiej do zachodniej w XV i XVI wieku«, »Wpływy południowe na muzykę polską«, »Stanowisko Chopina w historyi harmonii«, »Wpływ Haydna na muzykę polską«, »Pierwsze opery polskie« i »Dobrzyński, pierwszy polski symfonista«. Temat ostatni jednakże jest o tyle nieścisły, że Dobrzyński w istocie nie był pierwszym w Polsce symfonistą. Z kongresu zdamy sprawę w lipcowym zeszycie *Przeglądu*.

*Dr. Adolf Chybiński.*

## Listy z Warszawy.

Zastój polityczny — Aleksander Świętochowski a Chełmszczyzna — Polemika — Delegacya obywatelska — Nowy miesięcznik *Prąd* — Śp. Jan Jeleński.

W samą porę zeszedł Roman Dmowski ze stanowiska naczelnika polityki narodowo-demokratycznej w jej formie dotychczasowej.

Zdolniejszy od innych posłów, ogarniający szybciej od innych sytuacyę chwili, zrozumiał on doskonale, że metoda rewolucyjna, atakująca, śmiała, straciła swą moc wobec pełnej reakcyi rządowej i rosyjsko-nacyonalistycznej, że trzeba zmienić metodę, szukać nowych dróg i środków, by dojść do jakichś rezultatów pozytywnych.

Zaczął szukać sam tych dróg i środków (realizm, neosławizm), zaczął się naginać do warunków istniejących, łamać się, miarkować, »politykować«. Ale zwrot na prawo nie podobał się gorętszym żywiołom narodowej demokracyi, zmianę tę nazwano zdradą programu, sztandaru. Zrozumiał Dmowski, że jeszcze nie czas na zmianę metody i że ta zmiana nie powinna była wyjść z łona narodowej demokracyi i dlatego złożył mandat poselski, buławę hetmana Koła Polskiego w Petersburgu i pojechał sobie na słońce, nad »jasne brzegi«, wytchnąć po krótkiej, ale odurzającej i fatygującej sławie naczelnika »rządzącego stronnictwa«. Wytchnie, odświeży się i wróci prawdopo-

dobnie do roboty, gdy się rozczarowanie po odniesionej klęsce uspokoi, utuli.

Poszedł »na urlop« w samą porę. Bo jakież pole działalności przedstawia obecnie dla polskiego posła w rodzaju Dmowskiego, dla natury energicznej, ruchliwej, arena polityczna w Dumie petersburskiej? Dławić się żółcią bezsilności, słuchać rzeczy przykrych, bolesnych, znosić lekceważenie nie lubią natury mocne, — duszą się w atmosferze biernego obserwatora. Lepiej wycofać się i czekać.

Gorączka zresztą polityczna opadła u nas, osłabła z początkiem roku 1909. Zmęczyli się ludzie, wyczerpali się niezwykłemi wrażeniami i wzruszeniami ostatnich lat, omdleli po nadmiernym wysiłku mózgu i nerwów, jak inaczej być nie może. Najmocniejsze organizmy wyczerpują się, przepalają się, kruszeją w płomieniach gwałtownych przewrotów politycznych i społecznych.

O polityce mówi się u nas w ostatnich miesiącach niewiele; politykowanie, panujące przez trzy lata pospołu z »uświadamianiem« nad wszelką inną pracą narodu, przestaje zajmować. Przestaje chwilowo zajmować wszelka praca publiczna wogóle, jak skarżył się słusznie w *Kuryerze Warszawskim* w artykule p. t. »Upadek życia publicznego« Tadeusz Grużewski, jeden z niewielu zdolniejszych publicystów, jakich rewolucya wyrzuciła na wierzch, jak skarży się wielu innych polityków i działaczów.

Jeden tylko fakt polityczny poruszył trochę poza rezygnacyą Dmowskiego przy końcu pierwszego kwartału b. r. ciche wody zniechęcenia. Było niem wystąpienie Aleksandra Świętochowskiego w sprawie Chełmszczyzny, która jak wiadomo, ma być odłączoną od Królestwa Polskiego i przejść w skład »krajów zabranych«. Z powodu tego projektu uważał Świętochowski za właściwe przypomnieć na ogólnem zebraniu Zjednoczenia Postępowego (w marcu) krajowi, że był kiedyś głównym szampionem pozytywizmu, a jako takiemu nie wolno mu być »klerykałem«. Mówił on, pomiędzy innemi, jak zdradziła »Myśl Niepodległa« (marzec, dekada druga, Nr. 92), że sprawa chełmska »nie jest walką polskości z rosyjskością, a nawet państwa z prowincyą, lecz prawosławia z katolicyzmem, i że walkę tę myśmy sami rozdmuchali, opierając bowiem najbłędniej polskość na katolicyzmie, pomagaliśmy duchowieństwu katolickiemu w walce z duchowieństwem prawosławnem o owieczki«.

Nie do wszystkich mózgów postępowych trafiła ta argumentacya weterana warszawskiego postępu, czego dowodem, że wskutek niej

oderwała się od »Zjednoczenia« liczna grupa niezadowolonych, wytwarzając nową secesyę w obozie postępowym. Prasa katolicka i zachowawcza nie przemilczała oczywiście oryginalnych poglądów Świętochowskiego, nie oszczędzając jego miłości własnej.

Więc żachnął się posiwiały w boju polemicznym szermierz i przypomniał sobie, że ciął, właściwie kłuł, kiedyś piórem na prawo i lewo, zapędzając wszelakiego rodzaju »wsteczników« w kozi róg. A tak, zwrócony przeciw sobie, odparł on w »Prawdzie« następującemi petardami polemicznemi: »przez uchylone wrota wolności wysypała się na widownię życia hałaśliwa gromada, która gdacze, kwiczy, szczeka, dziobie, wierzga, kąsa, walczy przy korytach i żłobach«; w tej całej wrzawie »jest tylko rozkiełznana z wszelkich uczuć zaciekłość, zdziczały huliganizm i inne ordynarnej, nacyonalistycznej macherki, są ośle ryki, dziennikarskie pomyjnictwo, rodzime baszybużuki« i t. d.

A co? Jest »temperament« w tej odprawie, jest tężyzna młodego polemisty. Szkoda tylko, że co u młodego bawi, wywołuje śmiech, w gniewie starszego, wytrawnego pisarza, którego życie powinno było nauczyć równowagi, tylko zadziwia. A jeszcze więcej zadziwia argumentacya, idąca po »tęgiej« ornamentyce polemicznej. Oto, jak Świętochowski uzasadnia swój atak na duchowieństwo katolickie, którego »duchołapstwu« przypisuje projekt odłączenia Chełmszczyzny od Królestwa:

»Jeżeli zaś taka polityka jest zgubną dla odłamów Polski w tych państwach, które wśród swej ludności posiadają katolików różnoplemiennych, to staje się zabójczą w Rosyi, gdzie tych współwyznawców niema, gdzie po jednej stronie stoi m a ł y i b e z s i l n y katolicyzm, a po drugiej w i e l k i e i w s z e c h w ł a d n e prawosławie. Pamiętać przytem trzeba, że prawosławie nie jest Kościołem mniej lub więcej oddzielonym od państwa, lecz samem państwem, że Jego organy są kołami maszyny rządowej, że więc wyzywając je do walki, wyzywamy nie tylko naród rosyjski, ale całą jego organizacyę polityczną, która zwala na nas cały ogrom swych sił i środków. Dla polskości można znaleźć jakieś uznanie w Rosyi, dla katolicyzmu — nie, zwłaszcza, gdy ten katolicyzm c h c e b y ć w o j u j ą c y m i z a b o r c z y m. A jak nasz prozelityzm zachował się wobec unitów? Nie będę oświetlał strasznej tragedyi ich cierpień i rozbierał, czy słusznem i rozumnem było rozpalanie żarliwości religijnej, która dała wstrząsające obrazy bohaterskiego męczeństwa, ale s t r ą c i ł a tysiące ludzi w o t c h ł a ń n i e d o l i; niech nad tym wielkim smutkiem i bólem jaśnieje niezmącony

krytycyzmem blask czystej ofiary! Ale zapytam: co zrobiliśmy po. ogłoszeniu ukazu o tolerancyi? Apostołowie rybacy rozpostarli głęboko sieci dla wyłowienia jaknajwięcej dusz Kościołowi, a co gorsza — pisma klerykalne zaczęły brzmieć tryumfami tego połowu. Przez pewien czas ogłaszano codzień o setkach i tysiącach »odzyskanych«. Było to mądrem? Czy spodziewano się, że rozdrażnione i czujące swoją moc prawosławie będzie obojętnie patrzyło na te zdobycze? Ono nie tylko przygotowało odpór, ale... podniosło projekt odłączenia Chełmszczyzny od naszego kraju. Przypuszczam, że w najbliższej przyszłości projekt ten nie będzie wykonany. Ale czy on kiedyś nie spełni się, gdy my nie przestaniemy walczyć o ten kawałek ziemi polskiej bronią religijną?«.

Więc duchowieństwo katolickie, »wyłapujące dusze« w Chełmszczyznie, jest temu winne, że ten szmat ziemi ma może odpaść od Królestwa? Czy tak? Jestże to duchowieństwo w tych stronach tak silne, tak potężne, iżby mogło »wyłapywać dusze« bez woli tych dusz? Poucza broszura p. A. Z. p. t. »Materyały do sprawy utworzenia gubernii chełmskiej«, napisana po rosyjsku, że »na 96 gmin we wschodnich powiatach gubernii lubelskiej w 24 niema ani jednego kościoła katolickiego, ani jednego księdza, że katolików zamieszkuje tam 95.070 dusz prawosławnych zaś tylko 87.731 a mają cerkwi aż 78! że w 6-ciu powiatach lubelskiej gubernii przeznaczonych do gubernii chełmskiej, jeden kościół katolicki przypada na 6800 dusz, a jedna cerkiew prawosławna — na 1387! Jeden ksiądz — na 4041, a jeden duchowny prawosławny — na 1252 dusz!, że ksiądz katolicki otrzymuje tam przeciętnie od rządu 262 rb. rocznie, duchowny zaś prawosławny 2710 rubli.

Jeżeli się do tego doda, że w powiatach dawniej unickich wszystkie niemal stanowiska urzędowe od strażnika, wójta i nauczyciela ludowego zajmują Rosyanie i prawosławni; że od czasu aktu o tolerancyi bez ustanku niemal panują w kraju stany wyjątkowe; że władze w tych miejscach i w tych sprawach są wyjątkowo czujne i wyjątkowo stanowcze — to jest rzeczą więcej niż oczywistą, iż księża katoliccy i wogóle Polacy nie posiadają żadnych środków, żadnej siły do wywierania jakiegokolwiek nacisku na ludność rusińską i istotnie prawosławną, Napadać na duchowieństwo katolickie w tych warunkach, potępiać je za nadmiar gorliwości i czynić winowajcą może jedynie doktrynerska zaciekłość (warszawskie *Słowo*).

Nazywa przecież Świętochowski sam katolicyzm w Rossyi »małym i bezsilnym«, a prawosławie »wielkiem i wszechwładnem«. Jakże

ktoś mały i bezsilny może zabierać dusze wielkiemu i wszechwładnemu, gdyby te dusze, ośmielone, wyzwolone przez edykt tolerancyjny, nie szły dobrowolnie tam, dokąd im własne przekonanie i ukochanie wskazuje!

Ale tej prostej prawdy nie odczuwa pozytywista, dla którego uczucia religijne są nieznanem $x$, który nauczył się korzyć tylko przed Rozumem. Rozum jednak powinien mu był powiedzieć, że mądrem nie jest podawać przeciwnikowi broń do ręki przeciw swoim.

Zbywało nam podczas lat rewolucyjnych na jakiejś instytucyi, któraby panowała nad całym ruchem politycznym i społecznym i sprowadziła go w sprawach, obchodzących cały kraj, do wspólnego mianownika. Próbowano wprawdzie kilka razy skierowywać poszczególne prądy do jednego łożyska, tworzono »koncentracye«, usiłowania jednak w tym kierunku spłukiwała zawsze, rozbijała hucząca fala spienionych namiętności i ambicyi stronniczych.

Ta burząca zgodę fala opada powoli, rozwaga wraca, ludzie zaczynają spokojnie myśleć, co umiało niewielu w latach rewolucyjnych. Zamiast mówić — krzyczało się, zamiast myśleć — obrzucano się jaskrawymi, wydętymi frazesami, jak zwykle w chwilach wielkiego podniecenia.

Teraz można już mówić spokojnie i myśleć rozważnie bez narażenia się na zarzut wstecznika, obskuranta, zdrajcy nawet. Teraz czas na działalność instytucyi pojednawczej, porządkującej.

Chce nią być t. zw. »Delegacya obywatelska«, założona przy »Towarzystwie popierania pracy społecznej« w dniu 26 marca (pierwsze zebranie organizacyjne). Czem będzie, czem zamierza być nowa instytucya obywatelska, mówi jej komunikat rozesłany do pism warszawskich.

»Nowa organizacya — czytamy w tym komunikacie — powstaje na gruncie niezbędnej obrony realnej interesów kraju. Nie idzie tu o działanie czysto polityczne i nie o próby poruszania i rozstrzygania zasadniczych kwestyi naszego narodowego bytu, ale o obronę poszczególnych, konkretnych spraw społecznych, ekonomicznych i kulturalnych — spraw, nieraz nawet drobnych na pozór, ale takich, które w sumie wzięte, wpływają na dobrobyt kraju, na jego kulturalny postęp, na jego moralną i narodową siłę.

»Naczelne zadanie delegacyi polegałoby na tem, żeby w kwestyach, które obchodzą kraj cały, a których rozstrzygnięcia nie chce i nie może wziąć na swoją odpowiedzialność ani ta lub inna partya polityczna, ani żadna instytucya społeczna, ażeby w tych kwestyach

delegacya wypowiadała, na użytek naszego przedstawicielstwa w Petersburgu i do jego uznania, opinie wyświetlające istotne co do danej sprawy potrzeby kraju.

»Sprawy, dotyczące taktyki parlamentarnej i wogóle politycznej, wyłączone są zupełnie z pod kompetencyi delegacyi.

»Zasady, na których zorganizowała się delegacya, pozwalają małym grupom, nawet jednostkom brać w niej udział bez obawy zmajoryzowania przez większość; według bowiem zasad organizacyi delegacyi, przedstawicielstwu naszemu w Petersburgu komunikowane będą zarówno uchwały większości, jak sformułowane zdania mniejszości«.

Rozważny, ostrożny, paktujący ton komunikatu delegacyi zdradza jej twórcę. Tylko realiści umieją tak ostrożnie przemawiać. Oni to pomyśleli ową Delegacyę, przyczepiwszy ją do swojego »Towarzystwa popierania pracy społecznej« i pozyskawszy dla niej *placet* umiarkowanych żywiołów demokracyi narodowej.

Potwierdza to lista członków Delegacyi, zaproszonych do niej przez jej twórców. W skład nowej instytucyi weszli pp.:

Balicki Zygmunt, publicysta. Bądzyński Stefan, radca kom. Tow. kred. ziemskiego. Benni Karol dr., prezes Tow. pop. przemysłu ludowego. Bukowiecki Stanisław, adwokat przysięgły. Brun Stanisław Gustaw, kupiec i przemysłowiec.

Chełmicki Zygmunt ks., prezes Towarzystwa domów zarobkowych. Chrzanowski Hen., prezes dyr. szcz. T. kr. z. w Kaliszu. Czarnowski Ludwik, prezes Koła przemysłowców. Czetwertyński ks. Seweryn, prez. Centralnego Tow. roln.

Dembiński Henryk, b. poseł. Dmowski Roman, b. poseł. Drzewiecki Piotr, prezes Stowarz. techników. Dunin Karol, prezes Towarz. prawniczego. Dzierzbicki Stanisław, radca Komitetu Tow. kr. ziemsk.

Geisler Edward, przemysłowiec. Godlewski Marceli ks., prezes Stow. robotników chrz. Grendyszyński Ludomir, wiceprezes Tow. emerytalnego prac. pryw.

Jabłonowski Aleksander, prezes Tow. nauk. polskiego.

Kiślański Władysław, prezes Muzeum przem. i rolnictwa. Kiniorski Maryan, wiceprezes Centralnego Tow. roln. Kisielnicki Kazimierz, prez. Tow. roln. łomżyńskiego. Kozłowski Karol, adwokat przys.

Lutosławski Maryan, wiceprezes Tow. wpisów szkol. Lubomirski ks. Zdzisław, prezes kom. Tow. pop. pracy społ.

Łubieński hr. Stanisław, obyw. ziemski gub. siedleckiej.

Marczewski Witold, radca dyr. głównej Tow. kr. ziemsk. Marylski Antoni, wiceprezes Tow. roln. warszawskiego.

Natanson Edward, przemysłowiec. Nowodworski Franc., b. poseł.

Ostrowski Józef, b. członek rady państwa. Olchowicz Konrad, redaktor *Kuryera warsz.*

Piechowski Kajetan, były poseł. Piltz Erazm, czł. kom. Tow. pr. sp., zarz. Biurem pr. sp. Potocki hr. Tomasz, prezes Tow. roln. suwalskiego. Puławski Ludomir, obyw. ziemski gub. kaliskiej.

Rzętkowski Józef, wiceprezes Tow. przem. i handlu.

Sadzewicz Antoni, publicysta. Sienkiewicz Henryk. Smoleński Władysław, prawnik, historyk. Suligowski Adolf, prezes Stow. właścicieli domów. Stecki Jan, b. poseł. Straszewicz Ludwik, publicysta. Sunderland Stanisław, b. poseł. Surzycki Jan Alfons, przemyłowiec. Szebeko Ignacy, obyw. ziemski gub. warszawskiej.

Tarnowski hr. Julian, prezes Tow. rol. radomskiego.

Wieniawski Antoni, czł. zarz. Kółek roln. przy C. T. R. Wojciechowski Stan., zarz. Stow. kooperatystów.

Zakrzeński Bolesław, prezes Tow. roln. kieleckiego. Zamoyski hr. Maurycy, b. poseł. Zdanowski Juliusz, obyw. ziem. gub. kieleckiej.

Publicyści realistyczni i narodowo-demokratyczni, byli posłowie, naczelnicy różnych instytucyi społecznych, znani w ostatnich latach działacze tacy owacy, przemysłowcy, bankierzy i t. d. zlali się w rodzaj senatu obywatelskiego, który będzie stał ponad całą robotą publiczną z głosem doradczym. Delegacya wybrała wydział, czyli zarząd, składający się z pp. Zygmunta Balickiego, Seweryna ks. Czetwertyńskiego, Henryka Dembińskiego, Romana Dmowskiego, Piotra Drzewieckiego, Stanisława Dzierzbickiego, Stanisława hr. Łubieńskiego, Franciszka Nowodworskiego i Józefa Ostrowskiego, — z realistów i narodowo-demokratów.

Uprzedzać działalność nowej, poważnej instytucyi obywatelskiej przedwczesnemi uwagami i domysłami — byłoby nieprzyzwoitością; trzeba czekać cierpliwie i z jak najlepszemi życzeniami na owoce jej pracy.

Trzebaby także stworzyć jakąś »delegacyę« dziennikarsko-literacko-teatralną, którąby się zajęła oczyszczeniem teatru i literatury pięknej z wcale niepięknych pomysłów i obrazów do góry nogami przewróconego smaku »estetycznego«.

Bo dlaczegoż nazywa się literatura piękna piękną? Chyba dlatego, żeby była piękną, żeby nawet zbrodnię, nawet grzech umiała

bez obrzydzenia przedstawić. A cóż np. akuszerya czy weterynarya artystyczna, jak ktoś nazwał »Dzieje grzechu« Żeromskiego i przeróżna pornografia, asafetyda i histerya belletrystyczna ostatnich czasów podlana obficie gorzałką, koniakiem z cuchnącą zupą cynizmu, ma wspólnego z pięknem?

A jednak jest ta nowa literatura »uświadamiająca« obecnie najmilszym przysmakiem, najpożądańszym cukierkiem czytającej publiczności, dojrzałej i niedojrzałej.

Głównie tej niedojrzałej, ogromnie chciwej »uświadomienia« (termin od pewnego czasu modny w Warszawie). Wystarczy posiedzieć jakiś czas w jakiejś czytelni. Co chwila wsuwa się jakaś panienka, jakiś uczniaczek i proszą głosem drżącym, nieśmiałym, z wstydliwie spuszczonemi oczami o »coś śmiałego, szczerego np. o wolnej miłości lub o różnych grzechach«.

Jakież nędzne, wyssane, zwiędłe lata dojrzałe gotują sobie te biedne dzieci? Cóż ich będzie zajmowało w trzydziestym roku życia, kiedy starają się wiedzieć wszystko w czternastym, piętnastym? Ciężko grzeszą autorowie, którzy w pogoni za łatwym, szybkim rozgłosem, schlebiają rozpętanym zmysłom wszystkich chwil porewolucyjnych. Chwile te przejdą, bo człowiek dojrzały, wracający do równowagi po nadmiernem podnieceniu nerwowem, nie wytrzyma długo w obrzydliwej atmosferze brudu życiowego, ale jad, wstrzyknięty w młode serce, w młodą duszę, w młodą wyobraźnię, w niedojrzały jeszcze owoc, będzie ten owoc trawił, aż go roztoczy. Dosyć brudów rozsypuje dokoła nas życie powszednie. Potrzebaż ich jeszcze koniecznie w sztuce? Stary Arystoteles znał się także trochę na sztuce, a on uczył, że celem dzieła sztuki powinno być nie podniecanie ciekawości i zmysłów, lecz ukojenie *(katarsis)* serca.

Ale stary Arystoteles jest naturalnie wstecznikiem, bo był stary, i my, niemłodzi już idealiści dawnej szkoły, jesteśmy także wstecznikami, mamutami, mydlarzami, a któż słuchałby głosu takich »trupów«, które »powinny zejść z areny, aby nie zawadzały młodym«.

Niechże więc młodzi przemawiają do młodych. Zrozumieją się może łatwiej, prędzej.

Zdaje się, że się reakcya ruszy w tym kierunku. Tak przynajmniej pozwala wierzyć nowy miesięcznik warszawski p. t. *Prąd*, założony i redagowany przez grono młodych publicystów, wyznających jawnie przekonania katolickie.

Na czele pierwszego zeszytu *Prądu* czytamy:

— »Jesteśmy! Przyszedł czas, abyśmy wśród powszechnej niemal apatyi i utraty zapału do rzeczy i spraw podniosłych i doniosłych zabrali głos — my, młodzi, którzy ani zobojętnieniu ani pesymizmowi beznadziejnemu nie poddaliśmy się i nie poddamy, bo odrzuciliśmy przez materyalistyczny światopogląd i rzeczy ziemskie nie zasłaniają nam jasnego widoku na sprawy idealne, wieczne«.

— »Przyszedł czas, abyśmy zabrali głos i wskazali drogę tym, których młode serca łakną rzeczywistej prawdy, abyśmy podzielili się z nimi swym zapałem do uczciwego czynu, swą ufnością w lepszą cząstkę jaźni ludzkiej, swą wiarą w zwycięstwo lepszej sprawy«.

— »Stajemy na stanowisku — bez młodzieńczej zarozumiałości, bez przeceniania swych sił, ale świadomi potęgi idei chrześcijańskiej, na której się opieramy«.

Bardzo ładnie, bardzo dobrze! Bardzo serdeczne, szczere »Szczęść Boże« należy się gromadce młodych szermierzów, którzy mają rzadką dziś u nas odwagę stanąć przed oświeconem społeczeństwem z krzyżem w ręku i z wiarą wyższych przeznaczeń człowieka. Niechże ich młody głos uderzy w młode serca dzwonem resurekcyi!

* * *

Mieli Żydzi warszawscy tego roku »bardzo dobre święta«: Jan Jeleński przestał żyć. Mieliby jeszcze lepsze, gdyby i mnie »licho wzięło«. Mogliby wtedy spokojnie, bez żadnej przeszkody oświecać »ciemny naród polski«, uczyć go po swojemu pojęć humanitarnych i lekceważenia zwietrzałych zabobonów chrześcijańskich.

Jan Jeleński, redaktor *Roli*, wychodzącej w Warszawie od lat 27, umarł nagle, niespodziewanie (13 kwietnia) w 64 roku życia (ur. się w Łagiewnikach, w Kieleckiem 1845 r.), umarł na posterunku, jeszcze bowiem w przeddzień śmierci pracował.

Szukając wyrazu, któryby obreślił plastycznie jego życie, znajduje się w słowniku jeden, — »praca«. Niewielu ludzi pracuje w Polsce tyle, ile Jeleński pracował. Kochał on pracę namiętnie, nie umiał bez niej żyć, nie marnował ani jednej godziny. Sam był redaktorem i administratorem swojej *Roli*, wglądającym osobiście w najdrobniejsze szczegóły, systematyczny, czujny, rządny. Sam zapisywał połowę *Roli*, zawiadywał swoim majątkiem i domem, od rana do późnej nocy czynny bez wytchnienia. Wzorowy ojciec, dobry mąż kierował osobiście wychowaniem dzieci, z których doczekał się istotnej pociechy.

Jako publicysta wniósł do prasy niezwykły temperament i duży

talent dziennikarski. Jego pióro było młodem, żywem aż do ostatniej chwili, nie słabło nigdy. Z temperamentu głównie bojownik, polemista lubił ton jaskrawy, gwałtowny, czasami bezwzględny, co mu oczywiście nie przysparzało przyjaciół, zwłaszcza, że jego polemika zwracała się głównie przeciw najwrażliwszej rasie na świecie, przeciw Żydom.

Jan Jeleński był antysemitą, jak wiadomo. Był nim od pierwszej chwili swojej działalności publicznej, od pierwszego artykułu p. t. »Karczma« i został nim do śmierci, jednolity, z jednego odlewu typ. A był antysemitą już wówczas, kiedy Warszawa przysięgała na t. z. asymilacyę. Jeszcze nie śniło się nikomu o kooperatywach, kiedy Jeleński nawoływał już do zakładania sklepików chrześcijańskich. Pierwsze sklepy tego rodzaju w Królestwie powstały z jego inicyatywy; wyprzedził więc czas o lat dwadzieścia kilka. Obdarzony w wysokim stopniu zdrowym rozsądkiem, widział doskonale, że nasze społeczeństwo, zasypane Żydami od góry do dołu, musi wyjść bez obrony na helotę ekonomicznego narodu kupców.

Antysemitą był Jeleński i gorliwym katolikiem. Oto jego rysopis publicystyczny. Jako katolik brał bardzo czynny udział w ostatniej akcyi katolickiej, był członkiem zarządu centralnego Komitetu Związku katolickiego, jeździł sam po kraju, po wsiach i zakładał związki parafialne.

Jan Jeleński był niewątpliwie osobistością wybitną, której historya naszego ruchu społecznego pominąć nie może. Żydzi nie postawią mu oczywiście pomnika, bo nie dla nich pracował, antysemici jednak szli z prawdziwym żalem za jego niespodziewaną trumną.

I żałowali go wszyscy, którzy znali go z blizka z codziennych stosunków koleżeńskich.

*Teodor Jeske-Choiński.*

Druk ukończono 11 maja 1909.

# MIĘDZYNARODOWY PROBLEM EMIGRACYI.

Odczyt wygłoszony dnia 17 maja 1909 r. w Berlinie na wspólnej konferencyi czterech środkowo-europejskich towarzystw gospodarczych: austryackiego, węgierskiego, niemieckiego i belgijskiego przez d-ra Leopolda Caro.

---

Cztery lata temu powstały w Austryi, Węgrzech i Niemczech trzy odrębne, ale o wspólnej nazwie towarzystwa pod firmą środkowo-europejskich towarzystw gospodarczych *(Mitteleuropäische Wirtschaftsvereine)*, do których obecnie przyłączyło się czwarte, belgijskie *(Union économique internationale, association belge)*. Towarzystwa te urządzają co roku wspólne zjazdy, na których omawiają sprawy aktualne, a leżące we wspólnym interesie państw związkowych. W ten sposób na poprzednich zjazdach, odbytych w Wiedniu i Peszcie, omawiano sprawę sądów polubownych w sprawach cłowych, międzynarodowy obrót żyrowy, ustalenie wspólnych norm dla prywatnych towarzystw asekuracyjnych, uproszczenia formalności cłowych, postanowienia prawa prywatnego w dziedzinie żeglugi rzecznej, sprawę obrotu czekowego i t. d. Na tegorocznej konferencyi, która pierwotnie odbyć się miała w Monachium i dopiero w ostatniej chwili wyznaczoną została w Berlinie, referenci i delegaci powyższych towarzystw rozprawiali o następujących kwestyach: o organizacyi targu pracy z poddziałami: emigracya, rozdział robotników między rolnictwo a przemysł i pośrednictwo pracy, dalej o podziale traktatów handlowych na tekst stały i taryfę (ref. tajny radca Lusensky z Berlina i radca sekc. Schüller z Wiednia), o organizacyi kredytu

przemysłowego (radca dr. von Dorn z Wiednia, dyrektor Vas z Budapesztu) i wreszcie o międzynarodowym obrocie czekowym (radca min. dr. von Halász z Budapesztu, radca dworu dr. Leth z Wiednia i tajny radca Aschenborn z Berlina).

Za najważniejszą uznała konferencya sprawę organizacyi targu pracy, którą referowało aż 8 sprawozdawców, po trzech z Austryi i Węgier, a dwóch z Niemiec.

Referentami austryackimi byli: prof. dr. Ernest Mischler z Gracu, dr. Leopold Caro, adwokat z Krakowa i dr. Rudolf Fürer, urzędnik ministerstwa rolnictwa w Wiedniu, który wraz z prof. Mischlerem redaguje wiedeński miesięcznik *Arbeitsnachweis;* referentami węgierskimi byli: były minister rolnictwa György, dr. Roland von Hegedüs, dyrektor związku przemysłowców węgierskich i radca sekcyjny dr. Syerban; referentami niemieckimi wreszcie byli: dr. von Stojentin, jeneralny sekretarz izby rolniczej w Szczecinie, znany i w naszym kraju z licznych prac w obronie wyzyskiwanych przez agentów wychodźców polskich i dr. Bodenstein, kierownik publicznego biura pośrednictwa pracy w Essen. Podczas gdy 6 referentów omawiało organizacyę publicznych biur pośrednictwa pracy i rozdział robotników między rolnictwo a przemysł, dwóch tylko, t. j. dr. Caro i dr. Hegedüs zajmowało się sprawą wychodźtwa.

Odczyt d-ra Caro podajemy poniżej.

*Redakcya.*

---

Jednę z najboleśniejszych spraw dla dwóch z pomiędzy państw reprezentowanych w środkowo-europejskich Towarzystwach gospodarczych, t. j. dla Austryi i Węgier, stanowi sprawa wychodźtwa. W Austro-Węgrzech liczba zamorskich wychodźców wynosi najmniej 300.000 ludzi rocznie, a równie tyle albo i więcej wynosi liczba wychodźców sezonowych, których zarówno ze stanowiska państwa, pozbawionego produktywnej pracy swoich obywateli, jako też ze stanowiska jednostek, szukających zagranicą chleba, należy tak samo jako wychodźców traktować. Za wychodźcę bowiem uważam, zgodnie z definicyą von Calla, austryackiem

przedłożeniem z r. 1904 i praktyką włoską każdego, kto na czas nieokreślony wydala się z ojczyzny z zamiarem szukania za granicą utrzymania, jako też towarzyszących mu lub za nim zdążających członków jego rodziny.

Podczas gdy panowie w Niemczech czynicie zasadniczą różnicę między wychodźtwem w ścisłem tego słowa znaczeniu, odgrywającem u panów niewielką rolę, a wychodźtwem sezonowem, występującem u was nie w formie ubytku, ale przybytku sił, ze stanowiska państwa eksportującego robotników, jakiem niestety jest Austrya w wysokim stopniu, nie mogę czynić zasadniczej różnicy między temi dwiema kategoryami tego samego zjawiska i dlatego mówić muszę o obydwóch łącznie; jednej bowiem i drugiej wspólną jest zarówno potrzeba ochrony jednostki, opuszczającej ojczyznę, jak i utrata siły roboczej po stronie państwa eksportującego. Ponieważ zresztą austryacka wędrówka do Ameryki przedstawia się w wielkiej części również jako wychodźtwo z zamiarem powrotu, więc tem samem odpada i ta ostatnia cecha zewnętrzna, podróż przez morze, którą dawniej poczytywano jako stanowczą dla odróżnienia między wychodźtwem w znaczeniu ścisłem, a wychodźtwem sezonowem.

Pomiędzy państwem dostarczającem robotników a państwem, które pozyskuje ich dla siebie bądź udzielając im wogóle możności pracy, bądź też ofiarowując korzystniejsze warunki tejże, istnieje naturalne przeciwieństwo interesów, takie samo, jak między pracodawcą a robotnikiem. Podobnie, jak dążeniem polityki socyalnej, patrzącej w przyszłość jest łagodzenie naturalnego przeciwieństwa między poszczególnemi klasami ludności w obrębie tego samego państwa, musi być także zadaniem tej nauki jak i międzynarodowych towarzystw jej się oddających, jak w szczególności środkowo-europejskich Towarzystw gospodarczych, przyczynienie się do łagodzenia w tej dziedzinie istniejących przeciwieństw między poszczególnemi państwami i narodami. Pierwszy do tego krok stanowi uświadomienie sobie tych przeciwieństw i torowanie drogi stosunkom, liczącym się z obustronnemi wymaganiami i potrzebami. Gruntowne poznanie stanu rzeczy wywoła wówczas, bo wywołać musi, nieodzowne porozumienie.

Z jednej strony jasnem jest, że państwo eksportujące robotników żywić musi tendencyę ograniczenia ilości swych wychodźców do rzeczywiście nadliczbowych, a to w drodze podniesienia własnej siły produkcyjnej i wewnętrznej konsumcyi, jako też podniesienia oświaty ludu, który często, dzięki tylko swemu analfabetyzmowi, polega na fałszywych informacyach i oszukańczych namowach agentów. Oto najpewniejsza droga położenia kresu zasilaniu cudzych państw najlepszymi sokami własnego narodu. Z drugiej strony atoli państwo lub naród eksportujący winien o tem pamiętać, że wychodźtwo, w szczególności na krótki okres czasu stanowi szkołę gospodarczego postępu, wychodzącą w rezultacie na korzyść kraju ojczystego i dlatego, póki własne gospodarcze stosunki nie podniosą się odpowiednio, traktować musi wychodźtwo jako wentyl bezpieczeństwa, jako nieodzowny przyczynek do osłabienia niebezpieczeństw społecznych i jako pożądany, choćby czasowej doniosłości sposób dostarczania pracy dobrze wynagradzanej tym, którzy przy obecnym stanie przemysłu i rolnictwa nie znajdują jej w kraju. Skoro po dłuższym wysiłku podniesie się poziom gospodarczy państw i narodów eksportujących robotników, co atoli nigdy nie następuje w szybkiem tempie, lecz zawsze dzieje się stopniowo, państwa importujące ich uzyskają tymczasem, skutkiem pojawienia się coraz nowych ludów na powierzchni międzynarodowego obrotu, robotników z pośród innych państw i narodów, wynalazki techniki zmniejszą zapewne potrzebę większej ilości rąk roboczych, a wypadki polityczne przesuną granice państwowe tak, że w żadnym wypadku państwa importujące nie potrzebują obawiać się nagłej przerwy w dostarczaniu im sił roboczych i kolonistów z innych państw pochodzących.

Jeżeli państwo jest w tak niekorzystnem położeniu, iż $1^1/_2\%$ swojej ludności oddaje rocznie zagranicy, jak to ma miejsce w Austro-Węgrzech, musi ono tak ze stanowiska opieki socyalnej nad nią, jako też nadziei odzyskania jej kiedyś i zużytkowania jej dla przyszłości własnej, rozróżniać między rozmaitemi państwami, sprowadzającemi wychodźców i importującemi robotników.

Oczywiście bowiem przeciwieństwo gospodarcze między państwem eksportującem a importującem występuje na jaw tem silniej:

*a)* im mniej dla pierwszego istnieje widoków odzyskania sił roboczych własnego narodu czy państwa, więc np., gdy w państwie, do którego wychodźcy się udali, zostają oni samoistnymi rolnikami, jak to ma miejsce po największej części w trzech stanach południowej Brazylii i w północno-zachodniej Kanadzie, a często także w Argentynie, — jakkolwiek w tych właśnie krajach, do których zdąża emigracya, obok niewątpliwej utraty po stronie narodu lub państwa, wystąpić może na jaw dla jednostki korzyść materyalna i hygieniczna;

*b)* na im większe niebezpieczeństwa narażone jest ich życie i zdrowie, np. przez zmianę klimatu, niezwykle intenzywną pracę, np. pracę akordową, jak również w pewnych gałęziach przemysłu i górnictwa;

*c)* im niekorzystniej przedstawia się rezultat materyalny ich pracy zarobkowej, a w szczególności, im bardziej obniża go nieproduktywny zysk pośredników i agentów;

*d) last not least,* im dotkliwszą szkodę wyrządza ich moralności i powodzeniu zły przykład, uwiedzenie lub ogólny brak bezpieczeństwa prawnego w nowem otoczeniu.

Oto zasady przewodnie, które świadoma celu polityka emigracyjna państwa takiego, jak Austro-Węgry, dostarczającego setek tysięcy ludzi innym państwom, musi zawsze zachować w pamięci, jeżeli w granicach konieczności ma dać pierwszeństwo złu mniejszemu przed większem. Atoli badanie wymienionych zjawisk nie wyczerpuje bynajmniej zadań państwa i nie one wyłącznie mogą rozstrzygać o kierunku polityki emigracyjnej, z jednej strony bowiem obok zupełnej utraty dotychczasowej przynależności państwowej na korzyść obcego państwa, a więc zjawiska niekorzystnego, może wystąpić na widownię ścisły związek wychodźców między sobą i koncentracya wychodźtwa narodowego w mniejszych, skupionych środowiskach; z drugiej zaś strony o wiele mniej szkodliwe wychodźtwo sezonowe traci wiele cech sympatycznych, jeżeli w państwie importującem robotników, zniewolonem do korzystania z ich usług i uznającem ich jako nieodzow-

nych, jednak odmiennie traktuje się robotników różnych narodowości, co zresztą chybia zawsze właściwego a ukrytego celu i pociąga za sobą tylko zupełnie zbyteczne zaostrzenie państwowych i narodowych przeciwieństw, którego przecież uniknąć pragniemy, — dając jako rezultat najczęściej nie zamierzone bynajmniej uświadomienie narodowej odrębności i doprowadzenie świeżych soków narodowi, eksportującemu robotników. Stałość zaś takiego następstwa stwierdzają dzieje stosunków także i między innymi narodami-gospodarzami, a narodami-gośćmi.

Wprowadzenie czasowego zakazu pobytu dla polskich robotników sezonowych w Niemczech poddanych austryackich lub rosyjskich; wyrządzenie im przez to tej dalszej szkody gospodarczej, że w razie nieszczęśliwego wypadku otrzymują jedynie jednorazowe odszkodowanie w wysokości renty 3-letniej, tak, jak gdyby dobrowolnie opuszczali Niemcy a nie byli z nich z dniem 20 grudnia corocznie wydalani; nieprzyznanie odszkodowania pozostałym w Austryi wdowom i sierotom robotników rolnych, którzy w Prusiech ulegli nieszczęśliwemu wypadkowi; zmonopolizowanie sprowadzania robotników z Austro-Węgier i Rosyi w instytucyi, niepowodującej się ani jedynie, ani w pierwszym rzędzie gospodarczymi względami oraz popieranie przez nią austryackich agentów prywatnych, nawet nie koncesyonowanych, najniższego rzędu, z pominięciem publicznych biur pośrednictwa pracy; przymusowe wystawianie papierów legitymacyjnych w rozmaitych kolorach według różnych narodowości i wreszcie przekazywanie naszych robotników po przekroczeniu granicy z góry pewnym oznaczonym pracodawcom i oczywiste ograniczenie przez to ich swobodnego prawa w wyborze pracodawcy i miejsca pobytu, oto wszystko z pewnością nie środki łagodzenia przeciwieństw interesów, istniejących między państwami. Choćby nawet czasowy zakaz pobytu był ze względów narodowo-politycznych zrozumiały, jakkolwiek osobiście i w tym kierunku motywów ustawy nie uznaję za trafne, to już w żadnym wypadku niepodobna usprawiedliwić szkody gospodarczej, będącej jego następstwem, a mianowicie utraty pełnej renty odszkodowawczej w razie nieszczęśliwego wypadku.

Zrywanie umów o pracę ze strony polskich robotników se-

zonowych, tak często się pojawiające, a przytaczane dla uzasadnienia wprowadzenia papierów legitymacyjnych, z pewnością nie pojawiałoby się, jako godne pożałowania zjawisko masowe, lub nawet zupełnieby zniknęło, gdyby poważne instytucye takie, jak *Feldarbeitercentrale,* nie posługiwały się galicyjskimi prywatnymi pośrednikami, którzy, jak dowiedziono, zaopatrując robotników w kilka od razu książeczek robotniczych, opiewających na różne nazwiska, przez namowy i agitacye skłaniają ich w największej ilości wypadków do zrywania umów, aby ich potem za ponownem pobraniem prowizyi nowym dostarczać pracodawcom. Winę więc ponosi pośrednik, kara dosięga robotników. Słusznie zwalczać się pragnie lekkomyślne zrywanie umów, narażające rolnictwo na rzeczywistą i dotkliwą szkodę, faktycznie zaś przywiązuje się robotnika do pierwotnego pracodawcy, bo przecież teoretycznie przyznane mu prawo późniejszego rozwiązania umowy o pracę, faktycznie pociąga dla niego za sobą tyle kłopotów i trudności, gdy pomyśli o jego urzeczywistnieniu, zaostrzonych jeszcze nieznajomością języka i narodowemi przeciwieństwami, że chyba rzadko bardzo będzie mógł z niego korzystać. Wypowiadam tu obawę, którą podziela zarówno dzisiejszy mój kolega, p. dr. Bodenstein w jednej z prac swoich, jakoteż wybitni przedsiębiorcy górniczy Górnego Śląska narodowości niemieckiej.

Kto przeto pragnie uczciwego porozumienia i zbliżenia między poszczególnymi narodami i państwami lub przynajmniej znośnego *modus vivendi* we wspólnym interesie, uznać musi, że wspomniane tu pobieżnie próby gospodarczego odrębnego traktowania stanowią tyleż przeszkód do osiągnięcia owego celu.

Co tedy należy czynić w granicach możliwości celem osiągnięcia dla państw eksportujących robotników owego *minimum,* do jakiego zmierzać muszą, jeśli pragną żyć i rozwijać się w przyszłości? Przedewszystkiem w Austryi rozwinąć należy publiczne pośrednictwo pracy, poszczególne urzędy obsadzać urzędnikami dobrze wynagradzanymi i stojącymi na wyżynie socyalnego wykształcenia, urzędy te celem wymiany wiadomości o popycie i podaży ugrupować i złączyć wedle krajów koronnych i utworzyć między niemi ścisły związek, ustanawiając dla nich urząd na-

czelny państwowy i tym urzędom wyłącznie przekazać pośrednictwo pracy dla zagranicy, a zarazem wyposażyć je w przywileje dające im pierwszeństwo w pośrednictwie wewnątrz państwa. Równocześnie w państwach sprowadzających robotników, i to zarówno w ich własnym interesie gospodarczym, jako też w należycie zrozumianym narodowym, t. j. celem osłabienia szkodliwych przeciwieństw między poszczególnymi narodami i państwami, sprowadzanie robotników z za granicy odbywać się winno wyłącznie przy pomocy publicznych biur pośrednictwa pracy w państwie ich dostarczającem, a to celem ostatecznego wyłączenia ku dobru i pożytkowi stron obu oszukańczego i wyzyskującego pośrednictwa prywatnego. Zarazem państwa importujące robotników we własnym interesie powinny uniknąć wszelkich gospodarczych krzywd zagranicznych robotników, pożądanych im w charakterze cennych sił roboczych, a istniejące prawa wyjątkowe w zupełności uchylić.

Dla państwa eksportującego robotników pozostaje dalsze zadanie, w którego spełnieniu atoli także i państwa importujące pośrednio są interesowane. Mam tu na myśli przyjście do skutku austryackiej ustawy ochronnej dla wychodźców, będącej już od dziesiątków lat naglącym postulatem. Ustawa taka bowiem przez surową kontrolę agentów, zakaz emigracyi do niekorzystnych dla wychodźców krajów i t. d., miałaby ten skutek, że wielkie masy robotników, dotąd uwodzonych za morze, pozostałyby w kraju i mogłyby pracować produktywnie wewnątrz państwa, jako też w bliższej zagranicy, w pierwszym zaś rzędzie w Niemczech. Oprócz tego musiałoby powstać w Austryi pod dozorem ministeryum pracy lub spraw wewnętrznych bezinteresownie działające biuro, udzielające o warunkach pracy i kolonizacyi za granicą zgłaszającym się informacyi otrzymywanych od dyplomatycznych reprezentantów monarchii, jakkolwiek może kierowane przez prywatne stowarzyszenie. Wreszcie zaś państwowy urząd emigracyjny winienby powstać dla nadzoru i kierownictwa we wszystkich sprawach ustawą ochronną objętych.

Bardzo doniosłe dla nas są tu dwa momenty, nasuwające się przy tak upragnionej sposobności uregulowania sprawy emi-

gracyjnej w Austryi, co do których spodziewać się możemy zarówno w Austryi jak i na Węgrzech lojalnego panów poparcia:

Po pierwsze wedle niemieckiej ustawy emigracyjnej z 9-go czerwca 1897 roku przewiezienie przez morze obowiązanych do służby wojskowej zależy od przedłożenia dowodu uwolnienia ze służby, albo też świadectwa komisyi wojskowej tej treści, że z tytułu służby wojskowej niema przeszkód do wychodźtwa. Postanowienie to odnosi się wyraźnie także do cudzoziemców, jak to wykazuje urzędowe brzmienie § 23 *a)* i *b)* ustawy, w przeciwstawieniu do § 23 *c)*, w którym mowa jest jedynie o poddanych państwa niemieckiego. Ponadto królewsko-pruski rząd w §§ 13, 14 i 17 konwencyi kartelowej z 10 lutego 1831 r. wyraźnie zobowiązał się wobec rządu austryackiego do karania ułatwienia ucieczki naszych popisowych lub uwiedzenia tychże do ucieczki, tak samo, jak gdyby to odnosiło się do poddanych pruskich. Mimo to przewożenie zarówno austryackich jak i węgierskich popisowych tak w Hamburgu jak i w Bremie za morze, jest na porządku dziennym. Pomijam tu informacye prywatne, otrzymywane zarówno ze strony samych wychodźców, jako też ze strony najwiarygodniejszych osobistości z poza ich grona, aby nie narazić się na zarzut, że uogólniam fakty wyjątkowe. Pragnąłbym atoli wskazać na to, że w prospektach zarówno północnoniemieckiego Lloyda, jako też Hamburg-Amerika Linie rozróżnia się tylko między Niemcami a nie-Niemcami, jako też, że od tej drugiej kategoryi wychodźców nie wymaga się żadnego dokumentu wedle § 23 *a)*. Jeżeli tedy moja interpretacya odnośnych ustawowych przepisów jest słuszna, w takim razie byłoby w pierwszorzędnym interesie, zarówno Austryi jak i Węgier, wydanie ze strony rządu niemieckiego odpowiedniego pouczenia prawnego obu wielkim niemieckim towarzystwom.

Drugi moment odnosi się do emigracyi do Brazylii. Podczas gdy niemieckie wychodźtwo do Brazylii ograniczone jest do trzech stanów południowych (Parana, Rio Grande da Sul, Santa Catharina) a do innych stanów emigrować z Niemiec nie wolno, niemieccy agenci w Austryi werbują rolników dla stanu Sao Paolo, ponoszącego koszta przewozu w zupełności lub też w części;

ponieważ zaś ziemia w tym stanie dla austryackich emigrantów jest za droga, faktycznie werbują robotników do plantacyi kawy. Wprawdzie postępowanie takie nie sprzeciwia się tekstowi § 23 *c)* ustawy niemieckiej, ograniczającego opiekę swą tylko do osób należących do obywateli państwa niemieckiego, ale odpowiadałoby to wypróbowanym przyjaźnym stosunkom między Austro-Węgrami a Niemcami, gdyby § 23 *c)* ustawy niemieckiej rozszerzony został na wszystkich wychodźców bez różnicy ich przynależności państwowej, a to tem więcej, że za tem przemawiałyby i ogólne zasady ludzkości, notorycznie bowiem znanem jest zarówno złe obchodzenie się i nizkie płace, uiszczane częstokroć w dodatku w przekazach *(vales)* do handlarzy środków żywności, wysokie ceny tychże, a wreszcie klimat nader szkodliwy dla środkowo-europejskiego robotnika, pracującego na plantacyach kawy tego stanu.

Stanowiłoby to zapoznanie doniosłości kwestyi wychodźtwa, gdybyśmy poprzestali na rezultatach dotąd przedstawionych, zapominając o międzynarodowym charakterze problemu, nie mającego sobie równego w przeszłości, choćby ze względu na współczesne stosunki obrotu i wędrówkę milionów po kuli ziemskiej. Zarówno ze względów socyalno-politycznych, jak i socyalno-etycznych należałoby przeto pragnąć przyjścia do skutku międzynarodowych układów między poszczególnemi państwami świata, dla których europejska, a może i chińska i wschodnio-indyjska emigracya kulisów ma jakiekolwiek znaczenie. W układach tych należałoby:

1) ustalić wspólne zasady statystyki emigracyjnej, obecne bowiem daty statystyczne, osiągane różnemi metodami, w wielu kierunkach nie podają należytych wyjaśnień; oficyalna statystyka w niektórych państwach szczególnie ważnych dla naszej kwestyi, jak w Austro-Węgrzech, Brazylii, Argentynie, Rosyi i krajach bałkańskich bardzo słabo jest rozwinięta lub służy wprost interesom politycznym;

2) zastrzedz dostarczenie werbowanych robotników za granicę tam, gdzie ono ze strony państwa immigracyjnego nie jest ustawowo zabronione, jak np. w Stanach Zjednoczonych, wyłącz-

nie publicznym biurom pośrednictwa pracy, a aż do chwili zupełnego przeprowadzenia tej zasady jak najsurowszą wprowadzić kontrolę koncesyonowanych i wysoko kaucyonowanych agentów prywatnych ze strony państwowych urzędów emigracyjnych i immigracyjnych;

3) zdążać do dalszego rozwinięcia międzynarodowego układu z 18 maja 1904 r. i przyłączenia do niego wszystkich oświeconych państw świata, celem zwalczenia handlu dziewczętami, uprawianego dotąd, zwłaszcza z Austro-Węgier i Rosyi, ale także i z innych państw głównie do Ameryki południowej, Turcyi, Egiptu i Indyi wschodnich;

4) ustanowić *minimum* światła, powietrza i zaopatrzenia dla każdego podróżującego w międzypokładzie wszystkich linii okrętowych, zastrzedz możliwie rychłe wprowadzenie kabin trzeciej klasy w miejsce wspólnego dla wszystkich międzypokładu lub przynajmniej odrębnych sal jadalnych w nowo zbudować się mających okrętach wszystkich państw traktatowych;

5) zobowiązać je do zakładania hal emigracyjnych i odpowiedniego ich urządzenia zarówno w stacyach kontrolnych przy przekroczeniu granicy, jako też w portach wszystkich krajów, z których następuje wyjazd, niemniej do zakładania urzędowych biur wymiany pieniędzy, celem zapobieżenia tak częstemu wyzyskowi ze strony kantorów prywatnych, wreszcie zapewnić utworzenie publicznych biur pośrednictwa pracy także i w państwach, będących celem wychodźtwa;

6) uprościć warunki mocy obowiązującej dokumentów publicznych, jako to metryk chrztu, ślubu i śmierci, wystawionych za granicą, w obrębie państw traktatowych, obecnie bowiem w tej dziedzinie tak doniosłej dla prawa prywatnego, w szczególności zaś spadkowego i małżeńskiego, dalej obowiązku stawiennictwa do wojska i t. d. ludność urodzona w Ameryce a przynależna do Austryi, nie rozporządzając dokumentami uznanymi za zupełnie wiarogodne po powrocie nader często narażoną jest na dotkliwe szkody;

7) obniżyć opłatę pocztową przesyłek pieniężnych z krajów

zamorskich przy równoczesnem wprowadzeniu obrotu czekowego za pośrednictwem godnych zaufania zamorskich banków.

Kwestya emigracyjna tyle wspólnych wszystkim narodom obejmuje pierwiastków, budzi tyle uczuć ogólno-ludzkiej solidarności, dopuszczając przytem wierne wytrwanie każdego przy odrębności narodowej, tyle wykazuje momentów służących pokojowi społecznemu, iż wśród epoki wielkiej, ale z winy krótkowzrocznego materyalizmu z właściwej drogi wytrąconej, najwięcej może jest w stanie sił dodać pragnącym i do przyszłych ich pokrzepić zwycięstw z nigdy nie wyczerpanego zdroju ideału: wiary w prawo i postęp ludzkości.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy narody i państwa, wierzące jeszcze w tryumf sprawiedliwości, uświadomić sobie winne puszczony w niepamięć obowiązek zaopiekowania się owymi pozbawionymi praw setkami tysięcy obcych przybyszów, którzy dziś jeszcze przebywają w ich gronie w pogardzie i poniżeniu.

Do urzeczywistnienia danej myśli i czuwania nad jej wykonaniem potrzeba więcej niż chwilowego porywu, więcej niż międzynarodowej konferencyi mężów stanu, którą w swoim czasie proponował Roosevelt, więcej nawet niż kongresu naukowego; potrzeba na to jednolitego, wytrwałego kierownictwa w Instytucie międzynarodowym, skupiającym w sobie wszystkie zabiegi, zebrane wiadomości i myśli godne osiągnięcia. Instytut taki miałby zadanie:

*a)* zbierania dokładnych informacyi z urzędów emigracyjnych wszystkich państw o położeniu emigrantów w poszczególnych krajach, o istniejącem tamże ustawodawstwie immigracyjnem i kolonizacyjnem, dotyczącem własności i robotniczem, o wysokości płac, kosztach utrzymania, faunie, florze i t. d.;

*b)* naukowego opracowania zebranych wiadomości, jako też

*c)* podjęcia prac przygotowawczych i utorowania drogi dla ustawodawstw poszczególnych państw i dla układów międzynarodowych między niemi zawrzeć się mających, w kierunkach powyżej naznaczonych, celem doprowadzenia do identycznych lub przynajmniej temi samemi zasadami ożywionych, choćby różnych postanowień prawnych.

Instytut taki, utrzymywany wspólnym kosztem państw Europy, a może i Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, przyczyniłby się równocześnie do spełnienia wielkiego zadania zaludnienia ziemi na niezamieszkanych dotąd olbrzymich obszarach i tem samem do złagodzenia kwestyi socyalnej a równocześnie służyłby badaniami swojemi tak porównawczej nauce prawa, jak i etnografii i naukom przyrodniczym.

Udzielcie panowie myśli tej poparcia, a zasłużycie się około dobra ludzkości, zwycięstwa sprawiedliwości i prawdy i postępu nauki.

*Dr. Leopold Caro.*

# NASZE POŁOŻENIE.

Dokończenie.

Ujemne objawy znajdujemy niestety i w dalszych dziedzinach życia. Przedewszystkiem w społeczno-gospodarczej dziedzinie. Na pierwszy plan wysuwa tu się wzrastająca w ostatnich latach tłumna emigracya ludu, zjawisko wspólne wszystkim trzem zaborom. Jest ona do pewnego stopnia dodatnim wyrazem, bo świadectwem życiowej energii, odwagi do walki o lepszy byt, chociażby wśród trudnych i zakrajowych warunków. Leniwa indolencya, skora zawsze więcej do znoszenia biedy, niż do pracy, aby wyrwać się z biedy, nie jest moralną zaletą ni siłą. Ale ten jeden pocieszający rys zjawiska emigracyi nie zawiera w sobie bynajmniej całości oceny; całość ta oceny musi uznać równocześnie, że fakt ten jako objaw śmiałości i zapobiegliwości nie dochodzi jednak do miary akcyi kolonizacyjnej, co własną pracą i trudem świadomie i planowo chciała rozszerzać i często rozszerzać umiała granice ojczyzny. Nasza emigracya nie jest kolonizacyą, ona idzie zdobywać jedynie chleb dla siebie, nie rozszerzać ojczyznę i stąd przeważnie jest czasową, podjętą z myślą powrotu do kraju. Zarobkowa ta praca na obczyźnie, wśród ekonomicznie wyżej rozwiniętych społeczeństw i warunków, może podnieść gospodarczą i ogólną kulturę naszych wychodźców, może się stąd stać w przyszłości nawet czynnikiem dźwigania przez rozkrzewianie lepszej techniki i karności produkcyjnej. Niemniej jednak jest ta zarobkowa emigracya smutnem świadectwem, że w kraju niema

dosyć pracy i chleba dla wszystkich synów ojczyzny chcących pracować; a cóżby z nimi się działo, coby działo się w kraju, gdyby nagle ustał ten zagraniczny popyt i zarobek? Skąd im wtedy dać pracy, skąd dać chleba? Sporadycznie i na krótki czas mogą się zdarzać wypadki, że włóczęga po świecie przedstawia pewien urok, ale błądziłby strasznie, ktoby sądził, że ten motyw ma wpływ rozstrzygający na trwałość i rozmiar naszej zarobkowej emigracyi. Przed błędem tym przestrzegam, bo fałszywa dyagnoza do fałszywej prowadzi terapii, i na to zjawisko nie starczą same moralne lekarstwa. Trzeba sposobność pracy w kraju powiększyć i warunki pracy w kraju polepszyć. Inaczej trwać będzie emigracya zabierając nam co roku pewne ofiary przez wynarodowienie. Prof. Buzek poświęcił tej kwestyi swą rozprawę: »Proces wynarodowienia«, pełną cennych uwag i spostrzeżeń. Rozprawa ta zamąca spokój optymizmu naszego, stwierdzając niestety liczne narodowe ubytki. Grożą one głównie tam, gdzie jednostki giną wśród obcego społeczeństwa, w łonie obcych organizacyi. Spostrzeżenia poważne stwierdzają, że proces wynarodowienia podrywa trwale nasze granice na wschodzie, na zachodzie, na północy; emigracya powiększa niebezpieczeństwo corocznego tonięcia w obcych i to przeważnie wprost wrogich społeczeństwach i dlatego przedstawia ona narodowo niebezpieczne zjawisko.

Zarobkowa emigracya przedstawia inne jeszcze niebezpieczeństwo. Przed kilku laty napisał amerykanin prof. Mixter [1], że Polska upadła przez eksport zboża. A twierdzenie to uzasadnia dalszym wywodem, że po prostu Polska kupując za swe zboże zagraniczne wyroby przemysłowe utrzymywała wielu niemieckich, flamandzkich, angielskich robotników, eksportem tym powiększała środki utrzymania i korzystne pole zarobku w innych krajach, ograniczała zaś możność wzrostu liczby i gęstości zaludnienia u siebie, ograniczała u siebie rozwój społecznego podziału pracy, powstanie nowych grup zawodowych i nowych pól zarobku. Przez to nie wzrosła ludność odpowiednio do przestrzeni, nie wzrosły

[1] W *Quarterly Journal of Economics* r. 1903 w rozprawie *Distribution of maintenance.*

miasta, nie wytworzyła się społeczna przeciwwaga, na której byłaby mogła skutecznie oprzeć się władza królewska przeciw jednostronnej zgubnej przewadze warstw i interesów agrarnych. I warunków społecznych do wytworzenia silnego rządu, silnej władzy królewskiej, zdolnej kontrolować rozwój społecznego i politycznego ustroju, oraz zdolnej skuteczną obronę i odprawę zapewnić wrogim zamachom sąsiadów, zabrakło przez ten błąd polityki handlowej Polsce właśnie wtedy, gdy inne kraje przemieniały się w państwa i społeczeństwa nowożytne. W chwili potrzeby nie było władzy zdolnej opór zorganizować, bo zaprzepaszczono warunki jej wytworzenia.

A ks. Kalinka przytacza w Sejmie czteroletnim raport posła Ogińskiego o rozmowie z Pittem, w której Pitt stwierdza, że handel z Polską bardzo mu leży na sercu, bo polskie surowce przychodzące do Anglii, zboże, lny, konopie, skóry, drzewo budulcowe i t. d. są dobre i potrzebne, a wy »nie mając fabryk ani rękodzieł z lichwą oddajecie nam to, co my wam za surowce płacimy«.

Traci ten, co płaci z lichwą, tak więc nasz błąd ekonomiczny eksportu surowców i ubożył nas i powstrzymał zdrowy ustrój społeczny i polityczny. A czy ten nowy błąd eksportu ludzi nie jest nam równie niebezpiecznym?

Obawy żywić można wielkie. Świat cały znajduje się obecnie w przełomowej epoce [1]. Komunikacye nowożytne i coraz doskonalsza technika produkcyjna wytwarzają wszechświatowe gospodarstwo. Przemiana ta organizacyi gospodarczej świata rokuje jednym, tym co zdołają zwycięsko utrzymać się na targu świata, wzrost zarobku, bogactwa, sposobności korzystnej pracy, drugim grozi stratami, cofaniem się gospodarczem. Położenie to zrozumiano w Niemczech. Zastosowanie się do wyzyskania położenia wziął w rękę rząd niemiecki. Warunkiem zwycięskiej konkurencyi przemysłowej na targu świata jest taniość produkcyi, tej zaś najważniejszą pozycyą płaca robotnika. Niemiecki przemysł mając

[1] Porównaj Chamberlain: *Grundlagen des XIX Jahrhunderts,* Sombart: *Der moderne Kapitalismus,* Hobson: *Modern Capitalism,* Em. Cauderlier: *L'évolution économique au XIX siècle.*

wyrosnąć na światowy potrzebował taniego robotnika. Mógł go mieć tylko, skoro krajowe rolnictwo nie wystąpi do współzawodniczej walki o podaż robotnika; trzeba więc było umożliwić przejście znacznych zastępów robotniczych z rolnictwa do górnictwa i przemysłu, z równoczesnem zapewnieniem rolnictwu robotnika na okres wielkiej potrzeby robotnika w rolnictwie. I tu geneza tolerowania naszych sezonowych robotników w Niemczech. Wpuszczają ich tylko na okres pilnej potrzeby, wydalają na zimę, aby rolnictwu oszczędzić ciężaru całorocznego utrzymania robotnika. W ten sposób zapewniły sobie Niemcy względną taniość robotnika, tak w przemyśle, jak w rolnictwie, wytworzyły sobie doniosły warunek dla zwycięskiego przemysłowego rozwoju.

I w tem właśnie tkwią dla nas wielkie szkody i niebezpieczeństwa. Przedewszystkiem ubytek coroczny kroci tysięcy robotnika redukuje możliwą pracę w kraju, powstrzymuje reorganizacyę i rozwój produkcyi i to zarówno rolniczej, jak i przemysłowej. Dalej ułatwiając zwycięski rozwój niemieckiego przemysłu utrudniamy na dziś i na przyszłość uniezależnienie nasze ekonomiczne od Niemiec, mnożąc jego siłę kwestyonujemy wprost istnienie i rozwój naszego przemysłu. A przecież uprzemysłowienie kraju jest naszą potrzebą, jest szumnie rozgłaszanym i wyznawanym programem! A czyż powyżej określona doniosłość sezonowej emigracyi nie kwestyonuje wykonalności tego programu? Historyczna Polska łudziła się korzyściami zbożowego eksportu, chwilowy zysk zakrył pogląd na przyszłe niebezpieczeństwa, wytworzył krótkowidztwo. Boję się, że my dziś nie dość widzimy i oceniamy te nowe niebezpieczeństwa eksportu naszych ludzi, naszej pracy, boję się, że coraz potężniejący, naszą pracą dźwigany, stan i byt niemieckiego przemysłu gotów kiedyś żelazną przewagą zaciążyć na naszej ekonomicznej odradzającej pracy, zgnieść jej ogniska; boję się, aby przyszły historyk znów kiedyś nie napisał, że dawniej Polska swem zbożem żywiła swych wrogów, a później swą pracą eksportowaną utwierdzała ich potęgę i przewagę. Dlatego też już niejednokrotnie pisałem i mówiłem o tej sprawie, dlatego z naciskiem podnoszę sezonową emigracyę jako ujemny punkt w bilansie naszych sił. Zrozumie to i przyzna

każdy, dla którego narodowy program i narodowy interes jest miarą sądu i drogowskazem działania.

Proces wynarodowienia odnosi się u nas niestety nie tylko do ludzi. Ulega jej i ziemia nasza, ulegają różne dziedziny produkcyi. Nie mamy dokładnej statystyki, ale ktokolwiek rozejrzał się po naszych ziemiach, musiał z trwogą i boleścią stwierdzić liczne i znaczne ubytki. I to nie tylko na pograniczu. Groziło nam od dawna zjawisko, że polska większa własność utrzymuje się i rośnie tam, gdzie niema polskiego ludu, a kurczy się i zanika tam, gdzie lud jest polski. Dziś niestety stwierdzić trzeba kurczenie się ziemi w naszych ręku zarówno w rdzennie polskich, jak w historycznie polskich okolicach. Nie badam tu przyczyn, tylko stwierdzam fakta. A jeżeli już ze słuszną obawą patrzeć można na za szybki i za obszerny proces zaniku dworów przez parcelacyę, upatrując w rozmiarze i w pospiechu tej przemiany niebezpieczeństwo społeczne, gospodarcze i kulturne, to tem smutniej przychodzi nam stwierdzić przechodzenie ziemi w cudze ręce. To jest dla nas kurczeniem granic Ojczyzny, to przerywaniem spoistości społecznej, utrudnieniem i zakwestyonowaniem przyszłości gospodarczej i narodowej. Pruska kolonizacya od dawna usiłuje opasać wałem osadników — przybyszów miasteczka, aby i w nich żywioł polski osłabić, przygnębić, wygłodzić. Niechaj to tu starczy za wskazówkę, jak doniosłą jest narodowa własność ziemi, jak groźnemi i zgubnemi dla nas jej straty [1].

A czy tylko ziemię tracimy? W styczniu 1908 r. czytałem

[1] W lutym r. 1909 podano taką wiadomość: Pod tyt. »Głos rozpaczy« zamieszcza *Dziennik powszechny* list ziemian dobrzyńskich o zastraszających postępach kolonizacyi niemieckiej w ziemi dobrzyńskiej. Nowy wielki szmat ziemi — piszą między innemi — został pokrajany na kolonie i folwarki. Niemcy zapłacili za ziemię bez targu, tak hojnie, jakby mieli zapewnienie, że bank hakatystów ziemię odkupi, jeśli nabywca tego zażąda. I tak jest rzeczywiście, bez pomocy kapitałów berlińskich niemieccy koloniści i więksi obszarnicy, z natury i wychowania rozważni i rachunkowi, nie zgadzaliby się na ceny tak wygórowane. Działa tu ze strony niemieckiej przekonanie, że Królestwo stanie się niezadługo nową prowincyą Niemiec, a ze strony polskich właścicieli obawa, że jeśli się ze sprzedażą nie pośpieszą, mogą być wywłaszczeni przez swych nowych władców«.

korespondencyę z Warszawy, w której z powodu zamierzonego bojkotu towarów pruskich napisano: »Królestwo Polskie zależy pod względem handlowym od Berlina bardzo silnie; wszak przemysł nasz jest w znacznej, w przeważającej nawet mierze niemiecki, lub niemiecko-żydowski; cały handel hurtowny w kraju mają Żydzi, oni panują prawie niepodzielnie nawet w handlu drobiazgowym;... trzeba będzie ogromnej solidarności społeczeństwa polskiego i uporu, aby serca potentatów z Nalewek od Prus odwrócić... Z fabrykantami, którzy mają z Prusami bodaj największe interesy, sprawa jeszcze trudniejsza, bo wszak większość krezusów łódzkich i sosnowieckich, to hakatyści nie gorsi wcale od bydgoskich lub gliwickich kamratów«. Smutny ten obraz jeszcze nie jest zupełnym, bo najpierw pomija górnictwo, dalej ogranicza się tylko do Królestwa, a przecież w innych ziemiach nie jest lepiej pod tym względem, tylko może gorzej. Ze spokojem, ani otuchą na ten stan i rozwój patrzeć nie można. Znam ja dobrze teoryę o pożytkach kolonizacyi przemysłowej, wiem jakie są trudności tworzyć przemysł w kraju bez tradycyi przemysłowej, bez zamożnych i moralnie niezależnych warstw średnich, wiem jak dodatnio może przykład dobrego przedsiębiorstwa podziałać, ale i to wiem, że taka kolonizacya przemysłowa jest dobrą tylko, gdy stawia przykład, a nie gdy opanowuje zupełnie targ, gdy żyjąc i zarabiając w kraju gotowa jest zrosnąć się z krajem, nie gdy trwale zostaje w antytezie do kraju, swą placówkę nie jako podstawę swego gospodarczego bytu, lecz jako posterunek i politycznego podboju uważa. Taka kolonizacya, przemysłowa czy górnicza, nie działa jako szkoła ni zachęta, ona nie staje się środkiem dźwigania, lecz nawet może być środkiem ubożenia kraju i to zarówno przez coroczny wywóz zysków z kraju, jak przez uniemożliwienie przewagą swego współzawodnictwa powstawania rzeczywiście rodzimych zakładów. Gdyby to jeszcze te obce żywioły były jakieś dalekie, coby na prawdę tylko zysk ekonomiczny miały na oku, powstawały w kraju głównie dlatego, by cła i frachtu oszczędzić, to możnaby mówić jedynie o czasowych stratach ekonomicznych, ale nie byłoby bezpośrednich ryzyk ni strat narodowych. Inaczej wszakże staje rzecz, gdy te obce

żywioły są za blizko sąsiedzkie, czują się solidarne z ręką, co kiedyś chce politycznie opanować, a tymczasem już gospodarczo kolonizuje, nabytki ziemi, kopalń, zakłady, stosunki handlowe, stanowiska ludzi, jako swe forpoczty i posterunki uważa. A takiem właśnie jest nasze położenie.

Ujemna doniosłość tego stanu, pogarszającego się niestety w kilku kierunkach w ciągu ostatnich lat, występuje tem jaśniej, gdy uwzględnimy współczesną gospodarczą ewolucyę świata, coraz liczniejsze powstawanie i coraz silniejszych karteli. Dla spóźnionych walka zawsze trudną, tem trudniejszą im lepiej zorganizowani, im silniejsi są przeciwnicy. Dawniej mieliśmy trudności współzawodnictwa przy każdej nowej produkcyi, ale współzawodnictwo było przeważnie indywidualne; dziś coraz więcej to współzawodnictwo jest zszeregowane, tak silne nieraz, że może się o monopol istotny pokusić, stąd gotowe i ofiar nie skąpić, by zgnębić w zarodku powstającego przeciwnika. Dla nas jest ta nowa ewolucya organizacyi gospodarczej dodatkową znów trudnością i pogorszeniem, i to tem więcej, że nie my decydujemy o cłowej polityce i taryfach przewozowych państw, że niema taryfy cłowej, czy frachtowej, coby nasze interesa miała życzliwie na oku, nasz rozwój poprzeć chciała. Niegdyś pisał Ad. Wagner, że dopiero włączenie każdego z zaborów w obręb innego terytoryum cłowego jest sperfekcyonowaniem rozbiorów Polski. Smutna to prawda, bo poddani pod różne systemy cłowe nie mamy i mieć nie możemy jednolitego kierunku gospodarczego rozwoju, nie mamy praktycznej wspólności interesów, narażeni jesteśmy na wytwarzanie się między nami antagonizmu interesów, sprzeczne gospodarcze dążności, co niszczy jednolitość myśli i działania, utrudnia wspólność idei i pracy, utrudnia ogólny postęp gospodarczy. Niebezpieczeństwo to i strata moralna i materyalna. Potęgują się one współcześnie, tak skutkiem trwania granic cłowych, jak skutkiem coraz wyraźniejszych protekcyjnych tendencyi w taryfach cłowych i całej polityce handlowej rozbiorczych państw.

Dalej podnieść jeszcze należy niedostateczną u nas kapitalizacyę, niedostateczny dorobek bogactwa narodowego. Produkcya dźwignęła się, przybyło melioracyi gruntowych, widać postęp

pewien po naszych miastach i wsiach, widać lepsze uzbrojenie produkcyi i lepsze wyposażenie w majątek użytkowy, przybyło nam stowarzyszeń gospodarczych i instytucyi finansowych, wzrosły udziały i wkładki oszczędności, ale równocześnie było wiele pozbycia ziemi, zakładów, kopalń w ręce nienarodowe, wzrosło zadłużenie, a emisye nasze w znacznej mierze dotąd szukać muszą nabywców poza granicami kraju. Nie mając tu zamiaru przytaczania całego materyału statystycznego, jaki możnaby zebrać celem stwierdzenia tezy o niedostateczności naszej kapitalizacyi, zwracam dla jej uzasadnienia uwagę prócz na emisye nasze jeszcze na następujące okoliczności. Mamy dotąd dość znaczny przyrost ludności, mamy znaczny wzrost potrzeb, wymogów życiowych. Ogólne to zjawisko, niebezpieczne wszędzie dla kapitalizacyi społecznej, występuje u nas tem ostrzej, że przeważny procent naszych nowo wytwarzających się warstw umysłowej pracy to albo potomkowie zubożałej szlachty, z dawna przyzwyczajeni do pewnej wyższej skali wymogów życiowych, albo też przeciwnie synowie warstw najuboższych (mianowicie w Galicyi), wchodzący w życie bez żadnych podstaw materyalnych, częstokroć niestety z nadszarpanem przez biedę zdrowiem i budżetem trwale obciążonym długami z epoki studyów i pierwszego urządzenia domu. Życie w mieście niweluje ludzi do pewnej skali potrzeb, a nie wyrównywa dochodów i stąd bardzo liczne rodziny tych kół prowadzą relatywnie życie nad stan, nie są w stanie kapitalizować, nawet ich ubezpieczenia życiowe idą częstokroć tylko na spłatę długów, których przez całe życie spłacić nie można było. Dzieci tych kół otrzymują przyzwyczajenie potrzeb, a nie otrzymując żadnej materyalnej podstawy do rozpoczęcia własnej wytwórczej egzystencyi, znów przeważnie z umysłowej żyć chcą i będą pracy; grozi to znów dwoma coraz więcej ujemnymi skutkami, a mianowicie niekorzystnem ugrupowaniem społeczeństwa, wzrastającem niezadowoleniem i niedostatkiem rzeczywistym wśród warstw wykształconych. Oba te zjawiska najwyraźniej i najgroźniej występują w Galicyi, gdzie wielka liczba gimnazyów — przy niedostatku szkół innych typów — i możność wstąpienia do urzędu stanowczo za wielki procent ludzi odciągają od gospodarczych zawodów.

Nadmiar pracowników niemateryalnej produkcyi obciąża zbytnio materyalną produkcyę kraju (przez wzrost płac, taks, honoraryów, podatków), kapitalizacya staje się trudniejszą, mniejszą. Społeczeństwo oparte w swych dochodach przeważnie na roli i na posadzie urzędowej nie może dostatecznie kapitalizować. Obecny zaś ustrój gospodarczy kategorycznie domaga się postępu kapitalizacyi, grożąc wprost ruiną tym krajom i ludom, co opóźnią się w zapewnieniu swej produkcyi dostatku i wzrostu kapitału. Dostatek kapitału toć podstawa, warunek, broń gospodarczego rozwoju, jego brak to hamulec, zastój, zależność. Bez silnej gospodarczej podstawy niszczeją siły, rozwieją się ideały narodu. Cyfry dającego się stwierdzić dorobku kapitałowego naszego w ostatnich latach nie są uspakajające, ni pocieszające, a pomyślmy dopiero ile wartości zniszczyła w ostatnich kilku latach nieszczęsna anarchia w rosyjskim zaborze.

A prócz tych szczegółowych pozycyi naszych ryzyk, strat, ubytków, objawów ujemnych w dziedzinie politycznej, etycznej, społecznej, gospodarczej, należy jeszcze w końcu podnieść z naciskiem ogólne pogorszenie naszego położenia. Wytwarzają je z jednej strony nacyonalizm państwowy Rosyi, a przedewszystkiem Prus, dezorganizacya Francyi, z drugiej zaś rozbudzenie narodowościowych antagonizmów i walk na całym obszarze wschodnich kresów Rzeczypospolitej. Sprawę zdać sobie z tego musimy, że Litwa, a przedewszystkiem Ruś nie czują się już jednością z nami. Epoka, gdy mówiono *gente Ruthenus natione Polonus* należy do przeszłości, budzi się narodowość ruska i budzą ją nasi wrogowie przedewszystkiem w przeciwieństwie do nas. Obok tego nie braknie i poszlak, że germanizm pragnie kwestyę ruską uczynić klinem utrudniającym zbliżenie Słowian, nową kością niezgody między Polską a Rosyą. Co będzie z Rusi, czy ona wyrobi się na osobny naród ukraiński, czy będzie tylko szczepem o osobnej gwarze ludowej wielkorosyjskiego narodu, to rozstrzygnie kiedyś dopiero przyszła historya, jak wyraził się 1908 r. w Sejmie lwowskim jeden z wybitnych posłów; dla nas w obu wypadkach występuje i wielka strata i wielkie niebezpieczeństwo. Strata pięciu wieków dziejowej pracy, niebezpieczeństwo kurczenia podstaw

bytu, pola pracy i wpływu. Kwestya to pierwszorzędnej doniosłości i trudności, powiększająca pasywną stronę naszego bilansu narodowego, stawiająca liczne nagłe zadania dla obrony wiekowego dziedzictwa, ważnego posterunku.

Z początkiem r. 1909 pojawił się w *Ukrainische Rundschau* znamienny artykuł w tej sprawie prof. Hruszewskiego, który jaskrawo kreśli dążenia. W artykule tym znajdujemy i takie ustępy:

»Społeczność ukraińska nie mając żadnych niewyrównanych rachunków z germanizmem, musi walczyć z dążeniami rządzących elementów rosyjskich i polskich, z systemami obrusienia i opolaczenia, z wrogą polityką Rosyi i Polaków. I dlatego ukraiństwo musi szczególniej niedowierzająco patrzeć na plany i dążności, kryjące się pod sztandarem neoslawizmu. Słowiańska idea w Austryi, to wzmocnienie wpływów czeskich i polskich w kołach rządzących i w życiu państwowem Austryi, to przewaga idei autonomii krajowej, to przygnębienie słabszych narodowości — a to wszystko na niekorzyść »ukraińskiego« elementu wobec zaborczego i wrogiego mu elementu polskiego«.

»Stare, romantyczne słowianofilstwo oczywiście umarło. A to, które istotnie miałoby siły ku temu, ażeby jednym nerwem związać wszystkie słowiańskie narodowości, pojednać żywioły postępowe z wstecznymi, słowianofilstwo wolne od imperyalistycznych zachcianek i reakcyjnych mrzonek, słowianofilstwo, które chciałoby zbliżyć wszystkie słowiańskie narodowości na drodze postępu i swobodnego rozwoju — takie słowianofistwo jeszcze się nie urodziło... W rzeczywistości ukraiństwo nie jest izolowanem. Wyrzekając się platonicznych sympatyi tych słowiańskich braci, którym ich platoniczne słowianofilstwo nie przeszkadza gnębić narodowości ukraińskiej, albo tolerować, a nawet uniewinniać ten ucisk — ma ukraiństwo innych sojuszników, związanych z niem jednakowem położeniem, jednakimi warunkami życia i rozwoju, wspólnemi dążnościami i działaniem, wspólnością wrogów i przeszkód.

»To starzy nasi Towarzysze z czasów przed unią z Polską: Ukraina, Białoruś i Litwa. Jesteśmy związani ze sobą od po-

czątków naszego życia dziejowego. Państwo kijowskie dało nam wszystkim osnowę społecznego, kulturalnego i politycznego życia, która utrzymała się przez długie wieki. Razem weszliśmy w skład państwa polskiego i przechodziliśmy te zmiany w społecznym i narodowym układzie, jakie łączność z Polską spowodowała. Razem dostaliśmy się później pod panowanie Rosyi i staliśmy się przedmiotem polityki jej centralistycznego biurokratycznego rządu. Jednakowo utraciliśmy nasze wyższe warstwy pod wpływem panującej obcej kultury i cudzych panów, a narodowe odrodzenie nasze związane jest ściśle z ekonomiczną i społeczno-polityczną emancypacyą mas ludowych, jedynego dziś przedstawiciela naszych narodowości. Jednakowo musimy się starać rozwinąć walkę odporną, ażeby zdobyć sobie możność rozwoju narodowego.

»Wspólny szlak otwarty przed wszystkiemi trzema narodowościami. Wspólne przyświecają im cele. Rachunków pomiędzy nami niema żadnych. Każda żyje na swoim odrębnym etnograficznym obszarze, a mięszane pogranicza pomiędzy nami są tak niewielkie, że nie są w stanie wywołać pomiędzy nami nieporozumień — zwłaszcza wobec wspólnego dla nas trojga, pasierbów historycznej Polszczy, głównego celu: zwalczania wspólnemi siłami idei historycznej Polski«.

Wyraźne to bardzo. Liczyć się więc z tem musimy, że w sojuszu z germanizmem proklamuje się walkę trzech szczepów przeciw nam na naszych wschodnich kresach. A ruch ten występuje dalej tylko przeciw dzisiejszej »biurokratycznej« Rosyi, nie przeciw Rosyi wogóle. Naszym przedewszystkiem jest wrogiem.

Jako dalsze utrudnienie i pogorszenie naszego położenia występuje nowa faza w kwestyi żydowskiej. Ludność żydowska stanowiła u nas już od długiego czasu poważny procent ludności; zajmowała się przeważnie tylko pewnemi — nielicznemi — gałęziami zarobkowej działalności, mianowicie pośrednictwem handlowem i kredytowem. Jednostronność ta zajęcia oraz szybki wzrost ludności żydowskiej musiały stopniowo szerokie ich koła pogrążyć w niedoli gospodarczej. Złożyły się na to dwa ważne powody, a mianowicie najpierw, że procent ludności żydowskiej do ogółu ludności w wielu okolicach kraju był znacznie wyższym,

niż procent, jaki przeciętnie wszędzie w pośrednictwie handlowem znajduje warunki bytu i zatrudnienie; uwzględniając dalej, że ludność niezamożna wogóle mniej kupuje (ubrania, buty, światło, cukier i t. d.) niż zamożna, a w kraju naszym przeważa ogromnie ludność niezamożna, uwzględniając, że w tej zarobkowej gałęzi pracy Żydzi mieli przewagę, lecz nie mieli monopolu, samo to już liczebne przeładowanie musiało pogorszyć warunki bytu bardzo szerokich kół ludności żydowskiej. — Równie ujemnie oddziałał na te koła drugi fakt, mianowicie rozwój asocyacyi. Powstały Kółka rolnicze, stowarzyszenia kredytowe, ożywione ideą walki z alkoholizmem, z monopolem karczmy gospody chrześcijańskie, czytelnie, związki producentów dla nabycia surowców i zbytu wytworów, związki konsumentów dla nabycia towarów; wszystkie te organizacye, uprawnione społecznie i gospodarczo, ograniczały dotychczasowe pole pracy i zarobku ludności żydowskiej, to samo uczyniły i koleje. Nie było w tem żadnej winy społeczeństwa, nie antysemityzm, lecz realne potrzeby życia pchały do tego rozwoju. Przeżyte formy ustroju gospodarczego muszą ustępować; fabryki nowożytne zdruzgotały mnóstwo warsztatów, pogrążyły ich rodziny w niedostatku, a jednak nikt nie mógł wstrzymać technicznego i gospodarczego postępu; to samo zjawisko występuje współcześnie w organizacyi obrotu handlowego i kredytowego. Instytucye bankowe, Kasy Raiffeisena i towarzystwa zaliczkowe usuwają wiejskiego i małomiasteczkowego bankiera, chociażby nie był lichwiarzem; spółki towarowe usuwają indywidualnego pośrednika. Powstrzymać tej nowej lepszej organizacyi gospodarczej nie można i nie należy. Wynalazek druku zniszczył byt przepisywaczy, a przecież nie można go było przez wzgląd na nich zakazywać ni ograniczać w użyciu. Byłoby to działaniem antycywilizacyjnem.

Przewrót ten, jak każdy przewrót, wytwarza zagadnienie społeczno-gospodarcze dla dotkniętych i dla ogółu o wytworzenie nowych warunków bytu dla wyeliminowanych z dotychczasowej egzystencyi. Nas tu jednak nie ta strona kwestyi zajmuje, raczej skonstatować trzeba tylko, że na podłożu takiej przemiany położenia zarysowała się i zmiana ważna w stosunku znacznej części

ludności żydowskiej do polskiego ogółu; do zmiany tej nie przyszło jedynie w zaborze pruskim, gdzie ludność żydowska od dawna uznała się za niemiecką i politycznie stała i stoi w wrogim dla nas obozie. W innych ziemiach były dyferencye ekonomiczne, lecz politycznego antagonizmu nie było, owszem niejednokrotnie było solidarne poparcie politycznej akcyi społeczeństwa. Pierwszy wyłom w tych stosunkach zrobił socyalizm; znaczna część socyalistów u nas rekrutowała się z ludności żydowskiej, przedewszystkiem zaś znaczny procent intelligencyi żydowskiej, która dawniej była przedstawicielką i krzewicielką idei politycznej i narodowej asymilacyi, przeszedł do tej międzynarodowej, a więc nienarodowej organizacyi. Fakt ten osłabił ideę i proces asymilacyi, osłabił stanowisko i wpływ przedstawicieli idei asymilacyi, osłabił wiarę w ich program, a równoczesny rozwój przemiany ustroju gospodarczego wytwarzał stopniowo coraz wyraźniejsze przeciwne obozy i interesa. Wpłynął na to dalej współczesny nam duch grupowania ludzi w myśl ideowego kollektywizmu, narodowego, religijnego, zawodowego, klasowego. Cały ten ideowy kollektywizm wystąpił jako reakcya przeciw atomizującemu egoizmowi, który niegdyś spełniał funkcye przewodniej idei w epoce liberalizmu. Idea kollektywizmu ograniczonego jedną cechą, rasą, religią, czy klasą, pomogła silnie do wytworzenia antagonizmu, stanowczego odżycia wśród ludności żydowskiej poczucia swej indywidualności i swego antagonizmu do otoczenia. W tych warunkach wystąpił syonizm [1]. Z pierwotnej półromansowej idei powrotu do Palestyny i do hebrajszczyzny przemienił się w realną ideę koncentracyi żydowskiej, będącą i odrzuceniem zupełnem programu asymilacyi narodowej i organizacyą o silnej indywidualności, która uznaje tylko swoje cele i bynajmniej nie poczuwa się do politycznej solidarności z otoczeniem, z naszem społeczeństwem. Fakt to doniosły. Na obszarze naszych ziem powstało przez to nowe obce ciało, zaznaczające wyraźnie swą antytetyczność do nas. Fakt ten uznany został jako korzystny pod niektórymi względami,

[1] Poważny artykuł o kwestyi syonizmu ogłosił prof. Wł. Czerkawski w *Przeglądzie Powszechnym*, grudzień 1908.

najpierw bowiem wyjaśnia sytuacyę, zmniejsza rozżalenie, bo od obcego żywiołu nie można żądać polskiego patryotyzmu, nikt mu czynić nie może zarzutu zdrady naszego programu, a dalej eliminuje to z statystyki naszych sił pozycye wątpliwe, nie dopuszcza łudzenia się ich pomocą. Pogląd ten jest dość rozpowszechniony, on prowadzi do objektywnej, spokojnej oceny kwestyi żydowskiej i syonizmu, i nie można mu też bynajmniej braku podstaw zarzucić. Ale pogląd ten pomija dwa ważne momenta, najpierw, że syonizm jest zaporą pracy dalszej asymilacyjnej, a nawet niweczy dotychczasowe rezultaty i to obustronnie, dalej, że jest on organizacyą obcego żywiołu wśród nas, przez co występuje jaskrawa przerwa w naszym społecznym i narodowym ustroju, osłabia się terytoryalna spoistość narodowa, fakt przecież bardzo doniosły w kwestyi bytu i zadań narodowych. Nie wchodzę tu w ocenę, czy syonizm ze stanowiska żydowskiego jest złym czy dobrym, czy on jest etycznym, jedynie stwierdzam, że to organizacya sił niepolskich wśród polskiego społeczeństwa, na polskiej ziemi i już przez to samo jest zjawiskiem niepożądanem i niebezpiecznem. Słusznie powiedzieć można, że syonizm otwiera nam oczy, ale okazuje właśnie naszą słabość i niebezpieczeństwo. Siła nasza politycznej przynajmniej asymilacyi okazała się za słabą. Brak tej siły stwierdza niestety zarówno syonizm, jak i zgermanizowanie Żydów nie tylko w zaborze pruskim, jak coraz przykrzejsze rozszerzanie się Żydów rosyjskich w Królestwie Polskiem. I to wszystko uzasadnia też przykre stwierdzenie, że i rozwój kwestyi żydowskiej u nas przedstawia istotne i niebezpieczne pogorszenie. A jak w kwestyi żydowskiej, tak i w stosunkach licznych kolonii niemieckich wiejskich i miejskich na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej ujawnia się zastój i zanik naszej siły asymilacyjnej, obce żywioły trwale zachowują swój obcy, nieraz wprost wrogi nam charakter i coraz głośniej jawnie to stwierdzają.

Niemniejszem niebezpieczeństwem jest z drugiej strony nacyonalizm państwowy, który wobec nas występuje jako zakusy rusyfikacyi i germanizacyi. Prądy te w rządach państw rozbiorczych istniały od dawna, hołdowała im długie lata i Austrya, dopóki mogła, a po najnowszych doświadczeniach wiemy, że

i najstraszniejsze gwałty, jak pruska t. zw. ustawa o wywłaszczeniu, spotkają może platoniczne potępienie szeregu ludzi, gdy ich światowej sławy człowiek jak Sienkiewicz o zdanie zapyta, ale poza tem nikt nie wystąpi czynnie, nikt się nie ujmie za nami. Krzywdy nasze nie są brane i nie będą brane w rachubę. Stąd wiedzą, że przeciw nam na wszystko można sobie pozwolić. I liczyć musimy się z trwałością tego stanu. Już książę Bismark z ironią pytał, gdzie jest i kto jest Europa, a tymczasem pogorszyły się jeszcze stosunki. I tak przedewszystkiem rozkład Francyi czyni wielkie postępy. Po wyparciu idei Boga rozpoczyna się tam destrukcya idei ojczyzny [1], propaganda antymilitarna chce tak umniejszyć armię i ją zdezorganizować, aby nigdy o wojnie, mianowicie o wojnie zaczepnej nie można było nawet pomyśleć [2], i dla uniknięcia wojny radzi zrzec się polityki kolonialnej, zrzec się opieki nad misyami na Wschodzie, unikać wszystkich zagranicznych punktów starcia. Na takie ciasne i poniżone umysły nie podziała już nawet stwierdzenie wspólności niebezpieczeństwa i wspólności wrogów. Stopniowo maleje i ginie trzymanie w szachu, bo mogła to czynić tylko silna i świadoma swych interesów zagranicznych Francya, nie czyni już tego grzęznąca w materyaliźmie i krótkowidztwie politycznem. Anglia znów za morzem, okrętami nie dojedzie do Warszawy, Poznania, ni Krakowa; za nas i o nas nigdy nie rozpocznie wojny, a to tylko rozstrzygający argument. Antagonizm Prus i Rosyi, świata germańskiego i świata słowiańskiego nie wzbudza we mnie żadnych nadziei na złagodzenie polityki owych rządów wobec nas. Był ten antagonizm bardzo silny za Aleksandra III, nam nie przyniósł żadnej ulgi ni korzyści. Był on i w epoce czteroletniego Sejmu i pogodzono się wtedy naszym kosztem, drugi i trzeci rozbiór Polski złagodził, usunął ich antagonizmy. Właśnie ten fakt historyczny, gdzie Prusy z sojuszu przeszły do rozbioru winien być zapamiętanym i u nas i w Wiedniu. Powtarza się czasem tradycyjna

[1] Słusznie podnosi ten zarzut Brunetière w *L'idée de Patrie* przeciw Renanowi i jego odczytowi *Qu'est ce qu'une nation.*

[2] Tą myślą jest owiana cała rozprawa p. Blondel: *Le patriotisme et la morale.* Paris 1903, a podobnych tendencyą pism wychodzi bardzo wiele.

polityka. I na kongresie wiedeńskim naszym godzono się kosztem. Że tu zawsze były błędy i krótkowidztwo Rosyi, to możemy stwierdzać, ale na to poradzić, temu zapobiedz w myśl interesów naszych, Rosyi, Słowiańszczyzny, to nie w naszej jest mocy. Raczej obawiać się trzeba, że i na przyszłość naszym kosztem łagodzić i usuwać będą swe antagonizmy i konflikty.

Na pomoc cudzą oduczyliśmy się już liczyć, ale innym pomagały nieraz konstelacye polityczne świata — np. Włochy w r. 1859 i r. 1866 — nas żadne szczęśliwe obecnie nie czekają konstelacye. Kto na ich nadziei chciałby budować, sobie zgotowałby zawód, a narodowi szkodę[1].

Eksterminacyjna wobec nas polityka nie znajduje zapory, natomiast doznaje nawet poparcia u niektórych współczesnych pisarzy politycznych, dla których państwo i jego racya stanu są wyrazem najwyższej ludzkiej kreacyi. Ultranacyonalizm i ultrapaństwowość podają tu sobie ręce. Tak np. pisze amerykanin prof. John W. Burgess[2]: »Narodowa jedność jest rozstrzygającą siłą w rozwoju nowożytnych państw konstytucyjnych; pierwszą przeto zasadą polityki każdego z tych państw powinno być osią-

---

[1] Przykre potwierdzenie tego stanu znajdujemy w artykule Times'a po uznaniu aneksyi Bośni przez Rosyę. Czytamy tam: Rzadko kiedy zmieniło się położenie polityczne tak nagle, rzadko kiedy zostało oświetlone tak jaskrawo, jak przez cięcie, wykonane teraz przez Niemcy w Petersburgu. Krok niemiecki musi mieć z pewnością charakter specyalnej presyi. W ocenie sytuacyi chodzi o coś więcej, aniżeli o losy Serbii. Sytuacya ta oznacza, jeżeli nie trwałe przesunięcie równowagi europejskiej wśród mocarstw, to przecież udałą próbę Niemiec udowodnienia całemu światu, a specyalnie Rosyi, że za zgodą Niemiec można łamać bezkarnie traktaty i gnębić małe państwa, zaś bez ich zgody i poparcia pokojowa polityka innych mocarstw skazana jest na jałowość.

Taka polityka jednak, jaką rozpoczęły Niemcy, nie może doprowadzić do trwałego pokoju. Rosya i świat słowiański nie łatwo zapomni o tym nacisku, wywartym przez Niemcy i nie daruje im tego. Mocarstwa, które w tej sprawie były mniej interesowane, nie mogą również tego ciosu ignorować. Times kończy, że z wypadków tych wynika dla Anglii ta nauka, aby bezwarunkowo starała się utrzymać swą przewagę na morzu. Nadzieje drugiego ustępu są ułudą. My przeciwnie wiemy, że wzrost przewagi Niemiec zawsze pogarsza stosunki w Królestwie, utrudnia współdziałanie.

[2] *Political Science and comparative constitutional law*. tom I. rozdz. I.

gnięcie odpowiednich granic fizycznych i przerobienie ludności własnej na etnicznie jednolitą«. »Gdzie ludność państwa składa się z różnych narodowości zmuszeni jesteśmy uznać, że tam będzie zdrową polityką starać się o rozwój etnicznej jednolitości. Moralność polityki, która upiera się przy używaniu wspólnego języka i przy zaprowadzeniu jednolitych instytucyi i praw, nie może być skutecznie kwestyonowaną. W pewnych warunkach użycie nawet siły dla realizacyi tych celów jest nie tylko do usprawiedliwienia lecz wprost do zalecenia, staje się nawet moralnym obowiązkiem« (!!) »Najwyższym obowiązkiem państwa jest zachować, wzmocnić, rozwinąć swój własny narodowy charakter«. Nie waha on się też z przyznaniem wszelkiego przymusu; wywłaszczenie, przesiedlenie są mu środkami godziwymi, taksamo zakaz imigracyi. A prawa te przyznaje przedewszystkiem państwom teutońskim, bo one okazały się jako najzdolniejsze polityczne organizacye w nowożytnym świecie, one mają misyę politycznej cywilizacyi świata, nawet wbrew woli innych ludów. »Narody teutońskie nie uznają władzy politycznej za prawo człowieka, władza ta winna przypadać tylko uzdolnionym *ad hoc*, a tymi są przedewszystkiem teutońskie narody«. Obawiać się musimy, że takie brutalne teorye więcej znajdą posłuchu, niż wspaniałe wywody Gladstona o samorządzie Irlandyi, a i ten tok myśli politycznej znów zwraca się przeciw nam.

A na samym końcu tego przeglądu naszych strat, trudności, ryzyk i ubytków, o bolesnem jeszcze wspomnieć trzeba psychicznem zjawisku. Mieliśmy już w epoce Stanisława Augusta ludzi, którzy pod wpływem strachu przed Imperatorową zatracili zupełnie zmysł polityczny i wolę do czynu. A nie mówię tu o sprzedajnych duszach, o owem łotrowstwie politycznem, co na targ stawiało i własne sumienie i byt ojczyzny, ale mówię o tych przerażonych, co stracili wiarę w siebie i w naród. Potęga obca, potęga Rosyi przedewszystkiem tak im imponowała, że bez aprobaty Rosyi nic uczynić, nic podjąć, nic pomyśleć nie śmieli. Pozytywnej winy nie mieli na sumieniu, wprost złego nie uczynili nic, a jednak są winni zaszkodzenia ojczyźnie. Zaszkodzili jej, bo nie jęli się pracy, co naokół ducha odradza i przysparza sił,

zaszkodzili, bo nie dali poparcia czynnego żywiołom, co zerwały się do pracy i walki o wolność, o odrodzenie ojczyzny, zaszkodzili jej, bo swą biernością rozzuchwalali zewnętrzne i wewnętrzne zło. Zgrzeszyli opuszczeniem, zgrzeszyli brakiem wiary, miłości i nadziei, brakiem czynu i ofiary. Od współwiny w upadku nie zwolni ich sąd historyi.

Minęło z górą sto lat, a niestety do dziś spotykamy podobne typy. A i odnośnie do dziś nie mówię o pozytywnie złych, o moralnie upadłych, gotowych się sprzedać, byle ich kto kupił, zresztą mam wrażenie, że ten gatunek jest na wymarciu, niestety może tylko z braku popytu; mnie chodzi o tych, co pozytywnie złego nie zrobią, nie chcą bynajmniej zaszkodzić sprawie narodowej; podejrzywać ich, ni posądzać nikt nie ma prawa, ale na błąd ich trzeba zwrócić uwagę, bo ten błąd znów stać się może winą. A dwa takie zasadnicze błędy raziły mnie w ostatnich czasach. Słyszałem ja mowy tak małoduszne, tak trwożliwie oglądające się na cudze instrukcye, cudzą aprobatę, że mi żywo przypomniały Repnina i Stakelberga czasy, gdzie też obawa niweczyła wszelką myśl samodzielną, wszelką inicyatywę i wszelki czyn, gdzie instrukcya Imperatorowej czy ambasadora była jedyną dyrektywą działania. Nie ich ostrożność raziła, bo ta w sprawach publicznych zaletą i zasługą, lecz zupełny brak wiary i brak programu. Boć programem żadnym nie jest oglądanie się na cudzą wolę, i bezczynność nigdy nie przysparza sił. Gdyby tacy tylko ludzie byli u nas w Stanisławowskie czasy, rozbiorów nie byliby powstrzymali, ale nie byliby nam dali Konstytucyi 3 Maja, aniby z ich szeregów był wyszedł Kościuszko. Uniknąć zatargu, natychmiastowej szkody, to słuszna, ale to nie dosyć; to też popełnia błąd graniczący z winą, kto za najwyższą instancyę obcą uważa instrukcyę, uniknięcie konfliktu niemal za najwyższy punkt programu uważa. Może to czasem wydawać się dobrem na dziś, lecz to nie wystarcza na jutro. A przecież w polityce nie wolno żyć tylko z dnia na dzień, nie wolno zapominać o jutrze.

Drugim pokrewnym błędem to znów pewna konfuzya w pojęciach i uczuciach, istotne niezrozumienie realnej polityki. A spotykałem ludzi, którzy nie rozumieli różnicy między chwilowym

systemem politycznym, a ideałem politycznym. Biorąc system za ideał, chwilowe za przyszłe, obniżali polot swej myśli, swych aspiracyi, przez to obniżali i program swych prac, ścieśniali zakres obowiązków. Obniżka myśli i pracy musi wytwarzać i obniżkę rezultatów. Rzekomo trzeźwy realizm, co odrzucał Mickiewiczowskie hasło: »mierz siłę na zamiary«, obniżając zamiary obniżył i siły, zawinia deficyt rozwoju. Bo bodźca silnego trzeba do natężonej pracy, nam tak potrzebnej, a on ten bodziec osłabił. Uczy nas religia: nie będziesz brał imienia Boga twego nadaremno, i słusznie, a tak samo nie trzeba nadużywać imienia ojczyzny. Ale wzbraniając ustom wzywać imienia Boga nadaremno, religia każe w sercu Go nosić, każe życiem oddawać Mu cześć. Obniżenie politycznego ideału, hołd dla systemu zamiast ideału, wywołuje obawę, że z imieniem ojczyzny i jej pojęcie może pójść w zapomnienie, że życie nie uczci jej swą pracą. A bez tej pracy i myśli czyż może się podnieść jej dola? Egoizm każe zapominać o stratach poniesionych, aby sobie rzewnem wspomnieniem nie mącić spokoju, każe zapominać o obowiązkach wobec przyszłych pokoleń, aby sobie używania nie uszczuplić i pracy nie przysporzyć, ale czyż takie ciasne sobkowstwo i krótkowidztwo wystarczą dla narodu, którego byt przecież zależy od współpracy szeregu pokoleń? I dlatego też wprost za bolesne uważam powyższe objawy, bo etycznie są one objawem zaniku hartu, wiary i woli, a realnie są one zacieśnieniem zakresu myśli i pracy. Ich hyperrealizm jest też przez to realnie szkodliwym. Dalej grozi on nam stopniowo zatraceniem poczucia ogólno-narodowej łączności, a to przecież jest jedna z naszych głównych sił, opoka naszego bytu.

Ogólny ten pogląd na nasze położenie wykazuje liczne trudności, liczne straty i niebezpieczeństwa. Błędem byłoby wielkim zakrywać sobie ten stan, pocieszać się dodatnimi objawami. Dodatnie te objawy mają doniosłość w dwóch kierunkach: najpierw są one istotną siłą i pomnożeniem sił, dalej stwierdzają one, że świadoma, ofiarna działalność nawet w tak trudnych warunkach, jak nasze, może przynieść i przynosi dobre skutki, istotny pożytek. To nam otuchy i odwagi dodawać powinno, ale nie może nas uspokoić, dopóki tyle ujemnych objawów, tyle strat

stwierdzać musimy. Na słabe punkta przedewszystkiem zwracać trzeba uwagę, ku nim zwracać pracę, one bowiem grożą pogorszeniem i osłabieniem naszem. Liczne nawet dodatnie pozycye nie zapewnią bytu, nie uczynią bilansu aktywnym, gdy jeszcze liczniej wystąpią pozycye bierne, wątpliwe, stratne.

Ujemne te pozycye, ich fakt, ich rozmiar i kierunek, stanowić przeto przedewszystkiem powinny przedmiot naszej troski, myśli, naszego czynu. Przecież nie chcemy ginąć, nie chcemy pocieszać się tylko, że nasza literatura, historya pozostaną w dziejach ludzkości — jak Grecya i Rzym — chociażbyśmy istnieć przestali. Rozpłynięcie się w innych organizmach nie może być naszym programem, ni naszą pociechą. Historyozofia podnosi, że narody mają swe posłannictwo dziejowe, swe powołanie, swą misyę i służbę. Zaznacza to i Szujski pisząc [1]:

»Dzieje cywilizacyi mieszczą w sobie i tę sumę objawów życia narodowego, która bez względu na stan i wypadki polityczne, jest jego kapitałem, zdobyczą, zasługą. Nie pozwalają one cenić pewnej epoki, lub pewnego narodu tylko wedle ilości zwycięstw i sukcesów politycznych, wedle potęgi jego i chwały ziemskiej, zwracają szczególniejszą uwagę na jego pracę, jego myśl, uczucia, jego stan moralny. Otóż w dziejach narodu polskiego właśnie mamy wypadek, że sądzone wedle sukcesu politycznego smutneby tylko świadectwo dawały, bo o narodzie, który dał sobie odebrać byt polityczny, który najsmutniej go skończył. Wszakże jeżeli o jakim narodzie powiedzieć można: *non omnis mortuus sum*, to o polskim. Dzieje jego cywilizacyi są stokroć chlubniejsze od rezultatów politycznych. Zginęliśmy, ale do dziś dnia o to, cośmy w ciągu kilku wieków zrobili, o nasze miasta, o nasze wsie, o nasz obyczaj, o naszą cywilizacyę, o naszą moralność i wiarę rozbija się to wszystko, coby nas moralnie zgładzić chciało. Posunęliśmy naszą pracą dziejową, mieczem, pługiem, obyczajem, wiarą o 200 mil Europę na wschód, od Wisły aż poza Dniepr i Dźwinę, a jakeśmy posunęli o tem mówi historya cywilizacyi naszej. Wiele rzeczy w politycznych dziejach

[1] Dzieje cywilizacyi polskiej, str. 5.

tłumaczy się właśnie tą pracą cywilizacyjną, tą walką z ogarnięciem przestrzeni. Wiele złego znajduje tam swoje wytłumaczenie. O ile zatem historya polityczna napełnić nas powinna grozą naszych błędów, poczuciem naszych braków, o tyle dzieje cywilizacyi świadomością naszej wartości i poczuciem naszego powołania«.

Warunkiem spełnienia powołania, swej służby dziejowej, jest zachowanie swej indywidualności, zachowanie swego bytu narodowego. Ale i bez owej tezy ogólnej o misyi narodu można twierdzić, że sam fakt życia nakłada obowiązek życia, fakt posiadania dziedzictwa dziejowego obowiązek zachowania i pomnożenia dziedzictwa. Marny to syn, co ojcowiznę traci.

Zachowanie życia i dziedzictwa nieda się zapewnić samą dobrą wolą. Na to potrzeba świadomego czynu, czynu, coby umiał ocenić i rozważyć, co robić, jak robić, kiedy robić. Świadomość celów, środków, metod działania winna być podkładem i kierownikiem czynu. Nie uczucie samo, choćby najgorętsze i najszlachetniejsze, nie rutyna dawna, która zresztą mogła być nie złą w innych warunkach, nie kopiowanie niewolnicze cudzych wzorów, ani własne widzimisię mogą nam zapewnić konieczny owocny czyn; on będzie owocnym tylko, gdy będzie świadomym.

Świadomość tę wytworzyć może i powinna nauka narodowej polityki.

Odmienne położenie nasze w każdym z trzech zaborów, uprawniona chęć zwracania się głównie ku konkretnym zagadnieniom najbliższym, sprawiły, że dotąd nie wyrobiliśmy sobie nauki narodowej polityki, któraby ujmowała całość zagadnienia. Stworzenie takiej nauki uważam za ważne zadanie. U nas bowiem podmiotem działającym jest całe społeczeństwo, nam więc przedewszystkiem zależy na politycznem uświadomieniu społeczeństwa, jako warunku i podstawie skutecznego czynu. Uświadomienie to przygotować, krzewić, wyrobić, obmyśleć, jak ta niezorganizowana całość, naród bez państwa, działać może, zdoła tylko nauka narodowej polityki. Jaki ogół zagadnień ona obejmować powinna, tego zarys chcą podać dalsze rozdziały tej pracy.

Utraciliśmy byt polityczny przez brak politycznego zrozu-

mienia. Brak zrozumienia, brak świadomości, co robić i zrobić można i trzeba, wywoływa bezradność lub działanie na oślep, opóźnia konieczny zbawczy czyn, a dopuszcza nieopatrzne czyny, błędne środki i drogi, przez co stopniowo osłabia siły, utrudnia warunki, pogarsza położenie. Prawdą to jest dla wszystkich dziedzin i stosunków życia. Prawda ta odnosi się i do nas. Zagrożony byt nasz narodowy utrzymać, rozwinąć, lepszą przygotować przyszłość, zdołamy tylko, gdy krzewienie politycznego zrozumienia, świadomości narodowej i politycznej, skutecznie będzie podjętem. A na to nam potrzeba nauki narodowej polityki.

*Józef Milewski.*

# OBJAWIENIE I DOGMAT

## W TEOLOGII KATOLICKIEJ A W TEOLOGII MODERNIZMU.

Chwile dziejowe, w których wykłuwały się nowe błędy i w których na drzewie nauki katolickiej jakiś zamknięty pączek roztwierał się w kwiat określonej prawdy, poprzedzał zwykle w świecie myśli teologicznej dłuższy lub krótszy moment zamięszania i niepokoju. Prawdy, na pozór jasne, zaciemniały się nagle w wielu umysłach; zaczynały zewsząd tłoczyć się pytania, rzekomo dawno już rozwiązane, w rzeczy samej nowe a doniosłe; otwierały się nowe punkty widzenia, wobec których groziły zachwianiem nawet te prawdy, co uchodziły dotychczas za kamienie węgielne systemów i teoryi.

Taką chwilę przeszła teologia katolicka z samym początkiem bieżącego lat dziesiątka, głównie w latach 1904 i 1905. Chwila była tem poważniejsza, że chodziło naprawdę o kamień węgielny, nie tej lub owej teoryi, ale całej wiary katolickiej, że zamieszanie dosięgło najgłębszych podstaw katolickiego na świat poglądu. *Autour des fondements de la foi* — tak charakteryzowały grunt tych zagadnień same tytuły prac wtedy powstałych.

Bo w rzeczy samej, rozgrywało się dla katolicyzmu »być albo nie być«.

System modernizmu jeszcze nie był całkowicie wykończony, ale już od lat kilku przewodnie jego myśli dojrzewały w wielu duszach i prowadziły po cichu a stale dzieło zniszczenia. Już w wielu umysłach, głęboko zakorzeniony agnostycyzm zepchnął

był poznanie na trzęsawiska symbolizmu i relatywizmu, pragmatyzmu i woluntaryzmu; immanentyzm przeniósł był wszelką rzeczywistość w sferę podmiotowego życia; wyuzdana krytyka biblijna, przeciąwszy węzeł między wiarą a historyą, roztwarła była drzwi na oścież nieograniczonej ewolucyi.

Zrazu nie było całkiem jasne, czem te teorye grożą i dokąd prowadzą; zdawało się, że znajdzie im się miejsce w obrębie dawnego chrześcijaństwa. Nareszcie jednak otwarły się oczy; zrozumiano, że w następstwie tych poglądów wiara katolicka musi się zmienić zasadniczo lub zniknąć.

Wobec tych konsekwencyi raz świadomie pojętych, rodzący się modernizm mógł jeszcze upamiętać się i cofnąć. On tego nie zrobił i z tą chwilą podpisał na siebie wyrok potępienia. Upojony młodem winem swych teoryi targnął się na to, co stało mu się kamieniem obrazy, przyłożył rękę do głębokiej przemiany wiary katolickiej, a przyłożył ją w punktach tak zasadniczych, jak objawienie i dogmat.

Tak jest; postanowiono objawienie i dogmat przelać na nowe formy. »Umysł współczesny«, powiada bez ogródki jeden z koryfeuszów modernizmu, »nie bawi się w szczegółowe negacye dogmatów wiary. Tu chodzi o pojęcie dogmatu jako takie. Trzeba raz wreszcie stanowczo rozstrzygnąć pytanie, czy myśleć po katolicku znaczy nie myśleć wcale, czy katolik w myśl rady Pascal'a musi się systematycznie ogłupiać, powtarzając na pociechę: *Credo quia absurdum*«.

Zabrano się rączo do pracy.

Zrazu posypały się nieśmiałe pytania i wątpliwości, potem otwarto w kwestyi dogmatu całą ankietę; w odpowiedziach zaczęły się pojawiać coraz śmielsze krytyki, coraz radykalniejsze plany reformy; z narzuconych tu i ówdzie myśli zaczął nareszcie składać się jednolity system. Z upływem chwili zamętu pojęć, o której wspomnieliśmy na wstępie, modernistyczna teorya dogmatu i objawienia była w zasadzie gotowa.

Mówimy: modernistyczna teorya — bo i w naszym przedmiocie wielką ma racyę encyklika *Pascendi*, że to jest system jeden, choć częściami wypracowany w kilku kuźniach. Loisy czy

Tyrrell, Laberthonnière czy Fogazzaro, Blondel czy Minocchi, Le Roy czy Murri — wszyscy pracowali jakby według jednego planu. Spajając fragmenty, które wyszły z pod ich ręki, prawie zupełnie obejść się można bez młotka i kitu, bo wszystko tak ściśle przystaje do siebie, że i szpar dopatrzeć się trudno.

I to jest właśnie, co nam pozwala w miejsce nużących dociekań nad zdaniami pojedyńczych autorów, postawić ogólniejsze i donioślejsze pytanie: co modernizm jako taki sądzi o pojęciach objawienia i dogmatu. To zagadnienie, lepiej niż jakiekolwiek inne wprowadzi nas w głąb, tak samego systemu, jak psychologicznego tła duszy jego twórców [1].

Abstrahując na razie od subtelniejszych kwestyi i pozostając w najogólniejszych pojęciach, dogmat w sensie katolickim jest to po prostu prawda objawiona przez Boga. Bo Kościół wie i wierzy, że pozaświatowy, rozumny, osobowy Bóg przemówił do ludzkości, nie tylko mową dzieł swoich, nie tylko wewnętrznem światłem łaski, ale słowem, które sam włożył w usta swych

---

[1] Podajemy tytuły główniejszych artykułów i książek, które wywołały ten spór o podstawy wiary. A. Loisy: *L'idée de la révélation; Les preuves et l'économie de la révélation* — oboje w *Revue du clergé français* 1900. *L'évangile et l'église* 1902. *Autour d'un petit livre* 1903. G. Tyrrel: *Lex orandi or prayer and creed* 1904. *Semper eadem* w *The Month* 1904. *The limits of the theory of development* w *Catholic World* 1905. *The rights and the limits of theology* w *Quarterly Review* 1905. *Lex credendi a sequel to Lex orandi* 1906. *A much-abused letter* 1906. *Théologisme* w *Revue pratique d'apologétique* 1907. E. Le Roy: *Dogme et critique* 1907. (Praca ta jest zbiorem artykułów z kilku lat poprzednich). Laberthonnière: *Essais de philosophie religieuse.* 1903. *Le réalisme chrétien et l'idéalisme grec* 1904. *Dogme et théologie* w *Annales de philosophie chrétienne.* 1907 i nn. Anonim: *Lettres Romaines*, tamże 1904. Tutaj też należy cały szereg prac przeważnie anonimowych, publikowanych w *Quinzaine* (pismo jeszcze przed encykliką zawieszono), pisanych w odpowiedzi na ankietę p. t. *Qu'est ce que c'est qu'un dogme,* otwartą przez E. Le Roy i redaktora Fonsegrive'a. Z obozu modernistów i modernizujących zabierali głos w tej kwestyi: M. Blondel, Desjardins, de Hügel, Sertillange i wielu innych.

Z całej powodzi prac antymodernistycznych nie cytujemy już nic prócz kilku oderwanych nazwisk autorów, którzy w sporze wybitniejszą odegrali rolę: Fontaine, Portalié, Wehrlé, Pègues, D. Palmieri, E. Polidori, v. Schanz, Chr. Pesch, Lebreton, Gardeil, Bricout, Batiffol, Lagrange, Billot, Mattiussi, Bonaccorsi i bardzo wielu innych.

wysłanników, przedewszystkiem Chrystusa Pana, a po nim apostołów. Ze śmiercią ostatniego apostoła, zewnętrzne słowo objawienia Bożego zamilkło już na zawsze, tak, że od tej chwili przybytku prawd objawionych nie było i nigdy nie będzie. Zostało dla świata jedno tylko zadanie: strzedz pilnie skarbu słów Bożych, czyli jak św. Paweł go nazywa »depozytu wiary« i nie tylko strzedz, ale go coraz głębiej poznawać, rozwijać, różniczkować, by przez to coraz głębiej go wszczepiać w intelektualne i praktyczne życie ludzkie, a z niem wnosić w ludzkość nadprzyrodzone światło i siłę.

Tę funkcyę strzeżenia i rozwijania słowa Bożego sprawuje z ustanowienia Chrystusa Pana nieomylny urząd nauczycielski katolickiego Kościoła. Od chwili wielkiej swej misyi »idąc nauczajcie«, idzie Kościół przez wieki podając wierze ludzkości zawsze to samo słowo Boże, które usłyszał na początku, ale podając je w formie coraz doskonalszej, bardziej sprecyzowanej i dobitnej. Jeżeli Kościół w ciągu tej wiekowej misyi nauczycielskiej od czasu do czasu uroczyście określał, że ta a ta prawda wchodzi w zakres objawienia Bożego, to ta prawda z dogmatu w sensie szerszym, stawała się dogmatem w sensie ścisłym. Do takich dogmatów w sensie ścisłym, a więc prawd objawionych przez Boga i uroczyście określonych przez Kościół, należy np. po soborze efezkim macierzyństwo Boże Najświętszej Panny, po soborze watykańskim nieomylność papieża, po roku 1854 Niepokalane Poczęcie i t. p. Kiedykolwiek jednak przyszła, czy przyjdzie do skutku tego rodzaju uroczysta definicya dogmatyczna, jest ona jedynie orzeczeniem, że to a to, w tej lub owej formie przez Chrystusa lub apostołów powiedział Bóg, że więc tę prawdę uważać mamy za objawione słowo Boże.

Już z tego krótkiego szkicu katolickich poglądów na objawienie i dogmat, wypływa najoczywiściej, że oba te pojęcia we wszystkich swych stadyach należą do sfery rozumowej. Przedmiot objawienia jest sam w sobie objektywną prawdą; jest stwierdzeniem tej prawdy objawiające słowo Boże, któremu w umyśle człowieka odpowiada rozumowe prawdy uznanie; rozumowy proces wyjaśnienia i precyzowania

pojęć prowadzi do ostatecznej definicyi, która znowu jest spekulatywnem twierdzeniem i niczem więcej. Dla serca ludzkiego z całą gamą jego wrażeń, uczuć, nastrojów, stworzył Bóg inną stronę nadprzyrodzonego porządku, cały świat łaski i darów odnoszących się do woli — objawienie jest światłem odnoszącem się do rozumu. I darmo powoływać się w tej kwestyi na jakąś identyczność aktów poznania i miłości [1]. Najprymitywniejsza analiza aktów psychicznych uczy nas z wszelką pewnością, że co innego jest chcieć, co innego poznawać. Otóż objawienie według nauki katolickiej wprowadza nas w świat nadprzyrodzony ze strony rozumu, łaska, ze strony woli.

Inaczej w teologii modernizmu.

Ona zaczęła od tego, by wyzuć objawienie i dogmat z rozumowego charakteru.

I nie mogła postąpić inaczej. Teren intelektualny tak sprzyja jasności, precyzyi, wyraźnemu zakreśleniu konturów, że na nim niepodobna dokonać dzieła podstawienia nowych wartości pod formuły dogmatyczne. By to się udało, dogmat musiał być zepchnięty na pole wrażeń, uczuć i czynu. Na ten więc punkt skierowano najsilniejszy atak. Loisy pociągnął do szturmu pozytywną drogą krytyki biblijnej; Blondel i Le Roy wytoczyli filozoficzne działa; Laberthonnière i Tyrrell podjęli walkę w imię teologii i pobożności chrześcijańskiej.

Wy sądzicie, tak pytał pierwszy, że wasze dogmaty dzisiejsze to prawdy, co wam gotowe spadły z nieba przez usta Chrystusa i apostołów? Ależ spojrzyjcie bezstronnie na ewangelie! Jeśli poddamy analizie autentyczne ich części i usuniemy to zabarwienie, jakie nadała słowom i czynom Chrystusa wiara piszących — cóż pozostanie z tych

[1] Tak np. pisze Tyrell, wśród wielu innych: »Ma psychologie m'empêche de concevoir aucun acte spirituel, dont la simplicité réelle et indivisible, ne puisse pas logiquement se resoudre par analyse en connaissance, en sentiment et en volonté, ou qui n'implique pas une vérité appréhendée tout aussi bien, qu'une fin desirée et qu'une détermination pratique«. *Théologisme,* l. c. str. 501. Łatwo zrozumieć jak dalece się to sprzeciwia doświadczeniu wewnętrznemu każdego. Bo choć można twierdzić, że rozum i wola to nie są władze realnie różne od duszy i od siebie wzajem, każdy przyznać musi, że jedna i niepodzielna dusza innego rodzaju akt obudza gdy chce, jak gdy poznaje.

dogmatów, które rzekomo mają się zawierać w samej nauce Zbawiciela? Nie pozostanie nic zgoła. Bezstronny krytyk dojdzie do przekonania, że Pan Jezus nie ogłosił światu ani Bóstwa swojego ani troistości osób Bożych, że nie założył Kościoła, nie ustanowił sakramentów, że jednem słowem nie wypowiedział ani jednego dogmatycznego twierdzenia. Chrześcijaństwo Chrystusa to tylko impuls religijny, który miał wstrząsnąć judaizmem i przygotować go drogą moralnego odrodzenia na nadejście blizkiego końca świata. Z tego impulsu dopiero, który po tragicznym zgonie Mistrza udzielił się szerszym masom, poczęły rodzić się w wierze pierwszych chrześcijan dogmata religijne, jako interpretacya wrażeń przez osobę Chrystusa wywołanych. Krytyk może po dziś dzień nieomal palcem pokazać na kartach historyi, jak i gdzie te dogmaty się rodziły. Tu Bóstwo Zbawiciela, tam Trójca, ówdzie Kościół i sakramenta lub dogmat o potrzebie łaski — to wszystko w pewnej chwili dziejowej ma swój początek w świadomości chrześcijańskiej a potem z nią razem rozwija się i wzrasta. Jeżeli więc dogmat chcecie zaliczyć do intelektualnej sfery, to zgoda — ale nie zapominajcie, że dogmat w tem znaczeniu to właściwie formuła dogmatyczna, produkt myśli ludzkiej. O ile od Boga pochodzi, jest dogmat tylko impulsem i nastrojem [1].

Edward Le Roy wychodzi z innego punktu widzenia.

I czemże byłby sam dogmat gdyby koncepcya intelektualistyczna była prawdziwym jego wyrazem a nie spaczeniem? Byłby on spekulatywnem twierdzeniem, a twierdzeniem które nie da się udowodnić a więc nie da się i przyjąć, bo t w i e r d z e ń, które ani bezpośrednio oczywistymi nie są ani udowodnić się nie dadzą, od czasów Kartezyusza nie pozwala przyjmować metoda filozoficzna. Że zaś dogmatu pojętego jako twierdzenie udowodnić nie można — to pewna. Niemożliwość dowodów wewnętrznych, głoszą sami intelektualiści; co do zewnętrznej argumentacyi, filozofia rozwiała dziś złudzenia apologetyki dawnej, że można uboczną drogą udowodnić, już nie treść dogmatycznego twierdzenia, ale fakt jego prawdziwości. Bo cała ta mozolna argumentacya apologetyczna s u p o n u j e możliwość rozumowego dowodu, że Bóg jest, że do ludzi przemówił, że w piśmie i tradycyi kościelnej zachowały nam się Jego słowa — a przecież dzisiaj powszechnie wiadomo, że same te prawdy już do sfery dogmatu należą i udowodnić się nie dadzą! Jeśli więc dogmat jest spekulatywnem twierdzeniem, trzebaby go przyjąć bez dowodów. Lecz nie dość na tem. Obecne

[1] To co podaliśmy powyżej jest po prostu wiernem a krótkiem streszczeniem dwóch głównych książek Loisy'ego: *L'évangile et l'église* i *Autour d'un petit livre*. Prawie całe to streszczenie nasze da się zrekonstruować ze zdań wyjętych z pism Loisy'ego i zebranych w Syllabusie z dnia 3 lipca 1907. Por. zdania: 14, 15, 16, 18, 22, 27, 31, 33, 38, 39, 40 i t. d. prawie bez wyjątku.

twierdzenia dogmatyczne nie tylko nie dadzą się udowodnić, ale nie dadzą się nawet w jakikolwiek rozumny sposób pomyśleć. Bo wszystkie dogmaty są zakute w pojęcia i formuły zapożyczone od starej scholastycznej filozofii, a ten kierunek stał się dla myśli współczesnej czemś absolutnie obcem i niezrozumiałem. Czemże więc będzie twierdzenie przyjęte bez dowodu i pozbawione do tego jasności wewnętrznej? Ono będzie dla umysłu wiecznym gwałtem i niewolą, będzie jak piasek w oku, wiecznie drażniącą naleciałością zewnętrzną, która burzyć będzie jedność i harmonię duchowego życia, będzie wreszcie martwym czynnikiem, co z duszą się nie zrośnie, a więc życiem duszy nie nasiąknie i owocu nie wyda. A nieproduktywność, to zaprawdę bardzo ciężki zarzut w chwili, w której filozofia zaczyna uważać za kryteryum prawdy wartość jej praktyczną i zdolność do wywarcia życiowego wpływu.

Trudności te podnosi p. Le Roy w formie pytań, wkońcu jednak oświadcza, że odpowiedzi na nie nigdy nie dano i dać nie można, że więc intelektualistyczne pojęcie dogmatu napotyka wszędzie na niemożliwości *et parait aboutir fatalement à faire des dogmes de purs non-sens* [1].

Jerzy Tyrrell używa tego sposobu walki z intelektualizmem dogmatycznym, że z wielkim zapałem i akcentem szczerego oburzenia broni prawdziwej »teologii« przed systemem, któremu daje miano »teologizmu«, a który rzekomo prawdziwej teologii grozi zagładą. Czem jest »teologizm« w jego myśli, z tego łatwo zdać sobie sprawę. Jest to, jak słusznie mówi poważny krytyk, cała rozumowa koncepcya wiary, czy ona się zawiera w orzeczeniach soborów lub papieży, czy w symbolach, czy nauce szkół teologicznych.

Ona nie jest teologią ta nauka, co pojmuje depozyt wiary jako szereg twierdzeń teologicznych, nauka, która dogmatycznym orzecze-

[1] Cały powyższy ustęp wyjęliśmy prawie dosłownie z artykułu p. t. *Qu'est ce que c'est qu'un dogme?* wydanego w *Quinzaine* z dn. 16 kwietnia 1905. Por. głównie str. 499, 511. Z pewnemi zmianami wyszedł ten sam artykuł w książce p. t. *Dogme et critique.* Przy tem utwierdza się autor w swojej negacyi zasadą najskrajniejszego racyonalizmu: »Nulle autorité ne peut faire ou empêcher que je trouve un raisonnement solide ou fragile ni surtout que telle ou telle notion ait ou n'ait pas de sens pour moi. Je ne dis pas seulement qu'elle n'en a pas le droit, mais que c'est chose radicalement impossible car en définitive c'est moi qui pense et non l'autorité qui pense pour moi. Contre ce fait, rien ne saurait prévaloir«. L. c. p. 507.

niom przyznaje jedynie doktrynalne znaczenie, nauka wreszcie, która wtłaczając formuły objawione w prokrustowe łoże logicznych dedukcyi, rzekomo w imieniu wiary i rozumu, narzuca pęta umysłom i sercom, zmuszając je do uległości moralną a często i fizyczną przemocą. To nie teologia, to sekta, której można dać miano teologizmu, sekta co po wszystkie czasy była źródłem samych herezyi, co jak ostry miecz rozdzierała od początku mistyczne ciało chrześcijaństwa, sekta zarówno wroga rozumowi jak wierze, co była dla objawienia pierwiastkiem rozkładu i zepsucia a kamieniem obrazy dla dusz prawdziwie religijnych. Boć przecież pojmując dogmat jako rodzaj spekulatywnego twierdzenia, musi się go wciskać w jakieś filozoficzne kategorye! A wszakże filozofia się zmienia i zmieniać się musi, bo swoboda krytyki jest warunkiem jej postępu. Cóż się więc stanie z objawieniem jeśli je związemy z jakimkolwiek systemem pojęć filozoficznych? Czy może duszom szukającym Boga każemy koniecznie przechodzić przez krużganki perypatetycznej filozofii? A czemuż był czas gdy dogmat na innej filozofii się wyrabiał, czy to żydowskiej czy platońskiej? Nie — Kościół nie jest na to posłany, by nauczał systemów filozoficznych i nie otrzymał na to chryzmatu z nieba! Objawienie i dogmat muszą być czemś takiem, co dla prostaczka jest równie dostępnem jak dla filozofa, czemś, co nie daje więcej uczonemu niż nieukowi, bo powiedziano: *Revelasti ea parvulis.* I św. Paweł naucza wyraźnie, że przepowiadanie jego »nie jest w przyłudzających słowach mądrości ludzkiej, ale w okazaniu ducha i mocy, aby wasza wiara nie była w mądrości ludzkiej ale w mocy Bożej« (1 Kor. 2, 4. 5). Nie wiedza posuwa ku Bogu ale miłość i nie to, co robi uczonym, ale świętym. Wielki czas, by uderzyć dzisiaj w tę samą strunę, co dźwięczała niegdyś tak silnie w ręku Tomasza a Kempis przeciw scholastyce średniowiecza: »Cóż nam pomogą subtelne rozprawy o głębokich i tajemnych rzeczach i na co się nam troszczyć o rodzaje i gatunki?... Gdy dzień sądu nadejdzie nie będą się nas pytać cośmy czytali, ale jakeśmy pobożnie żyli« [1].

U Laberthonnière'a same tytuły dużo mówią: *Le dogmatisme moral, Le réalisme chrétien et l'idéalisme grec.*

Wygórowany kult rozumowej spekulacyi to zabytek pogańskiej myśli. Chrześcijaństwo to nie czcza wiedza ale życie religijne. Mimo sztucznego przymierza, jakie między nimi zawarto, były te dwa pierwiastki w nieustannej wojnie ze sobą; w obecnej chwili, naprężenie

[1] Wyjęliśmy te ustępy prawie dosłownie z artykułu *Théologisme*, pisanego po *Lex credendi* i *Lex orandi*, nawet po *A much-abused letter* a przed samym dekretem *Lamentabili*. Artykuł jest i z tego względu znaczący, że jest odpowiedzią na trafną krytykę dzieł poprzednich zrobioną przez ks. Lebreton S. J. i dlatego zmusza autora do wyjaśnienia zajętego stanowiska.

jest silniejsze jak kiedykolwiek i gwałtownie domaga się rozwiązania. A rozwiązanie leży w tem, by w jaśniejszem świetle postawić naturę chrześcijaństwa. Otóż już same ewangelie nie są podręcznikiem ani filozofii ani historyi, nie dają wogóle żadnego teoretycznego pouczenia. One nie uczą o Chrystusie ale podają nam Go jako konkretną rzeczywistość i jako źródło życia, które mamy w Nim znaleźć przez wiarę. Do tej rzeczywistości konkretnej nie zbliżamy się drogą badania, ale przez to, że czujemy jak nasz byt w tym bycie korzenie zapuszcza i tak się z nim zrasta jak z drzewem gałązka. Filozofia pogańska upatrując właściwą rzeczywistość w niezmiennym, abstrakcyjnym systemie pojęć i definicyi, musiała w dochodzeniu do prawdy oddać prym rozumowi; konkretną i żywą rzeczywistość chrześcijańską, to jest wreszcie Boga i Chrystusa a w nich ludzkość, przyswajamy sobie wnętrzną działalnością serca, które wyzuwając się ze siebie utrwala się w prawdzie. Bo do prawdy nie dyalektyka prowadzi, ale dobra wola i nie wiedza z pod grzechu wyzwala tylko ten akt wiary, którym głąb serca otwieramy Bogu i Jego miłości. W tem dochodzeniu do prawdy oczywiście i myśl gra pewną rolę, ale prawda do idei i sądów z wewnątrz napływa; one zostaną pustemi ramkami, jeśli ich serce treścią nie wypełni. Stosunek duszy do Boga ani nie jest nauką ani nie da się wyrazić naukowo, bo to stosunek żywy, konkretny, polegający na tem, że przez łaskę pulsuje w nas życie Boże. O tym stosunku poucza objawienie. To objawienie wprawdzie ujmuje się w pojęcia i zdania, te pojęcia i zdania dochodzą do nas drogą autorytetu i tradycyi, ale wszystkie te idee i definicye to tylko środki, które prowadzą do Boga, nie sam Bóg; za ramą tych form leży ten absolut, którego żadne pojęcie wyczerpać nie może, absolut, ku któremu się zdąża krokami, nie umysłu ale czystego serca, i drogą, nie spekulacyi, ale miłości [1].

Patronom tych myśli, których podaliśmy krótkie streszczenie, wydawało się, że intelektualistyczne pojęcie dogmatu i objawienia, już raz na zawsze złożyli do grobu. Pozostawała pozytywna część pracy, trzeba było w miejsce dawnej, zbudować na tych nowych założeniach nową teoryę, a powtóre, ponieważ zrazu nie chciano opuszczać Kościoła, sharmonizować ją jakkolwiek z katolickiem dogmatu pojęciem.

Zaczęto bardzo logicznie od pojęcia objawienia.

Byleby zastanowić się choć trochę nad kwestyą czem właściwie jest objawienie — choć różne mogą być zewnętrzne okoliczności towarzyszące rozbudzeniu i rozwojowi religijnego poznania, odpowiedź

[1] To, co podaliśmy jest znów krótkiem streszczeniem obu wspomnianych dziełek, a streszczeniem w którem zachowano przeważnie i wyrażenia autora.

znajdziemy jedną tylko: to co nazywamy objawieniem to nie mogło być nic innego jak akt, którym człowiek uświadamia sobie stosunek, w jakim stoi do Boga. Pierwszem świtaniem objawienia to moment, w którym człowiek zdał sobie sprawę w sposób choćby najprymitywniejszy ze stosunku w jakim stać powinien do Boga ukrytego poza fenomenalnym światem. Rozwój religii objawionej dokonywał się przez percepcyę nowych stosunków, a raczej przez bliższe określenie tego zasadniczego stosunku do Boga, który niejasno poznawano od początku. W ten sposób osiągano coraz doskonalsze rezultaty najpierw w religii Izraela, potem w chrześcijańskiej, bo i chrześcijańskie objawienie ma swój punkt wyjścia w tym akcie świadomości, jakim Chrystus zdał sobie sprawę ze stosunku swego własnego i ludzi do Ojca, który jest w niebiesiech [1].

Czyż więc ten akt świadomości, na którym polega objawienie, jest dziełem samego człowieka?

Nie. Objawienie to nie jest praca człowieka, która miałaby za przedmiot Boga; to głównie i przedewszystkiem praca Boga w człowieku i współpraca człowieka z Bogiem. Transcendentny ale i immanentny człowiekowi Bóg, działa na duszę. Człowiek szuka, ale Bóg go pobudza; człowiek widzi, ale Bóg, go oświeca [2].

Czemże tedy jest i co niesie ze sobą to działanie Boże?

Loisy nie daje całkiem zadawalniającej odpowiedzi, tylko usilnie napomina by objawiającego Boga nie pojmować jako nauczyciela, który uczniowi podaje gotową lekcyę; by nie myśleć ani o ideach wlanych, ani o jakiemś intelektualnem widzeniu prawdy, bo to wszystko są mechaniczne i antropomorficzne sposoby pojmowania. Ten objawiający akt Boży dokładniej opisuje Tyrrell.

Objawienie to nie jest istotne i bezpośrednie podanie jakiejś prawdy; to wzruszenie, impuls, uczuciowe dotknięcie serca; intelektualny wyraz objawienia jest w podobny sposób reakcyą człowieka, jak reakcyą jest widzenie senne, które powstaje w duszy śpiącego pod wpływem jakiejś zewnętrznej przyczyny. Objawienie nam udziela nie słów ani symboli, ale rzeczy; ono nam daje jakieś wnętrzne doświadczenie już to obecności Boga, już to Jego opatrzności i ojcostwa, już to zbawczej mocy Chrystusowej, już to obcowania świętych, odpuszczenia grzechów, nadziei wiekuistych. Organem tego doświadczenia jest pewien zmysł religijny podobnie własny duszy ludzkiej jak zmysł naukowy, etyczny lub estetyczny, zmysł który w nas jest jakby przeczuciem

[1] *Autour d'un petit livre*, str. 195—197.

[2] Jak wyżej i *L'idée de la révélation*.

i niejasnem odczuwaniem absolutu, które ma się wydoskonalić w objawieniu [1].

Czyż wobec tego może być mowa o objawieniu »prawdziwem« i »nieprawdziwem«?

Czy wogóle do podmiotu »objawienie« można dołączyć w orzeczeniu słowo »prawdziwe«?

Prawda, której zdolne jest objawienie jest właściwie prawdą praktyczną, prawdą do wyboru *(une vérité de préférence)*, prawdą w przybliżeniu; dopiero ubocznie może wejść ta prawda w sferę spekulatywną. Objawiający Bóg daje właściwie swą aprobatę jakiejś drodze, jakiemuś sposobowi życia, czucia, działania odnośnie do niewidzialnego świata a i to potwierdzenie Boże ogólnie tylko zaleca jakiś kierunek drogi jako sposób zbliżenia się do ideału [2].

Czy więc są równie prawdziwe wszystkie religie powołujące się na objawienie?

To nie, powiada Loisy. Żeby religia była prawdziwą, musi być prawem jej bytu ustawiczny postęp w poznaniu Boga i etycznem wyrobieniu człowieka. Gdy jakaś religia przestaje podnosić człowieka ponad samego siebie, tem samem staje się religią fałszywą. Prawdziwą w tym sensie jest tylko religia katolicka, co jednakowoż nie przeszkadza, by we wszystkich religiach istniało rzeczywiste objawienie. Bo między biednym dzikim, którego Bóg oświeca, by w swym nędznym kulcie znalazł żywot wieczny, a między prorokiem, co służy za narzędzie najdoskonalszemu objawieniu — zachodzi różnica jedynie w stopniu światła Bożego i rozległości przedmiotu, który to światło oświeca. Rodzaj światła i istota przedmiotu pozostają te same, bo w przeciwnym razie byłoby chyba kilka rodzajów objawienia i wiecznego życia [3].

Ale czyż wobec tego można jeszcze mówić z teologią katolicką, że objawienie publiczne zostało nieodwołalnie zamknięte na Chrystusie i apostołach? Odpowiada Tyrrell:

Jest to bardzo bezpodstawne i przeciwne obietnicy Chrystusowej (Jan 14, 16. 26) przekonanie, że po śmierci ostatniego apostoła objawienie chrześcijańskie nie może doznać przybytku [4]. Duch proroczy był

---

[1] Cytowany wyżej artykuł z *Quarterly Review* str. 466. *Lex orandi* str. XXIII. *Théologisme* str. 501, 503.

[2] Artykuł z *Quarterly Review* str. 467.

[3] *L'idée de la révélation* u Chr. Pescha *Glaube, Dogmen und geschichtliche Tatsachen*, str. 45, 46.

[4] To zdanie wyjmujemy z wspomnianego artykułu w *Quarterly Review*, musimy jednak dodać, że na tym punkcie autor albo sam sobie naj-

po wsze czasy czynny w sercu każdego żywego członka Kościoła i nie przestał nigdy na różne sposoby i pod różnymi nowymi kątami widzenia objawiać człowiekowi Boga. Co najwięcej powiedzieć można, że z apostołami zakończył się »klasyczny i normatywny« okres objawienia, że więc objawienia czasów następnych muszą być kontrolowane w świetle objawienia apostolskiego i mają się doń jak dzieła uczniów do dzieł mistrza w jakiejś szkole malarskiej. Poza tem jednak zaprzeczyć nie można, że objawienie jest przywilejem każdej żywej duszy, że przychodzi do każdego z wewnątrz nie z zewnątrz, że jest z tego powodu czemś indywidualnem i osobistem, że wreszcie bez tego wnętrznego objawienia można uznawać rozumowo całą naukę katolicką a nie mieć więcej wiary jak pies [1].

Tak się przedstawia w najogólniejszych zarysach modernistyczna nauka o objawieniu. Redukuje się ono do jakiegoś tajemnego impulsu, który od immanentnego Boga udziela się religijnemu zmysłowi człowieka i budzi w nim odczucie konkretnej rzeczywistości Bożej. U niektórych modernistów nosi ta nauka już bardzo wybitne panteistyczne zabarwienie [2].

---

formalniej przeczy albo kpi sobie z czytelników. W artykule bowiem *Semper eadem,* wydanym w Month 1904 użył Tyrrell następującego, niezbyt szlachetnego podstępu. Dla wydrwienia katolickich pojęć o depozycie wiary przedstawił je w sposób ultrakonserwatywny aż do zupełnej karykatury. »Niebo«, pisze tam między innymi, »otwarte przed oczyma apostołów, potem zamknęło się na zawsze. Doświadczalne poznanie, jakiem cieszyli się apostołowie, stało się dla ich następców niemożliwem; zostało tylko późniejszym pokoleniom wspomnienie rzeczy, którą apostołowie widzieli i opowiedzieli. Rodzaj ludzki w porządku nadprzyrodzonym tak się przedstawia, jakby niegdyś został tknięty paraliżem i ślepotą, i jakby skutkiem tego był skazany wyłącznie na przekazywanie wiadomości zdobytych przed tem nieszczęściem i t. d.« To było pisane po prostu na drwiny, jak sam Tyrrell daje do zrozumienia, kiedy się śmieje z naiwnych teologów, którzy te słowa wzięli za dobrą monetę i za prawdziwy wyraz katolickich przekonań. Nagle jednak znowu do tych samych pojęć powraca i oświadcza, żartem czy seryo, że ich się trzyma, jako prawdziwych patrystycznych i tradycyonalnych zapatrywań. *Théologisme* l. c. str. 523. Przy takiem postępowaniu nie bardzo wiadomo czego wreszcie się trzymać. Z wewnętrzną logiką systemu zgadza się jedynie to zdanie, jakie zacytowaliśmy w tekście.

[1] Artykuł z *Quarterly Review,* jak wyżej; *Théologisme* str. 502, 508.

[2] Jest to charakterystyczna cecha modernizmu, że w konsekwencyach swoich wiedzie zawsze ku panteizmowi. O »problemie Boga« w myśl P. Le Roy, pisano już w *Przeglądzie.* Inny ciekawy okaz umysłu, co szybciej od innych przebiegł drogę do zupełnej niewiary, można spotkać w *Revue de métaphysique et de morale,* Juillet 1902, w artykule *Le dernier idole: étude*

Tu następuje punkt dla zrozumienia modernizmu bardzo doniosły.

Według nauki katolickiej, gdy drogą tradycyi dojdzie do duszy, zewnętrzne, historyczne, nie osobiste i wewnętrzne, objawienie Boże, pod wpływem łaski rodzi się w człowieku dobrej woli ten akt rozumowego uznania objawienia, jaki nazywamy wiarą. Za wiarą ma iść miłość i życie katolickie — wiara jednak, choć żąda pewnej dobrej woli, nie jest jeszcze miłością, ale aktem rozumu; jej przedmiotem bezpośrednim jest jakieś twierdzenie o Bogu i rzeczach Bożych, nie sam Bóg, tak jak jest w niepodzielnej jedności swego konkretnego bytu. I dlatego właśnie, że bezpośrednim przedmiotem wiary jest jakieś twierdzenie, choć wiara sama nie jest owocem rozumowania, przedmiot wiary da się wciągnąć w szereg rozumowań, da się nawet wykształcić w cały system naukowy, który nazywamy teologią.

Inaczej w modernizmie.

Z tego ziarna Bożego rzuconego w duszę, jakiem jest objawienie, wyrastają, w myśl teologii modernistów dwie rośliny bardzo zbliżone do siebie i w rozmaity sposób splecione, a jednak głęboko różne. Te dwie rośliny to dwojaki sposób, w jaki człowiek świadomie reaguje na objawienie Boże, dwojaki szereg aktów żywotnych, którymi to objawienie przerabia we własne życie, a są niemi: rozumowe wypracowanie dogmatów i wiara.

Wiara, krótko mówiąc, jest dobrowolnem a czynnem i serdecznem przylgnięciem do Boga, którego żywotny kontakt odczuło się w objawieniu; rozumowe wypracowanie jest intelektu-

---

*sur la personnalité divine,* podpisanym: Abbé Marcell Hébert. Na co jeszcze nie dosyć zwracano uwagę to to, że całe wyżej opisane pojęcie objawienia z jego zabarwieniem panteistycznem zapożyczone jest od Schleiermacher'a. Kto czyta jego *Reden über die Religion* i *Der christliche Glaube* odnajdzie tam prawie całą modernistyczną naukę o objawieniu i wierze a przedstawioną jaśniej i logiczniej. Że zaś Schleiermacher wywarł ogromny wpływ na liberalną teologię protestancką najnowszej doby, nic dziwnego, że teologia modernizmu kubek w kubek przypomina adogmatyczne chrześcijaństwo najliberalniejszego protestanckiego obozu. Z tego względu, bynajmniej nie jest bezpodstawne 65-te zdanie ostatniego Sylabusa.

alną interpretacyą uczuć religijnych na pojęcia, twierdzenia, teorye. Wiara nie jest całkiem ślepa; w jakiś sposób korzysta ona z rozumowego poznania, które równolegle z nią biegnie, na tem poznaniu jednak nie poprzestaje i dotyka swego przedmiotu poprzez wszystkie abstrakcyjne formy rozumowe w konkretnej rzeczywistości jego absolutnego bytu.

Prawda — powiada Laberthonnière — nie polega według nas na określonych pojęciach ale na tej żywej a wielokształtnej rzeczywistości, co się zowie bytem Boga i bliźnich... Dlatego ku prawdzie postępuje się, nie logicznem rozumowaniem ale życiem, czyli wnętrznem działaniem, przez które wznosimy się nad samych siebie. To wnętrzne działanie, przez które otwieramy i oddajemy samych siebie jest samą treścią i najwłaściwszą istotą wiary. Wiarą, która się składa z ufności i oddania, łączymy się z absolutem i w nim odnajdujemy samych siebie [1].

Dla Tyrrella podobnie jest wiara »przylgnięciem całego człowieka do Ducha Bożego, który w nim mieszka, całego człowieka z sercem, rozumem, duszą i wszystkiem«. W tem przylgnięciu jednak jest i rodzaj »czucia« Boga, czucia, któremu w braku lepszego wyrazu daje miano »intuicyi«, a uważa je za tak właściwe naturze ludzkiej, że byłby czemś »potwornem« człowiek, któryby tego »czucia« nie doświadczał.

Wiara, to nie jest jakiś akt posłuszeństwa względem autorytetu, to nie czysto rozumowe uznanie metafizycznych twierdzeń i historycznych faktów, to rodzaj intuicyi Boga, nie twarzą w twarz, ale w mroku i jakby w zwierciedle, intuicyi osobistej nie opartej o słowo drugich. Wiara tak poprawia rozumowanie i tak rozszerza horyzont naszego poznania jak rozum poprawia i uzupełnia poznanie zmysłowe; ona nas przenosi z przestrzeni w nieskończoność, z czasu w wieczność, z tego co względne w krainę absolutu, ona jest rodzajem władzy jeszcze nie całkiem rozwiniętej ale będącej w rozwoju, którą sięgamy w to, co dziś jeszcze jest przyszłością i zaświatem [2].

Wiara tak pojęta nie może oczywiście mieć za przedmiot jakichś abstrakcyjnych, rozczłonkowanych prawd, jakiemi są np. dogmata w rozumowe formuły ujęte.

---

[1] *Le réalisme chrétien*... str. 65 i nn.

[2] *A much-abused letter*, str. 67, 71. *Théologisme*, str. 503. Art. z *Quarterly Review*, str. 469. *Lex credendi*. XIV.

Przedmiotem tej wiary nie jest abstrakcya czy ideał, ale ta żywa, konkretna siła, którą odczuwamy w sercu, siła co dąży i dźwiga nas ku sprawiedliwości, co nas wciąż popycha ku temu co lepsze, co w jedno ciało mistyczne i w jedno braterstwo wiąże dobrych ludzi wszystkich miejsc i czasów — a tą siłą nie co innego, jeno Bóg, od którego, jak od słońca, przedostają się ku nam promienie poprzez mgły i zagadki objawienia. Bo wierzyć w Boga, powiada gdzieindziej, to wierzyć w sumienie, w szczerość, w prawdę, to ufać ślepo, choć tego ani rozum nie udowadnia ani doświadczenie nie stwierdza, że prawda i prawo, jak to objawionem jest naszemu sercu, muszą wreszcie zwyciężyć i być ostatnim naszym celem [1].

I historycznie rzecz biorąc — dodaje Loisy — pierwotne chrześcijaństwo nie posiadało jakiejś sumy zdań, które trzebaby było wyznawać, by być chrześcijaninem. Wystarczało oddanie się Bogu Ojcu Stwórcy, Synowi Zbawcy, Duchowi sprawcy uświęcenia — czem było stworzenie, zbawienie, łaska — o to nie pytano [2].

Jest więc wiara nierozumowanem oddaniem się Bogu i odczuciem Jego konkretnej rzeczywistości. Z tego zaś wynika dalsza konsekwencya, że jest zupełną niemożliwością wciągnąć czy to akt czy przedmiot wiary jako takiej w system prawd rozumowych. »Słowo Boże«, powiada Tyrrell, »które odzywa się w duszy i dla duszy, nie ma nic wspólnego z nieubłaganymi prawami myśli ludzkiej [3]. Stąd niepodobna ani dać człowiekowi wiary rozumowaniem ani mu jej odebrać, nie da się rozwinąć wiary jako takiej w system logicznie związanych twierdzeń.

Wiary nie rodzi wpływ argumentów działających na rozum, ale moc woli Bożej, którą odczuwa człowiek po trochu, tak jak pies odczuwa wolę swego pana w spojrzeniu lub słowie. I na odwrót. Wszystkie spekulatywne trudności z historyi, filozofii, nauk ścisłych zaczerpnięte mogą w nas zrodzić wątpliwość, jak mamy bronić wiary rozumowo, mogą nawet całkowicie zburzyć wał ochronny spekulatywnej apologetyki — nie mogą ani dotknąć wiary samej w sobie [4]. Na polu wiary, rozum i wiedza nic nie mogą — ciągnie dalej Loisy. — Rozum nie potrafi ani wiary wywołać ani jej obalić; on może gromadzić różne prawdopodobieństwa, co drogę do wiary torują, ale żeby to było skutecznem, same te prawdopodobieństwa musi oświecić i ożywić promień, który już w wierze ma swoje źródło. Bo najgłębszym dowodem wiary

[1] Tamże.

[2] *L'idée de la révélation*, jak wyżej.

[3] *Théologisme*, str 502.

[4] Tak w konferencyach p. t. *External religion*. W wydaniu francuskiem. Paris 1902, str. 211 i nn.

jest jej przystawanie do potrzeb i dążeń człowieka, a to przystawanie odczuwa wierzący, nie jako abstrakcyę, ale jako konkretną rzeczywistość, którą w nim sprawuje Bóg. W ten sposób wiara nosi żywy dowód swej prawdy w samej sobie i nie potrzebuje się wspierać na rusztowaniu logicznych dedukcyi [1].

Jednem słowem — »religia«, jak mówi Loisy, »jest pierwej rzeczywistością niż teoryą, pierwej duchem niż ideą, pierwej życiem niż formułą«.

Widzieliśmy pokrótce religię jako »rzeczywistość ducha i życia« we wierze, idźmy z kolei do drugiego pędu, jaki wyrasta w duszy z ziarn objawienia a jest nim rozumowa interpretacya wiary z całym aparatem »idei, formuł, teoryi«.

Co nas pcha ku temu, by tę interpretacyę prowadzić? Jest to wrodzona dążność umysłu, by wrażenia przerabiać na myśli. Stąd i w naszym przypadku, jako naturalna reakcya po nadprzyrodzonem poruszeniu serca, następuje praca przelewania uczuć w pojęcia i sądy [2]. Od innych badań czysto naukowych wyróżnia się ta praca przez to, że dokonywa się pod presyą serca, pod ustawicznym wpływem religijnego zmysłu i szczerej dobrej woli [3].

Przedmiotem tej pracy rozumowej jest oczywiście ten sam Bóg, który jest przedmiotem wiary, jednakże w sposób całkiem inny. Wiarą stykał się człowiek w sposób konkretny z Bogiem; rozumem w sposób abstrakcyjny tworzy pojęcia o Bogu. On je tworzy i to o własnych siłach, bo objawienie ani pojęć żadnych nie dało, ani żadnemu pojęciu nie udzieliło Bożej aprobaty [4]. Normą w tem tworzeniu jest tylko to życie, które objawienie zaszczepiło w sercu jako wiarę.

Stąd rodzi się ważne pytanie: co te pojęcia rozumowe warte?

Przedewszystkiem, wszystkie bez wyjątku mają wartość symboliczną i względną, bo to uchodzi za aksyomat modernistycznej filozofii, że prawda pojęć rozumowych nie może

[1] *Les preuves et l'économie de la révélation* w *Revue du clergé français*. XXII, str. 116 i nn.

[2] Artykuł z *Quarterly Review*, str. 407.

[3] *Autour d'un petit livre*, str. 197.

[4] Jak pod [2].

polegać na zrównaniu z przedmiotem, ale na mniej lub więcej odległem podobieństwie [1]. Jeżeli zaś stawia się pytanie, jak daleko sięga to podobieństwo — trzeba rozróżnić. Symbole, w które wcieliło się objawienie w głowie pierwszych jego organów, a więc Chrystusa, proroków, pisarzy natchnionych — te symbole mają stałą i ogólną wartość; symbole dalsze, powstałe z pierwszych przez zastosowanie do nich filozoficznych kategoryi, coraz mniej harmonizują z przedmiotem, owszem są jego spaczeniem.

W duszy, która urzeczywistniła i odczuła w sobie nadprzyrodzony stosunek do Boga, rodził się symbol tego stosunku na tyle żywy, by był zdolny i w innych duszach budzić to samo odczucie. W ten sposób powstały symbole o stałej i ogólnej wartości, tak np. Bóg Mojżesza lub Izajasza, tak typ sługi Jehowy (Messyasz), tajemnica Bożej sprawiedliwości u Joba, nauka o przeznaczeniu i łasce u św. Pawła, cała religia Ojca niebieskiego w ewangelii — wszystko to prawdy Boże, wcielone w ludzkie pojęcia [2].

I Tyrrell mówi podobnie: Słowa natchnione się nie starzeją; one są niezależne od czasu, jak duch. Bóg zawsze pozostanie naszym Ojcem niebieskim, Chrystus Synem i Słowem Bożem, dobrym Pasterzem, Barankiem, winną macicą, światłością świata, Chlebem niebieskim [3].

Tak więc na te symbole pierwotne, przeważnie obrazowe i przenośne — względna zgoda. Względna, bo i tu dodaje się różne restrykcye [4].

Z chwilą jednak gdy przejdziemy do dalszych pojęć i wnio-

---

[1] »Il est bien certain que toutes les formules et toutes les explications, qu'essaye de balbutier la pauvre intelligence humaine aux prises avec le mystère ne sauraient jamais être une représentation adéquate de la réalité au fait qu'elles expriment. Et si le fait tel qu'il est affirmé est à lui seul toute l'essence du dogme et le seul point qui en soit intangible toutes les approximations dont on l'a revêtu pour en reproduire l'idée, ou plutôt l'impression intellectuelle ne sont, que des explications qui par cela seul qu'elles sont forcément et radicalement insuffisantes sont empreintes d'un caractère purement relatif et ont besoin elles-mêmes d'explications«. R. Saleilles. W ankiecie p. t. *Les conditions du retour au catholicisme,* Wyd. 3, str. 397.

[2] *L'idée de la révélation,* jak wyżej.

[3] *Lex credendi,* str. 143.

[4] Restrykcya jest następująca: »Quoique une grande partie de la pure imagerie dont est tissée la révélation doive garder la même valeur pour tous les hommes de tous les temps, néamoins beaucoup de catégories des conceptions, des jugements, par lesquels la révélation s'exprime, appartiennent uniquement au temps et au lieu de son origine. Bien plus, certaines des ana-

sków, które drogą rozumowania wydobyto z pierwotnych danych objawienia, nad biedną myślą teologiczną, która dokonała tego rozwoju, zaczyna huczeć formalna burza zarzutów i oskarżeń.

Przez zastosowanie dedukcyi logicznych do natchnionych i pełnych rozległego symbolizmu wyrażeń Pisma św., powstał ten system mieszańczy, co dziś się panoszy w Kościele, rozpościerając szeroko swe potworne kształty hybrydy, system co się podaje za objawione przez Boga *Weltanschauung*, za uniwersalną filozofię, obdarzoną zarazem i ścisłością nauki i powagą wyroczni Bożej. Ten to system — innymi słowy teologia dogmatyczna, czy raczej teologizm, zgasił w Kościele ducha proroczego i prześladował proroków, on skrępował rozwój cywilizacyi, on tyranizował umysły i serca, on zmienił objawienie na objawioną teologię a wiarę na teologiczną ortodoksyę. Czas wyzwolić z pod tego jarzma umysły i serca i zwrócić uwagę na różnicę intelektualnej i religijnej wartości objawienia, na stosunek litery do ducha, symbolu do siły, która w nim się kryje [1].

Nie podajemy mnóstwa innych, tym podobnych deklamacyi.

O cóż jednak w tem wszystkiem chodzi? — zapyta zdziwiony czytelnik. — Komuż właściwie się należą wszystkie powyższe oskarżenia? Czy teologom? Wszak jeszcze nie było szkół teologicznych gdy sam Kościół jako taki przerabiał już objawienie w rozumowe, określone pojęcia i twierdzenia!

Odpowiedź, jaką tu dają moderniści jest bardzo ciekawa, bo różne jej fazy odpowiadają wyraźnie etapom drogi na manowce, którą równocześnie odbywali jej twórcy.

Zrazu mówiono: My walczymy z pewną tylko klasą »ultrasów« i rygorystów teologicznych, nie zgadzamy się z pewnemi konkluzyami teologicznemi. Ta walka zamieniła się później na walkę z całą szkołą katolicką i jej nauką; od »szkoły« oddzielano jeszcze »Kościół«. Niebawem przyszła chwila i to jeszcze przed encykliką *Pascendi*, że powiedziano otwarcie: my walczymy

---

logies auxquelles on a recours (paternité, filiation, royauté etc.) sont aussi variables que les institutions sociales de l'humanité. D'où il suit qu'une tradition purement littérale de cette révélation serait sûrement mal interprétée pas des esprits que domineraient des systèmes philosophiques scientifiques et historiques autres que ceux de l'age apostolique, qu'elle leurs donnerait une construction assez différente de l'ordre surnaturel, une impression différente, une direction différente«. *Théologisme*, str. 510—511.

[1] Por. *Théologisme*, str. 507, 509, 526. Artykuł z *Quarterly Review*, 469—475. *Lex orandi*, str. 53 i nn. 207 i nn. i t. d.

z Kościołem i całym jego dogmatem. Został im odtąd tylko jakiś katolicyzm ponad-kościelny i ponad-dogmatyczny, którego jedną fazą przejściową był Kościół i cała jego nauka.

Zanim dojdziemy do tej chwili ostatecznego rozwiązania, interesuje nas sposób, w jaki interpretowano dogmat, póki sądzono, że »Kościół« da się oddzielić od »szkół teologicznych«, a przez to i uwolnić z pod zarzutu »teologizmu«.

Dogmatyczne orzeczenia Kościoła mają bez wątpienia rozumowy podkład i charakter, ale nie wolno nam ich rozumieć według powierzchownego, bezpośredniego znaczenia. Bo czemże jest Kościół. Stróżem objawienia. *Depositum custodi* — to jego misya. A jakiż jest ten pierwszy wyraz, w jakim Kościołowi objawienie podano? Symboliczny, zagadkowy, proroczy. Prawdy religijnej pierwszych źródeł objawienia nie należy szukać w f o r m i e, w bezpośredniem znaczeniu wyrazów ale w t r e ś c i p r o r o c z e j i dlatego tajemnej. Stąd i Kościół, który objawienia strzeże, gdy stawia jakieś twierdzenia, przemawia w sposób proroczy, tak, że w jego słowach trzeba doszukiwać się ukrytych znaczeń, a nie uważać ich według bezpośredniego sensu za jakieś cudowne teologumena rozumowe [1].

Więc cóż wreszcie chce Kościół, gdy coś orzeka dogmatycznie? Cóż za wartość mają jego wyroki?

---

[1] Cytujemy dosłownie, bo możnaby łatwo nie uwierzyć, że może istnieć podobna argumentacya. »La révélation apostolique... n'est pas l'oeuvre de la réflexion... mais une vision prophétique, non une synthèse intellectuelle ...mais une représentation imaginative. ...Quand aux matériaux avec lesquels est construite cette représentation (croyances populaires, images, conception théologiques, scientifiques, historiques du peuple à qui le privilège en fut d'abord accordé) ce n'est pas leur valeur propre mais leur valeur significative... leur vérité de signification qui est consacrée ou canonisée. ...De cette vision prophétique l'Église est la gardienne divinement assistée. Le *depositum custodi* indique la substance et les limites de son ministère enseignant. ...Sa mission est prophétique et sa méthode aussi. C'est par l'Esprit qu'elle interprète l'Esprit, non par la dialectique mais par un instinct ou tact divin. ...Ses affirmations, sont prophétiques; elles doivent être interprétées comme telles et non pas nécessairement d'après leur sens de surface ou leur »valeur propre«. Ce sont des oracles divins. Comme tels leur sens est plus ou moins caché et énigmatique. Les considérer comme des »theologumena« miraculeux, c'est les rabaisser au niveau de la raison. ...Leur valeur est prophétique... la vérité qu'ils imposent à notre foi ce n'est pas une vérité de philosophie ou de théologie ou d'aucune autre science humaine mais celle de la divine révélation qu'ils protègent et qu'implicitement ils affirment de nouveau«. Tyrrell: *Théologisme,* str. 509—512.

*Une valeur de protection* — odpowiadają nam terminem technicznym. Cóż to znaczy? To znaczy, że są powłoką proroczej treści i tak jej bronią, jak broni jądra skorupka [1]. A czemże wreszcie jest ta treść i kto ją od powłoki wyróżni? Treść, jak wiemy nie da się ująć w żadne pojęcia. Mogą ją oddać równie dobrze dwie formuły najformalniej sprzeczne [2]. Ta treść jest duchem i życiem, a przyswaja ją sobie każdy jak może i umie. Jeden z modernistów tłumaczy nam to bardzo wymownym przykładem.

Kiedy słuchamy jednej z tych wspaniałych symfonii starych mistrzów, dusza każdego z nas rozkołysana cudowną harmonią przenosi się w miarę wrażliwości, temperamentu i pragnień swoich w odmienne krainy. ...Te same nuty i dźwięki a jednak w tylu sercach tak różne odgłosy, w miarę tego co każdy w nie wkłada ze swej duszy, swego ideału, swej miłości. Tak samo rzecz się ma z dogmatami zrodzonymi z ewangelii i z systemami na niej wzniesionymi. Uważane same w sobie są tylko kanwą podobnie jak symfonia wyrażona w nutach i spisana na papierze. By wprawić je w drganie i wydobyć z nich dźwięki trzeba wiary i miłości. Pod dotknięciem tej różdżki czarodziejskiej zjawia się harmonia, zaczynają śpiewać tony, roztacza się melodyjna synteza, cała orkiestra w ruch się wprawia. Ale nikt wśród obecnych nie poprzestaje na nutach, które są symbolem; każdy odczuwa w nutach wrażenie nadprzyrodzone i Boże, którego nie umie sprecyzować pod żadną objektywną formą, wrażenie identyczne u wszystkich a jednak zastosowane do jego indywidualnej umysłowości i tak uczestniczy każdy w koncercie Bożym wydając ze siebie tę nutę, na jaką go stać i jakiej Bóg żąda od niego [3].

---

[1] »Les affirmations de l'église ont une valeur de protection... une signification protectrice. ...L'ensemble des définitions de l'Église pris, non dans le sens de sa valeur propre mais dans le sens de sa valeur protectrice et prophétique, nous fournit non un corps de vérités théologiques dialectiquement développées mais une masse de propositions défensives plus au moins accidentellement réunies... Cette conception du corps entier des dogmes ecclésiastiques considérée comme une enveloppe protectrice qui entourerait le noyau de la révélation — est éminemment patristique« i t d. *Théologisme,* str. 512—514.

[2] »Puisqu'il peut y avoir deux représentations analogiques de la même vérité, dont les significations littérales sont contradictoires il s'ensuit que la loi de la prière peut facilement nous donner des credos très différents ayant exactement la même valeur religieuse, tous répondant avec la même fidélité aux exigences pratiques de la vie de l'esprit et représentant analogiquement le monde spirituel«. *Lex credendi,* str. 252.

[3] R. Saleilles l. c. str. 398 i n.

Nie mniej hojnym jest p. Le Roy.

Orzeczenie dogmatyczne Kościoła ma według niego dwie funkcye. Pierwsza jest czysto negatywna: *fermer des fausses voies*, czyli uczyć, czego nie można uważać za właściwą interpretacyę objawienia. Druga funkcya jest pozytywna. Myliłby się jednak, ktoby spodziewał się z tej strony spekulatywnego wyjaśnienia w co wierzyć. Pan Le Roy pozostawia najzupełniejszą wolność w rozumowem pojmowaniu dogmatu. Pozytywna funkcya kościelnego orzeczenia jest czysto praktyczna: ona przepisuje sposób wewnętrznego i zewnętrznego zachowania się człowieka wobec nadprzyrodzonej rzeczywistości.

Weźmy np. dogmat, że Bóg jest osobowy. Rozumny katolik przyjmując ten dogmat, nie będzie w nim widział pozytywnego stwierdzenia i określenia osobowości Bożej. Dogmat będzie miał dla niego najpierw negatywne znaczenie, że Bóg nie jest prawem, kategoryą i t. p. Powtóre pojmie on ten artykuł wiary jako przepis praktyczny, mający na celu unormowanie postępowania: W stosunkach z Bogiem zachowaj się tak, jak się zachowujesz w stosunkach z osobą ludzką. Poza tem ma katolik zupełną wolność budowania jakichkolwiek wyobrażeń i teoryi o osobowości Bożej [1].

Inni są jeszcze dużo hojniejsi w szafowaniu »wolnością myśli« na polu dogmatycznem.

Kościół, tak brzmi ogólna reguła, jaką mu stawia p. Karol Dunan, powinien zostawić egzegetom (o nich mowa w pierwszym rzę-

---

[1] »Le catholique après avoir accepté les dogmes garde toute liberté pour se faire des objets correspondants, de la personnalité divine, de la présence réelle ou de la resurrection par exemple telle théorie telle représentation intellectuelle qu'il voudra... Sa situation à cet êgard est la même que vis-à-vis de n'importe quelle spéculation scientifique ou philosophique et il lui est loisible d'adopter le même attitude ici et là. Une seule chose lui est imposée, une seule obligation lui incombe: sa théorie devra justifier les règles pratiques énoncées par le dogme, sa représentation intellectuelle devra rendre compte des prescriptions pratiques édictées par le dogme. Celui-ci sa présente à peu près, en un mot comme l'énoncé d'un fait dont il est possible de construire bien des théories diverses mais dont toutes theorie doit tenir compte. ...Qu'une théorie surgisse un jour qui porte atteinte au dogme dans son domaine propre en altérant sa signification pratique, le dogme aussitôt se dresse contre elle et la condamne devenant ainsi énoncé intellectuel négatif superposé à la règle de conduite qu'il était purement et simplement tout d'abord«. l. c. str. 522 i nn.

dzie) najzupełniejszą wolność, rezerwując sobie jedynie prawo, by ich przywołać do porządku, gdy przekroczą granice. Przekroczą zaś granice, nie wtedy, gdy odrzucać będą nabyte przez Kościół nałogi myślowe, nie wtedy gdy wystąpią przeciw najstarszym i najszanowniejszym tradycyom, ale wtedy gdy potrącą o to najwyższe, nie dające się wyrazić ni określić poczucie prawdy, jakie ma Kościół. Poza tem poczuciem wszystko jest ludzkie w nauce kościelnej i jako takie może uledz zmianie. Dziś jest chwila by tę zmianę przeprowadzić, jeśli Kościół ma zostać przy życiu. Wiara katolików nie może się zmienić co do przedmiotu, ale musi się zmienić co do sposobu, mianowicie tak, by rozum a rozum wolny i autonomiczny miał w niej większy udział. Kościół może, nie rezygnując ze swej funkcyi nauczycielskiej, zostawić swym dzieciom pełną i zupełną wolność myśli co do ludzkiej strony rzeczy religijnych. Niechże więc tę wolność im zostawi, bo przyszłość jego od tego zawisła [1].

Zaprawdę wielka hojność w szafowaniu »wolnością«. Gdyby się komu zdawało, że ta hojność jest może za wielka, uspokajają nas inni.

Kościół przez swe orzeczenia — powiada Laberthonnière — chce nas tylko pouczyć, czego nie wolno przeczyć. On wie, że przedmiot określeń, jako nieskończony, nie da się wcisnąć w pojęcia i z konieczności je rozsadza. Wyroki więc Kościoła dają wskazówki ale nie nakładają kajdan [2].

Nie jest prawdziwie katolickiem — twierdzi Loisy — ubóstwianie formuł. Sam Kościół nie żąda wiary w swoje formuły jakby były pełnym wyrazem absolutnej prawdy. Kościół żąda, by posługiwać się formułami ale pozwala by poprzez nie każdy przyswajał sobie jak umie właściwy przedmiot wiary t. j. Boga, Chrystusa i Jego dzieło [3].

Bo przypuśćmy — pyta p. Desjardins — że nie da się już uczciwym sposobem utrzymać tezy o literalnej historyczności stworzenia świata, potopu, dziejów patryarchów, cudów w ogólności i czynów Chrystusa, opowiedzianych w czwartej ewangelii — czy wiara katolicka ma upaść? Czy mniej skuteczną będzie wiara, mniej oparta o historyę a za to bardziej doświadczalna?... Czy szczerze mówiąc jest niechrześcijański albo antychrześcijański punkt widzenia czystego symbolizmu? [4].

Zdawaćby się mogło, że z tem doszliśmy do kresu. Już na tym punkcie, dogmat katolicki, cały dogmat jako taki,

[1] W ankiecie wyżej cytowanej str. 190—191.

[2] *Le réalisme chrétien*... str. 65 i nn.

[3] *L'évangile et l'église*, str. 143 i nn. *Autour d'un petit livre*, str. 187 i nast.

[4] *Catholicisme et critique*. Paris 1905. Str. 111.

rozwiany w pył, oderwany od gruntu filozoficznej i historycznej rzeczywistości, puszczony na wolę i niewolę subjektywnym czynnikom interpretującym »wrażenie objawienia Bożego« i zrodzone stąd »życie wiary«. Zdawaćby się mogło, że niepodobna było pójść dalej, bo praktyczne aplikacye tych teoryi robione przez samych modernistów, pokazały naocznie, że niczemu nie przebaczono, ani Bóstwu Chrystusowemu, ani Jego zmartwychwstaniu, ani nieomylności Kościoła, ani osobowości Bożej, ani niczemu zgoła, co trąciło dogmatycznem twierdzeniem.

A jednak była jeszcze dalsza droga do zrobienia. R. Saleilles bardzo dobrze wytyka nam jej kierunek.

Ponieważ wszystkie rozumowe interpretacye dogmatu są relatywne i żadnemu pojęciu dogmatycznemu nie odpowiada ekwiwalent w umysłowym świecie, każdy może tworzyć sobie o dogmacie pojęcia względne, odpowiadające jego własnej umysłowości i umysłowości ogólno-ludzkiej w różnych epokach jej istnienia [1].

Tak jest — tego wielkiego słowa brakło nam dotąd: ewolucya. Potrzeba było aby te symbole dogmatów, które dotąd modernizm był zostawił, uniesione były jakimś potwornym wirem przemian, wiodącym, nie ku prawdzie, bo tej rozum nie dosięga, ale gdzieś obok prawdy, po jakimś obwodzie koła czy elipsy, w którego środku prawda przebywa.

Dlatego nie może już wystarczyć dla modernizmu jakiekolwiek *credo,* choćby najbardziej symboliczne, jeśli ma zostać stałem. On marzy o jakiemś *credo* żywem a giętkiem i rosnącem.

W idealnym stanie rzeczy, mówi Tyrrell, ku któremu zbliżamy się coraz bardziej, potrzeba nam żywego i rosnącego wyznania wiary, potrzebaby nam sumy dogmatów i tajemnic, w której wcielałby się rozwój duchowy społeczności ludzkiej. To wyznanie wiary byłoby jednem, nie przez logiczny związek systemu, ale przez spójnię zachodzącą między objawami jednego ducha. Byłoby to *Credo* giętkie i żywe, które odzwierciedlałoby potrzeby duchowe ogółu, potrzeby przeszłe postępowych, potrzeby przyszłe konserwatywnych [2].

Gdzie kres tej ewolucyi? Oni sami mówią, że niema go nigdzie. »Z jakiegokolwiek punktu drogi prawdy« tak mówi

---

[1] Jak wyżej, str. 397.

[2] Artykuł z *Quarterly Review,* str. 488.

Le Roy, »wykreślimy linię prostą, ona będzie zawsze tylko styczną koła, bo prawda nie zna linii prostych i stałych«.

Przeszłoby rozmiary obecnej pracy, gdybyśmy chcieli dokładnie opisywać prawa tej ewolucyi dogmatów w teologii modernizmu i jej czynniki.

Na razie to tylko dodajemy, że t a k pojmowano dogmat póki sądzono, że walka się toczy z »teologizmem« nie z Kościołem.

R o z c z a r o w a n i e przyszło jeszcze przed encykliką *Pascendi.*

Gdy stawało się coraz jaśniejszem, że Kościół solidaryzuje się z »teologami«, tak kończył Tyrrell swój głośny *A much — abused letter:*

Widzialny Kościół jest wreszcie środkiem tylko, drogą, jest stworzeniem, którego się używa o ile pomaga do celu, które się zostawia na boku gdy szkodzi. Kościół nie jest królestwem niebieskiem, jest tylko jego głosicielem i sługą. Musimy przecież coś położyć na rachunek kasty kapłańskiej, która żyje z ołtarza i nie kupować jej towarów po cenie ogłoszonej, bo wystawiamy się na niebezpieczeństwo kupienia tandety. Koniec końców nie walczymy z Kościołem tylko z teologami; nie z powagą kościelną ale z pewną teoryą o naturze, granicach i stopniu tej powagi... A może ktoś zarzuci, że powaga kościelna przyjęła teorye teologiczne o swych rozmiarach! Na dowód tego przytaczają słowa papieży, soborów, kongregacyi, doktorów kościelnych! Ale czyż to nie znaczy suponować to samo, co się miało udowodnić? Kto formułuje te dekreta, kto je wyjaśnia i oznacza ich wartość? Kto stworzył i narzucił wiernym całą dzisiejszą teologię autorytetu? Kto nas nauczył, że nie może być w błędzie zgodne zdanie szkół teologicznych? Teologowie! Śmiertelni, omylni, nieumiejętni ludzie tak jak i my! Nie dajmy się więc zastraszyć gdy oni uroczyście nawdziewają szaty kościelne i miotają na nas przekleństwa! Bądźmy spokojni. Ich panowanie jest przejściowym epizodem historyi kościelnej. Teorya powagi naprężona już jest aż do ostatnich granic i dławi się już sama od swych sprzeczności i zgubnych następstw.

A zresztą... Żydostwo niegdyś umarło, by w chrześcijaństwie ożyć napowrót! Czy i katolicyzm nie mógłby umrzeć, by zmartwychwstać w większej i wspanialszej postaci? Czy każdy organizm nie ma pewnych granic swego rozwoju, po których musi umierać, by żyć tylko w swem potomstwie? Rozciągają się do czasu »bukłaki winne«, ale nareszcie nadchodzi chwila, że pękają i trzeba się postarać o nowe.

Kto na te pytania da odpowiedź? Nam wolno tylko przewracać karty historyi i dziwić się i czekać!

Od tych słów już niedaleko było do gromów, co po encyklice *Pascendi* padły w Times'ie już wprost na »biskupa rzymskiego«.

Z encykliką była zamknięta faza twórcza modernizmu, a nastąpił upadek na całej linii. Pozory życia, barwności, wielkości — ustąpiły miejsca pokurczonym kształtom zwiędłej rośliny. Stąd i dla modernistycznego pojęcia dogmatu nie znajdzie się nic nowego w najświeższej literaturze. Pozostaje nam tylko z punktu widzenia katolickiej nauki oświetlić główniejsze części przedstawionego systemu.

C. d. n.

*Ks. Jan Rostworowski.*

# MIĘDZY SŁOWIANAMI.

## DO LUBLANY.

Kościół w Osyaku rozpłynął się już w mglistej dali; zlało się z horyzontem tajemnicze jezioro, nad którego brzegami, według starej karynckiej legendy, błąka się ciemną nocą duch pokutującego Bolesława; pochmurne niebo unosi się nad Karyntyą. Pojawiają się wzgórza, przybrane w barwy jesieni, uwieńczone na szczytach ruinami rycerskich zamków; z czerwonych i bronzowych wierzchołków drzew wychylają się wieże kościołów i białe mury wil; w dali połyskują przeźrocza jezior i rzek, w które Karyntya tak obfituje, że aż przysłowie powiada: *Ein Berg, ein Wald, ein See — das ist Kärntner Stimmung;* pociąg zbliża się do skalnej ściany od dawna już na widnokręgu rysujących się Karawanek, wrzyna się w nie przy stacyi Rožčico 7943 metrów długim tunelem i staje w Krainie.

Z pierwszej kraińskiej stacyi z tamtej strony Karawanek, z Jesenic (Assling), podróżny w niespełna dwie godziny dostaje się do Lublany. Tym razem jednak nie bardzo mi się spieszy a pociąga urok nowej kolei i malownicza piękność tych rozległych górskich pasm; wybieram więc dłuższą drogę przez Tryest. Na stacyi ruch; czuć, że to słowiańska ziemia. Obok niemieckich znajdują się na dworcach już i słoweńskie napisy, tak jednak różne od niemieckich, że mimowoli nawet przychodzą na pamięć podobne objawy kultury pruskiej, gdzie Inowrocław np. przemienił się w *Hohen-*

*salza*, Trzcianka w *Schönlanke* a Gniewkowo w *Argenau*. Polak czuje się tu więcej swojski. Z tłumu rzadko tylko dolatują słowa niemieckie; toną one w dźwiękach słoweńskich a nawet konduktorzy, niecierpliwiąc się na opieszałość podróżnych, nie nawołują, jak dotychczas: *schnell, schnell*, lecz coraz częściej: *hitro! hitro!*

Do odejścia pociągu jeszcze spora chwila. Siadam na peronie a widocznie leżąca obok mnie polska książka ściąga do mnie słoweńskiego księdza, przypatrującego się od dłuższego już czasu pilnie pobratymcowi. Jak zwykle, nie rozumiemy się wzajem i jak zwykle, uciekamy się do drugiego narodowego języka Słowian— niemieckiego. Nic w tem zresztą dziwnego. Otoczeni prawie zewsząd pierścieniem niemieckim, przyswajamy sobie z łatwością niemiecki język a choć w językach słowiańskich rozumiemy dźwięki, nie rozumiemy jednak słów i myśli.

»Czasby już z tem skończyć, woła Kraińczyk, i obrać jakiś język słowiański, któregoby się wszyscy Słowianie uczyli«.

»Jaki jednak?« pytam.

»W rachubę wchodzi tylko polski lub rosyjski«.

»Tak, ale polskiego nie będą się uczyć Rosyanie, rosyjskiego znów Polacy. Chyba stworzyć jakieś słowiańskie E s p e r a n t o, bo jak długo spory narodowościowe się nie wyrównają, a do tego jeszcze bardzo, bardzo daleko, tak długo marzenie o jednym, przez wszystkich Słowian sobie przyswojonym języku, będzie tylko marzeniem«.

»To prawda, tem bardziej, że i u nas większość do rosyjskiego wcale się nie skłania; tak trudno nawet przy języku nie uwzględniać różnicy religijnej«.

To zapatrywanie, jak jeszcze później kilkakrotnie się przekonałem, nie było wcale odosobnione.

Dalsza rozmowa toczyła się już w wagonie a zeszła ona od razu na kwestyę narodową.

»Ruch narodowy pulsuje żywem tętnem, świadomość narodowa się szerzy. Jest to zasługą naszych wielkich działaczy z dawniej i dziś, w równej jednak, kto wie nawet, czy nie w większej może mierze, nieprzewidzianem następstwem zachłanności niemieckiej.

Księże! trzeba było być w Lublanie jesienią w czasie pogrzebu naszych zamordowanych braci. Kiedy o tej samej godzinie w całej naszej ziemi zagrały na znak żałoby kościelne dzwony i kiedy przez ulice Lublany przeciągały tysiączne tłumy i w grobowem milczeniu, lecz we wzorowym porządku, prowadziły swych drogich zmarłych na miejsce ostatniego spoczynku, wówczas zrozumieliśmy, że jesteśmy siłą, którą nie tak łatwo zmódz, bylebyśmy się tylko skupiali, łączyli i, mimo trudności, nie upadali na duchu. Zarzucano naszym komitetom, że terroryzowały niemiecką ludność Lublany — to fałsz i oszczerstwo, szerzone przez naszych wrogów, by nas o barbarzyństwo przed światem oskarżyć i w oczach Europy zdyskredytować. Zażądaliśmy od Niemców, by pozdejmowali ze swych domów czarne chorągwie, które grobowym całunem całe miasto pokryły, ale nam chodziło o żałobę płynącą ze serca, a nie o żałobę obłudną, podyktowaną interesem; żądaliśmy, żeby firmy niemieckie zdejmowały nienawistne ludności napisy, ale uczyniliśmy to dla ich dobra, inaczej nie mogliśmy przeszkodzić bojkotowi ze strony słoweńskiej Lublany i okolicy. Ci, którzy to uczynili, nie mogli się na nas skarżyć; inni musieli swemu tylko uporowi przypisać ujemne dla siebie następstwa. Sklepy niemieckie, na ich pochwałę to dodam, zrozumiały słuszność naszego postępowania i zastosowały się do niego. Dziś napis niemiecki na prywatnym domu w Lublanie jest rzadkością. Ulice tylko, obok słoweńskich, noszą jeszcze nazwy niemieckie, ale i one wnet znikną. Zresztą przekonasz się o tem dokładniej w Lublanie«.

Towarzysz mój wysiadł na jednej z następnych stacyi, przypatruję się więc okolicy. Jedyną ujemną stroną tej nowej kolei jest, jak zwykle w górach, nadmierna ilość długich tuneli, które co chwila przerywają najpiękniejsze widoki a dają w zamian duszne powietrze, wciskający się wszystkiemi szparami gęsty dym i uczucie przygnębienia. Lamp, zapalonych na początku drogi w jasny dzień, nie gaszą wcale.

Zdawało mi się kiedyś, że poza kolejami szwajcarskiemi, niema chyba piękniejszej linii od tej, która od Plewny w drodze do Sofii przecina w całej szerokości bałkańską *Starą Planinę;*

nowa kolej alpejska przewyższa ją o całe niebo. Trudno o większą rozmaitość.

Wyniosłe, skalne szczyty, porosłe u dołu liściastym lub iglicowym lasem a kąpiące nagie czoła w przeźroczu nieba; lekkie mosty, rzucone ponad zawrotnemi przepaściami, na których dnie toczą się zielone fale strumieni i rzek; rozliczne wąwozy, zamykające i otwierające co chwila nowe widoki; droga wijąca się wężem, zbliżająca się i oddalająca od samotnych górskich olbrzymów; u dołu zieleń, w środku biel a u góry rozpięty błękit, siejący blaskiem i rzucający na całość złote refleksy światła, w którem wszystko się nurza i które wszystko przepełnia — to działa na nerwy, na wyobraźnię i serce. A kiedy groza, tajemniczość i ogrom zaczynają już męczyć, przychodzi romantyka, która na nowo uwagę podsyca i ożywia. Taki np. Bled, kraińskie Zakopane.

Gdzieś daleko, jakby spowity we mgłę, rysuje się Triglaw, ku któremu, jak motyle ku kwiatom, biegną myśli i serca Słoweńców, gdyż o nim opowiadają pieśni, jego czarami i urokiem zajmują się baśnie, w jego skałach gnieździ się ludowe podanie i pieśń ludowa. Głęboko w dole jasna toń olbrzymiego jeziora; kąpią się w nim wille, kąpią wzgórza i lasy, które otaczając je wieńcem, z jego chłodnych wód czerpią żywotne soki. Z fal jeziora wyrasta mała wysepka. Przez zieleń drzew bieleje wieża poświęconego Najświętszej Pannie kościoła, która ostrymi konturami tworzy ciemną plamę w rozległej przestrzeni. Dziwny dzwon, dzwon życzeń, dźwięczy z wieży; kto w sercu tai jakieś życzenie, do Boga westchnie i w dzwon ten uderzy, tego życzenie, o ile ono jest uczciwem, niebawem się spełni — tak twierdzi podanie ludowe. Na wysokiej, prostopadłej, z jeziora wychodzącej skale sterczą mury zamku. Ten zamek, to niegdyś mieszkanie Henryka II, który tu często po trudach panowania i znoju szukał wypoczynku. Wrzało tu życie; głosom radości i bólu wtórował uroczysty szum Vintgaru, a tłem była samotność i piękno. Dziś ten zamek już częściowo w ruinach; koło murów powój i bluszcz owijają swe gałązki, jakby chciały bronić przed zgubnym wpływem czasu to, co czasowi oprzeć się nie zdoła.

Długo spoczywa oko na tej perle kraińskiej ziemi, szuka

jej jeszcze, gdy olbrzymi zakręt ją przesłonił — czar trwa. A tu coraz to inne widoki, coraz różne piękno; nowy nastrój wprowadzają do duszy gęsto po górach rozsiane kościoły i kaplice, poświęcone w przeważnej części Niepokalanej Dziewicy.

Fakt ten, o ile świadczy o pobożności i wierze dawnych pokoleń, niekoniecznieby mówił o pobożności dzisiejszego Słoweńca; a jednak o niej mówi. Powiedział kiedyś publicysta słoweński, dr. Machnič: »My Słoweńcy katolikami jesteśmy... w obronie wiary, w obronie najściślejszej łączności z Rzymem walczyć będziemy«. Te słowa nie są tylko frazesem; one wyrażają przeciwnie rzeczową prawdę.

Kraj, jak już wspomniałem, jest zasiany kościołami i kaplicami; te kościoły znajdują się często na wysokich, stromych, wcale niełatwo dostępnych górach i wzgórzach, a jednak zawsze są przepełnione i o każdej prawie porze roku można tam znaleźć tłumy pobożnych. Tak np. kościół N. Panny w Brezje odwiedziło w r. 1905 przeszło 200 tysięcy pielgrzymów; przyjęto tam 53 tysiące Komunii św. i odprawiono 2.270 mszy. Liczba ta nie wszędzie jest równa i równie wielka, zważywszy jednak, że Kraina liczy sześćdziesiąt trzy kościoły, do których zewsząd ciągną pielgrzymi, i że z tych kościołów trzydzieści sześć jest poświęconych Matce Najświętszej, trzeba przyznać, że to wszystko świadczy istotnie o gorącej pobożności Słoweńców i, jak to zresztą u Słowian jest prawie naturalnem, o kwitnącym kulcie Matki Bożej.

Swoją drogą nie wszystkie te kościoły czy kaplice pociągają jedynie swojem religijnem znaczeniem; są między niemi i takie, które pierwiastek religijny łączą z narodowym i historycznym i działają tym sposobem nie tylko na uczucie religijne, lecz i narodowe. Tak np. gdy w r. 1809 Francuzi zajęli prowincye iliryjskie, pielgrzymowała ludność tłumnie do kościoła Matki Najśw. w Brezje, aby, jak mówią dokumenta, »uprosić u Niej uwolnienie z pod jarzma francuskiego i ponowne przyłączenie do Austryi«. Kościółek znowu na wyspie w Bledzie przypomina, jak w r. 1812 Francuzi chcieli święte miejsce obrabować a wobec groźnej postawy, jaką przybrał lud, zmuszeni byli ustąpić. I tak

wrodzona pobożność i wspomnienie przeszłości dodają tym miejscom uroku i do nich pociągają dusze.

Za główne zadanie swych rządów położył sobie obecny książę-biskup lubliański, dr. Jeglič, troskę o rozbudzenie a przedewszystkiem o podtrzymanie prawdziwego ducha religijnego w dyecezyi, ducha, któryby się nie ograniczał tylko do pielgrzymek i zewnętrznych objawów pobożności, lecz opanował życie i wniknął w duszę. W tym też celu rozporządził, aby w r. 1900 i 1901 w każdej parafii odprawiono misye, a w ciągu dwóch do trzech lat je odnowiono; synod zaś dyecezyalny lubliański z r. 1905 jeszcze dokładniej tę rzecz określił, tak że rok rocznie systematycznie po różnych miejscach Krainy misye się odbywają. Sprawozdania z tych misyi wywołują dodatnie wrażenie. Nie tylko po wsiach, ale i po miastach napływ słuchaczów był niezwykle wielki. Skrupulatnie zaznaczają sprawozdania, gdzie wszyscy przystąpili do sakramentów, gdzie pięciu lub dziesięciu nie można było do tego nakłonić, gdzie intelligencya (np. w Lublanie) brała liczny udział, i gdzie, jak w Postojnie, zachowała się dość odpornie. Skutek misyi był, znowu według sprawozdań, najczęściej »bardzo dobry«, rzadziej »dobry« lub »średni«. Szczegółowo zaznaczają referaty, że »następstwem misyi było pogodzenie się nieprzyjaciół, rozejście się lub sanacya dzikich małżeństw, zniesienie różnych nadużyć, jak gonienie po nocach, wystawanie przed kościołem w czasie nabożeństw i t. d. Duch religijny został ożywiony, rozbudzona gorliwość w uczęszczaniu na nabożeństwa lub w przyjmowaniu sakramentów«.

Książę-biskup zrozumiał także, jakie znaczenie dla ożywienia religijnego ducha mają dobrze zorganizowane i prowadzone stowarzyszenia i bractwa kościelne, i dlatego im też poświęcił wiele czasu i troski a na pierwszem znów miejscu kongregacyom maryańskim. Dewizą bowiem biskupa jest: *adveniat nobis regnum tuum per Mariam.* Dlatego też dr. Gruden, autor pracy *Das soziale Wirken der Kirche in Oesterreich. Diözese Laibach*[1], mógł napisać: »Niema

[1] Szczegóły, odnoszące się do życia religijnego w Krainie, zawdzięczam przeważnie tej książce.

silniejszej i bardziej wpływowej organizacyi w dyecezyi od kongregacyi maryańskich. Na końcu roku 1904 liczono: 218 kongregacyi panien z 25.580 członków; 115 kongregacyi młodzieży męskiej z 5.234 członków; 15 kongregacyi kobiecych z 1.730 członków; 10 kongregacyi męskich z 594 członkami«. Na małą Krainę to istotnie liczba znaczna.

Sześć gałęzi Trzeciego Zakonu św. Franciszka liczyło w 1905 r. 73 filii. Jego zasługą jest, że kościoły tam, gdzie Zakon istnieje, w dnie powszednie są przepełnione, że np. w kościele ks. Franciszkanów w Lublanie przystępuje do Komunii św. tygodniowo, wyłączając z tego czas adwentowy i postny, około 2.500 osób. Członkowie Trzeciego Zakonu uprawiają dzieła miłosierdzia i miłości chrześcijańskiej, zbierają składki, odwiedzają chorych i ubogich, ocierają łzy nędzy i bólu.

Rozszerzonem jest także bractwo wiecznej adoracyi Najśw. Sakramentu. Liczy ono przeszło 110.000 członków a zajmuje się także zaopatrywaniem w przybory kościelne uboższych parafii i kaplic. Szerzy się również Apostolstwo Modlitwy i bractwo Serca Jezusowego, bractwa różańcowe i stowarzyszenia wstrzemięźliwości, bractwa szkaplerzne i N. Panny, Dziecięctwa Jezus i różnych świętych, jak św. Urszuli, które w samej Lublanie liczy około sześciu tysięcy członków, św. Antoniego, św. Dysmasa i dużo innych.

Dodatnią stroną tych wszystkich bractw i stowarzyszeń, które w innych warunkach stają się często formą i ciężarem, jest zbawienne oddziaływanie, nie tylko na życie prywatne, ale i publiczne a także, co jest już wielką zasługą, na życie socyalne. Organizacya ich ułatwia działalność pozytywną i więcej, jak gdzieindziej, wyrabia ducha i prawdziwą, w życie wchodzącą i życie cechującą, pobożność.

W pracy obudzenia i podtrzymania religijnego życia wspomagają biskupa i kler katolickie zakłady wychowawcze. Na pierwsze miejsce wybijają się tu eksternaty i pensyonaty PP. Urszulanek. Ich zakład w Lublanie liczył np. w roku szkolnym 1904/5: eksternistek 597, pensyonarek 343, seminarzystek 96 a zakład w Škofia Loka (Bischoflack) 361 eksternistek i 171 pensyonarek. Pracują nadto na tem samem polu Siostry Miłosierdzia i Siostry Szkolne,

należące do różnych kongregacyi i różnych domów macierzyńskich. Sierotami, kalekami i dziećmi upośledzonemi i opuszczonemi zajmują się świeccy i księża Salezyanie a najważniejszem *Kollegium Marianum* w Lublanie kierują SS. Miłosierdzia.

Mniej poświęcono dotychczas pieczy młodzieży męskiej. Poza duchownem seminaryum, zaopatrującem Krainę w kler, istnieje w Lublanie seminaryum chłopców, tak zwane *Collegium Aloisianum*, z którego od roku założenia 1846 wyszło dotychczas do trzystu kapłanów, podczas gdy inni uczniowie zajęli różne wybitne stanowiska. W r. 1903 ukończono kosztem 1,333.000 kor. podjętą z inicyatywy księcia-biskupa budowę kollegium św. Stanisława w św. Wicie pod Lublaną, gdzie z seminaryum chłopców łączy się konwikt z studyami gimnazyalnemi dla młodzieży. Konwikty studentów w Lublanie przy klasztorze ks. Lazarystów i Krzyżaków i konwikt w Kranje, założony przez ś. p. biskupa Vidmara, z powodu nieznacznej liczby wychowanków (10—15), nie wywierają większego wpływu. Inne zakłady, a nie jest ich wiele, zajmują się przeważnie chłopcami wiejskimi w szkołach ludowych.

Wszystkie te zakłady posiadają w wielkiej części prawo publiczności; językiem wykładowym jest prawie z reguły język słoweński; ich byt jest przez różne pobożne fundacye, o których jeszcze poniżej, zapewniony.

Obraz więc życia katolickiego i bezpośredniej pracy nad obudzeniem i podtrzymaniem religijnego ducha w Krainie przedstawia się wcale dodatnio.

Od Bledu, którego kościółek na wyspie wywołał te uwagi, krajobraz powoli zmienia się. Zawsze jeszcze uroczy, nie jest jednak już tak posągowo piękny; więzi tylko uwagę dolina Soczy (Isoncy) i modre fale rzeki, szumiące gdzieś w dole. Trochę za silne wrażenie wywołuje most przy Solkanie o rozpięciu 85 metrów, zawieszony nad głęboką, ciemną przepaścią a tak wyglądający lekko i powiewnie, jakby nie granit i żelazo go stworzyły. Tu i owdzie pojawiają się już winnice, — stajemy wreszcie w Gorycyi.

Na stacyi skotłowany tłum ludzi, hałas, wrzask — to jakiś podróżny niemiecki wszedł niebacznie do włoskiej restauracyi.

Kelner nie mogąc wszystkim równocześnie usłużyć, nie od razu gościowi żądaną rzecz podał i dowiedział się za to, że powinien być nie kelnerem, lecz *asinaio* czy też coś podobnego. Ten komplement nie przypadł do smaku gorącemu Włochowi; goni po mieście za gościem, który tymczasem, przeczuwając widocznie burzę, chyłkiem opuścił restauracyę, dopada go w ostatniej chwili na dworcu a przezornie przyprowadza ze sobą i policyanta. Zaczęło się spisywanie protokołu; dostało się ojcowskie napomnienie Niemcowi a namacalne Włochowi, który, zdaje się, bezstronność policyanta w wątpliwość podał. Stronę Włocha biorą Włosi, Niemca Niemcy; robi się awantura, której z uśmiechem przypatruje się garstka Słoweńców, zadowolonych prawdopodobnie z tych dowodów wzajemnej miłości i sądzących nie bez słuszności, że gdzie dwóch się kłóci, tam najpewniej trzeci skorzysta.

»*Verdammtes Griechenland und Kreta*«, klnie jakieś nienaturalnie wesołe indywiduum, które jednak natychmiast składa publiczności objaśnienie: *das ist nämlich mein Kraftwort,* »było nam tu na Pobrzeżu, w Krainie i Istryi dobrze a przyszły jakieś włoskie i słoweńskie obieżyświaty i przewracają wszystko do góry nogami. Czego ci ludzie od nas chcą? Przecież my tu panami«.

»Czy długo jeszcze?« mruknąłem. W odpowiedzi pomysłowy obrońca uprzywilejowanej klasy odwrócił się i splunął.

Pociąg zagłębia się tymczasem powoli w Kras. Dużo tu pustyni a mało życia. Oko spotyka przeważnie szare lub rdzawe wapienne skały, które tu i ówdzie przerzynają nieznaczne omurowane przestrzenie, gdzie z trudem i mozołem mieszkaniec z doliny przynosi ziemię; z rzadka też widać trochę zieleni, jakieś karłowate drzewko lub krzak. Po ślicznych widokach Krainy działa to istotnie przygnębiająco, ale za to jaka rozmaitość w tej monotonii!

Te skały, jakby spiętrzone morskie fale, rozciągają się na przestrzeni bez końca. Dziwne i dziwaczne ich kształty; pełno w nich poszarpanych jarów i przepaści i pełno grot; stromo lub pochyło, pojedynczo lub grupami rysują się na tle nieba a na szczyty, ponad głębiami, pną się ścieżki, skąd widok w swoim rodzaju jedyny. Mało tu życia, ale jest za to życie w tej konfiguracyi głazów, w ich formach i kolorach.

A zejść dopiero pod ziemię! Tam na każdym kroku otwiera się kraj czaru, piękniejszy od tego, jakie przechowały arabskie »Tysiąc i jedna noc«. Tam w podziemiach żłobią sobie rzeki głębokie koryta, płyną z łoskotem i szumem; wyrastają lasy kryształowych kolumn; otwierają się groty o cudnych refleksach i blaskach; głęboko w ziemi kryje się poezya. Aż żal chwyta za serce, że ten malowniczy, podziemny kraj nie był znany w dawnych wiekach. Wyobraźnia byłaby go ożywiła światem nadziemskich istot a literatura średniowiecza stworzyłaby była arcydzieła, na które nas pewnie nie stać. I choć Kras mógłby jeszcze dzisiaj prawie w całej swej rozciągłości zniknąć z powierzchni świata, gdyby go zalesiono, człowiek nieomal zadowolony z tego, że tak się nie stało, gdyż zniknęłoby wówczas wiele z tego smutnego uroku, jaki to pasmo w sobie zawiera.

Kras znany jeszcze i z tego, że w nim rodzi się także ów burzliwy wiatr, który jest postrachem rolnika i marynarza, górala i mieszkańca dolin, żołnierza a nawet pociągu kolejowego— bora. Powstaje ona na skalistym szczycie *Nanosu*, rzuca się na Pobrzeże, Istryę, Krainę, Kroacyę i Dalmacyę i zachodzi aż do Ankony, a choć oczyszcza powietrze, niesie jednak ze sobą mróz i śmierć. Zatapia barki i okręty lub wyrzuca je na skaliste brzegi; wywraca, jak to miało np. miejsce na linii kolejowej Rijeka-Karlowac, całe pociągi; do morza spycha stojące w portach wagony; zrywa dachy, niszczy domy, pod gruzami grzebie ludzi a w drodze do przepaści zrzuca. Na otwartych placach Tryestu, gdy bora się zbliża, rozpinają na potężnych hakach żelazne łańcuchy; kogo bora na mieście pochwyci, musi trzymając się łańcucha iść z wytężeniem krok za krokiem, inaczej życie zagrożone. Koleje ratują się przed borą stawiając na miejscach otwartych przy torze wysokie i grube kamienne mury a i to nie zawsze pomaga.

Za to jednak, choć nie wielka w tem pociecha, daje ona czasami piękne widoki. Jechałem późną jesienią grzbietem Opczyny nad Tryestem, gdy nad szczytami hulała bora. Przyniosła ona ze sobą deszcz i mroziła go od razu, tak że drzewa, liście, kwiaty i trawy, oblepione nie szronem lub okiścią, ale przeczystą, lodową powłoką wyglądały jakby olbrzymie morze jasnych kryształów,

w których słońce, co już chmury rozproszyć zdołało, rozpalało czerwone blaski, a okolica cała płonęła od kolorowych ogni — widok naprawdę wyjęty z baśni, niezrównany a także i nie częsty.

Lecz i Kras się już kończy. W półświetle, półmroku rozlewa się bezmierna tafla Adryatyku; z morza wykwita skamieniałe marzenie, zamek Miramare, z rozkosznym parkiem, niby kawałkiem raju na ziemi; w dole dokoła palą się girlandy elektrycznych lamp, które olbrzymi snop światła, padający z latarni morskiej, co chwila gasi, a wówczas połyskują matowo, jak gdzieś w przestrzeń rzucone sznury pereł; pociąg wielkim łukiem obiega miasto i staje na nowym tryesteńskim dworcu.

Kilka godzin wypoczynku a znów bieżymy brzegiem morza i przez szary Kras do słoweńskiej Krainy, przerzynając w całej długości, dziś już w części osuszone, tak zwane torfowisko lublańskie. Było ono niegdyś jeziorem, nad którem na palach wznosiła się przedhistoryczna Lublana, połączona podobno przez jezioro z morzem. Według legendy miał tu nawet kiedyś w zamierzchłych wiekach zawinąć Jazon z swymi Argonautami w pogoni za złotem runem. Monotonne torfowisko jest jednak eldoradem archeologów. Mnóstwo tam wykopalisk, sporo szkieletów i resztek zwierząt i owoców, pełno narzędzi rogowych i kamiennych i skorup glinianych, tak że przynajmniej w głównym zarysie można sobie wyobrazić, jak wyglądała niegdyś Lublana, na której dworzec w tej chwili wtacza się pociąg.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

# OLYMPIA.

Sobota dnia 6 kwietnia. — Olympia, *Hôtel d'Allemagne.*

Wyjechaliśmy z Patras o 7 rano we dwójkę z moim nieodstępnym dyrektorem B. Tor kolejowy trzymał się niemal ciągle wybrzeży morskich; ponury dzień zasępiał się coraz bardziej i niebawem gęsty deszcz przysłonił nam cały krajobraz. Poprzez ulewne strugi widać tylko wzgórza porosłe dębami, a dalej, za miasteczkiem Amalias, bez końca ciągną się winnice.

Oczywiście rozmowa po drodze obraca się około dziejów Olympii, a Pausanias, tym razem bardziej niż kiedykolwiek obfity w szczegóły, dostarcza nam nieoszacowanych wiadomości. Zapisał najskrzętniej wszystkie prastare podania o powstaniu igrzysk olympijskich: »... Kronosowi jeszcze wznieść mieli świątnicę ludzie ówcześni z pokolenia, które zwało się złotym wiekiem. Kiedy się Zeus narodził, pieczę nad dzieckiem powierzyła Rhea idajskim Kuretom; ci z Idy kreteńskiej przybyli, mianowicie Herakles, Pajonajos, Epimedes, Jasos oraz Idas. Wonczas Herakles — on bowiem najstarszy być miał — brać swoją do gonów szykował i zwycięzcę uwieńczył gałęzią oliwy dzikiej, oliwa ta bowiem rosła tutaj w takiej mnogości, że z liści jej świeżych do snu czynili sobie ścieliska... Tak tedy o Heraklesie idajskim utrzymuje się podanie, iż ówczesne wyścigi on pierwszy zarządził i nadał im nazwę igrzysk olympijskich. Inni opowiadają, że Zeus chodził na miejscu tem w zapasy z Kronosem o władztwo nad światem, inni zasię, iż na pamiątkę swego nad Kronosem zwycięstwa

igrzyska ustanowił. W czasach późniejszych, w pięćdziesiąt prawie lat po potopie, który Grecyę nawiedził za Deukaliona, Klymenos Kardysów, potomek idajskiego Heraklesa, miał pono, z Krety przybywszy, olympijskie igry zaprowadzić... Endymion, syn Aethliosa, wydarł Klymenowi rządy, a królestwo synom swoim wyznaczył, jako nagrodę za zwycięstwo w biegu...«

— To szczególne — rzekł dyrektor, odczytawszy głośno ten ustęp — wszak tutaj dwukrotnie zaznacza się związek między Kretą a igrzyskami olympijskiemi. Czyliżby stamtąd przyszedł był istotnie ów uroczysty zwyczaj?

— Być może — odrzekłem — i to zdaje się razem z kultem kreteńskiego Zeusa.

I dalej roztrząsaliśmy olympijskie podania o późniejszym jeszcze założycielu igrzysk, Pelopsie, Tantalowym synu. Tak pięknie i szeroko rozwinął je Pindar w swej *I Olympice*. Nie wierzy on już wprawdzie w okropny, ludożerczy myt, wedle którego Tantalos, przyjmując u siebie w Sypilosie całą drużynę bogów, zadrwił sobie z nich bluźnierczo, podając im na stół uwarzone ciało swego synka. Nie tknęli się niebianie okropnej strawy, przeznali bowiem podstęp okrutnika. Jedna tylko Demeter, pogrążona w głuchej tęsknocie za córą swoją Kore, pożyła kęs ohydnego jadła. Więc gdy Hermes z rozkazu bogów, pacholę cudem wskrzesił, brakło jednej łopatki; tę niebianie dali Pelopsowi nową, z kości słoniowej. Dlatego cały ród Pelopidów miał później białe znamię na łopatce. Odrzuca Pindaros podanie owo jako wymysł i opiewa dalsze dzieje Pelopsa, jego wyprawę po żonę do krainy Pisatis w Elidzie. Tu królował Ojnomaos, rodzic pięknej Hippodamei, któremu wyrocznia przepowiedziała, iż go czeka śmierć w dniu zaślubin córki. Każdego zalotnika wyzywał tedy na wyścig wozowy, i z umysłu wypuszczał go przodem, a dognawszy zabijał go z tyłu włócznią. Ale na mściciela tylu pomordowanych rósł Pelops:

. . . . . .

A kiedy mu zakwitł wiek młody
I osuł puch czarny jagody,
O stadło szedł gonić w zawody.

(Antistrofa III).

Hippodameję, króla Pisatów dziewczynę
Chciał mieć, bo chwałą słynęła dokoła;
Szedł wzdy samotny nocą nad morze, nad sine
I trójzębu władcę woła,
Co z hukiem odmęty kłębi,
A morski bóg
U jego nóg
W szumnej mu się jawi głębi...
Rzekł doń: — »Jeżeli-ć miłe są dary Kypridy,
»O Posejdonie!
»Zadzierż ostrze spiżowej Ojnomaja dzidy,
»Spraw, by na Elijskie błonie
»Wóz mnie poniósł chyży,
»Niechaj moc ta, co zwycięża,
»Ku mnie się przybliży,
»Toć trzynaście tam już męża
»Z jego ręki padło:
»Zalotniki zabija i odwłóczy stadło.

(Epodos III).

»Nie dla tchórza są wielkie, niebezpieczne sprawy,
»Umrzeć mus jest człowieku;
»Któżby zaszył się w kącie i późnego wieku
»Po próżnicy chciał czekać bez sławy,
»Nic chlubnego nie mając w udziele?
»Wyzwanie na ów gon, rzucone w twarz
»Ja przyjmę śmiele —
»Ty mi zapasów kres pomyślny zdarz!«
Tak rzekł i marnie słowa nie przebrzmiały,
Albowiem bóg wspaniały
Wóz dał mu kowan złotem
I skrzydlate rumaki, niedościgłe lotem.

(Strofa IV).

Ojnomaja starł siłę i pojął dziewoję,
Wzdy ona synów mu powiła sześci,
Wszelkich zalet niepróżne włodarze i woje;
Ninie on zażywa części,
W każdej krwawych żertw ofierze,
Gdzie ma swój brzeg
Alfeja bieg
Tam grobowe jego leże,
Podle ołtarza, który gromadzi narody
Z najdalszej strony;
Więc igrzysk Olympijskich święcą się zawody,

Gdzie odprawiał Pelops gony:
Do walki się garną
W chyżych-li to nóg rozpędzie,
Siłą-li mocarną.
A kto tam zwycięscą będzie,
Ten, póki żywota,
Zazna, że słodsza miodu — czara szczęścia złota.

Według Pindara, zwyciężył Pelops tylko chyżością swoich »skrzydlatych« rumaków. Inne podania opowiadają o podstępie: połowę pisatyjskiego królestwa, które posiędzie z ręką Hippodamei, przyrzekł Pelops Myrtylosowi, synowi Hermesa, który woźnicą był Ojnomaowym, byle mu chytrze do zwycięstwa dopomógł. Zdradliwy sługa porozkręcał śruby u kół przy wozie swego pana; runął tedy o ziemię Ojnomaos i na miejscu się zabił. Pelops potem wzdrygał się ustąpić połowę królestwa Myrtylowi, a chcąc go się pozbyć, wtrącił go znienacka w morze. Tonący Myrtylos przekleństwo rzucił na Pelopsa i ród jego. I dlatego z krwi Pelopsowej początek swój wywodzą Atreus i Thyestes, na których klątwa tak straszliwie się spełniła. Stąd bierze początek ów nieprzerwany łańcuch rodzinnych mordów ciągnący się z pokolenia w pokolenie w mykeńskim domu Atrejdów, aż do matkobójcy Orestesa.

Ale igrzyska olympijskie wznowione świetnie przez Pelopsa, znowu poszły w niepamięć - jak twierdzi Pausanias. Według podań, przerwany ciąg tych obrzędów i uroczystości nawiązuje ponownie Herakles thebański, syn Amfitryona i Alkmeny, który z tamtym, kreteńskim Kuretą nie ma prócz imienia nic wspólnego. Późniejsze dzieje Olympii znają dwu jeszcze odnowicieli igrzysk, elijskiego władcę Oxylosa i potomka jego Ifitosa, który ostatecznie utwierdza zwyczaj słynnych owych popisów i gonów. Od jego czasów datuje rachuba Olympiad (776 przed Chr.).

Zajęci rozmową, aniśmy się spostrzegli, jak pociąg stanął w Olympii. Południe właśnie minęło. Deszcz nie ustawał ani na chwilę. Zmoknięci dotarliśmy do małego hoteliku *d'Allemagne*, gdzie zajechał był Dörpfeld na czele całej wycieczki archeologicznej. Będzie nam tu może trochę ciasno, lecz nie potrzebujemy się przynajmniej obawiać żadnego niepożądanego towarzystwa,

bo zajęliśmy wszystkie pokoje. Ogarnąwszy się nieco i przebrawszy schodzimy na dół do niewielkiej jadalni, której ściany zawieszone są fotografiami, przedstawiającemi ruiny olympijskie, jak się kolejno wyłaniały z pod ziemi w ciągu sześcioletniego wykopywania. Na niektórych zdjęciach widać tłumy robotników, bywało ich bowiem do 400 naraz, pod wodzą tak znakomitych badaczy jak Dörpfeld, Furtwängler, Treu, a zwłaszcza sam wielki odkrywca Olympii, Ernest Curtius. Jego podobizna zajmuje najpoczestniejsze miejsce. Poznałem go z daleka na pierwszy rzut oka, na rok bowiem przed jego śmiercią słuchałem w Berlinie jego wykładów o wszystkich odkryciach dokonanych w Olympii. Jak żywa stanęła mi w pamięci ta krępa, nizka postać nieco już wiekiem późnym przygarbiona i ta piękna, gładko wygolona twarz, o drobnych, regularnych rysach. Z wysokiego czoła w tył zaczesane siwe, długie włosy spływały mu aż na kołnierz. Wchodził do sali szybko i siadłszy na krześle, rozpoczynał wykład złamanym, nieco monotonnym głosem; i sposób mówienia bywał zrazu trochę suchy. Ale wspomnienia owych sześciu lat przeżytych tutaj nad brzegami Alfejosa, niebawem rozpalały duszę starca; zwolna głowę przechylał wstecz aż na oparcie krzesła, oczy wyblakłe od starości przymykał i mówił w górę, prosto przed siebie, jak gdyby w jasnowidzeniu przeżywał na nowo dni owe bezpowrotne, pełne niecierpliwych oczekiwań, dreszczów nadziei, zawodów poszukiwacza i tryumfów odkrywcy. Opowiadał drżącym głosem jak pod uderzeniami kilofa z nadalfejskich namulisk wyłaniały się zręby dawno zapomnianych świątyń, jak w oczach jego ziemia rodziła posągi, co po tysiącach lat zmartwychwstawały z jej wnętrzności na światło słoneczne...

— Przez ileż to wieków Olympia musiała czekać na Curtiusa! — zauważył dyrektor, wysłuchawszy moich wspomnień o wykładach wielkiego badacza.

Jęliśmy tedy rozpamiętywać pogrobową jej historyę od owego 394 r. po Chr., gdy cesarz Theodosyus I wydał zakaz odprawiania igrzysk. W rok później nawiedził Grecyę najazd Gotów pod Alarykiem i dotarł aż w te strony; świątynię Zeusa przez nich doszczętnie zrabowaną, ludność ówczesna obwarowała, chcąc

na przyszłość ubezpieczyć się przed napadami barbarzyńców. Czego potem nie strawił pożar w r. 426, to runęło w trzęsieniach ziemi w ciągu następnego wieku. Pod koniec VI stulecia powstała w Olympii osada słowiańska; jej mieszkańcy uważali zwaliska za kamieniołomy, na wapno wypalali w piecach marmurowe posągi, nawet klamry spiżowe i żelazne, spajające głazy greckich budowli, wydzierali, by posiąść kruszec na wszelakie narzędzia. Obie rzeki olympijskie szerzą niemniejsze spustoszenie: Alfejos podmywa swe brzegi, Kladeos zrywa tamy starożytne i każdej wiosny z góry Kronosowej znosi warstwy ziemi, zamulając nią Gaj święty miejscami do wysokości 5, nawet 6 m. W r. 1205 francuscy krzyżowcy Guillome de Champlitte i słynny rycerz-kronikarz Geoffroy de Villeharduin zajmują Moreę i tu z Byzantyńcami staczają zawzięte boje. W XIV stuleciu osiedla się w Olympii ludność albańska, która w ciągu następnych wieków bywała świadkiem ustawicznych bojów pomiędzy Turkami a Wenecyanami. Pierwszym człowiekiem, co wpadł na pomysł, iż tutaj ziemia kryć musi nieoszacowane zabytki starożytności, był Francuz, Bernard de Montfaucon. W pół wieku później Winckelmann powziął już nawet stanowczy zamiar odkopania Olympii, ale urzeczywistnić go nie zdążył. A przecie w XVIII w. Anglik Chandler, a w parę dziesiątków lat po nim francuski archeolog Fauvel zwiedzili Olympię i pozostawili opisy jej ruin, wśród których sterczała jeszcze nad poziom świątynia Zeusa. W r. 1824 oglądał ją lord J. Spencer Stenhope. Z końcem greckich walk o niepodległość w r. 1829 wojska francuskie zajęły Moreę. Marszałek Maison wyprawił pod kierownictwem uczonego Abla Blouet oddział żołnierzy, aby odkopali Olympię. Jakoż odsłonięto częściowo świątynię Zeusa, odkryto nawet kilka jej metop, które znajdują się w Luwrze, dalsze prace nie doszły jednak do skutku. Dopiero Curtius w r. 1852 poruszył na nowo myśl poszukiwań w Olympii. Musiał wszelako czekać lat jeszcze z górą dwadzieścia nim się ziściło jego marzenie: w r. 1875 przystąpił do tak upragnionych robót, a w r. 1881 Gaj święty wyłonił się zupełnie z pod ziemi.

Deszcz nie ustaje. Po śniadaniu idziemy tedy pod przewodnictwem Dörpfelda do muzeum położonego na wzgórzu nieopodal

ruin. Mijamy przedsionek, ozdobiony posągami cezarów. Gdzieindziej nie przeszłoby się obok nich obojętnie, lecz tu w Grecyi, trzeba sobie z góry powiedzieć, że oczy i duszę otwartą będzie się miało jedynie dla sztuki helleńskiej i to z najlepszych czasów. Inaczej grozi rozproszenie wrażeń i zamęt wspomnień.

Dörpfeld prowadzi nas do małej salki, gdzie pomieszczone są przeważnie wyroby z bronzu. Ogółem odnaleziono ich przeszło 14.000 sztuk; tu znajdują się tylko najważniejsze: więc archaiczne posążki spiżowe ludzkie i zwierzęce, głowy gryfów pięknie stylizowane, ułomki naczyń i różnych narzędzi, pancerze, nagolenniki, groty dzid i strzał, szczątki wszelakiego oręża. Doprawdy szkoda, że nie mamy czasu na dokładniejsze rozejrzenie się w tym zbiorze. Osobliwie zajmujące są przybory gimnastyczne: dysk bronzowy i ciążki, którymi atleci brali rozmach do skoku. Są to grube, półkoliste płyty bronzowe z otworami na palce i wycięciem na dłoń. Jest wreszcie spory odłam skały z napisem z VI wieku, głoszącym, iż »ten kamień Bybon przerzucił poza metę«.

Ale wpośród wszystkich zabytków prym trzyma tutaj wielka, dwa razy naturalnych rozmiarów głowa Hery, rzeźbiona jeszcze dość niezdarnie w miękkim wapieniu marglowym. Pierwotny artysta widocznie używał jeszcze sposobów i narzędzi snycerskich, jak gdyby miał przed sobą drzewo, a nie kamień; dał zaś oblicze schematyczne, pod którem nie czuć zarysu kości.

Dörpfeld zwraca nam uwagę na szczególne głowy tej nakrycie: nad samem czołem wiją się regularne, stylizowane skręty włosów; zresztą całą głowę zdaje się okrywać jakby czepiec drobno karbowany, obszyty wstęgą, która opasuje skronie; na ciemieniu sterczy rodzaj dyademu z prostych, wązkich liści u podstawy swej otoczony plecionką sznurową, która przytrzymywała końce chusty osłaniającej tył głowy. Z tej chusty, czyli rańtucha, zniszczonego niemal doszczętnie, zostały tylko ślady z obu stron dyademu. Na widok tak zawiłego stroju przypomniał mi się ustęp Iliady, gdzie Andromacha spostrzegłszy zwłoki Hektora za wozem Achilla wleczone,

. . . . . jednym ruchem zdarła sobie z głowy
Wspaniałe stroje: czółko, nagłownik siatkowy

I zaplotek ze sznuru misternie uwity
I rańtuch...

Tymczasem Dörpfeld mówi nam, że znaleziono ją w pobliżu Herajonu i że, zdaniem najwybitniejszych badaczów, należała ona niewątpliwie do głównego posągu małżonki Zeusowej. Stał on w głębi świątyni na wprost wejścia, jak świadczy znacznych rozmiarów podstawa z tego marglowca wykuta i do dziś dnia zachowana. Z opisu Pausaniasa wynika, że posąg był siedzący i że obok stał Zeus brodaty z hełmem na głowie. Dodaje Pausanias, że »jest to dzieło surowe«, co w zupełności odpowiada prastaremu stylowi tej głowy.

Tak więc mamy przynajmniej oblicze najstarszego wizerunku Hery. Był on po wszystkie czasy otoczony osobliwą czcią, która dotrwała do czasów Pausaniasa. — »Co piąty rok — pisze on — szesnaście białych głów tka płaszcz dla Hery. One też urządzają igrzyska zwane Herajami. Polegają te igrzyska na wyścigu dziewek. Nie wszystkie są w równym wieku, więc naprzód biegają najmłodsze, po nich te, które następują w latach, a na końcu najstarsze dziewczęta. A biegają w taki sposób: włosy mają rozpuszczone, chiton mało co zachodzi im poniżej kolan, prawe ramię okazują aż po piersi. Zwycięskim dziewicom dają wieńce oliwne i część krowy zabitej na ofiarę; mają też prawo poświęcić bogini malowany swój wizerunek. Wyścig dziewcząt wywodzą od starożytnego zdarzenia, mówiąc, iż Hippodameja, by Herze wyrazić podziękę za małżeństwo z Pelopsem, zgromadziła szesnaście niewiast i obchodziła z niemi pierwsze Heraje«.

W przyległej salce pokazuje nam Dörpfeld szczątki rzeźb z wapienia białego. Była to archaiczna grupa wypełniająca szczytowy trójkąt na skarbcu Megarejczyków. Pochodzi ona z końca VI w. i w rozwoju rzeźby greckiej zajmuje najbliższe miejsce obok wielkiej gigantomachii atheńskiego Hekatompodonu. Jak tam Pallada, tak tutaj Zeus niewątpliwie zajmował sam środek, ale z całej postaci jego zachowała się tylko noga w silnym rozmachu na przód wysunięta. Przed nim ciężko ranny gigant powalił się na jedno kolano, lecz broni się jeszcze zajadle, choć na twarzy boleśnie w dół pochylonej ma już wyraz przedśmiertnej

omdlałości. Rzeźbiarz przedstawił go jako brodatego hoplitę w pancerzu i hełmie, z krągłą tarczą na lewem ramieniu. Z obu stron Zeusa inni bogowie: Herakles i Ares, Athene i Posejdon pochyleni nad pokonanymi gigantami, dobijają ich mimo rozpaczliwej obrony. Z innych skarbców rzeźby doszły nas tak poniszczone, że z ich ułomków z trudem tylko można się domyślić, jak wyglądały te dzieła, przeważnie należące do archaicznej sztuki.

Przechodziliśmy powoli przez cały szereg niewielkich pokoi, zastawionych fragmentami rzeźb i architektonicznymi członami rozwalonych budowli. Niestrudzony, pełen zapału Dörpfeld ani na chwilę nie przestaje objaśniać, pokazywać, odpowiadać na pytania nasze. Umie bez cienia pedantyzmu zapuszczać się w najdrobniejsze nawet szczegóły, zwłaszcza strona konstrukcyjna greckiego budownictwa nabiera w jego wykładzie osobliwszej wyrazistości. Na paru wielkich, płaskich dachówkach marmurowych, pochodzących ze świątyni Zeusa, pokazuje nam, w jaki sposób jednę na drugą zakładano i rozpowiada, jak urządzony był ściek wody z dachu. *Gejson* czyli gzyms koronujący obiegał dokoła budynku. Na obu długich ścianach stykał on się bezpośrednio z okapem dachowym, zwanym *sima;* natomiast na krótkich ścianach stanowił jakby półkę, na której stały rzeźby figuralne, zdobiące trójkąt szczytowy, sima zaś tworzyła dwa górne boki trójkąta, ochraniając rzeźby te przed słotą. Z dwuspadowego dachu woda mogła oczywiście spływać ku długim tylko ścianom i tu natrafiała na simę, spełniającą zadanie dzisiejszej rynny. W simie były regularnie rozmieszczone otwory, zdobne zazwyczaj lwiemi głowami, przez których paszcze, rozwarte szeroko, woda wytryskała na zewnątrz.

Oglądamy kilkadziesiąt głów takich: wszystkie zdobiły simę świątyni Zeusowej. Dörpfeld wykazuje różnice między niemi, dowodząc, iż w miarę zniszczenia z biegiem czasu zastępowano uszkodzone lwy nowymi. Najstarsze, współczesne z budową świątyni pochodzą z pierwszej połowy V wieku. Uderza w nich siła drapieżnego wyrazu i wykonanie doskonałe w szerokim, dekoracyjnym stylu. Późniejsze zatracają stopniowo i wyraz i styl i do-

skonałość roboty, ostatnie zaś, kute grubo i niezdarnie, są wymownym dowodem upadku sztuki w czasach późno rzymskich.

Najpierwotniejszy dach grecki — powiada nam Dörpfeld — był układany płasko z tramów drzewnych, a szczeliny między nimi zalepiano iłem albo gliną. Takie płaskie dachy były w megaronach czasów heroicznych np. w Tirynsie i w Mykenach. Później występuje dach dwuspadowy, spoczywający na drewnianem jeszcze belkowaniu i kryty dachówką ceglaną, która była wynalazkiem Koryntyan. Gejson i sima są naówczas terakotowe. Stopniowo kamień wypiera drzewo z budownictwa greckiego, lecz dachówka ceglana i terrakotowa okładka na simach i gejsonach utrzymuje się dalej w świątyniach budowanych już całkowicie z ciosu. Gdy nakoniec pokryciem staje się dachówka marmurowa, pomysłu Byzesa Naxyjczyka, następują również gejsony i simy z marmuru, jak tu na świątyni Zeusa lub w atheńskim Parthenonie. Oto macie panowie cały zbiór takich terrakot wykopanych w Olympii. Jedne z nich pochodzą z najstarszej świątyni tutejszej z Herajonu, inne ze skarbców przez różne greckie ludy wznie-, sionych Zeusowi. Malowane są niemal wszystkie, niektóre bardzo pięknie. Po sposobie malowania rozeznać można wcześniejsze od późniejszych, na tej samej zasadzie co wazy: pierwotnie bowiem ornamenty wykonywano ciemną barwą na czerwonem tle gliny palonej, później zaś tło przykrywano ciemnym kolorem, na którym uwydatniał się jasny ornament. Najszacowniejszym i najokazalszym zabytkiem terrakotowym jest niezawodnie ta wielka tarcza o średnicy dochodzącej 2 m. bez mała. Gdyby nie trójkątne wycięcie w dolnej części, krąg ten olbrzymi zakreślałby całe koło. Tem właśnie wycięciem był on osadzony na samym szczycie Herajonu i stanowił główne akroterion na przyczole świątyni.

Tymczasem niebo rozpogadzało się zwolna i popołudniowe słońce zajrzało do sali muzealnej. Ruszyliśmy więc na ruiny, do *Altis*. Nazwa ta w narzeczu elijskiem oznaczała Gaj święty. Ze wzgórza, na którem stoi muzeum, schodzimy gromadnie z Dörpfeldem na czele. Droga wije się łąkami nad krętem, głęboko wyżłobionem korytem Kladeosa, co wezbrany dwudniową słotą, mętne wody z szumem toczy do Alfeja, rwąc i podmywając muliste

brzegi. Po drugiej stronie rzeki dźwiga się stroma góra po sam szczyt porośnięta gęstym lasem. To Kronos, pagór nad Olympią całą panujący, imieniem Zeusowego rodzica nazwany w niepamiętnych czasach. U południowych jego podnóży rozpościera się tuż za mostem na Kladeosie olympijski Ogrojec bogów.

*

Skąpany w blasku słonecznych promieni
Śpi wielki cmentarz umarłej świetności;
Cisza i pustka. Z podniebnych przestrzeni
Motyle jeno zlatują tu w gości,
Gdzie na spłowiałej rdzawych traw zieleni
Bieli się — nakształt rozsypanych kości —
Gruz dawnych świątyń, a w zrębach rozwalin
Bujają myrty i zarośla malin.

Rozchodnik złote swe gałązki wciska
Pomiędzy głazy posadzki pękniętej
I macierzanka rozwłóczy się nizka,
Gmachów zburzonych strojąc fundamenty,
I asfodele patrzą na zwaliska
Twarzą wyblakłą, a puszyste mięty
Ku ziemi siwe kiście swoje słonią,
Aromatyczną dysząc wkoło wonią...

Gdzieniegdzie kolumn utrącone trzony
Samotnie stoją ruinom na straży,
Może w zadumie o sławie minionej,
O bezpowrotnej sławie im się marzy...
Srebrzą się brzozy, zielenią się klony
A lekki powiew ich gałązki waży;
Lecz oliw siwych nigdzie naokoło,
Bo czyjeż dzisiaj wieńca godne czoło?!

Kto z teraźniejszych ludzi się ośmieli,
Wian olympijski na skroń wdziać oliwny?
W kim serce tak się do życia weseli?
Kto się w piękności skąpał tak przedziwnej?
— Nam raczej wieńce z trupich asfodeli...
Duch w nas rozdarty, sam sobie przeciwny
Próżno w szarzyznie powszedniej się miota,
Której na imię: Nuda i Brzydota!

C. d. n.

*Lucyan Rydel.*

# „CIVITAS DEI“ W EPOCE KAROLA WIELKIEGO.

Na schyłku dziejów cywilizacyi pogańskiej, kiedy wśród ogólnego rozkładu i zamętu wypracowuje się nowy świat, św. Augustyn pisze genialne swoje dzieło *De civitate Dei,* które w dziejach chrześcijaństwa na długie wieki potężny wywarło wpływ a na politycznym ustroju średniowiecza charakterystyczne wycisnęło piętno. Zrazu miała to być skromna tylko apologia chrystyanizmu, odpierająca zarzuty pogan, z zamętu czasu wyrosłe, przeciwko opatrzności Bożej, ale niepostrzeżenie apologia ta pod tchnieniem geniuszu Augustyna rozszerza się w wspaniały pogląd filozoficzny na problem złego w historyi i zwycięski pochód i rozwój prawdziwej cywilizacyi w świetle Objawienia chrześcijańskiego.

Ludzkość cała — taka jest w najogólniejszych zarysach treść tego dzieła — od zarania swego istnienia na dwa rozpada się światy czy społeczeństwa różne i sobie przeciwne:

»Z jednej strony widzimy społeczeństwo ziemskie, przyćmione błędem, opanowane pożądaniem i rozdzierane wewnątrz przez walki, w których słabszy pada ofiarą mocniejszego. Bóg, który rozporządza losami państw, dopuszcza, aby cesarstwo rzymskie następowało po cesarstwach wschodnich, aby przyprowadzić ludzi do jedności politycznej. Następnie to cesarstwo upada z kolei, aby ustąpić miejsca królestwu Bożemu i zjednoczenia się ludzi wszystkich w Bogu« (XVII, 4).

»Z drugiej strony śledzimy rozwój ludu wybranego od Adama

do Jezusa Chrystusa, czyli postęp ludzkości na drodze prawdziwej wiary, która wzmaga się z dniem każdym i ogarnia nieznacznie świat cały« (XVI, 18).

Społeczeństwa te, które w rozwoju ludzkości częstokroć mieszają się ze sobą, choć nigdy nie zlewają, różny mają początek i wręcz przeciwnym ożywione są duchem.

Społeczeństwo Boże sięga poza granice świata widzialnego i obejmuje ludzi dobrych i aniołów. Społeczeństwo ziemskie, *civitas terrena,* natomiast składa się z ludzi, którzy żyją życiem płaskiem i nizkiem i fałszywym hołdują bogom.

Pierwsze zbudowała miłość Boga, posunięta aż do pogardy siebie samego, drugie miłość własna, posunięta aż do pogardy Boga (XI, 1; XII, 1; XIV, 1, 4, 28).

Pierwsze znajduje się tu na ziemi tylko w stadyum przejściowem — *peregrina* — i zdąża w ciągu historyi wśród prześladowań świata i pociech Bożych, *inter persecutiones mundi et consolationes Dei* (XIV, XVIII), ku jasnym brzaskom »miasta świętego Jeruzalem, zstępującego z nieba od Boga, mającego jasność Bożą« (Apoc. XXI, 10).

Drugie tkwi głęboko i wyłącznie w doczesności i uważa za cel życia dobrobyt materyalny, kwitnący spokojem i szczęśliwością, *non peregrinans in hoc mundo, sed in eius pace et felicitate quiescens* (XV, 17).

Odmienne też są rządy w obu społeczeństwach. W przeciwieństwie do społeczeństwa ziemskiego, które podbija w niewolę różne narody i, narzucając im swoje prawa i zwyczaje i język, trzyma poddanych w ucisku, społeczeństwo Boże, łącząc wszystkich we wspólnej wierze, nadziei i miłości, rządzi się miłością Chrystusową i prowadzi ludzkość ku jasnym i odwiecznym celom szczęśliwości wiecznej.

Zapewne i społeczeństwo ziemskie ważne spełnia zadania. Ono stoi na straży bezpieczeństwa życia i mienia i ma wprowadzać w życie zasadę sprawiedliwości. I dlatego chrześcijanie winni porządkowi państwowemu uszanowanie i posłuszeństwo. A gdyby się oparło na zasadach Chrystusowych, dodaje św. Augustyn, który się patrzał na przepalone namiętnością pogańską formy państwowe

wschodniego i zachodniego państwa rzymskiego, niezdolnego do nowych przeobrażeń według ducha ewangelii, gdyby, dodaje, władcy i ludy poszli drogą przykazów Chrystusowych, kraje i narody zakwitnęłyby szczęściem i dobrobytem (II, 19). Bo tam, gdzie roztropność i bojaźń Boża panuje, rośnie ogólny dobrobyt (V, 19) i spływa wraz z szczęściem nie tylko na rząd, lecz przedewszystkiem zawsze na poddanych (IV, 3).

A teraz jakie prawo, zdaniem św. Augustyna, rządzi rozwojem ludzkości?

W przeciwieństwie do filozofii pogańskiej, która w błędnem kole odwiecznych wznoszeń i upadków cywilizacyi zamykała rozwój historyi (XII, 14), św. Augustyn wskazuje na ciągły wzrost dziedziny prawdy i sprawiedliwości i braterstwa w pochodzie ludzkości w coraz dalsze i wyższe kręgi cywilizacyi Bożej.

Podobnie jak życie człowieka, zanim rozwinie się w całej pełni, różne przechodzi okresy, tak i ludzkość od początku swego istnienia aż do najdoskonalszego swego rozwoju, różne przebywa epoki, które odpowiadają sześciu dniom stworzenia. Tak według teoryi tej od czasu przyjścia Chrystusa przeżywamy szósty okres, który trwać będzie aż do końca świata. Gdy się zamknie, zacznie się dzień siódmy, który będzie dniem spoczynku — wieczny sabbat szczęścia i chwały.

Tak w ludzkości od zarania jej istnienia ciągnie się jasnym szlakiem w historycznym pochodzie społeczeństwo Boże i rozwija i rozszerza na coraz większe masy ludzi i ludów, dopóki nie ogarnie świata całego i zawiedzie w progi wieczności, w jasny sabbat wiecznego pokoju i szczęścia. W ten sposób, zdaniem św. Augustyna, w miarę jak Kościół rozszerza swoje panowanie na świat cały, realizuje się też mesyańskie *Millenium*, o którem wśród krwawych prześladowań tak uroczo marzyli pierwsi chrześcijanie.

I odtąd społeczne proroctwa mesyańskie i tajemnicze tysiąclecie apokalipsy pod koniec wieków poczęto sobie tłumaczyć rozwojem Kościoła i kwitnącym jego stanem w historycznym pochodzie ludzkości.

I odtąd marzenia eschatologiczne w innym poszły kierunku.

Podczas gdy dawniej chrześcijanie w oczekiwaniu dni apo-

kaliptycznych słyszeli wśród krwawych prześladowań stąpanie antychrysta i poszum skrzydeł sądnych aniołów, obecnie marzą o kwitnącym stanie Kościoła i wzmożonym potężnie wpływie religii w rozwoju historyi. Podczas gdy dawniej mniemano, że z upadkiem nieśmiertelnej Romy świat cały pójdzie w ruiny, obecnie ci sami chrześcijanie, patrząc się na potężne ruchy ludowe, pod których naporem wali się w gruzy zachodnie państwo rzymskie, roją złote sny o jakiejś olbrzymiej rzeczypospolitej, łączącej wszystkie ludy i narody, nawrócone do Chrystusa, w jedną społeczność Bożą, *Civitas Dei*. Ponad zwaliskami olbrzymiego państwa, ponad zamętem łupieskich pochodów barbarzyńskich ludów wędrownych, jaśnieje ideał społeczności Bożej, tak jak go przedstawił św. Augustyn w dziele, którego zwoje, zaledwie obeschłe z atramentu, wyrywano sobie z rąk, — unosi się nad nieśmiertelną Romą i stolicą Piotrową i początkuje nową epokę.

* * *

»Gdy król — czytamy w spółczesnej kronice — w dzień Bożego narodzenia udał się na uroczyste nabożeństwo do bazyliki św. Piotra, apostoła, i klęczał przed ołtarzem, papież Leon włożył mu koronę na głowę wśród okrzyku ludu rzymskiego: niech żyje i zwycięża Karol Augustus, ukoronowany przez Boga, wielki miłośnik pokoju, imperator rzymski«.

Na pierwszy rzut oka wiekopomny fakt ten był w gruncie rzeczy przymierzem, zawartem pomiędzy papieżem a barbarzyńskimi ludami zachodniej Europy. Wiekowa walka dwu potęg zakończyła się zwycięstwem kultury i chrystyanizmu i kreacyą nowego cesarstwa. A zwyciężyła kultura dlatego, bo była z chrześcijaństwem w sojuszu, bo ludy barbarzyńskie, zanim zaczęły czerpać u źródeł kultury, już były chrześcijańskie.

W rozumieniu współczesnych atoli akt koronacyjny inne miał znaczenie. Był on po prostu wznowieniem zachodniego cesarstwa rzymskiego, które od r. 476 było w ruinach, ale cesarstwa w specyalnem i wyższem znaczeniu, *sanctum imperium romanum*, jak to z nazwy wynika.

Rzymski organizm państwowy na zachodzie już dawno był

się rozpadł, ale miejsce jego zajął organizm Kościoła. W Rzymie króluje papież, po miastach rządzą biskupi, sprawują częstokroć urzędy cywilne i pośredniczą pomiędzy ludem rzymskim a barbarzyńcami. Wokoło miast i na prowincyi żyją ludy na pół dzikie, źle otarte z bałwochwalstwa, mówiące obcym językiem i rządzące się obcym zwyczajem i prawem, ale w miastach samych panuje język łaciński i prawo rzymskie, jaśnieją szczątki dawnej kultury bogatej, na której straży obecnie stoi Kościół.

Otóż na tej podstawie i w granicach organizmu tego ma powstać nowe cesarstwo — święte, bo z Kościoła zrodzone, rzymskie, bo z ruin państwa rzymskiego wyrosłe.

Co więcej, nowe to cesarstwo ma być zarazem uniwersalnem, ale nie drogą zaborczą, jak dawne cesarstwo rzymskie, lecz potęgą prawdy Chrystusowej, która podbije ludzkość całą. A takiem stać się może jedynie przez Kościół, który jest z istoty swej uniwersalnym i przez Rzym, który jest stolicą świata. Z uniwersalizmu religijnego wyrasta tu uniwersalizm polityczny, który znalazł swój wyraz zewnętrzny i formę prawną w ustaleniu stosunku pomiędzy papiestwem a cesarstwem przez akt koronacyjny.

Chcąc słusznie ocenić i wyrozumieć doniosłość tego aktu papieskiego, który całą cywilizacyę zachodnią na nowe pchnął tory i na długie wieki nową stworzył podstawę historyczną dla stosunku pomiędzy Kościołem a cesarstwem, należy uprzytomnić sobie ogólne położenie Kościoła i Rzymu w owej chwili pamiętnej.

Otóż na wschodzie cesarstwo bizantyjskie, śmiertelną dotknięte niemocą, własną dobija się ręką. Rewolucye pałacowe są tam na porządku dziennym, a ster rządu raz po raz dostaje się w ręce jakiegoś awanturnika, który bezprawiem i mordem wznosi się na tron cezarów. To cesarstwo, które stoi intrygą kobiecą *imperium femineum*, mówi z przekąsem kronikarz. Na zachodzie w Hiszpanii wszechwładnie panuje islam, w Niemczech pogaństwo, Anglia rozdarta przez bratobójczą walkę, we Włoszech grasują Langobardzi i usiłują zawładnąć Rzymem. I któż ma bronić Kościoła i stolicy św., a tem samem całej cywilizacyi chrześcijańskiej, która w epoce krwawego zamętu i wstrząśnień

ludowych poważnie jest zagrożona? Cesarstwo wschodnie, któremu z prawa i obowiązku przypadło to zadanie? Ależ ono dogorywa i niezdolne jest do obrony własnych granic przed islamem, i własnych prowincyi przed Langobardami. Zresztą czas już najwyższy, aby Kościół się wyzwolił z pod jarzma Bizancyum, które go tylko zatruwało jadem herezyi i dławiło absolutyzmem pogańskim. Trzeba już raz się oprzeć na innych ludach i na innej potędze, które zwycięskim mieczem i dzielnością rasy zdobywają sobie coraz widoczniej władztwo nad światem zachodnim. Francya i zachodnie Niemcy już roją się od ludów, wychylających się co prawda dopiero z barbaryi, ale pełnych życia i siły, od ludów, które poszły w służbę Kościoła i zwycięski stawiają opór islamowi, które chętnie podejmą się obrony papieża i »św. Kościoła i rzeczypospolitej Bożej«.

Przymierze więc papiestwa z ludami germańskimi narzucało się z koniecznością. Ono też z roku na rok staje się coraz ściślejszem i za Pepina, a później za Karola nabiera ogromnego znaczenia dla całego chrześcijaństwa i cywilizacyi wogóle.

Dodajmy do tego urok, jaki opromieniał bohaterską postać Karola, który upokorzył Longobardów i podbił pod posłuszeństwo Sasów, który bronił chrześcijaństwa przed Arabami i Normanami, Awarami i Słowianami i stworzył olbrzymią rzeczpospolitą, rozciągającą się od morza północnego, aż do Kalabryi, od rzeki Ebro aż po Łabę.

»To nie władca jednego tylko narodu — mówi wybitny historyk cywilizacyi chrześcijańskiej — lecz monarcha międzynarodowy, którego urok monarszy rozciągał się tak daleko, jak powaga Kościoła samego. Wszystkie ludy jednogłośnie i milcząco godziły się na to, żeby on pierwsze wśród nich zajmował miejsce. Wszyscy zwracali się ku niemu, bo on był ogniskiem jasnem cywilizacyi. I królowie sami po prostu siłą rzeczy uznawali supremacyę, pełnego chwały suwerena Franków. Królowie W. Brytanii mienili się jego wasalami, królowie Hiszpanii przysłali mu swój hołd. Bizancyum drżało przed potęgą jego ramienia, a więcej jeszcze jego geniuszu, gdy się przekonano, że sztuka dyplomatyczna wobec takiego przeciwnika jest bezsilną. I książęta mu-

zułmańscy byli pod urokiem jego wybitnej indywidualności i jego ogromnej potęgi. Z Kordowy i Bagdadu przysłano mu dary i ofiarowano dużo dowodów przyjaźni. Harun al Raszyd ofiarował mu nawet protektorat nad ziemią świętą. Tak tedy w Jerozolimie i Rzymie przypadło mu w udziale dziedzictwo Bizancyum i on podjął tylko pełną chwały misyę, której nie sprostali cezarowie, mianowicie obrony interesów chrześcijańskich w całym świecie« [1].

A na tle tych podbojów pokojowych, tego olbrzymiego państwa, zbudowanego z najróżniejszych narodów, odbijają szczątki z ruin dawnej potęgi, połyskują odblaski dawnej chwały i majestatu światowładnej Romy, której najwyższym przedstawicielem moralnym był Kościół i papież. Ponieważ u Greków — pisze kronikarz — imię imperatora wygasło, bo ster rządu ujęła w ręce kobieta, zdawało się papieżowi Leonowi i wszystkim ojcom Kościoła i ludowi chrześcijańskiemu, iż Karolowi należy dać tytuł imperatora. I słuszna, dodaje, gdyż w ręku jego znajdował się Rzym, macierz cesarstwa i inne rezydencye cezarów, jak Medyolan, Trewir i t. d., a w dodatku lud chrześcijański tego się domagał.

Ale jeszcze inna myśl odgrywała tu prawdopodobnie rolę niemałą, mianowicie wzgląd na zbudowanie państwa chrześcijańskiego w ścisłem znaczeniu i na wprowadzenie zasad Chrystusowych do życia społecznego i politycznego.

Chrześcijaństwo wprawdzie zdobyło sobie prawo obywatelstwa w życiu publicznem, ale ani wschodnie ani ongi zachodnie cesarstwo rzymskie nie było naprawdę nigdy chrześcijańskie. Cały ustrój państwowy, i prawa i instytucye, i poglądy i zwyczaje i przesądy, wszystko to tkwiło korzeniem w pogaństwie i przeniknięte było duchem pogańskim. Ze zrębu państwowego wszędzie przegląda pogaństwo. A jednak chrześcijaństwo miało i powinno nie tylko zmienić człowieka, lecz rowinąć się w nowe i żywotne formacye społeczne i polityczne i przeobrazić zupełnie stosunki i życie publiczne.

Otóż teraz nadarzyła się sposobna chwila dziejowa, by na

[1] Kurth: *Les origines de la civilisation moderne*, t. II, str. 306.

zwaliskach dawnego cesarstwa rzymskiego zbudować na zasadach chrześcijańskich nowe społeczeństwo chrześcijańskie i pogańskim formacyom państwowym przeciwstawić nowy ustrój, dostrojony do przekonań i uczuć chrześcijańskich. Germańskie bowiem ludy świeże i młode, zaledwie otarte z barbarzyństwa, wrażliwe są na natchnienia prawdy i światła Ewangelii i zahartowane w ciągłych wyprawach wojennych. A w dodatku władca tych ludów głęboko religijny o duszy gorącej i podniosłej i hartownej woli, pielęgnował w duszy od dawna ideał państwa chrześcijańskiego, zaczerpnięty z prawa kanonicznego i dzieła św. Augustyna o społeczności Bożej *de Civitate Dei.* Z użyczenia tedy nieba i zrządzenia Opatrzności wszystko tak się składa, żeby Karol otrzymał koronę cesarską wraz z misyą szerzenia królestwa Chrystusowego wśród barbarzyńskich ludów Europy *Divino nutu coronatus, a Deo coronatus,* jak sam się wyraża.

Oczywiście realizacya tego ideału wydawała się współczesnym możliwą tylko we formach dawnego cesarstwa rzymskiego. W myśl Karola i papieża nowe państwo miało być kontynuacyą dawnego, tylko ożywione innym duchem i zbudowane na innych zasadach, zwłaszcza, że w marzeniach ludów germańskich żyła pamięć o potędze i nieporównanych bogactwach dawnego cesarstwa i okazałym blasku tronu cezarów.

Pierwszym krokiem ku temu było powierzenie Karolowi w r. 774 godności patrycyusza rzymskiego przez papieża Hadryana. Patrycyusz bowiem rzymski z obowiązku był obrońcą Kościoła rzymskiego, i co za tem idzie całego chrześcijaństwa. A więc w godności tej mieści się już, jak kwiat w zawiązku, korona cesarska.

Wspaniała była to chwila, kiedy Karol, uwieńczony wawrzynem zwycięzcy w stroju patrycyusza, jako tryumfator wkracza do Rzymu, a wojsko składa u stóp jego sztandar rzymski i wita go okrzykiem »imperator«. Uroczysta scena ta jak wspaniale odbija od skromnego aktu koronacyjnego w 16 lat później, kiedy Leon III wkłada na głowę jego podczas nocnej pasterki koronę cesarską. Czy Karol zdawał sobie sprawę z tej godności i obowiązków do niej przywiązanych. Niewątpliwie. Spędził on wów-

czas tydzień cały na poufnych naradach i rozmowach z papieżem Hadryanem i wnosząc z jego następnej rozległej akcyi wojennej, zdaje się, że w ciągu rozmów tych poczęły się i utwierdziły w twórczym jego umyśle owe plany olbrzymie, które w następnych latach w życie wprowadzał.

Bo to pewna, że wszystkie wyprawy wojenne Karola miały na celu utrzymanie pokoju, że wszystkie prawie były podjęte w obronie Kościoła. A co to były za pochody olbrzymie po krajach dzikich, skąpo w drogi zaopatrzonych, wśród puszcz nieprzetrzebionych i głuchych lasów. Historyk Weiss (t. II, 544) wylicza 53 wypraw wojennych Karola, z których może 12 czy 14 nie było podjętych głównie dla obrony Kościoła. Wszystkie zaś zmierzały do rozszerzenia Królestwa Bożego, jak mówi Bossuet, pomiędzy ludami barbarzyńskimi, do zaszczepienia i utrwalenia cywilizacyi chrześcijańskiej. Czyż więc krwawy geniusz wojenny gnał go naprzód i wciąż naprzód, czy też owe ognie i zapały, które roznieciły w sercu jego długie rozmowy z papieżem Hadryanem i długo i namiętnie pielęgnowany w duszy ideał o społeczności Bożej?

Korona cesarska, którą włożył na skronie jego Leon III w r. 800, była tylko nagrodą za służbę apostolską w Królestwie Bożem i uroczystem potwierdzeniem przymierza, zawartego ze stolicą św. już w r. 774, a formalnie i wcześniej, bo już za ojca jego Pepina. A momentu tego i okresu w życiu Karola zwyczajnie historycy nie doceniają.

Akt koronacyi to rodzaj kontraktu pomiędzy papieżem a cesarzem, *sacerdotium* a *imperium*.

Papież, koronując Karola w Rzymie, rzuca na monarszą godność jego odblask dawnej Romy i zwierzchniczego majestatu Bożego i przyrzeka mu żywotną pomoc duchowną w spełnianiu wszystkich zadań kulturalnych państwa. Cesarz zaś bierze na siebie obowiązek popierania Kościoła i misyę szerzenia chrześcijaństwa wśród ludów pogańskich.

Był to stosunek równorzędny w ścisłem znaczeniu, który się ujawnia:

*a)* W przysiędze miłości, przyjaźni i czci *iuramentum fideli-*

*tatis*, którą cesarz i papież składają sobie wzajemnie, i która nic niema wspólnego z poddańczą przysięgą lennika.

*b)* W fakcie ściśle przestrzeganym, że tylko z koronacyą, przez papieża dokonaną, łączą się prawa imperatorskie, a z drugiej strony, że każdy papież, świeżo wybrany, potrzebuje uznania cesarskiego.

*c)* W panującym początkowo zwyczaju składania sobie wzajemnego hołdu.

*d)* W prawie pośredniczenia w sporach, które polegało na tem, że cesarz, jako *advocatus ecclesiae* miał łagodzić spory przy wyborze papieża, a papież w sądzie rozjemczym zatargi pomiędzy książętami i ludami a cesarzem.

Karol Wielki, zdaje się, nie wierzył w możliwość urzeczywistnienia tego ideału politycznego, jaki się zamykał w słowie *sanctum imperium romanum*. Był to ideał niedościgły dla ludów, które jeszcze nie skrystalizowały się w odrębne organizmy narodowe, które zaledwo trochę otarły się o cywilizacyę i na olbrzymich obszarach Europy zachodniej pogrążone jeszcze były głęboko w barbaryi i poganizmie. Wywołajmy sobie tylko z pamięci, mówi świeżo jeden z współczesnych socyologów postępowych, który niekiedy trafnie ocenia kulturalne siły chrześcijaństwa, owe ludy teutońskie, wepchnięte w proces przeobrażeń społecznych, a przedstawi nam się widok historyczny pełen siły dramatycznej: »Ten Karol Wielki, który w kapitularzach o terminologii, zaczerpniętej z dzieła św. Augustyna *De civitate Dei*, usiłuje rządzić światem, odcinającym się zaledwie od ogólnego tła poganizmu, który zapomocą *missi dominici* pragnie zaprowadzić ład wśród ludności olbrzymiej, znającej nowy ten porządek zaledwo z imienia, który prosi, by »dla zbawienia swej duszy«, za ojcobójstwo, bratobójstwo i inne mordy, »pogrążające niejeden lud chrześcijański w ruinie«, nie zalegano z zapłaceniem kary. Wyobraźmy sobie tego papieża, wkładającego na głowę jego koronę, choć nowy ten imperator żyje w świecie, którego formy, instytucye, prawdziwe ideały i myśli wszystkie tkwiły jeszcze w szablonie prawie pogańskim. Znać, że każdy z nich stoi po prostu nie w progu innego porządku cywilizacyi, lecz w przed-

sionku dopiero nowej epoki rozwoju ludzkości i marzy, papież i cesarz zarówno, o nieznanej przyszłości — marzą o spełnieniu tego ideału w ciągu życia ludzkiego, w ciągu lat tysiąca i dziesiątek tysięcy, o przeobrażeniu niepomiernie większem co do rozmiaru, niż to, które już dokonało się przez niepoliczone epoki rozwoju ludzkości« [1].

Zdaje się, że idea imperium rzymskiego była dla geniuszu jego czemś obcem i niezgodnem z poczuciem chrześcijańskiem, może też względy na cezarów w Bizancyum, którzy rościli sobie prawo niepodzielne do całej spuścizny rzymskiej, odgrywały tu pewną rolę? Dość, że idea ta nie zakorzeniła się w jego trzeźwej i mądrej, z wymaganiami rzeczywistości rachującej się, głowie. Już bowiem w r. 806 dzieli Karol na przyszłość państwo swoje »aż do granic św. Piotra« pomiędzy synów, nie troszcząc się zgoła o godność cezara i niepodzielność uniwersalnej monarchii. A może była to tylko pewna chwiejność i uchylanie się od misyi z góry mu powierzonej, pewne łamanie się z wyższą wolą Opatrzności, którą on czuł nad sobą? W ten sposób też, zdaje się, tłumaczyć należy owe wahanie się podczas koronacyi i inne niekonsekwencye Karola w tym kierunku, z których historycy niektórzy niejednokrotnie kują broń przeciwko papiestwu.

W każdym razie to pewna, że Karol do aktu koronacyjnego i specyalnej misyi religijnej, powierzonej mu przez papieża, wielką przywiązywał wagę, skoro wkrótce po koronacyi każe sobie po raz wtóry składać przysięgę na wierność, jako cesarzowi. Doniosłość i znaczenie tej przysięgi tłumaczy osobno wydany w tej mierze dekret cesarski.

Każdy poddany królestwa — czytamy tam — duchowny czy laik, choć już uprzednio był składał przysięgę na wierność królowi, winien powtórzyć ją ponownie, jako cesarzowi. Kto zaś niezaprzysiężony, złoży ją w dniu przepisanym po skończonym roku dwunastym. O doniosłości i treści tej przysięgi należy w sposób przystępny wszystkich pouczyć. Bo nie trzeba mniemać, jak to

[1] Benjamin Kidd: *Principles of Western Civilisation*, 1908, str. 236.

wielu przypuszcza, że to tylko przysięga wierności, cesarzowi złożona. Dużo więcej mieści się w niej:

Najprzód obietnica, że każdy wytrwa w świętej służbie Bożej według przykazań Bożych, albowiem cesarz nie może brać osobiście odpowiedzialności za moralne prowadzenie się każdego...

Następnie każdy wystrzegać się ma wszelkiej nieuczciwości, gwałtu i krzywdy wobec świętego Kościoła Bożego, wobec wdów i sierót i pielgrzymów, albowiem cesarz postawiony jest na to, żeby po Bogu i świętych Pańskich, był stróżem i obrońcą ich...

Wkońcu podkreśla orędzie cesarskie obowiązek służby wojennej, gdy padnie hasło bojowe i obowiązek płacenia podatków. »Wszystko to mieści się w przysiędze cesarskiej« [1].

(Dok. nast.)

*Ks. Leonard Lipke.*

---

[1] Migne, t. 97. *Caroli Magni capitularia*, str. 224.

# W SPRAWIE ŚW. STANISŁAWA.

## DYSKUSYA.

(Ciąg dalszy).

### Zebranie rezultatów i uzupełnienie.

I.

Wezwany do udziału w dyskusyi o św. Stanisławie, nie mogę się od niego uchylić. Należę nie od wczoraj do grona współpracowników *Przeglądu Powszechnego;* od lat 37 studyami nad średniowieczną epoką wypełniłem przeważną część mojego zawodu naukowego; w tym roku wreszcie mija właśnie 30 lat, jak mimochodem dotknąłem kwestyi św. Stanisława i własną o niej wyraziłem opinię. Gdybym zachował milczenie wobec toczącej się dyskusyi, równałoby to się niemal wyznaniu, że nie chcę zabrać w niej głosu, ponieważ mnie przekonały wywody najznakomitszego u nas badacza średniowiecznej epoki. Ja zaś nigdy się z tem nie kryłem, co o nich sądzę. Zapytywano mnie nieraz, dlaczego z mojem mniemaniem nie występuję publicznie. Mniejsza o to, czy osobiście miło mi toczyć polemikę z czcigodnym autorem »Szkiców historycznych XI wieku«, ze starszym towarzyszem zawodu, którego niespożytym zasługom naukowym nieraz należny hołd oddawałem — piórem i słowem. Mojem zdaniem nietrudno skruszyć kopię o jego »Faktum biskupa Stanisława«; łatwo wykazać kruchość domysłów, na których wsparł się ten ostatni

z werdyktów, rzekomo naukowych, potępiających patrona Polski — ostatni z ich długiego szeregu. Ale też na tem koniec. Próżno natomiast kusić się o naukowe wyjaśnienie zagadkowego faktu, który od stu lat z górą zajmował u nas tylu znakomitych badaczy, bez żadnej — śmiem to twierdzić — korzyści dla nauki, a nawet nie bez ujmy dla jej powagi. Impuls do tych dociekań wychodził niemal zawsze z motywów obcych nauce i nic wspólnego z nią nie mających. *Man merkt die Absicht...* To wrażenie, którego zwykle doznawałem, odczytując obfitą już literaturę tego przedmiotu [1]. Dlatego też milczałem.

Dyskusya, która toczyła się w poprzednich zeszytach *Przeglądu*, wydała sporo cennych przyczynków do rozjaśnienia kwestyi; mogę z nich niemało korzystać [2]. Nie przekroczono tu gra-

[1] Pomiędzy historykami, którzy pisali o św. Stanisławie, jeżeli kto był wolny od tendencyi, to właśnie autor »Szkiców historycznych XI wieku«. Twierdzę to stanowczo, z głębokiem przekonaniem, opartem na pozytywnych podstawach. Nie popełnię niedyskrecyi, jeżeli stwierdzę, że Tadeusz Wojciechowski pisał trzy ostatnie rozdziały tej książki nie bez bolesnego uczucia i nie bez przezwyciężenia, a z przeświadczeniem, że nie może uchylić się od tego »obowiązku«, skoro doszedł do takich rezultatów w badaniu. Otrzymałem jeden z pierwszych gotowych egzemplarzy książki z rąk samego autora, podczas druku zaś nieraz rozmawiałem z nim o mającej niebawem wyjść książce. Tendencyi — »sympatycznej« czy »niesympatycznej« — niema bezwarunkowo w badaniach Tadeusza Wojciechowskiego; pozwoliłem sobie użyć tu wyrazów, ujętych w przytoczniki, ponieważ i one weszły już do »literatury przedmiotu«. Brak tendencyi nie broni jednak badacza od innych niebezpieczeństw, niemniej szkodliwie oddziaływających na niezależność sądu. Mistrz w tworzeniu hipotez, olśniony blaskiem złudnych spostrzeżeń i wniosków, które mu wiążą się w harmonijną pozornie całość i w subjektywnem jego mniemaniu nabierają znaczenia naukowej prawdy, musi niekiedy walczyć z niesłychanemi trudnościami, żeby zachować równowagę autokrytycznego, trzeźwego sądu. Ileż pouczających przykładów tego rodzaju widzimy w historyi nauki. To niewyczerpane źródło, i rzeczywistych odkryć o trwałej dla nauki wartości, posuwających ją naprzód, ale też nieuniknionych omyłek, bronionych nieraz z pewnym odcieniem sekciarskiej zaciętości, nawet bez jakichkolwiek motywów religijnej lub politycznej natury.

[2] Będę cytować rozprawy o św. Stanisławie, pomieszczone w poprzednich zeszytach *Przeglądu Powszechnego:* PP. z rzymską cyfrą (tom bieżącego rocznika) i arabską (stronica). Np. PP. II. 41 = *Przegląd Powszechny* z r. 1908, tom II, str. 41. Sama cyfra rzymska i arabska (bez PP.) będzie

nic, które zakreśliła natura źródeł, nie pomnożono też na szczęście pokaźnego już inwentarza domysłów o nieznanym przebiegu zagadkowego faktu, choć możnaby go jeszcze dalej powiększać, w miarę rozciągliwości fantazyi i dowolności w przystosowaniu skąpych świadectw źródłowych do wytworu własnej imaginacyi. W kwestyi, w której mamy do czynienia z jedynym, niezmiernie ubogim tekstem, a do tego jeszcze niezawodnie skażonym, pierwszorzędne znaczenie należy przyznać krytyce filologicznej, metodycznej interpretacyi, opartej na zasadach umiejętnej hermeneutyki. Tu zaś odezwał się, z prawdziwym pożytkiem dla rzeczy, fachowy głos filologa, który ma ustalone w nauce imię jako pierwszorzędny znawca późniejszej łaciny.

Uznając to ze szczerą radością, muszę przedewszystkiem zaznaczyć, że nie podzielam zgoła opinii prof. Miodońskiego w jednym z najważniejszych punktów jego interpretacyi 27 rozdz. I księgi Galla. Nikt wprawdzie nie zaprzeczy, że *traditio* może znaczyć: nauczanie, a więc chyba także i mentorskie karcenie, *traditor* zaś: nauczyciel, a więc w danym razie i mentor [1]. U Galla jednak, wyrazy te nie mogą mieć powyższego znaczenia w klasycznym ustępie: »Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus«. Interpretacya ta musi przegrać sprawę przed trybunałem, którego i w hermeneutyce nie trzeba lekceważyć, przed forum »chłopskiego rozumu«. W średniowiecznej łacinie często *traditor* = *donator*, *traditio* = *donatio;* nikt jednak nie pomyśli o takiem znaczeniu tych wyrazów u Galla I, 27. Co prawda, w tej kwestyi za nic nie można ręczyć; może na tym gruncie powstanie kiedyś jeszcze jedna »hipoteza«.

Prof. Miodoński zestawił dokładnie wszystkie ustępy, w których Gallus użył wyrazu *traditor P. P.* I, 373; nie pominął ani

---

oznaczać księgę oraz rozdział kroniki Galla, np. I. 28 = Galli Chronicon, lib. I, cap. 18. Inne źródła cytuję według publikacyi, w której należy odszukać przytoczone ustępy; M. P. H. = Monumenta Poloniae historica. »Szkice historyczne XI wieku« Wojciechowskiego cytuję, bez powtarzania tytułu: l. c. z podaniem stronicy.

[1] Gallus II. 33 używa w tem znaczeniu wyrazu *corrector*.

jednego; mimo skrzętnego szukania, nie znaleźliśmy ani jednego miejsca więcej. Jasne jest zupełnie znaczenie każdego z tych sześciu ustępów, toż samo (identyczne) w pięciu ustępach, z osobnem zabarwieniem w szóstym, a to ze względu na genitivus, zależny od *traditores* (II, 46: traditores eiusdem castri Pomoranos).

Po śmierci Mieszka II *traditores* wypędzają z Polski królowę wdowę (Rychezę); wkrótce potem, gdy dorósł syn Mieszka i Rychezy, Kazimierz, gdy objął w Polsce rządy, zrzucają go z tronu, obawiając sie, żeby nie pomścił krzywdy matki, »veriti, ne matris iniuriam vindicaret, in eum insurrexerunt eumque in Ungariam secedere coëgerunt« (I, 18).

Pomorzanie powstają przeciw własnemu księciu, Świętoborowi, i trzymają go w więzieniu — »erat enim ipse Suatobor in Pomorania carceratus et a quibusdam a regno suo traditoribus subplantatus« (II, 29).

Wojna domowa w Czechach po wygnaniu Borzywoja II; Bolesław Krzywousty przyjmuje u siebie najmłodszego z braci, Sobiesława, i wspiera go przeciw starszemu (średniemu) Władysławowi. Sobiesław, młode, niedoświadczone pacholę, wstawia się podczas wojny u Bolesława: »praedas capi, incendia fieri, terram destrui Boleslavo supplicans prohibebat, quia regnum acquirere sine bello puerili simplicitate verbis traditorum sine victoriis se credebat« (III, 21).

Wichrzyciele, buntujący się przeciw własnym książętom, stając po stronie to jednego, to drugiego z braci, którzy ze sobą walczyli o panowanie w Czechach, doprowadzają państwo czeskie do zupełnego upadku — »ad hoc enim detrimentum et dedecus bellica gens Bohemorum traditorum factionibus est redacta« (III, 23).

Świętopełk, książę pomorski, spokrewniony z Bolesławem Krzywoustym i osadzony przezeń na książęcej dzielnicy, podnosi rokosz, nie przysyła Bolesławowi posiłków na wojnę i nie wpuszcza jego rycerzy do swoich zamków: »immo sicut perfidus hostis et traditor viribus et armis sua seseque prohibuit« (III, 26).

W każdym z pięciu przytoczonych ustępów, Gallus używa

wyrazu *traditor*, *traditores*, mówiąc o buntownikach, którzy powstali przeciw panującemu księciu, *contra dominum naturalem*, jak wyrażała się średniowieczna łacina (np. I, 19; II, 16). Naturalna to w niej funkcya semazyologiczna tego wyrazu, obca zupełnie klasycznej łacinie. W feudalnym świecie przeniewiercą był każdy wassal, który zachowywał się nieprzyjaźnie względem lennego pana, ponieważ winien mu był wierność, zaprzysiężoną przy objęciu lenna; obu łączył stosunek etyczny, polegający na obowiązku wierności z jednej strony, obrony z drugiej. Przeszło to do romańskich i germańskich języków, ukształtowanych na gruncie feudalnego świata: *traycion, haute trahison, high treason, Hochverrat.*

Na tem tle łatwo pojąć, że w rok po śmierci św. Stanisława, w r. 1080, schyzmatycki synod w Brixen napiętnował Grzegorza VII *velut regni traditorem*, w dekrecie podpisanym przez 19 włoskich biskupów, 7 niemieckich, jednego burgundzkiego. W pojęciu tego zgromadzenia, papież był tylko pierwszym biskupem w państwie, zobowiązanym, jak oni wszyscy (wassale), do wierności względem cesarza. Wystąpił przeciw niemu, rzucił na niego klątwę, zasłużył zatem na destytucyę: *traditor regni* [1].

Nie bez słuszności też zaznaczył to prof. Miodoński, że Gallus posługuje się zawsze albo synonimami albo też podobnymi »środkami językowymi«, »podpórkami« *(insidiae, infidelitas* i t. p.), ilekroć używa wyrazu *traditio* w znaczeniu, odpowiadającem naszemu pojęciu zdrady (a zarazem klasycznemu pojęciu *traditio)* [2].

---

[1] Por. Wojciechowski l. c. 281, Giesebrecht: Geschichte der deutschen Kaiserzeit III, 502 nn., 1153 n., Waitz: Deutsche Verfassungsgeschichte V. 112—116. Inna rzecz, że upadek Bolesława Śmiałego, uwolniwszy Henryka IV od niebezpiecznego przeciwnika, mógł niemało ośmielić go do zuchwałego kroku na schizmatyckim synodzie w Brixen; pod tym względem ma Wojciechowski słuszność, mojem zdaniem. Nie wpływa to jednak na sąd o katastrofie r. 1079, a najmniej już na interpretacyę wyrazu traditor.

[2] Prof. Miodoński podaje (P. P. 1. 373) dokładny wykaz ustępów, w których Gallus używa wyrazu *traditio.* Wszędzie spotykamy tam rzeczywiście tak nazwane przezeń »podpórki«, albo też sam już sens zdania pozwala stwierdzić, że Gallus mówi o podstępnem, zdradzieckiem działaniu. Wszystkie przytoczone ustępy (z wyjątkiem jednego) odnoszą się do wojen, do różnorodnych fortelów wojennych, nie oświetlają więc znaczenia *tradttio* w I, 27.

Niemà tego w kronice Galla I, 27. Wiemy, jak tam rozumieć wyraz *traditor:* nie inaczej, jak zawsze, w I, II i III księdze, od początku kroniki aż do końca. A bezpośrednio przed tym wyrazem, czytamy o czynie biskupa, który nań ściągnął srogą »zemstę« króla, bez żadnych dodatkowych określeń: »pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit«. Cóż tu znaczy *traditio?* Du Cange objaśnia: *traditio — laesae majestatis crimen.*

Pomijamy zupełnie, co o tem pisał po 120 latach Kadłubek, a za nim żywot św. Stanisława i cała późniejsza historyografia. Zapomnijmy, że według Kadłubka, św. Stanisław ostro strofował króla, że w końcu rzucił nań klątwę i popełnił tem: *crimen laesae majestatis.* Pozostańmy na gruncie samego Galla, który nam nic nie mówi, co zaszło między biskupem a królem. Oświadcza tylko: »neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus«. Podstawny zatem zamiast *traditio* synonim: *crimen laesae majestatis,* a zrozumiemy »ohydną zemstę« króla, który takiego czynu nie puszczał płazem, »ut erat ferus«, jak Gallus mówi w poprzednim rozdziale (I, 26). Gallus nie znał terminologii rzymskiego prawa; Włoch czy Francuz, Prowansalczyk czy Lotaryńczyk, nie miał w swoim słowniku na crimen laesae majestatis innego wyrażenia, jak *traditor* i *traditio*[1].

---

Jedno tylko miejsce (II, 37) tyczy się zdradzieckich knowań Zbigniewa: »Zbignevi litterae captae cum nuntiis sunt allatae, quibus multae traditiones et insidiae sunt prolatae«, przyczem należy pamiętać, że Zbigniew, starszy brat Krzywoustego, był równorzędnym mu, udzielnym księciem i nie podlegał jego władzy (II. 7, 17, 21). Rozczytując się w Gallu, znajduję tylko trzy miejsca, gdzie wyraźnie jest mowa o zdradzie w właściwem tego słowa znaczeniu. Dwa miejsca odnoszą się do Sieciecha, który według Galla nadużywał nieograniczonego zaufania Władysława Hermana, zmierzając do zdradzieckiego zamachu na dynastyę Piastowską; Gallus używa tu wyrazów *insidiae, factio* (II, 16). W tym samym rozdziale wspomina o podejrzeniach, które spotykały Wojsława. To ochmistrz młodocianego Bolesława Krzywoustego miał powierzoną sobie opiekę nad dorastającym księciem, był zaś krewnym Sieciecha, podejrzywano go zatem, że czyha zdradziecko na zgubę Bolesława: »Suspectus proditionis ob Zethei consanguinitatem«. A zatem: *proditio.* Gallus miał widocznie poczucie, że bez dodatków, uwydatniających pojęcie zdrady, sam wyraz *traditio* nie miałby tego znaczenia.

[1] Skąd Gallus pochodził, to jest i będzie zawsze przedmiotem nieroz-

Od stu lat wysilano się na domysły, z kim to traditor episcopus wchodził w zdradzieckie porozumienie, na zgubę kraju, jak Kossakowski albo Massalski? Z rozbrajającą istotnie naiwnością szukano naokół wrogów, którym ten zdrajca podawał rękę, w Niemczech i w Czechach — o Petersburgu nikt nie mógł myśleć. Z postępem badań więcej erudycyi; wystarcza zmowa z Władysławem Hermanem: brat Bolesława, szwagier czeskiego księcia, później cesarza (w drugiem małżeństwie), połączył najwygodniej zdrajcę-biskupa z ekwiwalentem Katarzyny II. Zbyteczne te wysiłki przenikliwości i erudycyi. Jeźli pozostaniemy na gruncie tekstu Galla, on nas nie upoważnia do tych domysłów.

Prof. Wojciechowski powtarza jednak ze szczególnym naciskiem, że Gallus zarzucił św. Stanisławowi »grzeszną zdradę«; nadto, że to nie było bynajmniej osobistym sądem kronikarza, tylko wiernem odbiciem opinii współczesnego episkopatu i duchowieństwa w Polsce. Co prawda, nie rozumiem dobrze tego epitetu, jak gdyby w teologii moralnej Galla było miejsce na

---

strzygniętej kontrowersyi, dopóki uczeni będą zajmować się tą kwestyą. Sprzeczne domysły opierają się na rozmaitych ustępach kroniki i wyrażeniach kronikarza; do jednego z nich lub do innego, według subjektywnego mniemania, przywiązują piszący o tym przedmiocie większą lub mniejszą wagę. Jedno tylko przypuszczenie nie da się według mnie, uzasadnić: jakoby Gallus urodził się w Polsce. Kiedy urodził się, nie wiadomo; przybył zapewne do Polski około r. 1086 (por. Wojciechowski l. c. 291). Młodość jego przypada w każdym razie jeszcze na te czasy, kiedy »kluniackie«, »gregoryańskie« idee kiełkowały dopiero w nielicznych oazach ówczesnego chrześcijańskiego świata; Galla one nie dotknęły, widoczne to w całej jego kronice. Za następnego już pokolenia, a zwłaszcza po jakich 70 latach, byłoby to rażącem, użyć o zatargu biskupa z królem wyrażenia *traditio* lub *crimen laesae maiestatis,* mianowicie od śmierci Tomasza Becketa. Przystępując do napisania niniejszych uwag, odczytałem znów uważnie, po kilka razy, całą kronikę Galla. Między innemi szukałem wyrażenia, któreby Gallowi (I, 27) mogło było posłużyć za synonim wokabułów *traditor* i *traditio.* Nie znalazłem żadnego. W czterech miejscach (nie licząc późniejszego tytułu lib. II cap. 4) spotkałem *rebellis, rebelles,* zawsze w znaczeniu zbrojnego oporu: I, 23, II. 39, II. 42, III. 6. Trzy razy powtarza się *seditio,* zawsze w znaczeniu wojny domowej: I, 16, I. 19, II. 21; dlatego też Zbigniew nazwany *homo seditiosus,* III. 2. Ani jedno zatem ani drugie wyrażenie nie dało się użyć I. 27, ani widocznie *factio,* jak o Sieciechu albo o czeskich wichrzycielach (II. 16, III. 24).

zdradę w pojęciu cnoty. To byłaby przesada; ja tylko twierdzę, że *traditio* w słowniku Galla nie mieści w sobie nic hańbiącego, obelżywego; *traditor* musiał był być według terminologii Galla niezawodnie sam jego bohater, Krzywousty, gdy wespół z bratem podniósł rokosz przeciw własnemu ojcu. Trudno mi zatem zdać sobie jasno sprawę z pojęcia »grzesznej zdrady«, jeźli mam w znaczeniu zdrady brać wyrażenie *traditio*. Łatwo natomiast pojąć, dlaczego Wojciechowski przywiązuje taką wagę do swojego twierdzenia, jakoby najwybitniejsi współcześni przedstawiciele polskiego Kościoła potępiali zgodnym chórem biskupa, piętnując mianem »grzechu« jego postępowanie, które przypłacił śmiercią. Twierdzi wyraźnie: »Nie można wątpić, że co (Gallus) napisał o Stanisławie, to miał od osób tych samych, którym dedykował swoją książkę, a więc od pięciu biskupów i od kanclerza Michała; oni też niewątpliwie skwalifikowali czyn Stanisława, że to był grzech« l. c. str. 298). Niewątpliwie! Jak łatwo tym wyrazem szafować! Ta »grzeszna zdrada« — to przecież jeden z dwóch głównych filarów, na których wspierają się wiązania wywodów Wojciechowskiego. Co o niej sądzić, wykazał już Miodoński (P. P. II, str. 37—41). W całej konstrukcyi Wojciechowskiego ma ta rzecz jednak tak wybitne znaczenie, że pozwolę sobie dorzucić jeszcze kilka uwag o tym przedmiocie.

»Grzeszna zdrada« — to niewątpliwie nic innego, jak owoc mylnej z gruntu interpretacyi dwóch frazesów I, 27, w których po trzykroć powtarza się wyraz *peccatum*.

Pierwszy frazes opiewa: »sed hoc dicere licet, quia non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare«. Według Wojciechowskiego dowodzi ten frazes, że biskup zgrzeszył, a król go za to ukarał. Na tę jednak interpretacyę złożyły się dwa ciężkie grzechy przeciw głównym przykazaniom krytyki historycznej, a także i filologicznej krytyki tekstu.

Przedewszystkiem trzeba było, celem takiej interpretacyi, zmienić pluralis *christianos* na sing. *christianum*. Gdyby sens wymagał koniecznie takiej emendacyi tekstu, możnaby ją uznać za dosyć prostą konjekturę filologiczną i ocenić jej wartość

według poprawionego rzekomo sensu. Autor jednak bierze ten waryant z kodeksu Sędziwoja, nie wchodząc w wartość tego rękopisu, jak gdyby aparat rękopiśmienny kroniki był... bufetem, z którego obfitej zastawy wolno wybierać według gustu przysmaki rozmaitych waryantów. Jest to niezawodnie prosty grzech zaniedbania *(bona fide)*, z tą jednak obciążającą okolicznością, że ta zdrożna (ze stanowiska metodycznego) dowolność służy tu do poparcia dowolnego domysłu, który w rozumowaniach autora niemało waży na szali. Badacz tej miary nie byłby odwoływał się do powagi kodeksu Sędziwoja, gdyby był zastanowił się cokolwiek nad jego właściwościami. Jest to, jak wiadomo, późna kopia z końca XV wieku, tak nędzna, że właściciel rękopisu (Sędziwój z Czechła?) w wielu miejscach starał się w niej przywracać skażony sens różnemi emendacyami, niekiedy dość trafnemi, niekiedy zupełnie dowolnemi. Niema w tym kodeksie ani jednej — a b s o l u t n i e a n i j e d n e j l e k c y i — którą możnaby wprowadzić do tekstu Galla, nie już dla jego emendacyi, ale bez widocznego, niewątpliwego skażenia sensu. Obok kilku obojętnych waryantów, wszystkie odmianki, któremi krakowski kodeks Sędziwoja różni się od warszawskiego kodeksu Zamoyskich (z XIV w.), są to wyłącznie same omyłki najmizerniejszego kopisty, najczęściej psujące do niepoznania sens, rażące, wprost idyotyczne; doliczyłem się ich wyżej stu (114); za tę liczbę ręczę, może jest więcej. Lekcya *christianos* (I, 27), o ileby popierała konjekturę (która i bez niej mogłaby się obejść, g d y b y b y ł a p o t r z e b n a) — byłaby bezwarunkowo jedynym dobrym, przydatnym do emendacyi tekstu waryantem, w całej kronice Galla, we wszystkich jej trzech księgach i 107 rozdziałach [1].

[1] Autor był tak przekonany o trafnym wyborze wyryantu *christianum*, że nie wahał się z niego nawet wyciągnąć dalej sięgającego wniosku (l. c. str. 252): »Byłaby to zarazem wskazówka, że kodeks Sędziwoja niekoniecznie jest kopią z Traski«. Takie zdanie, rzucone mimochodem (niezawodnie *bona fide*) łatwo uczyni na czytelniku, który nie zajmował się specyalnie tym przedmiotem, pewne wrażenie, uprzedzające korzystnie dla domysłów autora; będzie sądzić, że autor poświęcił szczegółowo uwagę zbadaniu aparatu rękopiśmiennego Galla i na nim oparł wybór upodobanego waryantu. Według ostatnich wydawców, Finkla i St. Kętrzyńskiego (Galli

Niedość tej dowolności. Ona sama nie wystarczyłaby do takiej interpretacyi I, 27, jakiej autor potrzebował do uzasadnienia swoich domysłów. »Ważniejsza rzecz« — mówi — »jak należy rozumieć *christianus*«. I tu już dowolność interpretacyi dokonywa niesłychanej rzeczy; podobnego naruszenia zasad hermeneutyki nie zdarzyło nam się dotąd spotkać. *Christianus*, to »pomazaniec«, a więc zarówno król, jak i biskup[1]. Posłuchajmy samego autora: »Gallus widział brzydotę tylko w tem, że pomazaniec król skazał pomazańca biskupa na karę cielesną. Nic więcej i nic innego niema w tych słowach«[2] (l. c. str. 309). Opinia Galla zaś była, według prof. Wojciechowskiego, echem opinii współczesnego episkopatu w Polsce (l. c. str. 299), więc biskupi nie mieliby chyba nic do zarzucenia czynowi króla, gdyby

---

Anonymi Chronicon. Leopoli 1899, str. XIV) t. z. kodeks Sędziwoja (bibl. Czartoryskich) nie jest odpisem t. z. kodeksu Traski (bibl. Zamoyskich), lecz co najwięcej odpisem nieznanej jakiejś kopii kodeksu Zamoyskich (codicis deperditi A). Może zresztą pomiędzy kod. Zam. a kod. Sędz. należałoby przypuścić pośrednictwo większej liczby zaginionych ogniw; może nawet w genealogii rękopisów Galla kod. Sędz. nie pochodzi w prostej linii od kod. Zam., a mają tylko tego samego wspólnego, nieznanego przodka. Co tylko jest rzeczą bezwarunkowo pewną, to że oba kodeksy należą do tej samej grupy, w którego pierwowzorze autentyczny tekst Galla doznał już niejednego skażenia. Dowodzą tego wspólne, niewątpliwie już skażone a ze wspólnego źródła pochodzące lekcye, jak *lacis* zam. *lacubus*, (II. 42, III. 24), *humo remis* zam. *humo tenus* (III. 23) i t. p. Wobec tej, niewątpliwej a stwierdzonej okoliczności, tem bardziej nie wolno faworyzować jednego wyrwanego waryantu kod. Sędz., można bowiem uważać za rzecz absolutnie pewną, że ten waryant nie pochodzi z autentycznego tekstu Galla.

[1] Zbyteczna stwierdzać, że wyraz *christianus, christiani*, powtarza się u Galla w każdym niemal rozdziale, zawsze — rozumie się — w zwyczajnem znaczeniu wyznawcy wiary chrześcijańskiej. Oryginalny ustęp II. 5 (o krwawej bitwie nad Gopłem: »Tantum enim humani cruoris ibi sparsum fuit, tantumque cadaverum in lacum castello contiguum corruit, quod ex eo tempore piscem illius aquae comedere quisque bonus christianus exhorruit«.

[2] Bezpośrednio po przytoczonych słowach pisze prof. Wojciechowski: »Ale cóż powiedzieć o tej swawolnej i prawie już komicznej łatwości, z jaką Kadłubek, bez żadnego skrupułu, przerobił Gallusową *truncatio* na swoje *ipse obtruncat* — samże go obtrunkował (Bolesław)«. Lepiej było w tem miejscu oszczędzić Kadłubkowi tak ostrych zarzutów »swawolnej i już prawie komicznej« dowolności w postępowaniu z tekstem Galla, »bez żadnego skrupułu«.

nie to, że »pomazaniec« kazał poćwiartować »pomazańca«. Ciekawa rzecz, co byliby o tem sądzili, gdyby biskupa poćwiartowano przed trzema, czterema laty, przed koronacyą Bolesława Śmiałego, odbytą w 1077 roku!

Co jednak sądzić o tej jedynej w swoim rodzaju interpretacyi (*christianus* = pomazaniec) ze stanowiska łacińskiej leksykografii, co sądzić o szczególnem tłumaczeniu pojęcia »pomazaniec« ze stanowiska liturgicznego i kanonistycznego — nad tem istotnie zbyteczna się dłużej zastanawiać; prof. Miodoński wyjaśnił już najzupełniej ten szczegół (P. P. II, 37—39).

I na cóż te wszystkie wysiłki niepospolitej bystrości i erudycyi, tu na tak dziwne zabłąkanej manowce? Oto dlatego tylko — wydaje się autorowi — że przytoczony ustęp nie miałby żadnego sensu, jeśli go nie będzie ratować tak karkołomnymi środkami. »Jak należy rozumieć *christianus*?« Pyta i odpowiada: »Tłumaczono dotychczas: chrześcijanin. Mojem zdaniem niema to sensu, bo z takiego tłumaczenia wynikałoby, że Gallus potępiał wogóle wszelką karę cielesną w państwach chrześcijańskich, co przecież nie mogło być jego myślą« (l. c. str. 252—253).

Istotnie, w Galla XI wieku nie można wmawiać humanitarnej miękkości Gallów XX stulecia, demonstrujących przeciwko zatwierdzeniu wyroków śmierci przez prezydenta trzeciej Republiki. Obejdzie się jednak bez takiego anachronizmu, aby przecież znaleźć sens w przytoczonym ustępie kroniki Galla. Trzeba jedynie brać go w dosłownem, zwykłem znaczeniu tych 9 wyrazów, a nie zaszkodzi przy tem pamiętać, że pisał je chrześcijanin i kapłan, który znał nie tylko *artem dictandi* i Salustyusza, ale żył w atmosferze pojęć Kościoła katolickiego i nie obcą mu była ani nauka Kościoła ani terminologia teologiczna. A chodzi tu przecież właśnie o jeden wyraz, w tem zdaniu raz wymieniony, w następnem powtórzony dwukrotnie: *peccatum* [1].

[1] Długi 25 rozdz. III ks. kroniki Galla zawiera dość interesujące uwagi Galla o grzechu i pokucie, uwagi ogólnej natury a zastosowane do konkretnego faktu oślepienia Zbigniewa przez Bolesława Krzywoustego. Z uwag tych możnaby złożyć zarys traktatu *de peccato et poenitentia*.

Pojęcia *peccatum* i *crimen* (albo *delictum, maleficium, excessus)* zlewają się poniekąd w średniowiecznych teoryach prawa karnego, zwłaszcza w późniejszej kanonistycznej teoryi, nie do tego jednakże stopnia, żeby intelligentny kapłan — nie legista ani dekretysta — nie dostrzegał różnicy pomiędzy »grzechem«, należącym przed forum władzy duchownej, a »przestępstwem«, które karać było rzeczą świeckiej władzy. »Różnica ta istniała; na wyodrębnienie tych dwu pojęć wpłynęło ostatecznie w XII w. ustalone zróżnicowanie się forum duchowego na dwa odłamy: *forum internum* obejmuje wszystkie sprawy religijne; sprawy karne podlegają *forum externum*» [1]. Gallus zaś świadomie, nie bez przyczyny położył przy rzeczowniku *peccatum* zaimek *quodlibet;* nadworny historyograf nie wahał się zaznaczyć, że królowi nie wolno pociągać wszelkich grzechów przed swój trybunał, nie wolno mu każdego grzechu *corporaliter vindicare.*

Jedno i drugie nie było bez znaczenia.

Ze siedmiu grzechów głównych, żaden sam przez się nie może być przedmiotem śledztwa i kary przed świeckim trybunałem; mogą być nim jedynie pewne wykroczenia (nie każde jednak!) wypływające z motywów pychy, gniewu, zazdrości i t. p., o ile którykolwiek z »śmiertelnych« grzechów ujawnił się na zewnątrz karygodnym czynem. Największa natomiast zbrodnia przed świeckim trybunałem, *haute trahison, traditio, crimen laesae majestatis,* m o ż e być poczytana za »grzech« (powszedni albo śmiertelny), według motywów oraz istoty czynu, m o ż e zaś albo m u s i być nawet, w danych okolicznościach, uznana przez Kościół za »heroiczną cnotę«; przez Kościół bezwarunkowo, przez

[1] Handelsman: »Historya polskiego prawa karnego« (Warszawa 1909) II. 80; por. tamże II, 57, 59, 79. Cytuję przytoczony ustęp dosłownie z tego cennego dzieła, zmieniam tylko wyrażenie *podpadają pod* na *podlegają;* dotykając kwestyi, która ma związek z prawniczemi pojęciami, wolę niemi nie operować po dyletancku i wyręczam się słowami specyalisty. Co do samej rzeczy, rozumie się, że stwierdzone powyżej rozróżnianie pojęć »grzechu« i »przestępstwa« nie było wcale wytworem XII stulecia, lecz ustaliło się ostatecznie« (słowa p. H.) w XII wieku, z biegiem coraz większego rozwoju kanonicznego prawa, wypływało zaś logicznie z odwiecznej nauki Kościoła.

chrześcijan, ale także i przez nie-chrześcijan, niezależnych zupełnie od nauki Kościoła [1].

Żadne wysiłki bystrości i erudycyi nie wycisną z przytoczonego tekstu, o jakich to »grzechach« Gallus myślał, pisząc: »non debuit christianus in christianos peccatum quodlibet corporaliter vindicare«. Nie chcemy zaś z umysłu tykać późniejszej tradycyi. Możnaby, dla uzmysłowienia rzeczy, wyliczyć, na chybił trafił, pokaźny szereg różnorodnych »grzechów«, których królowi nie godziło się powoływać przed swój trybunał, a tem mniej karać śmiercią, okaleczeniem, obcięciem członków — nie według naszej, osobistej opinii, lecz według Galla i jego protektorów. Niech mnie usprawiedliwi niedostatek imaginacyi, że sięgnę do Kadłubka — tylko *exempli gratia*, ma się rozumieć — nie wchodząc zgoła w krytykę jego wiarygodności. Według Kadłubka — wiadomo — Bolesław Śmiały pastwił się, znęcał nad niewiastami, które złamały wiarę małżeńską, nie mogąc doczekać się mężów z dalekiej wyprawy wojennej, wskutek czego rycerze tłumnie opuścili króla i narazili go na porażkę. Gdyby istotnie coś podobnego zaszło — co tu wspominam tylko *exempli gratia* — łatwo byłoby pojąć, że biskup ostro wystąpił przeciw królowi, który, »ut erat ferus«, wmieszał się w tak jaskrawy sposób do rzeczy, należących przed forum duchownej jurysdykcyi, wiążących się najściślej z istotą sakramentu. Choćby nawet chodziło o innego rodzaju »grzechy«, bez tak wybitnej kolizyi pomiędzy kompetencyą świeckiej a duchownej władzy, łatwo było o przedmiot starcia, jeżeli król był *ferus*. Według teoryi karnej w prawie kanonicznem, »kara nie spotyka przestępcy od razu, następuje dopiero po szeregu przedwstępnych czynów, po nawoływaniu grzesznika do ukorzenia się, po t. z. *monitiones*. Grzesznikowi (gdyż taka nazwa jest w danej kwestyi właściwsza) pozostawia się czas do namysłu. Po wyczerpaniu

[1] Czytelnik zechce mi wybaczyć tę poniewolną wycieczkę w dziedzinę tak elementarnych pojęć, która wydawała mi się nieodzowną dla ostatecznego rozjaśnienia przedmiotu, gdy go tak niepotrzebnie zagmatwano, choć on sam przez się jest zupełnie jasny. Łatwoby rozwinąć powyższy ustęp, a zarazem nadać mu *lege artis* o wiele pokaźniejszą fizyognomię zapomocą cytatów z Ojców Kościoła, dekretaliów, poenitentialiów i t. p. Dla rzeczy byłby stąd jednak niewielki pożytek, ja na to nie mam czasu, a zresztą *ne sutor*...

tych środków dopiero w grę wchodzi cenzura, której czasem towarzyszy poparcie ramienia świeckiego, o ile do tej pomocy ucieka się Kościół«... »Skrucha i pokuta, jako podstawa cenzury, jest najistotniejszą cechą kar kanonicznych, jest duszą prawa karnego kanonicznego i staje się źródłem łagodzenia surowości systemów świeckich. Cały system karny składa się z kar lżejszych od spółczesnych systemów świeckich... opierając się na tej zasadniczej myśli, że skoro winowajca musi winę odpokutować, należy mu tę pokutę umożliwić«[1]... »Teorya karna Kościoła wysunęła na plan pierwszy cel poprawy, stworzyła system kar poprawczych, zwalczała karę śmierci i kary cielesne«[2]...

Przytoczyłem dosłownie, co o tym przedmiocie mówi rzeczoznawca, którego nikt nie posądzi o jakiekolwiek uprzedzenia przeciw domysłom Wojciechowskiego, a pisze to nie w rozprawie o »faktum biskupa Stanisława«, ale w specyalnem dziele o średniowiecznej historyi prawa karnego w Polsce. W oświetleniu tem znikną chyba doszczętnie wszelkie skrupuły, czy nie popełni się przypadkiem anachronizmu, biorąc wiadomy frazes Galla w dosłownem znaczeniu[3], bez pogwałcenia tekstu i bez takiego unikatu

[1] Handelsman: Historya polskiego prawa karnego (Warszawa, 1909) II. 87, 88.

[2] Tamże II. 95; por. tamże I. 30—31.

[3] Nie piszę bynajmniej historyi św. Stanisława, ponieważ nie pozwala na to brak źródeł; z góry zastrzegłem się pod tym względem. Wolno mi jednak wyrazić, co sądzę osobiście o przyczynie zatargu między św. Stanisławem a Bolesławem Śmiałym, nie narzucając nikomu mojego zdania. W oświetleniu wyżej przytoczonych uwag, wyjętych z dzieła Dr. Handelsmana, frazes Galla *non debuit — vindicare* utwierdza mnie w przekonaniu, że nie należy wcale lekceważyć tradycyi, którą w 120 lat po fakcie spisał Kadłubek (po swojemu, to inna rzecz). Znany szczegół o Małgorzacie z Zembocina, który zachował się u Długosza (Hist. Pol. I. 359), nie należy też z pewnością do kategoryi jego »amplifikacyi«, odznaczających się zupełnie innemi, odrębnemi cechami; por. Semkowicz: Krytyczny rozbiór dziejów polskich Jana Długosza, str. 42, 131, Bobrzyński i Smolka: Jan Długosz, str. 79 nn, Nie myślę (jak Semkowicz), żeby ten ustęp Długosza opierał się na jakiemś nieznanem, zaginionem źródle piśmiennem; odnoszę go raczej do niezatartej jeszcze w XV wieku, lokalnej tradycyi, która właśnie dlatego tak długo utrzymała się w ziemi proszowskiej, że samą istotą faktu przemawiała żywo do wyobraźni a nadto wiązała się pośrednio z historyą św. Stanisława. Ten zaś konkretny szczegół popiera niemało wiarygodność tak blizkiej faktowi

interpretacyi, jak *christianus*=pomazaniec. Tem samem zaś upadnie kunsztowna teza o »grzesznej zdradzie« św. Stanisława, ponieważ acc. *peccatum*, zależny od inf. *vindicare*, nie odnosi się do biskupa, lecz do innych poddanych Bolesława Śmiałego.

Upadnie, bo i w następnym frazesie *peccato peccatum adhibuit* ten sam wyraz, użyty raz w dat. drugi raz w acc., w obu przypadkach odnosi się do podmiotu zdania, t. j. do króla Bolesława. Jeśli gramatyka i logika mają jakie znaczenie w umiejętnej, metodycznej hemeneutyce, to prof Miodoński dowiódł niewątpliwie (P. P. II. 41), że w przytoczonym frazesie *adhibere* (cum dat. et. acc.) = *addere, adjicere,* że nie może nic innego oznaczać, że zatem niewolno inaczej tłumaczyć tych wyrazów, jak tylko: król do (popełnionego już, grzechu (t. j. do pastwienia się nad swoimi poddanymi) dodał (nowy) grzech (t. j. zabójstwo biskupa) — który to nowy grzech był w oczach Galla nierównie większym okropniejszym grzechem. Taką miał o tem Gallus opinię i właśnie dla jej wyrażenia położył tu *adhibuit* a nie jaki inny synonim; Gallus był znawcą *artis dictandi.* Podobnie użył *adhibuit* cum dat. et acc. w ustępie o cudownem uzdrowie-

---

a u Kadłubka spisanej tradycyi, której bezwzględne odrzucanie uważam za niezdrowy hyperkrytycyzm. Ileż to cennych ziarn doszukał się sam Wojciechowski w rozmaitych świadectwach późniejszej tradycyi; to może największa zasługa a zarazem szczególny urok tylu jego nieporównanych hipotez — »hipotez« w właściwem, naukowem znaczeniu tego słowa. Natomiast zgadzam się najzupełniej z Wojciechowskim co do jego sądu o bezużytecznej jałowości wszelkich wysiłków erudycyi, w których próbowano wyśledzić jakiś związek między nieznanym przebiegiem katastrofy r. 1079 a współczesną walką Kościoła z Państwem na Zachodzie. Tam chodziło o zasadnicze problemy w stosunku Państwa do Kościoła, na co w młodocianej Polsce nadeszła pora dopiero po upływie całego wieku; tu nie było prawdopodobnie nic innego jak ostre starcie między gwałtownym królem, o nieokiełznanym temperamencie, a biskupem, który króla śmiało strofował i śmiercią to przypłacił. Inna rzecz, że odgłosy zasadniczej walki, toczącej się równocześnie w Niemczech i we Włoszech (wieści o niezłomnym oporze gregoryańskich biskupów w walce z Henrykiem IV) mogły odegrać rolę pewnego czynnika psychologicznego w postępowaniu krakowskiego biskupa, mogły na niego oddziałać i podniecić go do śmiałego wystąpienia przeciw Bolesławowi. Wszystko to są jednak tylko domysły, o większem lub mniejszem prawdopodobieństwie, jak komu podoba się je ocenić — nie misterne, co prawda, proste, nie wymagające ani bystrości ani żadnego daru kombinacyi.

niu Mieszka I. ze ślepoty, I. 4. »Vere Polonia caeca prius erat, quae nec culturam veri Dei nec doctrinam fidei cognoscebat, sed per Meschonem illuminatum est et ipsa illuminata, quod eo credente Polonica gens de morte infidelitatis est exempta. Ordine enim competenti Deus visum primus (primum? prius?) Meschoni corporalem restituit, et postea spiritalem adhibuit, ut per visibillia ad invisibilium agnitionem penetraret et per rerum notitiam ad artificis omnipotentiam suspicaret«. To co później dodano, jest tu bez porównania ważniejsze; przy dobrodziejstwie wzroku duchowego maleje wartość cielesnego wzroku. Podobnie przy nowym grzechu Bolesława blednie dawniej spełniony grzech; nie darmo też zaczyna się ten frazes od wyrazów: »illud enim multum sibi nocuit« (cum peccato peccatum adhibuit). Takie stopniowanie zapomocą wyrazu *adhibere* nie jest zresztą bynajmniej indywidualną własnością Galla; ten odcień znajduje się i u Cycerona, Gallus nauczył go się zapewne w szkole lub w kancelaryi.

Inne znaczenie musi mieć *adhibere* w następnem zdaniu: »cum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit«; sam sens wyklucza tu bezwarunkowo taką funkcyę wyrazu *adhibere* = *addere, adjicere.* Można powątpiewać, co prawda, czy należy czytać *adhibuit* w tem drugiem miejscu, czy to nie omyłka odpisywacza, jak na to już zwrócono uwagę (P. P. I. 42). Gallus bowiem dba o rym w sąsiadujących ze sobą zdaniach, nigdy jednak, (o ile mogłem sprawdzić) nie powtarza tego samego wyrazu w zakończeniu dwu sąsiednich zdań. Byłby to więc w całej kronice — o ile się nie mylę — zupełnie wyjątkowy, odosobniony fakt, webec czego emendacya tekstu w tem miejscu może mieć wszelkie uzasadnienie[1]. Czy jednak zamiast *adhibuit* będziemy

[1] Jeżeli *adhibuit* ma ulec emendacyi w jednem z dwu przytoczonych zdań, to niezawodnie w drugiem a nie w pierwszem, t. j. nie w konstrukcyi *peccato peccatum adhibuit,* ponieważ to jest konstrukcya gramatycznie poprawna i zupełnie zrozumiała, ale w niepoprawnej i niezrozumiałej konstrukcyi *pontificem truncationi membrorum adhibuit.* Podobnej konstrukcyi niema ani w całej kronice Galla, ani też nikt dotąd nie wskazał analogicznego zdania czy to w klasycznej czy też w średniowiecznej łacinie.

czytać *adtribuit* (jak proponuje Saenger) czy też *exhibuit* (co byłoby może właściwsze), nie wpłynie to zgoła na znaczenie przytoczonych słów, poprawniejsze tylko będzie wyrażenie, mniej niezwykłe. Sens pozostanie zawsze ten sam, niezmieniony: król kazał biskupa okrutnie zamęczyć, zarąbać, poćwiartować — dosłownie: wydał go (katom, siepaczom) na obcięcie członków.

Wojciech Kętrzyński zaprzecza, jakoby można uznać za rzeczywisty fakt wzmiankowane przez Galla ćwiartowanie, *truncatio membrorum*. »Faktem jest, że biskup został zabity, lecz *truncatio membrorum* nie zaszła wcale!« — twierdzi Kętrzyński z naciskiem P. P. I. 17, opiera zaś to twierdzenie na późniejszej lecz nieodległej tradycyi, według której znaleziono »nienaruszone zwłoki św. Stanisława, nawet bez znaku jakiejkolwiek blizny« (integerrimum, etiam sine citatricum notamine, Kadł. I. 20) — co uważano, jak wiadomo, za jawny cud, pierwsze z szeregu licznych świadectw o świętości zamordowanego biskupa. Rzecz jasna, że zarówno historyk jak i teolog dopuściłby się godnej ubolewania

---

I zewnętrzny również wzgląd przemawia raczej za przypuszczeniem, że kopista omylił się w drugiem a nie w pierwszem zdaniu, omyłka bowiem wynikła zapewne nie z błędnego odczytania jakiegoś innego wyrazu, ale stąd, że odpisywacz powtórzył bezmyślnie, mechanicznie wyraz, na którym kończy się poprzednie zdanie. Takie rzeczy wydarzają się przecież nieraz przy nieuważnem przepisywaniu. Natomiast byłoby to istotnie osobliwym trafem, gdyby kopista na końcu pierwszego zdania inny jakiś wyraz mylnie odczytał *adhibuit*, a na końcu następnego zdania znalazł rzeczywiście *adhibuit*. Dlatego też wydawałoby mi się najwłaściwszem poprawić w drugiem zdaniu *adhibuit* na *exhibuit*. Omyłkę kopisty możnaby w ten sposób najłatwiej wytłumaczyć, drugie zaś zdanie dawałoby zupełnie dobry sens. Za tą poprawką przemawia również upodobanie Galla w kończeniu sąsiadujących ze sobą zdań złożonymi wyrazami podobnej budowy, np. *sufficiat — proficiat, inaequale — coaequale* (II. epist.), *abstulit — intulit* (II. 17), *allatae — prolatae* (II. 37), *interfuit — profuit* (III. 23) i t. p. Emendacya miałaby wreszcie i tę zaletę, że nie zmienia bynajmniej sensu; tylko *exhibuit truncationi membrorum* jest wyrażenie poprawniejsze i od razu zrozumiałe, natomiast *adhibere truncationi membrorum* może być tylko w tem samem znaczeniu zrozumiane co *exhibere tr. membr.* Jedno i drugie można brać tylko w znaczeniu takich zwrotów, jak *morti dare aliquem* lub *ad mortem d. a.* i t. p., które prof. Miodoński wymienia P. P. II. 42. Gallus także wyraża się o wielmożach, skazanych na śmierć przez Bolesława Chrobrego I. 13: »regina, prudens mulier et discreta, plures pro culpa morti deditos de manibus lictorum eripuit et ab imminenti mortis periculo liberavit, eosque in carcere,

lekkomyślności, jeśliby w jakimkolwiek konkretnym wypadku opierał sąd krytyczny o jakimś cudzie na mętnej bądź co bądź, w 120 lat po fakcie spisanej a na wskróś tendencyjnej tradycyi. Nie należy zatem, według mnie, przywiązywać tak wielkiej wagi do przytoczonych słów Kadłubka. Napróżnoby też szukać przyczynków do rozstrzygnięcia tej kwestyi w rezultatach niedawnej autopsyi relikwii św. Stanisława, przy otwarciu trumny w katedrze na Wawelu, o czem znajduje się obszerne sprawozdanie ks. Polkowskiego w »Czasie« z 9 i 13 marca 1881 [1]. Znaleziono jedynie »szczątki«, w literalnem znaczeniu tego słowa, znaczna ich część bowiem rozprószyła się już dawno po świecie w postaci relikwii. Jedyny szczegół, godny uwagi, zawiera się w następujących słowach spra-

---

quandoque rege nesciente, quandoque vero dissimulante, sub custodia vitae misericorditer reservavit«. Co do *adhibere*, oprócz wymienionych powyżej dwu miejsc, gdzie niewątpliwie *adhibere = addere, adjicere* (I. 4, I. 27), znalazłem ten wyraz tylko w dwóch miejscach kroniki Galla, mianowicie: 1) II. 33: »Bolezlavus non solum aurem correctoribus non adhibuit, sed«... 2) III. 16: (Świętopełk) »ab uno vili milite venabulo perforatus occubuit, nec ullus suorum ad eum vindicandum manus adhibuit«. Ani w jednem ani w drugiem miejscu nie ma żadnej analogii z niezwykłą konstrukcyą »episcopum truncationi membrorum adhibuit«. Co do drugiego miejsca, utarte to wyrażenie, zarówno w klasycznej jak i w późniejszej łacinie: *manus adhibere*, bodaj czy nie z łaciny wniesione i do polskiego języka: do czegoś przyłożyć rękę. Możeby kto zechciał przypuszczać, że Gallus w tem znaczeniu użył *adhibere* w I. 27, z opuszczeniem *manus;* w takim razie lekkie zretuszowanie tekstu wystarczyłoby do interpretacyi, dającej sens, zupełnie zgodny z wersyą Kadłubka i całej późniejszej tradycyi, jakoby król sam, własną ręką, zamordował biskupa. Co do mnie, nie mam skłonności do tego rodzaju krytyki tekstu; co do późniejszej zaś tradycyi, to nie myślę wcale jej bronić, mianowicie nie we wszystkich szczegółach. Przypomnę zatem tylko, że nawet według Kadłubka Bolesław kazał zabić biskupa, sam zaś dopiero wówczas wyciągnął na niego rękę, gdy wysłani siepacze zawahali się dokonać zbrodniczego czynu (Kadł. II. 20, M. P. H. II. 296). Inna rzecz, czy »orzeczenie *adhibuit* wyklucza absolutnie własnoręczny udział Bolesława«, jak Wojciechowski twierdzi (l. c. str. 309) Tego znów nie mogę przyznać, już samo bowiem *adhibuit* nie jest bynajmniej tak absolutnie pewne, a nadto konstrukcya *(aliquem truncationi membrorum adhibere)* tak niezwykła i odosobniona, iż nie można z niej absolutnie wysnuwać żadnych wniosków, jeżeli ma być utrzymana lekcya *adhibuit.*

[1] Sprawozdanie to było znane Wojciechowskiemu; wspomina o niem l. c. str. 310, przyp. 2: »relacya ks. Polkowskiego, drukowana bodaj w Czasie; niestety zaginęła mi notata«.

wozdania: »Oczy nasze ujrzały najwidoczniejszą szramę na tylnej części czaszki, najwidoczniej pochodzącą od silnego uderzenia lub cięcia ostrem narzędziem. Cięcie to wprawdzie nie było na wskróś zadane, ale raz mógł być śmiertelny. Oprócz czaszki, w jedwabie owinięte były obie szczęki, w górnej było jeszcze 10 zębów, w dolnej 7, wszystkie zdrowiuteńkie, inne widocznie wyjęte jako relikwie«. Cenna, lecz niedość ścisła i dokładna wzmianka o szramie na tylnej części czaszki, nie rozstrzyga bynajmniej kwestyi, cięcie bowiem, zadane z tyłu w głowę, nie wyklucza wcale mąk, pastwienia się nad ofiarą, którego pojęcie łączy się niezawodnie z wyrazem *truncatio membrorum*[1].

*Pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit.* Czegoż nie wyczytano z tych sześciu słów! Nie wiem, czy w całej historycznej literaturze, w poważnych zwłaszcza badaniach, znajdzie się drugi przykład tak wielomownej interpretacyi.

Wojciechowski twierdzi ze stanowczością istotnie zdumiewającą (l. c. str. 308): »Nie można tego zdania rozumieć inaczej, jak tylko, że był wyrok t. j. skazanie, i egzekucya«. I to bynajmniej nie wyrok w pojęciu królewskiego rozkazu, by zabito biskupa; cała rzecz w tem, że »wyrok« był legalny, wynik formalnego »procesu«, który odbył się w marcu 1079 (str. 273, 308). Gdzie zapadł wyrok? »Chyba« na Wawelu, »między katedrą a kościołem św. Michała«, tam bowiem odbyła się »egzekucya« (str. 311—314), poczem zakopano ciało »egzekuta« w ziemi, pod gołem niebem jako zwłoki »skazańca« — i dopiero po 10

[1] *Truncatio,* wyraz używany w późnej łacinie (Cod. Theod., lib. VII, tit. 13, l. 5), dość pospolity w średniowiecznej, zarówno w pomnikach historyograficznych jak i w prawniczych, zwłaszcza w połączeniu z gen. *membrorum, capitis, digitorum* i t. p.; u Galla użyty tylko w tem jednem miejscu. Verbum *truncare* spotkałem I. 26: »manus et cervices corporaque truncata per campum palpitant« (w krwawej bitwie), *truncare* bowiem znaczy nietylko obciąć ale wogóle okaleczyć. Warto też przytoczyć II. 5: po klęsce poniesionej przez Zbigniewa nad Gopłem: »Igitur Zbignevus in castrum fugiens cum paucissimis liberatus, vitam perdat an membrum aliquod, est incertus. At pater, iuventutis stultitiam non ulciscens, pro vitae membrorumque salute quaesita, fide concessa, secum illum in Mazoviam transportavit, eumque carcere in castro Sethei aliquanto tempore maceravit«.

latach odbyła się uroczysta translacya do katedry, »rehabilitacya« zdrajcy, urządzona przez Władysława Hermana, w którego usługach biskup poniósł hańbiącą śmierć (str. 299, 339, 340).

Jedną ma tylko autor wątpliwość, co do samej treści wyroku: »czy Stanisław był skazany na obcięcie kilku czy wszystkich członków?« — bo »trunkacya członków nie koniecznie pociągała za sobą śmieć skazanego« — »nie mniej jednak jeżeli się czyta Galla bez uprzedzenia, jest wrażenie, że kara była tego rodzaju, iż musiała spowodować śmierć« (str. 309—310).

Niechaj czytelnik, który nie zna »Szkiców historycznych XI wieku«, nie myśli przypadkiem, że autor korzystał tu z jakichkolwiek źródeł, znanych albo nieznanych, dla uzupełnienia przytoczonych sześciu słów Galla tymi wszystkimi senzacyjnymi szczegółami. Oprócz znanego faktu translacyi, którą nasze średniowieczne roczniki zapisały pod r. 1088 [1], wyczytał wszystkie szczegóły wyłącznie z tych sześciu słów, znajdując jedyną pomoc w dwu niewinnych wyrazach poniewieranego Kadłubka, gdzie powiedziano, że św. Stanisław został zabity *inter infulas* (t. j. w szatach pontyfikalnych [2]).

Godzi się jednak stwierdzić, że »wyrok sądowy« nie jest oryginalnym domysłem autora »Szkiców«; prof. Abraham zastrzegł

---

[1] Wojciechowski odrzuca tę datę (str. 340): »to prosty błąd, bo w tym roku panował jeszcze w Krakowie Mieszko III, syn Bolesława, więc ani mogło być mowy o jakiemkolwiek sławieniu pamięci biskupa-zdrajcy«. Mniejsza o datę; co jednak niezmiernie charakterystyczne, to argumentacya, obalająca datę, która jest zapisana w rocznikach a opiera się niezawodnie na współczesnych zapiskach. Źródła bowiem nic nie wiedzą o panowaniu Mieszka III w Krakowie; to znów tylko domysł Wojciechowskiego, nic jak domysł, o którym dałoby się wiele dyskutować; ob. niżej w II rozdz. Przed takimi jednak domysłami muszą ustępować najautentyczniejsze teksty źródeł, muszą ustępować zapisane w nich daty chronologiczne.

[2] Co sądzić o tej interpretacyi (która dorównywa chyba tłumaczeniu *christianus* = pomazaniec), wykazał najdowodniej prof. Miodoński (P. P. I. 371—372). Sądzę, że prof. Abraham, po przeczytaniu tych uwag prof. Miodońskiego, nie powtórzyłby wyrzeczonego przed pięciu laty zdania: »Miejsce sądu uważam jako bardzo trafnie oznaczone«. Trudno istotnie pojąć, do jakiego stopnia niepospolici uczeni mogą zahypnotyzować się czarem własnych domysłów i kombinacyi. Jedyne na to antidotum: większe poszanowanie źródeł historycznych, ich tekstu, tego co w nich znajduje się rzeczywiście.

sobie wyraźnie pierwszeństwo pod tym względem [1]. I rzeczywiście, kto wie, czy Wojciechowski byłby sam wpadł na tak szczególną interpretacyę przytoczonych słów Galla, gdyby nie uległ suggestyi, którą mu poddał podobno ten domysł Abrahama, rzucony mimochodem (r. 1900) w rozprawie p. t. »Początek biskupstwa i kapituły katedralnej w Krakowie« [2].

Znane są do przesytu »amplifikacye« Długosza. Wyszydzano je długo, nielitościwie, nim ustalił się sprawiedliwszy sąd o pisarzu XV wieku, który miał przed oczyma niedościgniony wzór uwielbianego Liwiusza, a czerpiąc z ubogich kronik i suchych annałów, pragnął roztoczyć pełniejszy, żywszy obraz rodzimej przeszłości. Do tego celu służyły owe osławione »amplifikacye«,

---

[1] Kwartalnik historyczny XVIII (1904) str. 574. Czytelnik wybaczy mi tę próżność, że poszczycę się uczniem, który zajął w polskiej nauce tak wybitne stanowisko, a przez dwa lata (1882—1884) należał do najgorliwszych członków mojego seminaryum historycznego. Niech mi też wolno będzie stwierdzić, że od tego czasu łączy nas wypróbowana przyjaźń, której nie zachwieją niezawodnie niniejsze moje uwagi. Nie jako osobisty jednak przyjaciel, ale jako historyk, biorący udział w tej dyskusyi, mam sobie za obowiązek wyrazić głębokie ubolewanie z powodu jednego niepożądanego zgrzytu w całym jej toku, a mianowicie w samem jej zagajeniu, gdzie wspomniano o przytoczonej recenzyi prof. Abrahama, bez wymienienia jego nazwiska (P. P. I. 13). Polemika, choćby najostrzejsza co do rzeczy, może obejść się bez uwłaczających wyrażeń, jakich tam użyto (a do tego w zarzucie pozbawionym wszelkiego uzasadnienia), zwłaszcza jeżeli chodzi o uczonego tej miary, co prof. Abraham. Co do samego zarzutu, który tam wyrażono w tak ostry sposób, to odparł go zupełnie prof. Abraham w Kwart. hist. z r. b. str. 298. Warto wreszcie z wymienionej recenzyi przytoczyć dwa zdania: Prof. Abraham, jakkolwiek olśniony rzekomą »hipotezą« prof. Wojciechowskiego o św. Stanisławie, oświadcza wyraźnie: »jeszcze nie pozbyłem się wątpliwości, czy Gallus, piszący na dworze Krzywoustego, mógłby użyć o biskupie słowa *traditor*, gdyby się nazywało, że biskup zginął jako otwarty stronnik ojca Krzywoustego«. Ośmieliłbym się nazwać to słuszną, uzasadnioną apelacyą od wyroku zabłąkanej na manowce, erudycyjnej pomysłowości, do werdyktu »chłopskiego rozumu«. Dalej zaś objawia prof. Abraham swoją opinię o całej sprawie św. Stanisława w następujących słowach: »Tyle o fakcie zabicia; inna rzecz, czy nie był to człowiek szczególnie czystego życia, bo fakt ten, jak i Gallus podaje, wielce Bolesławowi zaszkodził« i t. d. — *For Brutus is an honourable man...*

[2] Rocznik krakowski IV. 192; poprzednio już ten sam domysł zaznaczony zlekka w dziele prof. Abrahama: Organizacya Kościoła w Polsce do połowy wieku XII. 2-gie wydanie (Lwów 1892), str. 130.

rozciągające szeroko chudy tekst źródeł różnymi dodatkami, gdzie Długosz przenosił żywcem tło swego czasu, stosunków i urządzeń XV stulecia. Wyznaję szczerze, że czasami domysły naszych erudytów, piszących o XI wieku, sprawiają na mnie wrażenie »amplifikacyi« Długosza. Tam np. »Mieczysław I.« wyprawia poselstwo do Pragi, z prośbą o rękę księżniczki »Dąbrówki«; liczne zgromadzenie senatu naradza się nad warunkami, z którymi posłowie wrócili; wahają się *proceres*, czy Polska ma przyjąć wiarę chrześcijańską (jakby radzili za Jagiełły nad przymierzem z Husytami); zdania podzielone, rzecz odłożona do jutra, wreszcie zapada jednomyślna uchwała i t. p. Długoszowi wydawało się w najlepszej wierze, że inaczej n i e mogło być; nie przyszło mu nawet przez myśl, żeby gromadził stosy samych niemożliwości... Dziś czyta się w kronice Galla *pro traditione;* w byle jakim podręcznym słowniku *traditio* = zdrada. Następuje po tem *truncationi membrorum adhibuit.* Niejedna książka o średniowiecznem prawie karnem, w rozdziale, gdzie są wyliczone »kary cielesne« (np. pod *VIII, 2, B* albo pod *IV, § 5, A*) wymienia najwyraźniej *truncatio membrorum,* obcięcie członków. Był więc karygodny czyn (zdrada), była kara t. j. »egzekucya«; pomiędzy te dwa ogniwa wsuwa się domyślne ogniwa: proces i wyrok sądowy, a przy dalszym rozpędzie wyobraźni, inne nawet jeszcze, niemniej interesujące szczegóły. »Stanisław wpadł w ręce królewskie pierwej, zanim Wratysław i Herman zdobyli stolicę, a mogło to być podczas bitwy, bo ówcześni biskupi stawali konno do boju« [1] (l. c. str. 279). To już »amplifikacya« na tle stosunków XI wieku. Nie można tego powiedzieć o następującej (l. c. str. 273): »Skoro egzekucya odbyła się w pierwszej połowie kwietnia, a na schwycenie i proces można odłożyć marzec [2], przedtem zaś miała miejsce owa akcya biskupa,

[1] Co sądzić o tej fikcyjnej wojnie, w której czeski Wratysław miał pomagać zbuntowanemu Władysławowi Hermanowi, ob. II. rozdz. niniejszej pracy; w źródłach, czyto współczesnych, czy też późniejszych, niema naturalnie ani słowa o tem wszystkiem, t. j. ani o buncie Władysława Hermana ani też o rzekomej wojnie r. 1079.

[2] W granicach tej fikcyjnej chronologii mogłoby pomieścić się jeszcze nawet i zażalenie nieważności i jego odrzucenie i zatwierdzenie wyroku przez Bolesława Śmiałego.

bliżej nieznana, wedle Galla zdradziecka, więc trzeba zrozumieć, że bunt przeciw Bolesławowi zaczął się jeszcze w zimie z roku 1078 na 1079, a przygotowanie t. j. robota spiskowa musiała być w roku 1078«. Wszystko to wyczytano z przytoczonych tyle razy paru słów Galla: (Boleslavus) »pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit; neque enim traditorum episcopum excusamus, neque regem vindicantem sic se turpiter commendamus«. Tylko z tych słów; czyż to nie przypomina Długosza? Wszak i on wprowadzał niekiedy do swoich »amplifikacyi« jakiś archaistyczny rys, np. strącanie bałwanów po uchwale senatu w sprawie przyjęcia chrześcijaństwa.

Jedno nazywa się w fachowej terminologii »amplifikacyą«, drugie »ściśle naukową hipotezą«, »ostatnim wyrazem nauki«, albo nawet czemś więcej. Wszak wydrukowano najwyraźniej, w fachowem, historycznem czasopiśmie, o domysłach Wojciechowskiego w kwestyi św. Stanisława, zdumiewający, patetyczny werdykt: *Scientia locuta, causa finita!*

Na szczęście, takim uczonym jak Wojciechowski albo Abraham, rzadko można zarzucić »amplifikacye«, łatwo natomiast z ich rozmaitych prac wydobyć ścisłe określenie, co wolno nazwać »hipotezą naukową« lub przynajmniej bystrą kombinacyą, która istotnie wzbogaca naukę i naprzód ją posuwa? Wszystko, gdzie intuicya historyczna z suchych lakonicznych tekstów źródłowych wydobywa wnioski, oparte na gruntownej znajomości epoki, jej odrębnych urządzeń, stosunków, obyczajów, szczegółów kulturalnych, na analogii, na wnioskach wstecznych i t. p. Ileż to razy w świetle tego rodzaju bystrych kombinacyi, niejeden małomowny albo pozornie niemy tekst kronikarski przemówił niespodzianie tak żywo i wymownie, że naraz na całej linii, i wstecz i naprzód, rozjaśnił się mętny wątek obojętnych lub nawet niezrozumiałych faktów. I czy hipoteza tego rodzaju utrzyma się w nauce, czy obali ją inna, jeszcze bystrzejsza lub obfitszym posługująca się aparatem badawczym — czy można jej przyznać znamiona względnej pewności czy tylko przybliżonego prawdopodobieństwa: zawsze jest w niej rzetelna dla nauki zdobycz, daje bowiem uświadomienie, co mo-

głośno być (jeżeli nie było rzeczywiście) w X, XI czy w XII stuleciu.

Tu niema tego. »Proces« św. Stanisława, »wyrok sądowy«, wydany opodal kościoła św. Michała na Wawelu, i »egzekucya« na temże samem miejscu: to istotnie domysły w rodzaju »amplifikacyi« Długosza; niema w nich nic wspólnego z tłem historycznem XI wieku. Taki przebieg katastrofy r. 1079, jak Wojciechowski go skonstruował z samych najdowolniejszych domysłów, to byłoby przecież *unicum* w epoce, gdzie nie brakło ani królów z temperamentem Bolesława Śmiałego, dbałych o tron i o powagę majestatu, ani też *episcopi-traditores* nie byli wcale nadzwyczajną rzadkością[1]. Domysłów tych nie popiera żaden fakt (nietylko naszych nieznanych dokładniej) dziejów tego czasu, żaden konkretny szczegół z dziejów sąsiednich czy odleglejszych krajów o bogatszej historyografii, która pozwala wejrzeć drobiazgowo w barwny wątek wydarzeń, śledzić często ich przebieg niemal z dnia na dzień. Obok męczeństwa św. Stanisława znany jest tylko jeden podobny fakt z tej epoki, o 100 lat późniejszy, odsłaniający się w współczesnych źródłach z licznymi szczegółami: śmierć św. Tomasza Becketa[2]. Tam też chodziło przecież o zbrodnię stanu, o *crimen laesae majestatis;* w Anglii r. 1170 nie było chyba mniej legalności aniżeli w Polsce r. 1079. Obeszło się tam jednak bez sądowego wyroku; zausznicy Henryka II byli domyślni, zro-

[1] Por. l. c. str. 280.

[2] Zabójstwo Tomasza Becketa rozległo się donośnym odgłosem po całym świecie chrześcijańskim, wskutek kanonizacyi zamordowanego arcybiskupa, orzeczonej w 2 lata po jego śmierci przez Aleksandra III. Jeden to z wyjątkowych faktów obcej historyi, który znalazł natychmiast miejsce w naszych najstarszych annalistycznych zapiskach, niezawodnie bezpośrednio po wydarzeniu. Kadłubek, pisząc w jakie 25 lat potem, wzorował podobno na przebiegu tego głośnego faktu swój opis zamordowania św. Stanisława. Z wyrażeń Galla (truncatio membrorum, regem vindicantem sic se turpiter) można jedynie wnosić, że męczeństwo św. Stanisława było o wiele okrutniejsze. Bo też Henrykowi II chodziło nie tyle o zemstę co o sprzątnięcie dawnego faworyta a niebezpiecznego przeciwnika. Możeby ktoś zapytał: Dlaczego męczeństwo św. Stanisława przeszło niepostrzeżenie w współczesnym świecie chrześcijańskim? Odpowiedź gotowa w pierwszym rozdziale kroniki Galla (I. 1): »quia regio Polonorum ab itineribus peregrinorum est remota et nisi transeuntibus in Russiam pro mercimonio paucis nota«.

zumieli półsłówka rozgniewanego króla i zamordowali arcybiskupa, w kościele, przy ołtarzu.

Kto nie zna naszych źródeł średniowiecznych, mógłby pomylić się łatwo w ocenie tych domysłów. Czytając »Szkice historyczne XI wieku«, mógłby przypadkiem mniemać, że my wogóle wiemy cośkolwiek o polskiem prawie karnem tej epoki, o przewodzie sądowym i o warunkach, w jakich toczyły się u nas wówczas »polityczne procesy«, bo materyału do tych procesów nie brakło nigdy w tych czasach. Nic nie wiemy, nic a nic; skąpe zaś błyski światła, które pod tym względem migają dopiero w źródłach XIII stulecia, nie upoważniają nas zgoła do przypuszczenia, żeby ze zbrodniarzami stanu robiono w tej odległej epoce tyle ceremonii, jak to przedstawia prof. Wojciechowski w opisie »faktum biskupa Stanisława«. Hube, w książce o prawie polskiem XVIII wieku, pomieścił wszystko, co znalazł o tym przedmiocie, w krótkim ustępie o 19 wierszach, i to w rozdziale, który nie darmo zatytułował: »Kary arbitralne książęce, kary cielesne«[1]. Gdyby Gallus nie był napisał ani słowa o »wstrętnej zemście króla«, trzebaby widzieć w fakcie zabójstwa św. Stanisława, to samo, co w nim każdy ujrzy, czytając Galla bez uprzedzenia: okrutny, arbitralny akt monarszej wszechwładzy, bez sądowego procesu i wyroku. Miecz katowski nie próżnował w tych czasach, tylko na biskupów nie spadał. Za Chrobrego, łagodna królowa nieraz w tajemnicy przed mężem wydzierała katom skazanych na śmierć wielmożów i w więzieniu ich ukrywała, czekając ułagodzenia królewskiego gniewu. Może ktoś także zechce sobie wyobrażać, że wyroki, wydane na tych skazańców, za każdym razem poprzedzał również formalny proces, trwający kilka tygodni[2].

Nie bez przyczyny rozwiodłem się tak szeroko o tych nowoczesnych »amplifikacyach«. Z domysłami Długosza mają one trzy wspólne cechy: 1) dobrą wiarę autorów, o niej bowiem nie

[1] Hube: Prawo polskie w wieku trzynastym, str. 164, 165.

[2] Ob. malowniczą opowieść Galla I. 13. Słowa przejednanego Bolesława Chrobrego, po ułaskawieniu skazańców, możnaby niemal zastosować do niejednej źródłowej pracy o św. Stanisławie: »Vos tanta, vos tali prosapia exortos talia committere non decebat«.

można wątpić; 2) brak wszelkich źródłowych podstaw; 3) anachronistyczne zabarwienie. Nie są natomiast tak niewinne, choć jeszcze raz powtarzam, że nie myślę tu zgoła o jakiejkolwiek świadomej tendencyi. Kto czytał w XV wieku o naradach senatu za »Mieczysława I«, dziwił się może tylko budującej jednomyślności, z jaką zapadła ostateczna uchwała w sprawie przyjęcia chrześcijańskiej wiary. Tu co innego. Pojęcie legalności w fikcyjnym »procesie« św. Stanisława i w »egzekucyi«, opisanej z tak niebywałą lokalną dokładnością (niczem Samuel Zborowski)! — wszystko to zohydza w oczach czytelnika »zdrajcę«, »skazańca«, »egzekuta«. To pewne. Niemniej i to, że firma Wojciechowskiego, tak zasłużona i przez nikogo nie zaczepiana, nadaje nowożytnym jego »amplifikacyom« rzekomą cechę naukowych zdobyczy. Czekać tylko, jak ten »ostatni wyraz nauki« przejdzie w tryumfalnym pochodzie do podręczników, w postaci udowodnionych faktów. *Scientia locuta, causa finita.*

Jeżeli kto zaś, to właśnie Wojciechowski powinien był zachować trzeźwą oględność w interpretacyi tych 50 wyrazów Galla, z których dowolnie tyle wyczytał — on właśnie, tej kroniki nieporównany znawca, doskonały jej sędzia, jasno rozpoznający jej właściwości, i w tem nawet, co się tyczy 27 rozdziału I księgi. Powszechna na to zgoda, że nadworny kapelan Krzywoustego ukrył w tem miejscu sąd swój o tak drażliwym fakcie za floskułami stylu o elastycznym sensie, które i w jego czasach czytelnik mógł rozmaicie tłumaczyć. O to mu właśnie chodziło. »Pisać całą prawdę« — mówi słusznie Wojciechowski (l. c. str. 255), jakkolwiek w odwrotnym sensie — »znaczyłoby dla Galla narazić na stracenie, jeżeli nie głowę, to przynajmniej kronikę«. Może być. Dodam tylko, że Gallus nie poczuwał się nawet do obowiązku, przedstawić rzecz dokładnie i jasno, jak ją znał niezawodnie, jak znali ją również wszyscy, dla których pisał ten przybysz z obcych krajów, nieobojętny na smak »polskiego chleba« (III. epist.). Wszak celem jego było przekazać potomności przesławne czyny swojego pana, Bolesława Krzywoustego, i poprzedzić rzecz krótkim wstępem o równie chwalebnych czynach jego przodków, dawniejszych tej ziemi panów. Co do zabójstwa św. Stanisława, nie mógł po-

minąć tak drażliwego, współczesnego faktu, musiał bowiem jakkolwiekbądź zakończyć krótkie wspomnienie o Bolesławie Śmiałym (nie historyą Śmiałego), aby wreszcie rozpocząć właściwy przedmiot dzieła, od urodzenia i młodości Krzywoustego za rządów ojca — musiał Hermana wprowadzić na widownię. A bezpieczniej było nie rozpisywać się o buncie, który wypędził z kraju potężnego króla, stryja Krzywoustego. Wybrnął z tych trudności za pomocą paru enigmatycznych frazesów o brzmieniu delfickiej wyroczni; dość było dla celu Galla, że w pierwszym z nich i w ostatnim znalazło się miejsce na stwierdzenie jedynego jasno określonego faktu, o który mu chodziło, a to właśnie w wyrazach, mających usprawiedliwić tak pobieżne traktowanie przedmiotu: »Qualiter autem rex Boleslavus de Polonia sit eiectus, longum existit enarrare... sed hoc in medio deseramus, et, ut in Ungaria receptus fuerit, disseramus«. Pomiędzy te dwa zdania wplótł trzy krótkie frazesy o katastrofie św. Stanisława, istny wzór wykrętnych okólników; *ars dictandi* miała w nim zręcznego przedstawiciela [1].

[1] Co do stylizacyi tego frazesu, por. trafne uwagi Miodońskiego, P. P. II. 43 n. Analogia ze stylizacyą ustępu o oślepieniu Zbigniewa (III. 25) jest bez wątpienia bardzo pouczająca. Jedno tylko należy dodać. Zadanie Galla w III. 25 było z wielu względów łatwiejsze. Chodziło wprawdzie o straszne okrucieństwo samego Krzywoustego; tego czynu jednak nadworny historyograf nietylko nie potrzebował bronić, przeciwnie miał nawet obowiązek go potępić, skoro Krzywousty odprawił publiczną, manifestacyjną pokutę i sam przez to napiętnował całą ohydę czynu. Chodziło tylko o podkreślenie wartości tej pokuty i — o motywa samego czynu. Kozmas, dobrze świadomy rzeczy, zarzuca wprost Krzywoustemu, że podstępnie zwabił do siebie brata, udając chęć pogodzenia się, a miał z góry ułożony plan, pojmać go i oślepić. Taka była opinia w Czechach; że i w Polsce tak mówiono, widać jasno z samego tekstu Galla. Rola nadwornego historyografa polegała tu więc na oczyszczeniu swojego pana z tego zarzutu. Gallus spełnił to zadanie z prawdziwym artyzmem; zwalił całą winę na arogancyę Zbigniewa, na obawy, wynikające z jego »wyzywającego« postępowania, i na niefortunne jakoby rady »mędrców«, którzy namówili Krzywoustego, żeby brata oślepił. Im więcej Gallus potrafił zachować tu pozorów bezstronności, tem większego dowiódł artyzmu: »Quid ergo? Accusamus Zbignevum et excusamus Boleslavum? Nequaquam!« Mając to w pamięci, trzeba stwierdzić, że w swojej pozycyi nie mógł nic więcej powiedzieć na korzyść św. Stanisława, jak, że podkreślił wstrętną zemstę króla, dodając dla bezpieczeństwa: »neque traditorem episcopum excusamus«.

Niema się czemu dziwić. Gallus istotnie ani na tyle honoru nie zasłużył, ani na tyle potępienia, ile doznał jednego i drugiego, to od »zelantów«, jak mówi Wojciechowski, to od dzisiejszych wrogów św. Stanisława. Z tem wszystkiem, żeby »miał odwagę pisać prawdę« (l. c. str. 256), to już, co najmniej, wielka przesada, jeśli nie prosty *lapsus calami*. Śmieszna rzecz gorszyć się pochlebstwami Galla, ale nie wypada też zapominać, co pisze o pobudkach swej pracy literackiej: »ut aliquem fructum mei laboris reportarem« (III. epist.); wiedział zresztą, ile mogli mu zaszkodzić *invidiosi detractores* (I. epist.) gdyby zdarzyło się popełnić jakąś niezręczność. Anachronizmem byłoby, w nadwornego historyografa XII wieku wmawiać cywilną odwagę. A na dworze Krzywoustego byłby to istotnie dowód odwagi, graniczącej z zuchwalstwem, jeśliby Gallus rozwodził się szerzej nad faktami, które wypadało nazwać *traditio* lub *crimen laesae majestatis*. Działo się to przecież po upadku Sieciecha, niedługo przed katastrofą Skarbimira; jeden i drugi palatyn, »powalony lew«, miał mnogą klientelę i możnych krewnych, przed którymi, w następnem pokoleniu, uginali się już synowie Krzywoustego.

O »machinacyach Sieciecha nie mógł zamilczeć, na ich tle bowiem uwydatniała się chwalebna dzielność młodocianego bohatera kroniki. Ile możności, zbywał je podobnymi ogólnikami, jak w ustępie o św. Stanisławie, nie wchodząc w żadne szczegóły co do działań samego Sieciecha, któremu jednak nie oszczędził zarzutu, że zmierzał do wytępienia Piastowskiej dynastyi (II. 16)[1]. »Sed quid tam diu finalem causam Zethei factionis prolongamus; si labores singulos in dissensione Zethei describamus, gesta Zethei

[1] Może ten zarzut nie uchodził za rzecz uwłaczającą pamięci Sieciecha wśród jego klienteli, a zwłaszcza w rodzie Starżów, którego głową był potężny palatyn. Nie uwłaczała mu też zapewne dyskretna wzmianka o »królowej«, a na dworze Krzywoustego nie trzeba było chyba oszczędzać pamięci jego macochy (wdowy po węgierskim królu Salomonie), która nastawała na życie pasierba. Por. Smolka: Szkice historyczne II. 26 n. Trudno było natomiast pisać szczegółowo o akcyi Sieciecha, bez narażenia się możnym jego krewnym a wreszcie wogóle bez wystawienia się na zarzuty, które łatwo mogli pochwycić i wyzyskać *invidiosi detractores*. O »królowej« jest zresztą jedyna wzmianka w tych słowach: *de Zetheo et regina*.

procul dubio Iugurtino volumini coaequamus *(sic)*... Qualiter autem hoc contigerit vel qualiter (Zetheus) de exilio redierit, prolixum et taediosum est edocere... Hactenus de Zetheo et regina dixisse sufficiat«...

Drugi fakt, wiążący się z imieniem następcy Sieciecha, nie znalazł już miejsca w kronice Galla: uwięzienie i oślepienie bohaterskiego wojewody, którego wojenne przewagi wypełniają niejedną kartę dzieła — »egzekucya«, w ścisłem znaczeniu tego słowa, i to, co musiało poprzedzić katastrofę r. 1118 [1]: bunt Skarbimira — *traditio*. Słuszny zresztą domysł Wojciechowskiego, że nagłe, raptowne urwanie kroniki nie jest może bez związku z tą katastrofą (l. c. str. 297), bardzo to bowiem prawdopodobne, że przez kanclerza Michała bliższe jakieś stosunki łączyły Galla z potężnym wojewodą, którego możnaby nazwać, obok Krzywoustego, drugim i drugorzędnym bohaterem kroniki.

Czy między Sieciechem a Skarbimirem nie było podobnych faktów, choć nie nabrały tak szerokiego rozgłosu? W kronice Galla nie brak przejrzystych aluzyi. Umierającemu Chrobremu kładzie w usta prorocze ostrzeżenie: »Utinam ignem seditionis accendentes Deum et hominem vereantur!« (I. 16). Pisząc o zamieszkach za młodych lat Kazimierza Odnowiciela, odzywa się wprost ze znaczącą przestrogą: »Haec autem dixisse de Poloniae destructione sufficiat, et eis, qui dominis naturalibus fidem non servaverunt, ad correctionem proficiat« (I. 19) [2]. Przybysz wygna-

[1] Datę buntu i oślepienia Skarbimira 1118 podaje najstarszy tekst rocznikarski, kończący się na r. 1122 i wówczas przepisany; w późniejszych zwodach data o rok wcześniejsza (M. P. H. 774, 797, 832); odosobniona data rocznika Sędziwoja (1113) polega widocznie na omyłce, wskutek wypuszczenia V (tamże 874). Ostatnie wydarzenia, opisane w III księdze Galla, nie sięgają po za rok 1113. Pomiędzy ukończeniem II a rozpoczęciem III księgi upłynął jednak pewien czas, II księgę zaś wykończył Gallus nie rychlej jak w r. 1112. Por. przedmowę do wydania Finkla i St. Kętrzyńskiego, str. XI.

[2] Oto zakończenie panegiryku na cześć Krzywoustego we wstępie do III księgi: »Nam in hostes triumphator exsistit mirificus, erga cunctos cum honore dator est magnificus. Ungarorum rex per eum consistit pacificus. Non est tempus, quanta fecit, enarrandi singula, quae noverunt, qui senserunt carceres et vincula. Nos ad laudes, non ad fraudes damus his munuscula«. Znaczy to, że Gallus chce opisywać bohaterskie czyny swojego

niec, *exsul et peregrinus*, który znalazł przytułek na dworze Piastów, był między młotem a kowadłem, gdy przyszło mu dotykać tak drażliwych przedmiotów, więcej zaś, niż kiedykolwiek, gdy chodziło o zatarg biskupa z królem. We wstępie do trzeciej księgi określił jasno swoje wyznanie wiary: »Oportet enim Dei ministros in his, quae Dei sunt, Deo spiritualiter oboedire, et in his, quae sunt Caesaris, honorem et servitium mundi principibus exhibere«[2].

Może te słowa upoważniają do wniosku, że w katastrofie

---

pana, jego wojny, zwycięstwa, nie zaś przeprawy z własnymi poddanymi, których więził i zakuwał w żelaza. Dlatego też bogate w szczegóły opowiadanie Galla o pierwszych 10 latach rządów Krzywoustego daje barwny lecz jednostronny obraz zwycięskich wojen z Pomorzanami i Czechami, z epizodami zdradzieckich knowań Zbigniewa, starszego przyrodniego brata, lecz bez żadnej wzmianki o wewnętrznych przeprawach, które także niemało zaprzątały energicznego księcia, wstępującego w ślady swego imiennika i stryja. Widać to tylko z przytoczonych półsłówek. Warto w tym względzie zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność, której dotąd nie zaznaczono w dość obfitej już literaturze o Gallu, o ile pamiętam. Cała opowieść Galla o Chrobrym sprawia na mnie wrażenie pewnego rodzaju Cyropedyi, ma na celu nakreślić godny naśladowania wzór znakomitego monarchy. Gallus i mógł zasięgnąć o tak niedawnych czasach więcej pozytywnych wiadomości od swoich informatorów, i stać go było na więcej pragmatyzmu, jak to widać z opisu współczesnych zdarzeń, o ile nie czuje się krępowanym rolą nadwornego historyografa. To jednak, co pisze o Chrobrym, zakrawa często na dyskretną, delikatną krytykę postępowania jego własnego bohatera, dla którego nie ma dość słów podziwu, ale tylko gdy opowiada o męstwie, o wojennych czynach Krzywoustego i t. p. Warto pod tym kątem widzenia rozpatrzeć dokładnie I. 9, 11—16; zwłaszcza zaś takie miejsca przytoczonych rozdziałów, gdzie Gallus rozwodzi się raczej nad tem, czego Chrobry nie robił, aniżeli nad tem, co robił, np. »nec libenter in tentoriis, sicut Numida, sed in civitatibus et castris frequentius habitabat« (I. 12) i t. p. Znacząca jest następująca pochwała Chrobrego, pod tym kątem widzenia: »Duces vero suosque comites ac principes acsi fratres vel filios diligebat, eosque, salva reverentia, sicut sapiens dominus, honorabat; conquerentibus enim super illis inconsulte non credebat, contra legem condemnatis iudicium misericordia temperabat« (I. 13) i t. p. Nie brak też pouczenia, jak książę powinien zachowywać się wobec biskupów i duchowieństwa: »Episcopos quippe suosque capellanos in tanta veneratione retinebat, quod eis astantibus sedere non praesumebat« i t. d. (I. 9). Po śmierci Chrobrego »aetas aurea in plumbeam est conversa« (I. 16). Czytelnik może sobie w duszy dośpiewać, że znów powróciłby złoty wiek, gdyby praprawnuk naśladował w tem wszystkiem prapradziada. Trzeba to mieć w pamięci przy interpretacyi enigmatycznych półsłówek Galla.

r. 1079 chodziło tylko o rzeczy polityczne, jeżeli Gallus wyrzekł wiadome słowa: »Neque traditorem episcopum excusamus«...?

Św. Stanisław był wyjątkową postacią w ówczesnym polskim episkopacie — nie cudzoziemiec, nie przybysz z obcych krajów, ale potomek jednego z tych swojskich rodów, z pośród których przeciwko Piastom powstawali raz po raz przeróżni *traditores*. Nie idzie za tem, żeby zatarg biskupa z królem był sam przez się wyrazem takich zapędów, które Sieciech wygnaniem odpokutował, Skarbimir oślepieniem. To jednak bądź co bądź pewne, że po męczeństwie św. Stanisława wygnano króla z kraju. Panowie typu Sieciecha i Skarbimira poczuli po pierwszy raz swoją siłę; widzieli, że nawet takiego króla, jakim był Śmiały, można pozbyć się, można zrzucić go z tronu, jeśli żelazna ręka nadto zacięży. To przyczyna, dla której na dworze Krzywoustego bezpieczniej było nie mówić o św. Stanisławie. Nie przestawano zaś o nim mówić, i za czasów Galla i później, a to nietylko w związku z rosnącym kultem biskupa-męczennika[1].

---

[1] Świadczy o tem ustęp Kadłubka, odpierający oszczerstwa, które — jak on sam twierdził — jeszcze za jego czasów powtarzano o św. Stanisławie (M. P. H. II. 298—299). Nie jest to, jak wydawało się Wojciechowskiemu, polemika Kadłubka z Gallem, ubrana w formę rzekomej rozmowy Bolesława Śmiałego z węgierskim królem Władysławem (l. c. str. 279), ponieważ Kadłubek żadnego z przytoczonych zarzutów u Galla nie wyczytał. Chyba jeden można odnieść do Galla, jako amplifikacyę jego chudego tekstu: »illum astruit proditionis originem, totius mali radicem«. Kadłubek twierdzi jednak wyraźnie, że wskutek oszczerstw Bolesława, król-zabójca »non modo non sacrilegus, sed sacerrimus sacrilegiorum ultor apud nonnullos censeretur«. Niema powodu uważać *nonnullos* za stylistyczny floskuł Kadłubka, bo jego tendencyi takie stwierdzenie odzywającej się jeszcze w jego czasach opinii bynajmniej nie dogadzało Nie przypuszczam, żeby Kadłubek wzmiankowane oszczerstwa, po części ohydne, wyczytał w jakiemkolwiek piśmie. Można zaś wiele przypisywać jego zamiłowaniu w krasomówczym bombaście, do tego jednak stopnia nie posunąłby chyba upodobania w grze wyrazów, żeby dla niej sam wymyślał wstrętne urągania, uwłaczające czci św. Stanisława, które go oburzają. Mniemałbym raczej, że to odgłos jakiejś dysputy z podobnym do niego, niemniej wyszkolonym krasomówcą, który w jego czasach potępiał »biskupa-przeniewiercę«, oddając hołd pamięci mściwego króla. Nie dziwiłoby mnie bynajmniej, gdyby np. w otoczeniu Mieszka Starego, w kole jego duchownych popleczników, znalazł się taki wymowny poprzednik dzisiejszych nieprzyjaciół św. Stanisława. Była to rzecz zasad,

Umyślnie zatem Gallus zaciemnił krótki ustęp o katastrofie r. 1079 [1]. Wszystko, co o niej przekazał potomności, to razem 67 słów, a w ich liczbie 17 służy wyłącznie do usprawiedliwienia autora, że tak pobieżnie z tą rzeczą się załatwia. Dla sumiennej, nieuprzedzonej krytyki historycznej wymowna przestroga, żeby na takim tekście nie budować »hipotez«. Nie znalazła posłuchu, nie bez uszczerbku dla powagi naukowych dociekań. Cóż ścisła, przedmiotowa krytyka historyczna może wydobyć z 50 słów Galla, jeśli stoi istotnie na gruncie jego tekstu i nie popuszcza wodzów niezdrowej wyobraźni:

1) Bolesław Śmiały został zrzucony z tronu i uszedł do Węgier, wygnany z kraju. Rzecz pewna.

2) Do tego przyczyniło się głównie zabójstwo biskupa, popełnione z wielkiem okrucieństwem; skądinąd (t. j. z późniejszej tradycyi, której co do tego szczegółu nikt nie podaje w wątpliwość) wiemy napewno, że tym zabitym biskupem był krakowski biskup Stanisław. Jedno i drugie niewątpliwe fakta.

3) Król wywarł na biskupie zemstę za czyn, o którym Gallus nie chce dokładniej opowiadać, określając go wyrazem *traditio*. W właściwym mu sposobie wyrażania się oznacza to bunt, naruszenie wierności poddanego względem pa-

---

w pełnem tego słowa znaczeniu, a zasady te ścierały się ostro w drugiej połowie XII wieku, tem ostrzej, im więcej miało się ku zupełnej przegranej starego porządku rzeczy: pierwiastku nieograniczonej władzy książęcej.

[1] Data znana z suchych annalistycznych zapisek, które nie podają nic o przebiegu samego faktu. W najdawniejszym roczniku niema żadnej wzmianki ani o śmierci św. Stanisława ani o wygnaniu Bolesława Śmiałego. Rocznik ten ma wybitny charakter zapisek annalistycznych, spisywanych na dworze książęcym; pod r. 1077 zapisuje: *Boleslaus secundus coronatus est;* bezpośrednio potem pod r. 1082: *Boleslaus secundus rex obiit* (Mon. Pol. hist. II. 773). Następny z kolei co do czasu rocznik kapitulny krakowski znany jedynie w tej postaci, jaką mu nadano po kanonizacyi św. Stanisława; tam też znajdujemy pod r. 1079 obszerny opis męczeństwa św. Stanisława, o wybitnie legendarnych rysach. Data jednak przejęta jest niezawodnie z dawnych, zaginionych annałów krakowskiej katedry; dlatego też nie kwestyonował jej nikt z najbardziej stanowczych przeciwników późniejszej tradycyi o św. Stanisławie.

nującego, a w współczesnej łacinie spełnia tę samą funkcyę semazyologiczną co *crimen laesae majestatis.*

4) Zatarg biskupa z królem poprzedziły prawdopodobnie jakieś wewnętrzne zaburzenia, o których charakterze i przebiegu nie można nic wywnioskować z zaciemnionego rozmyślnie tekstu Galla; król »zgrzeszył« według niego, karcąc (srogo) »grzechy« swoich poddanych [1].

Tyle mówi Gallus, ani słowa więcej. Kto odrzuca późniejszą tradycyę, widząc w niej jedynie stek tendencyjnych bajek, powinien poprzestać na tem, co rzeczywiście wynika z małomownego tekstu Galla. Inaczej snuje domysły nie z współczesnego źródła, ale jedynie z własnej imaginacyi, nadając jej dowolny kierunek, według osobistego upodobania. Dla historyi niema tu miejsca, jest dla historycznej powieści; nie godzi się tylko takiej powieści nadawać złudnych pozorów umiejętnego, metodycznego badania. Niema tu nawet pola do hipotezy, w ścisłem znaczeniu, brak bowiem wszelkich warunków, bez których nie może się obejść konstrukcya hipotezy o rzetelnej wartości naukowej. To też wszystkie domysły o przebiegu i o naturze zagadkowego faktu r. 1079, zarówno dawniejsze jak i ostatnie domniemania, nie mają zgoła charakteru hipotez w istotnem tego słowa znaczeniu; są to jedynie mniej lub więcej interesujące fantazye na temat historyczny [2].

Skąd wyszedł impuls do tych różnorodnych domysłów, to

---

[1] Na takiej analizie tekstu Galla (I. 27), uzupełnionej oględnem spożytkowaniem późniejszej o 100—120 lat tradycyi, oparłem moje osobiste zapatrywanie na katastrofę Bolesława Śmiałego (Mieszko Stary i jego wiek, Warszawa 1880, str. 174). Dość obfita literatura tego przedmiotu, która narosła w ciągu ubiegłych 30 lat, nie wpłynęła u mnie na zmianę zapatrywania, wyrażonego w przytoczonej książce; utwierdziła mnie w niem niniejsza dyskusya w Przeglądzie Powszechnym, zwłaszcza zaś niektóre spostrzeżenia prof. Miodońskiego.

[2] Faktem to jest przecie, że przed paru laty ukazał się tymczasowy na razie szkic »hipotezy«, jakoby św. Stanisław był Rusinem, i to nie byle jakim, ale poprostu synem św. Włodzimierza, skąd miały naturalnie wynikać rozmaite dalsze, niesłychane odkrycia. Na szczęście skończyło się na tymczasowem zastrzeżeniu pierwszeństwa dla senzacyjnego pomysłu. Po opatentowaniu odkrycia, nie przyszło już do szczegółowego opracowania i »uzasadnienia« tej hipotezy — nie byle czyjej zresztą.

naiwnych, czasem aż śmiesznych, to znowu nieraz olśniewających, zarówno erudycyą jak bogactwem fantazyi — sprzecznych domysłów, które nawzajem się wykluczają, a jedną tylko mają wspólną cechę: bezprzykładną dowolność w postępowaniu z tekstami źródeł, w interpretacyi i kombinacyi? Co do Wojciechowskiego, łatwo odszukać jedyne źródło tego impulsu. Zdawało mu się, że trafnie odgadł niezrozumiałe znaczenie kilku słów Galla, jednego krótkiego zdania, którego zawiłości nikt przed nim nie rozwiązał. Rzekome to odkrycie oszołomiło znakomitego badacza. Wziął je za promień światła, który w jego mniemaniu rozjaśnia naraz zagadkę katastrofy Bolesława Śmiałego, jej przyczyn i jej następstw, rozprasza ciemność i wstecz i naprzód. Padł ofiarą złudzenia, które odjęło mu zwykłą trzeźwość sądu, sprowadziło go na manowce naciąganej interpretacyi i dowolnych domysłów, nie opartych na żadnem źródle. Działał w najlepszej wierze, niezłomnie przekonany o zupełnej pewności rzekomego odkrycia (l. c. 256). Oparł też na niem zwodniczą rekonstrukcyę nieznanej historyi kilku lat po upadku Bolesława Śmiałego, co jeszcze silniej utwierdziło go w domniemaniach o »fakcie biskupa Stanisława«, przez złudne wnioskowanie *ab ignotis de ignotis.*

Dlatego niepodobna zakończyć na tej uwadze, którą wypowiadam tak szczerze a tak stanowczo. Rzecz wymaga dłuższego uzasadnienia, aby usunąć wszelkie wątpliwości.

C. d. n.

*Stanisław Smolka.*

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

## Z piśmiennictwa polskiego.

**Świętopietrze w Polsce.** *Ks. Tadeusz Gromnicki.* Kraków 1908. Str. 474.

Zdumiewać się potrzeba nad ogromem pracy, jaką włożył ks. prof. Gromnicki w swe dzieło, nad którem podobno przez lat kilka pracował, »Świętopietrze w Polsce«. Czterysta kilkadziesiąt stron, z czego prawie połowa przypada na tablice! I rzeczywiście temat jakkolwiek pozornie nudny i suchy, przecież pojęty głębiej, może zapalić i przykuć do siebie na lat całe szeregi. Toć przez świętopietrze można pojmować stosunek Polski do rzymskiej kuryi w wiekach ubiegłych. Płaciły go i inne kraje północne jak Anglia, Dania, Szwecya, Norwegia i kraje nadłabskie, nigdzie jednak nie miał takiego znaczenia jak dla Polski.

Ks. Gromnicki w kilku początkowych rozdziałach szczegółowo się zastanawia nad jego powstaniem u nas, nazwą, sposobem płacenia i znaczeniem. Powiada, że się nazywał *census qui denarius beati Petri vocatur*, później *Petronale*, z czego się nawet *Patronale* urobiło. Rozbiera szczegółowo wszelkie wiadomości, znachodzące się w rocznikach i kronikach najdawniejszych i można przyznać, że zebrał materyał co do dawniejszych czasów prawie wszystek i podał czytelnikowi jego analizę, nie wysnuwając jednak ostatecznych wniosków. Wspomina więc i o najstarszym dokumencie *Dagome iudex* czyli darowiznie Gniezna na rzecz papiestwa, wie o tem, że Bolesław Chrobry uważał się za trybutaryusza Stolicy apostolskiej, że nawet specyalne monety z napisem w otoku *Sanctus Petrus* bić kazał, zna dokumenty, które podają, kto był obowiązany do świętopietrza, obawia się jednak jasno i otwarcie swego zdania w tej kwestyi wypowiedzieć.

A przecież jeżeli się ma wiadomość z początku wieku XIII, w której mowa o świętopietrzu w czasach dawniejszych, jeżeli się zna położenie Polski w wieku XII po śmierci Krzywoustego, kiedy nie mogło być mowy o generalnem nałożeniu tej daniny, jeżeli się wie, że Bolesław Chrobry był faktycznym *tributarius apostolicae Sedis,* jeżeli się następnie zna jedyny dokument z końca X wieku darowizny Polski, pomieszczony w zbiorach kameraliów, bo w *Liber censuum* z w. XII, musi się narzucić przekonanie, że ten dokument tylko mógł być podstawą owej daniny. Mniejsza o to, czy w takim samym zakresie jak później, bo w ciągu wieków, jak wogóle wszystko tak i ten podatek uległ zmianom i wykształceniu, rozciągnął się na wszystkich mieszkańców Polski, tak świeckich jak i duchownych. Naturalną było rzeczą, że że w owych czasach, kiedy organizacya kościelna jeszcze nie była wyrobioną, monarcha sam go ściągał i przesyłał do Rzymu, pewnie nie wszystko, ale tylko jakąś stałą kwotę, resztę zachowując dla siebie. Płacili jednak prawdopodobnie wszyscy księciu, skoro mógł on jakąś wieś od tego ciężaru uwolnić; uwalniając tracił sam tylko na tem, nie kurya, której należną sumę powinien wypłacić.

W epoce podziału Polski na dzielnice główne musiały zajść zmiany. Kto miał płacić? Czy książę senior czy każdy z książąt dzielnicowych? Czy wogóle płacono? Mamy wiadomości, że Mieszko Stary pobierał świętopietrze, uwalniał nawet od niego [1]. Powstało wogóle zamieszanie; książęta uważali świętopiętrze za sobie przysługujący dochód i dlatego to papiestwo pewnie pobór jego oddaje w ręce biskupów, względnie legatów lub może i kollektorów innych poborów, o ile znajdują się w Polsce. A stało się to z początkiem w. XIII. Te czasy dzielnicowej Polski wykształcić musiały różne zwyczaje w poszczególnych dzielnicach co do sposobu płacenia tej daniny, chociaż i kurya i książęta polscy i duchowieństwo w wieku XIII w tem są zgodni, że

[1] Względnie zamieniał na jakąś karczmę. Innocenty III 13 stycznia 1207 r. tak pisze do arcybiskupa gnieźnieńskiego: »Ad audientiam nostram pervenit, quod sancti Petri et sancti Adalberti canonici censum beati Petri solvere contradicunt, occasione sumpta, quod ipsius census denarium in quandam tabernam cum nobili viro duce Mescone se asserunt commutasse. Cum igitur in preiudicium beati Petri huiusmodi commutatio fieri non potuerit, fraternitati tue per apostolica scripta mandamus, quatenus non obstante commutatione prefata memoratos canonicos ad solutionem ipsius denarii canonica censura... compellas«. (Pitra: *Analecta novissima Spicilegii Solesmensis altera continuatio,* t. I, 1885, p. 521, nr. XXXI. Potthast nr. 2980).

winni je płacić *omnes Christi fideles de singulis personis* lub *de singulis capitibus*. Obowiązanymi do tego byli i duchowieństwo i szlachta nawet książęta.

Napłynęły tymczasem do Polski żywioły obce, Niemcy, którzy do obowiązku płacenia świętopietrza się nie poczuwali, i dlatego też żywioł polski tem skwapliwiej się mu poddawał, aby uzyskać od Stolicy apostolskiej pomoc przeciw obcym, pragnącym skorzystać z zamętu i Polskę między siebie podzielić. Stąd popiera się życzenia kuryi i w r. 1318 za Łokietka przychodzi do ustalenia zasady, że ze wszystkich ziem dawnego królestwa należy się denar od każdej głowy papieżowi. Niemało to musiało pomódz do uzyskania korony Łokietkowi. I rzeczywiście, ze wszystkich dzielnic Łokietkowskiej i Kazimierzowskiej Polski płaci się według tej normy, z tym wyjątkiem, że szlachta w połowie XIV wieku zdołała z siebie zrzucić ten obowiązek, natomiast dzielnice odpadłe od jedności państwowej jak Szląsk, Pomorze, Lubusz protestują przeciw temu. Szląsk ostatecznie musiał się poddać, poddali się również i Krzyżacy, płacąc z Chełmińskiej ziemi i Pomorza, Lubusz jednak i zachodnie Pomorze do tego obowiązku już nigdy wrócić nie miały.

Świętopietrze nie przynosiło wiele dochodu kuryi, zwłaszcza w wieku XV i XVI kiedy tc wartość denara się obniżyła. Zresztą w teoryi tylko pobierała je kurya *de singulis capitibus*. Od samego początku XIV wieku ustaliła się taksa i pewną stałą kwotę płaciła każda parafia bez względu na ilość ludności. Reszta tonęła w kieszeni kollektorów, subkollektorów i proboszczów. Kilkaset grzywien rocznie ledwie otrzymywała kurya. Cóż dziwnego, że jej na tak małej sumie później, w wieku XVI, niewiele zależało i że chętnie dzieliła się tym podatkiem z polskim królem, a w okresie reformacyi wogóle przestała go pobierać. Napróżno Zygmunt August prosił o odstąpienie sobie tego prawa — kurya wolała raczej stracić go zupełnie aniżeli pozwolić, żeby stał się podatkiem królewskim. Stało się to za papieża Piusa V. Następca jego jednak Grzegorz XIII z głębszego stanowiska na tę sprawę się zapatrywał. Toć denar św. Piotra był symbolem zwierzchnictwa papiestwa nad Polską, sięgającego czasów bardzo odległych, bo czasów Mieczysława I (Darowizna Gniezna), które to zwierzchnictwo kurya miała nieraz sposobność w sposób wyraźny zaznaczać. I tak, kiedy Czesi w czasie bezkrólewia po śmierci Mieszka II najechali Polskę, wytacza im proces; w r. 1253 poleca legatowi, żeby nie pozwolił zmniejszać dominium św. Piotra niemieckim

sąsiadom, a w r. 1302 występuje stanowczo przeciw tytułowaniu się królem polskim przez Wacława II i jego pretensyom, z którymi powinien się przedewszystkiem zwrócić do papieża, jako pana zwierzchniego Polski, a nawet kiedy książę kujawski nie pozwala biskupowi Wolimirowi budować zamku, bo to prawo książęce, papież jako pan zwierzchni, bullą z 30 maja 1262 r. uchyla to prawo krajowe. Książęta i królowie uznawali zawsze zwierzchnictwo Stolicy apostolskiej, o czem mamy wiadomości od Bolesława Chrobrego począwszy. Uznaje je i Łokietek w swym znanym liście obedyencyjnym z r. 1323 [1] i w tym samym czasie Henryk ks. Głogowski [2], Kazimierz Wielki zwraca papieżowi uwagę, że traktaty, które zawarł z Czechami i Krzyżakami wychodzą na niekorzyść Stolicy, a zatem powinna je uznać za niebyłe [4], a nawet poseł Kazimierza Jagiellończyka stając przed Kalikstem III powiada: *Rex meum et suum regnum... hac redolet laude, quod immedtate supra se summum pontificem ac R. S. recognoscit.* Z tego też powodu Grzegorz XIII występuje z żądaniem świętopietrza. Napróżno. Wzmianka o zwierzchnictwie papieskiem nad Polską musiała być przyjętą przez w wielkiej części protestancką szlachtę a pewnie i katolicką jak najnieprzychylniej. Darmo nuncyusz Caligari i jego następca Bolognetti przedstawiali, że świętopietrze pragnie papież obrócić na ufundowanie kollegium w Rzymie, gdzieby się młodzież polska kształciła na księży. Wprawdzie świętopietrze urzędownie nie zostało zniesione i jeszcze w czasach Stefana Batorego tu i ówdzie je płacono, ale w drodze faktu wyszło z użycia. Tak się przedstawia w głównych zarysach treść pracy ks. Gromnickiego.

[2] Muratori i Raynald *ibidem;* Grünhagen: *Regesten* nr. 4271.

Przestudyował on dokładnie całą literaturę dotyczącą tego przedmiotu i oparł swą pracę nie tylko na źródłach drukowanych ale także archiwaliach. Korzystał również z odpisów Ekspedycyi rzymskiej Aka-

---

[1] Wydrukowany w Muratori: *Antiquitates Ital. med. aevi* VI, p. 147; Raynald: *Annales ecclesiastici* V, p. 293, LIII i przez Prochaskę na podstawie kodeksu paryskiego w *Kwartalniku hist.* VI, p. 29.

[2] Pisał też i jakieś listy z obedyencyą do papieży Kazimierz Wielki. W inwentarzu archiwum awin. z r. 1366 czytamy: »Item quedam littera regis Polonie aperta a tergo sigillata, confitentis se et regnum suum esse in obediencia et subiectione sancte Romane ecclesie et in signum huiusdem solvitur ibidem census, qui vocatur denarius beati Petri Romane ecclesie et est sine data.

Item eadem littera eiusdem tenoris sigillata a tergo in cera albo«.

demii Umiejętności, szczególniej dotyczących kameraliów z w. XIV. Studya natomiast nad świętopietrzem w wieku XV i XVI oparł prawie wyłącznie na archiwaliach krajowych, z których podaje obfite dodatki w formie dokumentów lub rachunków przerobionych w tabele. Szkoda, że dla tego rodzaju pracy nie sięgnął do włoskich archiwów, gdzie jak w Prato, w Rzymie w Archivio di stato i watykańskiem, do XV i XVI wieku znalazłby równie wiele a może więcej ciekawego materyału aniżeli w kraju. I za to przecież co zrobił należy mu się szczera wdzięczność.

Niema wogóle pracy bez zarzutu, nie może być więc nią i praca ks. Gromnickiego. Wspominaliśmy już poprzednio, że szanowny autor nazbyt szczegółowo raczej drobiazgowo i rozwlekle rozbiera w początkowych rozdziałach wszystkie wiadomości dotyczące świętopietrza w czasach najdawniejszych, których zebrał tak wiele, że w ich chaosie zoryentować się jest mu dość trudno, nie może znaleźć nici czy ścieżki, któraby go na otwarte pole wyprowadziła. Wiele niepotrzebnego powtarzania się, czasem nawet sprzeczności, tak że po przeczytaniu kilku początkowych rozdziałów, czytelnik nie wie, do czego autor zmierzał, skoro żadnego wniosku ale tylko analizę znajduje. Jest to obficie zebrany materyał dla przyszłego pracownika, który na podstawie owej analizy będzie mógł skonstatować jakąś syntezę. Wiek XV i XVI zupełnie dobrze i jasno przedstawiony. Jasno również napisany i rozdział o kollektorach świętopietrza, chociaż musimy szanownemu autorowi zwrócić uwagę na parę, drobnych zresztą omyłek. Pomimo ogromnej pracy i wielkiej ilości materyału jaki zebrał, przecież autor niektóre dość ważne dokumenty przeoczył.

I tak dominikanina Gotfryda kollektora papieskiego w Polsce w r. 1248 nie chce uznać za takiego, bo nigdzie nie jest nazywany kollektorem; pierwszym kollektorem papieskim według zdania ks. Gromnickiego, to Piotr de Pontecorvo. Tymczasem w liście papieża Innocentego IV z 18 VI 1248 roku, wydrukowanym w Kod. Wpol. I, nr. 268 pod fałszywą datą XVI Kal. Aprilis (19, II) czytamy co następuje: *Fratri Gotofrido de ordine Predicatorum capellano nostro. Cum venerabilis frater noster archiepiscopus Gneznensis... non sufficiat ad solvendum quintam reddituum suorum pro duobus annis, quam pro subsidio ecclesie Romane per te mandavimus colligi... mandamus quatenus quintam unius anni auctoritate nostra remittas eidem...* Był więc chyba kollektorem. Autor uważa Muskatę za pierwszego generalnego kollektora. Kollektorem generalnym, a zatem przedewszystkiem dziesięciny

mógł być dopiero po roku 1287, o czem jednak ani autor ani piszący nie ma wiadomości. Przedtem nim być nie mógł, bo w latach 1274—1286 kollektorem dziesięciny na Polskę i Węgry jest Garard z Modeny, który w r. 1283 został biskupem w Caiazzo, a w r. 1287 kollektorem dziesięciny zostaje mianowanym niejaki Adam de Polonia, kanonik krakowski.

Pierwszym generalnym kollektorem, a zatem i dziesięciny i świętopietrza był Piotr de Pontecorvo (nie Muskata), którego *facultates* możnaby tylko z temi, w jakie byli wyposażeni w wieku XIV Galhard de Carceribus lub Arnald de Lacaucina, porównać. Jest on bowiem zarazem nuncyuszem i władza jego rozciąga się na Polskę, Czechy i Węgry. Działalność jego trwała od r. 1255—1262. Że był zarazem kollektorem świętopietrza o tem informuje nas dokument z 11 października 1255 roku. Brzmi on w skróceniu jak następuje: *Magistro P. de Pontecurvo, archidiacono Gradicensi... petendi, recipiendi et exigendi... ea que Terre sancte vel Sedi apostolice ex voto seu promisso aut ex redempcione votorum vel deposicione sive ex causa testamenti sive de bonis alicuius clerici ex intestato decedentis vel denarii beati Petri nomine... debentur... concedimus facultatem.* A kiedy odwołuje go z kollektoryi papież Urban IV i powracającego do Rzymu poleca duchowieństwu w mandacie z 15 maja 1262 r. wyraźnie go nazywa *apostolicae Sedis nuncius* (Emler. II, nr. 367). Wogóle szereg kollektorów w Polsce do początku XIV wieku przedstawia się jak następuje:

1. 1230. Magister Simon Gregorii pp. IX scriptor per Boemiam, Moraviam, Poloniam et Pomoraniam decimarum collector, (Potthast, nr. 8559).

2. 1248. Gotofridus de ordine Praedicatorum quintae reddituum pro subsidio ecclesiae Romanae collector (Berger: *Les Registres d'Innocent IV*, t. I, p. 598, nr. 3957).

3. 1255—1262. Petrus de Pontecurvo proventuum pro subsidio Terrae sancte, denarii beati Petri etc. collector et apostolicae Sedis nuncius (Emler: *Reg. Boh.* II, nr. 257. Guiraud: *Les Registres d'Urbain IV*, t. I, nr. 3, 12, 13, 493).

4. 1263. Thomas, episcopus Wratislaviensis, centesimae pro subsidio Terrae sancte collector. (Guiraud II, p. 228, nr. 468).

5. 1274—1286. Magister Gerardus, scriptor apost. Sedis, decimae Lugdunensis pro subsidio Terrae sancte collector. (Theiner: *M H.* I, p. 319, et p. 323. *M V H.* I, p. 1—12).

6. 1284—1295? Denarii b. Petri et aliorum proventuum col-

lector. (Theiner: *M P.* nr. 170—178. Langlois: *Registres de Nicolas IV*, nr. 7084—7086).

7. 1287. Ada de Polonia, canonicus Cracoviensis, ap. Sed. scriptor, remanentiarum decimae Lugdunensis et aliorum proventuum collector. (Theiner: *M P.* I, nr. 182 et 183).

8. 1300. Wicboldus, archiepiscopus Coloniensis, eiusdem decimae collector. (Digard: *Les Registres de Boniface VIII,* t. II, nr. 3543).

9. 1301—1309. Bonaiutus de Casentino in partibus Boemiae, Ungariae, Poloniae et Moraviae eiusdem decimae et denarii beati Petri collector et apostolicae Sedis in eiusdem partibus nuncius. (Digard, t. III, nr. 4408, 4409; Kirsch: *Die päpstlichen Kollektorien in Deutschland* p. 381).

10. 1317—1320. Gabriel de Fabriano fructuum de beneficiis vacantibus collector et apostolicae Sedis nuncius. (Emler, III, nr. 345, 382. Voigt, II, nr. 84, 85 etc.).

11. 1318—1324. Ianislaus, archiepiscopus Gneznensis, Gervardus et Mathias episcopi Wladislavienses, denarii beati Petri collectores.

Autor zaufał dziełu Baumgartena [1], który pod dniem 12 lipca 1313 r. podaje wiadomość o złożeniu przez arcybiskupa Janisława, jako kollektora świętopietrza 22 grzywien i $3^1/_2$ uncyi złota na rzecz kamery, i opierając się na tym akcie przypuszcza, że już w r. 1312 Janisław musiał być kollektorem. Jest to błąd Baumgartena, który podał fałszywą datę, rok 1313 zamiast 1323. W tym czasie od 5 maja 1313 r. arcybiskupstwo gnieźnieńskie po Jakóbie Śwince wakowało i dopiero 15 stycznia 1317 r. promowanym na nie jest Borysław, a kiedy Borysław tego samego roku w kuryi zakończył życie, papież obsadził je 7 listopapa właśnie Janisławem i zarazem powierzył mu urząd kollektora świętopietrza.

Ogromnie wiele pracy włożył autor w tabele. W tego rodzaju robocie są one rzeczą konieczną, bo więcej mogą mówić aniżeli sam tekst. Czy jednak szanowny autor nie dał ich za wiele i nieraz zupełnie zbytecznie? Czyżby nie wystarczyło podać, że dana parafia taką lub owaką sumę obowiązaną była płacić, skoro od XIV do XVI w. obowiązywała bez względu na wzrost ludności jedna i ta sama taksa? Poco powtarzać jednę i tę samą sumę przez całych lat szeregi? Czy dla pewnych rzadko zresztą zdarzających się odmianek? Mogę zaręczyć, że co do XIV wieku wypływają one li tylko z błędu kopisty,

[1] Untersuchungen und Urkunden über die Camera collegii cardinalium für die Zeit v. 1295 bis 1437, Leipzig, 1898, pag. 170, nr. 261.

który przez pomyłkę np. zamiast IV napisał III gr. etc. Odpisy bowiem watykańskie, w tym czasie, kiedy z nich korzystał ks. Gromnicki, nie były jeszcze skollacyonowane i przy kollacyonowaniu dopiero pokazały się nie tylko błędy w cyfrach ale i opuszczenia całych parafii. To samo zdaje mi się możnaby powiedzieć i o tabelach z ksiąg rachunkowych Żernickiego (pocz. XVI w.) i Brzostowskiego (połowa XVI w.). Czy i tu pewne różnice nie są wypływem błędnego skopiowania?

To są drobne niedokładności i usterki zwykle bez winy szanownego autora, na które przecież zwrócić uwagę uważałem za swój obowiązek. Przed ogromem pracy, jaką włożył w swe dzieło winno się tylko z czcią prawdziwą uchylić czoła. Książka ma znakomity indeks, co podnosi jej wartość.

*Dr. Jan Ptaśnik.*

**Syn królewski.** Dramat w trzech aktach na tle dziejów XI wieku *Adama Krechowieckiego*. Lwów. Nakład księgarni Gubrynowicza i Syna. 1909.

O ile współczesna powieść polska, nowela oraz poezya liryczna, nie tracą wcale na porównaniu z którąkolwiek współczesną literaturą europejską, o tyle znowu dramat polski i jakościowo i ilościowo nie może się wybić na plan pierwszy. A jednak była chwila, kiedy można się było tego spodziewać. Złączona jest ona z wystąpieniem Stanisława Wyspiańskiego. Niestety śmierć przedwczesna wytrąciła z ręki pióro, temu genialnemu człowiekowi, a z nim zeszła w grób nadzieja tak bardzo usprawiedliwiona.

A jeżeli znów rzucimy okiem po współczesnej produkcyi dramatycznej, to w tej niezbyt bogatej twórczości dramatycznej, najuboższym się okaże dział poważnego dramatu historycznego. Zaledwie kilka utworów z najnowszym czasów wyliczyć można, (wykluczamy Wyspiańskiego), które wyróżniają się wybitną wartością. »Uczta Herodyady« Kasprowicza, »Car Samozwaniec« Nowaczyńskiego, utwory Grabowskiego i Marcinowskiej — oto wszystko, czem pochlubić się możemy w tym zakresie.

Wobec tych faktów ze szczególną radością powitać należy każdy utwór tego ubogiego rodzaju, tembardziej jeżeli tenże tak na to zasługuje, jak »Syn królewski« Adama Krechowieckiego, któremu właśnie, z powodu książkowego ukazania się, chcemy poświęcić słów kilka.

Zasłużony pisarz, p. Adam Krechowiecki, którego jubileusz nie-

dawno tak uroczyście i serdecznie Lwów obchodził, jako powieściopisarz historyczny, z grona współczesnych, najłacniej może być postawiony najbliżej Sienkiewicza, i na tem polu położone przezeń zasługi znane są dokładnie ogółowi. Może właśnie to umiłowanie tematów historycznych nasunęło myśl autorowi wypróbowania swych sił w wierszowanym dramacie historycznym. Bez przesady przyznać należy, że próba ta wypadła jak najlepiej.

»Syna królewskiego« osnuł szanowny jubilat na dziejach Polski z XI w., ujmując w trzy akty panowanie Mieszka II, niesłusznie obdarzonego przydomkiem: »gnuśny«. W utworze p. Krechowieckiego (zgodnie z wynikami badań historycznych), upadku Mieszka II, nie sprowadza wcale jego niedołęstwo, gdyż jest to król dzielny i energiczny. Przyczyną jego upadku jest bowiem to, że państwo Polskie utworzone dzielną ręką Bolesława Chrobrego i utrzymywane w łączności swych poszczególnych części dzięki jego geniuszowi, ukrywało w sobie bardzo wiele jeszcze przytłumionych, lecz nie pokonanych, elementów rozkładu, które po śmierci Chrobrego, mimo oporu Mieszka, odżywszy na nowo, sprowadziły chaos i zamęt i doprowadziły do zniszczenia jednolitości państwa.

Z tymi przeciwnikami Mieszka zaznajamia nas autor w pierwszym i najdłuższym akcie. Są niemi przedewszystkiem żona Mieszka, Niemka Rycheza, głową stronnictwa niemieckiego, Bezprym, syn Chrobrego, starszy brat Mieszko, łączący się przeciw bratu, by go strącić z tronu, z każdym wewnętrznym i zewnętrznym wrogiem Polski, fałszywy i nieprzebierający w środkach Masław, butni dostojnicy... i sława i czyny Chrobrego, z którymi porównywany bywa każdy czyn Mieszka, zawsze z ujmą dla tego ostatniego. Celem aktu pierwszego jest właśnie wykazanie, jakie to wrogie siły złączyły się razem, by sprowadzić nieunikniony upadek Mieszka, mimo, że tenże nawet w wojnie pokonał cesarza Konrada. Wobec przeważnej siły tych złączonych wrogów, Mieszko wyrasta na postać rzeczywiście tragiczną. Jedyną duszą, szczerze oddaną Mieszkowi, jak to już widzimy z aktu pierwszego, jest miłośnica króla, Dobrówka, córka wieszcza pogańskiego Moimira.

W drugim akcie wprowadza nas autor na uroczystość postrzyżyn syna Mieszka i Dobrówki, Bolesława, zaznajamiając nas przy tej sposobności z poganizmem, który tkwi jeszcze głęboko wśród ludu polskiego, a przedewszystkiem w duszy ich duchowego wodza Moimira. Ale w czasie, gdy odbywają się postrzyżyny Bolesława, demonicznie

zły Bezprym tymczasem na czele zbuntowanych zajmuje zamek i Mieszka tronu pozbawia.

Akt trzeci jest obrazowem przedstawieniem chwili powrotu Mieszka po tułaczce do kraju, w którym rządzi okrutnie przywłaszczyciel Bezprym. Lecz możność odzyskania tronu uzyskał Mieszko upokorzeniem się przed cesarzem, a to upokorzenie padłszy na duszę jego umęczoną całym szeregiem cierpień, wtrąca go w obłąkanie. Więc niczem mu odzyskanie panowania, bez walki nawet, gdyż Bezpryma zabija Dobrówka w chwili, gdy pragnął ją przemocą posiąść, umysłem Mieszka owładnął obłęd, wśród którego kona, przepowiadając Polsce przyszłe pojawienie się... Kazimierza Odnowiciela.

Taką jest treść »Syna królewskiego«, napisanego silnie, barwnie i konsekwentnie, z wielu scenami pierwszorzędnej wartości. Nie widziałem utworu na scenie, (granym był w Krakowie), ale pewny jestem, że odtworzenie sceniczne potęguje jeszcze bardziej piękności tego utworu.

A jeżeli zważymy, że nasza literatura dramatyczna ubogą jest w dramaty historyczne, że stanowią ją, a nawet zachwaszczają pod niejednym względem t. zw. »sztuki współczesne«, tem radośniej powitać należy utwór, będący dla autora jeszcze jednym listkiem wawrzynu więcej, a dla literatury naszej nabytkiem rzeczywiście cennym.

*Adam Stodor.*

---

## Z piśmiennictw obcych.

**L'école et le Caractère.** *F. W. Foerster.* Traduit par Pierre Bovet, préface de Jules Payot. Saint-Blaise (Suisse) Foyer Solidariste 1909. (Collection d'actualités pédagogiques).

Stosunek rodziny, a nawet całego społeczeństwa do szkoły uległ znacznej zmianie. Dawniej lat 20—25 żądano od szkoły mniej, a ufano jej więcej; wiedziano, że szkoła nie pedagogiczne ale dydaktyczne ma zadanie; to, co pod wychowaniem właściwie się rozumie, t. j. wyrabianie charakterów, wszczepianie zasad, pielęgnowanie uczuć, to ciężyło na rodzinie i na wychowawcach zastępujących rodzinę. Posyłano atoli dzieci do szkoły nie tylko z konieczności po tę sumę wiadomości, którą dom z trudnością mógł dostarczać, posyłano je chętnie bo uważano atmosferę szkolną za pożądane dopełnienie atmosfery ro-

dzinnej, za równie potrzebną dla rozwoju duchowego chłopca, jak ćwiczenia fizyczne i spacery na wolnem powietrzu dla jego fizycznego rozwoju. Spodziewano się wprawdzie, że chłopiec nabędzie na ławach szkolnych trochę szorstkich manier, że się nauczy repertoaru trywialnych wyrazów, ale żeby się miał wśród kolegów zepsuć, żeby się jego umysł miał spaczyć, żeby wpływ środowiska szkolnego miał po części sparaliżować wpływ domu, tego obawiano się rzadko. Dziś dzieje się przeciwnie; zaufanie do szkoły się zachwiało i to pomimo, że nauki są niewątpliwie lepiej w niej udzielane niż dawniej, a w gronie profesorów spotkać można ludzi szerszego poglądu i najlepszych chęci. Co jest zwłaszcza znamiennem, to że ufając mniej, żąda się od szkoły nierównie więcej; żąda się, aby jej program przestał być czysto intellektualnym, dydaktycznym, ażeby szkoła nie tylko udzielała wiadomości, ale i rozwijała charaktery i serca. Punkt ciężkości wychowania zaczyna się przesuwać na stronę szkoły. Skąd to poszło? Przedewszystkiem z tego, że szerokie masy młodzieży reprezentujące wszystkie stopnie kultury od najniższych do najwyższych, wypełniły szkołę po brzegi. Zaczęła więc przeważać co do ilości na ławach szkolnych młodzież poduczona, ale nie wychowana; pojawiało się między nią coraz więcej takich, którzy w atmosferę szkolną wnosili ferment pojęć i niesforność obyczajów grasujące już wśród wszystkich warstw, nawet chłopcy z intelligentniejszych rodzin objawiali coraz widoczniej rozluźnienie subordynacyi i obniżenie się moralnego poziomu; atmosfera szkolna zaczęła wydawać jakieś chorobliwe miazmy, wielu wracało z niej z przewróconemi głowami, a spaczonymi charakterami. Odczuła grożące niebezpieczeństwo rodzina, ale odczuła i szkoła; odbiło się to nie tylko na nastroju moralnym, ale i na postępach naukowych uczniów. Podniosły się na ten temat głośne narzekania, istne nawet jeremiady i to nie tylko u nas ale i za granicą. Już przed dwoma laty sprawozdania szkół w Niemczech wykazywały, że zaledwie 5% uczni przechodzi ze stopniem celującym, 20% z niedostatecznym, a reszta się przepycha, lub lepiej powiedziawszy, resztę przepychają dla honoru szkoły, często z litości. O zmniejszeniu frekwencyi niema co myśleć, raczej wypadałoby w dwójnasób powiększyć ilość szkół, ale ściślejsze rozsegregowanie młodzieży ułatwiłoby wprawdzie nauczycielom zadanie, nie przyczyniłoby się jeszcze do wyrobienia charakterów.

Czegóż się więc żąda obecnie od szkoły? Oto żeby szkoła nie oglądając się na rodzinę ujęła w swą rękę nie tylko wykształcenie

umysłowe, ale i wychowanie młodzieży, ażeby się stała organem wychowawczym w zasadniczem tego słowa znaczeniu, ażeby równy jeżeli nie większy nacisk położyła na wyrabianie charakterów i wszczepianie zasad, jak na wprowadzenie do głów wiadomości z różnych dziedzin nauki.

Zwrot ten, który się obecnie zarysowuje był już przewidzianym dawno przez niektóre bystrzej i głębiej patrzące umysły. Przedewszystkiem Pestalozzi był tym, który szkole, mianowicie ludowej, ten pedagogiczny wytknął był obowiązek. W Anglii, w Ameryce ukształtowanie się stosunków społecznych sprowadziło ten zwrot wcześniej, niż na kontynencie europejskim. We Francyi od r. 1890 zabrano się energicznie do uzupełnienia programu szkolnego pod względem wychowawczym, a uczyniono to po części w zamiarze przeciwważenia wpływom religijnym, w chęci zastąpienia wyrugowanej nauki religii nauką zasad etycznych; chciano dowieść, że przy kształtowaniu charakterów można się obejść bez podpory praw ewangelicznych i równe osiągnąć rezultaty. Francuzi lubią się chełpić z swych *Instructions officielles* wydanych dla szkół i utrzymują, że dotychczasowe wyniki nie zawiodły. Czy się nie mylą — blizka przyszłość okaże. Silniej jeszcze, a bez doktrynerskiej tendencyi zarysował się ten zwrot w programie szkół szwajcarskich. Ten zmieniony pogląd na zadanie szkoły wydał już bogatą literaturę, głównie w Ameryce i to zarówno między protestanckimi jak między katolickimi pisarzami; (z pośród tych ostatnich wyróżnia się znakomitemi swemi rozprawami o wychowaniu biskup Spalding). Ale i w Europie coraz częściej pojawiają się książki rozpatrujące zadanie szkoły, w sprawie kształtowania charakterów [1]. Jedną z takich jest Foerstera: *Schule und Character* wydana r. 1907 w Zurychu, obecnie przetłumaczona na język francuski przez prof. Pierre Bovet z Neufchatel. Wydanie francuskie zaopatrzone jest w ciekawą przedmowę słynnego pedagoga Juliusza Payot, do której powrócimy na końcu.

»Mógł jakiś wiek uczynić olbrzymie postępy w poznaniu prawdy, a jednak pod względem woli czynienia dobrze wykazywać znaczne cofanie się w tył«. Słowa te powiedziane przez Pestalozziego przed 100 laty nadają się do naszego wieku, jakby się do niego

[1] Jak daleko doprowadził pedag. kierunek szkoły w Anglii dowodzą, aczkolwiek negatywnie utyskiwania Charlotte M. Mason (wychowanie domowe), że w szkole angielskiej za mało się dziś uczy, a za wiele wychowuje!

zwracały. Wystarczy przejrzeć statystykę kryminalistyki dziecięcej, ażeby się o tem przekonać. Oczywiście nie może być mowy o przypisywaniu rzetelnemu postępowi naukowemu tych fatalnych następstw, atoli ludziom mogącym wywrzeć wpływ na szkoły jeden narzuca się obowiązek: »mianowicie ten, ażeby charakterowi dziecka poświęcić conajmniej tyle uwagi i troski co się poświęca rozwojowi jego władz umysłowych i fizycznych«. To mówi jeden z pedagogów niemieckich Truper, a Foerster dodaje: »Kultura umysłowa staje się pozytywnem niebezpieczeństwem tam, gdzie nie jest podporządkowaną kulturze sumień i ugruntowaniu woli. Któż nie spotkał w szkole dzieci bardzo rozbudzonych, które w charakterze nie mając dostatecznej przeciwwagi dla porywów intelligencyi, oddają tę wrodzoną bystrość na usługi zachcianek, próżności, często młodzieńczej swawoli. Któż nie spotkał, pyta, takich genialnych kłamców między studentami, którzy swą występną pomysłowością zdumiewają profesorów, a są w stanie popsuć całą klasę?«.

Czego nam brak dziś, to siły wewnętrznej, a siła ta tkwi jedynie w wyrobionych charakterach. Cierpią na tem wszystkie stosunki społeczne, cierpi i szkoła. »Nie dość zdają sobie ludzie z tego sprawę, że dla natur źle ugruntowanych i nieoświeconych szkoła dzisiejsza wielkie przedstawia niebezpieczeństwo. Nigdzie tak jak w szkole nie wprawiają się dzieci do kłamstwa i blagi, nigdzie się tak nie rozdmuchują fałszywe ambicye i wzgląd ludzki«. Koleżeństwo w dzisiejszych stosunkach staje się nieraz ogniskiem zepsucia dla słabszych i moralnego punktu oparcia pozbawionych natur. »Gdyby nauczyciel jaki, mówi Foerster, postawił klasie swej pytanie: jakie kłamstwa popełniają się w szkole i dla jakich przeważnie motywów, a wydobył z niej szczerą odpowiedź, to zdumiałby się nad mnogością kłamstw uchodzących w przekonaniu uczniów za n i e z b ę d n e!« Klęska kłamstwa po szkołach dała już nawet powód do obszernych ankiet w Berlinie i w Paryżu; przeprowadzono klasyfikacyę kłamstw i wykazano cztery główne rodzaje: Kłamstwa z wyobraźni, patologiczne, samolubne i heroiczne (z pobudek szlachetnych). Najliczniejsze bywają samolubne; o cóż tu chodzi? O uniknienie możliwej przykrości, bury lub kary. Któż nie widzi, że tu główną rolę gra ta potrzeba dogadzania sobie i postawienia swej przyjemności ponad pogwałcenie moralnego prawa? Winę tu ponoszą głównie rodzice przepuszczający dzieciom od najmłodszych lat tę skłonność dogadzania sobie w drobnych rzeczach. Szkoła dostając tak usposobionych uczniów, powinnaby reagować prze-

ciw tej słabości, z której się rodzi kłamstwo, wykazując piękność odwagi cywilnej, a podłość jaką jest uleganie swym samolubnym popędom.

Liczne są także kłamstwa wynikające ze względów towarzyskich; uczeń kłamie, ażeby się w oczach koleżków wywyższyć, ażeby więcej znaczyć między nimi. Niejeden, który się odznacza lekceważeniem profesora, zaprzeć się najświętszych uczuć, byleby zjednać sobie poklask towarzyszy szkolnych. »Na co się przyda, pyta Foerster, cała nasza kultura umysłowa i hołd oddawany nauce, jeżeli zaniedbując najważniejsze sprawy duszy dojdziemy do tego, że szczerość nie będzie już miała kursu w naszych szkołach, jeżeli regułą postępowania stanie się zręczne wywijanie się z każdej trudności nie przebierając w środkach?« i dodaje: »Jeżeli się nie wyrobi charakterów w jednostkach, u ogółu zaś uczniów nie wzbudzi poczucia odpowiedzialności, to pożycie szkolne sprowadzi ostateczny zanik zmysłu moralnego i kompletne obałamucenie sumień; przeciwnie, gdyby rozumne i troskliwe kierownictwo dopomogło dzieciom do ugruntowania w duszy silnych moralnych podstaw, to te niebezpieczeństwa wspólnego pożycia zamiast umniejszać indywidualności mogłyby je zahartować i pogłębić.

Spodziewano się jak wiadomo wiele po wzmocnieniu organizmów przez ćwiczenie w różnego rodzaju sportach, mających odwrócić krewkość natur w kierunku przynoszącym przyrost młodocianej siły; atoli przekonano się, że przesada w tym względzie prowadzi do wynoszenia siły fizycznej nad siłę duchową, wyradza w następstwie kult ciała. »Gdybym miał wybierać, mówi Payot, a to nie katolik, nawet nie chrześcijanin, wolałbym przesadę w duchowym kierunku szkół średniowiecznych, która nam dała S. Tomasza lub Montaigne'a, niż szkół dzisiejszych dających nam zwycięzców w wiosłowaniu lub w atletycznych popisach«. Dobre to, ale wtedy, gdy sile muskułów będzie odpowiadała siła etycznego ideału, jako głównej sprężyny czynów dodatnich. Już Eurypides mówił: Dużo jest w Atyce nicponiów, ale najgorsi są między atletami!«. A przecież i w Atyce równowaga między ciałem a duchem była normą przewodnią! Jednym ze środków wzmocnienia charakterów, mówi Foerster, to odwoływanie się do wrodzonego instynktu i chęci zamanifestowywania swej indywidualności; trzeba umieć dowieść, że jest to najbardziej rażącym brakiem indywidualności, a co za tem idzie energii i godności, zaprzeć się prawdy, dać się pociągnąć do złego, że jedynem posłuszeństwem, co upadla

to posłuszeństwo mające zawsze zwróconą uwagę na to, co drudzy mówią i czynią w celu naśladowania i stosowania się do nich.

Nie można jednak liczyć na to, że indywiduum, nawet takie, które ma wszczepione moralne zasady potrafi się oprzeć naciskowi masy. Dlatego potrzebaby umieć z o r g a n i z o w a ć o g ó ł t. j. masę, którą przedstawia np. dana klasa w ten sposób, aby ta organizacya dała jej poczucie zbiorowej odpowiedzialności i wpływ, jaki ona wywiera na jednostki skierować w kierunku dodatnim. *School-City* amerykańskie są pierwszą próbą tego rodzaju organizacyi uczniów. Organizuje się mianowicie szkołę na wzór demokratycznego stanu, w którym administracya i zarząd spoczywają w rękach wybieralnych z pomiędzy uczniów funkcyonaryuszy, najwyższą zaś kontrolę sprawuje nauczyciel. W tak zorganizowanej szkole zwykle czynniki ładu biorą górę nad czynnikami rozkładu; doświadczenie dowiodło, że ogół, w którym w ten sposób rozbudzono poczucie odpowiedzialności trafnie po większej części wybiera swych ludzi zaufania, że umie rozróżniać między charakterami słabszymi a silniejszymi. Ogół raz zyskany dla sprawy moralnego porządku, przestaje wywierać zgubny wpływ na jednostki, przez co jedna z głównych przeszkód w wyrabianiu się charakterów, odpada.

To, co się tyczy kłamstwa odnosi się również do innych zboczeń, np. do seksualnych i do alkoholicznych skłonności. Wszelkie wyjaśnienia teoretyczne, wszelkie przestrogi na nic się nie przydadzą, jeżeli rozumny pedagog nie przeprowadzi m e t o d y c z n e g o k s z t a ł c e n i a w o l i. Ze złem zakorzenionem trudno walczyć, powinno się nie dopuścić aby zapanowało nad duszami; dlatego w edukacyi najwięcej znaczą środki zapobiegawcze, prewencyjne, zdążające do wyrobienia odporności zasadniczej czyli takiej, która każdy rodzaj złego odtrąci od siebie. Takiej atoli odporności, bez pogłębienia uczucia religijnego osiągnąć niepodobna, bo tylko religia ma prawo stawiać moralne postulaty przemawiając w imię Boga. Są jednak sposoby mogące ułatwić profesorowi zadanie, a próbowano już różnych. System prewencyjny, jakiego używał Dom Bosco, ów wielki przyjaciel i kierownik młodzieży, polegał na zdobywaniu sobie zaufania uczniów, na doprowadzeniu ich w poufnych i przyjacielskich rozmowach do tego, że go czynili powiernikiem wszystkich swych trudności i walk wewnętrznych. W Ameryce znanym jest system Brownlee, wymyślony przez jedną nauczycielkę z Toledo, stan Ohio, polegający na wyrobieniu subordynacyi przez s k o n c e n t r o w a n i e m y ś l i. Dzień szkolny rozpo-

czyna się od tego, że wzywa się uczniów i uczennice do skierowania myśli przez pięć minut na jakiś ideał życiowy i na sposoby zbliżenia się do tego ideału; w ten sposób przechodzi się kolejno różne zagadnienia moralne jak posłuszeństwo, panowanie nad sobą, czystość honor, obowiązkowość i t. p. roztrząsa się je i oświeca przykładami. Słowo mające służyć za temat rozważania wypisuje jeden z uczniów na tablicy; nauczyciel mówi jaknajmniej, prostuje i porządkuje tylko zdania wyrażone przez dzieci. Ci, którzy ten pomysł stosowali twierdzą, że widzieli doraźne skutki tej metody. Budzi się w ten sposób interes dla kwestyi dotyczących sumienia, a rozbudzony z czasem dojrzewa; przychodzi młodzież do rozpoznania, że istnieje najwyższa powaga, której muszą się poddać zarówno nauczyciele, jak uczniowie i to ujmuje subordynacyi i jej wymogom to, coby mogła mieć przykrego i poniżającego.

Na czemże polega ten system? Oto na stosowaniu medytacyi do wychowania młodzieży szkolnej; potwierdza to głębokie psychologiczne poczucie św. Teresy mawiającej: »Rozmyślajcie codziennie przez kwadrans, a obiecuję wam niebo!«. Szkoła, jaką my znamy nie nie żąda od uczniów ażeby sobie zdawali sprawę z tego, co się dzieje w ich duszach; każe się im tylko powtarzać za profesorami różne abstrakcyjne poglądy, ale nie orjentuje się ich w tem, co ich bezpośrednio dotyczy. »Myśl ich nie staje się żywotną, a w życiu ich brak myśli!«. Zdaniem Foerstera byłoby o wiele korzystniej zastąpić suchy wykład propedeutyki filozoficznej w wyższych klasach roztrząsaniami na temat kwestyi etycznych i to tych, które się wiążą z życiem szkolnem w celu doprowadzenia młodzieńca do zastanowienia się nad sobą, w następstwie zaś do opanowania siebie samego; takie roztrząsania możnaby uzupełniać czytaniem odpowiednich autorów: Platona, Seneki, Pascal, nawet Schoppenhanera i t. d. Naszem zdaniem nie mało usługi oddałoby także zaznajomienie z rozmaitemi zagadnieniami społecznemi i wypływającymi z nich obowiązkami.

Subordynacya w szkole jest niezaprzeczenie podwaliną ładu szkolnego. Atoli stosowanie metod brutalnych w celu jej utrzymania jest już niemożliwe. Potrzeba niezależności tak się dziś rozpanoszyła, że walczyć z nią dawnymi sposobami niepodobna. Ale skoro nie można myśleć o pokonaniu tego uczucia, trzeba je umieć wyzyskać, potrzeba nauczyć dzieci ażeby się same ćwiczyły w subordynacyi. Dziś niestety przerzucono się w drugą ostateczność: wypuszczono całkiem

cugle z ręki; dawniejszy przymus zewnętrzny nie został należycie zastąpiony wewnętrznem zobowiązaniem.

Jak osiągnąć i wzmocnić subordynacyę, biorąc w rachubę dzisiejsze stosunki i prądy, oto do czego przechodzi następnie Foerster.

Nie jest to rzeczą przypadkową, powiada, że doktryna Kantowska o autonomii moralnej zeszła się z tryumfami idei demokratycznej w Europie; wolność, to autonomia. Wolność tam się dziś jedynie urzeczywistnia, gdzie subordynacya osiągnięta przedtem pod presyą czynników zewnętrznych jest akceptowaną przez to, co tkwi najgłębiej w wnętrzu ludzkiem. Umieć rządzić sobą w znaczeniu moralnem, to warunek autonomii w dziedzinie politycznej — osiąga się zaś przez odpowiednie wychowanie — tam gdzie ta kultura sumień nie została przeprowadzoną, wolność wyradza się nieuniknienie w swawolę. Szkoła demokratyczna musi się stać zatem szkołą autonomii. Otóż, podczas gdy duch demokratyczny objął i przesiąknął wszystkie dziedziny życia społecznego, szkoła obecna, szkoła nasza posługuje się dalej metodą i programami, które stoją w rażącej sprzeczności z tymi nowożytnymi kierunkami; młodzież odczuwa to wybornie, stąd coraz większy rozłam między starszem a młodszem pokoleniem. Jednym z powodów tej stagnacyi są braki w pedagogicznem ukwalifikowaniu nauczycieli; większość nie zdaje sobie dotąd sprawy z najżywotniejszych zagadnień światem poruszających; tkwią jeszcze ciągle w abstrakcyjnej kulturze minionej epoki. Szkoła amerykańska przeciwnie jest w ciągłej styczności z życiem i potrzebami społecznemi. Biorąc pod uwagę nie jakiegoś oderwanego człowieka, ale człowieka takim, jakim się przedstawia w rzeczywistości, przychodzi z konieczności do uznania, że najważniejszą sprawą to sprawa kształtowania charakterów; zagadnienia dotyczące subordynacyi szkolnej wysuwają się tem samem na pierwszy plan. U nas np. podnieca się jakiś ogólnikowy patryotyzm przez kult przeszłości; w Ameryce nadaje się mu przedewszystkiem aktualne znaczenie: czego nasz kraj, pytają się, potrzebuje obecnie najwięcej, jakiego rodzaju charakterów, dążności i t. p.? Harris, szef departamentu oświaty w Stanach Zjednoczonych pisze wyraźnie: Szkoła amerykańska spoczywa na tej zasadzie, że wychowanie moralne jest o wiele ważniejsze od umysłowego. Panowanie nad sobą, które jest podstawą naszych instytucyi politycznych, musi się stać również przez szkołę podstawą naszego życia indywidualnego.

Tak pojęte zadanie szkoły niema nic wspólnego z przesądami t. zw. indywidualistycznego kierunku, jaki wniósł Rousseau do peda-

gogii, który wydał tyle dziwactw, a w ostatnich czasach, w zapalnych głowach, jak Ellen Key, zrodził istny kult dziecka i jego indywidualności. Teorya ta, jak wszystkie skrajne doktryny, zapoznaje, że człowiek jest stekiem sprzeczności i że, gdy się usamowolni jedną część jego istoty, to zwykle druga popada w niewolę; błędem tej doktryny jest również, że nie umie rozeznać między indywidualnością a osobistością, między niezależnością zewnętrzną a wewnętrzną, między ja zmysłowem a ja duchowem. Prawdziwa osobistość człowieka, czego Ellen Key i jej zwolennicy nie rozumieją, tkwi w głębiach życia duchowego, o tyle ją tylko rozwijamy o ile dopomagamy duszy do opanowania zmysłów i namiętności. Jeżeli osobistość ma wziąć górę, to indywidualność przyrodzona musi się poddać. Kult wolnej indywidualności tak, jak się przedstawia np. u Ellen Key, prowadzi do rozkiełznania instynktów, a tem samem wolność prowadzi do niewoli.

»Dziwna rzecz, mówi Foerster, jak w naszej epoce ewolucyi, postępu, programów pedagogicznych mało pedagogów rozumie zasadniczą myśl edukacyi, t. j. że dziecko nie może zostać tem, czem jest, ale, że musi być stopniowo i metodycznie podnoszonem do czegoś, co jest wyższem, lepszem i silniejszem od niego! Do tego nie dojdzie się bez ścisłej subordynacyi. Szkoła nie może oczywiście uwzględniać partykularnych interesów i skłonności dzieci — to może czynić rodzina — szkoły zadaniem jest przeciwstawić wybrykom indywidualności wyższy porządek rzeczy w kwestyi pracy i kultury. Inaczej nie doprowadziłaby do wyzwolenia dziecka z siebie samego.

Doktrynerzy i doktrynerki indywidualizmu w pedagogii szydzą z posłuszeństwa i sądzą, że ono obniża charaktery. Gdyby tak było, zauważono słusznie, to od połowy XVIII wieku mielibyśmy olbrzymi przyrost charakterów; tymczasem dzieje się przeciwnie, podczas gdy pogodna subordynacya wieków średnich wydawała osobistości potężne charakterem i siłą woli. Payot w swej pracy *Education de la volonté*, wykazuje namacalnie, jak wzmaga się od wieku słabość woli i jakie stąd nawet dla zdrowia wynikają szkody.

W jakiż atoli sposób prawo moralne osiągnie to, ażeby mu się iudywiduum dobrowolnie poddało? Na to, mówi Foerster, odpowiedź daje Tertulian: *Anima naturaliter christiana;* usamowolnienie osobistości może się dokonać tylko na gruncie chrześcijańskim, na gruncie, jaki stworzyła ewangelia.

Przedewszystkiem ewangelia wprowadziła sojusz duszy z pracą,

postawiła nowe, uszlachetnione pojęcie pracy. Pojęcie to przesiąkło nowożytną kulturę, choć sobie ludzie często nie zdają sprawy, że je zawdzięczają chrześcijaństwu. Nietzsche, który mówi, że prawdziwy wychowawca powinien być wyswobodzicielem, nie rozumie, że powtarza aksyomat chrześcijański. Dzisiejsi wychowawcy oddaliwszy się od chrześcijaństwa i nie pojmując go, nie chcą oprzeć subordynacyi na religijnej podstawie i dlatego nie potrafią opanować przesadnej żądzy niezależności natur dzisiejszych. Takiem jest zdanie Foerstera, któremu sprzeciwia się w swej przedmowie Payot; sądzi, że »wierzenia moralne zbyt silnie są oparte na prawach samego rozumu, ażeby zachodziła potrzeba wiązania ich losu z losem religii tak różnych i nieraz tak wrogich sobie; z tego wyniknęłaby ta konsekwencya, że niepodobna dać moralnego wychowania dzieciom, których rodzice żadnej nie uznają wiary. Któż nauczy wyznawców różnych religii tolerancyi i wzajemnego szacunku?« Zdanie zbyt często powtarzane, ażeby p. Payot mógł je uważać za własne i decydujące w tej mierze. Któż nie wie, że ta zasada doprowadziła do tego, że z wszystkich podręczników francuskich słowo »Bóg« zostało starannie wykreślone, a zastąpione słowem »natura«, nawet tam, gdzie ten wyraz nic nie tłumaczył i nie wyjaśniał!

Kryzys moralna, jaką przebywa sprawa wychowania, odznacza się jeszcze jedną cechą, t. j. dziwną trudnością skupienia myśli i uwagi, a co za tem idzie i wytrwałości. Dzieci same się z tego oskarżają. Nauczyć dzieci porządnie pracować, i dla wyższych celów, jest może głównym środkiem wyrobienia wytrwałości. Suchym pedantyzmem nie osiągnie się tego; ale lekceważenie szczegółów byłoby jeszcze gorszem; trzeba przedewszystkiem dopomagać dzieciom do pochwycenia w każdym szczególe tego, co go wiąże z wyższym porządkiem rzeczy. Któryż np. chłopiec, a dziś któraż dziewczyna nie żywi pragnienia dojścia wyżej? Otóż punktualność np. można przedstawić jako wyższą formę tej chęci dojścia wyżej i dalej. W podobny sposób można zwalczać wiele niepotrzebnych nawyknień: niepowstrzymane napady śmiechu, wyrywanie się z mową bez racyi lub zaniedbywanie porządku i t. p.

Uduchowiona w ten sposób dyscyplina szkolna staje się nierównie giętszą, mniej brutalną, rządzi w niej duch nie litera. Nie chodzi o to, broń Boże! ażeby nauczyciel potrzebował się usprawiedliwiać z każdego wydanego rozkazu; dziecko, które czuje, że profesor powoduje się wyższymi względami, żądając czegoś od niego, zwykle się poddaje, o ile nie jest zepsutem. Nawet nauczyciel nie uczący religii,

ale przejęty tym wyższym porządkiem rzeczy może wywrzeć wielki wpływ moralny, jeżeli skorzysta z każdej sposobności, jakiej nie brak we wszystkich dziedzinach wiedzy, ażeby dostarczyć dzieciom konkretnych wskazówek moralnych. Dziś, jest to tem potrzebniejszem, że powszechnie żąda się od szkoły, aby zapobiegała wzrostowi kryminalistyki młodocianej. Profesor winien uważać sobie za obowiązek wprowadzać jak najwięcej światła w pojęcia moralne młodzieży. Wiele zbrodni wynika po prostu z braku rozeznania. Niedawno jeden z inspektorów berlińskich zapytywał dzieci pewnej szkoły coby uczynili, gdyby znaleźli na ulicy pięciomarkówkę; połowa odpowiedziała, żeby ją zatrzymali i już głośno cieszyli się myślą, ileby za taki znaleziony pieniądz zafundowali sobie przyjemności! Takich ankiet w sprawach moralnych wartoby więcej urządzać między dziećmi. »Podobnie jak przerywa się nieraz lekcye jakiemiś fizycznemi ćwiczeniami, możnaby nieraz z korzyścią przerwać tok nauczania wycieczką w dziedzinę kwestyi żywotnych. Tego rodzaju rozmowy profesora z uczniami bardzo ich do siebie zbliżają, ale trzeba, dodaje Foerster, ażeby umiały wykryć pierwiastek Boży przenikający życie codzienne i w nim się wcielający!

Ustaliwszy w ten sposób podstawy wychowania, poświęca autor cały jeden rozdział próbom reformy dyscypliny szkolnej uczynionym w Ameryce. Szkicuje więc próby systemu autonomicznego, zasadzającego się na stosowaniu zasady *self-gouvernement*, z których najlepiej udaną jest przytoczona już Szkoła-państwo — *School City*. Szwajcarya zaczęła w ostatnich czasach naśladować pod tym względem Amerykę; i w Toggenburg zorganizowano na ten sposób jedną szkołę kantonalną; wyniki mają być nader zachęcające do dalszego propagowania takich organizacyi szkolnych na zasadzie samorządu. Coś, co możemy bez skrupułów przejąć od Ameryki, pisze Foerster, to poszanowanie poczucia godności dziecka. Nic bardziej nie odstręcza dzieci jak lekceważenie, nic tak nie ujmuje, jak kiedy czują, że się je traktuje poważnie. Nauczyciel powinien dawać do zrozumienia swym uczniom, że wierzy w ich prawość i że nawet wtedy, gdy za popełniony błąd jest zmuszonym ukarać, czyni to z poszanowaniem ich godności, odwołując się do ich poczucia sprawiedliwości i honoru. Dlatego tak jest niebezpiecznem zarzucić z góry dziecku, że kłamie. Zwiedzając pewien angielski internat, zapytał Foerster jednego ucznia, czy gospodarz szkoły robi co noc lustracyę dortoarów dla przekonania się czy wszystko w porządku. »Nie, panie! nasz kierownik powiada, że tak samo jakby

nie ukradł funta szterlinga, nie wykonywałby czynności szpiega!« Odpowiedź dumna! — trudno powiedzieć, czyby była usprawiedliwioną w ustach polskiego lub niemieckiego internisty. Foerster nawet nie radzi początkowym nauczycielom, ażeby się na tego rodzaju eksperymenta puszczali. Rozdział ostatni książki zawiera właśnie nadzwyczaj cenne i praktyczne wskazówki dla początkujących pedagogów, z którymi niejeden u nas rozpoczynający swój nauczycielski zawód mógłby się z korzyścią zaznajomić.

A konkluzya książki jaka?

Oto w pierwszym rzędzie szkoła musi i powinna wziąć w rękę sprawę wyrabiania charakterów wobec tego, że tyle jest dzieci, których poza szkołą nikt nie urabia i nie wychowuje; żywi zaś nadzieję, że podjęcie tego obowiązku przyczyni się z czasem do rozwiązania konfliktu rozgrywającego się obecnie między szkołą świecką a Kościołem; przypuszcza, że nauczyciele świeccy biorący do serca swe obowiązki, przyjdą w końcu do uznania, że bez podniety wielkich natchnień moralnych, szkoła, jej organizacya, jej wyniki tworzą wadliwy mechanizm, który musi utknąć z braku ożywczej siły. Przekonają się, że nie może istnieć kultura moralna bez religijnej podstawy; sprowadzi to nowy sojusz szkoły z religią, który może na silniejszych oprze się podstawach niż dawny. »Podobnie jak troska o dzieci zbliża nieraz rodziców, którzy się byli rozeszli, podobnie głębsza znajomość zagadnień moralnego wychowania zbliży kiedyś dla wspólnej pracy, choć w odmiennych warunkach dwie potęgi dziś tak sobie obce, szkołę świecką i Kościół«.

Cokolwiekbyśmy o tych optymistycznych myśleli nadziejach, uwagi te mogłyby być przestrogą dla tych narodów, u których ten rozbrat dotąd nie nastąpił, ale gdzie nurtująca propaganda obcych nam pojęć prze do przeprowadzenia eksperymentu, który nigdzie w Europie dodatniego nie wydał wyniku a do podniecenia antagonizmów znacznie się przyczynił? Z tych względów jak i dla wielu innych wartoby książkę p. Foerstera przyswoić naszej literaturze. W tłumaczeniu francuskiem przeprowadzono pewne skrócenia, które nie ująwszy jej wartości, uczyniły ją jaśniejszą i przystępniejszą w czytaniu.

*Marya Straszewska.*

# SPRAWOZDANIE Z RUCHU

## religijnego, naukowego i społecznego.

---

### Sprawy Kościoła.

Wichrzenia masońskie na Wschodzie

Jest to niemałym, w niektórych jednak sferach dość często spotykanym błędem, przypisywać wszystko złe w świecie wichrzeniu wolnomularzy; większym jeszcze błędem wpaść w drugą konieczność i widzieć w organizacyi masońskiej niewinne, jedynie celom humanitarnym służące i też cele popierające stowarzyszenie. Niezwykle ciekawe przyczynki, wykazujące, jakie są ostateczne cele wolnomularstwa i jak ono swoje zadanie pojmuje, przynoszą źródła masońskie z ostatnich miesięcy.

Świeżo drukowany urzędowy organ włoskich lóż *Rivista massonica* z r. 1909 podaje okrężne pismo wielkiego mistrza Hektora Ferrari'ego z 27 grudnia 1908 r. Z dokumentu tego wynika, że tak rewolucya turecka, jak i trudności, z jakiemi rząd austryacki w kwestyi anneksyi Bośnii i Hercegowiny się spotykał, wywołane zostały w wielkiej części przez lożę.

»Dzięki odwadze i wytrwaniu naszych braci, skupionych w lożach otwartych z tamtej strony naszego państwa,... udało się nam przyczynić w pewnej mierze do chwalebnej, pokojowej rewolucyi, która przekształciła państwo otomańskie a dając ludom Wschodu dobrodziejstwo wolności, dała im równocześnie nie-

zbędne organy, by na drodze obywatelskiego postępu kroczyły ciągle naprzód... Dla tego też, gdy przez nieprzewidziany akt gwałtu niektóre narody Bałkanu oderwane zostały od swego naturalnego centrum i siłą wcielone do cesarstwa (Austro-Węgry), które i dziś wielkie, patryotycznie usposobione, włoskie okręgi nieprawnie posiada, rozpoczęliśmy, nim jeszcze głos bólu i oburzenia z powodu pogwałconego prawa narodowościowego w naszych lożach się podniósł, spokojną ale przeto niemniej ruchliwą i skuteczną agitacyę przeciwko bezprawiu«... (str. 76—80).

Ta sama *Rivista*, podając na str. 394 sprawozdanie z posiedzenia Rady loży, opowiada, że wielki mistrz Ferrari wygłosił wówczas referat, wykazujący »udział naszych braci w Macedonii i nad brzegami Bosforu w przygotowaniu rewolucyi; udzielił objaśnień, jak i jakiemi środkami Wielki Oryent w dokonywaniu tego dzieła ich bronił i wspomagał; i dodał, że loże w Turcyi prowadzą pracę celowo i skutecznie dalej«.

Francuski zaś organ wolnomularski *Acacia* z roku 1908, str. 136 przytacza ciekawe wyznania młodotureckiego wolnomularza, Refika Beya. »Zachęcała nas poparcie wolnomularzy, przedewszystkiem włoskich. We włoskich lożach w Saloniki *Mazedonia Risorta* i *Labor et lux* odbywaliśmy nasze zebrania. Rekrutujemy się przeważnie z wolnomularzy. W Konstantynopolu nabrano z powodu naszego otaczania się tajemniczością pewnego podejrzenia i starano się, choć bezskutecznie, o ułatwienie urzędnikom policyi przystępu do lóż. Loże zwróciły się do włoskiego Wielkiego Oryentu, który nam przyrzekł zmobilizować w naszej sprawie nawet włoską ambasadę, jeżeli tego zajdzie potrzeba«.

Niemniej pilnie pracował w Turcyi Wielki Oryent francuski. Strzeże on usilnie tajemnicy i dlatego trudno wejść w posiadanie jego urzędowych komunikatów. Udało się to jednak pismu *Franc-Maconnerie demasquée*, które w zeszycie z 25 marca bieżącego roku wykazało, iż »na uroczystem zebraniu rocznego konwentu Wielkiego Wschodu francuskiego z dnia 21 września 1908 r. stwierdzono urzędownie, że młodoturecki przewrót był dziełem przez wolnomularstwo dokonanem«. Na tem też zebraniu uchwalono jednogłośnie przesłać lożom tureckim braterskie

pozdrowienie i wyrazy sympatyi i powinszować im dokonania wielkiego dzieła wolnościowego. W uzasadnieniu tej uchwały przytoczył przedstawiciel loży *Veritas* w Saloniki, Dupouy, kilka zajmujących szczegółów: »Jeżeli Turcya wita dzisiaj jutrzenkę wolności, zawdzięcza to Młodoturkom. Nie wolno nam jednak o tem zapominać, że Młodoturcy są w swojej większości wolnomularzami. W naszych lożach przyswoili sobie te nauki i tego wolnomularskiego rewolucyjnego ducha, który ich uzdolnił do rozpoczęcia w tak różne wypadki bogatego dzieła«.

Na posiedzeniu znowu paryskiej loży *Les admirateurs de l'Univers* z 3 listopada zeszłego roku wtajemniczył Marc de Tolédo, jeden z założycieli komitetu młodotureckiego, członków loży w genezę tureckiej rewolucyi. Założył on z przyjaciółmi swymi i z wydalonymi z kraju Turkami młodoturecki komitet. »Z braku materyalnych środków był początek bardzo trudny. Tymczasem jednak poczęto wydawać specyalny organ w Tureckim Machiavellu, który rozszerzano potajemnie wśród Młodoturków otomańskiego państwa. Pięć lat prowadzono wytrwale tę pracę, aż pewnego dnia poświęcił się dla wspólnej sprawy jeden z członków komitetu, br. Nasim. Zaopatrzywszy się w różne przebrania, pojechał z Paryża do Saloniki i innych miast Turcyi, aby werbować zwolenników dla komitetu *Union et Progrès*. Dzięki przebraniom i poparciu doznanemu ze strony urzędników konsularnych, zyskał Nasim dla sprawy w krótkim czasie licznych zwolenników wśród ludności cywilnej. Zwrócił wreszcie swoją uwagę na armię i w ciągu trzech lat udało mu się pozyskać dla swych celów oficerów trzeciego korpusu. Wówczas postawiono sułtanowi znane ultimatum, któremu z obawy przed trzecim korpusem, gotowym do wymarszu do Konstantynopola, ostatecznie się poddał«.

Żeby ten wpływ wolnomularstwa na bieg rzeczy na Wschodzie zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić, że cały Wschód jest zalany lożami, zależnemi prawie bez wyjątku od zagranicznych Wielkich Oryentów. I tak np. według »Kalendarza wolnomularstwa 1909. Berno«, znajdują się w Turcyi następujące loże:

W Saloniki: *Labor et Lux* i *Mazedonia Risorta*, zależne od W. Oryentu włoskiego; *Veritas* od W. Oryentu francu-

skiego; *L'Avenir de l'Orient* od Wielkiej loży francuskiej; *Philippos* od W. Oryentu greckiego; *Steaua Salonicului* od W. Oryentu rumuńskiego; *Perseverancia* od W. Oryentu hiszpańskiego.

W Konstantynopolu: *Pera Oriental* zależna od W. Oryentu angielskiego; *Il Risveglio d'Oriente* od W. Oryentu włoskiego; *Die Leuchte am Goldenen Horn* od Wielkiej loży hamburskiej.

W Xanthi: *Acacia* zależna od W. Oryentu włoskiego.

Rumunia. W Bukareszcie: *Steaua Dunarei, Memphis, Propaganda* zależne od wielkiej loży rumuńskiej; *Zur Brüderlichkeit* zależne od wielkiej loży z Bayreuthu; *Romania* od Wielkiego Oryentu włoskiego. Miasta: Dorohoiu, Braila, Focsani i Ploesti posiadają również swoje loże.

Serbia. W Belgradzie: *Probatim* zależna od wielkiej loży węgierskiej.

W spisie lóż tureckich opuszczono, rozumie się, ze względów ostrożności te loże, które powstały w związku z rewolucyą i dla jej wywołania. Jeżeli się jednak uwzględni, że W. Oryent francuski i wogóle wolnomularstwo pracuje także w Rosyi i na Węgrzech, wyjaśni się niejedno zdarzenie, jakie w ostatnich latach w tych dwóch krajach miało miejsce.

W ocenie wpływu wolnomularzy na rewolucyę młodoturecką nie wolno pominąć milczeniem jeszcze jednego szczegółu, a mianowicie wielkiego udziału w nim Żydów. Siedzibą komitetu młodoturreckiego jest Saloniki, miasto liczące 80 tysięcy samych Żydów; sprężyną znowu całego ruchu była loża *Mazedonia Risorta,* na której czele stoi Żyd, Carasso.

»Najwybitniejszym członkiem komitetu młodoturreckiego, pisze *Berliner Tageblatt,* powiedziałbym nawet jego duchową głową, jest w każdym razie Emanuel Carasso. Adwokat, urodzony w Saloniki, mężczyzna w wieku 55 lat, równocześnie, co w całym ruchu największą odegrało rolę, mistrz loży wolnomularskiej *(Meister vom Stuhle)* w Saloniki. Ten wysoce intelligentny i energiczny człowiek potrafił nie tylko rozbudzić idee wolnościowe wśród 400 – 500 członków salonickich lóż, lecz również przykuć do siebie i do lóż z pośród oficerów i urzędników ludzi zdolnych do prak-

tycznego przeprowadzenia swoich zamiarów; z nich utworzył jądro rozszerzonej po całem państwie gwardyi wolności. Z jego loży biegły nici do Yildiz-Kiosku, do biur Wysokiej Porty, do gabinetów Hilmi'ego paszy i generalnego sztabu«.

Ten szczegół także tłumaczy, gdzie np. Młodoturcy znaleźli środki pieniężne potrzebne do ostatniej kampanii i co im dało potężną pomoc międzynarodowej żydowskiej prasy.

Mniej przyjemnem dla zagranicznej masoneryi, przedewszystkiem francuskiej i włoskiej, jest powstanie niezależnego Wielkiego Oryentu Otomańskiego. Wolnomularska *Bauhütte* z 1 maja b. r. donosi, że Wielki Mistrz Orphi Pasza uwiadomił w piśmie okrężnem zagraniczne loże o powstaniu Wielkiego Oryentu Otomańskiego, i prosił o jego uznanie i poparcie. Orphi Pasza podnosi z naciskiem wielkie zasługi Oryentu włoskiego w rewolucyjnym ruchu, jednak to *quasi* emancypowanie się odczuto, tak we Włoszech jak i we Francyi, jako pewną niewdzięczność, tem dziwniejszą, że do ostatniej chwili zwracali się Młodoturcy do W. Oryentu francuskiego z prośbą o otwieranie nowych lóż w Turcyi.

Żeby więc utratę przynajmniej częściową swej hegemonii powetować, wysłał W. Oryent włoski dwóch delegatów do Persyi, aby tamże nad rozwojem masonii pracowali. »W tych dniach, pisze *L'Avvenire d'Italia*, wyjechało z Rzymu do Persyi dwóch *Venerable*, jeden deputowany, drugi bankier, obaj dobrze znani z powodu serdecznych stosunków utrzymywanych z pałacem Giustiniani... Panom tym polecono otworzyć dwie loże w Teheranie i w Tebris, aby tym sposobem wpływać na ruch rewolucyjny w Persyi. Włoscy wolnomularze, dotknięci w swej dumie rezultatami, jakie w młodotureckim ruchu ich bracia francuscy osiągnęli, skarżali się na kongresie wielkanocnym, że gdzie chodzi o wielkie rzeczy, spycha się ich na drugi plan... Nie wiemy, czy misya swój cel osiągnie; zwracam tylko na to uwagę, że loża, jak w Turcyi tak i w Persyi, rewolucyę wspomaga«.

Mimo tak oczywistych dowodów rewolucyjnej działalności wolnomularskiej, która ostatecznie wszędzie jest tą samą i do zupełnego przewrotu zdąża, rządy i państwa, upatrując niebezpie-

czeństwo w katolicyzmie i wierze, zwalczają je wszystkiemi siłami, a osłaniają jak np. w sprawie Marixa we Francyi albo przez szpary patrzą i nawet wspomagają destrukcyjną działalność masoneryi. Chciałoby się powiedzieć, gdyby to coś pomogło: *et nunc reges intelligite.*

Z naszych spraw

Nie zupełnie pocieszający widok przedstawiają nasze sprawy religijne.

W łonie Kościoła częściowy rozdźwięk, spowodowany w Królestwie przez szerzący się coraz więcej, od rządu protegowany, przez nas w swojem uiebezpieczeństwie niekoniecznie doceniany i nie zawsze roztropnie zwalczany maryawityzm; na Śląsku i w Galicyi kiełkujący zarodki spirytyzmu, anabaptyzmu i innych jeszcze sekt, wraz z rodzącem się i w szerszych sferach wyzwoleniem z pod wpływów Chrystusowego Kościoła, coś w rodzaju »niezależnego Kościoła« Ameryki — to nie napełnia wielką otuchą.

Położenie znów społeczeństwa też do różowych nadziei nie zachęca. Część prasa, w imię postępu i wolności, szerzącej zgubne i nizkie poglądy i zapatrywania, gangrenuje szeregi młodzieży, do której przedewszystkiem się zwraca i przez którą głównie jest czytana a niesie zło jeszcze dalej. Przed kilku lub kilkunastu laty nie były w tej liczbie możliwe w Polsce takie utwory literackie, jakie nas dzisiaj zalewają, i nie byłyby też możliwymi takie sądy, jak petersburski i warszawski nad Ewą Pobratyńską, które usprawiedliwiały i to publicznie i wobec nieletnich słuchaczy i słuchaczek prostytucyę i bandytyzm, uniewinniły zwykłą zbrodniarkę i prostytutkę dlatego, że »jest typową fikcyjną reprezentantką realnego nihilizmu duchowego, który znacznej części naszego społeczeństwa, specyalnie rozwydrzonej i wykolejonej młodzieży, dogadza«, i wykazały, że »lubowanie się w analizowaniu i rozgrzeszaniu okazów takich, jak Ewa, jest objawem społecznego, zbiorowego, patologicznego rozstroju, jest społeczną chorobą« *(Słowo)*.

Na domiar złego prześladowanie polityczne i religijne pod dwoma zaborami, którym wielka część w powyższy sposób obrabianego społeczeństwa nie jest nawet w stanie stawić skutecznej

zapory. Nie szuka pomocy w niebie, nie znajduje jej w sobie, nie spotyka się też z nią u innych.

Takim większym zagrażającym ciosem jest, oprócz osławionych ustaw niemieckich o wywłaszczeniu i o języku, powoli przygotowywane wyodrębnienie Chełmszczyzny, ten, jak słowiańskie gazety pisały, »czwarty rozbiór Polski«. Chodzi tu z pewnością o ucisk narodowy, o nałożenie polskiej części ludności obcego języka i o rusyfikacyę, lecz chodzi także i o prześladowanie Kościoła, bo katolicy chełmscy, to przecież »oporni unici«, których tylko teror polski przy Kościele rzymskim trzyma, a którzy, odcięci od swego naturalnego centrum, łatwiej do prawosławia wrócą. Tak przynajmniej marzy i takie też zamiary żywi prawosławne duchowieństwo, wspomagane w tem przez takich »wybitnych polskich myślicieli« *(Nowoje Wremia)*, jak Niemojewski i Świętochowski.

I rzeczywiście nie można było znaleźć lepszej sposobności i lepszego czasu do przeprowadzenia podobnej myśli. I jeżeli się jeszcze ktoś łudził, że dadzą się ułożyć nasze stosunki z Żydami lub Ukraińcami, mógł się teraz przekonać o swoich iluzyach i optymizmie.

Żydzi ślą do inicyatora projektu wyodrębnienia, prawosławnego biskupa Eulogiusza, dziękczynną deputacyę, która zaznacza, że »dzień, w którym będzie ogłoszone prawo o gubernii chełmskiej, będzie dniem radosnym«. Słusznie też pisze *Ziemia lubelska:* »Fakt ten dowodnie wskazuje, iż Żydzi w masie swej chętnie i dziękczynnie przyłączą się i staną po stronie krzywdzących, jako wierni sprzymierzeńcy ich, o ile za to otrzymają jakąkolwiek nagrodę«. Pisma zaś ukraińskie wtórują reakcyjnej prasie rosyjskiej, chociaż ta prasa, jak znowu zaznacza *Wiara*, odmawia »językowi ukraińskiemu już nie tylko równouprawnienia, ale wprost prawa bytu«. Tak zaślepia z jednej strony narodowy egoizm, z drugiej narodowa nienawiść.

Znalazła się jednak w ostatnich tygodniach jedna lub druga jaśniejsza chwila. Uroczystość Królowej Korony Polski, po której można istotnie dużo się spodziewać, o ile, rozumie się, wszystko nie skończy się na artykułach dziennikarskich, odczytach i ze-

wnętrznych akcesoryach, przeszła już z dyecezyi lwowskiej na dyecezyę przemyską a lwowskiemu *Dniu* dała w n-rze z 7 maja n. st. gorąco upragnioną sposobność do namiętnych ataków, wymierzonych przeciwko Rzymowi, biskupom polskim i całemu narodowi polskiemu, tak namiętnych i tak pełnych jadu, że czytelnik zdumiony pyta się, jak to jest wogóle możliwe, żeby człowiek intelligentny do tego stopnia godność swą ludzką mógł poniżyć i błotem ją obryzgać.

Drugą jasną chwilą, przynajmniej częściowo nas także dotyczącą, to kanonizacya św. Klemensa Hofbauera. Dwadzieścia lat spędził on w Warszawie na zbożnej pracy, a jak ta praca była zbawienną i skuteczną, dowód najlepszy w tem, że po dziesięciu latach pobytu przy kościele św. Benona liczba przyjmowanych tamże Komunii św. doszła do 50.000 a po drugich dziesięciu w r. 1807 do 104.000 rocznie. Polska nie odwdzięczyła się Świętemu, ale błąd swój teraz naprawiła. Minister Łubieński wydał rozporządzenie wywiezienia św. Klemensa z Warszawy; prawnuk ministra, ks. Łubieński, głosił u grobu Świętego w Wiedniu jego chwałę a liczna pielgrzymka polska złożyła Świętemu, zapoznanemu u nas za życia, hołd po śmierci, zmazała, choć późno, błąd i objawiła swoją wdzięczność za zbawienną działalność zakonnych braci tego »Apostoła Północy« i »Apostoła Warszawy«, jak św. Klemensa jego biografowie nazywają, wydającą obfite owoce i na polskiej ziemi.

Słowa Ojca św.: »Papież nosi w swem sercu wszystkich wiernych synów, ale w szczególności i bardziej od innych nosi w niem uciśnionych i prześladowanych« — wypowiedziane do polskiej pielgrzymki, dodają otuchy i siły i wskazują znowu, gdzie dla nas współczucie, pomoc i ratunek.

I o dwóch jeszcze pocieszających objawach wspomnieć trzeba. Jeden, to zdrowa reakcya przeciwko zgniliznie ze strony pewnego odłamu polskiej młodzieży, objawiająca się w warszawskiem czasopiśmie młodzieży *Prąd*, nie młodzieży, jak pisze *Wiara*, »od strajków i wielkiej polityki i mentorowania własnym ojcom; nie młodzieży od kabaretów, dekadentyzmu i rynsztoka, ale zdrowej,

szlachetnej, w Mickiewicza i Żana, w Filaretów i tęczę Promienistych zapatrzonej — n a s z e j młodzieży«.

Drugi, to reakcya polskiego społeczeństwa w Poznańskiem i walka wytoczona pornografii w literaturze i sztuce a oparta na tej podstawie, że »naród nasz w dwójnasób gorliwie winien czuwać nad tem, by nie uronić ni jednego z młodzieży, bo to skarb nasz i podstawa dla naszej przyszłości. Od tego obowiązku nie może się uchylić i kupiectwo nasze«.

W społeczeństwie, które, jak nasze, aż za często potrafi pogodzić osobiste praktykowanie zasad religii z pogańskiemi zapatrywaniami w życiu i z pobłażliwym uśmiechem wobec błędów i grzechów młodości, i to coś znaczy.

*Ks. Wiktor Wiecki.*

## W sprawie dróg wodnych.

A propos ostatnich wylewów. — Tragikomedya kanałowa i zabezpieczenie Krakowa od powodzi.

Klęska powodzi, która w pierwszej połowie maja b. r. nawiedziła całą niemal zachodnią Galicyę, nasuwa znowu smutne refleksye na temat naszego gospodarstwa wodnego. Kwestya regulacyi rzek wywołuje chwilami żywszą polemikę w dziennikach, w której różnego rodzaju fachowcy uważają się za powołanych do przeważnie ujemnego krytykowania podjętej akcyi około regulacyi rzek i stosowanego przy tem systemu budowy. Do wiecznych malkontentów należą nasi ziemianie, o ile przy prowadzeniu trasy regulacyjnej lub przekopów nie uwzględniono ich życzeń lub cennych rad; przyczyn każdorazowej powodzi szukają w wadliwym systemie budowy, wyprostowanym lub naodwrót krętym biegu rzeki, za małym lub za wielkim rozstawie tam i t. d., zapominając, że jedynie obwałowanie ochrania od wylewów; z drugiej strony obwałowanie nie ochroni brzegów rzeki nieuregulowanej od obrywania i rzeka nieuregulowana po przejściu każdego wezbrania dziczeje, przerzucając ustawicznie nurt. Ale może i na to znajdzie radę jaki fachowiec, proponując w ulubionem czasopiśmie rolniczem wzdłuż całej długości każdej rzeki wykupna pasa o szerokości

kilku kilometrów — wtedy rzeka znalazłaby wdzięczne pole popisu, bez niszczenia prywatnej własności.

Trudno wymagać, aby inżynier projektujący regulacyę całego systemu rzek liczyć się musiał z uwagami i kierować zapatrywaniami każdego właściciela nadbrzeżnych gruntów i który z pewnością nie pozwoliłby nikomu wtrącać się do swych płodozmianów i do swej często nieumiejętnej gospodarki rolnej.

Być może i po obecnej powodzi czytywalibyśmy w dziennikach często refleksye na temat regulacyi naszych rzek (*Czas* nr. 106 z 11 maja 1909, »O przyczynach powodzi«), gdyby nie równoczesne niefortunne niemal załatwienie kanału Dunaj-Odra-Wisła. Cała ta akcya kanałowa robi wrażenie nędznej komedyi i zakrawa na kpiny, a zapewnienia każdorazowego ministra handlu o jego przychylności dla sprawy, z równoczesnemi waryacyami bez końca na temat konieczności jeszcze więcej szczegółowych studyów co do rentowności, sfinansowania, możliwych zmian projektu są tylko t. zw. austryackiem gadaniem.

Nie można zaprzeczyć, że wykonanie tak kosztownej budowy wymaga dokładnego przygotowania, a zaangażowanie tak wielkich kapitałów, względnie więzienie ich przez wieloletni okres budowy wyczerpuje siły finansowe państwa, tem więcej w obecnej porze, kiedy względy natury politycznej dyktują pewną ostrożność w budżetowaniu. Dlatego też zwleka się ustawicznie ostateczne załatwienie tej sprawy i przy rekonstrukcyi każdego gabinetu austryackiego wyłania się kwestya kanałowa, jako zjawisko zupełnie nowe, zapewniając sobie, jak trafnie zauważył jeden z dzienników krakowskich w artykule wstępnym p. t. »Skandal kanałowy«, wieczną nieśmiertelność i wieczną młodość (*Nowa Reforma* z 13 maja 1909). A ci nowi ministrowie umieją tak sprytnie przewlekać całą sprawę! Zbytecznem byłoby powtarzać cały przebieg ostatniej dyskusyi kanałowej w Radzie państwa, znany dobrze interesującym się tem czytelnikom z gazet, przypominamy tylko oświadczenie ministra handlu Weisskirchnera na posiedzeniu parlamentu dnia 13 maja b. r., że ustawą o budowie dróg wodnych nałożono na rząd obowiązek budowy kanałów i że dotyczące projekty i preliminarze zostały już zbadane. Rząd jest również w myśl tej ustawy obowiązany (deklaracya Weisskirchnera) na wypadek gdyby uchwalone kredyty nie wystarczyły, zażądać zawczasu od parlamentu odpowiednich dalszych środków. Ponieważ koszta projektowanej budowy kanału Dunaj-Odra dochodzą do 360,000.000 koron, rząd przedewszystkiem przedłoży parlamentowi sprawozdanie o stanie robót i o potrzebnych wy-

datkach, poczem będzie skłonny przedłożyć parlamentowi projekt ustawy, względnie pozostawić inicyatywie parlamentu zabezpieczenie środków na wykonanie dróg wodnych.

Przeciw temu wystąpił poseł Battaglia podnosząc z naciskiem, że ustawą z roku 1901 uchwalono już odpowiednie kredyty, z których pozostało jeszcze 100 milionów na rozpoczęcie budowy kanału Wiedeń-Kraków. Dopiero po wyczerpaniu tych środków byłoby wskazanem postarać się o konstytucyjne pokrycie dalszych przewidywanych kosztów, ale przychodzić już teraz do Rady państwa z podobnem żądaniem wygląda na próbowanie czy też parlament przy tej sposobności nie obali całego projektu budowy dróg wodnych. Dopokąd ustawa z r. 1901 nie została zniesioną ani zmienioną, parlament zobowiązany jest jedynie żądać, względnie wymusić jak najrychlejsze jej wykonanie. Mowę swą zakończył poseł Bataglia wniesieniem znanej rezolucyi z wezwaniem do rządu o natychmiastowe rozpoczęcie budowy kanału Wiedeń-Kraków.

Niestety rezolucyę Battagli odrzucono, przyjmując rezolucyę posła Mastalki.

Rezolucya ta brzmi:

»Wzywa się rząd, aby wraz ze sprawozdaniem, które przygotowuje w sprawie kałałów, przedłożył projekt ustawy, w którym domaga się środków na zupełne wybudowanie dróg wodnych, a mianowicie Mołdawy, Łaby i kanału Dunaj-Odra-Wisła z Wiednia aż do Krakowa. Przez zapewnienie pokrycia całości kosztów potrzebnych na budowę tych dróg wodnych, rozpoczętę już roboty nad Łabą i Mołdawą powinny być dalej energicznie prowadzone, jako też natychmiast ma być rozpoczęta budowa Dunaj-Odra-Wisła«.

Zawdzięczyć to należy braciom Czechom; rezolucya ta zapewnia znaczne korzyści ich drogom wodnym, będącym prawie na ukończeniu.

* * *

Dziwnym zbiegiem okoliczności równocześnie niemal przychodzą z całego kraju wiadomości o groźnych powodziach: Wisła pod Krakowem zagraża wylewem, rozgoryczenie ogólne przechodzi w oburzenie, że nawet tak ważna sprawa ochrony dwóch miast, objektu dochodzącego miliardowej wartości, jakby zaczarowana nie rusza z miejsca, mimo upływu czterech lat, mimo tylokrotnych deputacyi, mimo tylokrotnych przyrzeczeń ustnych i pisemnych ze strony władz centralnych, a wezbrane fale Wisły zalewają jak dawniej niżej położone części

miasta niszcząc mienie mieszkańców. To też zupełnie zrozumiałem jest to ogólne oburzenie na władze centralne, które lekceważą sobie widocznie najżywotniejsze interesy miasta i jego mieszkańców. Bo przecież roboty te potrwać muszą kilka lat i w ciągu tego czasu może być miasto jeszcze niejednokrotnie zalane, a już samo przekonanie, że rząd kieruje się dobrą wolą, jak również samo rozpoczęcie robót przyczyni się znacznie do uspokojenia nawet gorętszych osobników.

Sprawa ochrony Krakowa przed powodzią, z całym szeregiem projektowanych budowli regulacyjnych i kanałowych zasługuje na dokładniejsze przedstawienie.

* * *

Pamiętna powódź w lipcu 1903 wskazała dobitnie konieczną potrzebę skutecznej ochrony miasta Krakowa, Podgórza i gmin sąsiednich przed ponownym wylewem Wisły. Obecnie, spodziewać się należy, że już w ciągu bieżącego roku przystąpi rząd do rozpoczęcia robót, realizując w ten sposób sprawę zwlekaną niekoniecznie lekkomyślnie w sposób wprost karygodny.

Zabezpieczeniem Krakowa przed powodziami zajmowano się od szeregu lat, zwłaszcza po każdym większym wylewie. Zauważono, że przyczyną rok rocznie powtarzających się wylewów, zatapiających gęsto wzdłuż Rudawy zabudowane dzielnice Krakowa i Półwsia Zwierzynieckiego, park Jordana i plac ćwiczeń wojskowych jest niekorzystny wpływ wysokich wód Wisły na obecny stan ujścia Rudawy, wskutek czego wody wiślane cofają się wstecz w koryto Rudawy, która występując z brzegów, zalewa niżej położone obszary. Znaczną przeszkodę stanowi również silnie zwężone zakole pod Wawelem, które wywołuje spiętrzenie wstrzymujące swobodny odpływ wysokich wód. To też już przed 40 laty proponował rząd usunięcie Wisły od Wawelu, projektując przeprowadzenie koryta przekopem przez Dębniki. Jednak wykonaniu tego przekopu sprzeciwiła się gmina miasta Krakowa ze względów estetycznych. Podobnie i po powodzi w r. 1884 przystąpiono do studyów nad ochroną Krakowa przed powodzią, projektu rządowego nie przyjęto jednak przychylnie, głównie z uwagi na decydujące w tym projekcie względy dorywczej taniości i sprawa upadła przechodząc powoli w zapomnienie. Dopiero po katastrofie w r. 1903 zwrócono uwagę, że należy koniecznie przystąpić do stanowczego załatwienia tej kwestyi, tem więcej, że domagał się tego interes, z je-

dnej strony gmin nadbrzeżnych i kraju, z drugiej liczyć się wypadało z oburzeniem uświadamianych coraz więcej mieszkańców.

Dzięki temu, że w tym czasie zajęto się żywiej sprawą dróg wodnych, przyspieszono opracowanie systematycznego projektu regulacyi Wisły, Rudawy i Wilgi, która z biegiem czasu złączyła się ścisle z robotami około kanału spławnego i założenia portu pod Krakowem, gdyż przy sytuowaniu tych urządzeń liczyć się należy ze stosunkami powodziowymi Wisły.

Roboty te, szczególnie w obrębie miast należą do bardzo kosztownych, gdyż obejmują one powiększenie pojemności koryta, aby pomieścić mogło największą wodę a równocześnie i zabudowanie brzegów rzeki do poziomu tej największej wody w sposób nowoczesny, zastępując wały i szkarpy ziemne architektonicznie wykończonymi bulwarami kamiennymi, łącząc brzegi nowymi wolno rzuconymi mostami o estetycznej konstrukcyi dźwigarach.

Budowle tego rodzaju i radykalna sanacya brzegów rzeki, tych wiecznych śmietników wielkomiejskich zapewni naszemu grodowi wawelskiemu wygląd odpowiadający godności nowoczesnej stolicy.

Roboty około zabezpieczenia Krakowa przed powodzią i założenia portu składają się z czterech systemów budowli, z których każda stanowi dla siebie pod pewnym względem odrębną całość i obejmują kanalizacyę Wisły od ujścia Wilgi do Dąbia wraz z budową jazu spiętrzającego w Dąbiu i budową kolektorów, regulacyę dolnego biegu Rudawy i Wilgi, wreszcie regulacyę i obwałowanie Wisły na przestrzeni od klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu do ulicy Piekarskiej, względnie po prawym brzegu do ujścia Wilgi.

Na pierwszem miejscu umieszczamy kanalizacyę Wisły, gdyż jak już na wstępie podniesiono, wykonanie ubezpieczenia Krakowa przed powodzią przyspiesza prawdopodobnie założenie portu handlowego i skanalizowanie Wisły, bo spiętrzenie normalnej (zwyczajnej) wody Wisły projektowanym w Dąbiu jazem do wysokości kilku metrów wymaga stosownej obudowy obu brzegów rzeki na znaczną długość choćby tylko z uwagi na nieszkodliwe odprowadzenie wielkich wód.

Skanalizowanie Wisły poprzedzi założenie kolektorów, których budowa rozpocznie się jeszcze w tym roku, gdyż łatwo pojąć, że ta spiętrzona normalna woda zatopi stale wszystkie ścieki kanałowe uchodzące obecnie do Wisły, jest więc o b o w i ą z k i e m rządu — podnosimy to z naciskiem — a n i e ż a d n e m d o b r o d z i e j s t w e m, aby zmieniając obecny poziom normalnej wody Wisły zabezpieczyć odpływ

ścieków ulicznych i domowych. W tym właśnie celu zaprojektowano dwa kolektory czyli kanały zbiorcze, biegnące wzdłuż Wisły po prawym i lewym brzegu i to tak daleko, ażeby ujście ich wypadało poniżej jazu w Dąbiu, gdzie Wisła nie będzie już spiętrzoną. Wprowadzenie kanałów do spiętrzonej Wisły na obszarze miasta, gdyby nawet było możliwe ze względów technicznych, będzie również i ze względów sanitarnych niedopuszczalne, gdyż woda ze ścieków zawiera wszystkie nieczystości miejskie, których do Wisły mającej mieć po spiętrzeniu chyżość zaledwie kilku milimetrów na sekundę, wprowadzać nie będzie można, bo wpuszczone do prawie stojącej wody zatruwałyby wokoło powietrze.

Projektowane ujście kanału spławnego na obszarze miasta Krakowa, względnie Podgórza, wymaga koniecznie spiętrzenia zwierciadła normalnej wody, zaś bulwary zakłada się w celu wyzyskania możliwie największej powierzchni przepływu przy tej samej szerokości, stosując pionowe ściany, których utrzymać nie można w stoku ziemnym. Bulwary te przeprowadzone będą w dwu poziomach, dla normalnej i dla wielkiej wody, a korona ich wzniesioną będzie dla bezpieczeństwa jeszcze 30 cm. ponad stan najwyższej wody, zaś wzdłuż bulwarów zostaną założone ulice nadbrzeżne i tory kolejowe.

Koszty skanalizowania Wisły od Dąbia do ul. Piekarskiej, względnie do ujścia Wilgi, wraz z budową jazu w Dąbiu i budową kolektorów obliczono okrągło na 14 milionów koron.

Roboty ochronne na Wiśle. Projekt ubezpieczenia Krakowa przed powodzią obejmuje, jak na wstępie wspomniano, obudowę lewego brzegu Wisły od klasztoru PP. Norbertanek na Zwierzyńcu do ulicy Piekarskiej i prawego od wapienników w Dębnikach do ujścia Wilgi, t. j. do połączenia z projektem Dyrekcyi budowy dróg wodnych. Roboty te polegają nie tylko na wykonaniu murów ochronnych wzdłuż obecnego biegu Wisły, ale i na rozszerzeniu koryta celem bezpieczniejszego i łatwiejszego przeprowadzenia wielkich wód, przez usunięcie spiętrzeń wywołanych zakolami, kształtem łożyska i obustronnego terenu, muszą więc objąć i regulacyę względnie obwałowanie ścieków bocznych, jak Rudawy i Wilgi i to na taką długość w górę rzeki, dokąd sięga cofka wielkiej wody Wisły.

Aby Kraków i gminy sąsiednie[1] ubezpieczyć przed zalewami

[1] Jednostronne, względnie jednobrzeżne zabiezpieczenie samego Krakowa t. j. lewego brzegu Wisły wytworzyłoby daleko groźniejsze stosunki

racyonalnie i skutecznie, należy oba brzegi począwszy od podwyższenia terenu powyżej Krakowa aż do mostu kolei Karola Ludwika obwałować ponad stan możliwie najwyższej wody, rozszerzając równocześnie koryto tak, aby otrzymać przekroje, które mogłyby pomieścić tę najwyższą wodę przy możliwie najmniejszem napełnieniu. Również koniecznem jest usunięcie ostrego zakola pod Wawelem, które wywołując silne spiętrzenie, wstrzymuje nadpływające masy wód. Namiestnictwo w swym projekcie proponuje usunięcie szkodliwych skutków tego zakola przez skopanie przeciwległego brzegu pod Wawelem i wskutek tego zmniejszenie ostrości skrętu. Jednak gmina miasta Krakowa wychodząc z założenia, że wszelkie obwałowanie względnie obulwarowanie Wisły pod Krakowem i Rudawy bez równoczesnej regulacyi obecnego biegu zapomocą przekopów nie zabezpieczy miasta skutecznie od powodzi, zażądała odsunięcia Wisły od Wawelu i wypracowała projekt zabezpieczenia Krakowa od powodzi zapomocą przekopu przez Dębniki. Koszty tej budowy wraz z regulacyą i przekopem Rudawy wynosić mają 4,100.000 koron, w czem koszty wykupna gruntów wynoszą 1,221.000 koron. Widocznie referent gminy miasta Krakowa oceniając wartość wykupić się mających gruntów zaledwie ponad milion koron, zapomniał, że Dębniki stać się mają częścią Krakowa, a już pod sam przekop Wisły 1.600 metrów długi, zająć trzeba będzie pas gruntu przynajmniej 200 metrów szeroki, więc 320.000 m. kwadratowych!

Nie wchodząc w koszty, które w wypadkach, gdzie chodzi o bezpieczeństwo miasta nie powinny odgrywać decydującej roli, nie przesądzając również o ile odsunięcie Wisły od Wawelu odpowiadałoby względom estetycznym i wspomnieniom historycznym zamku królewskiego, związanym tak ściśle przez długie wieki z jedyną jedynie polską rzeką — zauważyć należy, że oba projekty dają z tą samą pewnością graniczącą gwarancyę zabezpieczenia przed powodzią. Utartym zwyczajem zwala się winę na rząd i władze centralne, posądzając je bądź to o wyraźną niechęć, bądź jak w tym wypadku o karygodną lekkomyślność w przewlekaniu ostatecznego załatwienia tej doniosłej sprawy, trudno jednak zaprzeczyć, że usilne [1] starania gminy miasta

---

powodziowe w gminach leżących po prawym brzegu, dlatego, choćby tylko ze względów prawnych, projekt ochrony musi objąć równocześnie oba brzegi Wisły.

[1] Prawdopodobnie bezskuteczne.

Krakowa, aby za każdą cenę i jak najprędzej przystąpić do budowy według projektu przedłożonego przez gminę powoduje właśnie to zupełnie niepożądane opóźnienie w powzięciu ostatecznej decyzyi.

W projekcie opracowanym przez rząd projektanci wychodzą z założenia, że wszystkie dotychczasowe wielkie wody piętrzą się głównie w dwóch miejscach, wskutek nadmiernego zwężenia obecnego koryta Wisły, pod Wawelem i przy wapiennikach podgórskich naprzeciw Skałki. Otóż celem zmniejszenia zalewów ma być skopany prawy brzeg w Dębnikach naprzeciw Wawelu, wchodzący ostro w koryto, a silne zakole złagodzone przez wysunięcie budowli lewobrzeżnych. Równocześnie celem uzyskania jednolitego przekroju będą skopane i usunięte wszystkie zwężenia koryta od nowego ujścia Rudawy aż po most kolei państwowej, a obustronne szkarpy tego przekształconego koryta aż po ujście Wilgi mają być obrukowane (od ujścia Wilgi założone zostaną mury bulwarowe dla normalnej i dla wielkiej wody, t. zw. bulwary dolne i górne). Następnie Półwsie Zwierzynieckie i zachodnia część Krakowa mają być ochronione przed zalewem murem ochronnym założonym od klasztoru Norbertanek do Wawelu, wzniesionym o półtora metra ponad obliczony poziom największej wody.

Plac na Groblach ma zostać odpowiednio zniwelowany przez nadsypanie wszelkich nierówności terenu od strony Krakowa, a od strony Wisły ma być zamknięty poziomą 25 metrów szeroką terasą kamienną. Fasadę muru, architektonicznie wykonaną, ma zdobić żelazna balustrada a obustronne rampy balkonowe, ułatwiać dostęp do Wisły. Od Wawelu do ul. Piekarskiej przewiduje się tymczasowo wał ziemny, który, o ile wymagać tego będzie rozwój tej części miasta, położonej i tak powyżej zalewu, zastąpionyby został murem.

Podobnie wykonane zostaną ubezpieczenia po prawym brzegu — częścią wałem, częścią murem biegnącym wzdłuż Wisły od wapienników w Dębnikach obok drogi z Pychowic do Dębnik do ujścia Wilgi, gdzie połączy się z analogicznemi budowlami ochronnemi dyrekcyi dróg wodnych; projekt ten obejmuje również przedłużenie mostu zwierzynieckiego o 20 metrów.

Regulacya i obwałowanie istniejącego dolnego biegu Rudawy przedstawia bardzo wiele trudności, gdyż koryto jej przecina parcele nadbrzeżne gęsto zabudowane, bądź też do zabudowania przeznaczone. Należało więc ujście Rudawy przełożyć odsuwając możliwie najdalej od miasta w górę Wisły. Granicę tego przesunięcia wskazuje droga biegnąca u stóp kopca Kościuszki w linii łączącej łagodnym łukiem

klasztor Norbertanek z Wolą Justowską. Wykonano więc między tymi punktami znany przekop przez Błonia zakładając równocześnie na całej przestrzeni, która wynosi prawie 4 kilometry obustronne wały powodziowe t. zw. wsteczne, obliczone na cofkę najwyższej wody Wisły. Koszty tego obwałowania i regulacyi Rudawy wyniosą około 1,700.000 koron, a budowa zostanie ukończoną prawdopodobnie jeszcze w roku bieżącym.

Wszystkie powyżej opisane budowle nie odniosłyby jednak zamierzonego skutku w razie pozostawienia teraźniejszego koryta Rudawy w obrębie Krakowa w obecnym stanie, wysokie bowiem wody wchodziłyby w to koryto, powodując i nadal zalew sąsiednich realności i niżej położonych części miasta.

Wprawdzie wskazanemby było zupełne zasypanie tego koryta, trudność jednak pewną sprawiają młynówki odpływające tem korytem także po przełożeniu Rudawy, jak również i wody opadowe i użytkowe wprowadzane tem korytem z całego obszaru tej zlewni. W tym celu ma być stare koryto Rudawy od ulicy Garncarskiej w dół zasklepione i służyć jako kolektor tak dla młynówek jak i dla sąsiednich ścieków w razie nawalnych deszczów, uchodząc do głównego kolektora poprowadzonego wzdłuż lewego brzegu Wisły od nowego koryta Rudawy na Zwierzyńcu do Dąbia. To przesklepione stare koryto Rudawy będzie służyło również do przyszłego odwodnienia parku Jordana i błoń miejskich.

Prócz regulacyi Rudawy przewidziana jest także regulacya i obwałowanie ujścia Wilgi na długości $3^1/_2$ km. kosztem pół miliona koron. Zaś koszty całej budowy objętej projektem rządowym wynoszą 2 mil. k., na wywłaszczenie gruntów i realności wstawiono kwotę prawie półtora miliona koron, tak że całkowite koszty przewyższają nieco sumę 3,500.000 koron. Dla porównania należy zwrócić uwagę, że w projekcie rządowym na wykupno gruntów pod przekop Rudawy i wykupno wązkich pasów nadbrzeżnych pod stanąć mające mury względnie wały przeznaczono według oszacowania komisyjnego kwotę półtora miliona, zaś gmina miasta Krakowa, widocznie licząc na poczucie obywatelskie i ofiarność mieszkańców ocenia wartość gruntów i realności zająć się mających na 1,200.000 k. mimo, że 1.600 m. długi przekop Wisły wymaga w porównaniu z projektem rządowym zajęcia przynajmniej o 30 ha. czyli około 52 morgów więcej.

Na zakończenie wypada wspomnieć, że przy komisyi obchodowej, i wodno-prawnem dochodzeniu przy udzieleniu pozwolenia na regula-

cyę i obwałowanie Rudawy, gminy Krakowa, Dębnik i Zakrzówek podniosły liczne zarzuty co do zamierzonych robót i postawiły żądania, których nie można nawet poważnie traktować, a kiedy Namiestnictwo zarzutów tych i życzeń nie uwzględniło, wniosły zbiorowy rekurs do ministerstwa rolnictwa, który również został odrzucony, gdyż żądania nie nadawały się do przyjęcia, a rekurentki wiedziały dobrze, że podobnem postępowaniem opóźniają wykonanie rozpoczętej roboty, z tego też powodu obwałowanie Rudawy nie mogło być ukończone w roku zeszłym. Podajemy niektóre dezyderaty tych gmin, treść ich świadczy jasno o intencyi rekurentów. Gmina Krakowa żądała np. przyznania starego łożyska Rudawy (dobro publiczne), mimo, że nie przyczyniła się do kosztów budowy nowego koryta, dalej przełożenie drogi krajowej Kraków-Chełmek w linii prostej ze względów strategicznych (co za poczucie patryotyzmu). Złagodzenia w ul. Tadeusza Kościuszki spadku rampy wjazdowej na most nad nowem korytem Rudawy z 3.4% na 3%. A mimo przedstawienia, że spadek ten jest bardzo krótki, w dozwolonych granicach, a nie tylko w mieście ale i ta sama ulica Kościuszki ma spadki o wiele silniejsze, na większych długościach. Podobnie i zarzuty innych gmin okazują zupełny brak rzeczowego uzasadnienia. Koroną wszystkiego jest żądanie gminy Zakrzówek, która w rekursie swym wychodząc z założenia, że regulacya Rudawy zwiększa niebezpieczeństwo powodzi, żąda odszkodowania za zwiększone obawy! Przekonuje nas to coraz dobitniej, że pieniactwo jest ogólną wadą narodową, a nie tylko cechą pewnego stanu.

*Ak.*

## Listy z Warszawy.

Obrona sądownictwa polskiego przez prawnika. — List otwarty Aleksandra Świętochowskiego. — Obrona Brzozowskiego przez postępowców. — Najnowsza forma postępu. — Ewa Pobratyńska z »Dziejów grzechu« przed sądem postępowców.

Nie wiedzie się naszej polityce na burzliwej fali chwili obecnej. Pomiata nią wichura zwykłych namiętności ludzkich i egoizmów nacyonalistycznych, niby rozbitą łodzią bez steru i masztu, to tu to tam, a odpędza ją zawsze od cichej, bezpiecznej przystani wypoczynku.

Zmądrzeli nasi demokraci narodowi z Dmowskiem na czele, wytrawili się w ogniu polityki żywej, czynnej, przestali być szowinistami,

doktrynerami, zaczęli się liczyć z położeniem rzeczywistem, realnem, jak się dziś w Warszawie mówi, — pochylili się w metodzie ku t. zw. dawniej ugodowcom, a obecnie przechrzczonym na realistów, stali się umiarkowanymi i neoslawistami »bez zastrzeżeń« i to wszystko na nic. Minister sprawiedliwości, Szczegłowitow, rzucił im z wysokości trybuny sejmowej w twarz obelgę: Polacy zaśmiecają sądownictwo i dlatego nie będą sędziami w Królestwie Polskiem, poseł Markow II przypomniał im bezlitosne, breneusowe: *Vae victis!*

Nie macie prawa do ustępstw, do przywilejów, do względów, wy, »inorodcy«, albowiem jesteście zwyciężonymi! Nie na to zwycięża się jakiś naród, aby się z nim liczyć i t. d.

Zalał się znieważony honor narodu krwią, odparł obelgę w Dumie i w prasie mowami poselskiemi i artykułami dziennikarskiemi. Jeden z tych artykułów, pomieszczonych w warszawskiem *Słowie* (N. 82, r. 1909), napisany przez »Prawnika«, powtarzam, odpiera on bowiem faktami zarzut »zaśmiecania sądownictwa przez Polaków«. Artykuły, drukowane w pismach codziennych, giną, a szkoda, żeby cytowany poniżej utonął bez śladu w masie bibuły bieżącej.

»Prawnik« pisze między innemi:

»Sądownictwo polskie, aczkolwiek przez siedemdziesiąt lat pełniło z nieposzlakowaną godnością swój szczytny obowiązek, aczkolwiek zawsze obcem było wszelkim politycznym sprawom, nie znalazło i znaleźć nie mogło sprawiedliwej oceny u ciągle popłacających w Petersburgu nacyonalistycznych prądów. Minister sprawiedliwości hr. Pahlen, dla naocznego zapoznania się z instytucyami sądowemi kraju, w czerwcu 1875 roku zjechał do Warszawy z elitą urzędników swoich. W otoczeniu ministra byli, hr. Kapnist, dyrektor kancelaryi ministra, Gołubiew i ks. Trubeckij, prokuratorowie Senatu, Gartkiewicz, naczelnik wydziału ministeryum i młodsi urzędnicy, hr. Toll, Taniejew, hr. Neselrode i Reütern. W tym składzie minister zwiedził sądy w Lublinie, Radomiu, Kielcach, Piotrkowie, Kaliszu, Płocku, Łomży, Suwałkach. Rezultat rewizyi był bardzo dla sądownictwa polskiego pochlebny. W Radomiu, już po zwiedzeniu instytucyi sądowych w dwóch miastach, hr. Pahlen, urzędownie oświadczył towarzyszącemu mu urzędnikowi komisyi sprawiedliwości, że jest nadzwyczaj zadowolony z tego, co widział, że cały skład sądowy wydaje mu się złożony z ludzi światłych i uczciwych, że żandarmerya jaknajlepszą dała o urzędnikach sądowych relacyę,

i że dlatego będzie chciał na nowe posady sądowe jaknajwięcej mianować Polaków, że przynajmniej będzie połowę ich chciał mianować we wszystkich urzędach, nie wyłączając naczelnych, że nawet pójdzie przeciwko zdaniu Rady Państwa, i na sędziów pokoju Polaków także mianować będzie. To swoje postanowienie polecił zakomunikować wszystkim urzędnikom. Minister hr. Pahlen, wysoko dzierżący sztandar sprawiedliwości, nie uważał, ażeby Polacy »zanieczyszczali« sądownictwo! Przypuszczam, że i obecny minister, będący zdaje się podówczas urzędnikiem w ministeryum, to zdanie podzielał. Przy takim nastroju naczelnika ministeryum sprawiedliwości w Państwie, reforma sądowa do Królestwa wprowadzona, powinna była stracić swój ostry, wrogi narodowi charakter, i dążyć do swego głównego zadania, wymiaru sprawiedliwości.

»Minister nie krył się ze swoją opinią co do Polaków w sądownictwie, zdania pochlebne o nich wygłaszali wyżsi dygnitarze ministeryum, ale opinia ta nie mogła podobać się tym wszystkim, którzy pragnęli sprawiedliwość uczynić zależną od nacyonalistycznych usposobień. Ci ostatni rozpoczęli akcyę przeciwko zamierzeniom ministra.

»W listopadzie r. 1875, Zarządzający sprawami Komitetu Ministrów, zakomunikował hr. Pahlenowi decyzyę Komitetu, ażeby przy obsadzaniu nowych posad sądowych w Królestwie Polskiem, czyli jak nazywano w Warszawskim Okręgu Sądowym, »mieć więcej na celu, cele polityczne, aniżeli interes wymiaru sprawiedliwości«. Z Warszawy, generał-gubernator upomniał ministra, ażeby z wielką ostrożnością postępował przy obsadzaniu posad, ażeby rząd nie stracił tego, co na drodze rusyfikacyi kraju długiemi staraniami osięgnął. Pomimo to, minister raz przekonawszy się o wartości sędziów, Polaków, mianował ich połowę na wszystkie posady w Okręgu Warszawskiej Izby Sądowej, — a ministeryum długi czas ten stosunek ściśle zachowywało. Mianowani przez hr. Pahlena Rosyanie, byli ludźmi dobrej woli, zacni, uczciwi i dobrze wychowani, dlatego zyskali sobie uznanie wśród społeczeństwa polskiego, od niego nie stronili i byli w niem dobrze przyjmowani. Następcy hr. Pahlena inaczej postępować zaczęli. Nabokow od zasady nie odstępował, ale już Manasein, starał się o zaprowadzenie »ruskiej sprawiedliwości« w kraju polskim, czem godność stanu sądowego obniżył.

»Przez czas od r. 1876, Polacy w instytucyach sądowych speł-

niali zadanie swoje zaszczytnie — najtrudniejsze sprawy były ich udziałem, a posiadając dokładnie prawo cywilne, obowiązujące w kraju, byli arbitrami w najpoważniejszych kwestyach. Ceniono ich i poważano, ale systematycznie od awansu i urzędu usuwano. Nieliczni sędziowie na urzędach pozostali, i dzisiaj są perłami sądownictwa, nie »zanieczyszczają«, ale są prawdziwą stanu sądowego ozdobą. Kiedy powołano do życia komisyę kondyfikacyjną do redakcyi nowego prawa karnego i cywilnego, to na członków komisyi zaproszeni zostali, prof. Holewiński i senator Karnicki. Czyż i ci uczeni prawnicy i dygnitarze »zaśmiecają« sądownictwo państwowe? Oni także Polacy«.

Bardzo dobrze. Ale któż to kiedy przekonał samolubną, namiętną panią Politykę? Takiego czarodzieja nie było jeszcze w historyi. Tylko mocniejsza pięść bywa silniejszą od t. zw. racyi politycznej.

Rozumie się, że znalazły się i w Rosyi głosy nam życzliwe, bo przecież trudno, żeby cały, wielki naród składał się z samych nieprzejednanych zwycięzców, z samych Brennusów. Są i w Rosyi ładne dusze i dobre serca, jest ich nawet tam dużo. Na pierwszem miejscu niezmiennie nam przychylny prof. Pogodin. I teraz, jak zawsze, bronił nas szczerze w tygodniku *Moskiewskij Jeżeniedielnik* w artykule p. t. »Wrażenia warszawskie«.

Ale wszystkie te dobre głosy nie mają znaczenia praktycznego, bo nie posiadają władzy wykonawczej. Więcej wagi od nich posiadają fanfarowe słowa Markowa drugiego, który należy do wpływowego obecnie stronnictwa reakcyjnego.

Potężne państwa powstawały tylko siłą — grzmiał Markow. — Wszyscy nie-Rosyanie, mieszkający w państwie rosyjskiem, powinni zrozumieć, że są zwyciężonymi. Nie dla nich, lecz dla zwycięzców istnieje państwo rosyjskie. Jest to nieprzyjemnie dla zwyciężonych, ale wynika to stąd, że są zwyciężonymi.

Nic właściwie nowego nie powiedział Markow tym, którzy znają historyę. Tylko siła sklejała w istocie wielkie państwa i tylko siła (nawet terrorystyczna) wciela idee rewolucyjne. Ładnieby np. wyglądali tacy Młodoturcy, gdyby byli poszli do Konstantynopola z mowami i artykułami publicystycznymi. Niewątpliwie byłby zdetronizowany przez ich kartacze stary, szczwany lis, Abdul Hamid, ugarnirował ich trupami skwery i mosty stambulskie, jak oni je teraz garnirują wisielcami swoich przeciwników. Plunęli dobrze kartaczami i stary krętacz polityczny runął niby dąb spruchniały, rażony piorunem. No — i rządy

europejskie posłały nowemu sułtanowi telegramy z życzeniami. *Le sultan est détronisé, vive le nouveau sultan!* I tak ciągle wkółko.

I łup, zdobyty na zwyciężonych, jest »prawem« zwycięzców. Wykrzykiwał to samo dosłownie Danton, chociaż był skrajnym na swoje czasy postępowcem i burzył przeszłość w imię »filozofii«, pod sztandarem »rozumu i wolności«.

Uczcie się historyi, panowie politycy, a nie będziecie załamywali rąk i rozdzierali szat przy każdej sposobności. Naiwną jest wszelka ideologia, taka czy owaka, w polityce.

A teraz co?

Niech o tem myśli »Delegacya obywatelska«, sam »cymes« naszych polityków.

Nie wszyscy oczywiście przyklasnęli powstaniu owej »Delegacyi obywatelskiej«. Naturalnie. Co głowa, to rozum, co trzy głowy, to trzy rozumy. A potem ambicye! Tego, owego niema w delegacyi, pominięto niejednego, który ma się także za należącego do cymesu społeczeństwa. Stąd dąsy, gniewy, krytyki, polemiki, jak zwykle.

Nie sądzę, żeby to była metoda właściwa wobec nowej instytucyi. Czyby nie było rozważniej czekać spokojnie na rezultaty jej działalności?

Aleksander Świętochowski poszedł do Kanossy. Biedny... Na co mu to przyszło... Stary lew pozytywizmu warszawskiego musiał stanąć w obronie religii i duchowieństwa — skarżył się przedemną jeden z posiwiałych niedobitków pozytywizmu.

Tak to bywa, gdy się teoretyk, doktryner zabiera do spraw żywych, gdy się otrze o rzeczywistość.

Aleksander Świętochowski, reparując swój »filozoficzny« występ w sprawie Chełmszczyzny, za który go *Nowoje Wremia* pochwaliło, ogłosił w petersburskiej *Rieczy* (19 kwietnia) list otwarty. Ciekawy to dokument. Nie powinien zginąć w śmieciarni prasy codziennej, przeto utrwalam go w *Przeglądzie Powszechnym*.

»Ktoby przypuścił mówi Świętochowski — że jest na świecie jeden niezwyrodniały moralnie Polak, pragnący zabłysnąć bodaj na chwilę w tej konstelacyi politycznej, w której główną gwiazdą jest *Nowoje Wremia?* Ale możliwość, jak wszechświat, nie ma granic, a może nikt dalej ich nie rozszerzył słowem, niż ta »Wielka Niedźwiedzica« prasy rosyjskiej. Nie dziw też, że dziennik, który od lat 40-tu bije najgrubszą pałką naród polski, przepędzany ciągle *skwoź stroj*, który pieści swe uszy brzękiem jego kajdan i niezmordowanie śledzi, czy

pozbawiony wszelkich praw skazaniec nie korzysta z jakiejś maleńkiej swobody; który prawie codzień jak boa owija się około ofiary i usiłuje ją udusić ściskiem swych skrętów, — nie dziw, mówię, że taki dziennik powołał się na mnie w wykrętnem usprawiedliwieniu odcięcia Chełmszczyzny. Są w Rosyi ludzie, których opinię wysoko cenię i którzy mogliby choć w części uwierzyć zapewnieniu *Now. Wremieni.* Nie chcąc, ażeby moje nazwisko znajdowało się na szali, na którą ta gazeta składa swoje argumenty, proszę uprzejmie redakcyę *Rieczi* o miejsce dla poniższego wyjaśnienia.

»Wszelka religia, bez względu na jej wartość filozoficzną i kulturalną, stanowi dziedzinę, do której nie należy ani wrzucać kamieni, ani wchodzić z brutalnym hałasem, a tem mniej z batem. Bo nawet w swej najniższej postaci wyraża ona szczery stosunek człowieka do tajemniczej prasiły świata i usuwa z duszy wierzącej muł, który w niej osadza życie. Ale chociaż rzeka toczy wodę czystą, stawiane na niej młyny mogą być brudne. Religia, użyta jako środek do zatkniętego poza nią celu i narzędzie gwałtu, traci swój niepokalany charakter, schodzi na najniższy poziom moralny, staje się dziką okrutnicą i złą jędzą. Czy ta, która ostrym mieczem wycinała katolicyzm i polskość w Chełmszczyznie była religią Bogu służącą, a zwłaszcza czy była Chrystusową? Historya ostatnich dziesięcioleci dała straszną na to pytanie odpowiedź. Nie będę przypominał powszechnie znanych i częściowo ogłoszonych szczegółów męczeństwa, będącego jak gdyby odbiciem prześladowania pierwszych chrześcijan; sądzę, że posłowie polscy w Izbie odczytają przy odnośnych rozprawach tę krwią i łzami spisaną kartę, na którą żaden patryota polski nie może spojrzeć bez bólu, żaden patryota rosyjski bez wstydu i żaden człowiek uczciwy bez zgrozy.

*Nowoje Wremia* swoim wężowym wzrokiem widzi w tej martyrologii tylko walkę z »unitami opornymi« i »wściekłą agitacyę księży«. Czy jest wyraz, któryby bardziej zdradzał wynaturzenie istoty religii, a nadewszystko nauki Chrystusa, niż ci »oporni«? Bo przecie świadczy on, że są między unitami tacy, którzy nie chcą być »nawróceni«, których wiarę usiłowano zgwałcić, którzy nadal mają podlegać dawnej, nieco złagodzonej operacyi i dla których ukaz o tolerancyi ma być tylko maską, nasyconą chloroformem dla znieczulenia cierpień. Ani »oporu«, ani przymusu nie zna żadna religia ziemi, nie zna ich również chrześcijańska. Jest to dopełnienie ewangelii przepisem policyjnym.

A jakaż to była owa »wściekła agitacya księży«? Czy oni chrzcili, łączyli ślubami i grzebali unitów przy pomocy praw wyjątkowych, policyi i wojska? Czy »opornych« karali administracyjnie i sądownie, czy ich bili, odzierali z mienia, rozganiali po najodleglejszych okolicach państwa i wtrącali do więzień? Nie. Oni tylko przed ukazem o swobodzie wyznań oddawali im tajemnie posługi religijne, a po ukazie nieraz nakłaniali, a częściej ułatwiali przejście na katolicyzm. Najgorliwsi z nich działali jedynie namową, żaden — siłą. Mogli popełniać błędy, ale nie popełniali zbrodni. Czy były możliwe krzywdy i porażki prawosławia w walce, w której po jednej stronie stał obezwładniony ksiądz, a po drugiej — wszechwładny pop, rozporządzający całą potęgą opieki rządowej? Mimo wszakże tej olbrzymiej różnicy, mimo, że »wściekła agitacya« kleru katolickiego w swym największym rozpędzie ograniczała się zaledwie do otwierania drzwi swej świątyni tym unitom, którzy do niej z własnej woli lub namowy wejść postanowili, powinien on był w swych zabiegach zachować większą wstrzemięźliwość i przewidzieć skutki nie dość ostrożnej skwapliwości. Księża zbyt naiwnie ocenili wpływ ukazu o swobodzie wyznań, zbyt ślepo wierzyli, że łby, które on urwał prześladowanej hydrze, już nigdy nie odrosną i że zmartwychwstaną stare moce nietolerancyi, słowem, zbyt wyłącznie zapatrywali się na doraźne korzyści religijne i dlatego nie dostrzegli niebezpieczeństw narodowych. Nie rozstanę się z tem niezłomnem, przeszłością i teraźniejszością naszą uzasadnionem przekonaniem, że utożsamianie polskości z katolicyzmem jest starym i szkodliwym błędem naszej polityki, że Polakiem, jak Szwajcarem, Włochem lub Francuzem może być wyznawca wszelakiego kultu, że my musimy rozszerzyć w tym kierunku pojęcie naszej narodowości, a z nią podstawę i obronę naszej kultury. Ale tem mniemaniem wyczerpuje się całe moje »potępienie« kleru polskiego w sprawie Chełmszczyzny. Postąpił on tak, jakby postąpił drozd, gdyby usiadł w otwartej paszczy śpiącego lwa i wydłubywał z pomiędzy jego zębów resztki jedzenia, zapomniawszy o tem, że się obudzi, paszczę zamknie i jego zmiażdży.

Zamierzone odcięcie kawała ziemi naszej z ludnością przeważnie, a kulturą wyłącznie polską jest nie tylko »czwartym rozbiorem Polski«, lecz pośrednio także podważeniem nowych podwalin ustroju państwowego, w którym miało się również rozwijać nasze życie. Jest to dalszy ciąg niszczenia planu wspaniałej reformy, ogłoszonego w zarysie przed czterema laty. Dwa największe akty dziejów Rosyi, dorównując

swą doniosłością dwom podobnym aktom konstytucyi angielskiej, manifest październikowy i ukaz o wolności wyznań, uległy temu losowi, co dzieła filozofów starożytnych, w których między wiersze nieudolni komentatorowie wpisywali swoje mizerne zaprzeczenia i uwagi. W taki sposób wstawiono do owych aktów obok innych projekt wyodrębnienia Chełmszczyzny. Jest to wielkiem nieszczęściem dla narodów, gdy ich historyę tworzą ludzie mali, którzy w jej tkaninę nie wplatają swych imion, którzy umierają całkowicie, którzy nie wnoszą osobiście swych czynów przed sąd potomnych, którzy, nie skrywszy się do grobu, unikają odpowiedzialności. Pod tą osłoną, z sumieniem, wyginanem w różne strony przez interes, z wolą zamkniętą w samolubstwie nowowremieńcy wszelkiego rodzaju, miary i stanowiska mogą swobodnie i bezpiecznie czynić prawdę, sprawiedliwość, religię służebnicami fałszu, krzywdy i gwałtu, mogą z miłości dla »opornych« i z nienawiści do »wściekłej agitacyi księży« odrąbywać Chełmszczyznę. Wszakże nic im nie grozi: w teraźniejszości mają zysk, w przyszłości — żadnej straty, nawet niesławy. A że ta niesława spadnie na ich czas, na czyny, w których współdziałali — co to obchodzi ich, bezimienne cząsteczki tej masy?«

Ciekawy jest ten dokument ze stanowiska psychologicznego. Widzi się w nim, czuje się zmaganie się z sobą trzech potęg: tradycyi, patryotyzmu i przekonań osobistych. Chrześcijanin Świętochowski broni religii, nazywa ją »dziedziną, do której nie należy ani wrzucać kamieni, ani wchodzić z brutalnym hałasem, a tem mniej z batem, bo nawet w najniższej swojej postaci wyraża religia szczery stosunek człowieka do tajemniczej prasiły świata i usuwa z duszy wierzącej muł, który w niej osadza życie« — a Świętochowski pozytywista nie może wytrzymać, żeby nie plunąć z boku na religię, która »użyta jako środek do zatkniętego poza nią celu i narzędzie gwałtu, schodzi na najniższy poziom moralny, staje się dziką okrutnicą i złą jędzą«, nie chcąc wiedzieć, że dziką okrutnicą i złą jędzą staje się nie religia, w istocie swojej zawsze niepokalana, lecz tylko człowiek danej epoki, jego obłęd fanatyczny, jego chore okrucieństwo.

Patryota Świętochowski broni katolicyzmu i jego kleru, a Świętochowski, wódz warszawskiego postępu, musi przypomnieć w nawiasie czytelnikom postępowym, że nie rozstanie się z »tem niezłomnem, przeszłością i teraźniejszością naszą uzasadnionem przekonaniem, że utożsamienie polskości z katolicyzmem jest starym i szkodliwym błędem naszej polityki, że musimy w tym względzie rozszerzyć pojęcie naszej

narodowości, a z nią podstawę i obronę naszej kultury«. Jedną ręką daje, drugą odbiera: masz dziadu grosz, oddaj dziadu grosz!...

Broniąc duchowieństwa katolickiego, nie powiedział Świętochowski właściwie nic swojego. Powtórzył tylko argumenty, którymi go atakowali zachowawcy, stający po stronie naszego kleru ziemi chełmskiej. Ale mniejsza z tem. List jego nie przestaje być mimo to rewikacyą — patryotyzm pokonał w nim pozytywistę, jest w nim silniejszy od doktryny. Jest to ciekawy dokument, bo dowodzi, że nasi starsi postępowcy nie przestali być patryotami mimo swojego pozytywizmu.

Czy także najnowszego typu postępowcy?

Na jednem z zebrań Towarzystwa Kultury Polskiej (instytucya postępowa) broniła gromadka postępowców najnowszego typu znanego literata, Stanisława Brzozowskiego, oskarżonego, jak wiadomo, o szpiegostwo polityczne. A broniła go w sposób oryginalny. Nie tłumaczyła jego przestępstwa psychologicznie, motywując je czy słabością charakteru, czy słabością chwili, strachem chorych nerwów przed karą lub czemś w tym rodzaju — lecz atakowała prasę »reakcyjną«, pomawiając ją o rozmyślne, świadome oszczerstwo. Brzozowski maltretował »reakcyonistów«, był szampionem najnowszej formy postępu, był ulubieńcem młodzieży, *ergo* trzeba go zniszczyć.

Tak postawili sprawę Brzozowskiego pp. Sempołowska, St. Patek, Zubowicz, Leon Rygier, Auerbach i Władysław Gacki. I nie tylko zarzucili prasie zachowawczej świadome oszczerstwo, lecz atakowali jeszcze prasę postępową za to, że nie stanęła jak jeden mąż po stronie Brzozowskiego i nie urabiała opinii na jego korzyść.

Tymczasem wiadomo, że nie prasa zachowawcza oskarżyła Brzozowskiego o należenie do ochrany warszawskiej, lecz przeciwnie, socyalistyczna: *Robotnik, Czerwony Sztandar* i *Naprzód*. Swoi zaciągnęli swojego przed trybunał opinii publicznej.

Pomijam ostatnie oskarżenie Brzozowskiego, jeszcze dotąd niewyjaśnione. Trzeba w tym wypadku czekać cierpliwie na wynik śledztwa sądu partyjnego, nie uprzedzać wyroku.

Ale faktem jest, że Brzozowskiego oskarżono już temu trzy lata o tego samego rodzaju mniej więcej przestępstwo i że Brzozowski nie zaprzeczył faktu, i bronił się niezdolnością do roboty konspiracyjnej czy czemś w tym guście, bo nie pamiętam dobrze.

Wynika z tego, że to charakter słaby, niepewny, niezasługujący na zaufanie, nie mający prawa do stanowiska publicznego, jakie zaj-

mował wśród młodzieży. Wystarcza to, aby nie wierzyć jego zapewnieniom.

Dobre serce, przyjaźń koleżeńska, pobłażliwość dla słabości i grzechu słabych charakterów, mogą mu przebaczyć, bo któż jest bez grzechu, ale prosta, instynktowa uczciwość narodowa nie może stawiać na piedestale »męczennika idei« człowieka, który dowiódł, że nie umie panować nad swojemi choremi nerwami, nie umie być mężczyzną.

Skąd ta szczególnego rodzaju obrona?

Jeden z obrońców Brzozowskiego, p. St. Patek, mówił, że »Brzozowskiemu będzie łatwiej oczyścić się z rzuconego nań oskarżenia, bo to człowiek silny i silni ludzie występują w jego obronie«.

Silny, silni! Cóż to za siła, która broni sprawy nie do obronienia ze stanowiska etyki i obowiązku narodowego? Chyba ta bezwzględna, drapieżna rozpętanego indywidualizmu, ta, co *per fas et nefas* idzie do swoich celów egoistycznych. Inaczej trudno w tym wypadku zrozumieć tę nową »siłę«. Dawniej nazywano siłą: charakter, odwagę, honor, uczciwość, poczucie obowiązku — dziś wydobywanie się z trudnego położenia choćby przez zdradę towarzyszów. Czybyśmy już naprawdę zaczynali gnić?

Wojowaliśmy kiedyś my, zachowawcy, »niezawisłą etyką« pozytywistów, a jednak o ile wyżej stała w praktyce, w życiu owa etyka niezawisła w porównaniu z tą nową »siłą«? Żadnemu ze starych pozytywistów nie przyszłoby nawet na myśl bronić zdrady, cienia jej. Stare tradycye naszej rasy były w nich jeszcze silniejsze od doktryn, jakie wygłaszali. A przedewszystkiem nie było między nimi obojętnych na sprawy narodowe.

Te sprawy narodowe spycha najnowszy postęp na drugi plan, wsuwając w ich miejsce t. zw. »humanitaryzm«. Jakże wygląda ten humanitaryzm warszawski? Na pytanie to odpowiada artykuł, pomieszczony w *Nowej Gazecie* (Nr. 203). Z artykułu tego dowiadujemy się pomiędzy innemi, że: »jeżeli stronnictwo postępowe bez walki i bez usiłowań czynnych ze swej strony pozostawi warstwy średnie w ich dotychczasowym stanie — ujrzymy rzecz najfatalniejszą: rozpętanie najniższych instynktów rasowo-religijnych, mobilizacyę czarnych bractw, nagankę antysemicką z jednej, ślepy fanatyzm z drugiej strony... Spodziewać się można, że demokracya narodowa, w myśl półgębkiem wypowiedzianych gróźb, pośpieszy wyładować w tej gorszącej walce

cały nagromadzony zapas energii bojowej, którą powściągała bardzo ostrożnie w obliczu istotnych nieprzyjaciół...«

»Jedynie wówczas postęp polski będzie mógł bronić skutecznie kultury narodowej, jeżeli wkroczy przebojem w ten odmęt rozpętanego kołtuństwa i narzuci mu hasło pozytywne polityki radykalnej. Niechaj stara się skupiać wokół wspólnego sztandaru potrzeb społecznych, ekonomicznych i kulturalnych — całe oświecone mieszczaństwo bez różnic plemiennych ni wyznaniowych. Powinien nie tylko demaskować i tropić różnych demagogów — ale przeciwdziałać im czynnie, stawiając przed oczy warstw średnich czysty program radykalny, bez domieszek trującego haszyszu«.

»Na tej drodze przyjdzie mu zetrzeć się potężnie z ruchliwym i sprawnym klerykalizmem. W tem starciu nie może być żadnych kompromisów: na terenie warstw średnich niema miejsca dla dwóch rywali. Niektórzy sądzą, że jesteśmy nazbyt wolnomyślni; twierdzą, że walka z klerem nie jest rzeczą godziwą. Sądzę, że wręcz przeciwnie: jedyna to walka, którą możemy i powinniśmy doprowadzić bezwzględnie«.

Więc walka z »najniższymi instynktami rasowo-religijnymi«, *recte* z patryotyzmem i katolicyzmem, z »demagogią świecką i duchowną« *recte* z demokracyą chrześcijańską i związkiem katolickim — jest sztandarem naszego obecnego postępu. Tylko jednego jego odłamu, mianowicie tego, który skupia się dokoła *Nowej Gazety*. A trzy czwarte tego odłamu stanowią Żydzi. Nic dziwnego, że mu pachnie walka z katolicyzmem. Stara to, ograna piosnka.

Możeby jednak panowie reformatorowie z *Nowej Gazety*, zamiast zajmować się tak gorliwie naszą edukacyą, wyrzucając nam nasze »nizkie instynkty rasowo-religijne«, zechcieli się zająć uświadamianiem i edukowaniem swoich syonistów i litwoków. Sześćset lat już mieszkają w Polsce bracia i krewni naszych przeróżnych guwernerów politycznych, społecznych i filozoficznych i nie przyszło im nawet na myśl pozbyć się swoich »nizkich instynktów rasowo-religijnych«.

Byłoby to praktyczniej i mądrzej.

Nam zaś niech dadzą święty pokój. Damy sobie sami radę.

Na zakończenie »szopka«.

Trudno nazwać inaczej widowisko, jakie grono uświadamiaczów pod komendą p. Antoniego Millera, byłego kleryka, urządziło w warszawskiej filharmonii gwoli zabawie łaknącego zawsze wszelakich szopek tłumu.

Za przykładem petersburskich studentów zaimprowizowali owi panowie sąd na Ewę Pobratyńską z »Dziejów Grzechu« Żeromskiego z prokuratorem, sędziami, adwokatami. Prześwietny ten sąd uwolnił oczywiście od wszelkiej winy: dzieciobójczynię, kochankę bandyty, rafinowaną zabójczynię jedynego przyzwoitego w powieści człowieka, wkońcu prostytutkę uliczną.

Rozumie się. Pornografia dziś modną, do bandytów przywykliśmy, bo widzieliśmy całe ich legiony, morderstwo, zabójstwo, samobójstwo, to nasze codzienne senzacye, tak częste, iż nam spowszedniały, o prostytutki ocieramy się w kawiarniach i kabaretach. Niema tak »mocnej« bohaterki powieściowej, którąby nas mogła zadziwić, oburzyć lub przerazić. Wszystko, całego człowieka zwierzę, pokazały nam lata rewolucyjne, jak na płaskim talerzu. A rozpętany indywidualizm i kult ciała i uświadamianie etyczne nauczyły nas wszystko tłumaczyć i uniewinniać.

Hu, hu! Aż puszczyki huczą nad naszą przeszłością z jej głupiemi białemi dworkami i z jej głupią prababkowską moralnością.

Ogromna sala filharmonii była na owym sądzie tak pełna, że trzeszczała z nadmiernego ciężaru, jak stara buda. Krzesła trzeba było przystawiać, w gankach ludzie stali, a mimo to odchodziły od kasy bez biletów tłumy strapione.

Żachnęła się na to prasa zachowawcza. Dlaczego? Byłże tłum kiedykolwiek inny, i ten intelligentny i nieintelligentny, i ten, co jeździ karetami albo chodzi pieszo? Tłum poleci na każde »ciekawe« widowisko, gapi się na wszystko wybałuszonemi oczami, bawi się nawet szubienicą.

Niema czego lamentować. Każda rewolucya ciągnie za sobą ogon przeróżnych śmieci, zanim ludzie wrócą ostatecznie do rozumu. I nam obrzydnie wkońcu ta denerwująca anarchia pojęć i uczuć, ta orgia brudu i dusza ludzka przypnie znów do ramion białe skrzydła.

*Teodor Jeske-Choiński.*

Druk ukończono 15 grudnia 1909.

# Z POWODU JUBILEUSZU „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".

Jak już pisałem Szanownej Redakcyi, przytrzymany byłem w Rzymie febrą właśnie wówczas, gdy już się zbliżał ostatni czas, aby Wam przesłać słów kilka z okazyi jubileuszu »Przeglądu«.

Skoro nie mogłem słów kilku przysłać Wam na gwiazdkę, to pozwólcie, że dziś je przyniosę, jako noworoczne życzenia. Zamknę je w jednem zdaniu: Niechaj »Przegląd« nadal trzyma się tych dróg wytyczonych, które mu świeciły jeszcze w jego kolebce, a potem towarzyszyły mu aż do dziś.

Pozwólcie, że moje życzenia krótko uzasadnię.

Sto tomów książek rzucić w przeciągu ćwierćwiecza w świat, w różnych odstępach czasu, toby się już złożyło na zasłużony jubileusz pracy.

Ale tych sto tomów powiązać nie tylko zewnętrzną okładką, lecz czemś więcej, powiązać jedną przewodnią ideą, która tętni i drga nawet tam, gdzie nie jest wyraźnie mówioną, której echa grają zarówno w wielkich artykułach, jak i najmniejszych notatkach, to już jest coś więcej, jak jubileusz pracy.

To jubileusz idei, która wśród tych poćwiertowanych tomów żyje jednolita, która wśród najróżnorodniejszych artykułów literackich, historycznych, filozoficznych, teologicznych i powieściowych, przebija się jako organizm harmonijnie spojony.

A na takiej idei jednej oparł »Przegląd« swe życie i swój rozwój.

Tą ideą to chrześcijańska zasada.

Powiedział Lemaitre o Veuillocie, że on miał coś z geniuszu

w sobie, bo umiał najróżnorodniejsze przejawy życia zawsze sprowadzić do jednej przewodniej myśli.

Ta zdolność musi być przymiotem i warunkiem nieodzownym każdego pisma, co z wyżyn Chrystusowej idei rozświetla wszelki objaw życia społecznego, duchowego czy artystycznego.

I bez pochlebstwa muszę to dziś powiedzieć, na Wasz jubileusz, żeście się z tego trudnego posłannictwa wywiązali.

A tem ono trudniejsze, że pismo, które wzięło na się nazwę »Przeglądu« i to »Przeglądu Powszechnego« musiało rejestrować najróżnorodniejsze życia przejawy, — prawdziwie powszechne życie Kościoła i społeczeństwa wziąć pod swą obserwacyę, wychodząc zaś co miesiąca winno ono było zarazem mieć nerw dziennikarski, który przychwytuje życie nie jakieś przeszłe ale dzisiejsze, które niejako nie narzuca się życiu, ale pozwala bieżącej chwili narzucić się sobie. Mając zaś z dziennikarstwem wspólny obowiązek aktualności, winno takie pismo i odciąć się zarazem od charakteru dziennikarstwa a odciąć się przez to, iż nie wejdzie w zgiełkliwą walkę namiętności politycznych czy innych a także i przez to, że regestrując raz w miesiąc życia przejawy, regestruje je z wysokiej wieżycy, wnika, analizuje i pogłębia.

Ale to, co dotąd powiedziałem o Waszem piśmie, że jego osią jest chrześcijańska zasada, jeszcze określa za mało. Chciałbym się pokusić o to, żeby podchwycić jego zbiorowy charakter i ująć go w jeden rys przewodni a znamienny tak, jak ujmuje się charakter jakiejś osoby.

Znamię charakterystyczne, zdaje mi się, tkwi właśnie w sposobie, w przystosowywaniu fenomenów życia do Chrystusowej zasady i naodwrót.

Święty Augustyn mówiąc o haśle katolickiem, definiuje je swym lapidarnym stylem: *In necessariis unitas — in dubiis libertas — in omnibus charitas.*

Jeśli wyciągniemy z tego zdania to, co Święty opowiada o wolności, to ta ma właśnie w dziedzinie katolickiej myśli ogromnie szerokie przystosowanie. Ale podaję tutaj dwa zasadnicze kierunki w ocenieniu i krytykowaniu fenomenów intellektualnego i społecznego i artystycznego życia.

Można w dwojaki sposób do chrześcijańskiej zasady przymierzać życie. Albo z wyżyn ideału patrzeć na różne kierunki duchowe, i wciąż wołać to złe a to nizkie, a to tej zasadzie nie odpowiada, i prawie wyłącznie się wysilić na wypatrzenie różnic i potępienie błędów, albo też jeszcze inaczej: nie usuwać krytyki, tylko używać jej metod, stosownie do danej sprawy; pamiętać zwłaszcza na pewną metodę a to metodę, jakiej typ znajdziemy w Ewangelii, w powiedzeniu Chrystusowem: »Niedalekoś jest od królestwa Bożego«.

Ten, do którego Chrystus przemawia, jeszcze stoi zdala od samej prawdy, ale już ma z nią duchowe pokrewieństwo przez pewne wspólne ideały. Chrystus tedy zamiast wyciągnąć samą różnicę, to, co go od prawdy dzieli, wydobywa na wierzch to właśnie, co go z prawdą łączy, jakkolwiek równocześnie w powiedzeniu swem »niedaleko« zamyka i krytykę samą.

Chrześcijańska zasada potrzebuje niezawodnie tego i domaga się od katolickiego pisma, by różnice między błędem a nią jasno były zarysowane i śmiało podkreślone. W walce zaś z błędem czy też ze złą wolą musi ona przybrać i siłę w sposobie wypowiedzenia się. Mnóstwo możnaby też przytoczyć stron »Przeglądu Powszechnego«, na których w ten sposób chrześcijańska zasada wypowiadała się. Lecz nie jest też odstępstwem od niej, przeciwnie jest jej wzmożeniem i zasileniem ta metoda, która równocześnie wszędzie, gdzie się to uczynić da, wyławia złote okruszyny prawdy i niemi zdobi dyadem Chrystusowej zasady a przynajmniej wykazuje duchową analogię i pokrewieństwo.

I czyż inna była zasada Kościoła, stosowana wśród wieków do różnych form życia? Nie burzył ich i nie kruszył Kościół, ale przeciwnie brał stamtąd, co się brać dawało, tak że nieraz na chwilę mogło być złudzenie, że się już zidentyfikował z obcą mu formą.

Ale to tylko złudzenie. Kościół bowiem rozpoznał w lot, że w tym czy owym duchowym prądzie kryje się pierwiastek, co z jego własnego wyszedł ducha, i bierze go w swe ręce, oczyszcza go, przetapia, by potem już uduchowione na swoje postawić Ołtarze.

A powiem, że ten sposób przystosowania Chrystusowej zasady odpowiada zarówno wielkiej tradycyi Kościoła, jak i potrzebie indywidualnej społeczeństwa polskiego.

Nawet nie wiemy ile to posiewu chrześcijańskich tradycyi w sercach naszych drzemie? Ile ich przewija się złotymi, choć nieraz ukrytymi szlaki w literaturze, w myślicielstwie i sztuce? Nie przeoczać tych szlaków, owszem wypatrywać je — ślady na nich wytłoczone przez ducha znaczyć w lot a podkreśliwszy różnicę jednak wkońcu wołać: »Wyście niedalecy od królestwa Bożego!« oto sposób, który nieraz odpowiada już psychologicznej potrzebie społeczeństwa, dla którego się »Przegląd« wydaje i pisze.

To, co tu mówię, mógłbym wykazać na różnych artykułach, które wyszły w »Przeglądzie« w ciągu tego dwudziestopięciolecia. Ale myślę, że to zbyteczne. Lecz nie tylko co do treści, nawet co do formy samej umieliście się do tej przewodniej myśli przystosować. Dość spojrzeć na te różne nazwiska, znaczne w naszej literaturze, w naszem życiu umysłowem i politycznem, które są podpisane już to pod artykułami, już też na przesłanych Wam życzeniach, w ostatnim zeszycie jubileuszowym.

Tyle piór świeckich! Czyżby się one były w Waszem piśmie znalazły, gdyby nie ta właśnie Wasza metoda, która ścisłość i wierność chrześcijańskiej zasadzie umie kojarzyć z szeroko pojętą wolnością i sprzęgać z duchem asymilacyjnym tak Chrystusowej zasadzie właściwym a tak szczytnie i czysto pojętym.

Z pewnością, że nie!

Moglibyście się byli śmiało zamknąć we własnem tylko zakonnem kółku piszących; niktby Wam z tego zarzutu nie mógł uczynić. Moglibyście się byli w Waszym programie ograniczyć do zwalczania samego błędu w granicach teologicznej dyskusyi. Pismo Wasze miałoby i wtedy swoją racyę i odpowiadałoby potrzebie, ale ani w jednym ani w drugim wypadku nie byłoby ono *par excellence* »Przeglądem Powszechnym«, nie sprzęgałoby w sobie tyle na pozór nieraz rozbieżnych kierunków, nie asymilowałoby w Chrystusowej zasadzie tyle rozpierzchłych pierwiastków i nie byłoby też tak odczute przez społeczeństwo a tem samem tak czynne i działające w niem, jak jest.

Dzięki zaś temu, żeście i świeckie pióra wprzęgli do warsztatu Waszego, Chrystusowa zasada bogaci się Waszem pismem w ten barwny koloryt wciąż nowy i świeży, jakie jej znoszą pióra, które nieraz daleko bliżej dotykają się życia i świata, aniżeli choćby najprzedniejsi pisarze zakonni ku temu sposobność odnaleźćby mogli.

Stąd dyskusya zasad łączy się z bezpośredniem odczuwaniem najsubtelniejszych ruchów bieżącego życia.

Stąd także wpływ i na samą aktualność pisma.

Przypominam sobie »Przegląd« w jego pierwszych latach istnienia. Czasem biadało się nad tem, że niema tego czy tamtego artykułu o jakiemś zdarzeniu, które wymagało dyskusyi, albo że jest jakiś artykuł, bez któregoby obejść się można było śmiało. Dzisiaj właśnie uderza w piśmie aktualność artykułów, ten tak trudny dla pisma miesięcznego ale także tak niezbędny warunek jego wpływu i jego rozwoju.

Jest to zapewne zasługa i talent obecnej Redakcyi, zasługa, obfitym znojem i ciężką pracą zdobyta, która w tem tkwi, by przez inicyatywę, przez organizacyę piszących a z drugiej strony przez odczuwanie potrzeb chwili i potrzeb Kościoła i społeczeństwa, umieć pismo aktualnem uczynić. Ale jest to także dowód rosnącej sympatyi dla pisma, które dzięki rosnącej klienteli sił intellektualnych może z łatwością w każdej bieżącej kwestyi się wypowiadać.

Oto w czem, mojem zdaniem, tkwi tajemnica przewodniego charakteru wpływu i rozwoju Waszego pisma.

Jako *post scriptum* muszę jeszcze jedno dodać a raczej podkreślić, to jest wysiłki i ofiary moralne, któreście w to pismo włożyli.

Każdy, kto bliżej dotknął się charakteru piśmiennictwa, ten wie, że ono wymaga nie tylko rozumu ale bodaj czy nie w równej mierze i moralnej cnoty. Zakulisowe tajniki redakcyi i historya niejednego artykułu nie wygląda wcale tak gładka i prosta, jak on sam odbity na maszynie i na lśniącym papierze.

Pomieszczenie czy nie pomieszczenie tego czy tamtego artykułu nieraz się schodzi z kwestyą zasadniczą, czy wystąpić prze-

ciw prądom a może w części przeciw własnym najbliższym korzyściom, byle oddać świadectwo idei, czy też się cofnąć.

Nie moją tu rzeczą oczywiście pytać niedyskretnie Redakcyę, czy takie kolizye były, a jeśli były, to gdzie i kiedy, w każdym atoli razie ujęcie szerokie chrześcijańskiej zasady i wprowadzenie Chrystusa we wszystkie dziedziny życia umysłowego i socyalnego musiało niejedną walką wewnętrzną i niejedną ofiarą być okupionem.

Krzyże Redakcyi, choć osłonione tarczą pięknie wydanego numeru, są jednak nieraz dotkliwe.

Mają one swój osobny charakter i znamię, i nie może być inaczej, bo rodzeniu się i kształtowaniu idei musi towarzyszyć ból rodzącego je i kształtującego ducha, który nieraz w poprzek małych interesów krótkich horyzontów musi sobie torować drogę i wśród gąszczy, parowów, układać jasny, szeroki gościniec.

Tu już w tej zasłudze bierze udział nie tylko Redakcya najbliżej dotknięta, ale i ci, co Zgromadzeniem kierują.

Bo wogóle pismo przez Zakon wydawane a Zakon tak organicznie zespolony jest zawsze probierzem ducha Zakonu danej prowincyi.

Powiedziałem powyżej, że nie moją rzeczą wchodzić w tajniki wewnętrznych impulsów, za jakimi ścierać się musi Redakcya pisma, ale przecie dla illustracyi, nie naruszając tego mego stanowiska, pozwolę sobie jednak pewne ślady na zewnątrz widoczne przytoczyć, na przykład, stanowisko »Przeglądu Powszechnego« do kwestyi socyalnej.

Pamiętne encykliki Leona XIII już znalazły »Przegląd« przygotowany do przyjęcia idei socyalnej papieża.

Skoro się pojawiły, »Przegląd« staje się chorążym kierunku socyalnego w myśl dyrektyw papieskich.

To coś bardzo naturalnego, powie ktoś; lecz dodam: to wcale niełatwe. Wiadomo bowiem, że wogóle w świecie katolickim ścierały się na tej miedzy zdania i poglądy wśród katolików nawet najgorliwszych, a nie brakło takich, którzy nieświadomie byli owiani miazmatami szkoły liberalnej — albo, którzy pracę nad ludem pojmowali tylko jako filantropię. Więc nieraz wierność dla

sztandaru okupywało się ofiarą wewnętrzną. Może nawet czasem jakiem narażeniem się mimowolnem tym, z którymi szło się dotąd razem.

Oczywiście tego nie wiem, ale przypuszczać mi jednak wolno

Na tym przykładzie zamknę też mój wywód.

Powiecie mi, mówiłeś o życzeniach na przyszłość a tymczasem wszystko się tutaj odnosiło do przeszłości. Tak! ale celem moim właśnie było pochwycić rys tej przeszłości ten właśnie, który, mojem przynajmniej zdaniem, jest jedynym warunkiem dalszego rozwoju pisma.

Kończę więc życzeniem: Zostańcie w piśmie tem, czemeście dotąd byli a tylko starajcie się ulepszać coraz więcej pismo, zyskiwać coraz nowe zastępy jego przyjaciół i współpracowników.

W tem życzeniu dla Was a równoczesnym apelu do społeczeństwa zamykam me powinszowanie na poczynający się nowy korowód lat, które na razie niechaj się złączą w przyszłości w jubileusz Waszego pisma złoty.

*Arcybiskup Teodorowicz.*

# Z POWODU POGLĄDU PRUSA NA KWESTYĘ ŻYDOWSKĄ

Kwestya żydowska zaczyna poważniej zajmować nasze społeczeństwo. Widoczne jest to choćby i z tego, że kilka pism warszawskich i lwowskich przedrukowało główne myśli mego artykułu »Kwestya syonizmu«, a równocześnie niemal, stając na przeciwnem stanowisku, sprawą żydowską zajęli się inni autorowie. Między innymi zabrał głos Bolesław Prus w *Tygodniku illustrowanym*.

Bolesław Prus należy do tych, szczęściem nielicznych u nas pisarzy, którzy kreując się samowolnie sędziami społeczeństwa, są nader surowi dla własnego narodu, a nadmiernie pobłażliwi dla jego wrogów. Nie było w ostatnich latach sprawy ogólnonarodowej, w którejby tak popularny dawniej w Warszawie powieściopisarz, nie szedł wbrew uczuciom i dążeniom własnego społeczeństwa. Przypominam tylko akcyę bojkotową, przeciwko której p. Prus wystąpił bardzo gwałtownie, nie mówiąc już o sprawach wewnętrznej w Królestwie polityki. Zupełnie analogiczne stanowisko zajmuje on także w kwestyi żydowskiej. Judaizm, jego zdaniem, jest tak idealnym, że »skoro żyd odezwie się w literaturze, możesz usłyszeć poglądy bardzo humanitarne, w tych bowiem ludziach pełnym blaskiem jaśnieje idea judaizmu«. Natomiast myśmy tylko winni, że żydzi zajmują tak nieprzychylne dla nas stanowisko, bo »gdybyśmy się stali doskonalszymi, nasz głos wobec żydów miałby większą wagę«. U nas jest wszystko złe, rolnictwo, rzemiosła i fabryki, porządki domowe i żywność

ludu, wychowanie i zwyczaje towarzyskie, literatura i sztuka, wreszcie nasza logika i woskowe charaktery. Więc, powiada p. Prus, zmieńmy się, udoskonalmy się, a nie będziemy niezadowoleni z całego świata. Żydzi nie potrzebują się poprawiać, bo posiadają ideę judaizmu, to też cała wina leży po naszej stronie. Logicznie wynikałoby chyba, że naszem dążeniem powinno być również przejęcie się judaizmem, do tego stopnia, ażeby i w nas zajaśniał pełnym blaskiem.

Rzeczywiście p. Bolesław Prus wystawia sobie judaizm w sposób tak szczytny, że trudno zrozumieć, dlaczego dopiero chrześcijaństwo stworzyło naszą dzisiejszą cywilizacyę, podczas gdy judaizm był tak dla niej bezpłodny w całym jej dziejowym rozwoju, jakkolwiek odznacza się »silną wiarą w Boga, wysoką moralnością i wielką czcią dla pracy umysłowej«. Szkoda, że szanowny autor nie wyjaśnił dlaczego w życiu publicznem wszystkich narodów judaizm zaznacza się przejawami tak dyametralnie sprzecznymi ze swą istotną, według p. Prusa, treścią. Bo przecież właśnie tych uwielbianych przez Prusa żydów francuskich i niemieckich widzimy w pierwszym szeregu zastępów szerzących ateizm. Oni to także w prasie, w poezyi, nauce i literaturze wypowiedzieli wojnę naszym najprymitywniejszym poglądom na moralność publiczną, a statystyka kryminalna różnych krajów dowodzi, że w występkach, popełnionych z chęci zysku, udział żydów jest znacznie wyższy, niżby być powinien w stosunku do ich liczby. Wreszcie powszechnie wiadomą jest rzeczą, że głównym celem ogromnej większości żydów, jest zdobycie jak największych zasobów materyalnych, że starają się oni opanować przedewszystkiem te posterunki, które dają największe pieniężne zyski, a więc handel, przemysł, instytucye finansowe, giełdę i t. p. Czyż to wszystko nie jest wręcz sprzeczne z twierdzeniami kronikarza z *Tygodnika illustrowanego*?

Lecz w wywodach p. Bolesława Prusa jest rzeczywiście jedno spostrzeżenie słuszne i prawdziwe, mianowicie zaakcentowanie judaizmu, jako głównej osi, około której obraca się cały spór pomiędzy żydami, a wszystkiemi innemi społeczeństwami. Judaizm jest istotnie tą przepaścią, która oddziela od żydów

dzisiaj tak Polaków, jak Niemców, Francuzów i t. d., podobnie jak niegdyś oddzielała od nich Persów, Greków i Rzymian. Bądź co bądź jest to uderzającem, że niechęć do żydów była i jest powszechną tak w czasie jak i w przestrzeni, że kwestya żydowska występowała i występuje u wszystkich narodów i we wszystkich czasach. Tego nie wyjaśni się ani narodowością, ani rasą, ani religią, ani względami gospodarczymi — powodem może być tylko coś, co w stosunku do wszystkich innych jest cechą zasadniczo odróżniającą i wszystkim niesympatyczną — a takiem znamieniem jest właśnie judaizm.

Zdaje mi się, że istotę judaizmu można najlepiej określić zdaniem, że judaizm jest sobkostwem ducha społecznego, doprowadzonem do ostatecznych granic, jest zasadą zbojkotowania wszystkich i wszystkiego, co tylko nie jest żydowskiem. Oczywiście odnosi się to tylko do działalności w dziedzinie publicznej, bo ci sami ludzie, którzy w życiu publicznem stosują takie zasady, mogą być ofiarni i litościwi w zetknięciu prywatnem, lecz ze stanowiska ogólnego tylko publiczna strona ich akcyi ma dla nas doniosłość.

Ten egoistyczny charakter judaizmu jest naturalnym wynikiem jego ekskluzywności narodowo-rasowej. Podobnie jak niegdyś, w epoce feudalizmu, stanowość doprowadzała do systematycznego pomijania potrzeb i łamania praw warstw niższych, tak i żydzi, tworząc dawniej terytoryalnie, a dzisiaj społecznie zwartą i zamkniętą w sobie grupę ludności, liczą się wyłącznie z własnym tylko interesem. Obojętną zupełnie jest rzeczą, w jakim stopniu stosują oni zasady etyczne we wzajemnych stosunkach pomiędzy sobą, wystarcza najzupełniej zaznaczenie, że w zetknięciu z ludnością chrześcijańską, nie czują się skrępowani temi prawidłami, uważając ją za coś zupełnie obcego, nie posiadającego żadnego prawa do jakichkolwiek względów, któreby utrudniały w czemkolwiek rozwój żydowstwa. Stanowisko to można przyrównać w pewnej mierze do postępowania niektórych narodów bardzo egoistycznych w dziedzinie międzynarodowej. Tak Anglicy, strzegąc najskrupulatniej wolności indywidualnej i politycznej u siebie, nie wahali się nigdy popierać zagranicą najgorszego nieraz despotyzmu, skoro tylko

w ten sposób mogli osiągnąć dla siebie choćby mierne tylko korzyści. Różnica jednak tkwi właśnie w tem, że tam chodziło o stosunek do zagranicy, do obcych, podczas gdy żydzi, stosując tę metodę do chrześcijan i traktując ich w gruncie rzeczy jako element obcy, równocześnie domagają się, ażeby w teoryi i praktyce przyznać im wszystkie prawa, które z natury rzeczy mogą być jedynie udziałem rzeczywistych członków społeczeństwa.

Stosowanie dwóch miar w życiu publicznem, jednej dla siebie, drugiej dla wszystkich innych, jest najzupełniej widoczne w całej historyi żydowskiej i właśnie to stanowisko wywołało tak powszechną niechęć do wszystkiego, co jest żydowskie. Wskutek swego egoistycznego, ciasnego stanowiska, żydzi siłą rzeczy doszli do tendencyi dominacyi, którą starali się wprowadzić w życie, wzmacniając wszelkimi środkami siebie, a osłabiając wszystkich innych. Tem tylko można wytłumaczyć cały szereg zjawisk, które w ostatnich lat dziesiątkach złożyły się na zaognienie kwestyi żydowskiej, a więc zajęcie najważniejszych, a przedewszystkiem najzyskowniejszych dziedzin życia ekonomicznego, opanowania prasy i publicystyki i szerzenia w niej idei niezdrowych lub wprost rozkładowych, wreszcie objęcie kierującego stanowiska w tych stronnictwach rewolucyjnych, które zmierzają do obalenia naszego ustroju społecznego, prawnego, religijnego i narodowego.

Szczególniej stanowisko swe w prasie wyzyskali żydzi w sposób wybitnie rozkładowy. Doprowadziwszy do bezgranicznej niemal pomiędzy sobą solidarności, rozpoczęli równocześnie gwałtowną walkę przeciw wszystkiemu, co stanowi ideową spójnię wszystkich innych społeczeństw lub wytwarza tęgość charakterów. Nie mogę tu szczegółowo omawiać tej kampanii, którą prowadzą żydzi już drugie stulecie, ograniczam się więc do zaznaczenia, że chodzi w niej przedewszystkiem o usunięcie wszelkich takich szlachetniejszych prądów i dążeń, które mogą się stać czynnikiem grupującym ludzkość, a zastąpienie ich hasłami, prowadzącemi do zupełnego jej zatomizowania. Jasną jest rzeczą, że gdyby ten cel udało im się osiągnąć, stanęlibyśmy zindywidualizowani, rozbici, a więc

bezsilni wobec potężnej, o rasowo-religijny łącznik opartej solidarności żydowskiej.

W tym właśnie celu propagują żydzi ideę humanitaryzmu, która tak potężny wpływ wywiera na p. Bolesława Prusa. Ich humanitaryzm jest podniesieniem człowieka jako jednostki do rzędu bóstwa, jest postawieniem, w miejsce wszystkich naszych zasad etycznych, społecznych i religijnych, indywidualnych dążeń i pragnień niczem nie skrępowanych, bo jak twierdzą, zawsze zdążających do doskonałości. Rozpoczyna się więc przedewszystkiem atak na najsilniejszą, bo najogólniejszą podstawę stosunków społecznych, na każde wyznanie, jasno określone i silną wyposażone organizacyą. W jego miejsce, jeżeli już nie można dojść do zupełnego wykorzenienia wiary, propaguje się przynajmniej mglisty deizm, w którym w gruncie rzeczy jest tyle rozmaitych Bogów, ile mamy odmiennych indywidualnych zapatrywań. Przecież powszechnie wiadomą jest rzeczą, że literatura i prasa żydowska zwraca się z taką nienawiścią do wszystkiego, co tylko choćby luźnie łączy się z katolickim kościołem. Żydzi wkładają w swą akcyę za wiele wytrwałości i metody, ażeby tłumaczyć to tylko przypadkiem; a historya żydowska dowodzi, że co najmniej mogą mieć równy żal do społeczeństw protestanckich i schyzmatyckich, jak do katolickich. A jednak nikt chyba nie zaprzeczy, że zachowując się względem tamtych wyznań obojętnie, lub sporadycznie tylko występując przeciw niektórym ich zasadom, bez przerwy uderzają całą siłą w katolicyzm, jak gdyby w nim widzieli swego głównego, najniebezpieczniejszego wroga. I tak też jest w istocie, bo podczas gdy protestantyzm doprowadził do racyonalizmu lub przynajmniej rozbił się na tysiączne drobne i słabe odłamy, a schyzma, opanowana przez rządy i wyzyskana w celach państwowych stała się zwykłem narzędziem politycznem, katolicyzm nie tylko nic nie stracił ze swej ogólno-społecznej doniosłości, lecz wręcz przeciwnie jego znaczenie w tej dziedzinie jeszcze spotężniało w ostatnich czasach. To też głównie przeciw niemu prowadzi się walkę i to w sposób bardzo charakterystyczny. Publicystyka, opanowana przez żydów, występuje wogóle przeciw katolickim dogmatom, starając się przedstawić je w ten sposób, jak gdyby

wierze w nie sprzeciwiały się tak nowoczesna cywilizacya jak i zdrowy rozsądek. Cel tej metody jest jasny, chodzi bowiem o pozorne ośmieszenie podstaw katolickiej religii, ażeby odstręczyć od niej tych wszystkich, którzy, niezdolni do samoistnego sądu, niczego tak się nie obawiają, jak zarzutu, że nie idąc z postępem kultury i nauki, są zacofani. Ten rodzaj walki jest jednak w gruncie rzeczy drugorzędny i używa się go rzadziej, raczej dla udowodnienia, że całą akcyę przeciw katolicyzmowi podjęło się w obronie nauki, aniżeli dla bezpośredniego osiągnięcia poważniejszych rezultatów. Natomiast na pierwszy plan wysunięto wojnę z papiestwem, którą prowadzi się bez przerwy wszelkimi środkami. Gdyby żydom chodziło rzeczywiście tylko o cel wyznaniowy, walka przeciw papieżowi i jego władzy, byłaby niemal zupełnie zbyteczna. Z chwilą obalenia ideowych podstaw katolicyzmu, upadłaby władza papieska samą siłą rzeczy, bezpośrednia z nią rozprawa jest więc próżnem marnowaniem sił i czasu. A jednak każdy ważniejszy krok Rzymu, spotyka się natychmiast z najzjadliwszą i najgwałtowniejszą krytyką tego odłamu prasy, każdy służy do tego, ażeby prymat papieski przedstawić jako wroga swobody myśli, najdrogocenniejszego dobra ludzkości, jako prototyp i najsilniejszą dźwignię wszelkiej reakcyi i despotyzmu. Przecież autorowie tych ataków, którzy tak głośno wołają, że oni są jedynymi orędownikami nauki i kultury ludzkiej, muszą chyba widzieć, że w katolicyzmie hierarchia jest ustrojem, który stoi i upada wraz z samą swą podstawą, t. j. ogółem dogmatów religijnych. Republikanin nie atakuje króla, tylko monarchię, zasadnicza opozycya nie zwalcza rządu, stosującego prawo, lecz samo ustawodawstwo, w polemice naukowej nie zaczepia się autora, lecz tezę, którą on głosi. Dlaczegóż tutaj walka przeciw Rzymowi jest bez porównania bezwzględniejsza, aniżeli przeciw zasadom, na których się papiestwo opiera? Jedną tylko można dostrzedz tego przyczynę, ale najzupełniej wystarczającą, bo najściślej związaną z istotnym celem całej tej falangi. Oto o rozbiciu społeczeństw katolickich dopóty nie można marzyć, dopóki wszystkie indywidualne różnice zdań i wszelka rozbieżność zapatrywań w dziedzinie wyznaniowej i etycznej, nie będzie miała definitywnego charakteru. A władza pa-

pieska, wyposażona w bezwzględne prawo ostatecznego rozstrzygania wszystkich w tym kierunku sporów i wątpliwości, władza, która mimo wszystko posiada istotnie ogólny posłuch w całym katolickim świecie, odbiera wszystkim, nieraz z wielkim mozołem wytworzonym prądom odśrodkowym, jakąkolwiek ogólniejszą doniosłość. Zdawałoby się nieraz, że nowy jakiś ruch, kryjący w sobie rozkładowe momenty, jest już tak silny, iż można go uważać za początek rozbicia katolickiego Kościoła. Wtem Rzym wydaje wyrok i wszystkie nadzieje jego wrogów pryskają jak bańka mydlana; okazuje się po raz tysiączny, jak kruchem było rusztowanie na którem stali ci, którzy marzyli już o końcu katolicyzmu — wszyscy bowiem, nie wyłączając najczęściej i widomych twórców potępionej tezy, poddają się bez wahania orzeczeniu Papieża. Więc dla tych, którzy w katolicyzmie dlatego widzą wroga, że jednoczy on społeczeństwa, a przezto zapewnia im żywotność i siłę odporną wobec jakichkolwiek ataków, najważniejszym celem walki staje się z konieczności obalenie powagi papieskiej. Lecz właśnie fakt, że kampanii żydowskiej ten cel najwyraźniej przyświeca, dowodzi najlepiej, że nie chodzi jej o stronę religijną, lecz o korzyść praktyczną. Nie zmierza ona do bądź co bądź szlachetniejszego celu, jakim byłoby uwolnienie ludzkości od błędnych, zdaniem tych autorów, wyobrażeń transcedentalnych, lecz po prostu do osłabienia swych przeciwników w dziedzinie praktycznego życia publicznego, do zniszczenia węzłów solidarności pomiędzy nimi — ażeby, przeciwstawiając rozbitym na poszczególne jednostki społeczeństwom chrześcijańskim zwarte szeregi żydów, doprowadzić je tem pewniej do zwycięstwa.

W tym samym duchu podjęto w ostatnich czasach walkę przeciwko ideałom narodowym, również pod płaszczykiem humanitarnych haseł ogólno-ludzkich. Bój na dwa fronty, przeciw religii i narodowości, wydawał się z pewnością kierownikom całego tego ruchu grą zbyt niebezpieczną, stąd też całą akcyę rozdzielono na etapy. Rozpoczęło się od zwalczania wyznania, raz dlatego, że w ten sposób teren był ograniczony tylko do narodów katolickich i można było liczyć na sporadyczną przynajmniej pomoc pewnych grup protestanckich, a powtóre także ze względu na to, że właśnie

w czasie, gdy, dzięki wzmożonemu wpływowi prasy, opanowanej przez żydów, wojna ta przedstawiała poważniejsze szanse zwycięstwa, idee narodowe tak potężnie się rozwinęły, że występowanie przeciwko nim było bardzo niebezpieczne. Szerzenie kosmopolityzmu mogło odstręczyć od żydów wszystkich, stąd też nie podnoszą oni na razie tego hasła, lecz wręcz przeciwnie, należą do najgorliwszych wyznawców gorącego patryotyzmu. Istotny i trwały rozwój uświadomienia narodowego nie jest jednak dla nich pożądany, to też korzystają z pierwszej sposobności, ażeby wystąpić otwarcie przeciwko ideom narodowym. Z bardzo skuteczną pomocą przychodzi im tutaj socyalizm. Karol Marx, który jak wiadomo był pochodzenia semickiego, wprowadza do socyalizmu zasadę walki klasowej, a tem samem międzynarodowej solidarności robotników, zwróconej przeciw warstwom posiadającym. Wzrost socyalizmu w ten sposób pojętego, musi podkopać patryotyzm narodowy właśnie w tych sferach ludności, po których uświadomieniu najwięcej sobie obiecywano, t. zn. w szerokich warstwach ludowych. Jasną bowiem jest rzeczą, że hasło — wszyscy robotnicy są braćmi, wszyscy zamożniejsi ich wrogami — nie robiąc żadnej różnicy między ziomkiem a cudzoziemcem, podkopywało w wysokim stopniu poczucie przynależności narodowej, zastępując je kosmopolitycznem i wybitnie egoistycznem zaakcentowaniem klasowej wspólności interesów materyalnych. Żydzi od samego początku wchodzą tłumnie w szeregi socyalizmu i wkrótce zaczynają kierować całym ruchem. Skłoniły ich do tego najpierw momenty natury gospodarczej, bardzo dla nich doniosłe. Socyalizm wypowiedział wojnę przedewszystkiem przedsiębiorcom przemysłowo-handlowym i kapitalistom, a więc tym właśnie grupom ludności, w których żydzi od dawna zajmowali nader wybitne stanowisko. Takie pokierowanie tym nowym ruchem, ażeby możliwie najpewniej utrzymać swój stan posiadania, musiało przedstawiać dla nich pierwszorzędny interes. Środkiem mogło być gwałtowne zgniecenie socyalizmu z zewnątrz, albo opanowanie go przez przystąpienie do niego i poprowadzenie go w korzystnym dla siebie kierunku. Żydzi wybrali drugi sposób, z ich punktu widzenia niewątpliwie właściwszy. Własnie też przez to nie tylko odwrócili grożące im niebez-

pieczeństwo, lecz nawet potrafili wyzyskać socyalizm w swych specyalnych celach, osłabiając przy jego pomocy uczucia narodowe ludności chrześcijańskiej. W akcyi tej dałoby się odróżnić dwa okresy. W pierwszym, nie zwalczając jeszcze narodowości, jako czynnika odrębności i solidarności społecznej, podkreślało się jedynie wysokie etyczne i kulturalne znaczenie ogólno-ludzkiego braterstwa, którego żadne drugorzędne względy zaciemniać nie powinny. Cały świat cywilizowany, mówiło się wtedy, stanowi jedno wielkie społeczeństwo, które stale zdąża po drodze postępu ku coraz wyższej szlachetności i doskonałości. Kwestyi narodowej nie podnoszono, lecz samo przeciwstawienie względnie nielicznej grupy narodowej i drobnych stosunkowo jej celów ogólno-ludzkim, potężnym ideałom wystarczało, ażeby wywołać wrażenie, że ogólno-ludzki humanitaryzm jest czemś bez porównania wyższem, a co ważniejsza, że wrogie sobie nawzajem aspiracye, różnych narodów utrudniają niewymownie zbliżenie się do wielkiego ideału wszechludzkiego. Równocześnie drugi odłam tej publicystyki prowadzi politykę jak najbardziej szowinistyczną, propagując zasadę bezwzględnego egoizmu narodowego, depcącego wszystkie prawidła etyki. A gdy pod wpływem takich haseł walka narodowa pełnym wybucha płomieniem, wtedy w pierwszej grupie pojawiają się głosy, zwracające uwagę na szkody, które spory narodowe wyrządzają postępowi, kulturze i dobrobytowi, wtedy stwierdza się na bijących w oczy przykładach, jak drobnym i błahym był nie raz powód całego roznamiętnienia. W ślad za tem idzie przedstawienie w świetnych barwach dobroczynnych skutków pokoju narodowego i projekty reform, któreby go zapewniły. Wszystkie one, gdziekolwiek i kiedykolwiek podawano je z tej strony, są nader do siebie podobne, bo wszystkie zmierzają do jednego celu, do zniszczenia, lub przynajmniej do uśpienia energii narodowej. Dlatego to rzucono myśl granic etnograficznych, w przeciwstawieniu do praw historycznych, dlatego mówi się u nas o t. zw. autonomii narodowej, mającej zastąpić krajową Po prostu chodzi o to, ażeby narody wyrzekłszy się nadziei jakichkolwiek zdobyczy i porzuciwszy wszelką myśl o odzyskaniu dawniejszej świetności, zatraciły zarazem cel, któryby skupiał ich siły i utrzy-

mywał u ogółu poczucie wspólności, solidarności, wzajemnej do siebie przynależności. Bo wszelka stanowcza rezygnacya siłą rzeczy prowadzi do zaniku energii społecznej, zastępując wspólne ideały wszystkich, interesem indywidualnym jednostek. A ponieważ nasze interesy i dążenia osobiste tak są powikłane, że sprzeczność ich pomiędzy sobą występuje aż nazbyt często, więc brak narodowego celu rozbija zarazem społeczeństwo na rywalizujące tylko z sobą, a więc zawsze słabe jednostki. Wspólną pomiędzy niemi pozostałaby tylko idea ludzkości, od której przedział jednostki jest tak znaczny, że pozostanie zawsze dla przeważnej większości tylko frazesem, bo już względy czysto praktyczne jak różnice językowe, obyczajowe i t. p. utrudniają w nader wysokim stopniu rzeczywiste jej odczucie. Jedyne racyonalne przejście do uczuć ogólno-ludzkich stanowi narodowość, tak jak rodzina i inne czynniki grupujące ludzkość w mniejszych rozmiarach, stanowią główną dźwignię rozwoju idei narodowej. Osłabiając węzeł narodowy na rzecz kosmopolitycznego humanitaryzmu, zastępujemy łącznik rzeczywiście istniejący abstrakcyą, która posiada wprawdzie nazwę, lecz w którą nie wkłada się żadnej treści. A o to właśnie chodzi.

Ta gra nader subtelna, prowadzona z wielką zręcznością przez czas dłuższy, nie pozostaje bez wpływu. Tak pojęty humanitaryzm robi swoje na polu narodowem, podobnie jak oddziałał w dziedzinie religijnej. Uczucia narodowe powoli słabną, zaczyna się coraz częściej dostrzegać w ich przejawach braki; poczyna się od potępiania wybujałego szowinizmu a dochodzi się do krytyki każdej żywszej akcyi narodowej. Wtedy przychodzi kolej na drugi okres, na jawną już walkę z uczuciami narodowemi. Judaizm rozpoczyna ją najpierw tam, gdzie w wojnie wyznaniowej już zwyciężył, gdzie więc przeciąwszy jeden węzeł solidarności społecznej, zabiera się do rozwiązania drugiego. W takim kraju otwarcie już i stanowczo występuje się przeciwko patryotyzmowi i miłości ojczyzny, jako przeciw pojęciom przestarzałym, ciasnym, niegodnym naszych czasów. A kraj taki, właśnie dlatego, iż antireligijny kierunek uzyskał w nim przewagę, przedstawia cała prasa żydowska jako wzór postępu, kultury i cywili-

zacyi. Wszystkie idee, które w nim powstały, powinno się naśladować wszędzie, to też i potępienie patryotyzmu jest tą nową zdobyczą ducha ludzkiego, którą należy przyswoić sobie jak najprędzej. Społeczeństwo, w którem dla takiej akcyi antinarodowej najlepsze znalazły się warunki, bo walką religijną było już przyzwyczajone do wyzuwania się z ideałów, podnosi się najpierw pod niebiosa, ażeby potem zachęcać innych do naśladowania tak wspaniałego pierwowzoru.

Rozwój stosunków francuskich w ostatnich latach dostarcza doskonałej illustracyi dla powyższych wywodów. Rozpoczęto tam od walki religijnej, prowadzonej systematycznie przez dziesiątki lat. Walkę tę podjęto w imię interesów narodowych i społecznych, zarzucając tamtejszemu duchowieństwu ultramontanizm, brak patryotycznych uczuć i dążeń, jakoteż tendencye monarchiczno-absolutne. Propaganda tego aktu oskarżenia, ułatwiona niestety niejednym błędnym krokiem kleru i sfer katolickich, działając z krótkiemi przerwami od czasów wielkiej rewolucyi, osiągnęła wreszcie cel zamierzony, bo w samym początku naszego stulecia podjęło państwo francuskie bezwzględną, niemal eksterminacyjną akcyę przeciw katolicyzmowi. Już pierwsze jej początki okazały, że opór społeczeństwa przeciw tym uroszczeniom państwa nie będzie ani silny ani powszechny, innemi słowy rzeczywistość dowiodła, że we Francyi udało się — przynajmniej na razie — rozluźnić bardzo znacznie węzeł wyznaniowy. Od tej chwili rozpoczyna się tam akt drugi tej samej tragedyi społecznej. Nagle, bez żadnego głębszego powodu — bo przecież cała sprawa Dreyfussa byłaby drobnym, nic nie znaczącym epizodem w dziejach każdego innego społeczeństwa — wybucha z wielką gwałtownością ruch antinarodowy. Wyśmiewa się i zohydza uczucia patryotyczne, otwarcie wzywa się żołnierzy, ażeby w razie wojny broń swą zwrócili przeciw oficerom, a nie przeciw wojskom cudzoziemskim, bo przełożeni prowadzą ich na śmierć, a wojska przeciwnika są im bratnie, złożone, podobnie jak krajowe, przedewszystkiem z warstw pracujących a nieposiadających. Propaganda ta padła we Francyi na grunt tak podatny, wywołała tyle objawów niepatryotycznych i tyle aktów wielkiej niesubordynacyi

wojskowej, że wreszcie rząd musiał wystąpić przeciw niej z całą surowością, jakkolwiek wychodziła z kół najbliższych jego przyjaciół politycznych. Za granicę akcya ta przeniosła się jak dotąd w nieznacznych tylko rozmiarach, lecz grunt dla niej przygotowuje wszędzie zręczna i wytrwała apoteoza stosunków francuskich, stawianie za wzór innym społeczeństwa francuskiego, które doszło na drodze postępu dalej niż inni, bo zrywa ostatecznie z »zabobonami« religijnymi. Inne narody są jeszcze na szczęście tak zacofane, że nie można im mówić o zabobonach narodowych, lecz gdyby hojnie rzucane ziarno bezwyznaniowe rzeczywiście kiedyś się przyjęło, przyszłaby podobnie jak we Francyi kolej na wyplenianie poczucia narodowego.

W ten sposób podkopuje się uczucia religijne i narodowe dla rozerwania głównych węzłów społecznych. Lecz nie dość na tem; ci ludzie nie poprzestają na jednorazowem rozbiciu solidarności społecznej, chodzi im bowiem o trwałe utrzymanie stosunków tego rodzaju. W tym celu posługują się jednem z głównych haseł nowoczesnego socyalizmu, walką klasową. Rozognienie wewnętrznych sporów gospodarczych, spotęgowanie walki na polu materyalnem, każdego żywo obchodzącym, prowadzi do coraz większego pogłębienia przepaści pomiędzy poszczególnemi warstwami społecznemi. Im mniej się jest wrażliwym na wielkie ideały całego narodu, tem pewniej wysuwają się na pierwszy plan interesy indywidualne i klasowe ze swemi różnicami i antagonizmami. Przy braku wspólnej religii i wspólnego patryotyzmu, pozostaje istotnie tylko bezwzględna walka o byt, jako jedyne ogólne znamię stosunków pomiędzy ludźmi, dochodzi się do stanu powszechnej, wzajemnej zawiści, niechęci i nieprzyjaźni — człowiek człowiekowi staje się wrogiem.

Lecz nawet jednostki, jakkolwiek już nicby je nie łączyło pomiędzy sobą, mogą jeszcze wiele zdziałać, o ile zachowają energię, wytrwałość, zalety charakteru. Nie chcąc niczego pozostawić przypadkowi, pragnąc zabezpieczyć się w każdym kierunku, judaizm dąży do osłabienia indywiduów, tak jak wprowadza niemoc w społeczeństwa. Jego walka z najprymitywniejszemi zasadami etyki ogólno-społecznej, praca nad rozluźnieniem węzłów małżeńskich

i rodzinnych, obrona wszelkich niezdrowych prądów w literaturze, szerzenie pod płaszczykiem swobody myśli, realizmu i naturalnego piękna, nieraz wprost wstrętnej pornografii, namiętne rzucanie się na każdego, kto tylko chciałby temu położyć tamę — wszystko to staje się w tem oświetleniu najzupełniej zrozumiałe, bo celowe. Wykorzenienie etycznych uczuć, przyzwyczajenie człowieka do sceptycznego patrzenia na wszystko, odebranie mu tych kryteryów, które dotąd uważał za niewzruszalne normy postępowania, wprowadza go w stan anarchii wewnętrznej, analogicznej do zewnętrznej anarchii społeczeństwa, niczem szlachetniejszem już nie spojonego. Jednostka staje się chwiejną, słabą, niezdolną do żadnego wyższego porywu, dostrzegającą tylko jeden ideał — dobrobyt i używanie.

Takie są dążenia judaizmu literackiego i politycznego, które na zachodzie poważnymi już mogą się poszczycić rezultatami. A naprzeciw zdenerwowanych, pozbawionych oryentacyi moralnej, stąd słabych i chwiejnych społeczeństw i jednostek, stoi zwarte, solidarne żydostwo. Bo ci sami sceptycy, ci pisarze, którzy wyśmiewają wszelką myśl transcendentalną i każde poświęcenie dla ideału wystawiają jako zakapturzony egoizm, nierozsądek lub zacofanie — ani słowem nie dotkną najbardziej choćby ciemnych, niekulturalnych czy nieracyonalnych stron talmudu. Ten Bóg talmudyczny, wyłącznie żydowski, który żydom daje panowanie nad światem, znajduje w nich najgorliwszych współpracowników, którzy przez demoralizacyę wszystkich innych, chcą tylko ułatwić mu spełnienie tej obietnicy.

Tak się przedstawia ten kulturalny judaizm, który tak idealnie przedstawia się p. Bolesławowi Prusowi. Możemy mówić o szczęściu, że u nas, przy tak znacznej ilości żydów, jest go jeszcze tak mało. Bo szerokie masy ludności żydowskiej rzeczywiście za mało są wyrafinowane, ażeby z taką perfidyą i zręcznością zmierzać do zapanowania nad innymi. Jak wiara ich jest prosta, jak bezkrytycznie, prawie bezmyślnie przyjmują i spełniają wszystkie przepisy talmudu, tak i środki, którymi posługują się w walce z naszem społeczeństwem są dość prymitywne. Nasi żydzi dążą również do hegemonii, lecz swej przewagi szu-

kają, jak dotąd prawie wyłącznie w dziedzinie ekonomicznej, nie koncentrując swych ataków na o wiele ważniejszą sferę etyczno-narodową. U nas akcya w tej dziedzinie należy jeszcze do wyjątków, chociaż w ostatnich czasach coraz częściej zaczyna się pojawiać.

To też jeżeli kronikarz *Tygodnika illustrowanego* opiera swój filosemityzm na nadzieji, że nasi żydzi dojdą kiedyś do tej doskonałości, którą osiągnęli we Francyi czy w Niemczech, można mu odpowiedzieć: Właśnie dlatego kwestya żydowska jest u nas tak piekąca i poważna, że żydzi w dziedzinie materyalnej stanowią już dziś niebezpieczną potęgę, a przerzucenie się ich w sferę akcyi ideowej, przyniosłoby tylko szkody bez porównania większe. Niedostatek materyalny jest mniejszem złem niż nędza moralna, a wspomniany tylokrotnie obrońca żydów, pociesza nas tylko taką perspektywą. Najświętsze nasze narodowe i etyczne obowiązki domagają się zabezpieczenia się przed taką ewolucyą.

*Dr. Włodzimierz Czerkawski.*

# SPIS RZECZY.

## Artykuły naukowe i literackie.


| | Strona |
|---|---|
| Żydzi oświeceni. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* . | 1 199 |
| Filip Crispolti, przedstawiciel ruchu katolickiego we Włoszech. Przez *Maryę Straszewską* | 24 225 |
| W sprawie św. Stanisława. Dyskusya: *Dr. A. Miodoński* . . . . . | 37 |
| Zebranie rezultatów i uzupełnienie. *Prof. dr. St. Smolka* . . . . . | 415 |
| Hekuba. (1863 r.) Powieść. (Dok.) Przez *Elizę Orzeszkową*. . . . . | 48 |
| Śmierć jenerała Kickiego. Przez *ks. Tadeusza Karyłowskiego T. J.* . . . . . | 65 |
| Popularyzacya nauk przyrodniczych na tle chrześcijańskiego poglądu. Przez *ks. E. Matzla T. J.* | 69 |
| Nasze położenie. Przez *prof. J. Milewskiego* . . . . | 145 334 |
| W 800 letnią rocznicę św. Anzelma. Przez *ks. Ryszarda Malottę T. J.* . . . . . | 161 |
| Dzieje Filomatów w zarysie. Przez *Stanisławę Pietraszkiewiczównę*. Słowo wstępne prof. Józefa Kallenbacha. . . . . | 173 |
| Szkolnictwo Galicyi w budżecie państwowym. Przez *prof. Włodz. Czerkawskiego* . . . . . | 241 |
| Próba wstępu do krytyki poznania. Przez *ks. St. Kobyłeckiego T. J.* . . . . . | 255 |
| Międzynarodowy problem emigracyi. Przez *d-ra Leopolda Caro* . . . . . | 321 |
| Objawienie i dogmat w teologii katolickiej a w teologii modernizmu. Przez *ks. Jana Rostworowskiego T. J.* . . . . . | 356 |
| Między Słowianami. Do Lublany. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . | 381 |
| Olimpia. Przez *Lucyana Rydla* . . . . . | 392 |
| »Civitas Dei« w epoce Karola Wielkiego. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* . . . . . | 403 |

# Przegląd piśmiennictwa.

## Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

HISTORYA POLITYKI NARODOWOŚCIOWEJ RZĄDU PRUSKIEGO WOBEC POLAKÓW. Dr. Józef Buzek. *(Z. Chłapowski)* . . . . . 80

U GROBU ŚW. WOJCIECHA. Pierwsze posłannictwo Polski i jej wywłaszczenie. Ks. Jan Fijałek. *(Dr. K. Krotoski)* . . . . . 87

LITERATURA ARYAŃSKA W POLSCE 1560—1660. Napisał Tadeusz Grabowski. *(Czesław Pieniążek)* . . . . . 93

KAZANIA NA UROCZYSTOŚCI I ŚWIĘTA NIEPOKALANEJ DZIEWICY BOGARODZICY. Ks. Józef Stanisław Adamski. Tom II. *(Ks. Jougan)* 99

POLITYKA LUBECKIEGO przed powstaniem listopadowem. Stanisław Smolka. Tomów II. *(Dr. Roman Jamrógiewicz)* . . . . . 267

PIECZĘCIE MIASTA KRAKOWA, KAZIMIERZA, KLEPARZA I JURYDYK KRAKOWSKICH DO KOŃCA XVIII WIEKU. Adam Chmiel. *(Dr. M. Gumowski)* . . . . . 280

ŚWIĘTOPIETRZE W POLSCE. Ks. Tadeusz Gromnicki. *(Dr. Jan Ptaśnik).* 449

SYN KRÓLEWSKI. Dramat w trzech aktach na tle dziejów XI wieku. Adam Krechowiecki. *(Adam Stodor)* . . . . . 456

## Z piśmiennictw obcych.

Z LITERATURY BIBLIJNEJ. 1. »L'église et la critique« (Ancien Testament). Joseph Brucker. 2. »Die Genesis« nach dem Literalsinn erklärt von Gottfried Hoberg. 3. »Liber Geneseos«, textum hebr. emendavit latinum Vulgatum addidit G. Hoberg. 4. »Doppelberichte im Pentateuch». Dr. Theol. A. Schulz. 5. »Das Hohelied«. Übersetzt und erklärt von Joseph Hontheim S. J. 6. »Textkritische Untersuchungen zum hebr. Ekklesiastikus« von A. Fuchs. 7. »Kardinal Wilhelm Sirlets Annotationen zum Neuen Testament« von T. Hildebrand Höpfl O. S. B. 8. »Die Dauer der öffentlichen Wirksamkeit Jesu« von Dr. Wilh. Homanner. 9. »Der Ephesierbrief des Apostels Paulus« übersetzt u. erklärt von Dr. Joh. Evang. Belser. 10. »Die Evangelien und Evangelienkritik« von Dr. J. Schäfer. 11. »Nach Petra und zum Sinai«. Von L. Szczepański S. J. *(Ks. dr. J. Korzonkiewicz)* . . . . . 102

GESCHICHTE DER MOTETTE von Hugo Leichtentritt. Kleine Handbücher der Musikgeschichte herausgegeben von H. Kretzschmar. Band II. *(Dr. Adolf Chybiński)* . . . . . 282

INSTITUTIONES IURIS ECCLESIASTICI, quas in usum scholarum scripsit Ios. Laurentius S. I. Ed. altera. *(Ks. J. Roth T. J.)* . . . . . 285

HISTOIRE DU CANON DE L'ANCIEN TESTAMENT DANS L'ÉGLISE GRECQUE ET L'ÉGLISE RUSSE. M. Jugie des Augustins de l'Assomption. *(Ks. Jan Rostworowski T. J.)* . . . . . 286

DES HL. JOHANNES CHRYSOSTOMUS BÜCHLEIN ÜBER HOFFART UND KINDERERZIEHUNG samt einer Blumenlese über Jugenderziehung aus seinen Schriften übersetzt und herausgegeben von Dr. S. Haidacher. *(Ks. E. Matzel T. J.)* . . . . . 287

PATSY a story by H. de Vere Stackpoole. *(T. Wodzicka)* . . . . . 289

## Zapiski bibliograficzne.

PAMIĘTNIK PIERWSZEGO KURSU KATECHETYCZNEGO WE LWOWIE wydał ks. dr. A. Pechnik. *(Ks. T. B. T. J.)* . . . . . 108

Str.

Na górze Athos wśród mniszej republiki. Ks. M. Czermiński T. J. *(Ks. Jougan)* . . . . . 109
Manifestacye Warszawy 1861 r. A. Giller. *(St. B.)* . . . . . 110
Listy do przyjaciół o życiu młodzieży szczególniej akademickiej. Zebrał T. B. *(St. B.)* . . . . . 111
Pamiętniki dziecka Warszawy. K. W. Wójcicki. *(St. B.)* . . . . 111
Das Messbuch der hl. Kirche (Missale Romanum) lateinisch und deutsch mit liturgischen Erklärungen. Für die Laien bearbeitet von P. Anselm Schott O. S. B. *(A.)* . . . . . 111
Der Durchzug der Israeliten duch das Rote Meer von Ladisl. Szczepański S. J *(Ks. L. B. T. J.)* . . . . . 112
Konkordancya z dzieł Ojców św. i pisarzy Kościoła. Ks. I. Zieliński. *(n.)* . . . . . 290
Portret hr. A. Potockiego. Naszkicował obserwator. *(St. B.)* . . . . 290
Andrzej hr. Potocki Stan. Tomkowicza. *(St. B.)* . . . . . 291
Biblioteka kultury polskiej Dzieje warszawskiego Towarz. Przyj. nauk (1800—1832). Z dzieła A. Kraushara skreślił M. Offmański. *(B.)* . . . . . 291
Wychowanie młodzieży w wieku przedszkolnym. A. Kowalski. *(A. B.)* . . . . . 291
Jak uładżene maje buty żyt'e dobroj zakonnyci. Pisla K. A. Basso. Napisaw i wydaw O. K. Seleckij. *(P.)* . . . . . 292
Sprawa zgody Polski z Rosyą wobec związku narodowej demokracyi z masonią. Jerzy Moszyński. *(Ks. J. U. T. J.)* . . 292
Grundriss der Musikwissenschaft von Dr. Phil. et Mus. Hugo Riemann. *(Dr. A. Ch.)* . . . . . 293
Hugo Wolf. Napisał dr Zdz. Jachimecki. *(Dr. A. Ch.)* . . . . . 293
Ex oriente lux. Ślady Izraela w zabytkach dawnego Wschodu. Napisał ks. Jan Korzonkiewicz. *(X.)* . . . . . 294
L'école et le Caractère. F. W. Foerster. Traduit par Pierre Bovet, préface de Jules Payot. *(Marya Straszewska)* . . . . . 458

## Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

### KWIECIEŃ.

Sprawy Kościoła. Ze zjazdu wileńskiego.—Po wyborach włoskich.—Z katolickich stosunków w Ameryce.—Z kościelnego ruchu w Luksemburgu. — Nowe święto Matki Boskiej Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . 114
Z działalności Związku ludowego w Niemczech. Przez *ks. J. Assmanna T. J.* . . . . . 124
Listy z Warszawy. Przez *T. Jeske-Choińskiego* . . . . . 129
Z nowin historycznych. Medyceusze na tronie papieskim. Przez *ks. A. Starkera T. J.* . . . . . 140

### MAJ.

Sprawy Kościoła. Z jasnych i ciemnych chwil ruchu religijnego w Anglii. — W zamęcie włoskim. — Z okazyi beatyfikacyi Dziewicy Orleańskiej. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . 295
Przegląd muzyczny. Przez *d-ra Adolfa Chybińskiego* . . . . . 304
Listy z Warszawy. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego* . . . . . 311

CZERWIEC.

Str.

SPRAWY KOŚCIOŁA. Wichrzenia masońskie na Wschodzie.—Z naszych spraw. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* . . . . . 470

W SPRAWIE DRÓG WODNYCH. A propos ostatnich wylewów. — Tragikomedya kanałowa i zabezpieczenie Krakowa od powodzi. Przez *Ak.* . . . . . 478

LISTY Z WARSZAWY. Obrona sądownictwa polskiego przez »Prawnika«.— List otwarty Aleksandra Świętochowskiego. — Obrona Brzozowskiego przez postępowców. — Najnowsza forma postępu. — Ewa Pobratyńska z »Dziejów grzechu« przed sądem postępowców. Przez *Teodora Jeske-Choińshiego* . . . . . 487

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: KS. JAN PAWELSKI T. J.